

Mike Carey

Nazwanie Bestii

The Naming of the Beasts

Przełożyła Paulina Braiter



Dla Ade'a
za muzykę, curry z Brick Lane,
Bunhill Fields, świątynie masońskie,
Stary Browar i długie, szczere rozmowy.

PODZIĘKOWANIA

Cała moja wiedza o Chwiejnych Bliźniakach pochodzi od żony, Lin, i teatralnej części strony sieciowej Londyńskiego Archiwum Metropolitalnego. Jestem wdzięczny im obu. Za wewnętrzną topografię budynku Patersona i moje własne wyobrażenie skromnego imperium Jenny-Jane Mulbridge muszę podziękować Ade'owi Brownowi: poświęcił czas i energię, organizując mi wycieczkę z przewodnikiem, i w razie potrzeby zawsze podrzucał niezbędne informacje. Uwagi Castora na temat alkoholizmu to echo słów z tego samego źródła. Dziękuję także mojej agentce Meg, za jej niezłomne wsparcie, i redaktorowi Darrenowi, za dowcip o Spiro Agnew, znacznie lepszy niż ten, którego pierwotnie użyłem.

ROZDZIAŁ 1

To dziwne, jak czasami może nas kopnąć czyjaś śmierć. Choćbyśmy zdołali wytworzyć mnóstwo ochronnej tkanki bliznowej - a ja mam jej więcej, niż wynosi przeciętna, i to we wszystkich znaczeniach tego słowa - śmierć nadal może podkraść się do nas z nieoczekiwanej strony i wbić nóż prosto w wąpia.

Zamordowana kobieta próbowała wydostać się ze swojego maleńkiego mieszkanka przez okno. Najpewniej zaskoczono ją w łóżku: ocknęła się ze snu i zastała u siebie intruza. Tak czy inaczej, pościel i kołdra zostały na podłodze, tworząc mniej więcej prostą linię pomiędzy łóżkiem a miejscem, gdzie zginęła.

Znaczna część kobiety także leżała na podłodze. Zaimprovizowany drewniany oszczep - zapewne odłamana noga od stołu - przebił jej podbrzusze z taką siłą, że utknął kilka cali w ścianie pod oknem. Pozostała na nim zawieszona i przyciśnięta do szyby, z ręką dyndającą u boku. Drugą rękę uniosła, jakby sięgała do klamki, lecz zamiast tego dłoń spoczęła na parapecie.

Z ciała wypłynęła krew, tworząc na tanim, żółtym linoleum ciemnoczerwony dywan, wyróżniający miejsce zbrodni na tle reszty pokoju.

Kobieta była biała i, jak to bez wątpienia ujmą gazety, po trzydziestce. Nosila staroświecką fryzurę afro, była wysoka, miała smukłą sylwetkę - tak bardzo, że część jej przyjaciół mogła się obawiać, że cierpi na anoreksję. Tabloidy, jak zwykle wypatrujące smakowitych szczegółów, dodałyby zapewne, że była naga, pomijając różową nocną koszulkę, zbyt krótką, by ukryć wstydlive miejsca. Teraz wyglądała żałośnie i krucho, po rozpaczliwej ucieczce przemieniona w martwą naturę, zaatakowana od tyłu przez kogoś lub coś, przed czym uciekała.

Pomijając wstrząsającą martwą rzeźbę, pokój niczym się nie wyróżniał. Jego wystrój na wiele subtelnych sposobów mówił „wynajmuję ten pokój i ni cholery mnie nie obchodzi jak wygląda”. Wiktoriańska zielona farba była całkiem w porządku, jeśli lubi się gęsie łajno, lecz brudne, rozmazane aureole otaczające kontakty świadczyły jasno o tym, że ścian od dawna nie malowano i że przez ten czas przez pomieszczenie przewinęło się wielu obojętnych lokatorów. Jedyne obraz, wyblakły pejzaż w stylu Constable'a, przedstawiał stogi siana na zżętym polu pod bezchmurnym, błękitnym niebem. Przystojny młody gospodarz oddalał się

od obserwatora, opierając widły na ramieniu, jego obnażone ręce imponowały stanowczo przesadnymi mięśniami. Dajcie mu parę skórzanych spodni, ściągnijcie je nieco, by ukazać przedziałek między pośladkami, i mógłby spokojnie wystąpić w gejowskim porno.

Śledczy z wydziału kryminalistyki, w białych, jednorazowych, plastikowych kombinezonach, naciągniętych na zwykłe ubrania, w białych rękawiczkach i białych maskach na twarzach, mierzyli, pobierali próbki, odkurzali, drapali, opisywali, kojarzyli, układali kwiaty: pokój zamienił się w rojny ul, zupełnie jakby martwa kobieta urządziła przyjęcie, na które zaprosiła wyłącznie blade duchy.

Demonstracyjnie odwróciłem się od trupa, choć bynajmniej nie uchroniło mnie to przed toksyczną zupą sprzecznych emocji. Noc była gorąca, duszna i wilgotna jak pach sportowca, dzienny upał zelżał zaledwie odrobinę, a ciasny pokój wypełniał po brzegi smród przelanej krwi i wyprutych flaków.

Gary Coldwood, gliniarz do szpiku kości, przygwoździł mnie wyczekującym spojrzeniem. Pokręciłem głową. Wiedziałem, czego po mnie oczekuje, i na razie nie byłem na to gotów.

- Kto ją znalazł? - spytałem.

- Gość, który mieszka pod nią - odparł Gary. - Nerwowy typek. Strasznie nakręcony. Kiedy zadzwonił, wrzeszczał niemal minutę, nim operator zdołał wyciągnąć od niego adres. Teraz czeka na dole. Bazyliszek spisuje zeznanie.

Bazyliszek to czasem partnerka, czasem Nemezis Coldwooda, Ruth Basquiat - Blondynka z Ambicjami. Moim skromnym zdaniem nie była najlepszą osobą do przesłuchiwania biedaka, wciąż wstrząśniętego widokiem sąsiadki ukrzyżowanej na własnej ścianie.

- Ktoś coś widział? - naciskałem. - Słyszał?

Gary głośno wypuścił powietrze, z odgłosem bliskim parsknięcia.

- Witamy w Brixton, ojczyźnie trzech mądrych małpek: nic nie widzę, nic nie słyszę i przeżyj to sam. Nawet facio z dołu nie podniósł słuchawki, dopóki krew nie zaczęła mu kapać z sufitu.

- Kim ona była?

Gary zajrzał do notatek. Wiedział, że opóźnim rozpoczęcie pracy, ale wiedział też, kiedy naciskać, a kiedy lepiej poprowadzić mnie do wodopoju i poczekać, aż sam zacznę pić. Sprawiał wrażenie zmęczonego, jego krzaczaste, zrosnięte brwi kleiły się do czoła niczym gąsienice, które wpelzły na gołą ziemię. Barczyste, muskularne ciało ciążyło ku ziemi, jakby w miejscu, gdzie stał, grawitacja dwu- lub trzykrotnie przekraczała zwykłą ziemską.

Domyślałem się, że miał już za sobą długą noc, a nie zapowiadało się, by szybko dobiegła końca.

- Ginny Parris - odczytał głośno - przez dwa r. Była dziwką, pracowała w okolicach Atlantic Road. Z tego, co nam wiadomo, stała bywalczyni. „Już nie brała - była czysta od pół roku. Kiedyś robiła dla Rudego Paula, ale odkąd go zgarnęli, sama zajmuje się swoimi sprawami. Jasne? Nie jest głupia". Ta gorąca pochwała to słowa niejkiej Pauline O'Malley, zwanej Egzotyką, dawnej koleżanki panny Parris, aktualny adres służbowy: za postojem taksówek na Brixton Road.

Schował notatnik do kieszeni, ponura mina kontrastowała z lekkim tonem wypowiedzi.

- To nie człowiek to zrobił. - Nie musiałem zgadywać.

- Nie - zgodził się Gary. - Nie człowiek. Chyba że strzelił w nią za pomocą katapulty obłączniczej.

Na moment jego uwagę odwrócił mundurowy, który miał właśnie odsunąć stół, żeby zrobić miejsce kolejnej grupie szczurów laboratoryjnych w białych fartuchach. Wzmiankowany stół stanowił zapewne źródło narzędzia zbrodni, bo jedną z jego nóg odłamano. Leżał pod kątem, który z niewiadomych powodów skojarzył mi się ze zdychającym koniem z westernu Sama Peckinpaha.

- Ej! - ryknął do krawężnika Gary. - Nie dotykaj, kurna, niczego, póki nie sprawdzą odcisków i wszystkiego nie obfotografują. Czy matka niczego cię nie nauczyła, ty mały, zafajdany posrańcu?

Konstabl zbladł, wymamrotał coś przepraszająco i wycofał się pośpiesznie poza zasięg wzroku Gary'ego, gdzie zapewne ulżył swym uczuciom paroma wulgarnymi gestami.

- Nie - powtórzył Gary, z powrotem skupiając uwagę na mnie. - Nasza robocza hipoteza to *loup-garou*. I to jest jeden z powodów, dla których cię tu ściągaliśmy, Castor. Jeśli sprawcą był nieumarły, zapewne zdołasz nam podać jego rozmiar, markę i smak. A potem możesz spieprzać do domu, do łóżka, skąd bez wątpienia cię wywlekliśmy.

Obronnym ruchem uniosłem dłoń do zarośniętego podbródka. No dobra, wyglądałem jak przepuszczony przez wyżymaczkę. Ale nie służyłem w policji, byłem jedynie cywilnym doradcą, więc Gary mógł się walić. Raczej nie zdołałby mnie oskarżyć o psucie wizerunku firmy.

- To nie musiał być łak - zastanawiałem się głośno. - Może geist albo zombie?

Żadna z tych kandydatur nie wydawała się jednak właściwa. Poltergeist, dość potężny, by zrobić coś takiego, pozostawiłby w powietrzu nieomylnie ślady swej obecności. Nawet

Tomaszowie - złośliwe określenie egzorcystów na racjonalistycznych sceptyków - z policji mieliby wrażenie, że oddychają lodowatym, rzadkim gównem. A większość zombie jest słabsza od ludzi, nie silniejsza: mogą zmuszać się do większego wysiłku, bo po jakimś czasie ich obwody bólu przestają działać wraz z całą resztą układu nerwowego, to jednak wykraczało daleko poza zwykłą działalność chodzących trupów.

W tym momencie z opóźnieniem zarejestrowałem jeszcze coś, co powiedział Gary.

- Jeden z powodów, dla których mnie tu ściągnęliście? - powtórzyłem. - Czemu? A jaki jest ten drugi?

- Wszystko w swoim czasie. - Wystudiowana mina Coldwooda nie zdradzała niczego.

- Ta sprawa ma jeszcze jeden aspekt, ale nie chcę cię do niczego uprzedzać. Odpracujesz te swoje takie czary czy będziemy tu stać i słuchać twoich kolejnych pierdzielonych domysłów?

- Och, bądź brutalny, sierzancie - odparłem znudzonym tonem.

Sporo z Garym razem przeżyliśmy, na swój sposób jesteśmy nawet przyjaciółmi, choć to przyjaźń rządząca się osobliwymi regułami, decydującymi o tym, kiedy dajemy sobie nieco luzu, a kiedy nie. Mamy swoje stałe role i pozycje, które zazwyczaj przyjmujemy przy każdym spotkaniu. W tej chwili stanowiły one użyteczną barierę chroniącą mnie przed zakrwawioną rzeczywistością.

Obejrzałem się na zapracowanych kryminalistyków, którzy nadal wyczyniali swe naukowe sztuczki, i małe stadko mundurowych kręcących się przy drzwiach.

- Musisz opróżnić pomieszczenie - poinformowałem Gary'ego. - Przy tym hałasie nie zdołam wyczuć nawet najwyraźniejszego śladu.

Gary zawahał się, po czym kiwnął głową.

- Obowiązkowa przerwa na fajka! - zawołał do swej ekipy. - Collins, popracujcie trochę na klatce schodowej. Webb, weź swoich i zbierzcie zeznania od sąsiadów. Widzę, jak się tam tłoczą, więc równie dobrze możemy to załatwić, póki są na miejscu. - Wskazał ręką drzwi. - Wszyscy spadowa.

Wychodzili dwójkami i trójkami, kryminaliści pakowali swój sprzęt z irytującą, pedantyczną precyzją i ponurymi, sfrustrowanymi minami, jakby ktoś pacnął ich w łeb świeżą rybą w trakcie obiecującej gry wstępnej. Podobne sprawy nie zdarzają się co dzień; choć w gruncie rzeczy musieli jedynie nieco zaczekać. Świat wokół nas zmieniał się coraz szybciej. Nie był już kulą, a przynajmniej przez większość czasu tak nie wyglądał: mieliśmy wrażenie, że znaleźliśmy się na równi pochyłej.

Gary wyszedł jako ostatni, zatrzymał się w progu.

- Nie muszę ci mówić, żebyś niczego nie dotykał, prawda, Fix? - spytał z miną na poły

ostrożną, na poły przeproszającą.

Spojrzałem mu prosto w oczy. Wiedziałem, co myśli. Kiedyś oficjalnie współpracowałem z wydziałem śledczym pod nadzorem Coldwooda: egzorcysta-konsultant, ze wszystkimi przywilejami, jakie niebiescy chłopcy zapewniają swym cywilnym informatorom. A potem, dwukrotnie w ciągu ostatnich dwóch lat, stałem się głównym podejrzanym w sprawie morderstwa i Gary musiał tak bardzo kręcić, by uchronić mnie przed więzieniem, że mógłby wygrać zawody tańczących derwiszów w Damaszku. Fakt, że co chwila ląduję po uszy w gównie, kiepsko świadczył o trafności jego osądu.

- Znam zasady.

- Tak, jasne. - Punkt dla mnie. - Daj głos, kiedy skończysz. W końcu wyszedł i zostałem sam na sam z ciałem. Okrążyłem połamany stół, wpatrując się z powagą w nieżywą kobietę. Jej kruchość, to, jak została zbezczeszczona, w dziwny sposób sprawiały, że zrobiło mi się wstyd.

Miałem jednak robotę do wykonania, a Gary z pewnością patrzył już na zegarek. „Licznik stuka”, jak lubił powtarzać, nadal starając się przybrać pozę hollywoodzkiego twardziela, która zawsze mu umyka, bo nie jest w stanie zachować się jak prawdziwy skurwiel.

W podszewce rosyjskiego wojskowego szynela, stanowiącego mój strój roboczy, w zasięgu lewej ręki wszyto kieszeń dość dużą, by pomieściła mój flet. Uniosłem teraz dłoń i wyjąłem go. Przyłożyłem do ust i zagrałem kilka losowo wybranych nut, mających zrobić miejsce melodii, która jeszcze nie istniała.

Pokój wokół mnie pociemniał. Świat ciała, krwi, słów i znaczeń zniknął.

* * *

Egzorcyzmy to osobliwy sposób zarabiania na życie. Płacą gównianie, godziny są parszywe, możliwości awansu żadne, a sama praca w ułamku sekundy potrafi ze śmiertelnie nudnej zamienić się w morderczo niebezpieczną. Muszę jednak przyznać: to powołanie. Żeby to robić, trzeba się z tym urodzić.

Nie ma to nic wspólnego z wiarą religijną. Gdyby miało, natychmiast straciłbym robotę, bo mimo katolickiego wychowania, nie odzywamy się do siebie z Bogiem od czasu, gdy skończyłem sześć lat. Egzorcyzmy wymagają dodatkowego zmysłu, czy może całego zestawu zmysłów. Egzorcysta wie, kiedy w pobliżu kręcą się umarli, może sięgnąć do nich i dotknąć na najróżniejsze sposoby: a dokładniej, skrępować ich i przepędzić.

A umarli zawsze są w pobliżu. Zapewne sami zauważyliście, że ostatnio sprawy

mocno się pogorszyły. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że w ciągu ostatnich kilku lat kupiliście dom albo wynajęliście mieszkanie tylko po to, by odkryć, że jest nawiedzone; albo może ktoś znajomy wygrzebał się z grobu i postanowił odnowić dawną przyjaźń; albo też, niech Bóg broni, natknęliście się na *loup-garou* - potocznie zwanego wilkołakiem - lub innego z pomniejszych pomiotów piekielnych. Jeśli tak, to cieszcie się, że wciąż żyjecie i możecie to czytać.

Być może gwałtowny wzrost populacji nadprzyrodzonej wytworzył własną presję środowiskową. A może i nie. Równie dobrze można przyjąć, że potencjał egzorcystryczny to wrodzona zdolność, zawsze stanowiąca część ludzkiego genomu, lecz wcześniej większość dysponujących nią ludzi żyła i umierała, nie odkrywając nawet jej istnienia. W dzisiejszych czasach... No cóż, dziś zazwyczaj odkrywamy ją bardzo szybko.

Każdy z nas ma swój sposób przeprowadzania egzorcyzmów. Niektórzy robią to metodą staroświecką, za pomocą tradycyjnych rekwizytów: dzwonka, książki i świecy, sztyletu i kielicha, może zaśpiewów w łamanej średniowiecznej łacinie. Mnie samemu zdarzało się ich używać, lecz tylko po to, by zrobić wrażenie na frajerach. Każdy wzorzec jest w stanie zatrzymać ducha: sekwencja słów bądź dźwięków, linie na kawałku papieru, poruszenia w tańcu, nawet rozdanie kart. Jeśli ma się talent, można wybrać własne narzędzia, własne sztuczki. Choć, wedle mojego doświadczenia, prawdziwsze jest stwierdzenie, że to one wybierają nas.

Ja posługuję się muzyką. Mój duchowy wzrok to raczej duchowy słuch, co oznacza, że odbieram zjawy, demony i nieumarłych jak melodie. Za pomocą pocziwego fletu prostego (model Clarke's Oryginał w tonacji D) potrafię odtworzyć tę melodię i zapłatać ducha w muzykę tak, że nie może się uwolnić. Kiedy przestaję grać, duch odchodzi w to samo miejsce, w którym znika muzyka, kiedy jej nie gramy. Problem z głowy. Z demonami nie jest już tak łatwo, bo zazwyczaj nie poddają się bez walki, ale to właśnie podstawa tego, czym się zajmuję: naturalny talent zapewniający mi stałe dochody.

A przy okazji, słowo „stałe” w poprzednim zdaniu to miał być sarkazm.

* * *

Pierwszą częścią egzorcyzmów jest przywołanie, podczas którego nawiązujemy kontakt z duchem i wzywamy go do siebie. Nim jednak możemy to zrobić, musimy poznać jego naturę, jego wyjątkowe coś, by wiedzieć, co właściwie wzywamy. Ogólne zaproszenie zazwyczaj nie działa.

Usiadłem obok martwej kobiety, tuż poza szerokim kręgiem rozlanej krwi, i zacząłem

wygrywać niepewną, rozchwianą melodię, stanowiącą bardziej pytanie niż rozkaz. Zarzucałem przynętę: posyłałem swe sieci w głąb i w dal czegoś, co nie było powietrzem, wodą ani nawet przestrzenią, nieskończoności idealnie mieszczącej się w tym zasyfionym pokoju do wynajęcia.

Nic. Haczyk dyndał w pustce, a ryba nie brała.

Nie chodzi o to, że tam niczego nie było. W każdym budynku mającym więcej niż kilka lat powstaje coś w rodzaju emocjonalnej patyny, gamy rezonansów, które egzorcysta odbiera, gdy tylko się na nie otworzy. W pokoju odbierałem mnóstwo ech: radości i smutki, blaski i cienie codziennego życia tkwiące w powietrzu, w ceglanych ścianach, niczym wibracje dźwięku, który wzniósł się poza zasięg ludzkiego słuchu.

Niestety, duch Ginny Parris nie chciał się pojawić.

Była tu. Na pewnym poziomie, w pewnej postaci wyczuwałem w pokoju obecność. Rozproszona, słaba, rozmyta, wisiała w eterze niczym alfabet Morse'a, urywany, lecz pełen znaczeń: tu kropka bólu, tam kreska strachu i zamętu, a ówdzie nerwowa pauza nadziei. Grałem dalej z nowym zapalem. Zazwyczaj ten etap przypomina kumulację. Zaczynamy powoli, ledwie wyczuwając obecność ducha, lecz stopniowo namierzamy go dzięki swemu talentowi poprzez interfejs, przez który działa. Opisujemy go, określamy, ograniczamy, ściągamy coraz bliżej, wyostrzamy sygnał. Czasami zjawia się szybko, czasami powoli, lecz wcześniej czy później docieramy do krytycznej chwili, po której jego przybycie staje się nieuniknione. Wzór zjawy odbija się na naszym umyśle i wtedy duch nie może już od nas uciec. Możemy wezwać go do siebie, podporządkować swej woli, nawet wypytać, a on musi odpowiadać, jeśli tylko jest w stanie. Albo też możemy kazać mu odejść i nigdy nie wrócić.

Tutaj działo się coś innego, coś dokładnie przeciwnego. Wrażenie obecności Ginny, zamiast stawać się coraz silniejsze, z każdą chwilą słabło: szczątkowe ślady blakły coraz bardziej, stopniowo, nieubłagane zanikały, aż w końcu zdawało się, że tylko muzyka powstrzymuje je przed całkowitym zniknięciem.

Grałem dalej. Zwykle na tym etapie przypadkowe dźwięki układają się już w rozpoznawalną melodię. Ale nie dzisiaj. Dziś pozostawały bezkształtne i fragmentaryczne, podobnie jak ona.

Nagle ogarnęło mnie przerażające przekonanie, że fragmenty Ginny Parris kurczowo trzymają się liny ratunkowej mojej melodii, która powstrzymuje je przed runięciem w otchłań tego, co przychodzi potem. Utrzymywałem zatem ową linię jak najdłużej mogłem, czując, jak duch oddala się coraz bardziej i bardziej w kierunku, który nie ma nazwy. Teraz samo utrzymywanie kontaktu przychodziło mi z trudem. Po czole ściekała mi strużka potu, serce

waliło w piersi. Grałem, dopóki nie zniknęła.

A gdy odeszła, w przestrzeni, przez którą przepłynęła jej dusza, wyczułem drugą obecność, jeszcze słabszą niż Ginny, lecz z zupełnie innych przyczyn.

Psy polują stadami, ujadają ze wszystkich sił i zasmradzają każde pomieszczenie niczym sterta mokrych szmat. Koty polują samotnie, w ciszy, przycupnięte tak, by ukryć zarys swej sylwetki; zagrzebują odchody, by ofiara nie wiedziała gdzie bywają. Najstraszniejsze drapieżniki to te, których nie widzimy, dopóki ich szczęki nie zatrzasną się na naszym gardle - i podobnie rzecz się ma z drapieżnikami świata duchowego.

Siedziałem w cichym pokoju, wciągając w płuca smród śmierci, i czekałem, aż serce zwolni do znośnych siedemdziesięciu paru uderzeń na minutę. Trwało to bardzo długo.

Kiedy zebrałem dość sił, podniosłem się z ziemi i podszedłem do drzwi. Na wąskim podeście i schodach nie dostrzegłem ani śladu Gary'ego, lecz gliniarz pełniący straż na dole przy drzwiach najwyraźniej został uprzedzony, by powiadomić go, kiedy się pojawię. Wyrzął na ulicę i chyba kogoś zawołał.

Po paru minutach Gary dołączył do mnie.

- I co masz? - spytał bez ogródek. A potem, nim zdążyłem odpowiedzieć, uniósł rękę, by mnie uciszyć, pogrzebał w kieszeni i wyłowił cyfrowy dyktafon: model Olympus DS-50, ulubioną zabawkę z zeszłego roku. Nacisnął klawisz, uniósł dyktafon do ust niczym telefon. - Nazwisko świadka: Felix Castor - powiedział - godzina... - zerknął na zegarek - ...pierwsza siedemnaście w nocy. Miejsce: mieszkanie trzy C, Cadogan Terrace sto dwadzieścia dziewięć, SW-dwa. Świadek - praktykujący egzorcysta - został wezwany przez oficera śledczego w roli konsultanta.

Wyciągnął ku mnie dyktafon.

- Mów dokładnie, Castor.

- Możesz zapomnieć o teorii *loup-garou* - wymamrotałem, odpychając urządzenie.

Gary wyraźnie się zainteresował. Posłał mi spojrzenie, które słono by go kosztowało przy pokerowym stoliku.

- Mów dalej.

- Nie odpowiedziała na wezwanie. W całym pokoju były... jej fragmenty, ale nie łączyły się w spójną całość. Nie została po prostu zabita, tylko rozszarpana na strzępy.

Wzrok Gary'ego powędrował odruchowo w stronę ciała.

- Kurwa - rzuciłem niecierpliwie - nie jej ciało, Gary. Dusza. Cokolwiek ją zabiło, dopadło też duszę. To był demon. Została zabita przez demona.

Gdybym mu to powiedział zaledwie parę lat temu, zaśmiałyby mi się w twarz. Teraz

przyjął te słowa spokojnie - zbyt spokojnie. Wyglądał niemal jakby się ich spodziewał.

- Odebrałeś coś jeszcze? - spytał.

- Nie umarła szybko - rzekłem. - A przynajmniej... w końcu, oczywiście tak. Ale ten stwór przebywał z nią dłuższy czas. Dość długo, by przeszła całą gamę najróżniejszych emocji. Przypuszczam, że w pewnym momencie... sądziła, że zostawi ją przy życiu. Nie wiem, dlaczego miałyby tak myśleć.

- Tak - mruknął Gary. - Ja wiem. Chyba.

Wyłączył dyktafon i schował z powrotem do kieszeni.

- Czegoś mi nie mówisz - zauważyłem. To było stwierdzenie, nie pytanie. Cała ta sytuacja wrzeszczała do mnie zgodnym chórem w potrójnych harmoniach: „zasadzka”.

- Owszem - przyznał Gary. - To drugi powód, dla którego zwróciłem się do ciebie. No wiesz, tak naprawdę nie mamy cię już na stanie, a twoja kumpela Juliet zdecydowanie bardziej cieszy oko. Myślę jednak, że ta sprawa należy do ciebie, Fix.

Czekałem, ale wyraźnie nie śpieszyło mu się, by wyrzucić z siebie prawdę.

- No i? - nacisnąłem w końcu. - Czemu?

- To nazwisko nic ci nie mówi?

- Ginny - wymamrotałem. - Ginny Parris.

Może i mówiło. Wspomnienie nie chciało się zjawić, lecz gdzieś w głębi podświadomości rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

- To nie jest prawdziwe imię. Na akcie urodzenia figuruje Jane, ale wołała nazywać się Guinevere. Kiedy inni na to nie poszli, skróciła do Ginny.

Serce zanurkowało mi wprost do żołądka windą ekspresową.

- O, Jezu - jęknąłem. - To była...

Gary odczekał parę sekund, na wypadek gdybym sam chciał dokończyć zdanie. Kiedy tego nie zrobiłem, uczynił to za mnie.

- Zgadza się - potwierdził. - Była dziewczyna Rafiego Ditko.

ROZDZIAŁ 2

Na jakiś czas kompletnie się rozsypałem. Nie było to piękne.

Zaczęło się jakieś trzy miesiące temu, po tym, jak demon Asmodeusz, przyodziany w ciało mojego przyjaciela Rafiego, wyrwał się z celi więziennej, urządzonej przeze mnie na miarę w domu Lodowni Imeldy Probert, po drodze zabijając samą Imeldę i trzy inne osoby, po czym wydostał się na świat, złańniony zabawy.

Samo w sobie było to już prawdziwą katastrofą: Imelda osierociła nastoletnią córkę, Lisę, która, z tego co mi wiadomo, nie miała żadnych innych żyjących krewnych. Asmodeusz był prawdziwym potworem, który w ohydny sposób opętał ciało Rafiego. A znając naturę demonów, musiałem założyć, iż owe cztery morderstwa to jedynie przedsmak tego, co nastąpi. I wszystko nieskończenie pogarszał fakt, że była to głównie moja wina.

No dobra, to nie ja uwolniłem Asmodeusza z więzienia. Ten wątpliwy zaszczyt przypadł mało znanej i, technicznie rzecz biorąc, ekskomunikowanej sekcje katolickiej, znanej jako Anathemata, i jej księdzu/generałowi Thomasowi Gwillamowi. Gwillam chciał egzorcyzmować Asmodeusza, lecz ludzie, którym wyznaczył to zadanie, okazali się zbyt słabi. Weszli do akcji na pół gwizdka, dali się pociąć na kawałki, a przy okazji uwolnili demona z psychicznego kaftana bezpieczeństwa, w którym go uwięziłem.

Niestety, to przeze mnie znalazł się w owym pokoju: to ja zabrałem go z Ośrodka Opieki Charlesa Stangera w Muswell Hill do Peckham, do domu Imeldy; była to rozpaczliwa próba uchronienia go przed wpadnięciem w jeszcze gorsze ręce. Ja również sprawilem, że zyskał dość sił, by się uwolnić i walczyć, bo pozwoliłem mu pochłonąć fragment innego demona. W owym czasie wydawało się to logiczne: karmiąc Asmodeusza, uwolniłem opętanego chłopczyka od lokatora, który w końcu by go zabił.

Potem jednak Anathemata wtrąciła swoje trzy grosze, wszystko poszło się walić w diabły, a Imelda zginęła.

Szczerze mówiąc, trzech egzorcyistów Gwillama ni krzepkiego fiuta mnie nie obchodziło. Tak jak Rosencontrantz i Gildenstern, dali dupy swojej pracy i dostali to, na co zasłużyli. Ale Imelda...

Jezu Chryste ze wszystkimi aniołami. Imelda.

„Obym tego nie pożałowała" - powiedziała, gdy w końcu w obliczu mojego żalosego

zebrania ustąpiła i pozwoliła mi zwalić sobie na głowę Rafiego. A potem, kiedy zasugerowałem, żebyśmy obudzili Asmodeusza i pozwolili mu pożreć jednego z jego ziomów, zareagowała oburzeniem i zgrozą. Zgodziła się tylko dlatego, że bardzo kochała własną córkę i nie mogła po prostu patrzeć, jak demon wciąga do piekła czyjeś dziecko, skoro dysponowała sposobem zapobieżenia temu.

To ja opracowałem plan ataku. Ja poprowadziłem szarżę. Ona była lekką brygadą, a ja pierdolonym lordem Cardiganem.

Zatem, owszem, nie przyjąłem tego lekko. I chyba faktycznie wybrałem tchórzliwe wyjście.

Zostałem z córką Imeldy, Lisą, dopóki nie zjawiała się karetka. Lisa nie odezwała się ani słowem: siedziała z głową matki na kolanach, kołysząc ją w przód i w tył, jakby spała. Tylko raz okazała jakiegokolwiek emocje, kiedy ratownicy próbowali rozdzielić ją i zalanego krwią trupa. Nawet wtedy nie walczyła, nie krzyczała ani nie przeklinała, jedynie trzymała kurczowo pierś Imeldy, zmuszając ich, by siłą odginali jej palce. A potem w ogóle przestała się poruszać.

Patrzyłem, jak karetka odjeżdża.

A potem znalazłem najbliższy sklep monopolowy, kupiłem butelkę pierwszej z brzegu whisky, zabrałem ją na jedną z drewnianych ławek przed Elephant and Castle i wypłem duszkiem.

Wspomnienia następnych dni i tygodni mam nieco dziurawe, wiem jednak, że ta butelka była zaledwie pierwszą z wielu. Gdybym miał pod ręką inne odurzacze, też bym po nie sięgnął, ale w chwilach, gdy miałem ochotę spuścić zasłonę na ten dzień i jak najszybciej stracić świadomość, zazwyczaj wybierałem wódę.

Tyle że tym razem nie chciałem wymazać jednego dnia. Pragnąłem zapomnieć, że w ogóle przyszedłem na świat. Chciałem wykasować Feliksa Castora i przewinać taśmy. Zwolnić po nim miejsce, by kto inny mógł lepiej je wykorzystać.

Dołożyłem zatem wszelkich starań, by zamienić swój mózg w lekko ściętą zupe, lecz mimo wszystko w pamięci wciąż odbiło mi się wyraźnie kilka oderwanych wrażeń.

Pamiętam, jak pewnej nocy moja bliska przyjaciółka, Juliet, zaniosiła mnie do domu - a że jest sukubem, nawet się nie spociła - i oparła o drzwi niczym worek węgla. Z pewnością zataszczyłaby mnie i do łóżka, tyle że moja gospodyni, Pen, nie wpuszcza jej do środka. Pen ściśle przestrzega zasady: żadnych sukubów w domu.

Pamiętam Pen stojącą w drzwiach mojego pokoju i wyklinającą mnie głośno.

- Ty samolubny, żalorny skurwielu - mówiła. - On tam jest. W tej chwili krąży po

ulicach, a ty jedynie leżysz tu w kałuży własnych rzygów! Pierdol się, Fix! Skoro nie chcesz pomóc, sama go znajdę.

Pamiętam, jak czołgałem się na czworakach po podłodze pokoju, macając pod łóżkiem w poszukiwaniu butelki, która spadła i poturlała się w kąt. Kiedy ją znalazłem, większość zawartości już się wylała. Zrozpaczony tą ogromną stratą rozplakałem się. A potem jednym haustem wychyliłem resztę i pięć minut kaszlałem i rzeziłem, bo na szyjce zebrało się dość kurzu i kłaków, by zadławić konia.

Pamiętam, jak wezwali mnie do szpitala na rozmowę w sprawie stanu Lisy. Podałem swoje nazwisko jako najbliższego krewnego, bo nie wiedziałem, kogo innego wpisać. Musiałem zatem pójść, żałując z całego serca, że nie wpisałem ratownikom fałszywego nazwiska i adresu. Lisa wciąż nie reagowała na bodźce i doktorzy chcieli wiedzieć, czy w przeszłości cierpiała na katatonię bądź choroby nerwowe. Chcieli także, żebym podpisał całą kupę papierów. Zacząłem to robić w błogiej nieświadomości, potem jednak wzrok na moment mi się wyostrzył i uświadomiłem sobie, czego dotyczą niektóre formularze - zgody na stosowanie środków antypsychotycznych, na elektrowstrząsy, na ingerencje chirurgiczne. Uciekłem, ścigany wykrzykiwanymi zapewnieniami, że większość owych zgód to tylko „na wszelki wypadek”.

Pamiętam, jak późną nocą siedziałem na parkingu, oparty plecami o tylną oponę ciężarówki, i grałem na flecie. Próbowałem odtworzyć dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Coś absolutnie nowego: ostinato, które zakradło się niepostrzeżenie na ten świat i mogłem je usłyszeć tylko w wym bezsilnym, niemal bezmózgim stanie. I gdy tak poruszałem palcami, częściowo przykrywając otwory, a flet wydawał z siebie boleśnie ucięte półtony, wstęgi niemal niewidzialnej nicości, wyglądające niczym duchy tasiemców, przepływały obok mnie i przeze mnie, szukając muzyki, jakby stanowiła dla nich strawę.

Pamiętam, jak leżałem z policzkiem przyciśniętym do zimnego kamienia, myśląc z czymś bliskim ulgi, że wreszcie wszystko się skończy. Że może to coś pode mną to stół sekcyjny. Ale nie. To był zwykły, kolejny, cuchnący, lepki chodnik, zasłany odłamkami stłuczonego szkła, jeszcze jedna stacja moczymordowego krzyża.

Alkohol to osobliwa substancja: środek tajemniczy i złożony, ujawniający nam kolejno skryte w sobie sekrety. W samym sercu jego okrucieństwa tkwi mroczna, straszliwa litość: po tym, jak nas zatruje, możemy go zażywać jako lek. Zatracić się w cyklu, podczas którego pijemy po to, by nasze ciało przetrwało bóle i cierpienia odstawienia - i na krótką metę to nawet działa.

Jakiś czas dosiadałem tego konia. Potem z niego spadłem, a on mnie stratował. A

następnie, gdy leżałem w rynsztoku, nasikał na mnie.

Powrót był bardzo powolny i z początku niemal przypadkowy. Ocknąłem się w ciemnym pokoju, ugotowany we własnym pocie, czując się tak, jakby ktoś za pomocą magii zamienił mój język w wojskowy but rozmiar dziesięć. Trawił mnie ogień chemicznego łaknienia; na zmianę konałem z gorąca bądź z zimna we własnej skórze, po której pełzały salamandry o zakrzywionych szponach i węże o szorstkich łuskach.

Nie mogłem znaleźć włącznika światła ani przypomnieć sobie rozkładu własnego pokoju. Z trudem wtoczyłem się po omacku do łazienki, napelniłem wannę zimną wodą i runąłem do niej w ubraniu. Cóż, ciuchy tak czy owak stanowczo domagały się prania, więc uznałem to za najbardziej ekonomiczne rozwiązanie.

Kiedy wzeszło słońce, miałem już za sobą najgorsze drgawki. Stałem na miękkich nogach, ściągnąłem mokre, śmierdzące ciuchy i porządnie się umyłem. Golenie okazało się trudniejsze, bo ręce wciąż miałem mniej więcej tak stabilne jak plastikowy pajac na sprężynie, nie poddawałem się jednak.

Godzinę później zwlokłem się na dół, ubrany w parę czystych gatek, które jakimś cudem znalazłem wciśnięte za kaloryfer, i jedną z kilkuset podkoszulek Pen, ozdobionych celtyckim wzorem. Na stole w holu czekała na mnie sterta poczty, między którą tkwiła brązowa, oficjalnie wyglądająca koperta, dostarczona za potwierdzeniem i wyraźnie zawierająca złe wieści. Na razie postanowiłem nie zawracać sobie nią głowy. Musiałem załatwić inne sprawy.

Dowodniłem się paroma litrami wody i podkręciłem układ nerwowy zbliżoną ilością mocnej czarnej kawy. Nadal czułem się jak żywy trup, ale nie mam szczególnych uprzedzeń: niektórzy moi najbliżsi przyjaciele należą do tego klubu. No i przynajmniej mózg zaczynał mi pracować.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było odtworzenie kilku urywków wspomnień, niczym nagrań z automatycznej sekretarki.

Najbardziej zaniepokoiła mnie Pen, mówiąca „sama go znajdę”. Wiedziałem, że muszę zamienić z nią na ten temat kilka słów, kiedy jednak zszedłem na dół do salonu w piwnicy, nie zastałem jej tam.

Zastałem natomiast szczury krążące niespokojnie w swym szczurzym habitacie. Podobnie kruki, Edgara i Arthura - jeden przysiadł na własnej grzędzie, drugi na monitorze komputerowym Pen. Kiedy wszedłem, zakłapały dziobami, a Arthur zakrakał złowieszczo.

Zawsze pamiętam, by za każdym razem nakarmić kruki, bo lepiej nie wkurzać ptaków o dziobach dość twardych, by mogły przebić puszkę. Niedawno jednak przyszło mi do głowy,

że w ten sposób wytwarzam w ich umysłach pawłowowskie skojarzenie pomiędzy Castorem i jedzeniem, które pewnego dnia może porządnie mi dogryźć, w przenośni bądź nawet dosłownie. Wyciągnąłem z lodówki Pen zamrożoną wątróbkę, odmroziłem w mikrofalówce i podzieliłem na dwie porcje. Kruki rzuciły się na nią niczym para oszalałych krwio pijców. Wyglądało na to, że od dłuższego czasu nie jadły. Na wszelki wypadek nakarmiłem też szczury. Potem wróciłem na górę i nakarmiłem sam siebie. Przed katuszami niezdecydowania ochronił mnie fakt, że kuchnia była pusta, pomijając puszkę fasolki w sosie i paczkę dietetycznych sucharów. No dobra, znalazłem też do połowy pełną butelkę armaniaku „Janneau”, ale nakazałem sobie odwrócić wzrok. Nie chciałem znów wpaść w bagno, przynajmniej dopóki się nie upewnię, że Pen nic się nie stało.

Przygotowałem sobie zatem nietuczącą grzanekę z fasolką i zjadłem powoli do wtóru grającego radia. Dzięki temu dowiedziałem się, jaki mamy dzień tygodnia i kto jest premierem. Resztę drobniejszych szczegółów mogłem uzupełnić później.

Tymczasem butelka koniaku nadal czyniła mi z kuchni nieprzystojne propozycje. Postanowiłem oddalić się od niej, nim znajdziemy się razem w kompromitującej pozycji.

Poszedłem na górę do siebie, z mętną, lecz cnotliwą intencją choćby częściowego posprzątania śmietniska, które zebrało się tam podczas mego widowiskowego pijaństwa, jednak rozmiary zadania przeraziły mnie. W dywanie tkwiły wdeptane odłamki szkła, w powietrzu unosił się kwaśny odór zwietrzałej wódki, istniało też spore prawdopodobieństwo, że podnosząc z podłogi brudne ciuchy bądź wywrócone meble, odsłonię kryjące się pod nimi kolejne koszmary. Poddałem się zatem, nim jeszcze w ogóle zacząłem. Zdołałem jednak skomponować mniej idiotyczny strój: czarną koszulę, ciemnoszare bojówki i parę wysokich butów, które okazały się równie odporne na wpływ czasu jak permski granit.

Potem już tylko czekałem: najpierw w ogrodzie na tyłach, dopóki słońce nie wzeszło zbyt wysoko, a potem w piwnicy z krukami. Ranek przeszedł w południe - wciąż ani śladu Pen. Nie mogła wiedzieć, że się obudziłem i nakarmiłem ptaki, toteż jeszcze trudniej było pojąć jej nieobecność.

Do tego czasu znów zaczęły się tortury: po ciłem się jak świnia, w żołądku czułem bolesną, mdlącą pustkę, którą mógł zapełnić jedynie alkohol. Głowa pulsowała mi niczym przekrwiony pryszcz, który może pęknąć pod lada dotknięciem. Owe objawy fizyczne jeszcze podsycaly niepokój o Pen i odwrotnie, aż w końcu nie mogłem usiedzieć na miejscu i zacząłem krążyć po pokoju niczym więzień w izolatce, oddający się jedynym dostępnym ćwiczeniom.

Ile czasu trzeba, by uznać kogoś za oficjalnie zaginionego? Z pewnością znacznie

dłużej niż pół dnia. Może jednak warto byłoby zadzwonić do siostry Pen, Antonii, i sprawdzić, czy jej tam nie było. Przed telefonem powstrzymywał mnie jedynie fakt, że Tony szczerze mnie nie znosi i z pewnością zwyzywałaby mnie na czym świat stoi. Bardzo lubi krzyczeć, naprawdę lubi, a w tym momencie wiedziałem, że niewłaściwe harmonie mogłyby mnie doprowadzić do kolejnego załamania.

W końcu jednak zebrałem wszystkie siły i właśnie wybierałem numer, kiedy w zamku na górze zazgrzytał klucz. Odłożyłem telefon i pomaszerowałem na parter. Edgar i Arthur przepłynęli mi nad głową i wyraźnie zamierzali pierwsi przedstawić swoją wersję wydarzeń. Nie musieli się martwić: walczyłem właśnie z kolejnym atakiem dreszczy i nawet spacerkiem spokojnie by mnie wyprzedzili.

Kiedy dotarłem na szczyt schodów, Pen zaklinała właśnie drzwi: przemawiała do nich gardłowym zniżonym głosem, dotykając drewna w czterech kardynalnych punktach. W dzisiejszych czasach niemal każdy chroni swoje drzwi zaklęciami i amuletami, by zniechęcić nieproszonych zmarłych gości. Większość kupuje je gotowe: odbite na ksero zaklęcia i związane gałązki kwitnących ziół ze spirytystycznych kramów marketu w Camden, krucyfiksy i ampułki wody święconej z lokalnego kościoła, a także mezuzy, sałaty i sprytnie zmodyfikowane zwoje Mani, i inne religijne środki zaradcze wszelkich smaków i odmian, powszechnie dostępne na wagę lub sztuki. Pen jednak przyrządza swoje własne. Jest poganką i kapłanką niezależnego Kościoła, niemającego nawet nazwy. Ten aspekt życia zachowuje wyłącznie dla siebie i już dawno nauczyłem się o nic nie pytać.

Dokończywszy zaklęcie, odwróciła się i spojrzała na mnie. Było to uważne spojrzenie, które zatrzymało się na moment na czystej koszuli i świeżo poszlachtowanym, mniej więcej ogolonym podbródku.

- Cześć - rzuciłem, podchodząc do niej. - Już zaczynałem się martwić.

Spokojnie przyjęła pocałunek w policzek, kiedy jednak nachyliłem się ku niej, usłyszałem jak węszy, wiedziałem zatem, że nadal gromadzi informacje na temat mojego stanu ciała i umysłu.

- Jestem trzeźwy - zapewniłem.

- Tak - zgodziła się cierpko. - Akurat wierzę, że to potrwa.

Mijając mnie, przeszła do salonu, rzuciła torebkę na kanapę i klapnęła obok niej. Dopiero w tym momencie zarejestrowałem fakt, że ma na sobie przebranie. Miast zwyczajowych jaskrawych barw, włożyła kostium w stonowanych odcieniach brązu, a włosy spięła z tyłu w ciasny kok. Krótko mówiąc, dołożyła wszelkich starań, by nie zwracać na siebie uwagi. W przypadku Pen to niełatwe: choć na bosaka liczy sobie zaledwie półtora

metra, jej intensywnie zielone oczy przypominają odłamki radioaktywnego kryptonim. Dodajcie do tego ognistorude włosy, a otrzymacie ogólne wrażenie - w gruncie rzeczy słuszne - że ma się do czynienia z niewielkim pojemnikiem, kryjącym w sobie mnóstwo niebezpiecznej energii. Kiedyś mocno na nią leciałem, ale to było dawno temu, w czasach, gdy wraz z Pen i Rafim studiowaliśmy razem w college'u. Możliwe nawet, że do czegoś by to doprowadziło, gdyby nie obecność Rafiego. Więż chemiczna, jaka wytworzyła się pomiędzy tą dwójką, poprzez niewytlumaczalną reakcję zamieniła nas dwoje w parę dobrych przyjaciół i na tym etapie pozostaliśmy.

Mimo wszystko, kiedy tak stałem nad nią ze splecionymi na piersi rękami i poważną miną, musiałem wyglądać jak zazdrosny mąż.

- Gdzie byłaś? - spytałem. - Ptaki umierały z głodu.

- Szukałam Rafiego - odparła krótko.

- W nocy?

- Ma w sobie demona, Fix. Wątpię, by demony działały tylko w godzinach pracy.

Zamknęła oczy, by zniechęcić mnie do dalszych indagacji, zaczekałem zatem w nadziei, że z własnej woli rozwinie temat.

- Przypuszczam, że nie mam co liczyć na to, że zostawiłeś mi choć trochę koniaku? - spytała po dłuższej chwili.

Poszedłem i przyniosłem jej butelkę i kieliszek. Tylko jeden, choć bliskość alkoholu sprawiła, że zaczęły mnie mrowić ręce. Jeden spory kieliszek tak bardzo by mi pomógł.

Stanowiłby jednak także pierwszy krok na drodze do obłędu i kolejnego straconego weekendu, który mógłby spokojnie przeciągnąć się do połowy przyszłego tygodnia.

Pen nałapała sobie hojną porcję i po namyśle podała mi butelkę. Pokręciłem głową, a ona mruknęła - być może ze zdumienia, lecz najpewniej z aprobatą. Opróżniła kieliszek trzema łykami, nieszczerze okazując szacunek owocom ciężkiej, ale czulej pracy monsieur Janneaua.

- Rozumiem, że nie zapunktowałaś - zagadnąłem po starannie odczekanej chwili.

- Twój ostry jak brzytwa umysł dostrzega wszystko - wymamrotała z goryczą Pen.

- Gdzie szukałaś?

- Wszędzie.

- Chodzi mi o to, czy miałaś jakiś plan? Podążałaś konkretnym tropem? Czy po prostu uznałaś, że rozpoznasz zapach wody po goleniu Rafiego, kiedy tylko się zbliżysz?

Pen nałapała sobie kolejny kieliszek.

- Nigdy nie używał wody po goleniu - odparła, wbijając wzrok w szkło. - Nawet, kiedy

był... - wyraźna przerwa - ...sobą.

A od tego czasu upłynęły wieki, pomyślałem ponuro.

- Zadałam sobie pytanie, co ty byś zrobił. - Pen niespodziewanie powróciła do tematu. Posłała mi spojrzenie z rodzaju tych, które zwykle nazywamy staroświeckimi. - To znaczy, co byś zrobił, gdybyś nie leżał urznięty w trupa.

Przyjąłem na klatę zarówno komplement, jak i wyrzut.

- I? - nacisnąłem.

- Uznałam, że spróbuję odrobiny niekonwencjonalnego myślenia. Kto się zna na demonach?

- Inne demony?

- I nałogowcy. I ludzie, którzy chcą nimi zostać. Krążyłam po klubach dwupalcówek, wcinając się w rozmowy bywalców. A dziś nie było mnie całą noc, bo dostałam zaproszenie na domówkę w Surrey, gdzie miano przeprowadzić rytuał przywołania. Tyle że gospodarze okazali się bandą zafajdanych owatów, którzy nie zdołaliby znaleźć własnej dupy nawet za pomocą mapy i portretu.

Widząc moją wstrząśniętą minę, umilkła.

- No co? - spytała po chwili obronnym tonem.

Jej znajomość żargonu mi zaimponowała, lecz to, co robiła, głęboko mnie zaniepokoiło. Jedyne egzorcycyści używają słowa „nałogowcy” przede wszystkim w odniesieniu do ludzi, którzy wzywają demony, zamiast do tych pochłaniających najróżniejsze chemiczne uszczęśliwiacze. Kluby dwupalcówek w tym samym zawodowym żargonie to miejsca spotkań satanistów. Nazywamy je tak, bo sataniści lubią rysować pentagramy z dwoma ramionami do góry, a trzema w dół, symbolicznie odrzucając Trójkę świętą. Owat to najniższy stopień wtajemniczenia druidycznego Gorseddu, lecz w odniesieniu do kościołów satanistycznych oznacza także palanta, który nie potrafi nakreślić magicznego kręgu tak, by nie przypominał wielkanocnego jaja - co w przypadku wyznawców demonów stanowi wyjątkowo nietrafione przesłanie.

- Nie powinnaś się zadawać z tymi ludźmi - powiedziałem bardzo poważnym tonem. - Wśród nieszkodliwych ciapciaków można też znaleźć naprawdę paskudnych drani. Takich, którzy dość długo zadają się z podmiotami piekielnymi, by się do nich upodobnić.

- Ich właśnie miałam zamiar spotkać - odparła niecierpliwie Pen. - Nie matkuj mi, Fix. Dokładnie wiem, co robię. - Pociągnęła łyk koniaku i posłała grymas w stronę kieliszka, jakby śmiertelnie ją uraził. - Tak czy inaczej - podjęła - nie udało się. Nie dotarłam do żadnych grubych ryb. Och, plotki krążą wszędzie. Piekielny Mesjasz w końcu się narodził i

dojrzewała teraz w sercu wieżowca Centrepont. Ktoś rysuje kurewsko wielki magiczny krąg wokół całego Londynu, łącząc białe linie na M25. Biskupowie wszystkich kościołów satanistycznych spotykają się w Kensington Palace, by przeprowadzić największe przywołanie w historii. Ale kiedy próbujesz wyciągnąć jakieś szczegóły, szybko się orientujesz, że to wszystko bzdety. Większość ludzi, z którymi rozmawiałam, wie jeszcze mniej ode mnie o tym, co się dzieje.

- A co się dzieje? - spytałem. - Na parę dni wypadłem z gry.

Pen prychnęła wzgardliwie.

- Raczej na dwa tygodnie - podsunęła. - Czas szybko płynie przy dobrej zabawie, co?

Nie nazwałbym młyna, przez który przeszedłem - i wciąż przechodziłem - „dobrą zabawą”. Ale nie próbowałem się spierać.

- Czy policja też szuka Rafiego? - spytałem, przechodząc do rzeczy.

Pen wzruszyła ramionami.

- Na pewno - odparła ponuro. - Zostawił odciski palców w całym domu Imeldy. Głównie odbite w cudzej krwi. - Na moment straciła panowanie nad sobą, do oczu napłynęły jej łzy. Podsunąłem się, by ją przytulić, ale powstrzymała mnie gestem dłoni; nie była gotowa przyjąć pociechy, albo może po prostu nie chciała. - Nie wiem, jak to się teraz skończy - rzekła drżącym głosem. - On ją zabił, Fix. Zabił Imeldę.

- Asmodeusz zabił Imeldę - poprawiłem.

- I Rafi także. To jego rąk użył Asmodeusz. Nie ma znaczenia, czy chciał to zrobić, czy nie. Kiedy go złapią, zamkną do końca życia.

Z gorączkową energią zaczęła ocierać łzy, nim zdołały popłynąć.

Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłoby dodać jej otuchy. Każde słowo Pen było prawdziwe, a nie powiedziała jeszcze najgorszego. Nawet jeśli londyńscy stróż prawa dadzą dupy i Rafiemu uda się uniknąć dożywocia za morderstwo, połączenie z Asmodeuszem samo w sobie stanowi dożywotni wyrok.

* * *

Kiedy pierwszy raz spotkałem Rafaela Ditko, w college'u w Oksfordzie, ni cholery nie wiedziałem, co o nim myśleć: w gruncie rzeczy był sukinsynem, ale dysponował własnym, niepowtarzalnym stylem. Jako dorosły student z Republiki Czeskiej był starszy od nas o całe trzy lata z groszami i wywarł na wszystkich piorunujące wrażenie: największe na Pen, bo zakochała się w sumie od pierwszego wejrzenia, a potem musiała patrzeć, jak on puka wszystkie inne znane nam dziewczyny, manewrując pomiędzy ich kolejnymi oficjalnymi

narzeczonymi bez wyrzutów ani zwłoki.

Należał do gości, którzy nigdy nie płacą za kolejkę, nigdy nie sprzątaję bałaganu, jakiego narobili, zawsze zaczynają wątek, lecz komuś innemu pozostawiają rozliczenia. Logicznie rzecz biorąc, powinniśmy go nie cierpieć, ale dysponował owym szczególnym darem - mieszaniną łotrykowskiej urody, nieodpartego uroku i doskonale odgrywanej szczerości - który sprawiał, że inni go kochali i chętnie dźwigali za niego jego brzemię. Przeznaczone mu było szczęśliwe, bezcelowe życie, wypełnione kanapami i żonami innych ludzi: natura przystosowała go i wyposażyla do zajęcia tej szczególnej ewolucyjnej niszy.

Wszystko to jednak zmieniło się, gdy mnie spotkał. W owym czasie staczałem się coraz szybciej - ów upadek zapoczątkowało pełne przebudzenie mego zmysłu śmierci mniej więcej w okolicach trzynastych urodzin. Rafi tymczasem szybował ku górze, niczym napędzana ego rakietą, i zderzyliśmy się, odbijając się od siebie, w idealnej ilustracji działania ruchów Browna. Radosny, szaleńczy hedonizm Rafiego i chłodna, arogancka wzgarda, z jaką znosił ciosy i strzały zawistnego losu, pomogły mi wyrwać się z niszczącej anomii, w której się pogrążałem. Mój wpływ na niego okazał się mniej zbawienny: wzbudziłem w nim fascynację, obsesję na punkcie śmierci. I, jak to u Rafiego, obsesja ta ujawniła się pod postacią konkurencyjności. Chciał mnie przebić w dziedzinie zdobyczy nekromanckich: wybrać się na wyprawę do niezbadanej krainy i powrócić z pamiątkami.

I ostatecznie to właśnie go zniszczyło. Sekwencja wydarzeń, której nigdy nie zdołałem odtworzyć, doprowadziła go na orbitę niejakiego Antona Fankego, założyciela, przywódcy i etatowego proroka tak zwanego Satanistycznego Kościoła Ameryki. SKA pod pewnymi względami wzoruje się na Moonitach: jego kapłani stosują metodę pełnego warunkowania środowiskowego, otaczając kandydatów swoimi ludźmi tak, by słyszeli jedynie ich własne prawdy objawione. Rafi zerwał stare znajomości i zniknął z naszego radaru, ku rozpaczy Pen. Ginny, jego ówczesna dziewczyna, była wtyczką SKA, podsycala obsesję Rafiego kiepsko skserowanymi grimoitami, stosami steganograficznego łajna i paroma klejnotami morderczej, niezaprzeczalnej prawdy.

Nie wiem, dlaczego wybrali Rafiego. Wiem natomiast, że Fanke miał mnóstwo skomplikowanych, osobliwych pomysłów na temat funkcjonowania rytuałów magicznych i w końcu doszedł do wniosku, że w magii osoba praktykująca staje się częścią systemu. Z jakiejś przyczyny oznaczało to, że gdy podjął próbę największego przywołania, wezwania jednego z najpotężniejszych piekielnych demonów za pomocą zaklęcia zawładnięcia, zaczerpniętego z *Liber Iuratus* Honoriusza, uznał, że to nie on sam, ale Rafi Ditko ma nakreślić krąg i wypowiedzieć niezbędne słowa.

Przywołanie poszło nie tak i Rafi, zamiast rozkazywać Asmodeuszowi, został przez niego opętany. A potem ja przypieczętowałem jego los, próbując przeprowadzić egzorcyzmy bez rozeznania, co właściwie zamierzam przepędzić. W tamtych czasach nie zetknąłem się jeszcze z demonem. Ruszyłem na łowy uzbrojony na niedźwiedzia i nagle przyszło mi stanąć oko w oko z lewiatanem.

Od tamtej nocy wiele razy próbowałem odtworzyć, co dokładnie zrobiłem, z zamiarem przeanalizowania mej własnej melodii i znalezienia metody naprawienia wszystkiego. To niełatwe, z różnych powodów. Na miejscu panował szaleńczy chaos: działo się to w łazience mieszkania Rafiego przy Seven Sisters Road, sam Rafi szamotał się i wrzeszczał w wannie pełnej wrzącej wody. Półtorej minuty wcześniej wannę wypełniał lód, lecz potężne gorąco trawiące Rafiego od środka szybko go roztopiło.

Wkrótce odnalazłem coś, co uznałem za ducha intruza, i zacząłem to oplątywać melodią. Nuty pojawiały się szybko i płynnie. Spodziewałem się, że to coś stawi większy opór, lecz mimo przekleństw i konwulsji Rafiego, okazało się całkiem łatwe do schwywania.

Kiedy jednak zamierzałem przejść do przegnania, Rafi na moment odzyskał świadomość. Spojrzał na mnie z absolutną grozą w oczach.

- Fix - wyszeptał - proszę! Proszę, nie!

W ułamku sekundy znów zniknął, po raz trzeci tonąc w bezświetlnych studniach własnej podświadomości. Jego miejsce zajął Asmodeusz, który napiął skórę twarzy Rafiego swymi własnymi kanciastymi, nieludzkimi rysami i kaleczył mi uszy wiązką przekleństw z samego zadupia Tartaru.

W tym momencie nagle wszystko skumałem. Pojąłem, co opętało Rafiego i co schwytałem w splecione sieci swej melodii. Jeszcze chwila, a wygnałbym ducha mego najlepszego przyjaciela z jego własnego ciała, pozostawiając w nim samotnego demona.

Nie mogłem tak po prostu przestać grać: to na bank zniszczyłoby Rafiego. Zrobiłem zatem jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy, to znaczy, zmieniłem melodię, przekształcając ją w coś innego. Zmodulowałem tonację i tempo, próbując zakotwiczyć wiążącą moc muzyki w czymś innym prócz Rafiego. A demon, widząc, co robię, podjął walkę.

Przypominało to przeciąganie liny, tyle że zamiast niej trzymałem w rękach postrzępiony kabel elektryczny, przez który przepływał prąd o natężeniu miliona woltów. Nie mogłem przerwać, zrezygnować ani na moment się zdekoncentrować. Zmagaliśmy się wiele godzin, demon zwijający się w ciele mojego przyjaciela i ja sam, zgarbiony nad wanną, z wciśniętym do ust fletem wygrywającym urywaną, koszmarną arabeskę.

I w końcu wygrałem. Mniej więcej. Związałem demona.

Tyle że związałem go z Rafim i nie potrafiłem już ich rozłączyć.

Stanowiło to odwrotność egzorcyzmów: człowiek i potwór złączyli się tak mocno i trwale, że stali się niemal jednością. Nie do końca przypominało to Jekylla i Hyde'a; było znacznie gorzej. W tym związku od pierwszego dnia rządził Asmodeusz. Osobowość Rafiego pozostawała ukryta, poza chwilami, gdy zdołałem ją wezwać kolejnym przywołaniem.

A ciało Rafiego tkwiło zamknięte w wyłożonej srebrem celi w Ośrodku Opieki Charlesa Stangera w Muswell Hill, srebro bowiem doskonale się sprawdza zarówno przeciw demonom, jak i nieumarłym. Oficjalna diagnoza brzmiała: schizofrenia, lecz u Stangera wiedzieli, z czym mają do czynienia, i woleli nie ryzykować. Obezwładniali demona zaklęciami, amuletami i lekami neuroleptycznymi, podawanymi w ilościach przemysłowych.

I tak to wyglądało przez kolejne trzy lata. Sto razy próbowałem odtworzyć melodię, która zamieniła Rafiego i Asmodeusza w duchowe bliźnięta syjamskie, ale ani razu mi się nie udało. A pozbawiony owego klucza, nie miałem najbledszego pojęcia, jak ich rozłączyć. Na całym świecie nie istnieje sito dość gęste, by zatrzymała się na nim dusza.

Teraz zaś brakowało już czasu. Asmodeusz krążył po ulicach, pozostawiając za sobą kolejne trupy. Coś trzeba było zrobić i gdy trzeźwiałem dość długo, by w mojej głowie zagościło choć parę myśli, pojąłem, że to mnie przypada ów obowiązek. Albo to, albo znów się urznę i pozostanę zalany w trupa aż do końca życia.

W ten właśnie sposób sumienie każdego z nas czyni tchórzem. Wrednie, co?

* * *

Pen, opróżniwszy drugi kieliszek koniaku, próbowała przywrócić pozory normalności i zaczęła sprzątać klatkę szczurów. Zostawiłem ją sam na sam z nimi i wróciłem do siebie, by dokonać kolejnego podejścia do walki z bałaganem: właściwie zadanie wyglądało podobnie, tyle że mój pokój śmierdział znacznie gorzej niż szczurze łajno.

Tym razem wziąłem się do roboty z większym przekonaniem i zdołałem dokonać pewnych uszczerbków w ogólnym chaosie. Wysiłek fizyczny sprawił, że poczułem się lepiej, choć nadal odczuwałem pozostałości heroicznego ochlajstwa ostatnich kilku dni i musiałem się oszczędzać.

Od czasu do czasu przed oczyma mojej duszy stawały kolejne okruchy pamięci. Pozwalałem im przychodzić i odchodzić, nie próbując niczego na siłę, choć niektóre wyglądały intrygująco. Podobnie jak w przypadku ptaków, przedwczesny pościg sprawiłby tylko, że znów by umknęły.

Pamiętałem, jak siedzę na stygnącym asfalcie i próbuję wydusić z fletu nowy dźwięk, przekonany, że słyszę go w powietrzu wokół mnie. Nagle znów niemal go usłyszałem - pozostawał kusząco i irytująco tuż poza zasięgiem, niczym sen, który już zaczyna blednąć, nim jeszcze do końca się zbudzimy.

Znów dopadły mnie objawy odstawienia, tym razem jeszcze mocniejsze, mrowiącą skórę pokryła warstwa lodowatych potów. Prawie tego nie zauważyłem. Ów dźwięk, ulotne ostinato, wciąż tkwił w drzwiach mego umysłu, niczym zbyt duży mebel, którego nie da się przepchnąć ani przecisnąć. Nie potrafiłem go ogarnąć, a on nie dawał mi spokoju.

Wyciągnąłem z kieszeni flet, przyłożyłem do ust i zagrałem kilka losowo wybranych akordów. A, C, a potem G poprowadziły mnie w naturalny sposób do „Henry’ego Martina”, pogodnej piosenki o morderstwie, gwałcie i nieodwracalnej utracie niewinności.

*W wesolej raz Szkocji żyło braci trzech,
Trzech w Szkocji, nie więcej już.
I losy ciągnęli, któremu z nich pech
Każe zostać piratem wśród mórz.*

Gdy Henry Martin zawisł na stryczku, przeszedłem do kolejnej równie radosnej melodii, a potem następnej. Wieczór przeradzał się w noc, a ja grałem i stopniowo ogarniało mnie niepokojące uczucie: przemożne przekonanie, oparte na niezwykle ulotnych wrażeniach.

Wyobraźcie sobie, że budzicie się i odkrywacie, że jesteście uwięzieni w obcym pokoju, w absolutnej ciemności, ze związanymi rękami i nogami. Nie mogąc się poruszyć, nie widząc, w żaden sposób nie potraficie określić, dokąd trafiliście. Kiedy krzyczycie, wzywając pomocy, echo waszego głosu powraca do was, przynosząc ze sobą wrażenie o wielkości pokoju: rozmiarach, a może nawet kształcie otaczającego was powietrza.

To właśnie wówczas czułem: gra na flecie przebudziła mój zmysł śmierci, który podpowiadał, że świat się zmienił. Echa owej prostej, żałobnej melodii opisywały przestrzeń w subtelny, nieskończenie minimalny sposób, odmiennie od tej, którą znałem, której oczekiwałem. Zastanawiałem się, co to, do diabła, może znaczyć.

Poruszony, opuściłem flet. Już miałem spróbować ponownie, gdy ujrzałem Pen - stała w drzwiach i patrzyła na mnie. W jej twarzy i ciele kryło się napięcie.

- Płozysz ptaki - powiedziała.

Odłożyłem flet na stolik obok łóżka.

- Otaczają mnie sami krytycy - poskarżyłem się.

Przez chwilę wpatrywała się we flet, po czym pokręciła głową, wyraźnie się poddając. Zawróciła na pięcie w stronę schodów, lecz po namyśle zatrzymała się na pierwszym stopniu, patrząc na mnie przez ramię.

- Miałaś kilka telefonów - oznajmiła.

- Kiedy mnie... nie było?

- Właśnie.

- Coś ważnego?

- Jakaś kobieta nazwiskiem Pax. Dzwoniła mnóstwo razy. Mówiła, że ma dla ciebie wieści.

Trudi mogła się nadal dusić we własnym sosie. Nie mogła mi powiedzieć niczego, co chciałbym usłyszeć. Jej serce należało do matki Kościoła, a mnie nie interesowała reszta, choć nie sposób odmówić jej kuszących kształtów.

- Ktoś jeszcze?

- Ktoś z biblioteki w Brent. Kobieta...

- Susan Book.

- Chyba tak.

To już brzmiało ciekawiej. Susan jest żoną Juliet, a Juliet sama w sobie zawsze pozostaje ciekawa.

- I Gary Coldwood - dokończyła Pen. - Dzwonił przed chwilą, ale nie mógł czekać.

- Czemu?

- Mówił, że jest w drodze na miejsce zbrodni i że chce, byś je dla niego odczytał.

ROZDZIAŁ 3

Co sprowadza mnie z powrotem mniej więcej w miejsce, od którego zacząłem: gdy, stojąc w kałuży zasychającej krwi Ginny Parris, z narastającą grozą przełykałem gorzką pigułkę wiedzy o tym, kim naprawdę była.

- Dziewczyna Rafiego - powtórzyłem.

- Tak. - Coldwood lakonicznie skinął głową. - Zauważyłem twoją zbolaną minę, Castor. Wiem, że według ciebie jedynie Pen Bruckner zasługuje na to miano, lecz teraz to i tak dawne dzieje. Ginny Parris figuruje w dokumentach przekazanych do Stangera, gdy przywieziono tam Ditko na badania psychologiczne. Jej zeznanie wciąż tam leży i tak właśnie się określiła. Związek z pacjentem: dziewczyna.

Przez chwilę przyglądał mi się, jakby oczekiwał, że zaprotestuję. Nie miałem najmniejszego zamiaru.

- A zatem - zagadnąłem lekkim tonem, który nawet w moich uszach zabrzmiał fałszywie - czy chłopcy z kryminalistyki cokolwiek znaleźli?

Gary uniósł brwi.

- Pobrali odciski.

- Skąd?

- Z drzwi. Połamanego stołu. Włączników światła. A nawet jeden całkiem wyraźny z gardła nieboszczki. Ktokolwiek to zrobił, nie starał się zbytnio zacierać śladów.

- Ktokolwiek to zrobił? - Musiałem wyglądać na człowieka, który rozpaczliwie chwytą się brzytwy.

Brwi Coldwooda ponownie się uniosły i opadły w geście rezygnacji.

- Jak dotąd nie zdążyliśmy ich dopasować. To właśnie teraz robimy. Mamy w bazie odciski Ditko. Jeśli to on, za parę minut dostaniemy potwierdzenie.

Spojrzał nade mną w stronę drzwi.

- A zatem wszedł przez drzwi - zaczął belferskim tonem. - Założmy, że to był mężczyzna. Nie wyważył ich. Nie musiał. Lewa ręka na gałce, co pasuje do użycia klucza. Rozmazany odcisk na framudze: uznaliśmy, że oznacza, że...

- Tam właśnie trzymała zapasowy klucz - dokończyłem.

Coldwood uśmiechnął się cierpko.

- Masz złodziejski umysł, Fix.

- Zadaje się z niewłaściwymi ludźmi. Głównie glinami.

Gary odpuścił mój komentarz, odwrócił głowę, jego wzrok powędrował od drzwi do połamanego stołu i łóżka.

- Jeszcze go nie słyszy. Najpewniej śpi. Podchodzi do niej. Może wtedy rozwała stół, żeby ją obudzić, zwrócić uwagę. Może tylko wymawia jej imię. Ale dziewczyna coś słyszy i sięga do lampy. - Zerknął na lampkę przy łóżku, leżącą na boku na podłodze: otaczający ją krąg słabego blasku skojarzył mi się ze świecami wotywnymi w kaplicy pogrzebowej. - Zapala ją, ale ręka jej się zsuwa, pewnie zaczyna panikować. Lampa spada, ale się nie tłucze. Teraz go widzi. Swego gościa. I znów na razie rodzaj to kwestia umowna. On sam nie dotyka lampy. Nie zostawił tu żadnych odcisków. Wyraźnie zatem nie przeszkadzało mu, że go widzi.

Coldwood znów się obrócił, aby spojrzeć na okno. Mój wzrok powędrował za nim i kiedy ujrzałem załosne ciało Ginny, zółć podeszła mi do gardła.

- Odciski na gardle stanowią znaczący szczegół - zastanawiał się na głos Coldwood. - Zwłaszcza, biorąc pod uwagę, że przyczyną śmierci nie było uduszenie. Wiąza się z tym, co mówiłeś, że był tu z nią dość długo. Trzymał ją za gardło, ale nie próbował zabić. A przynajmniej nie od razu.

- Tego nie wiecie.

Gary mierzył kąty wzrokiem, jego głowa obracała się ku łóżku, oknu i znów łóżku.

- Owszem, wiemy - odparł z roztargnieniem. - No cóż, przynajmniej jeśli to Ditko. Bo w pół sekundy mógł skrócić jej kark gołymi rękami. Może robił jej masaż shiatsu albo zastraszył ją, albo sprawdzał puls czy cokolwiek innego, ale z całą pewnością wtedy jej nie zabił. Zatem...

Odmierzył krokami odległość od trupa do łóżka, omijając skotłowaną pościel.

- Zatem chodziło o coś innego - dokończyłem. - Coś, co zrobił wcześniej. Albo próbował.

- To ma sens, prawda? - Gary ukląkł przy zagłówku łóżka, przyglądając mu się uważnie. Dopiero w tym momencie zauważyłem, że są na nim ślady krwi, podobnie na poduszkach pod nim. - Co o tym sądzisz? - Wskazał ręką.

Pomyślałem o emocjach - świeżych, bardzo silnych - wciąż wiszących w powietrzu pokoju niczym widoczna mgła. Najwyraźniejszą stanowił strach, ale wyczuwałem też nadzieję. Ginny Parris wiedziała, czym stał się Rafi i kto w nim zamieszkał. Ale przynajmniej zaraz po przebudzeniu i zorientowaniu się, że nie jest sama w pokoju, sądziła, że może wyjść

z tego cało. Co to mogło znaczyć? Że zobaczyła nie tylko Asmodeusza, ale też Rafiego? Rozmawiała z nim?

Próbowałem poskładać to wszystko do kupy.

- Przytrzymał ją - rzekłem z wahaniem. - Może o czymś z nią rozmawiał?

- O czym?

- Nie mam pojęcia. Możliwe, że obszczekuję niewłaściwe drzewo. Ale cokolwiek robili, zaczął się złościć. Krew na zagłówku oznacza, że została tu ranna, prawda?

- Rana cięta z tyłu głowy. Mnóstwo nałożonych na siebie skaleczeń. - Gary klapnął grzbietem jednej dłoni w drugą. - Bum, bum, bum. Potem ją puszcza, a ona ucieka. Ale w stronę okna. Dlaczego nie drzwi?

Nie odpowiedziałem, bo wciąż myślałem o poprzednim pytaniu. Jeśli faktycznie był to Rafi - Asmodeusz - to o czym chciał rozmawiać z Ginny? Czyżby wciąż miała kontakty z amerykańskimi satanistami Fankego? Sam Fanke już nie żył, ale może nadal prenumerowała ich gazetkę? Chodziła na spotkania? Czy próbował wyciągnąć z niej numer telefonu albo adres? Z jakiegoś powodu w to nie wierzyłem. Z pewnością Asmodeusz dysponował lepszymi sposobami nawiązania kontaktu z bractwem nekromantów niż wizyta u byłej Rafiego. A gdyby chciał przekazać wiadomość, zapewne okazałby większą samokontrolę i nie zastrzelił posłańca.

- Ucieka - zgodziłem się. - A on ją zabija. Bez zastanowienia. Czyli, albo dostał już to, po co przyszedł, albo zrozumiał, że tego tu nie znajdzie. A może stracił zainteresowanie. Tak czy inaczej, z niewiadomych powodów gra dobiegła końca. On... - Nie dokończyłem. Skinieniem głowy wskazałem połamany stół.

- Jesteśmy na trzecim piętrze - upierał się Gary. - Wciąż nie rozumiem, czemu nie pobiegnęła do drzwi.

- Stał między nią a drzwiami - przypomniałem, lecz stanowiło to jedynie połowiczną odpowiedź.

- Wiedziała, że nie zdoła wstać z ziemi po upadku z dwunastu metrów. Nie obchodziło jej to. Musiała się wydostać z tego pokoju, uciec przed stworem, który do niej przyszedł. W tym momencie nawet śmierć wydawała się lepszym wyjściem. Nie, wróc: śmierć tak czy inaczej była nieunikniona. Ginny chciała jedynie załatwić to sama, bez pomocy potwora, który przywdział ciało jej dawnego kochanka niczym pacynkę.

W powietrzu zabrzmiały pierwsze takty „Dla Elizy” Beethovena. Gary pogrzebał w kieszeni i wyciągnął komórkę.

- Halo - rzekł do telefonu, a potem: - Dobra. Dzięki. Informujcie mnie.

Głos po drugiej stronie gadał dalej; jak wszystkie głosy w telefonach brzmiał niczym efekt dźwiękowy z kreskówek „Looney Tunes” z lat czterdziestych.

Gary zmarszczył brwi.

- Co? A co to ma niby znaczyć? No to daj mi go. Nie. Nie, kurna. Wciąż jestem na miejscu zbrodni. Przyjadę, jak skończę, nie wcześniej.

Opuścił rękę z telefonem i schował go do kieszeni.

- Dzwonili z laboratorium - oznajmił. - Faktycznie, to Ditko.

- Asmodeusz - poprawiłem odruchowo. Już wcześniej byłem do tego stopnia przekonany, że to on, że potwierdzenie mnie nie zaskoczyło. Poczułem tylko przygniatający, lekki, wzmożony nacisk, jakby mój niewidoczny batyskaf zanurzył się właśnie kolejne sto stóp w otaczające nas morze gówna.

- Słuchaj, muszę wracać na komendę przy Uxbridge Road - oznajmił Gary. - Jakiś nadęty buc z wydziału przestępczości zorganizowanej zjawił się tam i zaczął rządzić. Mówi, że chce przejrzeć materiały sprawy. Muszę usadzić bezczelnego gówniarza, nim zdoła się zadomowić.

Ruszył do drzwi, a ja podążyłem za nim.

- Podrzucić cię? - spytał.

Zastanowiłem się. Byłem daleko od domu, a ostatni pociąg metra odjechał ponad godzinę temu. Łatwo byłoby się zgodzić. Ale miałem wiele rzeczy do przemyślenia i po dusznej atmosferze tego pokoju wolałem się przespacerować i odetchnąć świeżym powietrzem.

- Nie, dzięki - rzekłem. - Dam radę. Gary, informuj mnie, dobrze? Znam Asmodeusza lepiej niż ktokolwiek. Jeśli znajdziesz jakiś trop, możesz na mnie liczyć.

- To ma sens - odparł Gary już na schodach. - Bez urazy, Castor, ale wolę, żebyś to ty walczył z tym skurwielem, a nie któryś z moich chłopaków, czy nawet ja sam. Ty przynajmniej wiesz, w co się pakujesz. Jeśli cokolwiek znajdziemy, zadzwonię. Tylko, kurwa, nie wyłączaj komórki, co?

Rozstaliśmy się przed drzwiami i odszedłem, przeciskając się przez rzadniejący tłumek gapiów. Nie ma czego oglądać: jedynie ręka martwej kobiety w oknie, uniesiona jakby w pożegnalnym geście. Zapracowani chłopcy i dziewczęta Gary'ego pakowali swój cyrk, scena zbrodni szybko traciła atmosferę nowości. Jutro znów trzeba wstać do pracy.

Maszerując w górę Brixton Hill, starałem się analizować okoliczności śmierci Ginny, nie dopuszczając do siebie obrazu jej ciała, leżącego na podłodze niczym połamana zabawka. Nie udało mi się.

Po co Asmodeusz wrócił? Czemu zadał sobie tyle trudu, by ją znaleźć, a potem porozmawiać, nim ją zamordował? Czy przyszedł tu z zamiarem przeprowadzenia egzekucji, czy może już na miejscu zwyciężyła jego radośnie sadystyczna natura, znana mi aż za dobrze?

Noc była upalna i duszna, leniwy wiaterek niósł ze sobą smród kładzionego asfaltu, zagłuszający przyjemniejsze zapachy jedzenia dolatujące gdzieś z bliska: ktoś jadł na bardzo późną kolację pieczonego kurczaka i tym kimś nie byłem ja.

Może, ponieważ niedawno grałem na flecie, mój zmysł śmierci wciąż działał na pełnych obrotach? Zobaczyłem ducha siedzącego pośrodku drogi, z kolanami podciągniętymi pod brodę i ze zwieszoną głową. Trudno określić, czy należał do mężczyzny, czy kobiety: po jakimś czasie, o ile za życia nie dysponowało się wyjątkowo mocnym poczuciem własnej tożsamości, śmierć zaciera powierzchowne różnice. Zjawy stopniowo zaczynają się rozmywać - chyba że wcześniej dopadnie je ktoś taki jak ja i skasuje w jednej chwili.

U wylotu alejki, tuż przed skrzyżowaniem z Porden Road, stał znacznie młodszy duch: młody mężczyzna w wyblakłym błękitnym nylonowym dresie, prowadzący rozmowę, w której zapewne uczestniczył tuż przed śmiercią. Jego głos dobiegał do mnie niczym piskliwe brzęczenie komara. W piersi widniała ciemna dziura rozmiarów grapefruita.

Nieco dalej w drzwiach stara kobieta tuliła do siebie reklamówkę z Tesco. Nie musiałem się przyglądać, by stwierdzić, że nie żyje: tym razem jednak nie był to duch, lecz powstałe z martwych ciało, zombie. Otaczał ją smród rozkładu, ciężki jak zasłona.

Nic z tego nie wydało mi się dziwne. Londyn, podobnie jak reszta świata, od mniej więcej dziesięciu lat gościł u siebie całą armię chodzących i ożywionych zmarłych i podobnie jak reszta świata całkiem nieźle się do nich przystosował. Jeśli duchy nie wtrącają się w nasze sprawy, olewamy je, jeśli zaczynają się narzucać, wynajmujemy egzorcystę, by je przepędzić. Zombie lepiej omijać, chyba że to rodzina bądź bliscy przyjaciele. A na drzwiach domu warto zawieszać amulety, bo nocą po świecie krążą inne stwory, które nigdy nie żyły w tradycyjnym sensie tego słowa, a jak wiadomo przezorny zawsze mocno ubezpieczony.

Zatem owszem, tak właśnie wyglądało nowe *status quo*. A mnie pozwalało zarabiać na życie, byłbym więc hipokrytą, gdybym się na nie skarżał. Nie mogłem się jednak pozbyć podejrzania - i obawy - że *status quo* zaczyna się zmieniać. Może sprawił to jedynie pijacki sen o nowym dźwięku, którego nie zdołałem wydobyć z fletu, a może to, czego dowiedziałem się na osiedlu Salisbury o ludzkich duszach i o tym, że w odpowiednich warunkach mogą przeradzać się w demony, mniej więcej jak aksolotle w salamandry. Tak czy inaczej, w tym momencie ziemia pod stopami nie wydawała mi się całkiem pewna.

Zaprzątnięty głębokimi kwestiami metafizycznymi, jak ostatni debil zapomniałem o zachowaniu czujności.

Przechodziłem właśnie obok wysokiego muru otaczającego czyjeś podwórko, zwieńczonego ozdobną warstwą stłuczonego szkła, zniechęcającą przygodnych gości. I to ono dało mi jedyne ostrzeżenie. Coś się poruszyło - zaledwie drgnięcie w niemal nieprzeniknionym mroku na skraju widzenia - i usłyszałem lekki zgrzyt dobiegający z góry, gdy jeden z odłamków szkła odpadł. A potem wielki ciężar uderzył mnie prosto między łopatki i poleciałem naprzód, wprost na spotkanie chodnika.

W czasie upadku zdołałem obrócić się lekko, tak że uderzyłem o splekane szare płyty ramieniem zamiast twarzą. Niczego więcej jednak nie zdołałem. Straciłem oddech i sekundę później czyjś but rąbnął mnie w brzuch, pieczętując dzieło. Leżałem na ziemi skulony z bólu, próbowałem pozbierać rozbiegane myśli dostatecznie, by się poruszyć.

Obok głowy usłyszałem kroki.

- Widzisz? Widzisz to? - zabrzmiał szorstki głos. Właściwie w ogóle nie przypominał głosu, raczej kogoś próbującego zagrać melodię poprzez pocieranie o siebie dwiema piłami. - Nawet przy takiej pierdolonej pogodzie nosi płaszcz. Myślę, że w tym przypadku w grę wchodzi zabójstwo z litości.

Przed oczami ujrzałem ciężkie buty. Jeden z nich cofnął się do kolejnego kopniaka, dzięki czemu zdążyłem unieść rękę i przechwycić go, gdy się pojawił. Szarpnąłem i przekręciłem z nadzieją zwaleni napastnika z nóg, ale on wyrwał mi się, nim to nastąpiło. Zdążyłem jednak się przeturlać i dźwignąć naprzeciw niego na kolana z rękami wzniesionymi przed siebie *en garde*.

Asmodeusz uniósł głowę i wybuchnął śmiechem. Nie jest to dźwięk, którego chcielibyście słuchać z pełnym żołądkiem. Patrzył na mnie z pogardliwym rozbawieniem, lecz kiedy znów się odezwał, słowa tak bardzo kontrastowały z wyrazem jego twarzy, że ogarnęło mnie dziwne poczucie nierzeczywistości.

- Uciekaj, Fix - powiedział. - Na miłość boską, zwiewaj. Nie próbuj z nim walczyć!

Tym razem nie był to głos Asmodeusza, lecz Rafiego. Wstrząsnął mną, bo Rafiemu niemal nigdy nie udawało się przebić bez pomocy mojego fletu. W ich wymuszonym małżeństwie to Asmodeusz był stroną dominującą i dysponował wszystkimi związanymi z tym prawami i przywilejami.

Miał na sobie zupełnie inny strój niż wtedy, kiedy widziałem go ostatnio. To oczywiście: nie da się chodzić po Brixton w piżamie od Marksa & Spencera i liczyć na to, że nie zwróci się niczyjej uwagi. Skądś wykombinował sobie czarny strój - wysokie buty,

spodnie i za dużą koszulę rozpiętą do pasa, a pod nią siatkową podkoszulkę w stylu amerykańskich tanich macho. A może ciuchy z początku miały inny kolor i stały się czarne, kiedy włożył je demon?

Teraz krążył wokół, nie śpiesząc się. Twarz wciąż należała do Asmodeusza: czarne oczy bez białek, niczym otwory w materii świata, wyróżniały go dostatecznie, tak że nie potrzebował nawet szyderczej, złowieszczej miny. Jeśli nawet zdumiał go fakt, że Rafi na moment zapanował nad wspólnymi strunami głosowymi, nie pokazał tego po sobie.

- Myślisz, że zechce walczyć? - warknął. - A może odwróci się na pięcie i ucieknie? Jedno i drugie mi odpowiada, po prostu pytam. Jesteś jego przyjacielem. Jak sądzisz, co wybierze?

Asmodeusz przemawiał do Rafiego ponad moją głowę. Gdyby nie fakt, że chwilowo zajmowała mnie perspektywa nieuniknionej śmierci, mógłbym się poczuć urażony. Moja dłoń, kierowana odruchem, powędrowała do fletu, wiedziałem jednak, że mi nie pomoże. Nigdy nie zdołałem opracować pełnych egzorcyzmów dla Asmodeusza, choć próbowałem ze sto razy. Och, mogłem zagrać melodię, która zmieniałaby równowagę sił pomiędzy nim a Rafaelem Ditko, ale w żaden sposób nie zdołałbym wydobyć z fletu więcej niż paru dźwięków, nim demon wepchnąłby mi go do gardła.

Teraz uśmiechnął się, odbierając mój gest właściwie i najwyraźniej podziеляjąc moje zdanie co do szans w tym starciu.

- Zabawny jest, co? - wychrypiął, podejmując rozmowę z wewnętrznym słuchaczem. - Rozśmiesza mnie. Ma w sobie ducha Dunkierki. Żryj całe gównno, które Bóg zechce ci wepchnąć do gardła, ale nigdy się nie poddawaj.

Postąpił krok ku mnie. Wymierzyłem cios, który jednak nie dotarł do celu. Asmodeusz poruszył się szybciej niż wąż i odtrącił moją rękę.

- Zaczynj odliczać - powiedział - aż do zera. - A potem jego ręka wróciła i wałnął mnie otwartą dłonią w twarz.

Siła uderzenia obróciła mną tak, jak DJ obraca płytą. Ponownie wyładowałem na chodniku, w ustach czułem smak krwi, w uszach mi dzwoniło. Uniosłem mętny wzrok. Asmodeusz, nie śpiesząc się szczególnie, szedł ku mnie. Za nim w ciemności wyłoniły się reflektory, na moment zamieniając demona w czarną sylwetkę o srebrzystych zarzysach.

Zmusiłem się, by się poruszyć. Świadomość, że albo to zrobię, albo zginę, pomogła, lecz dzwonienie w uszach mnie rozpraszało, a palce nie chciały robić tego, co im kazałem. Ponownie sięgnąłem po flet i dobytek go w chwili, gdy za plecami demona pojawił się jaskrawoczerwony piętrowy autobus.

Asmodeusz patrzył na mnie z góry, kręcąc głową z udawaną litością i ze zdumieniem.

- Jak to mówią ludzie - zadrwił - jeśli masz tylko młotek, wszystko wygląda jak gwóźdź. A jeśli masz tylko flet, całe życie jest jedną wielką, pierdoloną melodią.

Schylił się, sięgając mi do gardła.

- Operą - poprawiłem. - Zmierzchem bogów, ty nadęty skurwielu.

Wbiłem mu flet parę cali w lewe oko i gdy ryknął z bólu i wściekłości, ze wszystkich sił rąbnąłem go stopą w brzuch.

Idealnie wyliczyłem czas. Asmodeusz cofnął się o dwa kroki, lecz niemal natychmiast odzyskał równowagę i nie upadł. Nie miało to jednak znaczenia, bo owe dwa kroki sprawiły, że zszedł z chodnika, trafiając wprost pod bliższe koło autobusu, i zniknął mi z oczu.

Autobus zatrzymał się z wizgiem opon. Za sobą ciągnął ciało, bezkształtny wór mięsa uwięziony pod błotnikiem i pozostawiający czerwono-czarne smugi na szorstkim, suchym asfalcie.

Do tego czasu zdążyłem już się podnieść i zacząć biec. Jedno spojrzenie przez ramię pokazało, że Asmodeusz też się porusza - jego ręce drżały słabo, gdy próbował dźwignąć strzaskane ciało z jezdni. Wiedziałem z doświadczenia, że żadne czysto fizyczne obrażenia nie powstrzymają na długo demona. Dla piekielnych pomiotów ciało jest jak ubranie i przywykły do ciągłych napraw. Asmodeusz potrzebował jednak paru minut, by odtworzyć utraconą masę ciała, i mogłem wykorzystać ten czas, żeby zniknąć.

Było mi przykro, że Rafi musi cierpieć wraz z demonem, i jeszcze bardziej z powodu biedaka za kółkiem, który nie dość, że przeżył wstrząs, przejechałszy pieszego, to jeszcze widział teraz, jak ów pieszy wstaje na nogi, podobny do stukilowego, siekanego kotleta. Czasami jednak robimy to, co musimy, zwłaszcza gdy karty rozdaje diabeł, a ten bezczelny drań, odkąd sięgałem pamięcią, zasiadał przy moim stoliku.

Biegłem ze spuszczoną głową, wymachując rękami i skrzętnie wykorzystując adrenalinę, która zalała mój organizm. Niech Bóg ma mnie w opiece, kiedy padnę, teraz jednak miałem połowiczne szanse, że dożyję tej chwili.

Zaryzykowałem szybkie spojrzenie w tył. Asmodeusz już biegł. Kołysał się jak pijak i zarzucało go na boki, ale miał znacznie więcej sił niż człowiek i co najmniej dotrzymywał mi kroku. Dalej z tyłu rozbrzmiewały wrzaski pasażerów autobusu, którzy zobaczyli, co powstało spod jego kół. Nie mieli się na co uskarżać: demon oddalał się od nich z każdą chwilą.

Na Baytree Road, gdzie zaczyna się ruch jednokierunkowy, Bóg zdecydował się uśmiechnąć do mnie - choć to cud, że przy niedziałających latarniach w ogóle wiedział, gdzie

mnie znaleźć. Zza zakrętu powoli wyłaniała się czarna taksówka ze świecącym kogutem. Taryfiarz musiał zablądzić: nikt nie przechadza się po Brixton Hill o drugiej nad ranem tylko po to, by zażyć świeżego powietrza, nie jest to także najciekawsze miejsce do szukania pasażerów. No, chyba że ktoś jest sprawny, gotowy i krąży po ulicach uzbrojony w wielgachną pałę.

Skoczyłem przed niego, unosząc wysoko ręce niczym debil na koncercie Neila Diamonda. Gość zahamował gwałtownie i zaczął przeklinać, ugryzł się jednak w język, gdy zamachałem mu pod nosem dwudziestką i krzyknąłem:

- Na północny brzeg rzeki! Gdzie pan tylko zechce!

Ze zboląłym ruchem głowy pokazał mi, żebym wsiadł, i dodaliśmy gazu, zmierzając na zachód.

Patrzyłem przez tylne okno, jak Asmodeusz znika w dali. Byłem bezpieczny. Mimo to, potrzebowałem niemal dziesięciu minut, by przestać się trząść. Wcześniej kilka razy patrzyłem śmierci w twarz, ale wygląda to nieco inaczej, jeśli owa twarz należy do najlepszego przyjaciela. Coś takiego wstrząsa człowiekiem na zupełnie innym poziomie. Z najwyższym trudem opanowałem też oddech i uspokoiłem serce, z całych sił tłukące o żebra. Byłem niczym maratończyk, który dotarł do dwudziestej mili, a smród samochodowej tapicerki, wzmocniony przez długi upalny wieczór i złożony w równych częściach z potu, dymu papierosowego i tanich perfum, też nie pomagał.

I tak dzisiejsze wydarzenia, nieważne jak na nie spojrzeć, cuchnęły gorzej niż jakakolwiek taksówka na świecie.

Na drugim brzegu mateczki Tamizy, w Vauxhall, kazałem taksówkarzowi skrócić w prawo w Millbank, gdzie Nowa Partia Pracy miała swoje biura w dobrych dawnych czasach, nim zaczęli wykorzystywać - bez najmniejszego poczucia ironii sytuacji - tańszą siłę roboczą dostępną w North Shields. W niszczącym wieżowcu płonęły światła, lśniące słabo i nieco złowieszczo w niespokojnym mroku nocy: może to duchy Tony'ego Blaira i Gordona Browna, wciąż próbujące rozstrzygnąć dawne spory, niczym myśliwski ogar i dzik w zakamarkach taniej wieczności?

Taksówkarz wysadził mnie na zachodnim krańcu Strandu, niedaleko Cockspur Street. Na liczniku miał osiemnaście funtów. Przyjął dwudziestkę z nadętą miną, wyraźnie uznawszy, że zabranie z Brixton o tej porze nocy zasługuje na wyjątkowy napiwek. Byłem skłonny się zgodzić, ale że nie miałem przy sobie nic więcej, byłaby to zgoda czysto akademicka. Odjeżdżając, wymamrotał coś pod nosem: zważywszy na okoliczności, zapewne nie odbiegało to zbyt od prawdy.

Wędrówka z centrum miasta na Turnpike Lane zabrała mi ponad godzinę. Potrzebowałem tego czasu, by się zastanowić, choć moje myśli krążyły wciąż wokół tego samego. Asmodeusz zabił Ginny, a następnie kręcił się w pobliżu miejsca zbrodni dość długo, by wyczuć mój zapach i zaatakować mnie. Co on, do diabła, kombinował? Przez większość pobytu Rafiego u Stangera pozostawaliśmy w nietypowym związku, gdzieś między miłością a nienawiścią. Asmodeusz wiedział, komu ma dziękować za swoje ludzkie kajdany, i z niezwykłą radością ukreśliłby mi głowę i napluł do gardła. Wiedział też jednak, że zabijając mnie, odetnie sobie możliwą drogę ucieczki, toteż zazwyczaj zadowalał się subtelniejszymi formami zemsty. Tylko raz na poważnie próbował mnie zabić: wtedy, gdy był przekonany, że sataniści Fankego znów go uwolnią dzięki rytuałowi i złożeniu ofiary z dziecka.

Czy to był właśnie wspólny element? Ginny. Fanke. Kościół satanistyczny. Czyżby Asmodeusz znów zabrał się do roboty, próbując skrócić swój dożywotni wyrok? A może po prostu porzucił nadzieję, że zdołam znaleźć muzyczne sito, które oddzieli demona od człowieka? Tak czy inaczej, dla mnie oznaczało to kiepskie wieści.

W Somers Town minąłem grupkę zombie, skulonych wokół ogniska, które rozpalili w wiecznie zamkniętym wejściu opuszczonego podziemnego garażu. Widok był żalospny, bo ogień w żaden sposób nie zdoła ich ogrzać: nerwy w górnych warstwach skóry obumierają jako pierwsze. A że noc wciąż trzymała się kurczowo dziennego upału, niczym kochanek złakniony spoconych objęć, z pewnością było to jedyne ognisko płonące tej nocy w Londynie. Duchowa pociecha dla zmarłych.

Zombie mają kiepską prasę w filmach, powieściach grozy i komiksach, ale ja zawsze umiałem się z nimi dogadać. Duchy czasami bywają męczące. Poltergeist to duch utkany jedynie z długo tłumionej i rozbudzonej złości i może wyrządzić wiele szkód, zanim ściągnie się kogoś takiego jak ja, by uciszył te uczucia u ich źródła. Jednakże biedacy powracający w ciele powierzyli swój los tonącym statkom i z kilkoma znaczącymi wyjątkami są potulni jak baranki. Kto szukałby kłopotów, gdy jego ciało i tak się rozpada i nie może samo się naprawić? Lepiej siedzieć na tyłku i rozmyślać o ostatniej wąskiej półce, z której wkrótce się spadnie, i o tym, co począć, kiedy stanie się zbyt wąska, by nas utrzymać.

Ci goście nie wyglądali na kłopotliwych. W sumie było ich około tuzina, a słowa „goście” używam w sensie ogólnym: pod względem płciowym była to grupa mieszana. W gorącym, wilgotnym powietrzu śmierdziali jak lodówka po trzech dniach wyłączenia prądu, poza tym jednak niczym mnie nie urazili.

- Masz może funciaka, szefie? - spytała jedna z kobiet, unosząc rękę.

Gdybym miał, rzuciłbym go przez ramię i szedł dalej. Niestety, taksiarz pozbawił mnie

resztki funduszy, nie miałem zatem łatwego wyjścia.

- Przykro mi, skarbie - odparłem, wbrew sobie zwalniam krok. - Jestem splukany.

Popatrzyła na mnie jednym okiem, drugi oczodół wypełniała mlecznobiała maź, której starałem się nie przyglądać zbyt uważnie.

- W porządziu, skarbie - rzekła z rezygnacją. - Dobrej nocy.

Nagle odwróciła wzrok, jakby widok mojej twarzy za bardzo bolał.

Jeden z pozostałych żywych trupów przejął pałeczkę i obdarzył mnie naprawdę upiornym uśmiechem.

- A może plastik, brachu? Przyjmujemy wszystko oprócz American Express.

W grupie nieumarłych rozległ się głuchy chichot, niczym szmer wiatru w suchej, trawie.

Teatralnym gestem wywróciłem kieszenie.

- Jedyne, co różni mnie od was, to puls - oznajmiłem. - Ale często tędy chodzę. Kiedy będę przy forsie, znów zajrzę.

- Jasne, że tak - przytaknął ironicznie jeden z zombie.

Do tego czasu już się zatrzymałem. To z czysto towarzyskich względów stanowiło błąd, bo kiedy już raz się stoi, jak można znów ruszyć w drogę, nie wychodząc przy tym na samolubnego, ciepłokrwistego fiuta, który myśli o zmarłych w ten sam sposób, w jaki rasiści myślą o ludziach innego koloru skóry: jako o członkach obcego gatunku?

- Na co wydajecie pieniądze? - spytałem dla podtrzymania rozmowy.

Chodzący zmarli nie jedzą ani nie piją: nie mają enzymów trawiennych, rozkładających pożywienie, ani krwi, która roznosiłaby przetrawioną ucztę po mrocznych komnatach ich ciał.

- Amulety - odpowiedziała kobieta, która pierwsza mnie zagadnęła. Mówiła szorstkim głosem, z napięciem, jej twarz, wciąż częściowo odwrócona ode mnie, nie wyrażała niczego.

- Amulety i zaklęcia.

Zaśmiałem się.

- No tak - mruknąłem - boimy się duchów, co?

Teraz znów popatrzyła na mnie, podobnie pozostali.

- Nie duchów, brachu - rzekł jeden z facetów.

Loup-garou? To miało jakiś sens, choć potrzeba by bardzo zdesperowanego wilkołaka, by połakomił się na to mięso.

Ich spojrzenia nadal skupiały się na mnie. Kobieta wysunęła ręce do ognia, w bezsensownym, żalonym geście, niczym pogrążona w żałobie matka śpiewająca kołysankę

lalce nieżyjącego dziecka. Ogień stanowił jedynie wspomnienie czegoś, co kiedyś miała i czego nigdy już nie poczuje.

- Istnieją inne rzeczy prócz włochatych stworów - wymamrotała. - Z każdym dniem pojawia się ich coraz więcej. Przychodzą w nocy, kręcą się dokoła. Niektóre nawet świecą. Nie wiem, czym są ani skąd pochodzą, ale nie chcę, by podkładały się do mnie w ciemności, to pewne.

Ze wszystkich stron zawtórowały jej zgodne pomruki. Nagle w mojej głowie pojawiło się wspomnienie: tasiemcowate wstęgi nicości opływające mnie, gdy siedziałem na chodniku pijany w trzy dupy i próbowałem zagrać nowy dźwięk usłyszany w nocy.

- Świat się zmienia - oznajmił kolejny z zombie, jego głos brzmiał niczym straszliwie przedłużony, ostatni charkot. - Już nas tu nie chce.

- Nigdy, kurwa, nie chciał, brachu - dodał ponuro któryś z mężczyzn. - Jesteśmy tylko resztkami. Odsuniętymi na bok talerza.

- Ale przecież do każdego czasem uśmiecha się szczęście - odpowiedziałem idealnym banałem.

Pogrzebałem w kolejnej z wielu pojemnych kieszeni płaszcza i wyciągnąłem coś, co mogło ich pocieszyć - pół butelki mieszanej szkockiej. Podałem ją kobiecie, która spojrzała na flaszkę z uroczystą aprobatą. Choć mówiłem, że zmarli nie mogą jeść ani pić, niektórzy i tak to robią, mimo że wiedzą, że jedzenie pozostanie, gnijąc, w ich żołądku, przyspieszając znacząco tempo rozkładu. Inni, jak mój przyjaciel Nicky, piją bukiet wina, czerpiąc z niego osobliwą przyjemność.

- Dzięki, psze pana - powiedziała nieboszczka. - Prawdziwy z pana skarb.

- Uważaj na siebie - odparłem, zapewne co najmniej miesiąc za późno, i ruszyłem niezbyt radośnie w dalszą drogę.

Pen nie tylko jeszcze nie spała, ale krążyła poza domem i, kipiąc ze złości, sprawdzała grządki kwiatowe pod parterowymi oknami.

- Popatrz tylko - rzekła, gdy się zbliżyłem, zupełnie jakbyśmy nigdy nie przerywali rozmowy. - Zasadziłam te tulipany zaledwie wczoraj wieczorem, a coś je zdeptało. Niczego nie można ochronić. Zupełnie niczego.

W tym momencie ucieszyłem się z zupełnie zwyczajnego tematu rozmowy.

- Mogłabyś uspać dokoła krąg soli - podsunąłem. - To właśnie robił mój tato, by powstrzymać koty przed szczaniem nam do piwnicy z węglem.

Pen głośno wypuściła powietrze. Nie znosi, kiedy zacieram kruchą granicę między ludową magią a bzdetami.

- Poważnie? - dodałem. - Stoisz w ogrodzie w środku nocy, bo coś połamało ci tulipany?

Spojrzała na mnie i pokręciła głową.

- Nie - przyznała. - Rysuję dodatkowe blokady. - Pokazała mi kawałek białej kredy w dłoni.

- Te na drzwiach i oknach nie wystarczą?

- Jak dotąd wystarczały. Teraz... sama nie wiem. To dziwne, Fix. Mamy ciepłą noc, prawda?

- I to bardzo.

- A jednak nie mogę przestać się trząść, wszystko wydaje się nie takie jak trzeba. Jest tak odkąd...

Nie musiała kończyć. Wedle niewypowiedzianej umowy, wszystkie niedopowiedziane zdania mogły odnosić się do nocy ucieczki Asmodeusza. Być może chciała dodać coś jeszcze na temat swoich odczuć, lecz w tym momencie znalazłem się w plamie światła padającego z otwartych drzwi. Pen sapnęła głośno, patrząc na moją sfatygowaną twarz.

- O mój Boże. - W jej głosie dźwięczały wstrząs i współczucie. - Co się stało? Nie stój tak, durniu, chodź do środka, niech ci opatrzę te skaleczenia.

Pchnęła mnie w stronę domu, pozostawiając ślady kredy na rękawie płaszcza.

- Biłem się - oznajmiłem, stawiając opór tylko dla utrzymania pozorów.

- Z czym? Kombajnem?

Zawahałem się. Wcześniej czy później będę musiał powiedzieć Pen o tym, co się zdarzyło, lecz, biorąc pod uwagę jej nastrój, gdybym uczynił to w tym momencie, zagwarantowałbym jej nieprzespaną noc.

- To tylko kłótnia, która wyrwała się spod kontroli.

- Na miejscu zbrodni Coldwooda? - Pen nie wydawała się przekonana.

- No cóż, część zieloniutkich jak szczypioerek na wiosnę konstabli wciąż musi się dotrzeć...

Nie naciskała, ponieważ jednak wiedziała, że kłamię, zrezygnowała z propozycji opatrunku. Zamiast tego wręczyła mi żółtą karteczkę. Widniały na niej słowa:

Sue Book, 10.30. Oddzwoń jeszcze dzisiaj, jeśli możesz.

Nie mogłem. Nie teraz. Owszem, Sue dzieli łożę z seksdemonem, ale jest także skromną, nieśmiałą bibliotekarką i jak większość przeciętnych, przyzwoitych ludzi, pracuje

od dziewiątej do piątej. Gdybym zadzwonił o trzeciej nad ranem i wyrwał ją ze snu, miałbym do czynienia z ostrym językiem Juliet. A choć nie brzmi to tak źle, język Juliet jest w stanie przeciąć stalową płytę.

- Brzmiała, jakby płakała - powiedziała Pen.

Kruk Arthur sfrunął z poręczy i zajął swe stałe miejsce na jej lewym ramieniu.

Sue? Płakała? To niepokojące.

- Ktoś jeszcze? - spytałem.

Pen pokręciła głową.

- W takim razie położę się. No, chyba że chcesz przygotować jeszcze trochę znaków ochronnych. Mogę się tym zająć, daj mi tylko drugi kawałek kredy.

Pen parsknęła.

- Jakbym ufała twoim zaklęciom. Wiem, że moje działają. O twoich wiadomo mi tylko, że z pewnością roiłoby się w nich od błędów. Dobranoc, Fix.

Jej życzenie niezupełnie się sprawdziło. Długi czas nie mogłem zasnąć. Noc była gorąca jak palenisko, a łaknienie wódki wciąż wywoływało mdłości w żołądku i mrowienie w nerwach.

Kiedy w końcu zasnąłem, dręczyły mnie niepowiązane ze sobą chaotyczne sny. Pies drapiący suche, stare ogrodzenie; rzeźnik ostrzący wielki nóż o skórzany pasek i od czasu do czasu przypadkowo kaleczący sobie ręce jego szpikulcem; stary gramofon, grający samotnie w ciemnym, pustym pokoju: z tuby wydobywały się tylko skrobania i szумы, bo piosenka już dawno się skończyła.

Jakiś czas przed świtem otworzyłem oczy, wciąż dryfując na falach snu. Co to za dźwięk? - zastanawiałem się tępo. To jednak był świat jawy i uporczywe skrobanie, które towarzyszyło mi we wszystkich uliczkach snów, obecnie rozbrzmiewało dokładnie nad moją głową.

Coś siedziało na dachu.

Mój pokój mieści się na poddaszu, od świata zewnętrznego dzieli go jedynie warstwa tynku, gipsu i łupku. Cokolwiek się tam poruszało, było dość blisko, by pobudzić mój zmysł śmierci w synestetycznej kakofonii urywanych, dysonansowych dźwięków. To nie kot wyprawił się na nocną wycieczkę po dachu. To jeden z umarłych, nieumarłych albo tych, którzy nigdy nie żyli.

Zareagowałem odruchowo, wygwizdując kilka owych urywanych dźwięków. Wiem doskonale, że flet, który noszę przy sobie, stanowi jedynie wzmacniacz czegoś tkwiącego wewnątrz mnie: w razie konieczności mogę działać bez prądu, i to właśnie teraz robiłem.

Drapanie ustało. Usłyszałem stłumiony stukot, a potem serię szelestów. Wskoczyłem z łóżka, podążając ich śladem, przecinając wraz z nimi pokój wokół krzesła, na które rzuciłem ciuchy, aż do otwartego okna.

Martwy stwór dotarł tam przede mną. Zeskoczył z dachu na szeroki parapet, przez moment widziałem wyraźną sylwetkę wielkości i kształtu człowieka, a potem, po ułamku sekundy postać napięła mięśnie nóg i odskoczyła w tył, robiąc salto i znikając mi z pola widzenia.

W ciągu tej sekundy patrzyłem w twarz Rafiego - wykrzywioną grymasem agonii, z otwartymi ustami, jakby wyrzucał z siebie ciągły strumień krzyków w zakamarek nocy, do którego nie miałem dostępu.

ROZDZIAŁ 4

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?! - krzyknęła Pen jakiś czwarty czy piąty raz.

- Zamierzałem - zaprotestowałem. - Poważnie, Pen, zamierzałem ci powiedzieć, ale... byłaś zmęczona i zdenerwowana, więc pomyślałem...

- Nie oszczędzaj mi bólu, Fix! - Stała przede mną, zeszywniała z wściekłości, zaciskając pięści, jakby zamierzała mnie walnąć. - Nigdy niczego przede mną nie ukrywaj, myśląc, że oszczędzisz mi bólu, bo nie wiesz nawet, do ciężkiej cholery, kiedy czuję ból!

Według kuchennego zegara, była czwarta rano, od mojego przelotnego spotkania z Asmodeuszem minęło zaledwie dziesięć, piętnaście minut, toteż jeszcze przez parę godzin nie mogliśmy się spodziewać wschodu słońca. Noc wydawała się nieuczciwie, niewiarygodnie długa. Niekończąca się seria pokręconych wydarzeń nabierała powoli aury jednego z owych przejmujących koszmarów, które z czasem tracą wszelką wewnętrzną logikę, lecz nawet gdy się budzimy, przez cały dzień czujemy na sobie gnijące odciski ich palców.

- Zgoda. - Potarłem oczy grzbietem dłoni. Miałem wrażenie, że ugotowały mi się w oczodołach.

Oparłem się o ścianę w poszukiwaniu niezbędnego wsparcia, ale na razie nie miałem ochoty siadać, bo każdy nerw mego ciała wciąż próbował podjąć decyzję - walczyć czy uciekać - i spierał się w tej kwestii ze swymi sąsiadami.

- Masz rację. Wiem, że masz rację. Przepraszam. - Ustępliwa odpowiedź ma zwykle za zadanie wybawić nas z tarapatów, i w moim przypadku zazwyczaj nieźle się sprawdza, bo rzadko z niej korzystam.

Teraz jednak Pen najwyraźniej potraktowała moje poddanie jako obrazę dorównującą pierwotnemu występki. Musiała się z kimś pokłócić, a ja nie pomagałem.

- Ty... draniu! - wybuchnęła i uderzyła mnie mocno w ramię.

Kiedy tańczyłem z diabłem w Brixton, moje ramię porządnie ucierpiało, a Pen ma więcej siły, niż można by przypuszczać, sądząc po jej drobnej figurze. Zacisnąłem jednak zęby i zniosłem to jak mężczyzna.

Tupiąc głośno, podeszła do zlewu i jakiś czas hałasowała tam, trzaskając naczyniami. Myślałem, że może parzy kawę albo przygotowuje smaczny i pożywny posiłek, złożony z okruchów dietetycznych sucharów i żądy krwi, ale nie dostrzegłem żadnych widocznych

rezultatów: jedynie garnki, rondle, talerze i sztucce przesuwane z punktu A do punktu B, a w niektórych przypadkach z punktu B z powrotem do punktu A.

Po paru minutach nie przesuwaly się już tak szybko i często, a potem znieruchomiały, lecz Pen nadal tkwiła odwrócona do mnie plecami i milczała.

- Jak wyglądał? - spytała w końcu ledwie słyszalnym szeptem.

- Był... To był... głównie Asmodeusz - odparłem, bardzo starannie dobierając słowa. - To znaczy, Rafi wciąż gdzieś tam tkwił, ale to Asmodeusz siedział za kółkiem i, no wiesz... za pierwszym razem mnie zaatakował. Za drugim widziałem go tylko przez moment. Nie mieliśmy szansy pogadać.

Trudno jest zbajerować kogoś, kto zna nas tak dobrze, jak Pen mnie. Odwróciła się i zmierzyła mnie ponurym spojrzeniem, zaciskając dłonie na stalowej krawędzi zlewu, niczym bokser w swym narożniku, czekający na dzwonek oznaczający rozpoczęcie kolejnej rundy.

- Wyglądał na nieszczęśliwego. - Grałem na czas.

- Mów dalej.

- Wyglądał, jakby był w pełni świadomy i całkowicie podporządkowany Asmodeuszowi.

Pen się wzdrygnęła. Oto najgorszy scenariusz: dla Rafiego oznaczało to, że nie tylko widział, lecz także doświadczał wszystkiego, co robił demon. Istniało jednak coś jeszcze gorszego i musiałem to powiedzieć, bo gdybym poczekał do rana, przyjęłaby to jeszcze mniej chętnie.

- Pen - zacząłem - musisz stąd zniknąć.

Jej oczy rozszerzyły się i wciągnęła głośno powietrze.

- Co?

- Tylko na jakiś czas. - Uniosłem rękę w uspokajającym geście. Już miałem położyć ją na jej ramieniu, ale zmieniłem zdanie. - Na parę dni, dopóki to wszystko się nie skończy. Dopóki nie zdołamy go odnaleźć.

Ostatnie trzy słowa zabrzmiały dokładnie jak bezwstydną bajer, którym przecież były, pomijający cały proces pokonania demona, schwytania go bez zrobienia krzywdy Rafiemu i umieszczenia z powrotem w miejscu, w którym można go opanować. Chwilowo nie miałem pomysłu, jak dokonać którejkolwiek z tych rzeczy, nie zmieniało to jednak sytuacji, toteż uparcie parłem naprzód, próbując ją przekonać.

- On próbuje nas zabić. Nie wiem dlaczego, skoro od tak dawna stąpa po cienkiej czerwonej linii, lecz teraz pragnie krwi i wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo, póki znów nie znajdzie się w zamknięciu.

- Tego nie wiesz - warknęła gniewnie Pen. - Przyszedł do ciebie. Dwa razy. To nie znaczy, że chce zrobić krzywdę mnie.

Odetchnąłem głęboko i skrzywiłem się, bo żebra także miałem poobijane i cholernie obolałe.

- Kobieta, którą zabił w południowym Londynie, nazywała się Ginny Parris. Była związana z Rafim mniej więcej w czasie, gdy na dobre zajął się czarną magią. Pomagała mu, bo też należała do tych kręgów. Ale byli także kochankami, Pen. I z jednego z tych powodów, a może nawet obu, dziś wieczór odwiedził jej mieszkanie, pogawędził chwilę o dawnych czasach, a potem zamordował ją nogą od stołu.

Na Pen moje słowa nie zrobiły szczególnego wrażenia. Spojrzała mi prosto w oczy.

- Zatem związek jest chyba wyraźny? Ta kobieta pomogła Rafiemu dokonać przywołania. Ty próbowałeś egzorcyzmować Asmodeusza. Chodzi o ludzi, którzy byli tam tej nocy. To ich ściga.

- Nie - odparłem beznamiętnie. - Nie tylko. - Teraz zaczynało się najtrudniejsze, ale musiałem spróbować. - Kiedy walczyliśmy, Asmodeusz cały czas gadał. Szydził. Żartował.

- Zawsze tak robi, Fix.

- Wiem. Ale powiedział coś, co utkwilo mi w głowie, bo z początku tego nie rozumiałem. Powiedział: „Zacznij odliczać aż do zera”. Zabrzmiało to dziwnie. Jakby abstrakcyjnie w zestawieniu z „Nakarmię cię zaraz własnymi flakami”. Pomyślałem sobie... Może miał na myśli operację chirurgiczną, kiedy to anestezjolog każe ci odliczać od dziesięciu i zasypiasz, dochodząc do siedmiu? Podobny czarny humor to coś bardzo w stylu Asmodeusza.

Pen nadal patrzyła na mnie bez słowa. Wiedziała, że jest coś jeszcze.

- Ale teraz, po tym, jak się tu zjawił, kiedy zobaczyłem, jak zeskakuje z dachu, uświadomiłem sobie coś jeszcze. Coś, co powinienem był zapewne zarejestrować wcześniej. Kiedy walczyliśmy, Asmodeusz nie mówił do mnie. Rafi, owszem, kazał mi uciekać. Jednak Asmodeusz cały czas używał trzeciej osoby: „Zabawny jest. Rozśmiesza mnie”. Ani razu nie zwrócił się do mnie, cały czas mówił do Rafiego. Więc to Rafiemu kazał odliczać, nie mnie. Odliczać do zera. Jestem niemal pewien, że miała to być groźba bądź obietnica.

Tym razem położyłem jej dłoń na ramieniu i pochylilem się tak, że nasze twarze niemal się zetknęły. Musiałem ją przekonać. Musiała zrozumieć.

- Chciał powiedzieć: „Stracisz wszystkich swoich przyjaciół, jednego za drugim. Załatwię każdego, kto kiedykolwiek coś dla ciebie znaczył, aż w końcu nie zostanie nikt”. Pen, skąd w ogóle wiemy, że zaczął od Ginny? Możliwe, że zajmował się tym, odkąd uciekł

od Imeldy. Miał dość czasu, by przerobić całą książkę adresową Rafiego. Wolę nie myśleć, co znajdziemy, kiedy zaczniemy to sprawdzać. I nie chcę, żebyś ty była następna.

Pen odtrąciła moją dłoń i na moment lekko oparła mi palce na piersi, nie odpychając, lecz ostrzegając, bym zachował dystans.

- Nie obchodzi mnie to - oznajmiła. - Zostaję.

- Powtarzam ci, nie przyszedł tylko po mnie. Kręcił się tu wcześniej, to oczywiste. To pewnie on podeptał ci tulipany. Jeśli postanowi...

Pen przerwała mi:

- Nie twierdzę, że ci nie wierzę, Fix. Po prostu mówię, że zostaję.

Cóż, nim jeszcze zacząłem argumentację, wiedziałem, że będzie ciężko. Otworzyłem usta, by zaatakować kolejną falą elokwencji, ona jednak nie skończyła.

- Gdyby Asmodeuszowi chodziło o mnie, dlaczego kręciłby się po dachu, skoro mieszkam w pieprzonej piwnicy? Znasz odpowiedź równie dobrze jak ja. To dlatego, że umieściłam zaklęcia ochronne na wszystkich oknach, drzwiach i ścianach tego domu. Najmocniejsze są na poziomie ziemi, bo tam właśnie je rzucałam, ale działają aż do komina - w przeciwnym razie obudziłbyś się i zastał Asmodeusza siedzącego ci na kolanach. Dziś załatwię pokoje na górze i poddasze. Potem zacznę na zewnątrz. Oddalając się od domu, zabezpieczę podjazd i ogród. Będę umieszczając blokady co cztery, pięć stóp. Nie zdoła zbliżyć się do nas na sto metrów.

- Pen, nie możesz żyć jak pustelnica - przypomniałem. - Czasami musisz wychodzić.

- Sam mówiłeś, że to potrwa tylko parę dni. Parę dni mogę spędzić w domu. I tak pracuję przez telefon, więc to nic trudnego.

- Parę dni to tylko domysł - zaprotestowałem. - To może potrwać tygodnie, nawet miesiące. Po prostu nie wiemy.

- Zostaję - powtórzyła Pen. - Nie próbuj mnie przekonać, Fix. Jeśli Rafi mnie potrzebuje, chcę, żeby wiedział, gdzie mnie znaleźć. A jeżeli zjawi się Asmodeusz, nie boję się go.

Nie boi? Ja byłem kurewsko przerażony i wcale nie obchodziło mnie, kto to zauważy. Widziałem, do czego jest zdolny ten skurwiel.

Kiedy słońce wzeszło, za pomocą rozkładanej drabiny, którą podwędziłem z budowy na końcu ulicy, wspiąłem się na dach. Byłem niemal pewien, że zdążę odstawić drabinę na miejsce, zanim zjawią się pierwsi robotnicy.

Siedząc na brzegu dachu, przyjrzałem się uszkodzeniom. Opowiadały ciekawą historię. Demon przejechał po nich paznokciami, odrywając kilka dachówek, a w reszcie

zostawiając głębokie rysy. Nie tłukł w nie jednak pięściami ani nie próbował zerwać. Pen miała rację, mówiąc, że gdyby w grę wchodziła wyłącznie siła, zdołałby się przebić, nawet nie mrugnawszy okiem. Zatem to, co go powstrzymało, nie miało nic wspólnego z fizycznymi właściwościami łupku, drewna i ołowiu. Blokady Pen pozbawiły jego ręce siły, a zimne, twarde serce - woli walki.

To niewątpliwie wyróżniało je spośród innych znanych mi czarów. W St. Albans, kiedy postanowiłem dopaść przywódcę Anathematy, ojca Thomasa Gwillama, przy zbrojnej asyście Juliet, widziałem, jak mój ulubiony sukub przechodzi przez drzwi zabezpieczone kilkunastoma blokadami. Sprawily jej ból, ale nie zatrzymały. Widziałem także, jak przechodzi przez zaklęcia Pen, i to dziesiątki razy, choćby ostatnio, kiedy przyniosła mnie do domu po jednej z nocy epickiego pijaństwa. Jediną różnicę stanowił fakt, że demon, przed którym chronila nas Pen, był pasażerem w ciele jej dawnego kochanka. Warto to przemyśleć. Może nie wszystkie magiczne środki ochronne są sobie równe: może, podobnie jak w fizyce kwantowej, obserwator stanowi część systemu.

Kiedy zszedłem na dół, przygotowałem spis ludzi, których powinienem zawiadomić - ludzi, którzy znali Rafiego w college'u i być może są na liście potencjalnych ofiar Asmodeusza, a także tych, których przedstawił mi później, podczas jednego z naszych rzadkich spotkań. Numerów niektórych nie znałem, a te, które miałem, nie zawsze okazywały się aktualne, kiedy w końcu ktoś podniósł słuchawkę. Przekazywałem jednak wiadomość (nie wychylajcie się, zamykajcie drzwi i okna, nie rozmawiajcie z nieznanymi) i prosiłem każdego, do kogo zdołałem dotrzeć, by powiadomił innych znajomych bądź przyjaciół Rafiego, zarówno w Londynie, jak i w Oksfordzie.

Tyle że Rafi urodził się w Pilźnie, w Republice Czeskiej i nie miałem pojęcia, czy nie zostawił tam całej, sporej rodziny. Czy Asmodeusz ich także zaatakuje? Możliwe, że nie będzie miał ochoty. Demony to moce chtoniczne, niezbyt dobrze reagują na podróże lotnicze: kiedy Juliet raz spróbowała przelecieć się samolotem, załatwiło ją to na kilka dni. Owszem, Asmodeusz mógłby pojechać autobusem bądź pociągiem, ale to długa droga, a większość znanych mi demonów nie znajduje upodobania w przyjemnościach, na które trzeba czekać. Istniała zatem spora szansa, że - zakładając, że w ogóle miałem rację co do jego planów - Asmodeusz zacznie od najbliższych sobie celów.

Mimo wszystko, mógłbym poprosić Nicky'ego Heatha, mojego ulubionego nieboszczyka, by wydłubał z sieci wszelkie dostępne informacje o rodzinie Rafiego, a może nawet skombinował parę numerów telefonów. Tak czy inaczej, musiałem spróbować: ciężar karniczny, który i tak już dźwigam z powodu całej tej pierdzielonej sprawy, jest dość ciężki,

by połamać mi połowę żeber, i zdecydowanie wolałbym nie dodawać do niego nowych.

Nicky nie lubi rozmawiać o szczegółach przez telefon. Jego paranoja swoją głębią dorównuje Rowowi Mariańskiemu, toteż preferuje przyjmowanie zleceń twarzą w twarz. To oznaczało pielgrzymkę do Walthamstow, do opuszczonego kina, które czule odnowił i w pełni wyposażył dla jednoosobowej widowni. Nie lubię siedzieć tam zbyt długo: wystrój jest super, ale w swej zombiowości Nicky uważa, że temperatura trzech stopni Celsjusza to już przyjemne ciepłko.

Najpierw zadzwoniłem do Gary'ego Coldwooda i poinformowałem o nocnym pojedynku na pięści z Asmodeuszem. Ze współczuciem spytał mnie o zdrowie, ale co do sprawy wyrażał się dziwnie mętnie.

- Rozmawiałem z jakimiś piętnastoma czy dwudziestoma osobami - oznajmiłem - żeby powiadomić je o tym, co spotkało Rafiego, i ostrzec, że może je odwiedzić. Ale część zapewne wzięła mnie za świra. Z ust gliniarza przyjęłoby to lepiej, a poza tym, zapewne zdołałbyś zdobyć nowe numery części pozostałych osób. Chcesz dostać listę?

- Gdzie teraz jesteś? - spytał Coldwood, zamiast odpowiedzieć.

- U Pen, ale nie zostanę długo. Sue Book od paru dni próbuje się ze mną skontaktować i muszę się z nią zobaczyć.

- Sue Book?

- Miłość życia Juliet.

Gary mimo woli głośno wypuścił powietrze, w odgłosie ni to westchnienia, ni sapnięcia. Zawsze reagował tak samo, gdy przypominał sobie orientację seksualną Juliet. Nie jest homofobem, po prostu fakt, że nie ma u niej szans, sprawia mu autentyczny ból.

- No to, gdzie będziesz za parę godzin? - spytał.

- Najpewniej w Willesden Green. Sue pracuje tam w bibliotece.

- Dobra. Znasz Cafe Costella przy Dudden Hill Lane?

- Znajdę.

- Zadzwoń do mnie, kiedy skończysz. Spotkamy się tam. Jeśli Asmodeusz nie zostawi ci choćby kawałka twarzy, włóż czerwony kwiatek w klapę, żebym cię rozpoznał.

Odpowiedziałem komentarzem, w którym zgrabnie łączyły się kłapy i dupy i rozłączyłem się z bezczelnym draniem.

Kiedy ruszyłem dziwacznie wybrukowaną ogrodową ścieżką Pen, coś w tylko po części opanowanym gąszczu obok przyciągnęło mój wzrok. Może nadal miałem w pamięci zdeptane tulipany, a może mój zmysł śmierci wychwycił echo tego, co tam ukryto. Tak czy inaczej, nim zdążyłem się zastanowić, co właściwie robię, ukląknęłam i rozgarnęłam żdźbła

wysokiej afrykańskiej trawy.

Na ziemi tuż obok ścieżki leżał płaski kamień. Neutralnym szarym kolorem przypominał granit, lecz połyskiwał lekko. Na płaskiej powierzchni ktoś wymalował czerwoną farbą pentagram.

Podniosłem kamień i obejrzałem uważnie. Znakomita robota: cienkie linie, idealnie proste i równomiernej grubości. Liczył sobie najwyżej dziesięć, piętnaście centymetrów, toteż otaczające go litery były maleńkie, ale nadal czytelne: widniały tam imiona Samael i Lilith, a także trójki ich bliskich kuzynów. Pośrodku wypisano jedno słowo złożone z czterech symboli aramejskich:

י ל ל ה

Oduściłem sobie oglądanie „Pasji”, bo ktoś zaspoilerował mi zakończenie, toteż w dzisiejszych czasach mój aramejski solidnie zardzewiał. Gdyby to była greka, pewnie coś bym skumał, ale od cholernych protohebrajskich alfabetów, w których każdą literę przedstawia siedem różnych kształtów w zależności od pozycji w zdaniu, natychmiast boli mnie głowa. Pewne rzeczy jednak potrafię stwierdzić od pierwszego rzutu oka.

Istnieją dwa rodzaje amuletów nekromanckich, z którymi regularnie mają do czynienia egzorcyci. Pierwszy to zaklęcie ochronne, zwane też blokadą i od czasu do czasu osizem (skrót od „odpierdol się i zdychaj”). W gruncie rzeczy, to magiczne środki ochronne, ustanawiające granice, których nie mogą przekroczyć zmarli i nieumarli. Niektóre w ogóle nie mają charakteru nekromanckiego: to czysta magia natury, wykorzystująca kwitnące zioła i gałązki, ścięte, ułożone i pobłogosławione przez kapłanów bądź adeptów - życie i wiara jako fortyfikacje broniące przed śmiercią i jej królestwem. Inne to inkantacje, jak te, którymi Pen posłużyła się do pobłogosławienia murów swego domu. Często jednak są to ustrojstwa takie jak to, które właśnie trzymałem w dłoni: zbiory symboli wizualnych, połączonych wspólnie w misterny wzór, który w jakiś sposób jest w stanie uwięzić w swych splotach potężny okrucieństwo rzeczywistości. Przypuszczam, że przypomina to nieco sposób działania mojej muzyki. Pośrodku kręgu widnieje rozkaz adresowany wprost do martwej duszy i mający jej uświadomić jak bardzo niemile jest tu widziana: najczęściej używany to *hoc fugere* - po łacinie „wypad z miasta”, a tuż po nim *apoloio*, co znaczy w starożytnej grece „zabieraj dupę w troki”.

Druga odmiana magicznego kręgu to dokładna odwrotność zaklęcia ochronnego: przywołanie. Wygląda niemal tak samo, lecz słowo pośrodku pentagramu to zazwyczaj imię

istoty, którą próbuje się wezwać albo której chcemy się podlizać.

Nie wiedziałem, z czym zetknąłem się tutaj, bo nie miałem pojęcia, co oznaczają owe cztery litery. Potrafiłem jednak natychmiast stwierdzić, że to bardzo staranna robota: ktoś poświęcił jej mnóstwo czasu, nawet jeśli nie zawracał sobie głowy zaklęciami, które zazwyczaj towarzyszą takiemu kręgowi. Nikt nie maluje takich amuletów tylko po to, by rzucić je przez prawe ramię na szczęście.

A zatem to pewnie dzieło Pen, mające uzupełnić organiczne bariery, jakie zazwyczaj stosuje. Owszem, to by znaczyło, że zapuściła się nieco dalej niż zwykle na obszary czarnej magii - jej własna zazwyczaj należy do typu „witajcie ptaszki, witaj niebo, witajcie drzewka” - i przez moment miałem ochotę ją o to spytać. Jednakże rozważa zwyciężyła: wzięwszy pod uwagę fakt, w jakim była nastroju, to mogło poczekać.

Tak czy inaczej, zazwyczaj istnieje więcej niż jedno możliwe rozwiązanie, zwłaszcza w epoce cyfrowej. Wyciągnąłem z kieszeni telefon i za pomocą marnego wbudowanego aparatu zrobiłem z bliska zdjęcie kamienia, a potem odłożyłem go na miejsce.

* * *

Willesden jest blisko jak splunąć od mojego biura w Harlesden, ale staram się tam bywać możliwie jak najrzadziej, na wypadek gdyby ktoś próbował mnie zatrudnić. W przeszłości zdarzyło się to parę razy i zazwyczaj miało opłakane skutki.

Próbowałem zadzwonić do Sue Book i dać jej znać, że już jadę, ale zgłosiła się poczta głosowa. A w bibliotece w Willesden Green czekała na mnie krótka piłka.

- Nie ma jej - oznajmił facet w recepcji. - Wzięła wolne z powodu choroby.

Był szczupłym dwudziestoparolatkiem o lekko gotyckim wyglądem, jego czoło zdobił jaskrawy wzorek z trądziku, a koszulkę napis „Love Will Tear Us Apart”; byłem gotów się założyć, że pierwszy raz usłyszał tę piosenkę na YouToube. Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem, które zapewne uważał za mrożące wzgardliwe. Mnie jednak mrozili już najlepsi i od wzroku dzieciaka nawet nie przywiedły mi listki.

- Czy z nią wszystko w porządku? - spytałem.

- To zależy, co masz na myśli, mówiąc „w porządku”.

- Powiedzmy, że to samo co większość ludzi. Czy jest chora? Nieszczęśliwa? Coś jej się stało?

- Lepiej sam ją zapytaj.

Poddałem się. Zdumiała mnie jego wrogość: dzieciak coś do mnie miał, ale chwilowo za bardzo się śpieszyłem, by próbować wyciągnąć z niego, co. Wskoczyłem do autobusu 297

i podjechałem do Wembley, gdzie Sue i Juliet mieszkają razem w domu odziedziczonym po matce Sue. Ostatnie pół mili pokonałem pieszo w potwornym upale; w jasnych promieniach słońca czułem się lekko nie na miejscu, jak to zazwyczaj bywa z nocnymi stworami.

Nikt nie odpowiedział na moje pukanie. Mimo upału, okna były zamknięte, a zasłony zaciągnięte. Nie wyglądało to obiecująco. Zastukałem ponownie, a potem cofnąłem się kilka kroków i ustawiłem tak, by ktoś wyglądający ukradkiem zza zasłony w salonie bądź sypialni mógł mnie zobaczyć.

Czekałem jakieś dwie minuty. Przyszło mi do głowy, by się włamać - dzięki zmarnowanej młodości dysponuję najlepszym zestawem wytrychów w centralnych hrabstwach i dość swobodnym podejściem do ich używania - co bym jednak powiedział, gdybym zastał w środku złożoną grypą gospodynię i przyłapał ją w pizamie? Coś takiego trudno by wyjaśnić Juliet, nawet powołując się na sąsiedzką troskę.

Jednakże moje przyzwyczajone do mroku oczy nie oszukiwały - zasłona na górze faktycznie lekko się poruszyła. A potem, po kolejnej krótkiej przerwie, usłyszałem brzęk odsuwanego łańcucha. Drzwi uchyliły się odrobinę. Sue spojrzała na mnie, niewyraźna sylwetka w mroku przedpokoju.

- Felix - rzekła lekko zdumionym głosem.

Wróciłem na werandę i pomachałem przyjaźnie.

- Dzwoniłaś - odparłem.

- Tak. - Szczelina się zwężyła. - Ale... teraz już wszystko dobrze. Nic mi nie jest. Chciałam tylko o coś spytać, ale... już to załatwiłam...

Aby usłyszeć mniej przekonujący ton głosu, trzeba by sięgnąć do nagrań sądowych Adolfa Eichmanna, mówiącego: „Jedynie wykonywałem rozkazy”. Kłamstwo nie przychodziło Sue lekko. Podejrzywałem, że podobnie większość rzeczy. Nieśmiała, skromna, zamknięta w sobie, nigdy się nieskarżąca i dysponująca samooceną niższą niż rozkładówka w piśmie dla amatorów, przez większość życia pracowała jako wolontariuszka/niewolnica z rodzaju tych, które wspomagają połowę angielskich organizacji, po cichu odwalając robotę, podczas gdy ich koledzy wspinają się na szczyty. Potem jednak spotkała Juliet i jej życie nabrało nowych, zdumiewających barw.

- Nic mi nie jest - powtórzyła Sue z jeszcze mniejszym przekonaniem. - Nie powinnam była zawracać ci głowy.

- Od tego są przyjaciele - przypominałem. - Posłuchaj, długo tu szedłem, a ostatnio czuję się wybitnie odwodniony, bo przez większość ostatnich trzech tygodni marynowałem swoje wnętrze w Johnnie Walkerze. Mógłbym wejść na chwilę i czegoś się napić? To

znaczy, wody.

Zapadła kłępująca cisza.

- No... - zająknęła się Sue. - Nie jestem ubrana i... wzięłam wolne z powodu choroby, Felix. Ja... ostatnio...

Dość tych bzdetów. Uniosłem dłoń do drzwi i pchnąłem je lekko, nie po to, by odepchnąć ją siłą, lecz, by pokazać, że nie żartuję. Sue wydała z siebie odgłos przypominający niemal jęk i cofnęła się, odwracając twarz, gdy drzwi się otwały.

Miała na sobie lekko wystrzępiony błękitny jedwabny szlafrok z motywem czapli leących nad idealnie gładką powierzchnią jeziora. Ręce spłotła na piersi, jakby chciała podtrzymać swój strój, choć był związany w pasie i pod szyją.

Ponieważ odwróciła głowę, dokładnie widziałem bok jej szyi. Widniał tam ślad przypominający siniec, szeroki i ciemny: siny środek, otoczony nieregularną, żółtą aureolą.

- Sue... - zacząłem.

Powoli, niechętnie uniosła głowę i spojrzała na mnie wielkimi, nieszczęśliwymi oczami.

- Nie chciała tego zrobić - powiedziała. - Po prostu... powiedziałam coś głupiego i wpadła w złość.

Sińce ciągnęły się dalej, pokrywając lewą stronę twarzy, niczym nieregularny archipelag sino-czarnych wysepek w malarycznie żółtej wodzie. Prawe oko miała spuchnięte i zamknięte.

- Wpadła w złość? - powtórzyłem z niedowierzaniem. - Sue... to przecież... Kurwa!

- To ja - oznajmiła beznamiętnie Sue. - To moja wina.

* * *

Juliet jest sukubem, demonem, którego specjalność to seks, co czyni z niej jednego z najdoskonalej zaadaptowanych drapieżników w całym ekosystemie. Sprawia, że mężczyźni jej pragną - za pomocą narzędzi, wśród których oszałamiająca uroda i hipnotyczny zapach stanowią jedynie drobną część - a potem, gdy osiągają szczyt gorączki seksualnej, wibrując niczym fortepianowe kamertony, pożera ich: ciało i duszę.

Wiem to wszystko, bo byłem jedną z jej ofiar. Gabriel McClennan, kolega egzorcysta i czarnoksiężnik amator, opłacany przez wschodnioeuropejskiego superalfonsa Lucasa Damjohna, wywołał Ajulutsikael i napuścił na mnie, uznawszy, że śmiertelnie bliski kontakt z demonem zostanie uznany przez władze za ryzyko zawodowe wynikające z mojej pracy. Ja jednak wbrew wszystkiemu zdołałem przeżyć. Przekonałem ją, by mnie nie wykończyła (ma

się to do stosunku przerywanego mniej więcej tak, jak wybuch supernowej do błysku jednorazowej zapalniczki), a ona sama zdecydowała się pozostać na Ziemi. Zmieniła imię na Juliet Salazar, poznała miłą dziewczynę, zamieszkała z nią, wzięła ślub. Szczęśliwe zakończenie dla wszystkich prócz mnie: w jakiejś części mojej duszy wciąż mi na myśl o niej staje, i nie zanosi się, by szybko miało przestać.

Ludzie często używają określenia „morderczo piękna”, przy czym słowo mordercza to jedynie przesadne podkreślenie. Juliet jest morderczo piękna w bardzo szczególnym i dosłownym sensie. Biała jak kość skóra, czarne oczy, niemal pozbawione białek, u kogoś innego wydawałyby się zbyt dziwaczne, by wyglądać atrakcyjnie, ale gdy tylko człowiek widzi Juliet, zaczyna jej pragnąć. Jej wysokie, ponętnie zaokrąglone tu i ówdzie ciało staje się absolutnym ideałem, wcieleniem pożądania. A jeśli zbliżymy się na tyle, by wciągnąć w nos jej zapach - ziemiste naturalne piżmo - to mamy przechłapanie.

Kiedyś, gdy zaczynała pracę, był taki okres, kiedy wspólnie rozwiązywaliśmy kolejne sprawy. Można by rzec, że wprowadzałem ją do zawodu, a przynajmniej pokazałem kilka sztuczek, których nie знаła. Gdybym jednak miał uczciwie opisać to, co robiłem, rzekłbym, że głównie próbowałem oswoić wielkiego, groźnego drapieżnika z dżungli tak, by zachowywał się jak domowy kot. Nie był to prosty proces i po drodze zdarzyło się wiele pamiętnych incydentów.

I kiedy patrzyłem na poobijaną twarz Sue, jeden z nich pojawił mi się w pamięci z nagłą, niepokojącą wyrazistością.

Wraz z Juliet weszliśmy w opuszczonym budynku fabrycznym gdzieś za Gants Hill. Został kupiony na licytacji majątku i nowi właściciele zaniepokoiili się skargami okolicznych mieszkańców. Ludzie widywali w nim światła i słyszeli odgłosy w środku nocy, mimo że Gwiazdka już minęła, a oni nic nie wypili. Zatem nowa firma właścicielska wynajęła mnie, żebym pomodlił się i pośpiewał, a ja zabrałem ze sobą Juliet, bo w owym czasie wciąż jeszcze udawałem, że jestem jej sensei.

Sprawdziliśmy cały budynek i nie znaleźliśmy niczego bardziej podejrzanego niż kilka obscenicznych graffiti. Minęło wpół do drugiej nad ranem, w mroku nic się nie poruszało i byliśmy niemal pewni, że czeka nas spokojna noc. Przysiedliśmy zatem na obrabiarce czy może prasie hydraulicznej, a ja zacząłem grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu piersiówki pełnej słońca, która powinna gdzieś tam tkwić. Wtedy jednak Juliet poczuła woń czegoś obcego i nim zdołałem rozsiaść się wygodnie, pomknęła naprzód - przez dwa piętra warsztatów i magazyn wielkości centrum handlowego na dziedziniec i dalej, między zbudowane z prefabrykatów pakowalnie na końcu opuszczonego, wyasfaltowanego podjazdu,

na którym parkowała kiedyś flota stu furgonetek.

Siedem z owych pakowalni okazało się pustych. Ósma... no cóż, też była pusta, ale w podłodze tkwiła kłapa i Juliet skierowała się wprost ku niej. Była zamknięta, ale niezbyt ciasno dopasowana. Juliet zdołała wcisnąć palce w szczelinę z jednej strony zamka i zaczęła ciągnąć. Ja ruszyłem na poszukiwanie łomu. Przy okazji natknąłem się też na inne rzeczy, których wolałbym nie oglądać, między innymi studzienkę pełną poobgryzanych kości. Zacząłem już rozumieć, co dokładnie niepokoi nocami sąsiadów.

Zabrałem łom ze sobą i wziąłem się do roboty naprzeciwko Juliet, myślę jednak, że poradziłaby sobie bez mojej pomocy. Po trzydziestu, czterdziestu sekundach, do wtóru serii trzasków pękającego drewna, kłapa ustąpiła i Juliet oderwała mniej więcej dwie trzecie. Reszta pozostała przy zawiasach.

Z dołu pogrążonej w nieprzeniknionym mroku studni dobiegł słaby, rozpaczliwy płacz, a potem kolejny. Zabrałem ze sobą latarkę. Teraz włączyłem ją i poświeciłem w dół. Promień światła padł na małą, przerażoną twarz - tylko przez sekundę, potem dłoń osłoniła szeroko otwarte oczy przed nagłym, ostrym blaskiem. Przesunąłem promień w prawo i lewo, wszędzie, gdzie padał, widziałem przerażone dzieci, umykające w cień.

Znaleźliśmy spiżarnię *loup-garou*.

Zaczęliśmy szukać drabiny albo liny, ale niczego tam nie było. Tymczasem dzieci płakały i wrzeszczały na dnie dziury. Wypowiedziałem głośno kilka pocieszających słów, lecz najwyraźniej wyrobiły w sobie odruch warunkowy: nauczyły się już, że kiedy otwiera się kłapa, czyjeś życie dobiega końca.

Po krótkich, pełnych napięcia negocjacjach zgodziliśmy się, że Juliet zostanie przy studzience, by jej przypilnować, a ja poszukam czegoś, co pozwoli nam zejść na dół. Ruszyłem w stronę drzwi, nadal jednak dzieliło mnie od nich kilka kroków, gdy pojawiły się w nich dwie niepokojąco wysokie postaci, zagrządzając mi drogę.

A zatem nie jeden *loup-garou* - to robota grupowa.

Przyjrzałem się muskularnym sylwetkom, by spróbować się zorientować, z czym mam do czynienia. *Loup-garous* nie były przesadnie barczyste, lecz wzrost i tak dawał im przewagę masy. Ten po lewej wyglądał zupełnie przeciętnie, oprócz chwil, gdy się uśmiechał - tak jak w tym momencie, wówczas bowiem było widać gąszcz ostrych jak brzytwa kłów, bez śladu siekaczy. Drugi miał twarz pokrytą starą tkanką bliznową tak grubą i pomarszczoną, że ledwo widziałem jego oczy. Nosił niebieskie kombinezony, zapewne po to, by z daleka - bądź w oczach ufego, krótkowzrocznego obserwatora - wyglądać na osoby, które mają powody tu przebywać.

Teraz oba weszły do środka i z donośnym łoskotem zamknęły za sobą ciężkie stalowe drzwi.

Cofnąłem się o krok, sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem flet. Potem jednak zmieniłem zdanie, wsunąłem go z powrotem i zamiast tego ze stosu skrzyń podniosłem ciężki bloczek z lanego żelaza. Wilkołaki. Szczerze ich nie cierpię. Zazwyczaj to stare dusze, bo to niełatwa sztuka, a przepędzanie ducha ze zwierzęcego ciała, które wcześniej ukształtował, jest jeszcze trudniejszym zadaniem. W istocie przypomina to trochę wydlubywanie śrutu z tygrysięgo zadka, podczas gdy tygrys próbuje odgryźć nam głowę. Biorąc pod uwagę fakt, że zapewne oba rzucą się na mnie w ciągu sekundy, uznałem, że bloczek posłuży mi lepiej niż flet, dając szansę myszy w walce ze słoniem, zamiast, powiedzmy, mrówki.

Ruszyli razem, idealnie zgrani, i zamachnąłem się bloczkiem. Doskonale wyliczyłem moment, zbijając z nóg bliznowatego, kiedy do mnie dotarł, niczego to jednak nie zmieniło, bo okazał się cholernie szybki. Błyskawicznie uniósł rękę i wytrącił mi z dłoni broń, zanim go dosięgła. W drodze powrotnej rąbnął mnie pięścią w bok głowy tak, że poleciałem o krok do tyłu i przed oczami ujrzałem gwiazdy. A potem znów cofnąłem się szybko, czysto instynktownie, i wyciągnięte szpony minęły mnie tak blisko, że gdybym miał na szyi krawat, zamieniłyby go w komiczne konfetti.

Oba wilkołaki spięły się do skoku, a ja znów sięgnąłem po flet, bo tylko on mi został. Wówczas jednak Juliet odepchnęła mnie na bok stanowczym gestem i wyminęła. Wstrzymałem oddech. Musiałem, bo wiszące w powietrzu jej hormony były tak gęste, że o mało się nie udławiłem. *Loup-garous* wbijały w nią wzrok niczym w kartę z pisma nieświętego.

- Ten, który przeżyje, będzie mógł pocałować mnie w usta - oznajmiła. A potem, po chwili napiętej ciszy, trwającej może pół sekundy, dodała: - Decyzja rozgrywającego.

Zębaty łak próbował niezgrabnie skoczyć ku niej, odsłaniając się w ten sposób przed morderczym sierpowym współnika, który o mało go nie ogłuszył. Zerwał się jednak na równe nogi i rzucił na niego, warcząc i plując, przygważdżając bliznowatego do ściany i ściskając ramieniem. A gdy się tak zmagaly, próbując wbić w siebie nawzajem szpony i zębiska, odkryłem, że zmierzam ku nim, zaciskając pięści. Juliet uniosła rękę i bez trudu zagrodziła mi drogę.

- Nie ty, Castor - rzekła z klinicznym spokojem. - To impreza wyłącznie dla zaproszonych.

Patrzyła beznamiętnie, jak tamci rozszarpują się na strzępy. Zazwyczaj nie należę do ludzi przesadnie wrażliwych, ale przed końcem odwróciłem wzrok, bo *loup-garous* nie mogły

przerwać walki nawet kiedy wykrwawiały się na śmierć, a ich wnętrzności wypadały na podłogę. Słabnąc, straciły panowanie nad swymi ludzkimi postaciami i ciała powróciły do dawnych, na wpół zapomnianych konfiguracji. Nawet wtedy kłapały zniekształconymi pyskami; w tym momencie nie przypominały już niczego, co kiedykolwiek żyło bądź krążyło po powierzchni Ziemi.

Juliet odetchnęła głośno, napawając się wonią krwi w powietrzu - czy też, co bardziej prawdopodobne, innym miazmatem, którego nawet nie poczułem.

- Idź, poszukaj tej liny - poradziła zduszonym głosem.

Trudno było od niej odejść - przypominało to wspinaczkę z plecakiem pełnym kamieni. Taki właśnie budziła pociąg: równie mocny jak grawitacja.

Nie śpieszyłem się, grzebiąc w magazynie w poszukiwaniu odpowiedniego zwoju liny. Z czasem hormonalny stryczek zaciskający się na moim umyśle nieco się poluzował i przypomniałem sobie, że śmiertelnie przerażone dzieci cały czas tkwią w owej studni, wysłuchując dobiegających z góry ryków, warkotów i wrzasków bólu. Jednakże, nawet będąc tego świadomym, nie chciałem wracać za szybko, by nie zobaczyć Juliet przy jedzeniu.

Kiedy w końcu znalazłem się z powrotem w pakowni, Juliet siedziała na brzegu dziury w podłodze, z dyndającymi nogami, i zabawiała dzieci swą własną wersją bajki o Czerwonym Kapturku. Po dwóch *loup-garous* nie pozostał nawet ślad: zaden skrawek ciała, kości, ścięgna bądź tłuszczu. Rzuciłem linę obok niej i wysłuchałem zakończenia historii. Wiedziałem, że w najbliższej przyszłości nie zdołam zasnąć przy zgaszonym świetle.

* * *

- To była moja wina - powtórzyła Sue, tym razem z nutką wyzwania w głosie, jakby ostrzegała, że nie dopuści do jakiegokolwiek krytykowania Juliet. W jej jednym zdrowym oku wezbrały łzy.

Z nietypowym dla siebie taktem zamknąłem drzwi wejściowe. W tym samym momencie Sue przypomniała sobie o moim ratującym twarz kłamstewku dotyczącym picia i umknęła do kuchni, mamrocząc coś o szklance wody. Przeszedłem do salonu i zaczekałem. Znałem ją dość dobrze, by wiedzieć, że woli wypłakać się bez świadków.

I kiedy tak siedziałem na czarnej skórzanej kanapie, która skrzypiała przy każdym oddechu, przypomniałem sobie nieprzyjaznego pomocnika bibliotekarza. Chyba zrozumiałem, czemu potraktował mnie tak obcesowo. Sue nie miała zwyczaju rozmawiać o swym życiu osobistym i najpewniej nie przedstawiła Juliet kolegom, toteż gość dodał dwa do dwóch i dostał pierwiastek kwadratowy z jednego, uznawszy mnie za chłopaka, który ją

pobił.

- Woda - oznajmiła Sue, dźwigając tacę - i herbatniki. Pierniczki. Nic więcej nie mamy. Ja nie... w tym tygodniu nie zrobiłam zakupów.

Postawiła tacę i wycofała się na fotel naprzeciw mnie, sadowiąc się tak, by ukryć przed moim wzrokiem posiniaczoną połowę twarzy. Sobie także przyniosła szklankę, bo dobra gospodyni nie pozwala gościowi samotnie pić. Trzymała ją oburącz, lecz nie uniosła do ust.

- Powiesz mi, co się stało? - spytałem.

W tych okolicznościach wszelkie banały zabrzmiałyby groteskowo, toteż od razu przeszedłem do sedna.

Jej ramiona poruszyły się niedostrzegalnie, sugerując wzruszenie nimi.

- Posprzeczałyśmy się - rzekła lekko drżącym głosem. - Chodziło o to samo co zwykle. Jules nie podoba się to, że pracuję. Wolałaby, żebym zostawała w domu i tylko... no, tylko...

Ze współczuciem pokiwałem głową, by pomóc jej pokonać tę przeszkodę.

Wiedziałem dokładnie, co ma na myśli. Nie chodzi o to, że Juliet postrzega Sue jedynie jako obiekt seksualny. Widzi w niej dostarczycielkę wielu rozrywek i rozkoszy, przy czym seks figuruje na pierwszym miejscu listy. Ale nie da się obejść faktu, że Juliet pragnęła, by Sue została kura domową, bez słowa skargi zaspokajającą wszystkie jej pragnienia, kiedy tylko się pojawią. Być może feminizm nie dotarł jeszcze do piekła, albo może jedna kobieta poddająca się drugiej to szczególnie przypadek. Tak czy inaczej, posiadanie przez Sue własnego życia poza wspólnym z Juliet już wcześniej stało się wężem w ich rajskim ogrodzie.

Tylko że nigdy dotąd nie doszło do wymiany ciosów. Juliet zazwyczaj traktowała Sue jak coś kruche i cenne, co mogłoby się zniszczyć po jednym nieostrożnym ruchu. W istocie można to rozciągnąć na każdego, kto znajdzie się w rękach Juliet, bo dysponuje siłą dziesięciu dorosłych mężczyzn, choć serce ma czyste niczym nowojorski śnieg.

- Od paru dni była podenerwowana - podjęła Sue, wbijając ponure spojrzenie w szklankę. - Nie była sobą. Warczała na mnie przy każdej okazji, w sprawach, które w ogóle nie miały znaczenia. Zazwyczaj podchodzi spokojnie do niemal wszystkiego. Tylko parę rzeczy potrafi ją rozzłościć. A nawet wtedy okazuje wymowną dezaprobatę. Nie awanturuje się. Nie krzyczy, nie rzuca przedmiotami.

- A tym razem tak zrobiła?

Sue zerknęła na mnie z nieszczęśliwą miną.

- Mną - powiedziała. - Rzuciła mną. Czy to się liczy?

- Ile czasu trwała ta kłótnia? - spytałem, starając się ze wszystkich sił odegrać domowego lekarza, by nie musieć reagować na ból widoczny na jej twarzy. - I jak... No

wiesz, jak się czuła po tym wszystkim?

- To nie była kłótnia, Felix. Uderzyła mnie, próbowałam uciec, a ona zrobiła to jeszcze parę razy. Wiesz, jaka jest silna. Nic nie mogłam poradzić. - Sue zawiesiła wzrok, ze zmarszczonymi brwiami odtwarzała w pamięci tę scenę. - Po wszystkim żałowała. Czy raczej... była zdumiona. Nie potrafiła zrozumieć, jak do tego doszło. Bardzo mnie przepraszała i obiecała, że to się nigdy nie powtórzy.

Głos jej się łamał, widziałem wyraźnie, że lada moment znów może wybuchnąć płaczem. Kiedy umilkła, czekałem w ciszy, dając jej szansę by spuściła zasłonę milczenia na owe straszne, wstydlive emocje. Przypuszczam, że u sukubów zawsze tak to wygląda: każdy nowy związek ma w sobie element uzależnienia. Nie jesteś po prostu czyimś partnerem, lecz jednocześnie narkotykiem, którego pragną, i dealerem, który zaspokaja to pragnienie. Z drugiej strony, o ile mi wiadomo, Juliet to pierwszy sukub, który osiadł na Ziemi i spróbował życia w monogamii. To niezbadane terytorium.

- Powiedziała jej... że wszystko w porządku - rzekła Sue - że jej wybaczam. Ale to musi być ostatni... ostatni raz. Musi. Powiedziała, że jeśli to się powtórzy, będzie musiała odejść. - Zaśmiała się. - Wyobrażasz sobie, jak przekonująco to zabrzmiało. Gdyby mnie opuściła, chyba bym się zabiła. Albo po prostu umarła z tęsknoty.

Powierzchnia wody w szklance zaczęła marszczyć się i falować w drżących dłoniach Sue. Poruszona, odstawiła wodę na podłogę obok fotela i nie wiedziała co począć z rękami.

- Mówiłaś, że była podenerwowana - wtrąciłem. - Czy dręczyło ją coś szczególnego? Może pracowała nad jakąś ciężką sprawą?

Sue pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

- Nie rozmawia ze mną o pracy - odparła. - Chyba że zapytam. Ale nie wydaje mi się żeby w tej chwili miała zbyt wiele na głowie. Czasami dzwoni do niej sierżant Coldwood i prosi, by odczytała miejsce zbrodni, ale nie odzywał się od kilku tygodni. Układała blokady w odnawianym hotelu w Ealing. Był też pewien geist w sąsiedztwie w Wembley. Ale wyłącznie przesuwiał meble, nie był groźny. Zwykła robota, nic ciekawego.

- Może jednak przyjęła jakieś zlecenie, nie mówiąc ci o tym?

- To możliwe. - Nie sprawiała wrażenia przekonanej.

- Porozmawiam z nią - obiecałem. - Jeśli coś na poziomie zawodowym ją rozprasza, może otworzy się przede mną. W tych sprawach ufa mojej ocenie.

- Dziękuję, Feliksie - rzekła nieśmiało Sue.

Równie dobrze mogła powiedzieć: „Rozprasza? Walnęła mnie w twarz dość mocno, by zostawić całą gamę sińców. Wydaje się raczej skupiona, prawda?“. Ale Sue nigdy nie

należała do ludzi, którzy każdy kryzys zamieniają w dramat.

Wstałem. Istnieje wiele rzeczy, które można zrobić w podobnych okolicznościach, aby druga osoba pojęła, że czujemy jej ból. Większość z nich wykracza poza mój repertuar - albo przynajmniej poza ramy związku, jaki łączy mnie z Sue Book.

- Porozmawiam z nią - powtórzyłem i za drugim razem te słowa zabrzmiały jeszcze bardziej niezgrabnie. - Posłuchaj, gdyby to się powtórzyło i gdybyś potrzebowała schronienia, Pen ma w domu z milion pustych pokoi. Możesz przyjechać i zatrzymać się tam w każdej chwili.

Sue przytaknęła, obdarzając mnie słabym uśmiechem, wyraźnie jednak nie ufała własnemu głosowi.

Zostawiłem ją tam, wiszącą na krzyżu, do którego sam tak bardzo pragnąłem dać się przybić, i radośnie poszedłem swoją drogą. Ta droga, powiedzmy sobie szczerze, z każdą chwilą stawała się coraz mniej radosna, nawet nim jeszcze dotarłem do Café Costella na spotkanie z Garym Coldwoodem.

Jednakże fakt, że już wcześniej wyglądałem niczym mokra ścierka, oszczędził mu nieprzyjemnego obowiązku przepędzenia uśmiechu z mojej twarzy.

* * *

Gary sprawiał wrażenie udęczonego. Siedział na tyłach długiej, Wąskiej sali, możliwie jak najdalej od okna i z ponurą, skupioną precyzją kroił na talerzu nieco wodnistą jajecznicę na toście.

Knajpa była samoobsługowa, toteż kupiłem sobie kawę i poszedłem do jego stolika.

- Mówię ci to jako przyjaciel - rzekł, kiedy usiadłem naprzeciwko. - Co oznacza, że jeśli komukolwiek powtórzysz i to do mnie wróci, wkopię ci gębę do rowu i stanę na karku, aż nie przestaniesz się ruszać.

- Jako przyjaciel - sprecyzowałem.

- Właśnie. Jako przyjaciel. Posłuchaj, kiedy pożegnaliśmy się wczoraj, wróciłem na Uxbridge Road na spotkanie z tym kutafonem z przestępczości zorganizowanej. Nazywa się Brake i po pięciu minutach w jego towarzystwie miałem ochotę odtańczyć mu stosowny taniec na twarzy. Wezwał mnie, żeby spuścić szlaban.

- Na co?

Gary posłał mi wzgardliwe spojrzenie i odłożył nóż, jakby na to wspomnienie stracił apetyt.

- Na sprawę Ditko. Jest zamknięta.

Przez moment znaczenie tych słów zupełnie do mnie nie docierało, więc nie zdołałem się zaniepokoić. Roześmiałem się, ale Gary do mnie nie dołączył.

- Gratuluję - rzekłem. - To musiało być najszybsze aresztowanie w dziejach.

- Mówię serio, Fix.

Przytaknąłem.

- Tak, widzę. Ale co to, do diabła, znaczy? Jak można zamknąć tę sprawę? Rafi wciąż tam jest. Asmodeusz także. Fakt, że jakiś kretyn zdecydował się przełożyć akta z jednej szufladki do drugiej, niczego nie kończy. Powiedziałeś mu to?

- Nie. - Gary wypluł z siebie to słowo. Towarzyszyło mu kilka okruszków - pasażerów na gapę. - Nie zrobiłem tego, bo jest ode mnie starszy stopniem i od początku dał mi jasno do zrozumienia, że nam, kurwa, pytać nie kazano. Jeśli chcesz wiedzieć, to, nim jeszcze przekroczył próg, tylko czekał na pretekst do awantury. Co dzień wdajemy się z tymi dupkami w biurokratyczne przepychanki i chyba miał ochotę pograć ostro. Więc nie dałem mu pretekstu. Byłem uprzejmy, poważny i świętojeblivy, równie dobrze mógłbym pokazać mu, gdzie się zgina dziób pingwina.

- Ale spytałeś, o co, do diabła, biega?

- Jasne, że tak. Za kogo mnie, kurwa, masz? - oburzył się Gary. - Przywołałem wszystkie argumenty o bezpieczeństwie publicznym i pomachałem mu nimi przed twarzą. Dodałem też, że to idealny przykład możliwego równoległego śledztwa - wydział zabójstw prowadzący własne, a zorganizowana swoje - i wymiany informacji.

- I co?

- Nic z tego. Chcesz usłyszeć złe wieści?

- Mogą być jeszcze gorsze?

- Zorganizowani też nie kierują tą imprezą. Została zakontraktowana - jego słowa - prywatnej agencji. Są lepiej przygotowani do rozwiązywania podobnych problemów, tak powiedział i dostali już wszystkie upoważnienia niezbędne do zajęcia się zabójcą, do którego aresztowania potrzeba pułku wojska. W istocie w ogóle nie zamierzają aresztować Ditko, jedynie dopilnować, by nigdy więcej nie zabił. W ich umowie nie ma ani słowa o metodach, środkach ani stanie, w jakim go zostawiają.

Straszliwa prawda dotarła do mnie tuż przed tym, nim ją wymówił. Zaśmiałem się z niedowierzaniem, od którego zabolало mnie gardło.

- Powiedz mi, że to nie...

- To Anathemata, Fix. Chłopcy od święconej wody. Jeśli wymyślą jak to zrobić, zabiją Ditko razem z Asmodeuszem.

ROZDZIAŁ 5

Odchyliłem się na krzesło i odczekałem parę chwil, próbując przetrwać jego słowa, które jednak utkwiły mi w żołądku niczym kamień. Anathemata. Skurwiele, którzy paskudzili mi życie za każdym razem, gdy miałem pecha się na nich natknąć. I Rafiemu także. W sprawie Asmodeusza zawinili jeszcze bardziej niż ja: zarówno co do jego przybycia, jak i pozostawiania na wolności. Co za dowcip. Jeszcze bardziej chory niż ten o zakonnicę i gorylu.

- Kim oni są, Fix? - spytał ostro Gary. - Dopiero drugi raz o nich słyszę i za każdym wyjęli mi gotową sprawę i zlali po tyłku jak dzieciaka próbującego ukraść ciastko z kuchni. Powiedz mi, z czym mam do czynienia.

Otworzyłem usta i znów zamknąłem. Prawdę mówiąc, niełatwo było na to odpowiedzieć.

W kwestii, ogólnie rzecz biorąc, wiary tkwię między młotem a kowadłem. Dorastając w Liverpoolu w latach siedemdziesiątych, doszedłem do tych samych wniosków, co L. Ron Hubbard w Nebrasce pięćdziesiąt lat wcześniej: każdy może stworzyć sobie religię ze składników, które znajdzie w swoim domu. Wystarczy tylko wziąć po porcji bzdetów, ksenofobii i paniki moralnej, dobrze zamieszać i zostawić, żeby skisły.

Jednakże przynajmniej na jednym poziomie religia działa. Niemal każda religia, choć zapewne nie Kościół Latającego Potwora Spaghetti. Zupełnie jakby dusza ludzka była opiłkiem żelaza, a religie polami magnetycznymi o północnych i południowych biegunach ustawionych wzdłuż tej samej osi. W rezultacie - i nie pytajcie mnie, dlaczego - pojawia się moc.

Praktykujący egzorcysta widuje ją co dzień w dni powszednie i dwa razy w niedzielę. Krucyfiks, tarcza Dawida, gwiazda i półksiężyc, hinduska swastyka, krzyż gnostycki - wszystkie sprawdzają się w starciu z nieumarłymi, o ile tylko używa ich - czy jeszcze lepiej, pobłogosławi - ktoś, kto naprawdę w nie wierzy. Kiedy Juliet pierwszy raz powstała z piekła i próbowała pokochać mnie na śmierć w mojej własnej sypialni u Pen, mój brat Matthew, ksiądz, uchronił mnie od najgorszego za pomocą modlitwy i święconej wody. A najczęściej praktykowany rytuał egzorcyzmów stworzyli benedyktyni w opactwie Metten w 1415 roku. Zaczyna się od *Crux sancta sit mihi lux*, a kiedy dochodzimy do *Vade retro, Satatta* możemy już nawet śpiewać.

Toteż pod pewnymi względami, jako egzorcysta-ateista, przypominam linoskoczka, który co prawda wie, że węzły wytrzymają, ale ma o to pretensje. A kiedy stykam się z fanatykami religijnymi dowolnego wyznania, tracę pogodną, sympatyczną otoczkę, z której słynę, i staję się wkurwionym, nadętym draniem. Jasne, każdy może wybrać sobie własną truciznę - zawsze głosuję za swobodą wyboru. Ale jeśli mówicie: „Chwała Panu”, zawsze odpowiem: „Dawajcie amunicję”.

Z tego właśnie powodu Anathemata Curialis gra mi na nerwach tak głośno, że chwilami od tego głuchnę.

- To święty zakon - poinformowałem Coldwooda. - Założył go papież Paweł III, i to on wyznaczył mu zadania. Ten sam gość, który wspierał Ignacego Loyolę, gdy ten zakładał jezuitów - no wiesz, „dajcie mi swe dziecko, nim ukończy siedem lat, a ja oddam wam robota z wypchanym mózgiem, który sądzi, że nazywa się Harvey Maria”. W dodatku robił to wszystko, próbując jednocześnie ukraść koła z wozu reformacji, więc był z niego naprawdę zajęty gość. Chcesz bon mot? „Oczywiście, że Bóg istnieje. Martin Luther miał właśnie atak serca”.

Staralem się mówić zwięźle i trzymać faktów, lecz muszę przyznać, że wywalenie tego z siebie nieco poprawiło mi humor. Dobrze pamiętałem wszystkie szczegóły, bo sam musiałem je sprawdzić, kiedy ojciec Gwillam pierwszy raz pomachał mi przed nosem swoją świętą księgą.

- Papież Paweł uważał, że inkwizycja zmiękła i zbyt łagodnie podchodzi do zbrodni oraz ich przyczyn - podjąłem. - Misją Anathematy - co przerażające, nawet jej nie ukrywali - było zajmowanie się wszystkim, co Kościół uważa za anatemię - klątwę i herezję. A mówiąc „zajmowanie się”, mam na myśli załatwienie raz a dobrze. Potem znacznie późniejszy papież ekskomunikował całą gromadkę, aż po najmniejsze płotki, wcześniej jednak załatwił jej dość funduszy, by mogła działać do kresu czasu. Niezła sztuczka - dodać umyte ręce do długiej listy kościelnych cnót.

Coldwood odchrząknął.

- Skoro ich rozwiązano - rzekł - to skąd, do diabła, wzięli się w mojej sprawie?

Pokręciłem głową.

- Nie mówiłem, że ich rozwiązano, Gary. Anathemata wciąż istnieje. Mój brat ocenia, że ma na swe rozkazy ponad tysiąc ludzi. Tyle że teraz działają dyskretniej. Oficjalnie nic ich nie łączy z aparatem kościelnym. Nie mogą przystępować do komunii, ostatniego namaszczenia ani zostać pogrzebani w poświęconej ziemi. I jeśli chcesz znać moje zdanie, są tym zachwyceni. Napawają się swoją cnotą i poświęceniem, odrzucając własne zbawienie po

to, by ocalić świat. Sądzą, że są Bożymi wybrańcami, toczącymi ostatnią krucjatę przeciw nieumarłym.

- I tobie - wtrącił Coldwood. - Przeciw tobie. Z jakiegoś powodu straszliwie ich wkurzasz.

- Chętnie bym tak myślał. Ale to nic osobistego, Gary. Dla tych fanatyków nie istnieją sprawy osobiste. Tu chodzi o Rafiego. Zawsze o niego chodziło.

Ojciec Thomas Gwillam, obecny przywódca Anathematy, wiedział o demonicznym pasażerze Rafiego Ditko od samego początku; zapewne śledził Rafiego jako jednego z wybrańców Fankego jeszcze przed przywołaniem Asmodeusza. Zastanawiał się nad zabiciem go, lecz jego własni egzorcyci nie mieli pewności: śmierć ludzkiego gospodarza mogła zabić demona albo go wyzwolić, tak by zmartwychwstał gdzie indziej. Rozważywszy zatem wszystkie za i przeciw, Gwillam zdecydował się czekać w odwodzie, dopóki Rafi będzie tkwił bezpiecznie zamknięty w Ośrodku Opieki Charlesa Stangera, w celi wyłożonej srebrem, często odwiedzany przez niżej podpisanego, który usypiał wewnętrznego demona, gdy ten zaudał się rozbrykał.

Gdy jednak zabrałem Rafiego od Stangera do Imeldy, wszelkie opory zniknęły. Gwillam spuścił ze smyczy psy i w końcu wytropili Asmodeusza w Peckham, tylko po to, by spierdolić sprawę tak mocno, że trzech ich najlepszych egzorcystów zdołało obejrzeć swe własne wnętrzości, podczas gdy demon przeszedł między nimi i zniknął na ulicach Londynu, by w pewnym momencie wpaść z wizytą do Ginny Parris.

Widziałem wyraźnie, czemu Gwillam może sądzić, że musi odpokutować za swoje grzechy. Ale nie zamierzałem pozwolić, by zapłacił za nie wnętrzościami Rafiego, jeśli tylko zdołam jakoś temu zaradzić. I to właśnie było pytanie dnia, płonące w mej głowie neonowymi pięćdziesięciometrowymi literami w otoczeniu fajerwerków i promieni laserów. Czy mogłem cokolwiek zrobić? Czy w jakikolwiek sposób zdołam powstrzymać tych przeklętych pobożnisiów?

Coldwood wyraźnie zastanawiał się nad tym samym pytaniem, co dodatkowo mnie zaniepokoiło.

- Zapomnij o tym, Gary - poradziłem. - Jeśli wkurzysz tych gości, resztę życia spędzisz jako stójkowy na autostradzie. Oni się nie patyczkują.

- Ja też nie - warknął Coldwood.

Wiedziałem, że to tylko poza. Nie wytrzymałby nawet sekundy starcia z twardzielami Gwillama i jego pokrętną przebiegłością. Kiedyś sądziłem, że mnie się to uda, i bagno, w którym obecnie tkwiłem, dowodziło wyraźnie, jak bardzo się myliłem.

Trzema łykami dopiłem resztę stygnącej kawy i odstawiłem kubek. Coldwood obserwował mnie w milczeniu.

- Więc radzisz, żebym zamknął oczy i myślał o Anglii? To właśnie zamierzasz zrobić?

- Sam nie wiem, Gary - skłamałem. - Nie mam pojęcia, co zamierzam.

W mojej głowie pojawił się już pewien pomysł, znacznie bardziej gorzki do przełknięcia niż resztki maxwell house. Kiedy Bóg nas porzuca, a diabeł depta nam po piętach, potrzebujemy mieć u swego boku większego diabła.

* * *

Paddington. Szpital Świętej Marii. Klinika Ontologii Metamorficznej, w skrócie KOM. Nie odwiedzałem jej od czasu, gdy Asmodeusz po raz ostatni próbował zerwać łańcuchy. Wówczas pod wieloma względami życie wydawało się prostsze. Człowiek wiedział, kim są jego przyjaciele, nawet jeśli mógł ich zliczyć na palcach jednej okaleczonej ręki.

Dziś jednak nic z tego nie miało znaczenia. Dziś przybyłem tu, by się dogadać z jednym z najgorszych wrogów.

Z początku zabłądziłem, bo oddział się przeniósł. Poszedłem do starego budynku - skrzydła Helen Trabitch na ulicy Praed - tylko po to, by odkryć, że zamieniono go z powrotem w klinikę ginekologiczno-urologiczną, wypełnioną przypadkową mieszaniną prostytutek z Sussex Gardens, radośnie wymieniających uwagi na temat urobku ostatniej nocy. Znekany recepcjonista z notatnikiem w dłoni, wyraźnie umierający ze wstydu, skierował mnie za róg wzdłuż South Wharf Road do budynku Patersona, na tablicach nadal opisanego jako oddział psychiatrii.

Jednakże, gdy tylko przekroczyłem próg budynku, pojąłem, że ma on nowego lokatora. Stalowa krata, przecinająca korytarz tuż za drzwiami wejściowymi, bardziej przypominała więzienie niż szpital, a za biurkiem recepcji siedział mundurowy ochroniarz z prywatnej agencji. Zbudowany jak szafa trzydrzwiowa, miał głowę, która stawała się coraz szersza, w miarę jak nasz wzrok wędrował w dół od czubka aż do szczęki, zupełnie jakby ktoś wbił mu na łeb odwróconą tubę i zostawił, póki kości czaszki nie nabrały nowego kształtu. Na mój widok odsłonił zęby - wyraźnie podczas szkolenia polecono mu uśmiechać się do frajerów, kiedy tylko nie doczepia im do kończyn elektrod. Zęby miał bardzo białe i równe - nie były spiłowane na ostro czy poplamione krwią niemowląt. Pewnie krzywdziłem gościa: najpewniej uwielbiał dzieci i małe zwierzątka i opiekował się czule swą podstarzałą matką, tak jak ponoć Krayowie. Mundur miał granatowy, na klapie dostrzegłem naszywkę, na której

szare litery układały się w nazwisko DICKS.

Wskazałem ją ręką.

- To pana nazwisko? - spytałem. - Czy może kusząca reklama?

Gość zmarszczył czoło, jego usta wygięły się, jakby myślenie sprawiało mu ból.

- Słucham pana? - spytał w końcu, puszczać mimo uszu mój słaby dowcip.

Głos miał w niższym rejestrze basowym, lecz sposób wymawiania samogłosek skojarzył mi się z Afrykanerami, i to w połączeniu z budową ciała uruchomiło w mojej głowie serię stereotypów, w większości skupionych wokół skutych podejrzanych, tajemniczo wyskakujących z okna na czwartym piętrze na oczach policji.

- Felix Castor - przedstawiłem się. - Przyszedłem do profesor Mulbridge.

- Czy pani profesor oczekuje pana?

- Od pięciu lat.

Dicks nie naciskał, wyraźnie jednak uznał, że oznacza to odpowiedź odmowną.

- Czego ma dotyczyć to spotkanie? - spytał po nieco krępującej chwili ciszy.

- Proszę powiedzieć, że Rafaela Ditko.

Gość skinął głową i nacisnął kilka klawiszy na stojącym na biurku interkomie.

- O co chodzi, Dicks? - rozległ się głos, kobiecy, lecz nienależący do Jenny-Jane. Był młody, bardzo stanowczy, z więcej niż cieniem egzotycznego akcentu.

- Przyszedł niejaki pan Castor - oznajmił Dicks. Z jego akcentem zabrzmiało to niemal melodyjnie.

Usłyszałem szcęk wyłącznika po drugiej stronie. Długą chwilę interkom milczał. W końcu w głośniku przemówił ten sam głos.

- Powiedziałaś: Castor? Felix Castor?

Dicks zerknął na mnie. Przytaknąłem.

- Tak. Mam go posłać na górę?

Kolejny szcęk i kolejna długa cisza. Tym razem, kiedy głos powrócił, dźwięczało w nim napięcie.

- Kategoriecznie nie. Przyślemy tam kogoś. Pan Castor zasługuje na eskortę.

Głośnik zatrzeszczał i umilkł. Dicks posłał mi nieprzychylnie spojrzenie numer dwadzieścia trzy, którego uczą w koszarach i więzieniach całego świata. Nie sądzę, by spodobała mu się niewypowiedziana reprimenda dźwięcząca w owym „kategoriecznie nie”. Mimo domniemanego upodobania do zwierzątek i małych dzieci, mnie najwyraźniej jakoś nie polubił.

- Widzi pan? - powiedziałem, próbując przełamać lody. - Jestem VIP-em.

Popatrzył na mnie z namysłem. Było to spojrzenie mówiące głośniejsz od słów: „Wcześniej czy później może będę musiał cię uszkodzić”.

Po drugiej stronie stalowej kraty pojawiło się dwóch kolejnych dzentelmenów, ulepionych z tej samej gliny co Dicks. Podeszli do niej równym krokiem, niemal idealnie zsynchronizowani. Dicks nacisnął guzik, usłyszałem metalowy szczęk zwalnianego zamka. Jeden z dwóch przybyszy otworzył przede mną kratę, a drugi poprowadził mnie do windy.

Niegdyś Paterson musiał stanowić prawdziwy architektoniczny skarb. Miał niesamowite okrągłe okienka, szerokie na niecały metr, stanowiące formalny ukłon pod adresem szkoły art deco, i nietypowo wysokie sufity. W tej chwili jednak wyglądał jak po bombardowaniu. Zarówno na parterze, jak i, co odkryłem po wyjściu z windy, na drugim piętrze odbywały się roboty budowlane. Niewielka armia facetów w pomarańczowych kombinezonach, wśród których od czasu do czasu pojawiała się kobieta, zdierała panele, układała przewody elektryczne i przybijała gipsowe płyty. Dominujący kolor stanowił lodowaty neutralny błękit - najwyraźniej Jenna-Jane przerabiała budynek na swój obraz i podobieństwo.

Nienawidzę szpitali, jak wszyscy egzorcyci. Umiera tam mnóstwo ludzi, a znaczna część z nich kona w prerażeniu, oszołomieniu, gniewie bądź straszliwych męczarniach. W każdym pomieszczeniu zbierają się duchy na najróżniejszych etapach: od świeżych do ledwo widocznych, tłoczą się, przekrzykują, płaczą i błagają o poświęcenie im chwili uwagi. Oddział psychiatryczny nie jest tak straszny jak, powiedzmy, chirurgia ogólna czy umieralnia, ale dość okropny. Podążając za dwoma mundurowymi mięśniakami, pogwizdywałem bezdźwięcznie. Melodia była w istocie lekkim zaklęciem, odpychającym duchy z najbliższej okolicy, tak bym mógł swobodnie oddychać.

Gabinet Jenny-Jane mieścił się na skrzyżowaniu dwóch korytarzy. Niegdyś zapewne była to dyżurka pielęgniarek, bo dwie sąsiadujące ze sobą ściany zrobiono z grubego szkła, od sufitu po podłogę dającego panoramiczny widok na obie strony. Teraz zakrywały je surowe białe wertykalne żaluzje, które lekko rozsunięto.

Sam gabinet umeblowano skromnie. Poświęcenie Jenny-Jane dla jej sprawy miało w sobie coś klasztorne. Zapewne, gdyby kiedyś spotkali się z ojcem Gwillamem, znaleźliby mnóstwo tematów do rozmów, choć jej religia nauki stanowiła dokładne przeciwieństwo jego staroświeckiego apokaliptycznego fundamentalizmu. Pod jedną ze ścian stało antyczne żaluzjowe biurko, obok parę biurowych krzeseł na kółkach, falanga pięciu czteroszufladowych stalowoszarych szafek i biblioteczka pełna ksiąg magicznych i podręczników medycznych. Jenna-Jane nie czyta dla przyjemności. Jedyne jej grzech stanowi

muzyka poważna, poza tym jednak wszystkie zainteresowania skupiają się na pracy. Na jednej z szafek dostrzegłem hołd dla owego zazdrosnego bóstwa - posążek przedstawiający stylizowaną ludzką postać o wygiętych plecach, przypominającą przeciągającego się i ziewającego Oscara. Na drewnianej podstawce widniał napis „Za wyjątkowe osiągnięcia w badaniach empirycznych”. Josef Mengele pewnie też miał taką na swoim biurku.

W pokoju, oprócz Jenny-Jane czekało jeszcze dwoje ludzi - mężczyzna i kobieta - ale nie znałem ich i całą uwagę skupiłem na żwawej, przyciągającej wzrok postaci za biurkiem. Jenna-Jane wstała, zamykając odruchowym gestem laptopa.

- Feliksie - rzekła, a jej twarz rozjaśnił ciepły uśmiech.

Wyciągnęła rękę. Uścisnąłem ją, bo nie ma sensu przejmować się muszkami, kiedy ma się do przelknięcia tak olbrzymią żabę.

- Wyglądasz świetnie, jak zawsze. I jak zawsze, bardzo, bardzo się cieszę z naszego spotkania. Jak się przekonasz, panuje tu lekki zamęt: w tej chwili przeprowadzka zajmuje większość mojego czasu.

Jenna-Jane przypomina jeden z owych iluzorycznych obrazów, kiedy sądzimy, że spoglądamy w głąb długiego korytarza, gdy w istocie mamy przed sobą ścianę. Tylko tak potrafię ją opisać, bo nic innego w naturze nie jest tak absolutnie nieprzeniknione, sprawiając wrażenie całkowicie otwartego. Kiedy patrzy się na jej drobną postać, babciną twarz, wysoko uniesioną, dystygowaną głowę, czuje się instynktowny szacunek i sympatię. Chyba że się ją zna, bo wówczas, im szerzej się uśmiecha, tym bardziej przywodzi na myśl głodnego tygrysa. Dziś miała na sobie strój roboczy: dzinsy i koszulę w kratę. Kamuflaż na tym poziomie źle komuś wróżył i zapewne tym kimś miałem być ja.

Cofnąłem szybko rękę, powstrzymując się przed pokusą policzenia palców i sprawdzenia, czy wszystkie są na miejscu.

- To jest Karin Gentle, moja asystentka.

J-J wskazała ręką kobietę, która wstała, gdy padło jej nazwisko. W prawej dłoni trzymała reporterski kołnotatnik, przełożyła go jednak do lewej, by móc się przywitać. Gdy to uczyniła, skłoniła głowę w geście ulotnie kojarzącym się z oficjalnym ukłonem. Była Azjatką przed trzydziestką, całkiem przystojną, mimo blizn po trądziku na twarzy.

- Bardzo mi miło pana poznać - oznajmiła, potwierdzając moje podejrzenie, że to jej głos słyszałem w interkomie. - To pan przeżył uścisk sukuba Ajulutsikael, a potem go oswoił. Zgadza się?

- Sądzi pani, że jest oswojona? - spytałem. - Powiniennem was sobie przedstawić.

Była to tylko lekko złośliwa uwaga, lecz oczy Azjatki się rozszerzyły.

- A zatem to prawda? Została na Ziemi? Żyje między ludźmi? Mogłabym ją poznać?

Zapał w jej oczach zaniepokoił mnie. Może była młodsza, niż się wydawało: żaden egzorcysta nie ucieszyłby się tak na myśl o spotkaniu z demonem.

- Ostrożnie z życzeniami - poradziłem.

Zamrugła, przybierając lekko urażoną minę.

- I myślę, że znasz Gila - podjęła gładko J-J, skinieniem głowy wskazując mężczyznę siedzącego w kącie.

W odróżnieniu od J-J, Gentle nie podniósł się z krzesła. Jedynie zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i z powrotem, i najwyraźniej nie znalazł niczego, co by mu się spodobało.

Byłem niemal pewien, że J-J się myli: nie znałem faceta. Wyglądał na kilka lat młodszego ode mnie, czyli tuż po trzydziestce. Miał nieco przesadnie ostre rysy, wodnistobłękitne oczy i kasztanowe włosy z dziwnymi, jasnymi pasemkami. Coś w owych pasemkach pobudziło w mej pamięci echo, ale wiedziałem, że aby je usłyszeć, musiałbym się znaleźć w spokojniejszym miejscu.

- Nie - rzekłem. - Nie wydaje mi się, byśmy...

- Nazywam się McClennan - przerwał mi gość. - Gilbert McClennan. Znałeś mojego wuja.

Przytaknąłem, zastanawiając się jak na to odpowiedzieć. Gabriel McClennan był największym śmieciarzem, z jakim miałem nieszczęście pracować. Systematycznymi kłamstwami, oszustwami i kradzieżami zraził do siebie całą społeczność duchołapów. Działał w Soho. Niewiele nas łączyło, nawet przed tym, jak przypadkiem doprowadziłem do jego śmierci.

Od tego czasu spotkałem córkę McClennana, Danę, a teraz jego siostrzeńca. Potwierdzało to moją teorię, że zdolność do egzorcyzmów jest dziedziczna. Szkoda tylko, że nie znalazła sobie innej żywej działki.

- Tak - zgodziłem się - znałem twojego wuja. Co u niego słyhać?

- Nie żyje - odparł Gil. Wyrzucił te słowa z głębi gardła, a przy ostatniej samogłosce wyszczerzył zęby.

- Wiem - rzekłem. - A od tego czasu? Jesteście w kontakcie?

Gil przez sekundę czy dwie wbijał we mnie wzrok. Znałem jednak odpowiedź i wiedziałem, że brzmi „nie”. Gabe McClennan zderzył się z Juliet, kiedy jeszcze używała swego dawnego imienia. Został przeżuty, pożarty i wysrany bardzo dawno temu, zarówno w sensie fizycznym, jak i duchowym.

- Gil jest cenionym członkiem naszego stałego zespołu. - Jenna-Jane wskazała mi krzesło i sama również usiadła. - Robi to, co ty kiedyś, Feliksie. Jest pontifeksem i psychopompem. Nie tęsknisz za tym? Chętnie przyjęlibyśmy cię z powrotem.

Pontifex i psychopomp to jeden z ulubionych tekstów J-J. Tak brzmią dwa oficjalne tytuły papieża: budowniczy mostów pomiędzy tym światem i najlepszym, i główny przewodnik, wysyłający ludzkie dusze ku ich wiecznej nagrodzie. Tak naprawdę egzorcysta nie jest ani jednym, ani drugim, lecz duma zawsze stanowiła największy grzech J-J. Jeśli nawet jej słudzy dysponowali władzą nad życiem i śmiercią, to kim była ona sama?

- Nie mam już zdrowia do tego wszystkiego - rzekłem, świadom, że to jedna z tych półprawd, które wszyscy biorą za kłamstwo.

Jenna-Jane pokiwała głową, zupełnie jakbym potwierdził żywione przez nią podejrzenia.

- Tak - mruknęła - to kwestie moralne sprawiły, że od nas odszedłeś. Twoja troska o naszą Rosie.

Naszą Rosie. Miała na myśli Rosie Crucis, najstarszego trzymanego w niewoli ducha. Powiedziała to jednak tak ciepłym tonem, że przez moment sympatyczne słowa przesłoniły prawdziwą grozę i okrucieństwo losu Rosie.

- Wygrałeś to starcie - przypomniałem, bo nie mogłem rzec, że moje odczucia w tym względzie zmieniły się z upływem lat.

- W sporach przyjaciół nikt nie wygrywa, Feliksie - upomniała mnie z powagą Jenna-Jane. - Nie, myślę, że faktycznie nasza praca wymaga pewnego... ograniczenia wizji. Obawiam się, że to nieuniknione. Moralność widać dopiero w makroskali, W szczegółach znika.

- Nie mam pojęcia, co to znaczy.

- To znaczy, że działamy w imię wyższego dobra - wtrącił McClennan, oferując te słowa J-J niczym jabłko nauczycielce i otrzymując w nagrodę pełen aprobaty uśmiech.

- Istotnie - przytaknęła. - Wyższego dobra. Mam ci znacznie więcej do powiedzenia, Feliksie, ale na razie wolałabym z tym zaczekać. O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Przechodziliśmy do sedna. Chyba lepiej załatwić to od razu, bo im dłużej będę tu siedział, tym bardziej prawdopodobne, że powiem coś, czego nie da się zapomnieć - najpewniej związanego z nagrodą za badania empiryczne.

- O Rafim Ditko - rzekłem z napięciem. - Myślę, że czas już nawiązać współpracę.

J-J udała zaskoczenie, choć zapewne to wzmianka o Rafim sprawiła, że przekroczyłem jej próg. Zerknęła na Gila, który machnął wieloznacznie ręką, a potem na Gentle, która

kiwnęła głową.

- Znam tę sprawę, profesor Mulbridge - wymamrotała.

- Świetnie. - Jenna-Jane z powrotem skupiła uwagę na mnie. Sprawiała wrażenie lekko poruszonej. - Jeśli wybaczysz mi brutalną szczerość, Feliksie, Rafael Ditko to chyba ostatni temat, co do którego moglibyśmy znaleźć nic porozumienia.

J-J wysoko ustawia poprzeczkę, lecz nawet wedle jej standardów te słowa stanowiły mistrzowskie niedopowiedzenie. Od niemal roku toczyliśmy niewypowiedzianą wojnę o Rafiego. Zabrałem go z ośrodka opieki Stangera wyłącznie po to, by ochronić go przed jej chciwymi, lepkimi paluchami, i wiele razy powtarzałem, że gdybym miał do wyboru strzelić Rafiemu w głowę albo oddać go KOM, musiałbym rzucić monetą.

Zabawne, jak czasem nasze słowa powracają, by spuścić gacie i pokazać nam lśniący tyłek.

- Owszem - mruknąłem. - Ale czasy się zmieniają. Lecz zawsze mieliśmy coś co nas łączy, Jenno-Jane. Oboje chcemy, by Rafi żył. Przyznaję, z różnych powodów, ale jednak żył. Jestem zatem gotów współpracować z tobą, w zamian za gwarancję, że po ujęciu go nie poddasz się presjom z zewnątrz, nakazującym jego eliminację.

J-J zmarszczyła brwi.

- Presjom z zewnątrz? Zaczynasz mnie intrygować, Feliksie. Powiedz mi jednak, czy kiedykolwiek ugięłam się pod jakąkolwiek presją? Niezależnie od źródła?

Musiałem przyznać, że nie. Sam pomysł miał w sobie coś idiotycznego, jak Kuba Rozpruwacz otwierający drzwi przed niewinną staruszką ze słowami: „Nie, nie, panie przodem”.

Jenna-Jane splotła dłonie pod brodą, wysunięte palce wskazujące dotykały zaciśniętych warg. Przez kilka chwil zastanawiała się w milczeniu, podczas gdy ja - z braku innych możliwości - siedziałem, czekając na wyrok.

- Wiesz, gdzie jest Ditko? - spytała w końcu.

- Nie - przyznałem. - Nie wiem. Ale wpadłem na niego w Brixton zeszłej nocy i byłem dość blisko, żeby go dotknąć. - Nie widziałem powodu, by dodać, że to Asmodeusz dotykał, ja zaś w tym scenariuszu byłem zwierzyną, a nie myśliwym.

- On nie ma nam nic do zaoferowania, pani profesor. - Głos Gila McClennana ociekał pogardą. - Nasze zespoły są już blisko odnalezienia Asmodeusza. Nie potrzebujemy do tego Castora.

Jenna-Jane na moment zamknęła oczy. Współczułem jej. Mówiąc mi, że szukają Asmodeusza, McClennan natychmiast osłabił jej pozycję przetargową. To ciężka sprawa, żyć

w otoczeniu idiotów i lizusów, lecz każdy tyran musi dźwigać ten krzyż.

- Rzeczywiście, istnieją kwestie, w których moglibyśmy sobie pomóc - oznajmiła, zupełnie jakby Gil się nie odezwał. - Lecz, jeśli wybaczysz mi te słowa, Feliksie, nie zdołałeś mnie przekonać, że negocjujesz w dobrej wierze. Kiedy znajdziemy pana Ditko, dlaczego miałbyś oddać go mnie, zamiast wywieźć gdzieś samemu, tak jak już raz to zrobiłeś, gdy wykradłeś go z ośrodka opieki Stangera?

- Jenno-Jane, nikt nie wie, kto odpowiada za uprowadzenie Rafiego od Stangera - odparłem beznamytnie. - Wyraźnie jednak był to wyczyn zespołowy. Z tego, co słyszałem, brało w tym udział dwóch mężczyzn i kobieta. A jak ci wiadomo, ja działałem sam.

- Oczywiście. - Jej uśmiech był zimny i pełen napięcia. - Mimo to, pytanie pozostaje.

- Władze chcą załatwić sprawę Ditko - oznajmiłem. - I nie obchodzi ich, jak to się stanie. Dali wolną rękę Anathemacie Curialis, pozwalając, by rozwiązali problem dowolnymi metodami. Niemal na pewno wiązałoby się to ze śmiercią Rafiego w czasie próby zniszczenia bądź przepędzenia Asmodeusza.

Jenna-Jane przez moment przetrawiała w milczeniu moje słowa.

- Mów dalej - rzekła w końcu.

- Będę z wami współpracował. Wy będziecie podejmować decyzje i wszystkim kierować. Ja pozostanę doradcą, użyję wam też moich zdolności w razie potrzeby, sami zdecydujecie gdzie i kiedy. Cały czas będziesz kontrolować sytuację.

- Twoje zdolności - powtórzył z wyniosłą pogardą Gil.

Jenna-Jane zerknęła na niego przelotnie, jakby nieuprzejmość podwładnego sprawiła jej ból. A potem wygłosiła werdykt.

- Muszę się nad tym zastanowić. - Uniosła dłonie, jakby chciała pokazać, że zrobi to rozważnie i bez uprzedzeń. - Gil, może zechcesz oprowadzić pana Castora po naszym nowym ośrodku, podczas gdy ja przemyślę jego propozycję?

McClennan miał taką minę, jakby wolał połknąć żywą osę, lecz lizus i potakiwacz musi trzymać się scenariusza, inaczej straci swoją pozycję.

- Doskonale, pani profesor - zdołał wykrztusić. - Tylko górne piętra czy...

- Wszystko - przerwała Jenna-Jane. - Podlegamy audytowi publicznemu, Gil. Niczego nie ukrywamy.

Gil podszedł do drzwi i otworzył je. Ja zawahałem się, patrząc na J-J.

- Kiedy wrócisz, przekażę ci moją decyzję - oznajmiła.

Najwyraźniej nie mogłem się spodziewać niczego lepszego. Wychodząc za próg w ślad za McClennanem, zastanawiałem się, co takiego nie pozwoliło jej z miejsca udzielić

odpowiedzi. Kiedy drzwi gabinetu zamknęły się za nami, prowadziła już cichą naradę z Gentle, która kiwała głową i bazgrała coś szybko w notatniku.

* * *

Ontologia metamorficzna to fraza jednocześnie dźwięczna i kojąca, ukrywająca się nieśmiało za wielosylabowymi słowami z greki, niczym kokietka wyglądająca zza wachlarza. Oznacza naukę o nieumarłych: żalonną, nieporadną szamotaninę nauki, próbującej doścignąć najnowsze wydarzenia w zaświatach, zwłaszcza te dotyczące naszej rzeczywistości. Ontologia zagłębia się w naturę istnienia, metamorfoza to przemiana. Tłumaczenie: „Po śmierci ludzie zamieniają się w przerażające stwory. Pogadajmy o tym poważnie po łacinie”.

Jenna-Jane to jedna z pionierek tej dziedziny, a jej klinika OM u świętej Marii była pierwszą na świecie. Od tego czasu wielokrotnie ją kopiowano, a ona sama prowadzi lukratywny interes, doradzając innym szpitalom, jak to zrobić: jakiego personelu i środków potrzebują, ilu taserów, ile kajdan, ile metrycznych ton leczniczych narkotyków, i oczywiście, jak gruba ma być dźwiękoszczelna wyściółka ścian.

Jeśli sprawiam wrażenie nieco zrażonego do całego tego przedsięwzięcia, to dlatego, że kiedyś stanowiłem jego część i wiem, jak wygląda od środka. W związku z tym nie zachwycała mnie perspektywa dzisiejszej wycieczki, ale nie zamierzałem się spierać, jedynie mieć oczy szeroko otwarte. Znaj swojego wroga, jak głosi powiedzonko, zwłaszcza jeśli zamierzasz się z nim zaprzyjaźnić.

- To piętro administracji i personelu - oznajmił nadąsany Gil, idąc korytarzem, z powrotem do wind i schodów.

- Ilu macie egzorcystów? - spytałem.

- Trzydziestu.

Zagwizdałem cicho. Za moich czasów ta liczba wahała się od dwóch do sześciu. W razie potrzeby Jenna-Jane zatrudniała dodatkową pomoc, lecz wyłącznie na zlecenie. Obecnie musiała dysponować kolosalnym budżetem. Zastanawiałem się, czy w skład stałego zespołu wchodzi jacyś znajomi. Miałem nadzieję, że nie. Może to sami McClennanowie.

Minęliśmy kilka biur, bez wyjątku pustych. Większość okazała się większa niż gabinet J-J i lepiej umeblowana: najwyraźniej Jenna-Jane wzniosła swe pseudoklasztorne upodobania na nowe wyżyny. Na jednych drzwiach, wciśniętych w kąt pomiędzy toaletami i baniakiem z wodą, widniała zwieszła tabliczka, na której białymi literami na czarnym tle wypisano: Gilbert McClennan, łącznik do spraw ochotników i koordynator działań w terenie.

- Łącznik? - Wskazałem ręką.

Gil wzruszył ramionami.

- Rosie - mruknął z lekkim grymasem. - Organizuję dostawy mięsa.

- Subtelny dobór słów.

- A jak niby miałbym to nazywać, Castor? Zużywa ich coraz szybciej i szybciej. Nie wiem nawet, po co wciąż ją trzymamy.

Bo ściąga kasę, pomyślałem, lecz nie powiedziałem tego głośno. Bo uczeni z bliska i daleka przybywają tu, by obejrzeć ducha z piętnastego wieku, którego schwytaliście i uwięziliście między dwoma szkiełkami. Im zawdzięczacie nagłówki, a nagłówki to smalec, którym nacieramy patelnię. Była to jednak tylko połowa odpowiedzi. Dla J-J pieniądze to jedynie środek wiodący do celu.

Gil poprowadził mnie na dół na pierwsze piętro. Tu także odbywały się prace budowlane, lecz nie aż na taką skalę. Do ścian i podłóg przyśrubowywano potężne elementy wyposażenia. Wyglądały jak senne marzenia Wiktora Frankenstein. Podliczyłem szybko w głowie. KOM u Helen Trabinich miała zaledwie dwa piętra, i to w znacznie mniejszym budynku. Przeprowadzka co najmniej podwoiła skalę działań operacyjnych Jenny-Jane.

- Analityka - oznajmił Gil. - Obsługa techniczna i laboratoryjna. Tu właśnie przeprowadzamy analizy próbek krwi i tkanek. Prześwietlenia. Tomografia komputerowa...

Dotarliśmy do drzwi, za którymi pośrodku pustego pomieszczenia stał stół do sekcji, otoczony regałami pełnymi środków chemicznych i porcelanowymi rynnami odpływowymi. Wykładana białymi kaflami podłoga oślepiała bielą, a w powietrzu wisiał ciężki smród formaliny.

- I sekcje - dodał Gil - w razie potrzeby.

- Gdzie są wszyscy? - spytałem. - Mamy dzień powszedni, rano. Czy nie powinno się tu roić od ludzi?

- Oficjalnie przenosimy się w przyszłym tygodniu. Obecnie działa tu jedynie załoga szkieletowa.

Puenta narzucała się z taką siłą, że nawet nie zniżyłem się, by po nią sięgnąć.

- Wszystko tutaj - Gil, mając szansę zademonstrowania nowych błyszczących zabawek, zaczął się rozgrzewać - jest wyłącznie nasze. Cały ten sprzęt i laboratoria obsługują wyłącznie KOM. Reszta szpitala nie ma tu dostępu.

- Pewnie - zgodziłem się. - Boże uchwaj, żeby wasz tomograf miał posłużyć chorym, skoro macie do zabawy nowego wilkołaka.

Mój towarzysz wzruszył ramionami, obojętny na sarkazm.

- Zajmujemy się leczeniem głębszej choroby, Castor - rzekł. - Ale, jeśli chcesz, bardzo

proszę, siedź sobie na swych moralnych wyżynach i patrz, jak wzbierają wody. Zabierz przekąskę.

O mało nie zaśmiałem się w głos. Jakbym słyszał słowa i argumenty J-J, niemal niezmiennie od czasu naszych dawnych kłótni, zanim wyszedłem stąd, jak sądziłem, ostatni raz. Nadchodzi kres dni. Gwillam nazwałby go Armagedonem, J-J zdarzeniem nierównowagi, choć w istocie oznaczały to samo. Martwi staną do boju z żywymi o najwyższą pozycję w kruchym ziemskim ekosystemie, i po walce tej świat, jaki znamy, zacznie przypominać z wyglądu Nowy Orlean po przejściu huraganu Katrina. Cyceron mówił, że w czasie wojny prawo milczy; J-J uważa, że powinno się zamknąć także na czas wstępnej rozgrzewki. Nie może robić swojego, kiedy ktoś wciąż zawraca jej głowę pierdołami o prawach człowieka.

Odwrociłem się od drzwi, czując, jak śniadanie przelewa mi się w brzuchu. Gil nie wspominał ani słowem o pasach krępujących ręce i nogi ani o tym, po co zamontowano je na stole sekcyjnym. Ja sam nie pytałem, bo znałem już odpowiedź.

Po części problem tkwił w tym, że prawo nadal próbowało dogonić zmieniający się świat. Przez stulecia ludzkość opracowała obszerne kodeksy, mające chronić prawa żywych. Teraz mieliśmy jednak na głowie także nieżywych i nieumarłych i sądy wciąż bezradnie ślizgały się po powierzchni. Jeśli po śmierci wracamy na Ziemię albo w ciele, albo jako duch, to do kogo należą nasze pieniądze, dom i kolekcja płyt CD? Czy nadal będziemy mężem bądź żoną osoby sprzed chwili śmierci? Czy mam prawo spodziewać się, że przywitają nas z otwartymi ramionami, mimo że brak nam pulsu? Czy możemy zeznawać w sądzie? Wskazać gościa, który nas zamordował, albo lekarza, który spieprzył operację na otwartym sercu? Odbywały się precedensowe sprawy, a te same pytania zadawano w parlamentach całego świata. Za kilka lat być może powstaną prawne ograniczenia tego, na co dziś pozwalają sobie ludzie tacy jak Jenna-Jane. Na razie jednak *loup-garou* cieszył się taką samą ochroną prawną jak szczur laboratoryjny, a zombie miał prawa obywatelskie rozjechanego trupa.

Zeszliśmy na parter.

- Tu głównie prowadzimy terapię i rozmowy rozpoznawcze.
- Przesłuchania - przetłumaczyłem.
- Skoro tak wolisz.

Nie wolałem. Ale gdy szliśmy głównym korytarzem, mój zmysł śmierci zarejestrował słabe echo znajomej melodii.

- Bardzo poważnie dochodzimy do kwestii zabezpieczeń - mówił właśnie Gil. - Zwłaszcza tu i na poziomach piwnicznych. W każdym pomieszczeniu znajdziesz przyciski alarmu, są też rozmieszczone co osiem metrów wzdłuż korytarzy. Kamery telewizji

przemysłowej obejmują swoim zasięgiem cały teren, ze stuprocentową nakładką; monitoruje je w czasie rzeczywistym trzyosobowa ekipa. Czy raczej zaczniesz, kiedy wszystko uruchomimy. Na tym piętrze i na poprzednim mamy skrytki z bronią, w których trzymamy gaz obezwładniający, tasery i spraje pieprzowe.

- A kto dostarcza mięśniaków? - spytałem. - Czy to J-J ich tu ściągnęła? Wyglądają jak nazistowscy szturmowcy.

- Nie są przeciętną szpitalną ochroną, jeśli to miałeś na myśli, Castor - mruknął Gil. - Wiesz przecież, z czym mamy tu do czynienia. Jak myślisz, ile wytrzymałby przeciętny emerytowany policjant w starciu z *loup-garou*?

To, co mówił, miało pewien sens, lecz ponownie wyczuwałem to, czego nie dopowiedział: sama natura pracy Jenny-Jane wymagała poważniejszych i zdecydowanie bardziej pozbawionych skrupułów mięśniaków niż ci, których można zatrudnić w zwykłej firmie ochroniarskiej. Sądząc z wyglądu gości, których spotkałem w recepcji, wielokrotnie przekraczali pokiereszowaną i poobijaną cienką linię dzielącą prywatnych ochroniarzy od najemników.

Gil wciąż gadał - coś o zamkach i kodach - lecz jego słowa zagłuszało owo ulotne poczucie narastające z każdym krokiem. W końcu zatrzymałem się przed ciężkimi, pozbawionymi okienka drzwiami z zamkiem szyfrowym. Tabliczka na nich głosiła: nieupoważnionym wstęp wzbroniony, pod spodem widniała druga: wstęp tylko z eskortą.

Gil przeszedł jeszcze parę kroków i obejrzał się na mnie niecierpliwie.

- Co jest? - spytał.

Wskazałem ręką drzwi.

- Pomyślałem, że może zajrzę i się przywitam.

- Z kim?

- Z Rosie Crucis. Bo tu przecież ją trzymacie, prawda?

Zamiast odpowiedzieć, Gil wrócił i postukał zgiętym palcem wskazującym w tabliczkę nieupoważnionym wstęp wzbroniony.

- No to mnie upoważnij - zaproponowałem.

- Wal się - odparował kontrpropozycją.

Uznałem, że mamy impas.

Szliśmy dalej i, pokonawszy kilka zakrętów, w końcu znaleźliśmy się w szerszym korytarzu. Zamykały go wielkie metalowe drzwi, grube jak w skarbcu, na pierwszy rzut oka obwieszane licznymi ostrzeżeniami o zagrożeniu chemicznym niż kantyna w Czarnobylu. Na drugi rzut oka przekonałem się, że to wcale nie ostrzeżenia, lecz blokady z

rodzaju pentagramów, wytłoczone w stali, pomalowane kontrastowymi barwami i przykręcone do metalu drzwi. Wszystkie broniły dostępu, powtarzając w kilkunastu martwych językach filuterne wariacje na temat „jeszcze jeden krok, a będziesz bardziej martwy niż obecnie”.

Drzwi miały też całą kupę zamków - szyfrowy, jak u Rosie, czytnik karty i dwa zwykłe zamki ASSA Abloy najwyższej klasy. Gil otworzył je kolejno, a potem odwrócił się do mnie z ręką na stalowym drążku, który służył za klamkę.

- Czujesz jakiś zapach? - spytał z paskudnym uśmiechem na twarzy.

- Niby jaki?

- No, tak bezbłędnie wyłapałeś Rosie, że sądziłem, że może coś powiesz.

Pchnięciem otworzył drzwi i wówczas poczułem. Nie zapach - to tylko określenie Gila na obecność umarłych i nieumarłych. W mroku za drzwiami rozbrzmiała kakofonia, jakiej jeszcze nigdy nie słyszałem, atakująca mój zmysł śmierci.

Odruchowo cofnąłem się o krok, a potem kolejny, unosząc dłoń przed twarz, jakby w obronie przed fizyczną napaścią. Po drugim kroku ściana korytarza trąciła mnie w plecy i nie miałem już gdzie się cofać. Głośno przełknąłem ślinę, próbując opanować ów obłęd, podczas gdy Gil obserwował mnie z wyraźną satysfakcją.

- Zawsze tak to działa za pierwszym razem - rzekł. - Za drugim także. Wejdz i sam zobacz.

Pomaszerował w ciemność, nie oglądając się za siebie, by sprawdzić, czy idę za nim. To było szyderstwo i wyzwanie. Przekroczenie progu wymagało ogromnego wysiłku, jeszcze większego potrzebowałem, by nie przycisnąć rąk do uszu w bezsensownej próbie zablokowania dźwięków, które przecież nie uszy wychwytywały. Staliśmy na metalowej platformie, nasze kroki odbijały się niczym łomot bębna w przestrzeni znacznie większej niż zwykły pokój. Wokół zalegała nieprzenikniona ciemność, dopóki Gil nie przesunął dźwigienki na ścianie tuż obok drzwi. Wówczas w górze zapłonęło parędziesiąt reflektorów, przebijając ciemność i oświetlając olbrzymi, cementowoszary bunkier.

Gil podszedł do poręczy, oparł się o nią nonszalancko i spojrzał przed siebie. Po paru sekundach ruszyłem w jego ślady. Głowę nadal tak bardzo wypełniał mi głuchy rezonans, że ledwie wyłapywałem głos towarzysza - jedyny prawdziwy dźwięk pośród psychicznego zamętu.

- To wszystko jest nowe - oświadczył.

Pod nami ciągnęło się pomieszczenie przypominające olbrzymi magazyn, podzielony na mniejsze części nie regałami ani pojemnikami, tylko wielopiętrowymi strukturami, jakby

solidniejszymi wersjami tymczasowych biur wznoszonych na budowach. To jednak nie były przenośne kontenery, lecz fortyfikacje z pustaków ze stalowymi drzwiami, pozbawione okien - a drzwi tkwiły dość blisko siebie, by dać pojęcie o ukrytej za nimi przestrzeni: w środku musiało być dość miejsca, by zamachnąć się ręką, ale bez zbytniego entuzjazmu.

Pomiędzy blokami ciągnęły się stalowe schody i pomosty, a przestrzeń między nimi - szerokie korytarze z podłogami ze stalowych kratownic - co dziesięć stóp dzieliły bariery z metalowej siatki z bramkami. Chwilowo nikt ich nie pilnował, a wszystkie bramki stały otworem: zapewne zamykały się automatycznie w razie nieuprawnionego otwarcia którejś celi, tak by mieszkaniec grobu z widokiem nie zawędrował zbyt daleko.

- Dwieście czterdzieści cel - oznajmił Gil. - Na wypadek gdybyś próbował je policzyć. Ale w niektórych są dwie albo trzy prycze, a każdą z nich wyłożono srebrem - trzydzieści tysięcy metrów kwadratowych blachy ze stopu jedna trzecia srebra, dwie trzecie stali - osobisty projekt profesor Mulbridge. Wiesz, jak to działa na nieumarłych i pomioty piekieł. To pomieszczenie jest wielkości całego budynku. A kiedy go dostaliśmy, w ogóle nie istniało. Takimi środkami obecnie dysponujemy, Castor. Rzuciłeś tę pracę akurat, gdy nasza operacja zyskiwała rozmach.

Ostre, urywane akordy umarłych i nieumarłych zamkniętych w celach poniżej wciąż wibrowały w moim układzie nerwowym. Po trzech próbach przełknięcia śliny całkowicie zaschło mi w gardle. Powiodłem wzrokiem po ich chałupniczym Alcatraz.

- Ta - wychrypiałem. - Chyba się rozpłaczę.

Gil obrócił się ku mnie, z pogardą wyginając wargi.

- Mój Boże - rzekł - czemu wciąż się tym zajmujesz?

Uznałem, że nie ma sensu tracić oddechu na udzielanie odpowiedzi.

- Chcesz zobaczyć, co tu trzymamy? - spytał. - Czy mamy wracać na górę, żeby profesor Mulbridge mogła ochłodzić ci twarz moką szmatką?

- Nic mi nie jest - rzekłem.

Obróciłem się plecami do rozkrzyczanej sali i wyszedłem z bunkra na główny korytarz. Gil nie poszedł za mną, a przy otwartych drzwiach ogłuszający hałas nie milkł.

To właśnie wada bycia egzorcystą. Nasze zmysły, przystosowane do mroku, pozwalają nam ujrzeć odwróconą tęczę w miejscu, gdzie niewierni Tomasz widzą jedynie nieprzeniknioną czerń, ale też nie możemy ich wyłączyć. Zamknięcie oczu i zatkanie uszu nic tu nie daje.

Gil wyraźnie napawał się moją reakcją. Oparty o framugę, z rękami splecionymi na piersi, obserwował, jak się pocę.

- Dwa bloki na samym końcu - rzekł, postanowiwszy i tak mnie uświadomić - to wyłącznie zombie. Blok Alfa to badania czynników rozkładu. Bravo to toksykologia. O dziwo, da się otruć ŻW, jeśli tylko odpowiednio dobrać składniki. Najlepiej działają środki przyspieszające rozkład komórkowy albo atakujące mięśnie. Charlie do Echo to *loup-garous*. Przerabiamy ich całe mnóstwo, bo nasze badania skupiają się głównie na wektorach niekompatybilności - metodach wypędzenia ludzkiego ducha z ciała zwierzęcego tak, by z powrotem zamieniło się w zwierzę. Zazwyczaj bywa to nieodwracalne, bo każdy nowy wilkołak to zasób nieodnawialny. Fokstrot i Golf - o, to prawdziwy cyrk. Trzymamy tam podmioty nieklasyfikowalne. Tak jak naszego lokalnego wampira - jeśli to faktycznie wampir. Parę transferów z innych działów, w których uwięzły dusze niegdyś znanych ludzi i trzeba je poddać duchoktomi. Częściowo przemienione *loup-garous*, które utknęły w połowicznym stanie i nie mogą się z niego wydostać. Drobniejsze demony, które zdołaliśmy wywołać.

- A kiedy wrócimy do hotelu, będziemy się pieprzyć...

Odszedłem, pozostawiając mu zadanie zatrzaśnięcia drzwi i wszystkich zamków. Trochę to trwało, zdołałem zatem samotnie wrócić na drugie piętro, nie śpiesząc się, tak by przed powrotem do gabinetu Jenny-Jane dźwięczenie w uszach ucichło, a puls wrócił do normy.

Tym razem zastałem ją samą. Pisała właśnie mejla, lecz na mój widok uniosła głowę i obróciła krzesło. Obdarzyła mnie kolejnym ze swych uśmiechów. Tym razem widziałem w nim ukryte ognie Armagedonu.

- Wymagało to pewnych ustaleń - oznajmiła. - Ojciec Gwillam żywił nadzieję, że na czas trwania tej drobnej potyczki oddamy mu do dyspozycji wszystkie zasoby KOM. Musiałam jednak go rozczarować. Odpowiedź brzmi: tak, Feliksie, będę z tobą współpracować w sprawie Ditko.

- Zmieniłem zdanie - odparłem ponuro. - Jeśli chodzi o Gwillama, rób co chcesz. Lepiej, by Rafi zginał, niż trafił tutaj.

- Nie będziemy go tu trzymać, Castor.

Zamrugalem. Wciąż musiałem być zdezorientowany po wizycie w piwnicy i frontalnym ataku na mój szósty zmysł.

- Słucham?

- Odstawimy go z powrotem do Stangera. Twój przyjaciel będzie bezpieczny. Pomożemy ci nawet, jeśli tylko zdołamy, w usunięciu demona z jego ciała.

Zaśmiałem się.

- J-J, właśnie zwiedziłem twoje zoo, więc wiem, że podczas mojej nieobecności nie zamieniłaś się w matkę Teresę.

- Nie - zgodziła się. - To nie altruizm. My ci pomożemy, a ty pomożesz nam. Ja dam ci Rafaela Ditko, a ty dasz mi...

Zawiesiła wzrok, jakby prowadziła jakąś grę i chciała, żebym sam zgadł.

- Co takiego? - spytałem.

- Siebie, Feliksie. Wrócisz tu i znów będziesz dla mnie pracował.

ROZDZIAŁ 6

- „Podejrzani” - powiedział Nicky Heatch. - „Trzy dni kondora”. I „Zaginiony” Costy Gavrasy.

Nicky pachniał Old Spice'em, tłumiącym inne, ostrzejsze chemiczne wonie, a ciemne plamy na jego śmiertelnie białej skórze były bardziej widoczne niż zwykle. Nie żył od pięciu lat i w sumie radził sobie całkiem nieźle, lecz strata usług Imeldy Probert mocno mu dokopała. Nim Asmodeusz ją zabił, Lodownia była uzdrowicielką umarłych: przykładając dłonie, potrafiła ponoć obniżyć temperaturę zombie i spowolnić proces rozkładu. Dla mnie to brzmiało jak sterta bzdur, lecz Nicky regularnie korzystał z jej usług i stanowił niezwywy dowód, że to, co robiła, faktycznie działało. Teraz jednak znów musiał ograniczyć się do własnych metod.

Nicky pilnuje zawsze, by w budynku Walthamstow Gaumont, od dawna opuszczonego i niedawno odremontowanego kina, w którym mieszka, było zimno jak w szufladzie Eskimosa, a co kilka dni przepłukuje swój organizm upiornie zjadliwą mieszanką środków chemicznych, praktycznie pekując ciało tak, by się nie zepsuło. Niestety, sądząc po jego wyglądzie, przechodził właśnie poważny kryzys. Uznałem, że najtaktowniej będzie o tym nie wspominać, a ponieważ wszedłem akurat, gdy szykował kolejny potrójny seans, miałem na podorędziu inny wygodny temat.

- Tracisz formę, Nicky - zauważyłem. - Od razu widzę, co łączy te trzy filmy.

- I co z tego?

Nicky zachował się jeszcze bardziej bezceremonialnie niż zwykle. Coś go gryzło, mówiąc w przenośni. Jeśli jednak miał pretensję o moją rolę w śmierci Imeldy, to nie czułem się jeszcze na siłach, by poruszyć ten temat. Po raz dwudziesty tego dnia ogarnęło mnie przemożne, niemal dławiące pragnienie, żeby urznąć się w trupa. Nicky ma jedną z najlepszych piwnic winnych w Londynie, sam jednak ogranicza się do wciągania nosem bukietu wina, co czyni z niego idealnego kompana pijackich podróży do krainy zapomnienia, bo sam zawsze zachowuje trzeźwość i może nas odwieźć do domu. W tej chwili jednak nie mogłem sobie pozwolić na podobną wycieczkę.

- Ano to, że zazwyczaj kiedy urządzasz potrójny seans, to filmy łączy fakt, że głównym elektrykiem planu był Filboyd Strudge, czy coś podobnego. Miło widzieć, że

zdecydowałeś się na coś tak oczywistego, jak thrillery o teoriach spiskowych.

- Metaspiskowych - poprawił Nicky, nakładając rolkę filmu na mocny uchwyt projektora.

Przebywaliśmy w kabinie projekcyjnej, tak zimnej, że oddech nie tylko parował mi w powietrzu, ale wisiał w nim niczym gęstniejąca mgła, która nie chce się rozejść. Nicky nie zwracał uwagi na chłód. Może i go nie lubi, ale mu nie przeszkadza, podczas gdy jasne słońce sprawia, że natychmiast zaczyna szukać schronienia. Jeśli poważnie podchodzi się do bycia zombie, trzeba stać się narcyzem co najmniej w takim stopniu, jak zawodowy kulturysta. Wypływa się na wody wieczności ciekącą łodzią, toteż obsesyjne podejście do szczegółów bardzo pomaga. Nicky urodził się do takiego życia.

- Metaspiskowych - powtórzyłem beznamiętnie, zachęcając, by podał puente.

- To wszystko filmy, w których spisek stanowi część większego spisku - wyjaśnił. - Kiedy myślisz, że już wszystko zrozumiałeś, lecz tak naprawdę zdarłeś jedynie pierwszą warstwę tapety. Coś jak sny, w których budzisz się zlany potem, lecz w istocie nadal śpisz, i to jest tylko kolejny sen.

- Jasne - mruknąłem - kumam. Czy tak właśnie widzisz ten świat, Nicky?

- Taki właśnie jest ten świat, Castor. Po prostu nie doszedłeś jeszcze do tego, kto śni o tobie. Może Jenna-Jane Mulbridge, bo ta świrnięta supersuka ma wyraźnie do ciebie słabość.

Mruknąłem coś wieloznacznie. Ta rana nadal pozostawała świeża. Lecz Nicky'emu najwyraźniej spodobał się temat.

- I co jej powiedziałaś? - spytał. - Użyłeś tylko przymiotników? Gestów? Odtwórz mi wszystko w zwolnionym tempie.

- Po prostu wyszedłem - rzekłem i tak było w istocie.

Nie ufałem samemu sobie, nie odpowiedziałem zatem Jennie-Jane, bo bałem się, że rzucę jej się do gardła, co natychmiast ściągnęłoby mi na kark jej rozwścieczonych kieszonkowych nazistów. Odwróciłem się zatem na pięcie i ruszyłem do drzwi, mijając Gila McClennana, którego twarz przepełniało wzgardliwe rozbawienie. J-J wypuściła mnie bez słowa. Kiedy demony próbują ukraść ci duszę, to przynajmniej warczą, wyklinają i naprawdę przykładają się do rzeczy.

Nicky sprawiał wrażenie zawiedzionego. Najwyraźniej liczył na bardziej dramatyczną scenę. By zapobiec dalszym pytaniom, uniosłem telefon, na którego ekranie widniał kawałek szarego kamienia z ogródka Pen, ozdobionego czerwonym pentagramem. Nicky przyglądał mu się parę sekund, mrużąc oczy, a potem machnął ręką.

- Mój wzrok nie rejestruje tak małej rozdzielczości - rzekł. - Masz coś większego?

- Tylko to - odparłem. - Nie możesz tego powiększyć?

Nicky z powrotem skupił się na taśmie filmowej, którą przeplatał przez skomplikowaną serię rolek i uchwytów projektora.

- Pewnie tak - przyznał niechętnie. - Prześlij to na mój telefon. Zobaczę, co da się zrobić.

Podczas gdy nadal pracował nad filmem, ja ułożyłem SMS-a, załączając zdjęcie, i wysłałem na komórkę Nicky'ego. Długo to trwało, bo kiepsko sobie radzę z technologią, w końcu jednak jego telefon zabuczał i Nicky sięgnął do kieszeni, by go wyłączyć. Potem musiałem zaczekać, aż przesunie główny włącznik prądu i uruchomi projektor, żeby się rozgrzał. Zostawia to na ostatnią chwilę, z powodów, które już znacie: w świetle Nicky'ego ciepło nie jest czymś dobrym.

Nawet nie spojrzął na ekran własnej komórki, bo nadal dotyczył go problem wielkości; po prostu puścił wiadomość na jeden ze swych komputerów za pomocą bezprzewodowego fiku-miku i tam go otworzył.

- Przywołanie - rzekł natychmiast, jakby w ogóle nie przeczytał wypisanych na amulecie słów.

- Skąd wiesz? - spytałem ostro.

W końcu to ja byłem praktykującym egzorcystą, więc wkurzyło mnie trochę to, że Nicky wygłasza mi wykłady na temat mojego fachu. Z drugiej strony, nigdy szczególnie nie interesowałem się tradycją grimoirową, która szczyli się proporcjami rozsądku do pierdół w okolicach jednego do tysiąca.

- Układ runów pomiędzy kręgiem zewnętrznym i wewnętrznym - wyrecytował z roztargnieniem Nicky. - Obecność promieniujących na zewnątrz linii w pięciu negatywnych punktach, określonych przez pięć ramion pentagramu. Użycie znaku alef w zastępstwie świec, tak jak w rytuale z Gottenburga.

- No dobra - ustąpiłem, przyznając mu punkt - to przywołanie. A co przywołuje?

- Nie jestem pewien - przyznał Nicky. - Daj, sprawdzę. Zaczął stukać na klawiaturze, otwierając kolejne pliki. Co najmniej jednym była tabela z literami aramejskimi. Kolejnym seria zeskanowanych stron z bardzo starej książki - prawdopodobnie jednego z owych wspomnianych już totalnie pojebanych grimoirów. Podczas gdy Nicky przeczesał sieć, mamrocząc do siebie, ja podszedłem do okna w kabinie operatora, wychyliłem się i spojrzałem z góry na salę w dole. Była pusta i milcząca: zazwyczaj Nicky odtwarza swe filmy dla jednoosobowej widowni. Nie była jednak tak całkiem pusta.

W samym środku pierwszego rzędu siedziała samotna postać, ledwie widoczna

sylwetka w rozproszonym świetle padającym z ekranu. Ktoś oglądał początkowe napisy „Podejrzanych”. Ktoś milczący i nieruchomy.

- Tlullika - odezwał się za moimi plecami Nicky. - Albo może Tlallika. W zależności od tego, czy ten znak diakrytyczny miał być zakończony łukiem, czy ostro.

- A kim jest Tlullik?

Nicky obejrzał się na mnie i wymownie wzruszył ramionami.

- Nigdy o nim nie słyszałem - rzekł. - Czy może o niej. O tym. O nich. Pewnie to demon, sądząc po imieniu, ale raczej nie z tych najważniejszych, bo gdzieś bym się na niego natknął. Najwięksi gracze pozostawiają wyraźne ślady.

- Nicky, ten pentagram namalowano na kamieniu wciśniętym pod rododendrony Pen - oznajmiłem. - Sądziłem, że sama to zrobiła, ale nekromancja to nie jej działka. Myślisz, że Asmodeusz może próbować jakoś ją dopaść?

Nicky przytaknął, lecz nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- To możliwe - mruknął. - Jeśli ktoś chce doprowadzić cię do obłądu, może wezwać pomniejszy pomiot piekielny, by wśliznął się do twojej głowy i kompletnie tam namieszał. To nowa moda w kręgach gangsterów - w dzisiejszych czasach, jeśli nie masz na podporządku demona, jesteś nikim.

Ale jeżeli stoi za tym Asmodeusz, to stosuje dwie zupełnie odrębne metody. Według raportu policyjnego, Ginny Parris przebił ostrym końcem odłamanej nogi od stołu. To niezbyt pasuje do czajenia się w krzakach z niezmywalnym markerem.

Oczywiście miał rację. Ale jeśli nie Asmodeusz, to kto? Jeżeli to nie Pen była adresatem, ale ja, możliwości można uznać za niemal nieograniczone. Nie brak ludzi dość na mnie wkurzonych, by poszukali w piekle pomocy, żeby mi dowalić.

- Możesz się dowiedzieć, czym jest ten Tlullik? - spytałem Nicky'ego.

- Mogę spróbować. Już skończyliśmy?

- Jeszcze jedno.

Nicky wywrócił oczami na znak, jak mało wiary pokłada w zawartej w tym zdaniu liczbie „jedno”.

- Mógłbyś się dowiedzieć, czy Rafi Ditko ma jakichkolwiek żyjących krewnych bądź przyjaciół, poza tymi, których znam z Oksfordu?

- To dość otwarta lista, Castor. Ile to jest warte?

- W tej chwili - przyznałem - więcej niż mogę zapłacić. Ale znam faceta, który zna pewną babkę, która zna pasterza z Jemenu, który może mi załatwić jam session Lestera Younga z lat czterdziestych.

Dla Nicky'ego wczesny jazz to jak heroina dla ćpuna, dołożył jednak wszelkich starań, by zachować obojętną minę. Wypuścił głośno powietrze, które wcześniej specjalnie w tym celu wciągnął w płuca.

- Jam jutro... - rzekł głosem ociekającym ironią.

- Ten jam ma siedemdziesiąt lat - przypomniałem - nie zepsuje się w jeden dzień. Słyszałem, że to ciekawy okaz. Na szlaku, z odręczną notatką Shada Collinsa na okładce.

- Zobaczą, co da się zrobić, Castor.

- Tylko o to proszę, Nicky.

- Poważnie? - Nicky obejrzał z uwagą paznokcie, pocierając skórę palcem drugiej dłoni. - Zdumiewasz mnie. Spodziewałem się, że spytasz raczej: „Jak wygnać demona z najbliższego przyjaciela?”. Coś w tym guście.

Na widok złośliwego uśmiešku, który skaził jego wystudiowane wyluzowaną minę, poczułem ochotę, żeby wyjść, nie zadając pytania. No, pewną rolę odegrał też fakt, że przerabialiśmy to ze sto razy, kiedy Rafi siedział u Stangera, i nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby zadziałać. Ale nawet gdy nadzieja nie wygrywa z doświadczeniem, nadal potrafi przekonać nas do działania.

- Wpadłeś na jakiś trop, Nicky? - spytałem.

- Na jakiś - przyznał. - Wciąż próbuję poskładać to wszystko do kupy. Spytaj mnie podczas następnych odwiedzin.

Miałem już wyjść, lecz po drodze do drzwi musiałem minąć okna i znów spojrzałem w dół na salę. Sylwetka wciąż tam tkwiła; nie poruszyła się nawet o milimetr. Było w niej coś bardzo znajomego.

- Nicky - zagadnąłem - twój gość...

Obróciłem się i spojrzałem na niego. Miał minę człowieka, który bardzo, bardzo długo czekał, aż bomba wybuchnie, i ze zdumieniem i smutkiem odkrył, że zabrało to tak wiele czasu.

- Czeka na ciebie od trzech godzin - oznajmił. - I jest w parszywym nastroju. Gdybym był na twoim miejscu, wołałbym, żeby po mnie nie przyszła.

* * *

Juliet wpatrywała się bez mrugnięcia w ekran, obserwując perypetie Kevina Spaceya bez śladu empatii czy zainteresowania.

Z początku sądziłem, że Nicky przesadził. Nie sprawiała wrażenia wściekłej ani poruszonej; w istocie siedziała nienaturalnie nieruchomo, jak jeden z żelaznych ludzi

Antony'ego Gormleya, który zrobił sobie przerwę od tkwienia na ulicy.

Kiedy jednak otworzyłem usta, by wymówić jej imię, odwróciła się i spojrzała na mnie. Jej oczy płonęły w mroku czerwonym światłem, jarząc się jak u kota.

- Castor - powiedziała.

Głos Juliet dźwięczał niczym basowy akord, który wzbudził wibracje w mych wątpiach i kroczu.

- Hej - odparłem lekko, zajmując miejsce trzy fotele od niej. To oznaczało, że mogłem patrzeć w ekran zamiast w owe oczy. Nie chodziło o to, że czerwone oczy miały stanowić nietypowy atrybut demona. Po prostu nigdy wcześniej nie widziałem ich u Juliet i o mało nie zesrałem się w gacie ze strachu. - Różyczka to jego sanki.

Juliet nie załapała dowcipu i nie spytała o wyjaśnienie. Poczułem, jak po policzku rozlewa mi się fala psychosomatycznego gorąca. Nadal wpatrywała się we mnie poprzez mrok, który ukrywał mnie przed nią równie skutecznie jak gustowna narzutka kamufluje nosorożca.

- Rozmawiałeś z Sue - rzekła tym samym niskim, wibrującym głosem.

- Zgadza się - przytaknąłem. - Ona... martwi się o ciebie. I ja też. Czy dzieje się coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Powinieneś wiedzieć, że nie możesz rozmawiać z nią za moimi plecami - warknęła Juliet.

Na te słowa znów spojrzałem jej prosto w oczy.

- Za twoimi plecami? - powtórzyłem. - Juliet, zrobiłaś jej krzywdę. Zrobiłaś jej krzywdę i ją przeraziłaś. Uważasz, że nie powinna chcieć o tym rozmawiać?

Juliet wstała, ja także. Nie miałbym większych szans w starciu z nią na stojąco, ale stare odruchy „walczyć bądź uciekaj” nie umierają łatwo. Wpatrując się w jej ponurą twarz, zastanawiałem się, czy mnie przypadkiem nie czeka to samo.

- Co moje, to moje, Castor - rzekła Juliet. - Wiesz, co mogę ci zrobić, więc mówię ci: zostaw ją w spokoju.

O, rany. Znaleźliśmy się na naprawdę grząskim gruncie, ale nigdy dotąd nie pozwoliłem, by ten fakt powstrzymał mnie przed stepowaniem.

- Juliet - powiedziałem - ona do ciebie nie należy. Rozmawialiśmy o tym na samym początku, kiedy zaczęłyście... - Zawahałem się.

Zwyczajowe określenie to „chodzić ze sobą”, lecz z tego, co pamiętam, Juliet i Sue spędziły większość pierwszego miesiąca swego związku w sypialni, opuszczając ją zaledwie po to, by wystawić za drzwi puste butelki po mleku i nakarmić kota. Kiedy nawiązuje się

romans z sukubem, trzeba być gotowym na odpracowanie licznych godzin w łóżku - i pewnie też na kanapie, dywanie, kuchennym stole i regale z książkami. Zdecydowałem się zatem na „się spotykać” i szybko ruszyłem dalej, by nie zwracać uwagi na tę niezręczną przerwę.

- Sue nie jest twoim zwierzątkiem czy miłą, ciepłą sekszabawką. Jest ludzką istotą. Wiem, że dla ciebie znaczy to coś innego niż dla mnie. Ale na miłość boską! Nie możesz jej sobie brać i odstawiać, kiedy zechcesz, nie możesz dyktować, co ma robić i z kim rozmawiać, i nie możesz bić jej na kwaśne jabłko, kiedy nie przyjdzie, gdy na nią zagwizdziesz. Zrozumiano?

Juliet się zaśmiała. W tym śmiechu wyczułem lodowaty chłód.

- Kto ma mi mówić, że nie mogę tego robić? - Jej głos pieścił mnie szorstko niczym koci język. Idealnie panuje nad jego harmoniami i doskonale wie, co robi. W tym momencie wiedziała, że wywołuje u mnie boleśnie intensywny wzwód; miał to być pokaz siły, przypomnienie, co jeszcze mogłaby zrobić, gdyby zechciała. - Ty, Castor? Ty chcesz mi rozkazywać? Mogłabym potraktować to poważnie, gdyby za twoimi słowami stało coś więcej niż czysta bezczelność. - Postąpiła krok ku mnie, jej płonące oczy błyszczały w mroku niczym reflektory. Jeszcze jeden krok i znalazła się tuż przede mną, skłaniając głowę ku memu gardłu. - Ale nie stoi - wyszeptała mi do ucha. - Prawda?

Przecisnęła się obok, pozwalając, by jej pierś na moment musnęła mi ramię. Niewielki skrawek skóry, który poczuł ów kontakt, mrowił jeszcze chwilę, jak potraktowany prądem elektrycznym.

Na ekranie nad i za moją głową Spacey mówił właśnie, że największy wyczyn diabła to przekonanie ludzi, że on nie istnieje.

Serce waliło mi jak młotem. Nozdrza wypełniał jej seksualny zapach, a umysł pornograficzne obrazki. Coś wewnątrz mnie wciąż się wznosiło, otwierało, gotowe wyjść jej na spotkanie, kiedy pożre mnie i odrzuci, ale kryzys minął. Juliet jedynie podkreśliła swoje słowa, nie próbowała mnie zabić.

Znów usiadłem, a potem osunąłem się na kolana, bo nagle dopadła mnie fala bezdomnych hormonów, uderzających o ściany naczyń krwionośnych niczym miniaturowy przypływ. Mój umysł unosił się na nim jak żalosna arka Noego, uwożąc dwie samotne, ocalałe szare komórki.

Kiedy znów odzyskałem wzrok, uniosłem głowę i zobaczyłem Juliet stojącą na końcu rzędu równie nieruchomo jak wcześniej. Odwróciła się do mnie plecami, lekko pochylając głowę.

- Nie wiem, co się stało - powiedziała. Jej głos zabrzmiał głucho i bezdźwięcznie.

- Chcesz powiedzieć, że straciłaś panowanie nad sobą? - przetłumaczyłem.

- Chcę powiedzieć, że nie wiem, co się stało. Uderzyłam ją. Zraniłam. Nie podjęłam żadnej świadomej decyzji. Czy raczej... moment decyzji został jakby skasowany. Jego miejsce zajęło działanie.

Ponownie podniosłem się z ziemi, częściowo po to, by sprawdzić, czy mi się uda, a częściowo dlatego, że czułem się głupio, przemawiając z moralnych wyżyn tak blisko podłogi. Juliet nie odwróciła się ku mnie.

- Przypuśćmy, że zobaczyłabyś faceta tłukącego żonę bądź kochankę - powiedziałem - a on tłumaczyłby ci się w równie bzdurny sposób?

Juliet westchnęła i zabrzmiało to dziwnie niepokojąco.

- To faktycznie bzdury - przytaknęła - ale jednocześnie prawda. W młodości taka właśnie byłam: podążałam za odruchami, bo pojawiają się szybciej niż myśli, a dopiero potem zastanawiałam się, co oznaczają.

- Kiedy byłaś młodsza... - powtórzyłem.

- Twoja rasa nie wynalazła jeszcze języka pisanego.

Uniosła rękę, zaciskając pięść, a potem rozprostowując palce, jakby chciała pokazać, że rezygnuje z próby autoanalizy.

- To dziwne - dodała. - Kiedy wyobrażam sobie, że ktoś inny robi jej krzywdę, czuję gniew. Zwykły, prosty, silny gniew. To podniecające.

Uznałem, że chyba się przesłyszałem.

- Jakie?

- Podniecające - powtórzyła niecierpliwie Juliet. - Myśl o skrzywdzeniu kogoś, kto zraniłby Sue, mnie podnieca. O tym, że ukarałabym go za to, że błagałby o życie, a ja pochłonęłabym go mimo jego błagań. Takie myśli są bardzo przyjemne. - Nie potrafiłem zinterpretować jej kolejnego gestu: nagłego, szybkiego ruchu ramion. - Jeśli uznam, że naprawdę mogłabym ją skrzywdzić - wymamrotała - odprowadzę ją.

- Jak myślisz, jak długo przeżyje?

Juliet odwróciła się częściowo, patrząc na mnie przez ramię w niemym pytaniu.

- Daj spokój - dodałem z irytacją - raz jeden pocałowałaś mnie dwa lata temu i wciąż budzę się zlany potem. Ona dzieliła z tobą łóżko przez szesnaście miesięcy. Jeżeli ją odeślesz, Juliet, rozsypie się i wypali szybciej niż pieprzony Hindenburg.

Juliet się skrzywiła.

- Owszem, to możliwe. Albo może przetrwa, tak jak ty. Nie odpowiadam za każdego mężczyznę bądź kobietę, którzy powąchają moje krocze, Castor.

Wyraźnie czekała, aż się z nią nie zgodzę, uznałem jednak, że warto, by jej słowa chwilę powisiały w powietrzu. Niosły w końcu ze sobą całkiem wymowny obraz.

- Nie mówiłam serio - dodała Juliet po pełnej napięcia ciszy. - Nie zrównuję jej z tobą.

- Dzięki.

- Ani z tymi, na których polowałam. Nas łączy coś innego, to... - Wyraźnie szukała właściwych słów, próbowała jednak wyjaśnić coś, co nie podlega wyjaśnieniom, nie tylko dla niej, lecz dla każdego, kto pragnął szybkiego numerku, ale dostał więcej niż zakładał. - To nie polowanie - dokończyła z napięciem.

- Powiedz jej, że żałujesz - zaproponowałem.

- Zajmij się swoimi sprawami - warknęła.

Ruszyła do drzwi. Zamierzałem ją zawołać i spytać o Tlallika, czy może Tlullika, ale stchórzyłem. Owszem, Juliet jest zdumiewająco otwarta w kwestiach seksualnych, ale kiedy w grę wchodzi jej własna rasa, błyskawicznie się zamyka. A jeśli twój palec zostanie w owych drzwiach, z łatwością możesz go stracić. Ostrzegła mnie przed tym bardzo wyraźnie, i to całkiem niedawno.

Usiadłem ciężko. Teraz, kiedy zniknęła, nie musiałem już zachowywać pozorów.

- I jak poszło? - spytał Nicky.

Uniosłem głowę i zobaczyłem, że stoi nade mną. Co zaskakujące, w rękach trzymał strzelbę.

- Mogło pójść lepiej - przyznałem, słysząc lekkie drzenie własnego głosu. Miałem nadzieję, że tego nie zauważył.

- Uprzedzałem cię, że jest wkurzona.

- Zgadza się. Uprzedzałeś. Nicky, co to ma być?

- Hołd.

- Dla?

- Czyjegoś świetnego pomysłu. Sam mówiłeś, że kiedy pierwszy raz Juliet próbowała zakochać cię na śmierć, twoja gospodyni strzeliła do niej z wiatrówki naładowanej koralikami z różańca. Bardzo mi się to spodobało. A że żyjemy we wrogim świecie, trzymam to małeństwo stale naładowane. Dwanaście uncji w każdej lufie.

Potrząsałem głową, próbując oczyścić umysł.

- Jezu! Masz pozwolenie?

- Jestem martwy, Castor. Prawo nie dotyczy umarłych. Z legalnego punktu widzenia to broń bez właściciela.

Próbowałem wstać i udało mi się to z zaledwie lekkim zachwianiem. Nicky nie

wyciągnął ręki, by mnie przytrzymać, ale też tego nie oczekiwałem. Jak mówiłem, obsesyjnie strzeże własnego ciała, a jeszcze mocniej kości. Stracił już możliwość gojenia ran i obrażeń.

- Dzięki, że przyszedłeś mi z pomocą, człowieku w masce. - Odsunąłem lekko lufy dubeltówki, żeby nie patrzeć im prosto w oczy.

- Hej, dla Lestera Younga mogę się trochę przyłożyć. Słabo mi wyglądasz, Castor. Cokolwiek ci zrobiła, trafiła w czuły punkt. Powinieneś wrócić do domu i to odespać.

Skinąłem głową, wiedząc, że tego nie zrobię.

- Zajmij się tym amuletem, Nicky. Chcę wiedzieć, czym jest Tlullik i co robi.

- Zadzwoń - obiecał Nicky. Spojrzał na ekran, na którym Sabriel Byrne prowadził swą dysfunkcyjną ekipę na pewną śmierć, próbując wykraść nieistniejące bogactwa nieistniejącemu pracodawcy. Spisek w zderzeniu z metaspiskiem. - Przypuszczam, że po prostu wraca do siebie - zastanawiał się głośno. - Demony są jak borsuki: niełatwo je oswoić. Ale jeśli zdziczeje, Castor...

Nie musiał kończyć zdania, a ja nie dokończyłem go za niego. Moi przyjaciele już i tak stanowią zagrożony gatunek, a starcie z Juliet, niezależnie od wyniku, oznaczałoby stratę kolejnego. Oczywiście, zakładając optymistycznie, że ja sam bym przeżył.

Zostałem do końca na potrójnym seansie Nicky'ego. Zupełnie jakbym oglądał rodzinne filmy.

Dochodziła północ, kiedy wyszedłem z Gaumonta i skierowałem się do metra. Nicky otworzył butelkę libańskiego wina - jak przysięgał, równie dobrego jak francuskie *premier cru* - a ja opróżniłem ją niemal całą. Czułem się jednak przygnębiająco trzeźwy, gdy wskoczyłem do ostatniego pociągu do Londynu, tak by móc się dotoczyć na Turnpike Lane.

Zazwyczaj w metrze świetnie mi się myśli. Niewiele ludzi umiera w pociągach, a kiedy poruszam się szybko, nie odbieram emocjonalnego rezonansu otaczającego mnie świata. Radio Śmierć nie nadawało. Byłem sam z własnymi myślami. Problem w tym, że moje myśli tworzyły jeden wielki skłębiony wir.

Asmodeusz wciąż przebywał na swobodzie i polował. Nie tylko na mnie, lecz na wszystkich, którzy znaczyli cokolwiek dla Rafiego na kolejnych etapach życia. Postanowił uczcić swe wyzwolenie falą morderstw, zaczynając (musiałem wierzyć, że to był początek) od Ginny Parris, kobiety, która odegrała rolę położnej, gdy narodził się w ciele Rafiego, i ode mnie, faceta, który złączył ich na dobre, kiedy się tam znalazł.

W pewnym sensie to mogło działać na moją korzyść. Gdybym miał jakiś plan, mógłbym posłużyć się sobą jak przynętą: ściągnąć do siebie demona i złapać w pułapkę. Nie miałem jednak planu ani pojęcia, jak mogłaby wyglądać owa pułapka.

Najbardziej do szału doprowadzał mnie fakt, że gdzieś na świecie istniała melodia, która załatwiłaby sprawę. Nawet ją raz słyszałem, kiedy sam Asmodeusz zagrał mi ją w salonie Imeldy w noc jej śmierci. Potem jednak, nim zdołałem unieść flet do ust, wyciął mi paskudny numer. Ten fragment mej pamięci już nie istnieje. Kiedy odtwarzam wydarzenia tamtej nocy, w miejscu melodii pojawia się dziura, umysłowa rana, która nie chce się zagoić.

Tylko że, nawet gdybym odnalazł ową melodię bądź ją odtworzył, to jak, do diabła, mógłbym jej użyć? Gdybym przywołał Asmodeusza bądź zbliżył się dostatecznie, by skrepić go muzyką, rozszarpałby mnie na strzępy, zanim jeszcze odegrałbym pierwszy takt. Może wsparcie Juliet dałoby mi jakąś szansę, uznałem jednak, że chwilowo lepiej jej nie prosić.

To pozostawiało Jennę-Jane i jej propozycję. W tym momencie mój umysł gwałtownie pociągnął hamulec i skręcił w boczną uliczkę, wiodącą w nie mniej mroczne miejsca.

Co dręczyło Juliet? Przez ostatnie parę lat doprowadziła do doskonałości numer „nie ma tu nikogo, tylko my, ludzie” - do tego stopnia, że człowiek niemal zapominał, czym jest, i brał ją za kolejną niewiarygodnie piękną kobietę, której samo istnienie rzucało wyzwanie i deptało naszą męskość, sprawiając, że czuliśmy się puści i niegodni. Teraz jednak była równie okropna jak wtedy, gdy wyjechała z piekła windą ekspresową, może nawet gorsza. Przysięgła, że nigdy już nie pożre żadnej duszy, lecz dziś miałem wrażenie, że znalazłem się o włos od zagłady. A te oczy... To nie była Juliet, jaką znałem. I zupełnie nie podobał mi się model świecący w ciemności.

Zamierzałem wrócić do domu, tak przynajmniej sobie wmawiałem. W jakiś sposób jednak, bez podjęcia świadomej decyzji odkryłem, że przesiadłem się w Linie Północną i ląduję na Archway. Szpital Whittingtona stoi kawałek dalej, w górę Highgate Hill, jego nowy front w bieli i błękitach wygląda chłodno i sztywnie.

Godziny odwiedzin skończyły się dawno temu, nikt jednak nie zagroził mi drogi, kiedy wszedłem z ulicy do środka. Drugi raz tego samego dnia przeciskając się ścieżką zdrowia pośród niespokojnych umarłych, dotarłem na oddział dla pacjentów w śpiączce. Na miejscu jednak ujrzałem przed sobą zamknięte drzwi. Dostęp na oddział zapewniał interkom i domofon - albo, w moim przypadku, nieuważna pielęgniarka, która minęła mnie, wychodząc, ja zaś złapałem drzwi, nim zdążyły się zatrzasnąć.

Lisa Probert leżała samotnie w bocznej sali. U stóp łóżka ustawiono bukiet białych lilii w plastikowym kubelku, służącym za zaimprovizowany wazon. Wyglądała gorzej, niż ją zapamiętałem zawsze była dużym, wygadany, pewnym siebie dzieciakiem. Teraz leżała nieprzytomna, spowita w kłęby gazy i rurek, dokarmiana kroplówką i opróżniana cewnikiem.

Straciła już dość masy ciała, by dało się to zauważyć. Wyglądała jak ptak, który zderzył się z kuchennym oknem i połamany runął na ziemię. Na ciemnej skórze pod oczami, zamkniętymi jedynie w trzech czwartych, ujrzałem ciemniejsze, podobne sińcom kręgi. Jej wargi połyskiwały żelazem, lecz skórę wciąż miała suchą i popękana.

Jakiś czas siedziałem obok niej, nasłuchując. Mogę to robić nie tylko ze zmarłymi, ale i z żywymi: otworzyć drzwi percepcji i wychwycić zarodek niematerialnej esencji, duszy, atamana, czy, jak wolicie to nazwać, pod postacią muzyki. Muzyka Lisy była ogłuszającą, polifoniczną kakofonią. Jej siła nie zależała od siły ciała, a sama muzyka w żaden sposób nie wiązała się z osobowością. Po prostu tam była, promieniując z niej pod ostrym kątem do znanego nam świata.

Kiedy już umiejscowiłem ją w głowie, wyjąłem flet i zacząłem grać. Brzmi to głupio, ale czasem działa. Raz zrobiłem coś podobnego dla Juliet, gdy omal nie zginęła w walce z demonem Molochem, i melodia dodała jej sił. W gruncie rzeczy to przywołanie: pierwsza część egzorcyzmów, kiedy wywołuje się ducha i zwraca jego uwagę. Wzywałem Lisę z powrotem do siebie, czy przynajmniej próbowałem. Niestety, po dziesięciu, piętnastu minutach grania nawet nie drgnęła i nie dostrzegłem żadnej wyraźnej różnicy w jej stanie.

- Zechce pan mi łaskawie wyjaśnić, co tu robi?

Głos wyrwał mnie z półtransu, w który wpadam podczas gry. Uniosłem wzrok i ujrzałem rumianego mężczyznę w białym lekarskim fartuchu. Naszywka na piersi głosiła: DR SULLIVAN. Nie wyglądał na uszczęśliwionego moim widokiem.

- Drzwi były otwarte - skłamałem. - Jestem Felix Castor. To ja wezwałem pogotowie, kiedy przywieziono tu Lisę. Chyba zapisaliście mnie jako najbliższego krewnego.

Wyraz twarzy lekarza uległ zmianie, ale bynajmniej nie złagodniał.

- Ach tak - mruknął. - To pan? Ze dwadzieścia razy próbowaliśmy się z panem skontaktować.

- Wiem. Nie było mnie. - Całkiem niezłe wytłumaczenie, a nie miałem wcale ochoty udzielać mu lepszego. - Z tego co rozumiem, chcecie, żebym podpisał jakieś formularze.

- Chcieliśmy - poprawił doktor Sullivan - ale uznaliśmy, że nie możemy dłużej czekać. Ponieważ Lisa nie ma żyjących krewnych, zdołaliśmy jej załatwić kuratelę sądową. Wczoraj to ogłoszono, pod pańską nieobecność, bo nie odpowiedział pan na wezwanie. - Przypomniałem sobie dużą brązową kopertę na stoliku w holu Pen. - Niczego zatem już od pana nie chcemy, panie Castor, a zgoda na pańskie odwiedziny zależy wyłącznie ode mnie. Będę musiał poprosić, żeby pan wyszedł.

- Chciałbym zostać jeszcze trochę - odparłem. - Jeśli pan woli, mogę przestać grać.

Miałem na myśli to, że zacznę nucić pod nosem. Flet prosty stanowi przewód pomagający mi skupić moc, ale nie jest niezbędną częścią całego procesu.

- Nie wolę - odparł doktor Sullivan. - Proszę, żeby pan wyszedł, natychmiast. Jeśli pan odmówi, wezwę ochronę.

Rozważyłem wszystkie za i przeciw, i odkryłem, że nie ma żadnych za. Jeśli wkurzę tego gościa, może w ogóle zabronić mi wstępu. Na razie musiałem zachowywać się łagodnie i potulnie jak baranek, dzięki temu będę miał szansę wrócić kiedy indziej i znów spróbować.

- Godziny odwiedzin - powiedziałem. - Jakie są dokładnie?

- Od czternastej do dwudziestej, siedem dni w tygodniu. Nadal stał w drzwiach pokoju, patrząc na mnie. Wyraźnie nie zamierzał odejść, dopóki nie wyjdę. Może nie ufał, że sam znajdę drogę.

Poddałem się i pozwoliłem odprowadzić do drzwi.

- Czy ona w ogóle reaguje? - spytałem po drodze. - Czy jej stan zmienił się choć trochę?

- Nie - odparł.

- A... prognozy?

- Za wcześnie, by powiedzieć. Istnieje wiele różnych mechanizmów fizycznych i psychologicznych, które mogą wywołać tego typu ekstremalną reakcję. Póki nie zrozumiemy etiologii stanu Lisy, możemy jedynie leczyć objawy.

- Etiologii? Na jej oczach zamordowano matkę...

- I to z całą pewnością odegrało pewną rolę. Prawdopodobnie dominującą. Nie możemy jednak zakładać, że nie było innych czynników, a nie mamy w zwyczaju ustawiać leczenia w oparciu o niepotwierdzone opinie.

Mówił dalej o chemii mózgu, traumach i wstrząsach, ja jednak przestałem słuchać, bo coś pukało do drzwi mego umysłu. Skoro Lisa nie miała żyjących krewnych...

Zatrzymałem się gwałtownie.

- Kto zostawił kwiaty? - spytałem ostro.

- Co takiego? - Doktor Sullivan spojrzał na mnie oszołomiony.

- Lilie!

Nie czekając na odpowiedź, ruszyłem szybkim krokiem z powrotem na korytarz do niewielkiego pomieszczenia, w którym leżała Lisa.

- Panie Castor! - zawołał do mych pleców lekarz. - Wzywam ochronę! Natychmiast.

Kwiatom towarzyszył bilecik w białej kopercie, około dziesięciu centymetrów kwadratowych. Ponieważ jednak Lisa nie mogła go przeczytać, nikt jej nie otworzył. Nadal

tkwił wetknięty za białą wstążkę, którą obwiązano łodyżki kwiatów. Lilie. Białe lilie dla zmarłych.

Na bilecie widniał krwawy odcisk kciuka i osiem słów zapisanych umęczonymi, kanciastymi literami, tak wielkimi, że zapępniały całą przestrzeń, a miejscami zachodziły na siebie.

Nie zapomniałem o niej. Wszystko w swoim czasie.

ROZDZIAŁ 7

Pamiętam grę, w którą bawiliśmy się w szkole, zabawę myślową składającą się z niezliczonych wariacji na temat tego samego pytania. Gdybyś miał do wyboru X albo śmierć, co byś zrobił? Zamiast X można wstawić wydupczenie psa, zabicie własnej mamy czy naszczenie do mszalnego wina. Zazwyczaj gra zaczynała się od czegoś podobnego, a potem powoli, lecz nieuchronnie, wypływała na coraz bardziej fantastyczne wody. Gdybyś miał do wyboru mieć trzecie oko bądź umrzeć, co byś wybrał? Gdybyś utknął na maleńkiej komicie w kosmosie i miał wybór: zjeść kubeł karaluchów albo umrzeć z głodu, co byś zrobił? Najzabawniejsze było porównywanie odpowiedzi i znajdowanie dziur w kodeksie etycznym kolejnych nieszczęśników. Wszyscy wiedzieliśmy, że istnieją rzeczy tak okropne, że lepsza jest od nich śmierć, ale nie zawsze zgadzaliśmy się, jakie. Zdziwilibyście się na przykład, odkrywszy, jak wielu ludzi nie było w stanie przeskoczyć obiadu z karaluchów. Ja sam zawsze mówiłem, że wcinałbym z apetytem. Przypuszczam, że gdyby doszło co do czego, większość zrobiłaby tak samo.

Teraz jednak ja sam znalazłem się na samotnych wyznach mojej własnej moralnej hierarchii. I zamarłem niczym królik, oślepiiony oszałamiającymi wizjami ciągnącymi się po obu stronach.

Asmodeusz bardzo jasno dawał mi do zrozumienia, że nie przestanie, dopóki wszyscy znajomi Rafiego nie zginą. Byłem pewny, że Anathemata mogliby go powstrzymać, ale przy okazji zabiliby Rafiego, a potem wypowiedali się, oczyścili z grzechów i ruszyli na balangę.

Gdzieś pośrodku tkwiła Jenna-Jane Mulbridge. Diabeł na rozstajach.

* * *

Telefon zadzwonił trzy razy. Szum w słuchawce brzmiał niczym szpony drapiące drzwi: coś próbującego dostać się bądź uciec.

Jenna-Jane odebrała po czwartym dzwonku.

- Halo?

- Sprawdzam twój blef - oznajmiłem.

- Felix! - Ten sam ton prostej, szczerzej radości, którym posługiwała się zawsze, kiedy mimo moich protestów zdołała wciągnąć mnie szarpiącego się z powrotem do swego życia. -

Dziś po południu wyszedłeś tak nagle! Przestraszyłam się, że cię uraziłam.

Cóż za kusząca fraza wisząca w potrzaskującej pustce. Nie było jednak sensu tanio się odgrywać, skoro i tak musiałem coś wybrać z trzymanej w ręku karty.

- Od lat próbujesz dopaść Asmodeusza - powiedziałem. - Zróbmy to po mojemu, a obiecuję, że go dostaniesz. Tak czy nie? Co wybierasz?

- Nie jest to coś, co mógłbyś zagwarantować, Feliksie - upomniała mnie Jenna-Jane kolejnym tonem znanym z przeszłości, bardziej bolesnym niż rozgniewanym. - Z mojego punktu widzenia, żądasz, bym poświęciła znaczną część środków mojego ośrodka polowaniu, które może w ogóle nie przynieść owoców. W zamian proszę cię o to, żebyś wspomógł owe zasoby, oddając do mojej dyspozycji swoje usługi zawodowe - nie na długo, lecz jedynie na czas trwania tej operacji. Dopóki nie uwięzimy Asmodeusza.

Zaśmiałem się wbrew sobie.

- W twoich ustach to brzmi tak rozsądnie! Moje usługi zawodowe. Kogo mam uwięzić tym razem, Jenna-Jane? Kogo mam zniszczyć? No dalej, podaj mi nazwisko. Niech wiem dokładnie, jak bardzo będę rano nienawidził samego siebie.

Jenna-Jane westchnęła teatralnie.

- Mogę uwzględnić twoje skrupuły, Feliksie - rzekła niczym kelnerka, potwierdzająca, że restauracja istotnie dysponuje jadłospisem wegetariańskim. - Nie będę wymagać od ciebie niczego, co sprzeciwiałoby się twoim przekonaniom.

- To znaczy, co, mam zamiatać podłogę? Parzyć kawę?

- Chcę, żebyś zbadał pewną sytuację i doradził mi, jak ją rozwiązać.

- Jaką sytuację? - Czulem się, jakbym obwąchiwał zarys pułapki na niedźwiedzie jedynie częściowo ukrytej pośród liściastego leśnego poszycia.

- Nawiedzenie.

- Masz już egzorcystów, Jenno-Jane. Masz całą armię egzorcystów. Czemu nie zwrócisz się do jednego z nich?

- Kilkunastu zajmuje się już tą sprawą. Żaden nie zdołał wyjaśnić, na czym polega owo nawiedzenie, ani go zakończyć.

- Ja już nie unicestwiam duchów.

- Tak też słyszałam. Oferujesz jednak usługi duchowe. - Na te słowa położyła lekko ironiczny nacisk.

To właśnie głosił szyld nad moimi drzwiami: FELIX CASTOR, USŁUGI DUCHOWE. Uznałem, że obejmuje to dość grzechów, by dać mi pole manewru.

- Moje pytanie pozostaje w mocy. Czemu właśnie ja?

- Bo, prawdę mówiąc, stoimy pod ścianą. Pod pewnymi względami to zupełnie nowe zjawisko. Coś, co chciałabym wyjaśnić, Feliksie, i to właśnie twój udział w sprawie: wyjaśnienie.

- A twój udział...?

- Znasz przecież odpowiedź. Dlatego w ogóle do mnie przyszedłeś. Och, oczywiście zapłacimy ci. Z początku będziesz na kontrakcie próbnym. Zazwyczaj oznacza to tydzień bądź miesiąc, lecz biorąc pod uwagę naszą przeszłość, może powinniśmy przyrzeć się twoim postępom po pierwszych trzech dniach. Twoje stypendium za owe trzy dni wyniesie według stawek awaryjnych sto funtów dziennie po podatku. Ale nie w tym rzecz, prawda? Mam sprzęt i umiejętności idealnie nadające się do odnalezienia i przechwycenia Asmodeusza. Żywego. Nietkniętego. Przy minimalnych obrażeniach ciała nosiciela. Innymi słowy, mogę ci zwrócić przyjaciela. Mogę umieścić Rafaela Ditko z powrotem w bezpiecznym, stabilnym otoczeniu. Może nawet zdołam przepędzić stwora, który w nim zamieszkał.

- Zastanowię się nad tym - obiecałem.

Gdybyś miał do wyboru pracę z Jenna-Jane Mulbridge albo zjedzenie kubła karaluchów, co byś wybrał?

Nie oszukiwałem nikogo prócz siebie. Oddzwoniłem po dwóch godzinach - przynajmniej miałem satysfakcję, że znów wyciągnąłem ją z łóżka - i wyplułem trzy słowa, które na dobre i złe miały uruchomić całą serię wydarzeń.

- Wchodzę w to.

- Doskonale - odparła rześko Jenna-Jane. - Tak się cieszę, że znów jesteś z nami, Feliksie. Zupełnie jak za dawnych czasów.

Mogłem jedynie skrzyżować palce i mieć nadzieję, że się pomyliła.

* * *

Kiedy otworzyłem drzwi, Pen już spała, a przynajmniej pogasiła światła - ani z piwnicy, ani z sypialni na piętrze nie dobiegał żaden dźwięk. Pokonałem pozostałe dwa piętra schodów, położyłem się na łóżku, zamierzając rozebrać się i przykryć kołdrą, i natychmiast zapadłem w głęboki znużony sen.

Owszem, miałem sny, lecz z rodzaju tych, które zawsze nawiedzają nas przy przemożnym zmęczeniu: fragmentaryczne, powtarzające się, pozbawione sensu, zakotwiczone bardziej w bezkształtnych odczuciach niż zrozumiałych obrazach. Przeważał w nich niepokój - poczucie, że zapomniałem o czymś ważnym, co wciąż muszę zrobić. Przeskakiwałem z jednego na wpół wymyślonego scenariusza do następnego, zamykając i

barykadując drzwi, szukając kluczyków samochodowych, wyłączając gaz, lecz uczucie nie ustępowało. Przeciwnie, stawało się coraz mocniejsze. Gdzieś grała muzyka: melodia, którą znałem i za którą nie przepadałem. Przypominała trochę walc odtwarzany od tyłu - dźwięki skrzypiec, zamiast rozpląwać się i wibrować, zasysały się w siebie w bezwymiarowe punkciki i znikały. Walc prosto z piekła. Wiedziałem, że jeśli go zatańczę, stanie się coś złego.

Obudziłem się godzinę, może dwie później w nieprzeniknionej ciemności. Muzyka wciąż grała - nie w powietrzu, lecz w moim umyśle. Gdzieś w pobliżu czaiło się coś martwego bądź nienarodzonego i znałem jego wzorzec równie dobrze, jak odbicie własnej twarzy w lustrze.

Wstałem z łóżka, podszedłem do okna i wyjrzałem.

Stał na końcu podjazdu, wbijając wzrok we frontowe drzwi domu. Absolutnie nieruchomy, z rękami po bokach, był tylko ciemniejszą plamą na tkaninie nocy.

- Asmodeusz - wymamrotałem.

Uniósł głowę, zupełnie jakby mnie usłyszał, i popatrzył w moje okno. Nie widziałem jego oczu, lecz czułem spojrzenie niczym fizyczny nacisk na powierzchnię skóry.

Kopnięciem zrzuciłem buty, naciągnąłem płaszcz i wróciłem do holu, dokładając wszelkich starań, by nie hałasować, gdy mijałem sypialnię Pen. Otworzyłem drzwi wejściowe i poczułem mrowienie między łopatkami, choć, racjonalnie rzecz biorąc, wiedziałem, że same drzwi - bariera fizyczna - w żaden sposób nie zagrażają Asmodeuszowi drogi do domu. To blokady i zakłęcia Pen go powstrzymywały, nic poza tym.

Asmodeusz wciąż czekał w tym samym miejscu i nadal wpatrywał się w okno na poddaszu, w którym stałem minutę wcześniej.

Pamiętając, co Pen powiedziała o wypełnieniu ogrodu blokadami, podjąłem skalkulowane ryzyko i wyszedłem na przedni stopień - dwa kroki od domu, potem trzy. Asmodeusz nadal się nie poruszył, ja jednak ani na sekundę nie oderwałem od niego oczu. Gdyby zaatakował, chciałem mieć pewność, że drzwi - które Pen błogosławiła, namaszczała, przemawiała do nich i wzmacniała swą własną wolą każdego dnia przez ostatnie sześć, siedem lat - znajdą się między nami, nim dotrze dość blisko, by zrobić mi krzywdę.

- Trzy gwiazdy w rzędzie - powiedziałem - to pas Oriona.

Asmodeusz odwrócił się i popatrzył na lśniący nad nami gwiazdozbiór. Skinął głową.

- Naprawdę? - spytał swym zgrzytliwym głosem metalu trącego o metal.

- Naprawdę.

- To już wiesz, co to znaczy, Castor.

- Nie. Co to znaczy?

- Że Oriona nie uważano za typ samobójcy.

Uśmiechnął się bez cienia rozbawienia ze swojego własnego żarciku, błyskając zębami niewyglądającymi, jakby mogły się pomieścić w ludzkich ustach. Dla demonów ciało to materiał plastyczny, lecz Asmodeusz nigdy wcześniej nie zadawał sobie trudu, by zanadto odmienić Rafiego. Wyglądało jednak na to, że od naszego ostatniego spotkania trochę go przemeblował. Był zarówno wyższy, jak i szerszy w barach, a potężne mięśnie przedramion napinały poszarpaną tkaninę koszuli. Jego ręce wydawały się także dłuższe, podobnie palce - nie dość długie, by nadać mu małpi wygląd, lecz subtelnie nieproporcjonalne w stosunku do reszty ciała.

- I jak, złapałeś autobus? - spytałem.

Asmodeusz przestał się śmiać. Z dezaprobatą pokręcił głową.

- Powiedziałem ci kiedyś, że nie dostrzegasz ogólnego obrazu - rzekł. - Że nie znasz właściwych pytań. Że nie masz pojęcia, co się dzieje naprawdę ani jakie jest w tym twoje miejsce.

- Pamiętam - zgodziłem się. - Nie przeszkodziło mi to w zagnaniu cię z powrotem do budy, kiedy wytknąłeś z niej nos.

Asmodeusz bardzo powoli rozprostował swe przydługie palce. Zupełnie jakby mierzył dzielącą nas odległość, toteż spiąłem się do biegu. Może nowe blokady Pen powstrzymają demona, a jeśli je przełamie, może nadal spowolnią go dostatecznie, żebym zdążył wrócić za próg domu, gdzie ochronią mnie starsze, wielokrotnie powtarzane zaklęcia. Wolałbym jednak nie stawiać własnego życia na te wszystkie może.

Asmodeusz się nie poruszył.

- W sumie cieszę się, że nie wykończyłem cię zeszłej nocy - wychrypiał. - Naprawdę powinienem porządnie się do tego przygotować. Dałem się ponieść emocjom chwili. Zobaczyłem cię tam i poczułem, jak Ditko wzdryga się przed samą myślą. Nadal widzi w tobie ratunek, Castor. Kiedy zginiesz, to będzie dla niego prawdziwy cios. Osobiście jednak uważam, że ten statek już wypłynął z portu. Teraz sam zamierzam załatwić sprawę.

- Ja także - odparłem.

- Zatem nie przyszedłem tutaj cię zabić. Ani kurewki Ditko. Odpreż się. Po prostu zabrałem go tu, żeby obejrzał sobie stare śmieci. - Zachichotał, wydając z siebie odgłos ostrza przesuwanego po rzemiennym pasie. - Trochę podbudować jego morale. Chcesz się przywitać?

Przez moment sądziłem, że się przesłyszałem.

- Przywitać? - powtórzyłem ogłupiały.

- Ze starym druhem. Jest tutaj i nas słucha. Tak jak zeszłej nocy. Chuj tam, obudź też rudą, może nawet złoży jej intymną wizytę.

- Tak - mruknąłem, ignorując ostatnią propozycję. - Chciałbym z nim pomówić.

Demon skłonił głowę i przez moment milczał. Potem, nadal wpatrując się w ziemię, przemówił innym głosem, głosem słabym niczym echo zeszłego dnia.

- Fix?

- Rafi. Jestem tu.

- Wiem. Wiem. Mój Boże, Fix, on mnie zmusza... do wyglądania przez okno. Nie mogę go powstrzymać, ale muszę patrzeć... - Wydał z siebie zdławiony szloch. - Ginny!

- To przecież ona wplątała cię w to wszystko, Rafi. - Moje słowa miały go pocieszyć, lecz już w chwili, gdy je wymówiłem, Zrozumiałem, że tak nie zadziałają. - Pracowała dla Antona Fankego, wielkiego szefa macho. Jedynie cię wykorzystywała.

- Wykorzystywaliśmy się nawzajem - odparł Rafi głosem niewiele donośniejszym od szeptu. Postąpiłem krok naprzód, wyteżając słuch. - Wiedziałem, czym ona jest, Fix. I tak naprawdę jej nie kochałem. Nigdy nikogo nie kochałem oprócz Pen. Ale... - Ponownie zaszlochał i umilkł. Jedna z rąk mrocznej postaci poruszyła się lekko w niewyraźnym, urwanym geście - przypadkowym impulsie nerwowym Rafiego, przedostającym się poza zaporę Asmodeusza, trwającym zaledwie ułamek sekundy. - Nie zasłużyła sobie na taki koniec.

- Zamierzam cię uwolnić - obiecałem.

- To brzmi znajomo? - rozległ się głos demona, wrywając się z ust Rafiego niczym sycząca para z rury. - Gość żyje jak pierdolony Neron, Ditko: gra na skrzypkach, podczas gdy ty płoniesz. Trzy lata, a on wciąż cię okłamuje. Teraz też kłamie. Należysz do mnie, a on w żaden sposób nie zdoła tego zmienić. Jestem tego tak pewien, że nie zamierzam nawet na razie go zabijać. Zostawimy go sobie na sam koniec.

- Przyszpilę go, Rafi - upierałem się, nie zważając na drwiny demona. - Przysięgam, pracuję nad tym. Drań nawet się nie zorientuje, że nadchodzę.

- Fix... - Znów głos Rafiego, westchnienie na samym skraju słyszalności. - Powiedz mojemu ojcu... i Jowanowi... Powiedz im, że ich przepraszam. Zrób to dla mnie. Proszę.

A potem nic. Asmodeusz wyprostował się powoli i nasze oczy znów się spotkały.

- Mówiłem poważnie - zazgrzytał. - Zabiję cię na końcu, Castor. I to nie od razu. Kiedy wyzwolę się już z tego mięsa, zamierzam na jakiś czas skoczyć do domu: zabiorę cię jako prowiant na drogę. A tymczasem... Kieszonka na piersi z lewej strony.

Coś wsunęło się z jego rękawa w dłoń, błyskając na moment odbitym światłem latarni.

Uskoczyłem odruchowo, lecz Asmodeusz był o tyle szybszy ode mnie, że zanim zarejestrowałem, że jego ręka w ogóle się poruszyła, zdążyła już opaść - na długo przedtem, nim mój własny leniwy układ nerwowy przekazał wiadomość królewskim gościńcem kregosłupa do odległych rąk i nóg.

Poczułem coś jakby uderzenie w ramię. Oszołomiony spojrzałem na długą, smukłą rękojeść noża sterczącą z mego ciała. Jeden z guzików szynela zwisał zgrabnie przecięty na pół, dyndając z przeciwległych końców tej samej poszarpanej nici. Guziki zrobiono z solidnego mosiądzu, lecz Asmodeusz cisnął nożem z tak wielką siłą, że ostrze przebiło metal, grubą tkaninę i utknęło głęboko na cal lub dwa w miękkim mięśniu pod obojczykiem.

- Obiecałem tylko, że cię nie zabiję - zadrwił Asmodeusz. - To nie oznacza, że nie spróbuję nadać ci nieco bardziej interesujących kształtów.

Zaciskając z bólu zęby, zacząłem grzebać za pazuchą w poszukiwaniu fletu, jestem jednak szmaja, a Asmodeusz trafił mnie w lewe ramię, toteż poruszałem się niezgrabnie, bez cienia koordynacji. Demon przypatrywał mi się z milczącym rozbawieniem.

W końcu dobytek instrumentu i uniosłem do ust. Zacząłem grać pierwsze nuty melodii: nie przepędzającej, lecz usypiającej, muzyki skomponowanej dla Rafiego, podczas długich miesięcy, gdy tkwił uwięziony w wykładanej srebrem celi w Ośrodku Opieki Charlesa Stangera. Asmodeusz zaśmiał się i odszedł bez cienia dyskomfortu.

- Do zobaczenia, Castor! - zawołał przez ramię. - W stosownym czasie!

* * *

- Po pierwsze, on kłamie - powiedziała Jenna-Jane. Przemawiała z dydaktycznym zapalem, niczym nauczycielka matematyki opisująca aksjomat. - Logiczne pytanie zatem brzmi: dlaczego?

Siedzieliśmy w jej gabinecie, wciąż dość wcześnie, by nie zjawili się jeszcze robotnicy. W olbrzymim budynku panowała cisza, nasze głosy rozbrzmiewały w nim z lekkim, niepokojącym echem.

- Co do czego? - spytałem ostro, zapewne z dziecinnie nadąsaną miną. - Mówił serio, że nie zamierza mnie na razie zabić. Bo w końcu żyję, prawda? *Ecce homo, ergo emu.*

Odruchowo pomasaowałem ramię. Bolało jak diabli. Biorąc pod uwagę okoliczności, nóż nie wbił się zbyt głęboko, ale ciśnięto nim z niewiarygodną siłą. Miałem nie tylko ranę, ale i solidnego siniaka, a ręka zeszywniała mi, mimo fachowych zabiegów Pen.

- Lecz kierujące nim motywy trudno uznać za jasne. - Jenna-Jane odchyliła się na krześle, przykładając palec do podbródka. - Z całą pewnością niczego od ciebie nie

potrzebuje. Jak powiedział, przestał wierzyć, że zdołasz uwolnić go z ciała Ditko.

- A jeśli to właśnie jest kłamstwo? - rzuciłem dla podtrzymania dyskusji.

Jenna-Jane pokręciła głową.

- Usunął się z twojej sfery wpływów. Gdyby wierzył w twoje umiejętności bądź wysiłki, zostałby tam, gdzie był, pod opieką Imeldy Probert. Albo, po ucieczce, przybyłby do ciebie i przedstawił żądania. Nie, tu chodzi o coś innego, Feliksie. Sam wybrał właściwą chwilę. Och, wiem, że Anathemata dali mu szansę, którą wykorzystał do ucieczki, uważam jednak, że już wcześniej podjął decyzję. Pracuje nad jakimś projektem, a ty jesteś jego częścią.

- Przed chwilą powiedziałaś, że mnie nie potrzebuje.

- Jako egzorcysty - poprawiła Jenna-Jane z cieniem niecierpliwości w głosie. - Nie potrzebuje twoich usług zawodowych. Ale nadal go interesujesz. Odszukał cię trzy razy. Najpierw w Brixton, a potem w domu Pamelii Bruckner. Kręci się w pobliżu i pozwala się przy tym zauważyć. Ani przez chwilę nie sądziłam, że to przypadek.

- W takim razie co? - Byłem spięty od bólu przeszywającego ramię i pierś.

Jenna-Jane przez chwilę milczała, zamyślona.

- Coś, co możemy wykorzystać - rzekła w końcu.

Wstała i podeszła do szafki z aktami; otworzyła drugą szufladę, bez wahania sięgnęła po odpowiednią teczkę, jakby dokładnie wiedziała, gdzie ją znaleźć. Przyniosła ją na biurko.

- Problem przerodził się w dwa mniejsze - oznajmiła, zajmując ponownie krzesło. - Odnalezienie Asmodeusza i rozprawienie się z nim, kiedy już go dostaniemy. Ty, Feliksie, zapewne stanowisz klucz do pierwszego problemu. A przynajmniej opcję wyjściową. Jeśli wszystko inne zawiedzie, możemy rozsądnie założyć, że demon przybędzie po ciebie. Druga część równania wymaga większego wysiłku. Potrzebujemy mechanizmu, który odda nam we władanie Asmodeusza, nie czyniąc przy tym trwałej szkody Ditko. - Grzebała teraz w teczce, unosząc ją tak, bym nie dostrzegł zawartości. - Wspominałeś, że ułożyłeś kołysankę? Coś w rodzaju środka usypiającego?

Skinąłem głową.

- Dawniej używałem jej na Rafim, kiedy siedział u Stangera. A potem dopracowałem ją trochę z pomocą Imeldy. Na jakiś czas wyłączyła Asmodeusza. Czasami usypia też Rafiego, przy innych okazjach pozwala mu trochę pobycć sobą.

- Mogę jej posłuchać?

Krzywiąc się, wyjąłem flet. Zagrałem melodię parę razy, niewyraźnie i sztywno. Kiedy skończyłem, Jenna-Jane pokiwała głową. Znowu przybrała swą nauczycielską minę, jakby

śluchała rozprawy z czystej logiki.

- Chciałabym, żebyś nagrał ją dla naszej ekipy technicznej - oznajmiła. - Zanim wyjdiesz.

Machnąłem przecząco ręką. Nie chciałem, żeby Jenna-Jane i banda rzeźmieszków w białych fartuchach zagłębili się w ślepią uliczkę, a przynajmniej nie teraz; przy innej okazji byłoby to nawet dość zabawne.

- Zeszłej nocy próbowałem na Asmodeuszu - oznajmiłem. - Zignorował mnie.

- Ale w przeszłości to działało?

- Działało, kiedy był zmuszony słuchać - podkreśliłem to co oczywiste. - To powolna metoda, J-J. Robi swoje, ale działa wolno. Nie pomoże nam w schwytaniu go.

- Moi ludzie się jej przyjrzą - oznajmiła - rozłożą na czynniki pierwsze. Może zamienią w coś, co działa nieco lepiej.

- Jak?

Posłała mi surowe spojrzenie, słysząc sceptyczną nutę w moim głosie.

- Wzmocnienie - rzekła. - Zniekształcenie. Wariacje tonalne. Manipulacja częstotliwości. Mapy harmonii poddźwiękowych. Reinstrumentalizacja. Translacja tonalna. Konceptualne odbicie i zwielokrotnienie. - Nie czekała na mą nieuniknioną, redukcjonistyczną, złośliwą uwagę. - Tu, u Świętej Marii, nasz fach stworzył sobie własne, wyspecjalizowane słownictwo, Feliksie. Własne podstawy teoretyczne. Zaufaj mi. Podjąłeś właściwą decyzję, przychodząc do mnie. A teraz chcę poznać twoje zdanie w dwóch innych kwestiach.

- Słucham.

- Pierwszą poruszyła już wczoraj Gentle. Sukub, Ajulutsikael. Z najlepszych źródeł wiem, że Gentle ma rację: że demon pozostał na Ziemi po tym, jak przywołano go tu, by cię zabił, a ty utrzymujesz z nią... powiedzmy, przyjacielskie kontakty.

Przeczekalem ją. Dobrze wiedziałem, jaka jest bystra, więc nie zamierzałem odezwać się ani słowem na ten szczególny temat. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że niechcący ujawnię coś ważnego.

- Powinna trafić do mnie - oznajmiła J-J.

Nadal utrzymywałem niewzruszoną minę. W końcu Jenna-Jane westchnęła dramatycznie.

- No dobrze - mruknęła. - Tę dyskusję odłożymy na kiedy indziej.

Wyjęła z teczki pojedynczą kartkę papieru i położyła ją przede mną. Widniało na niej kiepsko skserowane zdjęcie paszportowe. Tak kiepsko, że potrzebowałem paru sekund, by

rozpoznać osobę, którą przedstawiało.

- Trudie Pax - powiedziałem.

- Zgadza się - potwierdziła Jenna-Jane. - Złożyła prośbę o zatrudnienie w KOM w charakterze egzorcystry. Przydzieliłam ją już do zespołu na okres próbny. Co o niej wiesz?

Zastanowiłem się. Czy J-J naprawdę sprawdzała u mnie referencje Trudie, czy też miała to być próba lojalności? Biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich skrzyżowały się ostatnio ścieżki Trudie i moje, obie możliwości były równie prawdopodobne. W ostatecznym rozrachunku jednak nie obchodziły mnie polityczne niuanse i uznałem, że nie będę kłamać.

- Nie poddaje się.

- Pracowałeś z nią już?

- Owszem. Niedawno. Kiedy próbowałem posprzątać ten syf w Salisbury. Pewnie czytałeś o tym w gazetach.

- Rozruchy. Owszem, wiedziałam, że dzieje się tam coś interesującego i że bierzesz w tym udział. Zaproponowałam swoje usługi, lecz kierujący operacją detektyw - Trotwood, Deadwood, coś w tym guście - odmówił. A zatem przeprowadzałeś razem z Pax egzorcyzmy?

- Nie, przywołanie. Jest dobra.

- Ale jej nie lubisz?

- Należała do bandy Gwillama. Wiesz, jak uwielbiam fanatyków religijnych.

- Ale nie miałbyś oporów przed dalszą wspólną pracą?

Kolejna chwila namysłu.

- Nie - mruknąłem w końcu. - Wolę znany problem od nieznanego. Trudie nie zawahała się, kiedy wszystko się posypało.

- Doskonale - rzekła Jenna-Jane. - Bo jest już tutaj. A zważywszy na jej przeszłość, miałam wielką ochotę dołączyć ją do ekipy pracującej nad naszym planem dotyczącym Asmodeusza.

Schowała kartkę z powrotem do teczki, nabazgrała coś na wewnętrznej okładce i zamknęła.

- Planem - powtórzyłem ironicznie. - To znaczy, wzmocnieniem, zniekształceniem, reinstrumentalizacją i ogólną masturbacją?

Jenna-Jane nieco demonstracyjnie zerknęła na zegarek.

- Myślę, że czas już przedstawić cię reszcie zespołu.

* * *

Poszedłem za nią równie entuzjastycznie, jak Dante za Wergiliuszem, pokonując

labirynt rozgałęziających się korytarzy, aż do pomieszczenia z tabliczką POKÓJ PERSONELU. Robił całkiem niezłe wrażenie, mimo tymczasowości: dość duży, by pomieścić kilkanaście wypoczywających osób we względnym komforcie, panoramiczny telewizor, ekspres do kawy „Tchibo”. Przypuszczam, że jeśli ma się dość kasy, by wyłożyć ściany srebrem jak tapetą, parę foteli i ekspres nie czyni zbytej wyrwy w budżecie.

Na końcu pokoju siedziało trzech mężczyzn - jednym z nich był Gil McClennan - i kobieta. Rozmawiali z ożywieniem, pochylając się ku sobie, lecz kiedy weszliśmy, umilkli i odwrócili się w naszą stronę. Kobieta wstała, zrobiła gest, jakby zamierzała wyciągnąć do mnie rękę, ale potem zmieniła zdanie. Po rozmowie w gabinecie J-J jej widok mnie nie zaskoczył, odkryłem jednak, że przywołuje dość nieprzyjemnych wspomnień, bym zazgrzytał zębami.

- Trudie Pax - przedstawiła ją Jenna-Jane.
- My się znamy - odparłem szorstko.

Wysoka, ciemnowłosa kobieta zarumieniła się lekko i odwróciła wzrok. Zauważyłem, że oba jej przeguby oplata kilkanaście zwojów sznurka. Podczas gdy ja przeprowadzam egzorcyzmy za pośrednictwem muzyki, Trudie skupia swą moc poprzez dzieciinną zabawę w kocią kołyskę, tworząc wzory zobrazowane zamiast dźwiękowych. Zauważyłem też, że bardzo krótko ścięła włosy. Doskonała decyzja. Jej wcześniejszy kucyk sprawiał, że przypominała striptizerkę przebraną za Larę Croft, teraz natomiast wyglądała, jakby zmieniała idolki i upodobniła się do Ellen Ripley.

- Najnowsza członkini naszej skromnej rodziny - kontynuowała Jenna-Jane. - Wyposażona w imponujące referencje.

Wiedząc dokładnie, jak wyglądają referencje Trudie, uznałem, że w tych okolicznościach najbezpieczniej będzie bez słowa pokiwać głową.

- Ciebie nie uważam za nowego, Feliksie - podjęła Jenna-Jane żartobliwym tonem, od którego rozbolały mnie zęby. - Widzę w tobie raczej zbłąkaną owieczkę, która wróciła do zagrody.

Skupiła uwagę na dwóch pozostałych nieznanym, którzy także wstali. Gil McClennan z zaciętą miną pozostał na fotelu.

- To jest Victor Etheridge - przedstawiła Jenna-Jane młodszego mężczyznę, który skinął mi głową.

Miał jasnozłociste włosy, lekko wybałuszone oczy i sylwetkę, przy której wieszak na kapelusze wydaje się szeroki. Nosił kruczoczarny garnitur i kruczoczarną koszulkę, dzięki czemu jego postać zlewała się z tłem jego własnego stroju.

- Felix Castor - powiedział, a potem skrzywił się i jego głowa odskoczyła w bok, jakby ktoś rąbnął go w zęby. Zacisnął powieki, po czym otworzył oczy, patrząc na mnie z ukosa. - Naprawdę... bardzo... bardzo mi miło... miło mi cię poznać. Bo... Peckham Steiner zawsze mówił o tobie z szacunkiem.

Głowa dzieciaka obróciła się tak, że znów mógł spojrzeć prosto na mnie. Spoglądał niewinnie wyczekująco, jakby sięgnął po ciężką artylerię i spodziewał się stosownej reakcji. Jednakże, nawet pominąwszy dziwaczne zachowanie, nazwisko Steinera nie wywarło na mnie szczególnego wrażenia. Szalony milioner, ojciec chrzestny londyńskich ducholapów, zgubił gdzieś piątą klepkę na długo przed śmiercią i jeśli ten Etheridge był jego protegowanym, mógł stanowić bardziej zawadę niż atut.

- Byłeś przyjacielem Steinera? - spytałem, starając się przemawiać możliwie najbardziej neutralnym tonem.

Etheridge wpatrywał się we mnie, lekko zaskoczony, jak gdyby nie spodziewał się tak trudnego pytania.

- Był moim patronem - rzekł w końcu. - On... Tak... Zamierzał założyć szkołę, jeśli... dla egzorcystów. Szkołę... żeby uczyć zawodu młodsze pokolenie. Nigdy... nigdy tak naprawdę nie wystartowała, ale było... on... trzech czy czterech z nas... - Znów urwał, patrząc na Jennę-Jane niczym aktor na suflera; ona jednak milczała.

Ponownie uciekłem się do skinienia głową. Słyszałem już wcześniej o tej szkole i doskonale wiedziałem, czemu nie udało jej się uruchomić. Przez ostatnie lata życia Steiner miał miliony pomysłów. Niektóre z nich wcielił w życie - na przykład, Oriflamę, klub wyłącznie dla egzorcystów w Castle Bar Hill, oraz hotel dla egzorcystów, znany pod nazwą Kolektywu z Tamizy (zbudowany na barce, bo duchy nie mogą przeprawiać się przez płynącą wodę) - większość jednak nie zrodziła owoców, zapomniana, podczas gdy ich autor skupiał się na czymś nowym.

Co było nie tak z Etheridge'em? Nie znalazłszy pociechy ani wsparcia u Jenny-Jane, znów pochylił głowę, jego ramionami wstrząsały lekkie drgawki. Wyglądał jak niesforny uczeń, zmuszony do tego, by stanąć przed klasą, wyznać swe występki i przyrzec, że nigdy więcej się nie powtórzą. Nie, coś więcej: wyglądał na zranionego. Promieniowały z niego fale słabej, rozmytej rozpaczy.

- A to jest Samir Devani - oznajmiła Jenna-Jane.

Uścisnąłem dłoń ostatniego faceta. W drugiej ręce trzymał książkę, zakładając miejsce kciukiem: „Człowiek bez ojczyzny” Kurta Vonneguta. Był Azjatem, mocno zbudowanym i zaskakująco wysokim, na oko może rok młodszym ode mnie, lecz w znacznie lepszej formie.

I, podobnie jak wszyscy inni prócz Jenny-Jane i Etheridge'a, ubranym raczej swobodnie, stosownie do brudnej roboty - w dżinsową koszulę, ciemnoszare drelichowe spodnie i znoszone martensy. Obdarzył mnie bystrym, szacującym spojrzeniem, lekko mrużąc oczy, jakby próbował sobie przypomnieć, gdzie widział mnie wcześniej.

- Wygląda na to, że walczyłeś na wojnie - zauważył. - Oszczędzasz lewą rękę. Tak w ogóle jestem Sam.

- Fix - odparłem automatycznie i przekląłem się w duchu, gdy tylko to słowo padło z mych ust. Nie zamierzałem spoufalać się z kimkolwiek tutaj. W odróżnieniu ode mnie, zapewne z własnej woli zdecydowali się pracować dla Jenny-Jane. Nie byłem im winien nawet powietrza, a co dopiero uprzejmości. - To stara wojenna rana - dodałem.

- Zazwyczaj działamy w cztero-, pięcioosobowych grupach - oznajmiła Jenna-Jane, ucinając wszelkie próby dalszej pogawędki. - Sama dokonuję przydziału, równoważąc odmienne techniki tak, by każdy zespół mógł poradzić sobie z szerokim spektrum zjawisk paranormalnych. Trudie przeprowadza swe przywołania i egzorcyzmy metodą czysto fizycznej manipulacji, Samir, przywołując drugą osobowość, Gil rysunkami duchowymi, a Victor poprzez modlitwę.

- Kto gra na bębnach? - spytałem.

Samir się roześmiał, a Jenna-Jane posłała mi złołe spojrzenie.

- Każdy z nas na swój sposób radzi sobie z emocjonalnym stresem wywoływanym przez tę pracę - powiedziała cierpko. - Feliks robi to poprzez niestosowne żarciki, jest jednak doskonałym egzorcystą, toteż powinniśmy się cieszyć, że jak dotąd nie zdołał rozwinąć zawodowych skrzydeł jako komik.

Przyjąłem to lekkie puknięcie jak mężczyzna.

- No dobra - rzekłem, przechodząc do rzeczy. - Myślę, że powinniśmy zacząć od tego, co wiemy. Asmodeusz obserwował dom, w którym mieszkam, przy Turnpike Lane. Potrzebujemy kogoś, kto obserwowałby go całą dobę. Najlepiej dwóch osób. Reszta z nas rozejdzie się po mieście i zacznie się przemieszczać w stronę punktów kardynalnych, dopóki nie odbierze echa. Jeśli będziemy to powtarzać dostatecznie często i jeśli on zanadto się nie przemieszcza, zdołamy stopniowo go namierzyć. Potem, kiedy zawężymy pole poszukiwań, Jenna-Jane może wyciągnąć ciężką artylerię. Najpierw użyjemy gazu nerwowego OPG, zakładając, że macie go dosyć. To go zmiękczy, bo według mojego doświadczenia, nie zechce siedzieć spokojnie dość długo, byśmy mogli spróbować czegoś bardziej bajeranckiego. Jeśli właściwie rozegramy karty, nikt nie zginie.

Cisza, która odpowiedziała na moją krótką bitewną mowę, była ogłuszająca. Każdy

kolejno patrzył na J-J, która zerknęła na Gila i skinęła głową.

- Panie McClennan?

- Wszyscy wiedzą już, co mają robić - rzekł Gil, zupełnie jakbym się nie odezwał. - Ja sam później wprowadzę Castora w szczegóły nawiedzenia na Strandzie. Nie możemy jednak nic zrobić przed zmrokiem, toteż na razie skupimy się na Asmodeuszu. Pax i Etheridge zostaną tu, by opracować surowe dane z kolejnych spotkań. Pax zastosuje własną technikę do mapy, którą przygotowałem. Ja nadal przeglądam grimoiry z Klee i Middleton, toteż Sam i Castor mogą pojechać do Stangera i znaleźć punkt skupienia. Tym razem dowodzi Sam. Castor, nie odzywaj się niepytany. Doktor Webb, który kieruje ośrodkiem, dał mi jasno do zrozumienia, że cię nie znosi i zgadza się wpuścić cię tam wyłącznie dlatego, że bardzo szanuje profesor Mulbridge. Jakies pytania?

Ja miałem jedno, a ponieważ brzmiało „co, do kurwy?“, nie zadałem go. Nie musiałem. J-J i tak odpowiedziała.

- Nie możesz przyjść tu z ulicy i pokierować zespołem, Feliksie - zauważyła rozsądnym tonem. - Dość długo cię tu nie było, a w tym czasie nasze metody działania znacząco się zmieniły. Pokładam w Gilu pełne zaufanie i jestem pewna, że uznasz go za znakomitego przywódcę.

Obróciła się na pięcie i wyszła, jeszcze raz pozdrawiając skinieniem głowy mych nowych kolegów.

- Jakies pytania? - powtórzył Gil głosem sugerującym, że lepiej, żeby ich nie było. - No dobrze, to do roboty, ludzie. Wyśpicie się po śmierci.

- A może i nie - zauważył skrupulatnie Samir w drodze do windy.

ROZDZIAŁ 8

Samir przejawiał wyraźną skłonność do gadania w metrze, a większość rozmowy z jego strony składała się z pytań. Od jak dawna pracuję dla KOM? Czy naprawdę należałem do ekipy, która wywołała Rosie Crucis? Co sędzę o książkach Peckhama Steinera? Czy obecna scena londyńska zmieniła się w porównaniu z tą sprzed dziesięciu lat?

Większość owych pytań zbywałem pomrukami i monosylabami. Owszem, Sam wyglądał sympatycznie, ale naprawdę nie byłem w nastroju. Odkąd zeszłej nocy położyłem się spać, zostałem zraniony nożem przez demona, przyjęty protekcyjnie przez Jenę-Jane i zdegradowany do szeregow pieprzonej piechoty. W połączeniu z tym wszystkim uprzejmość wydawała się zbyt wyczerpująca.

Mimo braku mojego wkładu, Sam bez problemu samodzielnie podtrzymywał rozmowę. Opowiedział mi, jak się zaczęła się u niego ta „jazda”, jak ją określał: jak jego druga osobowość, którą nazywał Turkiem, ujawniła się najpierw w sposób złośliwy, a nawet destrukcyjny - drwiąc z rodziców, wdając się w bójki z kumplami. Badała go cała banda psychiatrów i po krótkim flircie z syndromem Tourette'a coraz bardziej skłaniała się do diagnozy ostrej psychozy. Coraz mocniejsze leki w niczym nie pomagały, jedynie otępiały go, niczym boksera po ciężkim meczu.

- Zmierałem wprost do pokoju bez klamek, dopóki nie zobaczyłem pierwszego ducha. - Sam zaśmiał się, jakby w tej chwili szczerze go to śmieszyło. - Wtedy Turek zaczął go wyzywać, wyśmiewać i obrażać. I duch po prostu zniknął. Rozpadł się na kawałki. Zupełnie, jakby słowa wybijały w nim dziury. Egzorcyzmy za pomocą molestowania słownego, uwierzyłbyś, Castor?

Odparłem, że uwierzyłbym. Okienko nie było dość duże na cokolwiek więcej.

- Mama i tato chcieli, żebym dalej brał prochy, ale ja rozwinąłem skrzydła. Miałem dość tej pieprzonej gry. Od tego czasu łatwiej panowałem nad Turkiem. Zupełnie jakby znalazł sobie stosowne zajęcie. Odkąd znalazł umarłych, przestał wydzierać się na żywych. - Sam znów się roześmiał. - Czyli tak, moja supermoc to opierdalanie duchów. Idiotyczne, co? Ale profesor Mulbridge mnie kocha, bo dowiodłem jej pewnej teorii. Istnieje mnóstwo egzorcystów, którzy załatwiają to słowami, lecz zawsze używają zaklęć albo modlitw. Od dawna twierdziła, że tak naprawdę nadaje się każde słowo, bo modalność musi mieć sens

jedynie dla osoby, która jej używa.

Modalność, kolejny z ulubionych abstrakcyjnych rzeczowników Jenny-Jane. Może łatwiej snuć teorie na temat tego wszystkiego, jeśli samemu się tego nie robi. I nagle przyszło mi do głowy, że cała ta masywna teoretyczna konstrukcja wzniesiona przez Jenę-Jane służyła temu samemu celowi, co mój flet: pozwalała jej dotknąć niewidzialnego świata i sprowadzić w swój zasięg. Z jakiejś przyczyny świadomość ta nie wzbudziła jednak we mnie nawet cienia sympatii.

W Ośrodku Opieki Stangera doktor Webb, zgodnie z moimi przewidywaniami, odmówił nam spotkania, polecił jednak jednemu z pielęgniarzy oddać się do naszej dyspozycji i zapewnić wszystko, czego potrzebujemy. Przede wszystkim oznaczało to dostęp do celi Rafiego.

- Szukamy czegoś, co było mu bliskie - wyjaśnił Sam. - Fizycznie bądź emocjonalnie, to nie ma znaczenia, najlepiej jedno i drugie. Jakiegoś przedmiotu, który trzymał przy sobie i o którym często myślał. Coś takiego tworzy najlepszy punkt skupienia.

W celi Rafiego nie było niczego: nigdy nic tam nie było. Była pusta jak spiżarnia podczas postu, bo nikt nigdy nie wiedział, co może odbić Asmodeuszowi i co mógłby wykorzystać jako broń. W jego rękach nic nie było bezpieczne, toteż pozostawało jedynie dopilnować, by nic w nie nie trafiło. Same w sobie były dość groźne.

Sam nie dał się zniechęcić.

- Zawsze jest coś - mruknął, pełznąć po podłodze na czworakach, z nosem przy ziemi.
- Nie musi być duże.

- Do czego właściwie służy punkt skupienia? - spytałem.

- Trudnie - wyjaśnił, choć w istocie nie tłumaczyło to niczego. - To ona wpadła na ten pomysł. No, tak naprawdę Gil, ale ona go rozwinęła, bo świetnie pasuje do sposobu, w jaki zazwyczaj przeprowadza egzorcyzmy. Wszystko sprowadza się do geografii psychicznej. Postrzeganie poprzez podobieństwo - tak to nazywa Gil. Do dziś pozostawało wyłącznie teoretyczne, lecz Pax jest pewna, że potrafi go użyć w praktyce.

Cóż, to logiczne, że ci dwoje się dogadają, pomyślałem, zdumiony, jak bardzo mnie to ubodło. Próbowałem skoncentrować się na obecnym zadaniu. Coś bliskiego Rafiemu. Coś, o czym często myślał.

- Moglibyśmy pójść do domu Imeldy Probert - zaproponowałem. - Większość jego rzeczy została właśnie tam.

Żołądek ścisnął mi się na tę myśl. Przed oczami zamigotały ostre obrazy w czerwieni i czerni: poszarpane, połamane ciało Imeldy, leżące na gołych deskach; zmiażdżona głowa

spoczywająca w objęciach córki. Jeśli tam pojedziemy, zapewne nie zdołam się nawet zmusić, żeby wejść do środka.

- Ditko siedział tam zaledwie parę tygodni, prawda? - odparł Sam przez ramię obojętnym tonem. - Tutaj tkwił kilka lat. Szanse muszą być większe.

Przechodził podłogę palcami cał za całem. Próbując wczuć się w ducha gry, przebiegłem uważnie wzrokiem ścianę przede mną, od podłogi do sufitu, z prawej na lewo, po czym wykonałem ćwierć piruetu i zacząłem to samo z następną.

Ściany pokrywała czysta biel - czy raczej nieczysta, zniekształcona przez miliony pradawnych i na szczęście nierozpoznawalnych plam. Tu i tam połyskiwały srebrnym blaskiem, w miejscach, gdzie demon uderzył w tynk dość mocno, by odsłonić ułożony pod nim metal. Asmodeusz nie lubił srebra, bliskość srebra go osłabiała i spowalniała. Dostatecznie dużo srebra mogło go zranić, może nawet zabić, lecz zapewne jedynie gdyby rozgrzać je do 961 stopni Celsjusza i nalać skurwielowi do ucha - co niespecjalnie przysłużyłoby się też Rafiemu.

Jeden szczególnie uszkodzony fragment ściany przyciągnął moją uwagę. W tynku widniały rysy i zagłębienia, niemal pionowe szramy w miejscach, gdzie oderwał się wąskimi pasmami. Może źle to sobie wyobraziłem. Może Asmodeusz nie tłukł pięściami w ściany. Może zamiast tego atakował je w inny sposób.

Podszedłszy bliżej, prześledziłem linię jednej ze szczelin do wysokości pasa i - co niewiarygodne - już za pierwszym razem trafiłem w dziesiątkę. Z samego dołu jednej ze szram, miejsca gdzie zwężała się i kończyła, wystawało coś jasnego i lekko zakrzywionego. To coś miało około pół centymetra długości i kształtem przypominało księżyc bliski pełni.

- Czy można dotknąć punktu skupienia? - spytałem Sama, nadal kłaniającego się nisko w przeciwnym kącie.

Zaskoczony, uniósł wzrok, słysząc tłumione podniecenie w moim głosie.

- Lepiej nie. Co masz?

Wskazałem ręką.

- Paznokiec Rafiego. Drapał ścianę i oderwał go.

Sam zaklął głośno, a może to Turek ucieszył się ze zdobytego punktu. Podszedł obejrzeć znalezisko i klepnął mnie serdecznie w plecy.

- Castor, ty cwany draniu - rzekł. - Wchodzimy do gry.

Wyłowił paznokiec pęsetą i wrzucił do zapinanej foliowej torebki; oba przedmioty pochodziły z niewielkiego zestawu, który trzymał w kieszeni kurtki. Przyglądając się, jak manewruje, zauważyłem, że na przegubie nosi zegarek z podobizną Spiro Agnewa puente

strasznie starego dowcipu, „Co nosi na ręku Myszka Miki?”, i z tego co mi wiadomo, jedyny publiczny pomnik, na jaki zasłużył sobie wiceprezydent za rządów Richarda Nixona.

Sam wyciągnął z kieszeni komórkę, otworzył pstryknięciem i natychmiast pograżył się w długiej technicznej dyskusji z Gilem McClennanem.

- Paznokiec. Tak. Nie da się tego stwierdzić, jasne, ale to, kurwa, część jego ciała. Jakieś trzy milimetry szerokości i osiem długości. Tak, dokładnie. Trudno, niczego innego tu nie ma. Pielęgniarski mówił, że po ucieczce spalili wszystkie ciuchy...

Słowa przepływały nade mną, zamieniając się w abstrakcyjne dźwięki, bo przestałem słuchać. Zamknięty w celi trzy na trzy na trzy, w której mój przyjaciel spędził trzy lata swojego życia, zlałem się potem, czułem zawroty głowy i pierwsze objawy klaustrofobii. Wyszedłem na korytarz. Niewiele to dało, lecz w tym momencie wołałem kwaśny szpitalny smród i krzyki i jęki poruszonych pacjentów dobiegające z dali niż przytłaczającą ciszę i bezruch celi Rafiego. Powoli odetchnąłem, uwalniając napięcie, którego narastania wcześniej nawet nie poczułem.

Z idealnym wyczuciem chwili ze ściany po mojej lewej wybiegła dziewczynka, przeniknęła przeze mnie i biegła dalej, znikając w murze po prawej. Zazwyczaj nie zaskakuje mnie widok duchów, lecz nagłość jej przybycia i fala szumu towarzysząca przejściu sprawiły, że zeszywniałem i zadrżałem. Obok przemknęły jeszcze trzy widmowe dziewczynki, drepczące po śladach pierwszej; przebiegając przeze mnie, nawet mnie nie zauważyły. Włosy zjeżyły mi się na karku, jarzeniówka nad głową raz jeden zamigotała, a potem zjawy zniknęły. Przez chwilę w powietrzu wisiało najśłabsze echo chichotów, gasnące szybko w ciszy.

Oparłem się o ścianę z walącym sercem, nagły wstrząs zburzył mój chwilowy spokój.

- Już pytaliśmy - dobiegał głos Sama z celi Rafiego. - Nie, niczego nie zachowali...

Dobrze znałem te duchy. Trzy z nich zginęły ponad pół wieku wcześniej, zamordowane przez psychopatę, którego imię nosi Ośrodek Opieki Charlesa Stangera. Czwarta - ta na przodzie - nie żyła dopiero od ponad roku. Abigail Torrington. Zatrudniono mnie, żebym ją odnalazł, kiedy zniknęła - już po śmierci - z domu rodziców, lecz okazało się, że owo zlecenie kryło w sobie znacznie więcej, niż się zdawało na pierwszy rzut oka, i musiało upłynąć mnóstwo krwi, nim w końcu mnie oświeciło i przedstawiłem nieżyjącą Abbie nowym kumpelkom. Duchy od Stangera przyjęły ją z otwartymi ramionami, świetnie się do nich dopasowała.

Znacznie większą tajemnicę stanowiło to, dlaczego w ogóle tu zostały. Uwolniłem je, odgrywając jedną z lepszych melodii, częściowe egzorcyzmy pozwalające im krążyć gdzie

tylko zechcą i opuścić ten chory budynek, pełen samo- i wzajemnie się udręczających więźniów. I rzeczywiście zaczęły krążyć. Często pojawiały się na West Endzie, zgłaszano nawet ich obecność w Greenwich i Stanmore, lecz z jakichś przyczyn zawsze wracały. To tutaj mieszkają mimo wszystko.

W mojej głowie przebudziło się nieśmiałe skojarzenie.

- Wszystko w porządku? - spytał Sam, wychodząc na korytarz i zatraskując za sobą drzwi.

Na wpół ukształtowana idea umknęła w najdalszy zakamarek i ukryła się pod stertą traum z dzieciństwa.

- Super - odparłem. - Co z nami?

Sam prychnął.

- Gil mówi, że powinniśmy poszukać czegoś większego - wymamrotał. - Gość ni cholery nie rozumie. To kurestwo jest jak elektryczność statyczna, jasne? Skupia się w jednym punkcie. Wiem, że to wystarczy.

W drodze powrotnej do KOM Sam raczył mnie kolejnymi wojennymi opowieściami o dziwactwach, z którymi stykał się podczas pracy dla Jenny-Jane. Wyglądało na to, że darzy ją znacznie większym szacunkiem niż Gila. Zastanawiałem się, co sądzi o gułagu w piwnicy J-J, uznałem jednak, że lepiej poczekać z pytaniami, dopóki nie poznam go lepiej.

Trudie przyjęła paznokcie z autentycznym podnieceniem. Zastaliśmy ją i Etheridge'a w jednym z jeszcze nieurządzonych pomieszczeń, skorupie o gołych ścianach pobazgranych pomiarami i instrukcjami dla elektryków. Nie było tam gniazdek, ale ktoś przeciągnął przedłużacz z sąsiedniego pomieszczenia i podpięto do niego lampę na wysięgniku. Stała na podłodze, toteż pokój dysponował całkiem niezłym oświetleniem mniej więcej do poziomu kolan.

Na rzędzie stołów na koziołkach ułożyli gigantyczną mapę. Składało się na nią około trzydziestu oficjalnych planów miejskich, sklejonych razem po brzegach i obejmujących większość Londynu, od Oakwood na północy do Richmond na południu. Etheridge z pogodną miną sklejał mapy. Nadal wzdrygał się i szarpał od czasu do czasu, lecz sprawiał wrażenie spokojniejszego niż wówczas, kiedy o mało nie zwinął się w kłębek, próbując się ze mną przywitać. I nie mógł się oderwać od Trudie. Cały czas pokazywał jej poczynione postępy, by mogła mu podziękować, a on odpowiedzieć „nie ma sprawy”. Odkąd zjawiliśmy się w pokoju, rytuał powtórzył się trzykrotnie.

- Na pewno należał do Ditko? - spytała Trudie, trąc palcem torebkę tak, że złamany fragment paznokcia, na krawędzi brązowy od zaschniętej krwi, wysunął się na

nieużywany stół, na którym leżał młotek stolarski i jakiś tuzin sześciocalowych gwoździ. Patrzyła na mnie, ale to Sam odpowiedział.

- Był wbity w ścianę. Sprawdziliśmy, od zniknięcia Ditko nikogo nie trzymano w tej celi. Webb nie sądzi, żeby miał jej jeszcze kiedyś użyć. Nie można uwięzić w takim miejscu ludzkiej istoty, to zupełnie jak Guantanamo!

Już miałem coś powiedzieć, lecz Trudie mnie wyprzedziła.

- Rafi Ditko jest istotą ludzką - rzuciła ostro. - Po prostu nosi w sobie demona, tak jak ty wirusa bądź pasożyta. Nie należy o tym zapominać, Sam.

Sam uniósł ręce w rozbijającym geście.

- Wybacz, że uraziłem twoją liberalną wrażliwość, Pax. Nie wiedziałem, że należysz do Życiowców.

To słowo - etykieta - w codziennym użyciu jest niemal neutralne; w ustach egzorcysty zawsze kryje w sobie obraźliwy ton. Ruch Technienie Życia to Amnesty International Strefy Mroku. Jego członkowie domagają się, by powstałych z grobu umarłych objąć prawami człowieka. Jeśli kiedykolwiek do tego doprowadzą, zawód egzorcysty zniknie w mgnieniu oka, toteż obie strony żywią do siebie serdeczną, nieskrywaną nienawiść.

Trudie nie zareagowała na wyzwisko. Przesuwała dłońmi nad złamanym paznokciem, najpierw lewą, potem prawą, zataczając niewielkie kręgi, jakby odprawiała błogosławieństwo.

- O tak - jej głos opadł niemal do szeptu - należał do niego. Jest świetny, Sam. Doskonały. Dzięki.

- Bardzo proszę. - Sam spojrzał na mnie ponad głową Trudie i wywrócił oczami.

- Mam założyć sondę? - spytał Etheridge, patrząc na Trudie, jakby czekał, aż znowu pogłaszcze go po główce.

Być może był nawet młodszy niż na to wyglądał. Obecnie Jenna-Jane zapuszczała sieci już na uniwersytetach. Mogła wylapać dzieciaka wprost z kołyski. Zastanawiałem się, czy kiedy go ściągnęła, był w lepszym stanie.

- Nie. - Trudie posłała mu roztargniony uśmiech. - Jeszcze nie, Victorze. Muszę się naładować. A Gil powiedział, że nie mamy niczego zaczynać, dopóki się nie zjawi. Może zechciałbyś go uprzedzić, że jesteśmy gotowi?

Etheridge podreptał z zapalem wykonać jej polecenie, ona tymczasem jeszcze kilka razy przesunęła dłońmi nad paznokciem.

- Myślę, że to może się udać - wymamrotała. - Nie byłam pewna, ale... czuję go bardzo wyraźnie.

Wyprostowała się i zaczęła odwijać sznurek z rąk. Nagle pojąłem, jak zamierza

połączyć do kupy wszystkie te dziwaczne składniki, ale pomysł był tak obłąkańczy, że uznałem, że z pewnością się mylę.

Głosy dobiegające z korytarza świadczyły o tym, że Gil i Etheridge wracają. Po chwili Gil wparował do środka, wymachując rękami jak dyrygent.

- No dobra - rzucił. - Jestem. Do roboty, Pax. To nie jedyny punkt dzisiejszego programu.

Trudie nie zniżyła się nawet do odpowiedzi. Do tej pory zdążyła już odwinąć z obu rąk po metrze sznurka. Rozsupłała go, wygładzając pętle, i rozciągnęła na pełną długość. Teraz związywała razem oba kawałki.

Etheridge tymczasem wziął ze stołu młotek i jeden z gwoździ, wskoczył na krzesło i wbił gwóźdź głęboko w goły tynk sufitu. Trudie podała mu jeden koniec sznurka, a on okręcił go wokół gwoźdźca i związał, tworząc niezbyt eleganckie lasso.

- Dobra - rzekł. - Jest... My...

- Dziękuję, Victorze - powiedziała łagodnie Pax.

Ponieważ Etheridge wspomniał o sondzie, przypuszczałem, że Trudie przywiąże złamany paznokciec do drugiego końca sznurka, tworząc w ten sposób najlżejsze wahadło w dziejach świata. Zrobiła jednak coś jeszcze dziwniejszego. Związała na drugim końcu kolejne lasso, nałożyła na rękę i opuściła tak, że sznurek się napiął. Oznaczało to, że jej ręka może poruszać się wyłącznie w kole zależnym od długości sznurka.

Patrzyliśmy w milczeniu, jak przesuwa ręką z lewej na prawą, w górę i dół mapy, cały czas naciągając mocno sznurek. Zaczęła w samym środku. Z początku zataczała ciasne kręgi, stopniowo jednak stawały się coraz szersze. Oczy miała zamknięte, twarz głęboko skupioną.

- Powinnaś chyba zacząć od miejsca, gdzie go widziano - zauważył Sam, lecz Trudie się skrzywiła, a Etheridge uniósł palec do ust w surowym geście szkolnej bibliotekarki.

Trudie wróciła do środka i znów zaczęła poruszać ręką, tym razem zataczając powolne, długie łuki. Etheridge wyciągnął skądś długopis i stał wyczekująco u jej boku.

Mapa obejmowała spory obszar, lecz dłoń Trudie wisiała dobre pół metra nad nią. Zataczane przez nią kręgi tworzyły przekrój stożka o podstawie na poziomie mapy, tak że niewielkie ruchy zakreślały spore obszary.

Po paru minutach po raz trzeci wróciła do środka. Sam westchnął głośno i ów dźwięk jakby przełamał zakłęcie.

- Odbierasz coś? - spytał z lekką irytacją Gil.

Trudie spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak. Odbieram. Ale jeszcze nie kierunkowe. Wyczuwam, i to odczucie się zmienia,

gdy się przesuwam, ale... niemal losowo. Nie przypomina to zabawy w zimno-ciepło.

- Może powinnaś wprowadzić punkt skupienia w pętlę - zaproponowałem.

Posłała mi spojrzenie pełne irytacji, a może tylko niezrozumienia.

- Słucham?

Wskazałem ręką paznokiec wciąż leżący na stole.

- Polegasz na kontakcie z drugiej ręki - wyjaśniłem. - Wsadź paznokiec pod sznurek tak, był leżał na twojej dłoni. Podobieństwa się przyciągają, tak? Na tym to przecież polega. Poza tym powinnaś zbliżyć rękę do mapy. Logistycznie to najtrudniejsze, ale co nam po trafieniu pochodzącym z obszaru pomiędzy Charing Cross Road i Dulwich? Jeśli się zbliżysz, poczucie kierunku może stać się mocniejsze.

Przez chwilę wszyscy wpatrywali się we mnie w milczeniu.

- Zrób to - mruknął Gil i odszedł. Po sekundzie wysunął głowę z powrotem przez drzwi. - Castor, idziesz ze mną.

Pozdrowiłem Trudie skinieniem głowy i ruszyłem za nim. Było to chłodne skinienie, ale niepozbawione niechętnego szacunku. Trudie próbowała zrobić coś, co mnie samemu nigdy się nie udało. W przesłodzonej terminologii Jenny-Jane wprowadzała drobne korekty swej modalności.

Każdy egzorcysta ma własny, wyjątkowy sposób robienia tego co konieczne: flet prosty, maszynę do pisania, karty do gry, cokolwiek, co przyjdzie wam do głowy. Każdy z nas dysponuje tym samym talentem, tymi samymi synapsami, które zatrząskują się gdzieś i prowadzą do tego samego, lecz narzędzia, z których korzystamy, zależą od tego, kim jesteśmy i co przeżyliśmy. Stanowi to niezłą wskazówkę, że w istocie narzędzia nie mają znaczenia: odbijają jedynie nasze doświadczenie, upodobania, to, z czym dobrze się czujemy. W obliczu niepoznawalnego ukrywamy się za tym co znane i strzelamy zza węgła.

Widziałem, jak Trudie odprawia egzorcyzmy, czy raczej próbuje. Oplotła sznurek wokół palców, tworząc misterne zmienne wzory, tak jak dzieci bawiące się w kocią kołyskę. Jednakże Trudie wiedziała, że sznurek to tylko kocyk bezpieczeństwa. Prawdziwa moc kryła się w jej wnętrzu i wykorzystywała sznurki jako pretekst, by wyjść i się zabawić. Zatem Trudie zmusiła ją, by zaczęła działać w inny sposób. Nieważne, czy jej się uda, czy nie, zasłużyła sobie na pochwałę, choćby za to, że podjęła taką próbę.

Z drugiej strony, od Gwillama przeszła wprost do Jenny-Jane - od zaplutyh fanatyków prosto do nekrowiwisekcyjnistów - więc co to ma, kurna, za znaczenie? Musiałem tylko z nią pracować.

- Robisz dziś na nocnej zmianie - oznajmił Gil podczas jazdy windą na pierwsze

piętro. - O północy. Stacja Charing Cross, wyjście północne na Strand. Zabierz flet. Tymczasem profesor Mulbridge chce nagrać twoją melodię. Uważa, że możemy się czegoś z niej nauczyć. - W jego głosie dźwięczała drwiąca nuta.

- Nie zgadzasz się? - spytałem łagodnie.

- Uważam, że gdybyś wiedział, jak się rozprawić z Asmodeuszem, załatwiłbyś to lata temu. Fakt, że się tu zjawileś, świadczy o tym, że skończyły ci się pomysły.

- A fakt, że J-J mnie przyjął? O czym on świadczy? Odniosłem wyraźne wrażenie, że dzieje się coś, z czym wy, ludzie, nie potraficie sobie poradzić.

Drzwi windy otwały się ze spleśzczonym brzękiem pocisku odbijającego się od czekoladowej monety. Gil zaśmiał się szczerze rozbawiony.

- O tak - rzekł - jesteś jej ulubionym ducholapem. Ale niekoniecznie dlatego, że jesteś dobry. Po prostu tylko ty od niej odszedłeś. - Wskazał ręką w głąb korytarza. - Laboratorium numer trzy - dodał. - Czekają na ciebie.

Ruszyłem naprzód.

- Castor?

Odwrociłem się. Gil przyciskał palcem guzik otwierający drzwi windy.

- Jednocześnie cię za to nienawidzi - dodał. - Wiesz, za odejście. Toteż, według mnie, wcześniej czy później załatwi cię na cacy.

- Dzięki za ostrzeżenie.

Pokręcił głową.

- Byłoby to ostrzeżenie tylko gdyby mogło cokolwiek zmienić. Zabiłeś dobrego człowieka, skurwielu. Ojca. Zniszczyłeś rodzinę.

Winda brzęknęła jeszcze kilka razy, serwomotory w drzwiach jęknęły, próbując się zamknąć.

- Gabe wywołał demona - przypomniałem. - Demon go zabił. Ja jedynie usunąłem się spomiędzy nich.

- A potem demon został twoim partnerem. Pilnuj się, Castor. Bo ja będę pilnował ciebie.

Zdjął palec z przycisku i drzwi zasunęły się między nami. Silnik windy zapiszczał cicho, unosząc Gila z powrotem na drugie piętro.

W laboratorium numer trzy ponury przysadzisty facet, wyglądający bardziej na robotnika portowego niż technika medycznego, majstrował przy pokrętłach graficznego equalizera, wielkiego jak garaż na dwa samochody.

- Ty jesteś Castor? - spytał. - Super. Davey Nathan. Dobra, załatwmy to. Mam jeszcze

do odwalenia kupę transkrypcji. - Poprowadził mnie do dźwiękoszczelnej kabiny, zamontowanej w miejscu, w którym niegdyś mogła mieścić się toaleta. Miał akcent z Atlantyku, a kiedy spytałem, skąd pochodzi, odparł, że został wypożyczony z CIA. - Poważnie - dodał, patrząc na mnie czujnie, na wypadek gdybym zakwestionował jego słowa.

- Z Langley? - spytałem.

- Nie, nie do końca Langley - przyznał z niemądrą miną. - Z OSINT. Wywiad Open Source. Tak naprawdę jesteśmy bandą geeków, przesiewających publicznie dostępne źródła w poszukiwaniu użytecznych informacji. Tyle że nie nazywamy ich użytecznymi. Nazywamy je wykorzystywalnymi.

- Jak tu wylądowałeś?

Nathan wzruszył ramionami.

- Wkurzyłem niewłaściwych ludzi, panie C. Wkurzyłem mnóstwo niewłaściwych ludzi, od Boga począwszy. Ale co tam, kurwa. *A bi gesund...*

- Co takiego?

- To jidysz. Znaczący „dopóki jesteś zdrowy...”. Ale, mówiąc to, musisz mieć koniecznie nieszczęśliwą minę.

Odbębniłem parę prób akustycznych, a potem zamknął mnie, a ja zagrałem moją „Etiudę dla piekielnego pomiotu”, melodię, którą skomponowałem, by uspić Asmodeusza, kiedy po raz pierwszy odkryłem, że nie zdołałem go egzorcyzmować. Po odtworzeniu nagranie brzmiało całkiem niezłe, ale Nathanowi się nie spodobało.

- W okolicy ośmiu tysięcy herców robi się płaskie - mruknął. - Ten equalizer jest do dupy. Wracaj do środka i wal jeszcze raz. Podziubię trochę przy częstotliwościach.

Druga wersja brzmiała identycznie jak pierwsza, ale Nathanowi spodobała się bardziej.

- Do trzech razy sztuka - mruknął. - Zaczynaj, uda nam się. Wierz mi.

Najwyraźniej nam się udało. W każdym razie nie musiałem grać po raz czwarty. Podziękowałem Nathanowi za jego wysiłki i spytałem, nad jakimi transkryptami pracuje.

- Pięćdziesiąt procent mojego czasu. - Z rezygnacją rozłożył ręce. - Duchołapy odwiedzają jakieś miejsce, gdzie czai się widmo - w waszym znaczeniu tego słowa, nie znaczeniu wywiadowczym - i nagrywają je. Tyle że na taśmie nie ma żadnego dźwięku, jasne? Kiedy duchy gadają, albo nie wzbudzają wibracji powietrza, albo też mają sposób trafienia wprost do ludzkich uszu. Tego właśnie szukam - możliwości podsłuchania pieprzonego świata duchowego. Powiedziałem profesor M., że jeśli nawet znajdziemy sposób, to odbierzemy jedynie biały szum. Miliard głosów jednocześnie. A i tak nie znajdziemy go, o ile nie rozchodzi się w powietrzu. Po co, do diabła, miałby to robić? I tak

właśnie marnuję swoje życie. Wszystko dlatego, że zlekceważyłem bandę ekologów mówiących „zrobmy bombę”. Nie przypuszczałem, że potrafią samodzielnie zawiązać nawet pieprzone sznurówki.

Już miałem zostawić Nathana jego brzemieniu, lecz coś zaskoczyło mi w głowie, nim dotarłem do drzwi i odwróciłem się na progu.

- Tak? - spytał.

- Transkrypcje. Pięćdziesiąt procent twojego czasu?

Wzruszył ramionami.

- Mniej więcej.

- Czy drugie pięćdziesiąt procent to Rosie Crucis?

- Dajcie facetowi cygaro. Zgadza się. Dwa razy w tygodniu ma godzinną sesję z profesorem albo z tym gościem, McClennanem. Nagrywam ich rozmowy i indeksuję je.

- Możesz sobie zatrzymać cygaro - powiedziałem. - Ale co powiesz na szyfr otwierający jej drzwi? Znamy się z Rosie od wieków. I od dawna już nie rozmawialiśmy.

Nathan teatralnym gestem pokręcił głową, jakby chciał wyrwać się z transu.

- Bezpieczeństwo, Castor. Nazywa się je tak, bo ma być bezpieczne.

Powoli rozejrzałem się po zagrożonym pokoju.

- Martwisz się, że cię wyleją?

Nathan roześmiał się serdecznie.

- Pierdolić to - rzucił. - Pamiętasz tę bitwę, którą stoczyliście z Francuzami?

- Stary, była ich cała kupa.

- Tę najważniejszą. Tę, w której skopali wam dupy i wprowadzili się na dobre.

- Hastings.

- Właśnie. Dodaj dwadzieścia i masz swój magiczny numer.

- Dzięki, Nathan. Prawdziwy z ciebie *mensch*. Słyszac słowo w jidysz, rozpromienił się cały.

- *A shaynem dank dir im pupik*, Castor. Bardzo proszę.

Zszedłem na poziom ulicy i po paru błędnych zakrętach znalazłem drzwi Rosie. Nacisnąłem klawisze i zamek szczęknął. 1086. Ustawiając szyfr, Jenna-Jane nie myślała o bitwie pod Hastings, lecz o Księdze Sądu Ostatecznego. To przedsięwzięcie zdecydowanie bliższe jej sercu.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Przypominało to przejście w zupełnie inny świat. Kwatera Rosie jest niewiarygodnie schizofreniczna. Szpitalne łóżko, wielkie i paskudne, zamontowane na podnośniku hydraulicznym, pozwalającym opuszczać je,

podnosić i regulować nachylenie. Obok łóżka upiorny zestaw maszyn wyposażonych w czerwone diodowe wyświetlacze i staroświeckie wskaźniki. Obok nich zaś sofa, stolik i fotele, telewizor, tanie obrazki na ścianach - dowód wysiłku, jaki ktoś włożył, by zamienić ten oficjalny pokój, w istocie będący więzienną celą, w coś przypominającego dom.

Rosie leżała w łóżku - w dzisiejszych czasach tam właśnie spędza całe dni. To efekt uboczny zakłęb i blokad, którymi więzi ją J-J. Z upływem czasu jest coraz silniejszy. Połowę każdego dnia przesypia i wystarczy niewielki wysiłek bądź chwila emocji, by ją wyczerpać. Najdziwniejsze jest to, że owe objawy nie ustępują i powtarzają się w każdym zajmowanym przez nią ciele.

Obecnie jej cielesna powłoka była mężczyzną. Z łóżka patrzył na mnie gość około dwudziestki. Zamrugał parę razy, a potem jego rysy powoli rozjaśnił uśmiech.

- Felix! - Podobnie jak zmęczenie, głęboki, seksowny, gardłowy głos Rosie zawsze brzmi tak samo, nieważne w czym ciele rezyduje. - Mój najmilszy! Mój promyczku! Chodź i poświęć na mnie.

- Cześć, Rosie - odparłem. - Jak twoje życie miłosne?

- Całkowicie... teoretyczne.

Podszedłem do niej i usiadłem na skraju łóżka. Uniosła bladą dłoń i położyła na mojej. Może facet już wcześniej był blady, a może tak na niego działała magia Rosie, subtelnie odmieniając go na jej podobieństwo.

Zasady rządzące zaświatami są niepojęte, lecz wydają się dość konsekwentne. Nieważne, jaką postać przybierzesz po śmierci, cielesną czy duchową, nie zostajesz tu zbyt długo. Średnia to dwadzieścia, trzydzieści lat, pięćdziesiąt to całkiem sporo, a sto wyznacza górną granicę. U zombie rozpad jest szybki, niszczycielski i nieodwracalny. Duchy przechodzą powolniejszą i bardziej subtelną dezintergację, w miarę jak ich ego - klej trzymający w kupie ludzką istotę - zaczyna erodować i znikać.

Rosie stanowi anomalię. Tuzin egzorcystów tworzących szaleńczą sztafetę wywołał ją, pociągając za psychiczne sznurki powiązane ze skrzynką pamiątek z czasów Tudorów, którą J-J wzięła Bóg wie skąd. Pochwyciliśmy ją w sieć sporządzoną z naszych własnych flaków i arogancji, a potem przelaliśmy w czekające ciało, pierwsze z wielu. To wyczyn, którego nikomu nie udało się już powtórzyć.

Technicznie rzecz biorąc, to, co robi Rosie - sposób, w jaki udaje jej się pozostać na poziomie materialnym - można określić mianem duchowego opętania. Ciała należą do ochotników - najczęściej studentów psychologii i medycyny, którzy przechowują w sobie starego ducha przez tydzień bądź dwa, a potem odchodzą, tuląc do siebie, miast zapłaty,

taśmy i transkrypcje tego, co wypowiedziała ich ustami. Szybka rotacja oznacza, że nieruchawy tryb życia Rosie nie czyni szkody gospodarzom, choć część z nich twierdziła, że kilka tygodni lub miesięcy później w ich głowie pojawiały się przebłyski, spontaniczne wspomnienia wydarzeń z życia Rosie. Przypuszczam, że to kolejna atrakcja. Pewien typ umysłów niezwykle pociąga wizja tanich wakacji w czasach Wojny Dwóch Róż.

Rosie to niezwykła kobieta. Jej imię i nazwisko stanowi dowcip bądź maskę, nigdy nie zdradziła nikomu, jak nazywała się za życia. Mogę tylko powiedzieć, że to figlarna kokietka o nieprzyzwoitym umyśle, dosłownie kipiąca życiem - imponujące jak na kogoś, kto nie żyje od pięciu stuleci. Jest też niezmiernie gadatliwa. Lubi opowiadać o swoich przygodach, od czasu do czasu wtrącając historyjki o tym, gdzie się podziewała w czasie pięciuset lat dzielących jej śmierć od zmartwychwstania. Łże w żywe oczy, zaprzecza sama sobie bez mrugnięcia okiem, nabiera nas z poważną miną, a potem płacze ze śmiechu, gdy łyknijemy haczyk. A Jenna-Jane zapisuje to wszystko i ślęczy nad tym, szukając igły prawdy w wieżowcach siana cudownych bajerów Rosie.

Opuściłem KOM głównie dlatego, że z szanowanego gościa wkrótce stała się cennym zasobem, a potem de facto więźniem. Jenna-Jane bardzo wcześnie wpadła w obsesję na temat nieudokumentowanego dostępu i zaczęła kontrolować przepływ gości Rosie. Wypuszczano ją z KOM jedynie pod eskortą. Wyprawy te stawały się coraz rzadsze i rzadsze, aż w końcu zupełnie ustały.

Od tej pory widziałem ją tylko raz, ostatnim razem, gdy Asmodeusz próbował wyrwać się z klatki ciała Rafiego. Było to ponad rok wcześniej, lecz Rosie nigdy nie okazałaby się tak niedelikatna, by wiercić mi dziurę w brzuchu za to, że jej nie odwiedzam - poza tym, kiedy ma się na karku pół tysiąclecia, jeden rok w tę czy w tę niewiele znaczy.

- Jak to uroczo, że przyszedłeś - wyszeptwała. - Chyba że znaczy to... że znów zacząłeś przyjmować srebrniki od tej suki.

- Ja też za tobą tęskniłem - odparłem, unikając odpowiedzi. - Jak cię traktują?

Po prawdzie nie wyglądała najlepiej. I znów, pożyczone ciało sprawia, że trudniej to dostrzec, zważywszy jednak na to, że gość, którego ciało zajmowała, był zdrowym, młodym ochotnikiem, jego letargia i niepokój musiały pochodzić od samej Rosie.

- Wymyślają mi zajęcia, Fix. - Wargi Rosie wygięły się w cieniu uśmiechu. - Jak kosztownemu zwierzątku. Robią wszystko, żebym tylko była tu szczęśliwa.

- A jesteś?

Półuśmiech zniknął.

- Nie. Nieszczególnie. Towarzystwo nie jest tak... doborowe jak kiedyś. Widuję...

wielu nudziarzy. Wielu brutalnych osiłków. Znoszę to. Pozwalam im przychodzić i odchodzić, a oni nie pozostawiają na mnie śladu... ani na tym świecie, lecz mimo wszystko... to mnie smuci.

- No cóż, przynajmniej przez parę następnych tygodni będę mógł cię odwiedzać. Może ci coś przynieść? Winogrona? Wódkę? Porno? Gazetę?

Zastanawiała się chwilę.

- Nic - rzekła z powagą. - No, może porno. Jeśli jest zabawne. Ale wolałabym, żebyś ze mną porozmawiał. Powiedział mi, jak się kręci świat.

Tak też zrobiłem, przez jakąś godzinę skupiając się na rzeczach, które jak wiedziałem szczególnie ją interesują: polityce, lecz jedynie ogólnych wydarzeniach i barwnych intrygach, zwyczajach i modach, im bardziej ekstremalnych, tym lepiej, wydarzeniach z mojego własnego życia, beczelnie przejaskrawionych. Po jakimś czasie zaczęła przerywać mi pytaniami, nie potrafiłem jednak na nie odpowiedzieć. Dotykały sfer nienamacalnych, tego, jak w dzisiejszych czasach wygląda i żyje Londyn. Starłem się jak najlepiej opisać miasto, ale nie jestem poetą.

W końcu Rosie westchnęła głośno, co uznałem za sygnał, że mam się zamknąć.

- Nie mogę tego uchwycić, Feliksie - poskarżyła się.

- Uchwycić czego, Rosie? - spytałem.

Biorąc pod uwagę rolę, jaką odegrałem we wciągnięciu jej w to bagno, uznałem, że przynajmniej mogę użyć życzliwego ucha.

- Zmienia się - wymamrotała. Oczy miała zamknięte, głowę przechyloną, jakby nasłuchiwała. - Ale bardzo wolno. Jak światło w pokoju, gdy słońce wschodzi lub zachodzi. Nie dostrzegasz tego, dopóki się nie wydarzy.

- Czy nadal mówimy o Londynie?

- O świecie.

Cisza, która zapadła po tych dwóch słowach, trwała tak długo, że sądziłem już, że Rosie zasnęła. Kiedy jednak wstałem, by wyjść, wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń.

- Nie daj sobie zrobić krzywdy.

- Nigdy nie daję. Wszystko po mnie spływa, Rosie. Wiesz o tym. To część mego wrodzonego uroku.

Zignorowała zachętę do słownej potyczki.

- Będzie coraz trudniej oddychać - oznajmiła. - Naprawdę wierzę. Tak... Zmiany będą zachodzić dalej. Niczym wody wznoszące się ponad twoją głowę. Nie utop się, Fix. Byłoby mi przykro, gdybyś utonął. Jest tu człowiek, który cię nienawidzi...

- Gil McClellan - mruknąłem. - W porządku, Rosie. Zauważyłem to, kiedy tylko go ujrzałem.

- Myślisz, że... - Zaczęła, ale z jakiejś przyczyny nie dokończyła zdania. Jej wargi ukształtowały niewypowiedziane słowa, lecz w końcu jedynie pokręciła głową. - Nieważne. - Westchnęła. - Wszystko mija. Wszystko mija. Może to ty go... utemperujesz, Fix. Wiem, jaki z ciebie łotrzyk. Jak trudno cię przyszpilić. Mam nadzieję, że zrobisz mu krzywdę. Chciałabym to zobaczyć.

Wymówiła te słowa dość spokojnie, lecz w jej twarzy odczytałem dawny ból. Trudno ukryć uczucia, gdy polega się na cudzych mięśniach. Zanotowałem w pamięci, by spytać kogoś z grupy, najpewniej Sama, czy między Gilem McClellanem i Rosie doszło do czegoś nieprzyjemnego. Obecnie Gil stanowił jej podstawową więź ze światem zewnętrznym, to on kierował doborem i przygotowaniem ochotników - organizował dostawy mięsa, jak to nazwał - gdyby zatem zechciał, mógłby poczynić wielkie szkody. Poza tym był McClellanem. W moim prywatnym rankingu nie dodawało mu to żadnych punktów.

- Rosie - powiedziałem - muszę już zniknąć, ale, jak mówiłem, wkrótce znów się zobaczymy. Gdyby Gil czymś ci się naraził, daj mi znać.

- Oczywiście, mój rycerzu w lśniącej zbroi.

- Poważnie. Złamię mu rękę. Myślę, że Jenna-Jane pozwoli mi na to, o ile nie będzie musiał brać zwolnienia.

Ucałowałem ją w policzek, w nadziei że ochotnik nie będzie miał nic przeciw temu, kiedy przejrzy nagrania, i wyszedłem. Nie pożegnała się; znów leżała z zamkniętymi oczami, wyraźnie wyczerpana samą rozmową.

Szedłem korytarzem z głową pełną niewyraźnych, nieprzydatnych myśli, gdy nagle rąbnęła mnie potężna, atonalna fala białego szumu, tak nagła i bolesna, że omal nie upadłem. Wcześniej nie zorientowałem się, że skręciłem w złą stronę i mijam wzmocnione stalowe drzwi prowadzące na dół, do cel w piwnicy. Wycofałem się pośpiesznie; ciężka atmosfera tego miejsca napierała na mnie tak, że miałem wrażenie, że oddycham przez szmatę nasączoną benzyną. Instynkt podpowiadał mi, żebym wynosił się stamtąd jak najszybciej, lecz ci na górze wciąż pracowali nad mapą i musiałem sprawdzić, jak daleko zaszli. Jeśli Trudie Pax zdoła wytropić Asmodeusza, chciałem dowiedzieć się o tym jako pierwszy. Wróciłem na drugie piętro i odszukałem znajomy pokój. Minęły dwie godziny, lecz Trudie najwyraźniej w ogóle się nie poruszyła: nadal stała przy stole, naciągnięty sznurek łączył jej rękę z gwoździem w suficie, a ona przesuwała dłonią nad mapą. Natomiast inne rzeczy się zmieniły. Teraz stoły ustawiono pod kątem, podpierając chwiejne tylne nogi stosami

złożonych kartonów, tak że środek zlepionej mapy i dłoni Trudie dzieliło zaledwie parę cali. W palcach trzymała stalową linijkę, do drugiego końca której przylepiono plasteliną ołówek. Ta zaimprovizowana konstrukcja pozwalała jej trącać mapę i stawiać na niej znaczki. Victor Etheridge krzątał się dokoła z własnym ołówkiem i linijką, starannie łącząc punkty idealnie prostymi liniami.

Trudie miała zamknięte oczy, lecz już w drzwiach dostrzegłem spojrzenie Etheridge'a. Uniósł dłoń w uniwersalnym znaku „stój” i energicznie pokręcił głową: „nie przerywaj”.

Pożałowałem, że nie mogę udać, że go nie zauważyłem, bo bardzo chciałem zajrzeć do środka i zobaczyć, gdzie skupiają się owe linie: gdzie demon mógł rozbić obóz. Wyraźnie jednak Trudie zaczęła się rozkręcać, a Etheridge starał się ją chronić. Wiedziałem także z czysto logicznego punktu widzenia, że wiadomość, gdzie się kręci Asmodeusz, na nic się nie zda, dopóki nie znajdziemy broni, która by na niego podziałała. Próbując się pocieszyć tą myślą, pozdrowiłem Etheridge'a skinieniem głowy i się wycofałem. Niestety, logiczny punkt widzenia dzielił od mego stanu umysłu kawał drogi. Kipiałem nerwowym niepokojem, wrażeniem, że muszę coś zrobić w tej chwili, natychmiast, nawet jeśli później okaże się, że się myliłem.

Zadzwoiłem zatem do Juliet. Uznałem, że ma to swoisty, obłąkańczy sens.

ROZDZIAŁ 9

- Sto funtów? - powtórzyła Juliet. W jej głosie zabrzmiała podejrzliwa nuta.

- Tak - potwierdziłem.

- Dziennie?

- Właśnie.

- Plus wydatki?

Wywróciłem oczami.

- Do cholery, nie. Zresztą, jakich się spodziewasz wydatków? Proszę tylko, żebyś miała oko na dom Pen i dopilnowała, by Asmodeusz się do niego nie zbliżał. Pen już i tak nafaszerowała to miejsce blokadami i zaklęciami, istnieje zatem możliwość, że w ogóle nie będziesz musiała niczego robić. Ale jeśli blokady zawiodą, chcę jej zapewnić kolejną linię obrony. To właśnie ty.

Juliet pociągnęła łyk kawy, czarnej, gęstej i słodkiej jak melasa. Kelner o obleśnej twarzy i idiotycznym latynoskim wąsiku kręcił się w pobliżu z dzbankiem, w nadziei że Juliet uniesie kubek, prosząc o dolewkę. Wówczas miałby pretekst, by się zbliżyć i wciągnąć w płuca kolejną porcję esencji sukuba.

- To brzmi nudno - mruknęła, odstawiając kubek i ocierając usta serwetką. Na złożonej krawędzi pozostawiła rozmazany odcisk jaskrawoczerwonej szminki, niczym smugę krwi.

- Och, myślę, że w rzeczywistości okaże się jeszcze nudniejsze. Ale to łatwa forsa. - Łatwo przyjdzie, łatwo pójdzie, dodałem w duchu. Była to cała suma, którą dostałem od Jenny-Jane, i miałem co do tego mieszane uczucia. Z jednej strony, z ulgą pozbyłem się skażonych srebrników J-J, przekazując je od razu dalej. Z drugiej, nie można żyć powietrzem. Jeśli szybko nie rozwiążę tej sprawy, zacznę posilać się z kubłów na śmieci za Pizza Hut.

- Nie jestem zainteresowana - oznajmiła Juliet.

- Co? - Ogarnęła mnie rozpacz. Zacząłem od najlepszej oferty, wiedząc z doświadczenia, że nie da się targować z kobietą, która potrafi wywęszyć moją duszę, toteż nie miałem niczego w zapasie. - Przynajmniej to przemysł, Juliet. Nie potrwa długo i możesz zawsze...

- Nie jestem zainteresowana pieniędzmi - doprecyzowała Juliet. - Daj je jej.

- Jej? Jakiej jej?

- Tej, którą tak łatwo uszkodzić. Mojej przyjaciółeczce. - Wypluła te słowa z palącą pogardą.

- Susan?

- Właśnie. To ona potrzebuje ubrań do noszenia, posiłków do jedzenia i gadżetów do zabawy. Uszczęśliw ją, jeśli w ogóle potrafi być szczęśliwa. Daję ci trzy dni.

Nie odpowiedziałem. Prawdę mówiąc, wciąż próbowałem przetrwać słowa „łatwo uszkodzić” i utknęły mi w gardle niczym kość kurczaka. Juliet patrzyła na mnie, w jej zwężonych oczach dostrzegłem cień wyzwania.

- Ona... - zacząłem z wahaniem. - To znaczy... Sue była dla ciebie czymś znacznie więcej niż przyjaciółką.

- Naprawdę? Skąd miałbyś to wiedzieć, Castor?

No dobra, to łatwe pytanie.

- Bo seks możesz znaleźć wszędzie - oznajmiłem brutalnie. - Możesz mieć każdego, kogo zapragniesz, na dowolnych warunkach, jak długo zechcesz. Jeśli zatem decydujesz się zamieszkać z jedną kobietą i dochować jej wierności, to dlatego, że...

Szorstki śmiech Juliet wstrząsnął mną.

- Wierności? - powtórzyła. - Proszę. Tylko wasz gatunek, Castor, czyni cnotę z nieposłuszeństwa własnym instynktom. Jeśli jestem głodna, to coś jem. Jeśli jestem zła, coś zabijam. A jeśli czuję żądzę, sprawiam, że ktoś mnie zaspokoi. Gdzie w tym wszystkim miejsce na wierność? To tylko słowo, którym się posługujecie, by skrepić tego, kogo kochacie. Związać go ze sobą. To broń słabych przeciwko mocnym.

- Ciekawy dobór słów - skomentowałem, wpatrując się w skupieniu w fusy na dnie filiżanki.

- Broń? A jak byś to nazwał?

- Nie to słowo - rzekłem. - To drugie. Kochacie. W dawnych czasach powiedziałybyś „pożądacie” bądź „pragniecie”. Dwa lata na Ziemi zmieniły cię bardziej niż przypuszczasz, Juliet. Założę się, że Bafomet nie rozpoznałby w tobie swojej młodszej siostry.

Ponownie spojrzałem jej w oczy, chwila milczenia się przeciągała. Podpuszczanie sukuba to dość ryzykowna strategia. W normalnych okolicznościach bardzo bym uważał, by wytyczyć granicę i jej nie przekroczyć, ale to była Juliet, której nie poznawałem, i napiąłem się pod jej spojrzeniem niczym mały gryzoń, nad którym krąży jastrząb.

A potem roześmiała się, a ja się odprężyłem.

- Masz rację - rzekła - zmieniłam się.

Odstawiła filiżankę i obdarzyła kelnera spojrzeniem trwającym jedną dziesiątą

sekundy - dość, by podbiegł do nas i ponownie napełnił kubek. Był szczęśliwy, że może jej służyć, szczęśliwy, że znalazł się obok tej zdumiewającej kobiety, która w tym momencie wypełniała jego umysł, wypychając z niego żonę, dzieci, innych klientów, kredyt hipoteczny, całą przeszłość i całą przyszłość. Napełnił filiżankę i uczynił gest jakby chciał podnieść dzbanek. Juliet położyła mu lekko palec na dłoni i kelner lał dalej. Gorąca kawa przelała się przez krawędź, wsiąkając w obrus i tworząc coraz większą brązową plamę.

- Może zmieniłam się za bardzo - powiedziała Juliet. - Może coś straciłam. Większość tego, co teraz robię, mnie nudzi.

Kelner wydał z siebie cichy, bezradny dźwięk - zdławiony jęk rozpaczy. Juliet nie przyciskała jego ręki: przytrzymała go w miejscu siłą woli, nie fizyczną. Kawa zalała już cały obrus i ściekała na podłogę oraz wypolerowane do połysku buty mężczyzny.

- W takim razie może potrzebne ci nowe wyzwanie - podsunąłem. - W odróżnieniu od tych samych starych sztuczek, takich jak wywoływanie u facetów nocnych zmas za dnia. To z pewnością zbyt łatwe?

Juliet uniosła palec. Kelner odruchowo cofnął się o krok; kiedy kontakt został zerwany, sapał głośno niczym wyrzucona na brzeg ryba.

- Wszystko jest zbyt łatwe - oznajmiła z mocnym naciskiem Juliet. - Jak powiedziałam, popilnuję twojej kobiety przez trzy dni. Jeśli Asmodeusz naprawdę na nią poluje, może dojdzie do walki - albo pieprzenia - na które warto czekać. Ale trzy dni to moja granica. Jeżeli do tego czasu się nie zjawi, to nie przyjdzie.

- Pen nie jest moją kobietą - poprawiłem skrupulatnie.

- W takim razie jestem jeszcze mniej zainteresowana. Powiedzmy, dwa dni.

Wstała, pozostawiając nietkniętą filiżankę na środku zalanego stołu. Kelner wpatrywał się w nią wielkimi, ogłupiałymi oczami, nękany własnym, nieodwzajemnionym pożądaniem. Mnóstwo ludzi także się gapiło, lecz Juliet już dawno do tego przywykła. Nigdy jej to nie przeszkadza.

W milczeniu ruszyliśmy z powrotem do domu Sue. Kiedy sięgnąłem do furtki, Juliet zatrzymała mnie stanowczym pchnięciem w pierś.

- Zostań, Castor.

Popatrzyłem na nią ze zdumieniem.

- Chciałem się tylko przywitać z Susan. Skoro już jestem w okolicy.

Juliet uśmiechnęła się drwiąco.

- Tak, na pewno - zgodziła się. - Ale ona należy do mnie, i to ja decyduję, z kim rozmawia. Muszę dopilnować, żeby pozostała mi wierna. Wracaj do domu. Powiedz swojej

gospodyni, że ma anioła stróża. Przez dwa dni, tak chyba ustaliliśmy. Potem będzie musiała sama coś załatwić.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i zatrzasnęła za sobą.

Kiedy tak stałem przy furtce, mój zmysł śmierci niespodziewanie nadstawił metaforycznych uszu. Powinienem zauważyć to wcześniej, lecz namacalna obecność Juliet zazwyczaj wypycha wszystko inne z mojego pola postrzegania.

Mój metafizyczny radar na coś zareagował, coś bardzo bliskiego - a w jasnym słońcu nie widziałem żadnych duchów ani zombie, mogących za to odpowiadać. W owej reakcji było coś znajomego i z czymkolwiek mi się kojarzyło, nie było to wrażenie pozytywne. Negatywne. Niedawne. Nekromantyczne. Na ulicy, W jasnym blasku dnia...

Nagle zrozumiałem. To właśnie czułem, trzymając w dłoni kamień znaleziony w ogrodzie Pen: przywołanie Tlallika, czymkolwiek czy kimkolwiek okaże się skurwysyn.

Dobra. Skoro zatem już tu byłem i nie zaproszono mnie na podwieczorek, równie dobrze mogę sprawdzić to miejsce. Ze szczerą nadzieją, że Juliet nie wygląda przez okno, przeskoczyłem przez niskie drewniane ogrodzenie do frontowego ogrodu Susan Book - choć może to zbyt dumne określenie na trawnik wielkości kartki pocztowej, na wpół uschnięty żywopłot i trzy rabaty geranium.

Przykucnąłem i odepchnąłem niższe liście żywopłotu, szukając śladów świadczących o tym, że ktoś był tu przede mną. Z początku wszystko wyglądało koszerne, gdy jednak powiodłem wzrokiem w lewo i w prawo, dostrzegłem przebłysk czerwieni. Pośród kwiatów, na wpół zagrzebany w miękkiej ziemi, tkwił drugi kamień: szary, jak pierwszy, i oznaczony okrągłą pieczęcią, niewyraźnie lecz czytelnie wymalowaną jaskrawoczerwoną farbą. Był nowszy, toteż tym razem zdołałem stwierdzić po zapachu, co to za farba. Lakier do paznokci.

Sfotografowałem go podobnie jak pierwszy i odłożyłem na miejsce. Wyraźnie różnił się od tamtego: nie w ogólnych zarysach, które były identyczne, lecz zbiorem aramejskich symboli pośrodku. Tym razem były tylko dwa. Jeśli kamienie faktycznie były przywołaniem - a nie widziałem powodu, by wątpić w trafność stwierdzeń Nicky'ego - przywoływały dwie różne istoty. Duchy złości, gniewu i paranoi, ściągnięte po to, by doprowadzić Juliet do oblędu? Nie, to nie miało sensu. Jeden demon nie mógł opętać drugiego, a Juliet zorientowałaby się w sekundę, gdyby ktoś próbował wyciąć jej taki numer. Jej zmysł sukuba zareagowałby, podążyłaby magicznym śladem do źródła przywołania i wkrótce jakiś nieszczęsny nekromanta próbowałby jedną ręką pozbierać swoje flaki, podczas gdy drugą waliłby sobie konia. Poza tym, pierwszy pentagram znalazłem w domu Pen, a o ile wiedziałem, wciąż była sobą, ja też byłem sobą i nie dręczyły mnie żadne nietypowe zmiany

nastrojów czy nagle ataki nieopanowanej wściekłości.

Zatem to coś innego. Ale co? I dlaczego? Obiecałem Sue, że dowiem się, co stoi za przerażającymi, dziwnymi reakcjami Juliet. Zwykle osiągam średnie wyniki w dotrzymywaniu obietnic, tym razem jednak byłem zdeterminowany. Nie mogłem pozwolić, by Juliet stała się Cudzym Problemem, podobnie jak nie mogłem tego zrobić z Rafim. W niektórych kwestiach nasze pole manewru ogranicza się do zera.

* * *

Resztę dnia zabiłem na różne bezproduktywne sposoby. Poszedłem na cmentarz Bunhill Fields, żeby posiedzieć pośród starych grobów - dość starych, by opuściły je wszelkie duchy - i spokojnie przemyśleć temat Rafiego, Asmodeusza i czarodziejskich kul. Zazwyczaj to miejsce świetnie mi robi. Może to cisza, a może bliskość czcigodnych kości Williama Blake'a sprawia, że mój umysł zaczyna pracować ze stu pięćdziesięcioprocentową wydajnością. Ale nie tym razem. Siedziałem i patrzyłem, jak zapada ciemność, cały czas wyłaniając się za tymi samymi kilkoma myślami, zataczając wokół nich coraz ciaśniejsze kręgi. Trudno byłoby obezwładnić Asmodeusza, nawet z wykorzystaniem wszystkich nieczystych ciosów świata; zrobienie tego bez zabicia Rafiego wydawało się niemożliwe.

W nierównomiernych odstępach dzwoniłem do Nicky'ego Heatha, w końcu za trzecim czy czwartym razem odebrał. Zszedł do głównej sali Gaumonta, ponownie majstrując przy ustawieniu foteli. Powstrzymałem się przed zapytaniem, na cholerę mu to, biorąc pod uwagę, że tylko on tam siada. Zamiast tego spytałem, czy ma dla mnie jakieś wieści.

- Tak - odparł Nicky - mam. Na froncie Ditko całkiem sporo, ale to bardziej ilość niż jakość, jeśli chwytasz. Tak czy inaczej, jest tego zbyt dużo na rozmowę przez telefon. Wpadnij i odbierz osobiście, jeśli będziesz miał chwilę.

- A coś w sprawie tego amuletu, który znalazłem u Pen?

- Jak dotąd nic. Przejrzałem grimoiry i znalazłem jedno wielkie zero. Teraz wrzucam Tlallika i Tlullika w parę wymyślnych metawyszukiwarek i zapuszczam w sieci na moich ulubionych forach nekromanckich. Jeśli jednak nawet ktoś o nich kiedyś słyszał, to z całą kurwą, pewnością tego nie zapisał.

- Mam dla ciebie kolejny - rzekłem. - Ten sam pentagram, inny ładunek.

- Pchnij go do mnie. Im więcej, tym lepiej.

Pogrzebowy ton Nicky'ego zaprzeczał słowom, lecz i tak wykorzystałem zaproszenie. Potem zerknąłem na zegarek.

- Jestem umówiony o północy - oznajmiłem. - Będę mógł wpaść potem?

- Ja nie śpiam, Castor. Noc i dzień to dla mnie to samo, tyle że nocą mogę przespacerować się po okolicy i nie zgnić.

- Nie przy tej pogodzie - zauważyłem.

Parsknął.

- Tak, tu masz rację. Wpadnij kiedy chcesz. Moje drzwi są zawsze otwarte.

- Twoje drzwi są zaminowane, Nicky.

- No, owszem.

Już miałem się rozłączyć, kiedy znów się odezwał:

- A, zaczekaj. Nie będzie mnie. Zastaniesz mnie na Hoe Street. Na targu przy Hoe Street.

- Tak wcześnie nad ranem? - zdumiałem się.

- Tak.

- Dobra. Z której strony?

- Znajdziesz mnie, Castor. Do tej pory tłumy z pewnością już się przerzedzą.

A zatem czekał mnie nocny wypad do miasta w towarzystwie Gila McClennana, a potem odwiedziny u nieboszczyka na wyludnionym ulicznym targu. Sami widzicie, czemu ludzie spragnieni blichtru nie zajmują się egzorcyzmami.

* * *

Kiedy wysiadłem na stacji przy Charing Cross, od północy wciąż dzieliło mnie pięć minut. Według standardu West Endu to jeszcze całkiem wcześnie, toteż wokół kręciło się sporo ludzi, choć większość restauracji i kawiarni na Strandzie zamknęła już podwoje.

Uznawszy, że przybyłem jako pierwszy, oparłem się o tanią replikę Eleanor Cross i nastawiłem na czekanie. W tym momencie jednak wypatrzyłem Trudie Pax. Stała tuż za drzwiami stacji, nerwowo owijając i odkręcając sznurek z lewej dłoni.

W tym samym momencie dostrzegła mnie i ruszyła w moją stronę, oszczędzając mi kłopotu podjęcia decyzji, czy do niej dołączyć. Miała na sobie zgniłozieloną wojskową kurtkę, dżinsy i wysokie buty, lecz mimo sztywnego i modnego stroju miejskiej podróżniczki, sprawiała wrażenie zmęczonej i nieco rozkojarzonej.

- I jak idzie mapowanie? - spytałem.

Lekceważąco machnęła ręką.

- Coś mamy - rzekła. - Początek czegoś. Pokażę ci jutro, a ty powiesz mi, co to jest warte. Nie wiesz, jak ze mną rozmawiać, prawda Castor?

- Nie sądzę, żebym miał ci cokolwiek do powiedzenia - poprawiłem.

- Kiedy ostatnio się spotkaliśmy...

- Kiedy ostatnio się spotkaliśmy, wystawiłaś mnie, Trudie. Bez ciebie Gwillam nie dotarłby do Rafiego i nie tkwilibyśmy teraz po uszy w gównie.

Sądziłem, że się zarumieni, ale zamiast tego się skrzywiła.

- Nie wiedziałam, co on planuje - przypomniała lodowato. - Kiedy ci powiedziałam, że nie mam podsłuchu, mówiłam szczerze. Ja go nie miałam. Gwillam zdołał przemycić pluskwę, i to niby moja wina? Dołożyłam wszystkich starań, żeby dotrzymać słowa. On jednak zrobił ze mnie kłamcę, więc odeszłam. Tej samej nocy opuściłam Anathematę.

- Żeby dołączyć do KOM - rzuciłem lekko. - Co za pryncypialne podejście. Brawo.

Trudie westchnęła.

- Nie proszę cię o aprobatę, Castor.

- Cieszę się.

- Chcę tylko, żebyś wiedział, że to działało na dwie strony. Nie tylko ty zostałeś oszukany, ale i ja. A ponieważ ufałam ojcu Gwillamowi, zapewne przyjął to ciężiej.

- I co, nadal pozostajesz porządną katoliczką?

Trudie rozłożyła ręce; temperament wyraźnie zwyciężał ze skruchą.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytała ostro.

- Absolutnie niczego - warknąłem.

Niemniej jednak pytanie było celne. Warczałem na nią niczym zazdrosny mąż i pewnie miała rację, mówiąc, że to nie ona oszukała, ale została oszukana. Po prostu nie mogłem się przed nią otworzyć, bo stanowiła część tamtej nocy - krwi, grozy i poczucia winy. Głównie mojej, lecz bardzo chętnie zarażałem nią innych.

- Posłuchaj - rzekłem. - Pracujemy razem, więc postaram się zachowywać uprzejmie, gdy na siebie wpadniemy. Poza tym, chyba nie musimy gadać.

Trudie patrzyła na mnie bez zmrużenia oka.

- Decyzję zostawiam tobie - oznajmiła lekko niebezpiecznym tonem. - Wiem coś o Ditko - czy raczej Asmodeuszu - coś, czego nie powiedziałam profesor Mulbridge. Pomyślałam, że powiem tobie i pozostawię ci decyzję, kto jeszcze ma się dowiedzieć. Ale może za bardzo ci pobłażam, Castor. Może bardziej interesuje cię twoja własna prawość niż pomoc przyjacielowi.

Obróciła się gwałtownie i wpadła wprost na Gila McClennana, który jakimś cudem dotarł całkiem blisko, mimo że żadne z nas go nie zauważyło.

- Chyba w niczym nie przeszkadzam? - spytał z wyrazem twarzy będącym dalekim krewnym lubieżnej drwiny.

- W grupowej modlitwie - odparłem. - Gdzie pozostali?

- Dziś jest nas tylko troje. - Gil nakreślił palcem wskazującym krąg obejmujący Trudie, mnie i samego siebie. - Devani i Etheridge już to widzieli i niczego nie wymyślili. Wy dwoje jesteście nowi, więc teraz na was kolej, by przybrać komicznie zdumioną minę. Powiedzcie, kiedy będziecie gotowi.

Ruszył, oddalając się od Trafalgar Square Stranem. Zerknąłem na Trudie, która wzruszyła ramionami i podążyła za nim. Cokolwiek miała mi do powiedzenia, wyraźnie będzie musiało poczekać.

Przeszliśmy niemal cały Strand i zatrzymaliśmy się niedaleko Aldwych. Po stronie ulicy przeciwległej do Savoyu, nieco za teatrem Vaudeville, Gil zatrzymał się i zaczął, aż go dogonimy. Stał przed nieciekawymi drzwiami, wciśniętymi w wąską przestrzeń pomiędzy sklepem ze sprzętem turystycznym i hinduską restauracją. Po jednej stronie drzwi, w oszklonej gablocie wisiał samotny plakat. „Siłownia i Centrum Fitnessowe Super-Self”, głosił, pyszniąc się amerykańską ortografią, jakby stanowiła ona widoczną więź łączącą go z odległą krainą opalenizn i sześciopaków. Pod złotymi literami widniała zbieranina zdjęć przedstawiających rowery treningowe, bieżnię, basen i saunę.

Gil wyjął z kieszeni pęk kluczy, wsunął jeden w zamek i obrócił. Gdy otworzył drzwi, w ciemności za nimi błysnęło czerwone światło i usłyszeliśmy dwutonową, donośną skargę syreny alarmowej. Gil wystukał kilka cyfr na klawiaturze tuż za drzwiami i alarm się wyłączył. Potem nacisnął coś i zapłonęły światła, ukazujące niewielki hol, a naprzeciwko nas drugie drzwi. Podeszedł do nich i otworzył je.

- Dobra - rzekł. - Piłka po waszej stronie.

Wraz z Pax ruszyliśmy naprzód w dwuosobowej formacji, wyężdżając nasz zmysł śmierci, niczym żołnierze przepływający się przez pole minowe. Za drzwiami ujrzeliśmy korytarz, znacznie szerszy niż hol i oczywiście dłuższy. Na jednej ścianie wymalowano fryz, przedstawiający idealne pod względem fizycznym ludzkie istoty, biegające, skaczące, pływające, ćwiczące skłony. Drugą zrobiono ze szkła, a za szybą zalegała ciemność. Wpatrując się w ową bezdenną czarną otchłań, poczułem, że wzbiera we mnie groza, tak nagła, że kompletnie mnie zaskoczyła. Nie bałem się ciemności: bałem się tego, jak wiele o niej wiem. Zaciemnione pomieszczenie, od którego dzieliła mnie zaledwie jedna szyba, mogło być wielkie jak katedra bądź małe jak szafa. Jakie to uczucie zabłądzić w mroku? Nie mieć pojęcia, jak daleko jest do ścian?

Obok mnie Trudie odetchnęła głośno. Przez moment jej dłoń zaczęła szukać mojej, potem właścicielka uświadomiła sobie co robi i z wyraźnym wysiłkiem opuściła rękę.

- Tak - zgodził się cierpko Gil. - Zaczynacie to czuć, prawda?

On sam nie przekroczył progu, w istocie stał nieco dalej, co oznaczało, że w jakiś sposób podparł drzwi wewnętrzne. Zauważyłem, że wyjściowe także. Ponad jego ramieniem zobaczyłem przejeżdżający nocny autobus, usłyszałem odległy sygnał śmieciowej barki na Tamizie.

- Niby co czujemy? - spytałem.

Gil uśmiechnął się złośliwie, czy raczej spróbował. Ręce trzymał w kieszeniach, usiłując przybrać swobodną pozę, widziałem jednak po ich kształcie, że zaciska obie pięści.

- Ty mi powiedz, Castor - rzekł. - Co czujesz? Radość pierdolonej wiosny?

Nie zaszczycił mego odpowiedzią i czekałem. Po paru chwilach niecierpliwie zarzucił głową, jakby stracił nadzieję.

- Co tu macie? - zapytałem.

- Nie chciałbym narażać twojego zawodowego obiektywizmu - odparł. - Masz, sam zobacz. - Wyjął z kieszeni prawą rękę i rzucił coś, co uderzyło o moją dłoń z metalicznym brzękiem. Pęk kluczy. Gil wskazał ręką drugi koniec korytarza. - Sprawdź piwnicę, poziom pierwszy. Tam, gdzie mają basen. Pax, ty i ja okążymy budynek z zewnątrz. Potem spotkamy się tu i porównamy wrażenia.

No cóż, po to przecież przyszliśmy. Jednakże, nim się poruszyłem, znalazłem kolejny rząd przełączników i nacisnąłem wszystkie. W pomieszczeniu za oknami przebudziły się jarzeniówki. To była sala treningowa, a jej stuprocentowo banalny wystrój dodawał otuchy, nie dostrzegłem niczego groźniejszego niż steppery. Czując się nieco głupio, przeszedłem korytarzem i ruszyłem w dół schodami. Kiedy dotarłem do pierwszego zakrętu, usłyszałem, że Gil coś krzyczy, a potem odgłos kroków. Obejrzałem się w chwili, gdy Trudie wyłoniła się zza rogu. Minęła mnie i maszerowała naprzód, nie zważając na moje pytające spojrzenie.

- Zdawało mi się, że miałaś sprawdzić budynek od zewnątrz?

- Powiedziała mi Gilowi, że chcę wiedzieć dokładnie, co się tu dzieje - wymamrotała. - Próbował powołać się na hierarchię służbową, więc zostawiłam go samego. Co może nam powiedzieć budynek z zewnątrz?

Po sposobie, w jaki w ponurym grymasie zaciskała zęby, wiedziałem, że to miejsce poruszyło ją równie mocno jak mną, lecz fakt ten sprawiał jedynie, że z jeszcze większą determinacją starała się nie okazywać strachu.

Piwnica okazała się większa niż parter - a przynajmniej ta część parteru, którą widzieliśmy. Tu mieściła się właściwa recepcja klubu, z kontuarem pośrodku otwartej przestrzeni, podłogą wyłożoną kamiennymi płytami i strzałkami wskazującymi drogę do

AEROBICU, SIŁOWNI, STUDIA PILATES. Przy wszystkich zapalonych światłach i pod nieobecność ludzi wyglądało to bardziej jak scena teatralna niż sala w rzeczywistym świecie - a kiedy to porównanie przyszło mi do głowy, zacząłem się zastanawiać, czy ktoś lub coś nie zamierza na nią wejść. Irracjonalny niepokój, więcej, strach, który ogarnął mnie na górze, powrócił, tym razem jeszcze silniejszy. Musiałem walczyć z pragnieniem obejrzenia się przez ramię. Wyraźnie wyczuwałem zagrożenie. Coś otarło się lekko o sam skraj mojej świadomości, na częstotliwości zarezerwowanej dla umarłych.

- Tam. - Trudie wskazała ręką strzałkę z napisem basen olimpijski.

Jej głos załamywał się lekko. Wyraźnie nie tylko ja kiepsko się tu czułem.

Podążyliśmy za strzałką do podwójnych drzwi, przy których musieliśmy przystanąć, bo szukałem klucza. Po otwarciu omiotła nas chmura przesyconego chlorem powietrza. Znaleźliśmy się w mniejszym przedsionku, z drzwiami po obu stronach oznaczonymi symbolami mężczyzny i kobiety i otwartym łukiem naprzeciwko, za którym rozciągała się ciemność. Szukaliśmy włączników światła, na próżno. Z jakiejś przyczyny wydało mi się to złowieszcze. Po co ktoś miałby ukrywać włączniki? Czego mieliśmy nie zobaczyć?

Cokolwiek to było, czułem, że znajduje się dokładnie na wprost nas, że to, po co przybyliśmy, dzieli od nas zaledwie parę kroków po drugiej stronie łuku. Nagle, jakby na potwierdzenie, uświadomiłem sobie, że słyszę rytmiczny chlupot wody o kamień. Dobiegał z bardzo bliska. Znaleźliśmy basen.

- Wracajmy - wyszeptła Trudie tuż za moimi plecami.

Pokręciłem głową, nie tylko po to, by zaprzeczyć, ale też, by przeczyścić myśli. To jakiś absurd. Wokół było pusto, nie mieliśmy się czego bać. To prawda, budynek może być nawiedzony, ale w końcu oboje byliśmy egzorcystami. Zajęliśmy świetną pozycję, by rozprawić się ze wszystkim, co mogło czekać po drugiej stronie łuku.

- Po prostu się... rozejrzyjmy - zaproponowałem z wysiłkiem. - A potem wyjdziemy.

- Niczego nie zobaczymy - zauważyła drżącym głosem Trudie. - Jest za ciemno.

Zakończyłem dyskusję, postępując dziesięć kroków naprzód. Przeszedłem pod łukiem i znalazłem się w większym pomieszczeniu. Pod stopami znów czułem kafle, każdy krok wzbudzał głuche echa. Lekka fosforescencja wody ukazywała skraje basenu, moje oczy zaczęły przywykać do ciemności.

Tak naprawdę, w sali nie było całkowicie ciemno. Choć znajdowaliśmy się pod poziomem gruntu, pośrodku sufitu zamontowano świetlik, który zapewne przebijał cały budynek aż do nieba w górze. Przenikała przez niego mętna poświata, która wisiała w powietrzu setką drobnych punkcików. Jednakże światło promieniujące z basenu nie miało

związku z padającym z góry. Było teraz silniejsze, wyraźniejsze i dostrzegłem w nim ślady ruchu. Byłem świadom dwóch rzeczy: po pierwsze, tego, że Trudie stoi u mojego boku, po drugie, że mój zmysł śmierci, który, odkąd znaleźliśmy się na schodach, odbierał szept i ciche szmery, teraz rejestruje wrzask tysiąca gardeł, ogłuszający niczym syrena lotnicza.

Ów dźwięk na moment mnie sparaliżował, w tej sekundzie Trudie minęła mnie i dotarła na skraj basenu. Widziałem jej postać na tle słabego migoczącego blasku, patrzącą w głąb wody. Z jej ust dobył się zduszony krzyk, kolana ugięły się pod nią i omal nie upadła. Skoczyłem, by ją podtrzymać, i zobaczyłem co widzi.

Tylko niezrozumienie uchroniło mnie przed podobnym upadkiem. Potrzebowałem paru sekund, aby ruch w dole nabrał wyraźnych kształtów, i kolejnych paru, by mój umysł przypisał im znaczenie.

Na dnie basenu poruszali się ludzie, mnóstwo ludzi. Byli widoczni dzięki własnemu słabemu blaskowi, niczym chińskie lampiony płonące pod powierzchnią wody. Niektórzy nosili zbroje, inni długie jasne tuniki. Wszyscy mieli na stopach sandały. Jeden dzierzył w dłoni krótką laskę, niczym oznakę urzędu, wymachiwał nią z emfazą, mówiąc coś. A mówił sporo: do zbrojnych żołnierzy, kolejnego mężczyzny w identycznym stroju, kobiety o długich czarnych włosach spiętych grzebieniem. Słuchali z szacunkiem, wbijając w niego wzrok, on tymczasem gestykulował, obracał się, znów machał rękami.

To był kongres duchów - zlot, parlament umarłych - a przecież coś takiego jest niemożliwe na tak wielu poziomach. Czemu ten widok budził we mnie tak wielką grozę? Dlaczego nagle nie mogłem nawet odetchnąć?

Trudie wyrwała mi się z objęć i odeszła, unosząc przed sobą ręce, jakby w obronie przed fizycznym atakiem. Chętnie zrobiłbym to samo, ale nie mogłem się ruszyć. Spoza mego pola widzenia znów zaczęła napływać ciemność, niosąc ze sobą porażającą panikę, która zalewała mnie falami, wyłączając mięśnie.

Nagle uświadomiłem sobie, że napływa z góry. Wisiała w powietrzu nad moją głową i obniżala się, raz po raz omiatając mnie niczym piasek przesypujący się do dolnej połowy klepsydry, grzebiąc coraz bardziej, ziarnko za ziarnkiem.

Starałem się myśleć poprzez zasłonę strachu, a potem przez nią słuchać, co okazało się jeszcze trudniejsze. To coś, czymkolwiek było, nie żyło i miało własny wzorzec, esencję, którą mogłem usłyszeć dzięki mojemu zmysłowi śmierci. Wrzask nerwów o mało mnie nie ogłuszył, ale wyczuwałem coś jeszcze: sugestię spójnego wzoru. Gdybym miał flet, mógłbym zacząć grać. Miałbym początek egzorcyzmów.

Zmuszając ręce do poruszania się, zacząłem grzebać za pazuchą, za trzecią próbą

odnalazłem flet i wyciągnąłem. Wyśliznął się z mych na wpół sparaliżowanych palców, zacisnąłem je rozpaczliwie, wypuściłem i znów złapałem, nim poleciał na ziemię. Przycisnąłem go do ust i dmuchnąłem, odgrywając nutę - zagubioną, żalowaną, bezsensowną nutę, ale przynajmniej niosącą ze sobą jakiś dźwięk. Moje palce poruszyły się na otworkach, następna nuta zbliżyła się odrobinę do jakiegokolwiek znaczenia. Rozwinąłem ją we frazę, paskudną i piskliwą.

Kątem oka zobaczyłem, że Trudie porusza rękami. Potem uniosła je przed twarz i w słabym świetle sączącym się z basenu dostrzegłem pajęczą sieć nici. Kocią kołyskę. Pracowała ze mną, podtrzymując moje wzorce własnymi. To dodało mi siłę, a siła stała się muzyką, nadal prymitywną i raniącą uszy, lecz szturchającą strach i odpychającą go najpierw na jeden bok, potem na drugi. Znów mogłem myśleć.

- Castor! - wydyszała Trudi.

- Jestem z tobą - warknąłem, na jak najkrótszy moment odrywając wargi od ustnika. -
Rusz się!

Zaczęliśmy się cofać w stronę łuku, niczym dwóch nieświadomych turystów, którzy trafili na pole minowe. Trudie poruszała palcami, tworząc kształty wyglądające tak, jakby nosiły nazwy typu „Dwugłowa Krowa” i „Jak Obciąć Kciuk”, a ja dostarczałem muzyki. Po raz ostatni rzuciłem okiem na duchy na dnie basenu. Nie zważając na nas i na morderczą grozę, wciąż kontynuowały wyniosłą, ożywioną dyskusję.

Z każdym krokiem strach odrobinę ustępował. Kiedy dotarliśmy do łuku, odczucie osłabło do tego stopnia, że czułem już tylko ucisk w żołądku, choć jeszcze przed chwilą wypełniał całe ciało. Trudie zadrżała - jej ciało zatrzęsło się mimowolnie, jak pies, który otrząsa się po wyjściu z rzeki - potem odwróciła się i pobiegła w stronę schodów. Ja sam podążałem zaledwie ułamek sekundy za nią.

Gdy znaleźliśmy się w recepcji, kierowani niemym impulsem zmusiliśmy się, by zwolnić kroku. Kiedy dotarliśmy do zakrętu schodów i wyłoniliśmy się z powrotem w polu widzenia Gila McClennana, szliśmy już niemal normalnym spacerkiem. Gilowi zrzędała mina. Najwyraźniej liczył na coś znacznie bardziej dramatycznego i upokarzającego. Z ogromną przyjemnością go zawiodłem.

* * *

- A zatem - powiedział Gil - to był Super-Self.

Być może dlatego, że nie wybiegliśmy z krzykiem po schodach, z nerwami w strzępach i zafajdanymi spodniami, uznał, że musi rozegrać to wszystko możliwie

najchłodniej. Oparty o jeden z łuków na zachodnim końcu Covent Garden Market, dokąd się wycofaliśmy, jedną ręką skręcił sobie papierosa, wsunął w kącik ust i nie przerywając wykładu, zapalił.

- To nowa firma. Otworzyła się zaledwie w zeszłym roku. Wcześniej w budynku mieściły się biura, a przedtem zakład krawiecki czy coś w tym guście, kiedy zbudowano go w tysiąc dziewięćset pierwszym roku. Nic niezwykłego. Żadnych historii o duchach, nierozwiązanych zbrodni. Z tego, co nam wiadomo, nikt tam nigdy nie umarł.

Wypuścił z ust dym, pachnący mentolem i mokrymi skarpetkami. Trudie odchyliła się lekko, by uniknąć obszaru pierwszego skażenia.

- Gdzieś pod koniec maja - podjął Gil, nie zniżywszy się nawet do reakcji - obecni właściciele skontaktowali się z profesorem Mulbridge. Chcieli zdezynfekować budynek. Otworzyli interes sześć miesięcy wcześniej i bardzo szybko dotarli do ściany. Całkiem sporo zgłoszeń, lecz wszyscy wkrótce rezygnowali. Żadnych powrotów, żadnych nowych klientów. To przez atmosferę, mówili ludzie. W całym tym miejscu czuje się dziwne wibracje.

- No i? - wtrąciła Trudie. Bliskie spotkanie ze stworem w basenie pozbawiło ją ciepłości.

- No i profesor wysłała tam jednego z ducholapów. Davida Franklina. Miała pod ręką lepszych ludzi, ale sprawa nie wydała jej się dostatecznie trudna bądź niebezpieczna. Dziwny pozostawał tylko fakt, że nikt nie widział samego ducha. Po prostu nie podobało im się tam. Coś ich niepokoiło.

- Ale tam są duchy - przypomniałem - a „niepokojenie” to bardzo oględne określenie na to, co tam poczuliśmy.

- Owszem - zgodził się obojętnym tonem Gil. - To coś robi się coraz silniejsze. Franklin też nie widział duchów, ale coś poczuł, toteż przeprowadził standardowe egzorcyzmy. Stara szkoła Retro-Me-Satanas z książką, dzwonkiem i ogarkiem. W następnej chwili znalazł się na ulicy i odbijał od maski forda mondeo. Tracony stwór zareagował - przeraził go śmiertelnie - toteż Franklin odwrócił się i uciekł. Nie wiedział nawet, co właściwie robi. Potem nie chciał już wrócić. Kiedy profesor wydała mu polecenie służbowe, odszedł z pracy: po prostu wręczył jej wypowiedzenie i wyszedł.

- Duchy - przypomniałem. - Kiedy się pojawiły?

Gil podrapał się po brodzie.

- Parę tygodni później. Podjęliśmy jeszcze dwie próby przeprowadzenia egzorcyzmów, obie zakończyły się fiaskiem. Trzeci był Etheridge; trzeba go było wynieść na noszach. Widziałeś, jak teraz wygląda, prawda? To wszystko jest nowe. Zanim wszedł do

piwnicy, był solidnym gościem.

- Dlaczego nas nie ostrzegłeś? - spytała ponuro Trudie.

Gil odwrócił wzrok, wzruszył ramionami, po czym z zimną obojętnością spojrział jej w oczy.

- Interesowały mnie wasze pierwsze wrażenia. Gdybym was uprzedził, zobaczylibyście tylko to, co wam powiedziałem. W ten sposób... zostaliście otwarci. I ujrzeliście to na własne oczy. Dzięki temu dowiedzieliście się więcej.

Trudie napięła ramiona, jej oczy zwięziły się do dwóch szparek. Nadal nie opanowała podniecenia wywołanego przez paniczny lęk, i bzdety, które wygadywał Gil, wyraźnie ją wkurzały.

- Ty zakłamany skurwielu - warknęła. - Gdyby interesowały cię nasze wrażenia, tobyś o nie, kurwa, spytał!

Gil upuścił na wpół wypalonego papierosa i zgasił obcasem.

- A zatem - rzekł - pani Pax, jakie są pani wrażenia?

Miała taką minę, jakby zaraz miała go walnąć. Choć zapewne byłaby to zabawna scenka, postanowiłem wkroczyć i ściągnąć ogień na siebie. Na dobre i złe potrzebowałem pomocy zespołu Jenny-Jane. Jeśli zaczną rzucać się sobie do gardeł, nieszczególnie mi pomogą.

- Moje wrażenie jest takie, że mamy do czynienia z dwoma odrębnymi zjawiskami - oznajmiłem, nie dopuszczając do głosu Trudie. - Czymś wielkim, przerażającym i niewidzialnym oraz z duchami.

- Bzdura - odparł krótko Gil. - To dwa aspekty tego samego.

- W takim razie, czemu duchy od początku nie brały w tym udziału?

- Najwyraźniej brały. Nie ma jednak reguł, które rządziłyby takimi sprawami. Mnóstwo ludzi może przejść przez ducha i go nie zauważyć. Mamy tu do czynienia z niedoskonałymi obserwatorami, niekoniecznie uwrażliwionymi na cały zasięg bodźców.

- Owszem, ale też z co najmniej trzema egzorcystami. Chcesz mi powiedzieć, że egzorcysta mógłby wejść do sali pełnej duchów i ich nie zauważyć?

Kącik ust Gila drgnął lekko.

- Ktoś na poziomie Etheridge'a? Tak. Mógłbym w to uwierzyć.

- Nie dostrzegacie najważniejszego. - Trudie nadal miażdżyła wzrokiem Gila, jakby miała nadzieję wykrwawić go nim na śmierć. - Obaj. Mówicie „duchy”, jakbyście wiedzieli, czym są te stwory. One nie są tym, czym się wydają. Nie mogą.

Mnie też nie dawało to spokoju. Coś tu straszliwie nie grało, a właściwie całe mnóstwo

cosiów. Oprócz Rosie, nikomu nigdy nie udało się zobaczyć bądź wywołać ducha pochodzącego sprzed ponad wieku, a im starszy duch, tym mniej prawdopodobne, że ukaże się w postaci choćby w ogólnych zarysach przypominającej ludzką. W miarę, jak tracą pamięć o sobie, czy może energię pozostałą z czasów życia, wszystkie bez wyjątku powoli znikają. I znów Rosie stanowi ewenement, lecz jej zmartwychwstanie wymagało potu i najlepszych wysiłków tuzina egzorcystów, a miała zaledwie pięćset lat. Duchy w basenie nosiły stroje rzymskich centurionów, rzymskich legionistów i rzymskich cywilów w togach i sandałach. Nie byłem pewien, kiedy dokładnie Rzymianie sprzedali swoje majątki w Wielkiej Brytanii, lecz na pierwszy rzut oka te duchy musiałyby mieć dwa tysiące lat. A to z całą pewnością było niemożliwe.

Trudie uznała to za rzecz oczywistą i poruszyła inny aspekt zjawiska.

- Duchy nie działają w grupach - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Mogą nawiedzać to samo miejsce, ale niemal nigdy nie dostrzegają swojej obecności, nawet jeśli umarły w tym samym czasie. Te dusze rozmawiały, komunikowały się ze sobą, odtwarzały wydarzenia, w których kiedyś uczestniczyły. Jest ich co najmniej kilkanaście. Czy coś takiego już się kiedyś zdarzyło?

- Nigdy o tym nie słyszałem - zgodziłem się.

Pomyślałem o duchach od Stangera - trzech dziewczynkach, ofiarach Charlesa Stangera i Abbie Torrington, którą śmierć zabrała pięćdziesiąt lat później. Całkiem niezłe się porozumiały, zostały najlepszymi przyjaciółkami i (jak na kogoś, kto nie żyje) najwyraźniej świetnie się bawiły. Musiałem jednak interweniować, by odciąć je od przeszłości, od tego miejsca, poza tym były to młode duchy, w obu znaczeniach tego słowa, nieprzygniecione ciężarem doświadczeń i częściowo wymazane przez upływ czasu, czy to przed czy po śmierci.

- Może to coś związanego z tym miejscem? - zastanawiałem się głośno. - Z jego historią? Może ma jakieś niezwykle właściwości? Czy ktoś to sprawdził?

- Mówiłem już, że ściągnęliśmy wszystkie dokumenty - przypomniał Gil przesadnie cierpliwym tonem. - Aż do samej budowy. Budynek stanowił część wielkiego projektu przebudowy w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, kiedy zbudowano Aldwych. W tamtym czasie od Strandu odchodziła biegnąca na targ droga, Wych Street, a biegła dokładnie w tym miejscu. Ale uznali, że na nic się nie przyda, i ją skasowali. Zatem, owszem, przed budynkiem była tu ulica. Ulica ciesząca się złą sławą, ale nie ma to dla nas najmniejszego znaczenia. Mieściły się przy niej kryjówki złodziei, parę morderców, nic szczególnego.

- Czy wiemy, jak wyglądała sytuacja w czasach okupacji rzymskiej? - naciskałem.

- Pewnie ciężiej było dostać fajki - warknął Gil. - Słuchaj, polecono mi sprowadzić ciebie tutaj i pokazać ci to. Już to zrobiłem. Profesor chce wysłuchać twojej opinii jutro o ósmej rano. Co do mnie, mam to gdzieś. Nie sądzę, żebyś zauważył cokolwiek, co mogłem przeoczyć. O ile zatem nie powiesz, że rozwiązałeś sprawę, i nie zechcesz ponieść kaganka oświaty wdzięcznym masom, spadam stąd.

Obdarzył mnie sardonicznym uśmiechem. Wzruszyłem ramionami, a on wyraźnie zadowolony pokiwał głową. Wyciągnął rękę.

- Klucze - zażądał.

- Chciałbym je zatrzymać - odparowałem. - Może warto by było dokonać pomiarów? Jeszcze raz zajrzeć do basenu.

Gil wybałuszył oczy. Bajerowałem co do powrotu na dół, chwilowo nie ma mowy, żebym się na to zdobył. Ale mówiłem poważnie, że chciałbym raz jeszcze przyjrzeć się Super-Self. Zapewne za dnia i zapewne nie samotnie.

- Ja przechowuję klucze - oznajmił Gil.

- Oddam ci je jutro rano.

- Ja przechowuję klucze.

- Naprawdę bardzo by mi się przydały i...

- Castor, kurwa, oddaj mi klucze!

Wzruszyłem ramionami i podałem mu je.

- Dzięki, Gil. Nie będziemy cię zatrzymywać.

Wciąż najeżony, ledwie pozdrowiwszy nas skinieniem głowy, odszedł. Pomachałem mu z pogodną miną. Trudie spojrzała na mnie z wyrzutem, a potem zaśmiała się z niedowierzaniem, dostrzegłszy, co tkwi pomiędzy moim palcem wskazującym i środkowym. To był klucz do drzwi wejściowych Super-Self, który zsunąłem z kółka i ukryłem w dłoni, gdy tylko pojąłem, że Gil będzie się stawiał.

- Gładko zrobione - pogratulowała Trudie.

- Tak mam na drugie, gładki.

Popatrzyliśmy po sobie.

- Co dokładnie chciałaś mi powiedzieć?

Uniosła brwi.

- Postaw mi drinka?

- O tej porze? Gdzie?

- Znam pewne miejsce.

- Jestem splukany.
- Pożyczę ci dychę.
- W takim razie jasne - uznałem. - Postawię ci drinka.

Miejscem, o którym wspominała, był bar „Pod mostem, który się zawalił” na Wybrzeżu Wiktorii, dokładnie za Savoyem. Lokal dla ciepłych i zimnych. Innymi słowy, przybytek, w którym równie chętnie wita się żywych i umarłych. Jak już wspominałem, zombie tak naprawdę nie jedzą i nie piją, bo nie dysponują działającym układem trawiennym i wszystko, co trafi do ich żołądka, zostaje tam i gnije, przyspieszając ostateczny rozkład nielegalnie zajętych ciał. Niektórzy jednak i tak to robią, a inni, jak Nicky Heath, lubią zapach alkoholu, choć tak naprawdę go nie piją. Knajpy przyjmujące podobnych klientów zazwyczaj są otwarte po północy, bo za dnia nikt ich nie odwiedza.

Usiedliśmy w barze na pierwszym piętrze, z którego roztaczał się widok na rzekę, w sali pachnącej tanim kadzidłem, środkami do balsamowania i rozkładem organicznym. Większość gości stanowili zombie, ale trzymali się w swoim gronie, tuląc w dłoniach półpintowe szklanki piwa pośród upływającej nocy i marząc o dawno minionych dniach chwały, gdy ich serca wciąż pompowały krew. Kupując drinki, zastanawiałem się, jakim cudem knajpa jeszcze nie zbankrutowała. ŻT nie należą do najhojniejszych klientów. Trudno im utrzymać pracę, a ponieważ legalnie nie mogą posiadać majątków, zazwyczaj nie udaje im się zabrać swych bogactw ze sobą.

Odpowiedź pojawiła się sama, gdy do środka weszła duża grupka - trzech mężczyzn i kobieta. Rozmawiali ściszymi, podnieconymi głosami i fotografowali wszystko co się rusza. Tak, jasne. Kasa turystów zapewne utrzymuje mnóstwo podobnych miejsc, tak samo jak londyńskie teatry.

Ta myśl przebudziła jakieś skojarzenie w mej niedawnej pamięci, coś, co wydawało się ważne, ale nie chciało się ujawnić. Zostawiłem je w spokoju, wiedząc, że wysiłki i tak zdadzą się na nic.

Trudie odebrała mi whisky z wodą, nim jeszcze usiadłem, i opróżniła pół szklanki jednym długim haustem. Zadrzała, gdy alkohol spłynął jej w gardło, i potrząsnęła głową jakby chciała oczyścić myśli.

- Na zdrowie - rzekła z opóźnieniem, stukając się ze mną.
- Na zdrowie - zgodziłem się. - Wciąż cię trzęsie po Super-Self?
- Tak. Ciebie też?
- Bardziej niż trochę.

Turyści zbliżyli się do naszego stołu, odkryli, że jesteśmy żywi, i ruszyli dalej. Nie

pstryknęli nam nawet jednej fotki.

- Czemu w ogóle zabrałeś się za tę robotę? - spytała Trudie.

- Bo w niczym innym nie byłem dobry - odparłem. - A ty?

Zastanowiła się.

- Łańcuch odkupienia - rzekła w końcu.

- Czyli co dokładnie?

Trudie zakreśliła szklanką, wpatrując się w bursztynowy wir, jak moja mama próbująca wróżyć z herbacianych fusów.

- Dokładnie to co słyszysz. Próbujesz odpokutować za coś, co zrobiłeś. Zrównoważyć rachunki. Tak właśnie mnóstwo ludzi trafia do zakonu. Z początku wydaje się, że wszystko ma sens, choć nigdy nie jest łatwo. Odkupienie ma swą własną wewnętrzną logikę. Ale ty, Castor... Ty jesteś dla mnie tajemnicą.

- Ach tak? - mruknąłem. - W jakim sensie?

Trudie pokręciła głową.

- Przeszedłeś przez ten cały syf: opętanie Ditko, rozruchy w White City, oblęd w Salisbury, a jednak nigdy nie dodałeś dwóch do dwóch i dwóch do dwóch do dwóch.

- To znaczy?

- To znaczy, że to nie są odizolowane incydenty. Dlaczego zatem udajesz? „O żadną stawkę”. Pamiętasz, kiedy to powiedziałeś? Bo ja pamiętam. To się działo tej nocy, kiedy płonęło osiedle Salisbury, a Asmodeusz się uwolnił.

- Nocy, kiedy oboje z Gwillamem załatwiliście mnie bez mydła - przypomniałem. - Nie chcę się wdawać w kłótnie; po prostu gwoli wyjaśnienia.

Wywróciła oczami.

- Skoro tak wolisz. Chodzi jednak o to, że powiedziałeś to, i to w chwili, gdy wokół nas walił się świat. Jesteś odwrotnością kurczaka z bajki: uganiaś się dokoła, powtarzając, że niebo się nie wali, a przecież powinieneś sam dostrzec, że wkrótce runie nam na głowy.

Kilka wydarzeń, które nastąpiły od czasu tamtej nocy, błysnęło mi w głowie niczym setki slajdów. Trudie o nich nie wspomniała, lecz dodatkowo podkreślały jej słowa.

- Może myliłem się co do nieba - ustąpiłem. - Ale jeśli przyznam, że być może wkrótce runie, czy ty przynajmniej zgodzisz się rozważyć możliwość, że fanatycy tacy jak Gwillam i Jenna-Jane nie robią nic, by je podeprzeć?

Trudie postukała palcem w bok szklanki, patrząc, jak zmarszczki na powierzchni whisky ściągają się od krawędzi do środka i z powrotem. Potem uniosła głowę i popatrzyła mi prosto w oczy.

- Przynajmniej próbują coś robić. To lepsze niż bezczynność - oznajmiła beznamiętnie.

- Poważnie? W takim razie, jeśli pali ci się łóżko i nie masz wody, równie dobrze możesz oblać je benzyną?

- Wiesz, co mam na myśli, Castor.

- Tak, wiem. Czy widziałaś już, co J-J trzyma w piwnicy? Jeśli nie, zajrzyj. A potem pogadamy.

Zapadła niezręczna cisza. Trudie dokończyła drinka, a ja poważnie wgrzyłem się w mojego.

- Wspomniałaś, że masz mi coś do powiedzenia o Asmodeuszu - przypomniałem.

Chciałem tylko wysłuchać jej historii i iść sobie. Poczucie bliskości, które zawsze pojawia się po wspólnych ciężkich przeżyciach, szybko zanikało i czułem dzielący nas dystans wyraźniej niż kiedykolwiek. Myliłem się, sądząc, że cokolwiek może nas połączyć.

- Po tym, jak odeszłam z zakonu... - zaczęła z wahaniem Trudie. Znow umilkła. Po chwili wstała. - Chyba potrzebuję jeszcze jednego drinka - wymamrotała, kierując się do baru.

Trochę trwało, nim ją obsłużyli. Do lokalu wparowała kolejna grupka gości z bajeranckimi aparatami i w barze powstał korek. Druga nad ranem wyglądała tu jak godziny szczytu. Kiedy wróciła, przynosząc mi kolejną szklankę london pride, a sobie coś, co wyglądało jak potrójna whisky, znow spróbowała.

- Tej samej nocy, nocy gdy się poznaliśmy, powiedziałam ojcu Gwillamowi, że wypadam z gry - oznajmiła. - Byłam wściekła na to, jak mnie wystawił. Powiedziałam, że nie mogę pozostać częścią zakonu, bo już mu nie ufam.

- Jak to przyjął?

- Nieszczęśliwie się przejął. W każdym razie, z całą pewnością nie błagał, żebym została. I nie przeprosił. Powiedział tylko, że powinnam dobrze się zastanowić nad moją decyzją, bo będzie nieodwracalna. Kiedy raz odejdę, nie będę mogła wrócić. Anathemata wykreśli mnie ze swych list z mocą wsteczną, tak jakbym nigdy nie była częścią ich operacji. Nie będę mogła kontaktować się z nikim z zakonu ani rozmawiać o naszej pracy, z ukrytą sugestią, że jeśli nie zamknę gęby na kłódkę, ktoś może to zrobić za mnie... na stałe. No i... odeszłam. I myślałam, że to już koniec sprawy. Ale nie.

- Zerwanie więzów okazało się trudniejsze niż przypuszczałaś?

- Nie, Castor - odparła Trudie z ponurą miną. - Powiedziałam, że z nimi skończyłam, i skończyłam. Niestety, oni nie skończyli jeszcze ze mną. Jakies trzy tygodnie później wróciłam do internatu, w którym mieszkałam. Bardziej przypominało to koszary dla członków zakonu, ale z zewnątrz wyglądało jak zwykły budynek kościelny. Musiałam zabrać

resztę swoich rzeczy i wysłałam mejla do jednego z diakonów, aby uprzedzić, że się zjawię. - Skrzywiła się, wbijając wzrok w szklanę, jej dłoń ścisnęła naczynie tak mocno, że pobiełały jej kostki. - Przybyłam i ujrzałam krajobraz po bitwie. Zamienili sypialnię w szpital polowy. Wszystkie łóżka były zajęte, wokół uganiaли się ludzie z bandażami, opatrunkami, wiadrami. Lekarze zaszywali rany. Członkowie zakonu, ludzie, których znałam, krzyczeli, szlochali i wyrzaskiwali przekleństwa. Część ciał na łóżkach się nie ruszała. Nie żyli. A te rany... - Spojrzała na mnie. - Wyglądali jak poszarpani przez dzikie zwierzęta albo... ciągnięci za ciężarówką czy coś podobnego. Po prostu stałam w drzwiach i patrzyłam. Nie wiedziałam co robić. Nie mogłam się ruszyć. Zapach... Zapach był najgorszy. Krew, gówno i pot, zmieszane ze sobą. A potem ktoś wepchnął mi do rąk kubek i szmatę i przynajmniej miałam coś do roboty. Ścierałam krew, żeby nikt się nie pośliznął i nie skręcił sobie karku. Nie protestowałam. Dzięki temu mogłam zamknąć swój umysł, by nie musieć o tym myśleć. Harowałam kilka godzin. Nie tylko z wiadrem. Zaszylałam też ranę; po raz pierwszy, odkąd skończyłam seminarium, miałam w rękach igłę i nitkę. To był Speight. Chyba go poznałeś. Coś paskudnie rozpruło mu rękę, od ramienia aż do łokcia. Zaszylałam to najlepiej jak umiałam, podczas gdy ktoś inny - człowiek, którego nie znałam - przytrzymywał mu rękę i jego samego.

- Dlaczego tam? - wtrąciłem ostro. - Czemu nie zabrali ich do prawdziwego szpitala?

Trudie z trudem skupiła się na pytaniu. Myślami wróciła do tamtej sali, do własnych wyraźnych wspomnień, wciągając w płuca smród bólu i grozy innych.

- Myślę, że... głównie z powodu tajemnicy operacyjnej - rzekła w końcu. - Pod pewnymi względami jesteśmy legalni, lecz pod innymi nie. Trudno to zrównoważyć, a jeśli... Jeśli nasi ludzie zabili innych...

Skinąłem głową i poleciłem gestem, by mówiła dalej. Już zrozumiałem. Kiedy jest się ekskomunikowaną tajną sektą, toczącą niewypowiedzianą wojnę partyzancką, czasami lepiej nie zwracać na siebie uwagi. Na osiedlu Salisbury Anathemata działała jawnie, ale też tamtejsze wieżowce płonęły, a z nieba spadali martwi ludzie. Gliny były wdzięczne za każdą możliwą pomoc. Najwyraźniej ta operacja wyglądała inaczej. Bardziej przypominała sprawę Abbie Torrington, kiedy świry Gwillama starły się z inną tajną armią w zachodniolondyńskim kościele. Nie ucieszyło mnie to wspomnienie. Nagłe przeczucie sprawiło, że zjeżyły mi się włosy na karku.

- Speight bredził w malignie - podjęła Trudie - paliła go gorączka. Jego rana była chyba zatruta. Nafaszerowali go antybiotykami, ale i tak płonął. Nie słuchałam: byłam zbyt zajęta zszywaniem strzępów ciała, tak by znów nabrały kształtów ręki. Ale i tak usłyszałam,

co mówi. Dość, by poskładać wszystko do kupy. Istnieje grupa zwana Satanistycznym Kościołem Ameryki.

- Już ich spotkałem - odparłem. - Dwa razy.

Trudie skinęła głową. Oczywiście wiedziała. Anathemata miała swoje akta na temat Rafiego, a ona zapewne przeczytała je od deski do deski przed naszym pierwszym spotkaniem. W tych aktach mieściła się większość wydarzeń z ostatnich trzech lat mojego życia.

- Sądziliśmy, że przestali działać - podjęła z powagą. - Ich przywódca, Anton Fanke, zginął, a potem doszło do schizmy. Przez większość zeszłego roku walczyli między sobą, lecz z tego, co mówił Speight, można było wywnioskować, że w końcu objawił się zwycięzca. A potem zakon dostał wiadomość, że członkowie Kościoła przenikają do Wielkiej Brytanii, pojedynczo i parami. Niektórzy podróżowali na fałszywych paszportach, my jednak mieliśmy swoich ludzi, którzy ich pilnowali. Zdołaliśmy ich wyśledzić, gdy zaczęli się gromadzić.

Do tej pory zaschło mi w gardle. Nie sprawił tego tylko barwny opis Trudie, ale też rosnąca pewność, że wiem do czego zmierza.

- Jak dawno temu to się działo? - spytałem z napięciem.

- W zeszły weekend. Sześć dni temu. Ale ojciec Gwillam obserwował ich wcześniej przez dwa tygodnie, toteż sataniści zaczęli gromadzić się w Londynie jakiś tydzień po ucieczce Asmodeusza. Nie przybyli tu, żeby oglądać atrakcje turystyczne, Castor. Zamierzali odprawić rytuał przywołania. Przywieźli ze sobą dziewczynkę: dziecko ofiarne, jak Abbie Torrington, urodzone i wychowane po to, by zostało rytualnie zamordowane. Ale zakon śledził każdy ich krok. Ojciec Gwillam rozkazał rozpocząć atak, nim skończyli rytuał.

- Dziewczynka - powiedziałem. - Czy wy...

- Nie ja - poprawiła głucho Trudie. - Mnie tam nie było, pamiętasz? Ale tak, zakon ją uratował. Przeżyła.

Przypomniałem sobie Abbie i wyszczerzyłem zęby.

- Ale na jak długo? - spytałem gniewnie. - Gwillam zawsze skupia się na wyższym dobru, prawda? Bez sekundy wahania zabiłby dziecko, gdyby uznał, że istnieje ryzyko, że sataniści znów spróbują.

- Właśnie w tym rzecz. - Trudie postukała grzbiet mojej dłoni palcem wskazującym. Po raz pierwszy się dotknęliśmy i wzdrygnąłem się lekko na ów drobny, subtelny gest bliskości. - Nie ma żadnego ryzyka. Już nie. Zakon poniósł straty, ale załatwił ich wszystkich: żaden z satanistów nie wyszedł stamtąd żywy. A włożyli w ten rytuał wszystko. Nasi agenci w Ameryce najechali wszystkie znane kaplice i niczego nie znaleźli. Nawet farma ofiarna w

Iowa była pusta.

Próbowałem przetrawić te informacje. Zatem, albo Asmodeusz skontaktował się ze swymi akolitami, gdy tylko wyrwał się na wolność, albo też w jakiś inny sposób dowiedzieli się, że wrócił do obiegu. Spróbowali zorganizować operację będącą kopią tej, którą zaczęli dwa lata wcześniej, kiedy Fanke wciąż żył: przywołanie demona z ciała Rafiego z pomocą ezoterycznie przygotowanej ludzkiej ofiary. I nie udało im się.

Potem Asmodeusz zamordował Ginny Parris, zaatakował mnie, zaczął śledzić Pen. Dlaczego? Wyłącznie z wściekłości, że plan A nie zadziałał? A może pracował już nad planem B? Musiałem zadać sobie pytanie, czego nie dostrzegam, bo z pewnością coś takiego istniało. Podążanie za przerażającą, pokręconą logiką demona przypominało próby jazdy figurowej tuż przed dziobem lodołamacza.

Trudnie wpatrywała się we mnie, jakby czekała, że coś powiem.

- Dzięki - rzekłem niezręcznie. - Potrzebowałem tych wiadomości i jestem wdzięczny, że mi je przekazałaś.

To wyraźnie ją kopnęło.

- Bardzo, kurwa, proszę. - Uniosła z desperacją rękę.

Turyści zerknęli na nas zza swojego stolika, zaskoczeni donośnym przekleństwem. Kiedy urządzasz sobie tanie wakacje w czyjejś śmierci, nie spodziewasz się słuchać takiego języka.

- Castor - dodała, kręcąc głową. - Cokolwiek o mnie myślisz, o moich opiniach, musisz zrozumieć, że w tej jednej sprawie gramy po tej samej stronie. Oboje tam byliśmy. Oboje pomogliśmy uwolnić Asmodeusza, bo ktoś inny okłamał nas i oszukał.

Pochyliła się bliżej mnie, tym razem nie w ramach bliskości, lecz dlatego, że zrozumiała, że musi zniżyć głos.

- A zatem czujesz się zbrukany? Nieczysty? Wykorzystany? No to bomba. Bo właśnie dlatego tu jestem. Dlatego wprost z Anathematy udałam się do KOM - bo nie mogłam pójść nigdzie indziej, jeśli nadal chciałam brać udział w tej walce. Zamierzam zrobić to, po co przyszedłam, to znaczy, z powrotem zamknąć tego potwora w klatce. I zrobię to, niezależnie od tego, czy mi pomożesz, czy przeszkodzisz, nie dopuścisz do siebie, zaatakujesz czy cokolwiek, do diabła, zamierzasz. Sądzę jednak, że jeśli sobie zaufamy, zajdziemy dalej.

Tym razem nie czekała na odpowiedź: była zbyt wściekła i zbyt kipiała niespokojną energią, którą wzbudziły wspomnienia. Jednym haustem opróżniła szklankę whisky, chwyciła torebkę i wyszła, zostawiając mnie samego.

Oczywiście miała rację. Oboje byliśmy agentami wroga w monolitycznej strukturze

KOM i poradzimy sobie znacznie lepiej, jeśli będziemy gotowi przynajmniej pilnować swoich pleców.

Ale to duże jeśli. Bardzo duże.

ROZDZIAŁ 10

Walchamstow High Street szczyli się najdłuższym ulicznym targiem w Europie. To powód do dumy, po części wynikającej z niezwykle precyzyjnego sformułowania: to nie największy targ, jedynie najdłuższy. Innymi słowy, ma kształt sznurowadła, ciągnącego się od Hoe Street na wschodzie, aż do Coppermill Lane na zachodzie. Za dnia to nieustająca rzeka ludzi, poruszających się w rytm fraktalnej muzyki tysięcy wykrzykiwanych rozmów.

Natomiast o tej porze nocy byłem tam tylko ja i duchy.

Znów musiałem złapać taksówkę - nie miałem wyboru, ostatni pociąg już dawno odjechał - poprosiłem jednak taksówkarza, by wysadził mnie na stacji metra Blackhorse Road, żebym mógł ostatnią milę przejść pieszo i trochę oczyścić myśli. Teoretycznie dobry pomysł, w praktyce nie sprawdził się najlepiej. Noc była duszna i ciężka od przedburzowego zwiastuna deszczu. W powietrzu dostrzegłem lekką luminescencję, coś jak blask przedświt, choć dzieliło nas od niego dobre kilka godzin. Wokół mostu kolejowego na Vernon Street zebrały się duchy samobójców, bezgłosy chór czekający na znak, który nigdy nie nadejdzie. Czulem się, jakbym wędrował w zbiorniczku na dole barometru: setki mil atmosfery napierały na mnie z precyzyjnie skalibrowaną intensywnością. Jedno życie, jedno brzemię, jeden rozmiar dla wszystkich.

Wzywało mnie łóżko, lecz Nicky - jak rdza - nigdy nie sypia, a mieliśmy wiele do obgadania. To dobra pora, nie zamierzałem z niej zrezygnować jedynie z powodu zmęczenia. Można przepawić się drogą zmęczenia i w końcu dotrzeć w produktywnie, choć nieco niebezpieczne miejsce. Wiedziałem, jakie to uczucie, i świadomie go szukałem, choć rzadko pojawia się, gdy go potrzebuje.

Nocą ulica była dwa razy szersza niż za dnia, bo żaden z kramów nie ma stałego miejsca. Wszyscy sprzedawcy pakują swoje towary i namioty do miliona białych furgonetek i odjeżdżają z zachodzącym słońcem: wschodniolondyński karawanseraj przepawiający się przez granicę do Essex, który dla większości owych rosnących chłopaków stanowi dom zarówno fizyczny, jak i duchowy.

Jednakże, mijając tani bar Manzego, przekonałem się, że jeden kram wciąż stoi, zapewne zakłócając ze sto lokalnych przepisów. Po paru dalszych krokach rozpoznałem w kramarzu Nicky'ego. Tyle że to był Nicky odziany jak modniś sprzed dziesięcioleci, w

marynarce w pepitkę, czarnej koszuli z białym szwem, i muszę przyznać, że znalazł sobie świetne miejsce. W pobliżu Sainsbury'ego, co gwarantuje więcej przechodzących potencjalnych klientów, niż człowiek da radę obrobić, a także na rogu, co zawsze daje przewagę podwójnej powierzchni do wystawiania towarów. Których chwilowo nie miał, podobnie jak - tak to bywa o czwartej nad ranem - klientów. Pokazywał swe puste stoły mnie i człowiekowi z księżycą.

- Cześć, Nicky - rzuciłem, zrównując się z nim.

- Cześć, Castor.

Nie uniosł głowy znad swej roboty: mierzenia taśmą wewnętrznej powierzchni kramu i trzech połączonych stołów.

- Mogę uprzejmie spytać, co robisz, do kurwy nędzy?

- Daj mi minutę - rzucił z roztargnieniem.

Czekałem, a on tymczasem krążył dokoła, przykładając taśmę do każdej dostępnej linii prostej. Niczego nie zapisywał, ale wiedziałem, że nie potrzebuje. Śmierć w żaden sposób nie osłabiła przerażająco sprawnej pamięci Nicky'ego, wręcz przeciwnie, uwolniła jego umysł od wielu zbędnych obciążeń.

W końcu owinął taśmę wokół dłoni - na moment skojarzył mi się z Trudie i jej kocimi kołyskami - i wsunął do kieszeni.

- Dobra - rzekł - już skończyłem. Pomożesz mi spakować to wszystko?

Wskazał ręką dużą, poobijaną furgonetkę „Bedford”, stojącą z otwartymi drzwiami po drugiej stronie ulicy.

- Nie sądzisz, że warto poczekać jeszcze parę minut? - spytałem. - Interes szybko się rozkręci, kiedy rozejdą się wieści.

Nicky obdarzył mnie znużonym spojrzeniem.

- To tylko próba - wyjaśnił. - Chciałem sprawdzić, jaką powierzchnię mają takie kramy.

- Po co?

- A jak, do diabła, myślisz, Castor? - Mówiąc, zaczął składać stoły. - Wchodzę do gry.

Wpatrywałem się w niego oszołomiony. Było to najmniej prawdopodobne wyjaśnienie, jakiego oczekiwałem od tego nocnego marksa.

- A co chcesz sprzedawać? - spytałem.

- DVD. Taśmy wideo. Wideodyski. Autentyczne taśmy filmowe. Trudno dostępny towar na różnych nośnikach. Chyba nawet tak właśnie nazwę swój kram. „Trudno Dostępne”.

- Zaczął składać markizę, co jednak wymagało dwóch osób. Odruchowo podszedłem, by

pomóc.

- Ale, Nicky - zauważyłem, przywołując cały swój takt - targ jest otwarty tylko za dnia.

- Wiem.

- Podczas gdy ty jesteś w sumie nocną formą życia. A do tego nie cierpisz ludzi. Dla ciebie dwóch to już tłum.

- Dzięki, Castor. Wierz lub nie, ale nic z tego mi nie umknęło.

- Super. Tylko sprawdzałem.

Nicky pedantycznie wsuwał do brezentowego worka składane nogi. Żywy człowiek zapewne wrzuciłby je razem, ryzykując przypadkowe odbicie. Kiedy jednak lekko traktuje się swą doczesną powłokę, trudno przetrwać długo jako zombie - a jeśli chodzi o długowieczność, Nicky zamierzał pobić wszelkie rekordy.

- Kupuję sporo rzeczy - oznajmił - i czasami, żeby coś zdobyć, muszę kupić też mnóstwo niepotrzebnego badziewia.

- Czy zatem „Mnóstwo Niepotrzebnego Badziewia” to nie lepsza nazwa dla kramu?

Nie połknął przynęty.

- Może. Zobaczymy, jak się poukłada. W każdym razie sprzedaż tego wszystkiego pomoże mi sfinansować moje hobby. Utrzymywanie Gaumonta sporo kosztuje. Uznałem, że nieźle byłoby odbić sobie część kosztów.

- Poważnie, Nicky, jak zamierzasz obejść problem zgnilizny i rozkładu? Nie bez powodu wciąż się schładzasz.

Wsunął brezent obok elementów żelaznych. Złożył go szybko i fachowo do rozmiarów worka, który następnie zapiał z militarną precyzją. Nagle ogarnęło mnie podejrzenie, że przeciwiczył rozkładanie i rozmontowywanie kramu na dużej sali Gaumonta, zanim jeszcze wybrał się na ulicę.

- Myślałem nad tym - powiedział. - Bardzo długo. Prawda jest taka, Castor, że o ile nie znajdę kogoś, kto potrafi zrobić dla mnie to samo co Lodownia, zaczną się rozpadać, i to raczej prędzej niż później.

- Mówiłeś, że jest taki gość, gdzieś w Midlands.

- Tak. Owszem, był, kiedy o nim mówiłem. Teraz pozostała z niego sterta popiołów w ogrodzie spoczynku krematorium Walsall. Nabawił się raka. Zmarł miesiąc temu. I rozmyślając o swej przyszłości, zdecydował się odrzucić możliwość cielesnego zmartwychwstania.

Zważyłem w rękach jeden z worków.

- No i? - Naciskałem. - Czy to nie znaczy, że wystawianie się na temperaturę pokojową to teraz jeszcze gorszy pomysł?

Nicky obdarzył mnie kamiennym spojrzeniem.

- Tak naprawdę znaczy to, że jedynie odwlekam nieuniknione. Co zresztą zapewne robiłem od początku, niezależnie od Lodowni. Jej śmierć po prostu mi to uświadomiła. Owszem, mogę cały czas siedzieć w zamrażarce i przetrwać jeszcze pół roku albo rok. A potem zaryzykować, kiedy dotrę do ściany. Albo też mogę spróbować podejść do problemu z innej strony. Jak mówiłem, długo nad tym rozmyślałem. Z tego co widzę, życie jest jak materia i energia: nie da się go zniszczyć, jedynie odmienić. Mój plan roboczy w tej chwili zakłada zatem, że zużyję to ciało do końca, a potem raz jeszcze przemyślę możliwości.

To stwierdzenie zatrzymało mnie w miejscu. Nicky nie został najdłużej żyjącym zombie cywilizowanego świata, podejmując niepotrzebne ryzyko - dokonał tego, trzymając się uporczywie wszystkiego, co miał i wiedział, i wkraczając w otchłań powolnymi, ostrożnymi, niechętnymi krokami. Tego typu myślenie zupełnie do niego nie pasowało.

- Jakie dokładnie możliwości? - spytałem.

Nicky majstrował przy zamku błyskawicznym jednego z worków, jego twarz przybrała chytrą minę.

- Wychodziłem - oznajmił.

- Wychodziłeś? - powtórzyłem, wiedziałem już jednak, o czym mowa.

- Z ciała. Próbowałem tego parę razy tuż po śmierci, ale bez skutku. Teraz... nie jest to nawet trudne. Postanawiam, że to zrobię, i już. Nagle spoglądam na tył własnej głowy, czy częściej patrzę z góry na swoje ciało, jak na aktora w sztuce, podczas gdy prawdziwy ja spogląda mu się z łoży. To pewnie umiejętność, której nabywa się z czasem.

Albo może, pomyślałem, to kolejny dowód, że współczynniki świata się zmieniają, spychając nas wszystkich - czy się nam to podoba, czy nie - z naszej małej stabilizacji w nieskończoność.

- No i tak - podsumował Nicky. - Wiem już teraz, że jakby co, mogę się katapultować. Dzięki temu mogę nieco lżej podejść do rozkładu ciała. Przeżyję, Castor. Niezależnie od tego, jakie cholerstwo spotka to mięso. Świadomość tego zmienia sposób patrzenia.

Nie odpowiedziałem, bo nie przychodziło mi do głowy nic, co nie zabrzmiałoby banalnie bądź apokaliptycznie. Zanieśliśmy do furgonetki rozmontowany kram. Nicky spakował go tak precyzyjnie, że musieliśmy obrócić jedynie dwa razy.

- Dzięki - rzekł. - No dobra, mam coś dla ciebie. Chcesz posłuchać tutaj czy w kinie?

Żadna opcja mi się nie spodobała. Noc była duszna i cuchnąca, lecz we wnętrzu

Gaumonta panował grobowy chłód. Zdecydowałem się na wróbla w garści.

- Posłucham tutaj - odparłem - chyba że potrzebujesz pomocy przy rozpakowywaniu.

- Może zostać w wozie. No dobra, pytałeś, czy Ditko ma jakichś żyjących krewnych.

Odpowiedź brzmi: jednego, i to niedługo.

Pogrzebał w kieszeni marynarki i wręczył mi złożoną kartkę. Rozprostowałem ją, lecz światło ulicznej latarni okazało się za słabe, bym mógł przeczytać niewyraźne bazgroły Nicky'ego.

- Brata - podsumował. - Na imię ma Jovan.

„Powiedz mojemu ojcu... i Jovanowi... Powiedz im, że ich przepraszam. Zrób to dla mnie. Proszę”.

- A gdzie on jest? - zapytałem.

- W BJRM.

- Gdzie?

- Byłej Jugosłowiańskiej Republice Macedonii. To kraj. W Europie. Masz tu tylko adres, bez numeru telefonu ani mejla. Tylko tyle mam tu napisane. Oprócz Rafaela to ostatni Ditko w znanym wszechświecie. I jeśli chcesz z nim pogadać, sugeruję, żebyś się pośpieszył.

- A to dlaczego, Nicky?

Trącił paznokciem narożnik kartki.

- Bo ten adres to cela śmierci w więzieniu Izdrinovo. Zabił faceta, gliny go złapały i wyczerpał już możliwości apelacji. Z tego, co mi wiadomo, egzekucja odbędzie się pojutrze, chyba że w ostatniej chwili zostanie ułaskawiony.

Patrzyłem na niego wyczekująco. Z obojętną miną wzruszył ramionami.

- Jak na ciebie, to trochę szkiełkowe - zauważyłem. - Owszem, jestem ci wdzięczny, ale po prostu mam wrażenie, że... może... choć raz w życiu nie sprawdziłeś wszystkiego.

- Poważnie? Na przykład czego?

- Na przykład: „zabił faceta”?

- No, jest tego więcej, ale to paskudna sprawa i w niczym ci nie pomoże. Izdrinovo to pierdolone kazamaty. Nie pozwolą ci się z nim spotkać. I nikt go nie ułaskawi. Nie tak działa ich system. Jeśli jednak upierasz się, żeby w to wejść, masz tu jeszcze jedno nazwisko i numer telefonu. Obrońcę Jovana. Może przez niego zdołasz przekazać mu kilka pytań. Ale musisz działać szybko.

Wsunąłem kartkę do kieszeni.

- Dzięki, Nicky. Co jeszcze?

Nicky udał zdumienie.

- A to nie wystarczy? Wielka szkoda. Jeśli chodzi o magiczny krąg, nie idzie mi zbyt dobrze. Ten drugi, który mi przysłałeś - znalazłeś go w pobliżu pierwszego?

- Wręcz przeciwnie. Pierwszy był u Pen, drugi u Juliet.

Nicky się skrzywił.

- Czy zaskoczyłaby cię wiadomość, że istnieje trzeci?

Nie czekając na odpowiedź, sięgnął do kieszeni i wyciągnął płaski kamień, podobny do tych, które już znalazłem. Rzucił go w powietrze, a ja złapałem na szczycie łuku.

Rozprostowałem palce i obejrzałem kamień. Wyglądał identycznie, tyle że w sercu pentagramu ponownie widniał inny rząd symboli. Znów było ich cztery, tak jak na tym u Pen.

- Skąd go masz? - spytałem.

- A jak myślisz?

Dobre pytanie: nie należał do zbyt ruchliwych osób.

- Znalazłeś u siebie?

- U siebie. Na dachu. Co stanowi wspólny mianownik?

Nawet nie pytałem, co robił na dachu. Nicky to ten typ paranoika, któremu inni paranoicy radzą, by trochę sobie odpuścić. Nie odpowiedziałem też na jego pytanie, bo wyraźnie miało być retoryczne.

- Wszystkie są w Londynie - zastanawiałem się głośno.

Nicky wywrócił oczami.

- Tak, jasne. Dobra robota. Na co czekasz? Aż znajdziesz jeden we własnym tyłku? Są przeznaczone dla ciebie, Castor.

- Może - ustąpiłem. - Może nie. Ale tak, jak dotąd ja jestem wspólnym mianownikiem.

- Pierwszy leżał na podjeździe Pen? - naciskał Nicky.

- Tak - potwierdziłem.

Co takiego skrobało w tylne drzwi mego umysłu, próbując się dostać do środka? Cokolwiek to było, pogrywało ze mną, bo kiedy otworzyłem, niczego nie zastałem.

- Drugi?

- W ogrodzie Sue Book.

- A trzeci tkwił wetknięty za moją antenę satelitarną. Zatem, ktokolwiek to zrobił, nie wszedł do środka. Co sugeruje, że może nie mógł, bo jest martwy albo nieumarły i woli uniknąć bliższego kontaktu z blokadami i zaklęciami chroniącymi budynki. Tak czy inaczej, to wszystko przywołania, nakreślone w tym samym stylu. Co do tego miałem rację.

- I wszystkie zwracają się do tej samej istoty? Tego Tlallika?

- Nie. Jak na pewno zauważyłeś, w każdym zapisano inne imię. Teraz zatem obok

Tlallika mamy też demony o imionach Ket i Jetaniul. A ja nie mogę znaleźć o nich ani słowa.

- Nic? - Ta informacja zdumiała mnie i zaniepokoiła.

- Prawie nic - sprecyzował Nicky. - Jest pewien fragment w „Enaxeteleutonie” Foivela Grazimira, w którym pojawia się Tlallik, ale w zupełnie bezużytecznym kontekście. Szalony Foivel pisze o demonach, z którymi opłaca się układać, a także o innych, których nie warto wzywać. Mogłem to wyrecytować z pamięci, ale proszę.

Z tej samej kieszeni wyjął drugą, znacznie większą kartkę, rozłożył ją i podał mi z uroczystym ukłonem.

- Nicky - mruknąłem. - Jeśli to fragment pisma jednego z rosyjskich hermeryków, to jest w pierdolonej starej cyrylicy.

- Ale potrafisz ją transliterować, prawda? Spójrz. - Przesunął palcem po prawej stronie kartki. - Agathonou. Dyspex. Idonel. Tlallik.

- Tak, ale co to? Lista prezentów świątecznych Grazimira?

- Raczej nie, Castor. On był Żydem. Mogę ci pobieżnie przetłumaczyć. Pisze tu „wymów to imię, by zyskać bogactwo” i „ten demon może cię umówić na weekend z niezłą laską”. A potem ciągnie „ale ze starych ksiąg i z własnego, ciężko zdobytego doświadczenia musisz wiedzieć, że niektóre imiona uważane za potężne, w istocie chuja dają” - rozumiesz, parafrazuję - „więc ich nie wzywaj, bo choć cieszą się wielką sławą i dysponują wielką mocą, nie odbierają telefonu”.

Przetrawiałem to chwilę, szukając wzrokiem na liście innych znanych imion. Nie znalazłem żadnego.

- Grazimir pisał to kiedy?

- W trzynastym wieku. Mniej więcej w tym samym czasie, co Honoriusz i Ghayat al'Hakim.

- Czyli bardzo dawno?

- Tak.

- I mówi, że Tlallik to przeszłość?

- Właśnie. A z tego, co mi wiadomo, żaden ze średniowiecznych mistyków w ogóle o nim nie wspomina. Ktokolwiek nakreślił te kręgi, Castor, sięga po bardzo starą magię albo jest tak bardzo do tyłu, że może zajrzeć we własną dupę.

Głośno wypuściłem powietrze niemal w westchnieniu i wsadziłem listę do kieszeni wraz z zamiarami na Jovana Ditko.

- Dzięki raz jeszcze - mruknąłem. - Masz ochotę dodać do swego spisu kolejne zadanie?

- Nieszczególną.

- Bardzo łatwe.

- W takim razie zobaczmy. Ale nie zdziw się, jeśli ci powiem, żebyś wypierdalał. Mam teraz nowe zajęcie i nie muszę tak bardzo przejmować się tym, że cię wkurzę.

- A kiedyś się przejmowałeś? Potrzebuję informacji na temat pewnego miejsca. W Londynie.

Opowiedziałem mu o Super-Self i o tym, co tam widziałem. Słuchał w milczeniu, póki nie doszedłem do duchów w basenie.

- Nie ma, kurwa, mowy - wtrącił wówczas.

- Mówię ci, co widziałem, Nicky.

- W takim razie byłeś naćpany. Rzymskie duchy? W togach? Proszę cię! Czy były tam też zjawy jaskiniowców, ciskające włóczniami w zjawy mamutów?

- Koniec Strandu, w Aldwych - powtórzyłem z uporem. - Niedaleko do dawnej Wych Street. Najwyraźniej na początku wieku przeprowadzono tam pewne prace. Dwudziestego wieku.

- Pewne prace? - Nicky parsknął. - Wyburzyli kilka kwartałów, żeby zbudować Aldwych. Co, przy okazji, w stylu angielskim oznacza „starą osadę”. Z logistycznego punktu widzenia możesz to uznać za sugestię, że mogły tam istnieć jakieś budynki, kiedy zjawili się Rzymianie. Ale to nadal idiotyzm.

- Czemu?

- Co czemu?

- Czemu to idiotyzm? Daj mi powód.

Nie musiał się nawet zastanawiać.

- Po pierwsze, duchy nie trwają tak długo. Wiesz to równie dobrze jak ja. Po drugie, duchy nie zadają się ze sobą. Wiem, że masz tę swoją dziwną grupkę martwych psiapsiółek, ale poza nią nie słyszałem nigdy o czymś podobnym. Duchy porozumiewają się z żywymi albo też tkwią zamknięte w sobie, odtwarzając raz po raz chwilę własnej śmierci. Nie urządzają sobie nasiadówek z innymi duchami. I po trzecie, poziom gruntu w tamtych czasach byłby dobre trzydzieści stóp poniżej obecnego. Wiem, że widziałeś je w piwnicy, to kilka stóp poniżej poziomu ulic, ale wciąż nie dość nisko.

- Przypuśćmy, że ich kotwicą nie jest miejsce fizyczne. Może to coś, czego użyto podczas budowy, na przykład, kamienie pod kaflami basenu? Może przeniosły się, bo przesunięto ich kotwice?

- I wylądowały dwadzieścia stóp bliżej Boga, wciąż odgrywając całe scenki rodzajowe

jak w niemym kinie? Dlaczego mnie to nie przekonuje? Pogódź się z tym, Castor. Opisane przez ciebie zachowanie nie pasuje do niczego, co wcześniej oglądaliśmy.

- I właśnie o to chodzi - rzekłem. - Nie pasuje. Zatem, jeśli znajdziemy wyjaśnienie, musi to być coś nowego. Nie chcę eliminować niczego tylko dlatego, że brzmi dziwnie.

- Albo obłąkańczo - dodał Nicky. - No dobra, coś w tym jest. Lecz nawet Sherlock Holmes lubił wykluczać niemożliwe, nim zabrał się do roboty. W przeciwnym razie znacznie częściej oskarżałby jednorożce i koboldy.

Byłem zbyt zmęczony, by się spierać.

- Po prostu sprawdź to miejsce - poprosiłem. - Powiedz mi, czy wydarzyło się tam cokolwiek dziwnego.

Nicky wzruszył ramionami.

- Castor, do tego służą biblioteki. Poważnie. Nie zwracaj się do mnie o sprawdzanie rzeczy w domenę publicznej. To mnie, kurwa, obraża.

- Skoro płacę, co za różnica? - Tym razem to ja spytałem z irytacją. - Bo co, musisz też czerpać satysfakcję z pracy?

Posłał mi cierpkie spojrzenie.

- Właśnie - rzekł - muszę. Bo, szczerze mówiąc, płacisz mi jedynie symbolicznie. To rzeczy, które lubię, ale mogę je zdobyć gdzie indziej. Pracuję z tobą, bo to ciekawe. Jeśli zaczniesz mnie traktować jak Wikipedię, kończymy.

Mówił poważnie, toteż się wycofałem. Wiedziałem doskonale, jak wiele przysług jestem mu winien i o ile ja bardziej potrzebuję jego zdolności szperacza, niż on wykopywanych przeze mnie starych melodii i rzadkich trunków. A ponieważ jednak nasz związek jest oparty na fundamencie solidnego bajeru, wycofałem się, bajerując ile wlezie.

- Przepraszam, że uraziłem twoją zawodową dumę, Nicky. W przyszłości będę pamiętał, by korzystać z twoich usług jedynie w kwestiach wielkich filozoficznych problemów. I ponieważ zapłata jest symboliczna, przerzucę się na kreskę.

- Spróbuj - zasugerował głosem ociekającym sarkazmem. Zatrzasnął drzwi furgonetki i znów odwrócił się do mnie. - Nadal pracuję nad Tlallikiem - oznajmił. - Mam jeszcze parę tropów, których nie sprawdziłem. Teksty mistyczne z Dalekiego Wschodu i materiały afrykańskie. Różne demony działają na różnych terenach, albo przynajmniej w czasie podróży przedstawiają się innymi imionami. Będę w kontakcie. - Ruszył na przód furgonetki i w połowie drogi się zatrzymał. - A, jeszcze jedno. Co do demonów i tego, jak przeżyć opętanie...

- Tak? - zaciekawił mnie. - Czy to ta sprawa, co do której ostatnio byłeś taki skryty?

- Nie byłem skryty, po prostu nie lubię przedstawiać niepełnej odpowiedzi na pytanie. Ale pracuję na tylu frontach, że uznałem, iż zechcesz usłyszeć to teraz. Może przekonasz supersukę, żeby zajęli się tym jej ludzie, bo mnie nie idzie najlepiej. Słyszałeś kiedyś o gościu nazwiskiem Martin Moulson?

- Nie. A powinienem?

- Może nie, to było dość dawno, a on nigdy nie obracał się w kręgach bliskich czarnej magii. Jednak, z tego co słyszałem, miał pasażera, i to wielkiego drania. Pewnie nie tak wielkiego jak Asmodeusz, ale czy w ogóle jest taki? I jakoś się uwolnił. Zaaplikował sobie duchową lewatywę i wyzwolił się spod władzy demona. Tak przynajmniej głoszą plotki. Niestety, to historia, która kończy się słabo, bo gość zniknął z powierzchni Ziemi. Jeśli zdołasz go wytropić, pewnie będziecie mieli sporo do pogadania.

- Też tak sądzę - zgodziłem się, dopasowując się do jego lekkiego tonu. - Masz jakikolwiek trop?

Nicky wydał policzek.

- Jedynie legendy miejskie. To coś jak z Elvisem: każdy ma jakąś historię.

- No cóż, jeśli nic innego się nie uda, możesz go sprawdzić w Wikipedii.

- Obyś zdechł, Castor.

- Pracuję nad tym, Nicky - rzekłem, odchodząc. - Dzień po dniu.

* * *

- Mój Boże, Feliksie, wyglądasz na wyczerpanego! - Twarz Jenny-Jane była istnym obrazem troski. Choć może ktoś powiesił ów obraz odrobinę krzywo: efekt był dość subtelny, by nie rzucać się w oczy.

- Długa noc - odparłem niepotrzebnie.

- I miejmy nadzieję, owocna.

J-J stała, ja siedziałem, co nadawało spotkaniu posmak przesłuchania, choć jak dotąd nie zadała mi żadnych pytań. Powoli, z rozmysłem pociągnęła sznurki, przestawiające żaluzje na pozycję zamkniętą. Żeby to zrobić, musiała pochylić się nad Gilem McClennanem, bo sznurki wisiały w kącie, w którym siedział. Potraktowała go jak część wyposażenia, choć muszę uczciwie przyznać, że nie było to raczej nic osobistego. Z pewnością w głębi ducha myślała tak o nas wszystkich.

- Nie masz nic przeciw temu, że Gil zostanie, prawda? - spytała z opóźnieniem. - Jego doświadczenia z istotą z Super-Self posłużą jako użyteczny punkt odniesienia wobec twoich, zakładając - moment zawahania - że zdołasz pokazać nam coś, czego jeszcze nie wiemy.

Działo się to następnego ranka, choć dla mnie stanowił on kontynuację poprzedniej nocy. Zmagalem się nie tylko ze zmęczeniem fizycznym, ale też z uporczywym odczuciem oderwania, które ogarnęło mnie w chwili, gdy stanąłem przed basenem w klubie fitness. W którymś momencie tego dnia będę musiał znaleźć chwilę, by się zdrzemnąć, choćby pół godziny. Pewnie zbudzę się jeszcze bardziej wykończony, ale powrócę do świata rzeczywistego, zamiast szybować parę stóp nad nim.

- A co już wiecie? - spytałem Jennę-Jane. Czasami najlepszą obroną jest atak uprzedzający, to była jednak jej gra i jej zasady. Nie ma mowy, żeby zagrała w otwarte karty. Nawet nie zaszczyliła mnie odpowiedzią; zrobił to za nią McClennan.

- Wszyscy członkowie mojego zespołu złożyli już raporty. Teraz czekamy na twój. Wzruszyłem ramionami, ustępując.

- No dobrze. Zacznijmy od spraw oczywistych. To nie jest to, na co wygląda.

Gil parsknął paskudnie, Jenna-Jane zaszczyliła mnie surowym grymasem.

- To zjawą, Feliksie, pozbawiona substancji fizycznej. Można ją dostrzec gołym okiem, nie da się jednak zarejestrować na żadnym nośniku ani żadnym innym ludzkim zmysłem. Z pewnością z samej swej natury jest dokładnie tym, na co wygląda.

- Tak mógłby sądzić laik, profesor Mulbridge - odparłem z powagą. - Lecz naukowiec i erudytką pani kalibru doskonale zna różnicę pomiędzy zjawiskiem i epizjawiściem - między przyczynowością a przypadkową zbieżnością.

Jenna-Jane uśmiechnęła się szczerze, choć tylko przez sekundę, uznając zarówno rozróżnienie, jak i fakt, że poczęstowałem ją jej własnym nadętym technicznym żargonem.

- Mów dalej.

- Duchy w basenie - rzekłem - są tak dziwaczne i niewytłumaczalne, że wszyscy patrzą na nie najpierw i zakładają, że to ich obecność należy wyjaśnić. Sam tak zrobiłem. A kiedy odszedłem i zastanowiłem się nad tym, po namyśle uznałem, że nie mają większego znaczenia. - Nikt mi nie przerywał, więc kontynuowałem: - Większą tajemnicą - i z całą pewnością większym zagrożeniem - jest coś, czego nie widzimy. W tym pomieszczeniu jest coś, co sprawia, że każdy, kto tam wejdzie, doświadcza nagłego ślepego przerażenia. Ty sam - zerknąłem na Gila, którego dotąd wyraźnie ignorowałem - wspomniałeś, że kilku egzorcystów, którzy wcześniej odwiedzili Super-Self, w wyniku kontaktu z tym czymś doznało załamania nerwowego. Zaprowadziłeś ich do basenu i kazałeś zostać dość długo, by spróbowali egzorcyzmów. Ale nie udało im się i dostali w kość. To ich złamało. Mam rację?

Na moment zapadła cisza.

- Bardzo dramatycznie ująłeś tę sytuację - upomniała mnie Jenna-Jane. - Ale owszem,

mieliśmy ofiary. By nie szukać daleko, biednego Victora Etheridge'a. I istotnie, to bardzo uporczywe nawiedzenie.

- Nie - wtrąciłem - bynajmniej. Nazwij je tak, a nigdy do niczego nie dojdiesz, bo będziesz rzucać się do walki w niewłaściwą stronę.

- To znaczy...? - spytała Jenna-Jane.

- Dokładnie to, co powiedziałem. To nie jest nawiedzenie. To coś innego, a nawiedzenie stanowi jedynie jego część. To nie duchom musimy się przyjrzeć. Cokolwiek żyje w tej piwnicy i sprawia, że dorośli mężczyźni i kobiety sikają w majtki i wbiegają pod rozpedzone samochody, właśnie temu musimy się przyjrzeć.

Gil miał problemy z usiedzeniem spokojnie podczas mego kazania.

- Nie zgadzam się - wtrącił teraz z emfazą - zarówno z rozumowaniem, jak i z wnioskami. To, co wiemy, Castor - jedyne, co wiemy - to to, że owe duchy łamią wszystkie zasady, które jak dotąd uważaliśmy za niewzruszone. Są o ponad tysiąc lat starsze niż jakikolwiek inny znany nam duch, a jednak nie wykazują oznak rozpadu morfologicznego i dostrzegają swoją obecność, rozmawiają ze sobą, a nawet podają sobie inne przedmioty. Przedmioty fizyczne. - Postukał palcem w narożnik blatu biurka Jenny-Jane, jakby chciał mi przypomnieć co oznacza „przedmiot fizyczny”. - Myślę, że jeśli zdołamy wyjaśnić obecność duchów, wyjaśnimy także strach. Jeśli masz rację, że to przykład przyczyny i skutku, to duchy są przyczyną. Dlaczego zjawy tak stare nie miałyby generować pola psychiczno-emocjonalnego?

- Dlaczego duchy tak stare nie miałyby jeździć cadillacami i palić najlepszych kubańskich cygar? - odparowałem. - McClennan, my nie spieramy się nawet o to, jak wiele aniołów może zatańczyć na czubku szpilki; my próbujemy odgadnąć, jakiego koloru noszą majtki.

Gil zaczął coś mówić, lecz Jenna-Jane mu przerwała i przekazała jej pałeczkę.

- Czy przedmiotem naszych badań uczynimy duchy, czy też emocjonalny rezonans w owym pomieszczeniu, zakładamy, że działa tu pojedyncza siła. Chcemy zrozumieć - a następnie zlikwidować - obie materializacje.

Nie próbowałem nawet sprzeciwić się tak wygłoszonemu credo. Od dłuższego czasu unikam jak ognia zbyt lekkiego usuwania duchów, jeśli jednak J-J chciała wierzyć, że łyknąłem firmowy bajer i brzdąkam na firmowym banjo, to bardzo proszę.

- To wielka różnica - odparłem - bo wiąże się z innymi ostatnimi wydarzeniami i, jeśli mam rację, otwiera nowe pole do ataku.

W końcu dotarłem do sedna, zawahałem się jednak przed ujęciem go w słowa. To

trudne, nawet wobec bardziej życzliwej widowni. Myślałem o wielu rzeczach: o Nickym, który zaledwie kilka godzin wcześniej mówił o otwierających się nowych możliwościach; o duchu na osiedlu Salisbury, duszy nastolatka, która przekształciła się w nowo narodzonego demona; o jeszcze bliższych chwilach, gdy w pijanym widzie siedziałem w rynsztoku z fletem w dłoniach, próbując zagrać dźwięk, który zakradł się do tego świata, kiedy nie patrzyłem; o historii kurczaka z bajki dla dzieci, ostrzegającego, że niebo się wali; o smutnym zniszczonym starym zombie w Somers Town, mówiącym: „Świat się zmienia. Już nas tu nie chce”, i o Rosie, powtarzającej to samo niemal słowo w słowo. „Jak światło w pokoju, gdy słońce wschodzi lub zachodzi. Nie dostrzegasz tego, póki się nie wydarzy”.

- Myślę, że zaczynamy widzieć zupełnie nowe zjawiska - oznajmiłem w końcu, uciekając się do żargonu. - Rzeczy, których nie znajdziemy w grimoirach, bo nikt nigdy się wcześniej z nimi nie zetknął. Sądzę, że może zbliżamy się do punktu, w którym dawne zasady nie na wiele nam się zdadzą.

Jenna-Jane przyglądała mi się z uwagą. Wciąż nie usiadła; stała nade mną jak nauczycielka nad niesfornym uczniem, który zacznie rozrabiać, gdy tylko przestanie go pilnować.

- A dlaczego według ciebie tak się dzieje? - spytała ostro.

- Nie mam pojęcia - odparłem zgodnie z prawdą. - Może została zachwiana jakaś równowaga. Jakaś wielka kosmiczna stała nie była tak stała jak sądziliśmy i zaczyna się zmieniać. Może w piekle zatkały się rury i cały syf wybija do nas. Nie wiem, Jenno-Jane. Po prostu podsuwam ci pomysł. Ale jeśli mam rację, to pewnie już wiesz, o czym mówię - albo dlatego, że odbyłaś tę rozmowę z kimś ze swoich ludzi, albo dlatego, że znalazłaś już sposób, by to zmierzyć.

J-J przyglądała mi się z chłodnym, obojętnym uznaniem, które sprawiało dziwnie fałszywe wrażenie. Popatrzyłem jej w oczy i po kilku sekundach odwróciła wzrok.

- Interesujące - rzekła. - Dlatego właśnie za tobą tęskniłam, Feliksie. Bo bez wcześniejszych uprzedzeń analizujesz dowody.

- Z całym szacunkiem - wtrącił Gil lekko zduszonym głosem. - Nie powiedział nam niczego o duchach z Super-Self. Usprawiedliwia tylko własną niezdolność wyciągnięcia solidnych wniosków.

Jenna-Jane uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Ależ podał nam swoje wnioski, Gilbercie, choć, istotnie, jak dotąd nie prowadzą one do rozwiązania. Tak przy okazji, Castor, masz jakieś rozwiązanie? Byłoby to doskonałe zakończenie pierwszych dwudziestu czterech godzin pracy w moim zespole.

- Nie - przyznałem - nie mam. Mogę tylko powiedzieć, że współpraca pomaga. Wyszliśmy z Pax cało, bo wspieraliśmy się nawzajem. Ale nie zdołaliśmy nawet podjąć próby przeprowadzenia egzorcyzmów. Nie dało się aż tak skupić. Może potrzeba by podejścia typu lądowanie w Normandii, egzorcystów nacierających falami. Ale nawet wtedy...

- Podoba mi się - zastanawiała się głośno Jenna-Jane. - Brutalna siła. Ma w sobie pociągającą prostotę.

- I tę wadę, że pošlemy ludzi w ślepy zaułek - zaprotestował Gil. - Jeśli coś pójdzie nie tak, może wszyscy skończą jak Etheridge.

Musiałem przyznać mu rację. Jeśli Etheridge zamienił się w nieszczęsną kupkę nerwów po zbytnim zbliżeniu się do istoty z Super-Self, stanowił mocny argument, by trzymać się jak najdalej, przynajmniej dopóki nie zorientujemy się, z czym mamy do czynienia. Nagle przyszło mi do głowy, że moglibyśmy spytać o to Juliet. Choć ostatnio zachowywała się dość osobliwie, nadal była wybitnym fachowcem w kwestiach demonicznych: naszą agentką w obozie wroga. A ponieważ i tak już płaciłem jej za opiekę nad Pen, może zdołam zaprosić ją na Strand na konsultację.

Jenna-Jane przybrała minę Salomona wygłaszającego wyrok.

- Rozumiem twoje obawy, Gilbercie. Mimo to, w przypadku przywołania Rosie Crucis połączony atak okazał się niezwykle owocny. Całkiem możliwe, że kilka jednocześnie odprawianych egzorcyzmów zadziała tam, gdzie pojedyncze próby zawiodły. Zorganizuj twoich ludzi w dwuosobowe zespoły, każdy z wiodącym partnerem. Drugi będzie pilnował pierwszego i wycofa go w przypadku kłopotów.

Gilowi wyraźnie się to nie podobało - być może zdenerwowała go perspektywa wcielenia w życie mojego planu po tym, jak sam go zdyskwalifikował.

- A jeśli obserwator oberwie pierwszy? - spytał głośno, unosząc ręce w pełnym oburzenia geście. - Wiemy, że basen to epicentrum, ale efekty tego czegoś odczuwa się z bardzo daleka. Niemądrze byłoby wejść tam, sądząc, że atakujemy basen bądź to co się w nim kryje. To byłoby jak... jak atak na gniazdo os z kijem baseballowym, z nadzieją, że jeśli zabijemy królową, nic nas nie użądli.

- Niezłe porównanie - zgodziłem się. - Posłuchaj, nie mówię, że przebicie się siłą to dobry pomysł. Po prostu głośno myślałem.

Jenna-Jane lekceważąco machnęła ręką, jakby to było jedynie kwestią dogrania szczegółów.

- Mimo wszystko - rzekła - nie zaszkodzi spróbować. Przygotuj listę, Gilbercie. Dziesięciu mocnych egzorcystów i dziesięciu wspierających. Castor będzie jednym z

wiodących. Ty także.

Patrzyła na Gila, aż w końcu musiał zrozumieć, że go odprawia. Wstał, ale nie wyszedł, tocząc ciężką walkę z silnym instynktem nakazującym mu paść na kolana i zginąć dla królowej.

- Jeśli to się nie uda - rzekł - dwadzieścia osób wyląduje po uszy w gównie.

- Im większa liczba, tym mniejsze ryzyko - oznajmiła z chłodnym rozmysłem Jenna-Jane.

Gil wytrzymał jeszcze moment. Potem szybko skinął głową i ruszył do drzwi. Kiedy zamknęły się za nim, Jenna-Jane odwróciła się do mnie z niemal wyniosłą miną.

- Gilbert za tobą nie przepada, Feliksie. Bardzo się starałam go przekonać, by podzielił mój punkt widzenia, obawiam się jednak, że to syzyfowa praca.

- Zabiłem jego ulubionego stryja - przypomniałem. - To mocno utrudnia nasze zbratanie.

- Och, nie o to chodzi - zapewniła mnie Jenna-Jane, wyraźnie zdumiona samym pomysłem. - To coś znacznie bardziej osobistego i znacznie prostszego. Obawia się, że możesz być lepszym egzorcystą od niego. Ta myśl nie daje mu spokoju. Zbija go z pantafelki.

- Poważnie? - zdumiałem się. - Czemu akurat ja? Zapewne wszyscy w jego zespole są od niego lepsi.

Jenna-Jane pokręciła głową.

- Mylisz się. Ma mnóstwo nieoszlifowanej mocy. Więcej niż ktokolwiek w rodzinie. Badałam jego kuzynkę Danę i wypadła imponująco. Pracowała tu rok i zrobiła dużo dobrego. Ostatecznie odeszła z powodów osobistych, po paskudnej kłótni z inną kobietą w zespole. Gilbert jest lepszy od Dany, ale trudno go nazwać stabilnym emocjonalnie. By móc nim pokierować, porozumiałam się z nim na poziomie bardzo osobistym. Teraz widzi w tobie zagrożenie dla tej... bliskości.

Przyglądałem się jej w milczeniu, złośliwa odpowiedź zamarała mi na ustach. Myśl, że miałbym stać się członkiem miłosego trójkąta z Jenną-Jane jako jeden z wierzchołków, sprawiła, że mój żołądek odtańczył skomplikowany nieprzyjemny taniec.

- A teraz - przeszła lekko do następnego tematu - problem Asmodeusza.

Dobra, pomyślałem. I Rafiego, jeśli już o tym mowa. Odruchowo napiąłem ramiona, bo zamierzałem poczęstować J-J paroma bezczelnymi kłamstwami i chciałem to uczynić w postawie wyprostowanej, patrząc jej w oczy.

- Uważam, że powinnaś mnie wysłać do Macedonii - oznajmiłem.

Jenna-Jane przekrzywiła głowę, spoglądając na mnie z lekkim zdumieniem.

- Naprawdę? - spytała. - Dlaczego?

- Bo Rafi Ditko ma brata. Jovana.

J-J nie wykrzyknęła ze zdumienia ani nie zadawała dalszych pytań. Po prostu wpatrywała się we mnie, wiedząc, że to nie wszystko.

- Siedzi w celi śmierci - podjąłem - skazany za morderstwo. Jeśli chcemy z nim porozmawiać, mamy na to dokładnie dwa dni.

- Ale po co mielibyśmy z nim rozmawiać? - W głosie J-J dźwięczało autentyczne zdziwienie. - Ditko został opętany już po przybyciu do Anglii. Mało prawdopodobne, by brat wiedział cokolwiek, co mogłoby nam pomóc.

- Ogólnie rzecz biorąc, zgadzam się z tobą - przytaknąłem. - Zacząłem sprawdzać rodzinę Rafiego tylko po to, by móc ich ostrzec przed możliwymi odwiedzinami Asmodeusza. Teraz jednak przemyślałem to i uznałem, że warto pogadać z tym gościem. Wiedziałaś, że Asmodeusz nie może przejść przez blokady Pameli Bruckner?

J-J zmarszczyła brwi.

- Nie, nie wiedziałam. Bruckner to ta wybuchowa ruda, zgadza się? Była dziewczyna Ditko i twoja.

- Pen nigdy nie była moją dziewczyną - poprawiłem skrupulatnie. „Wybuchowej” nie ruszałem, bo Pen nie uznałaby tego za obraźliwe. - Jest moją gospodynią. Czasami. Rzecz w tym, że widziałem, jak Asmodeusz kompletnie ignoruje blokady nakreślone przez obcych. Owszem, sprawiały mu ból, ale niezbyt go spowalniały. Najwyraźniej więź osobista czyni różnicę.

- Uważasz zatem, że brat Rafiego Ditko może mieć podobną władzę nad demonem? Ale skoro siedzi w więzieniu...

- Chcę po prostu z nim porozmawiać - powtórzyłem. - Głównie o dzieciństwie Rafiego. Może to nic nie da. Najpewniej. Ale w najgorszym razie lepsze zrozumienie Rafiego może pomóc nam przywołać jego świadomość i przewidzieć reakcje podczas kolejnego spotkania z Asmodeuszem. W tej chwili drań panuje nad wszystkim. Rafi nie ma punktu zaczepienia, demon ciąga go za sobą jak psa.

Powiedziałem co swoje. Oczywiście same bzdety i czułem się z tym niezbyt dobrze. Rzecz jasna, nie dlatego, że okłamałem Jennę-Jane, ale ponieważ miałem się oddalić w chwili, gdy łowy na demona w końcu będą mogły dokądś doprowadzić. Rafi błagał mnie, żebym przekazał wiadomość ojcu i bratu. Co do Ditko seniora, już się spóźniłem, ale miałem jeszcze okazję porozmawiać z Jovanem. Inne wyjście nie istniało, chyba że zechciałbym napisać do Jovana list, wysłać pierwszą klasą i mieć nadzieję, że wyprzedzi kata.

Jenna-Jane rozważała moje słowa.

- Jeśli uważasz, że to może się na coś przydać... - zaczęła.

- Uważam, że nie stać nas na niewykorzystanie tej sposobności.

Skinęła głową.

- Musisz obrócić w jeden dzień - oznajmiła. - Jesteś tu potrzebny.

- Lot nie powinien trwać długo - rzekłem. - Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym dostać jednodniowego biletu.

Jenna-Jane podniosła słuchawkę i, wciąż stojąc, wybrała numer.

- Halo, Edwardzie - powiedziała. - Zarezerwuj, proszę, lot do Macedonii, na nazwisko Felix Castor. Wylot i przylot jeszcze dzisiaj. Nie, nie mam pojęcia. Jeśli tam jest więcej niż jedno lotnisko, potrzebujemy to najbliższe stolicy. Załatw mu też trochę miejscowej gotówki. I transport. Im wcześniej, tym lepiej. Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę.

- Coś jeszcze? - spytała.

- Każ swojej ekipie badawczej poszukać gościa nazwiskiem Martin Moulson.

- Kto to?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Ale został opętany przez jednego z potężniejszych demonów i przeżył. To było bardzo dawno temu i znam jedynie jego nazwisko.

Jenna-Jane zapisała je i popatrzyła na mnie wyczekująco. Wzruszyłem ramionami.

- To wszystko - oznajmiłem. - Na razie.

- Powinieneś zatem porozmawiać z panią Pax. Jej eksperyment z mapą przyniósł pewne owoce.

Kiedy wstałem, obdarzyła mnie ciepłym uśmiechem.

- Cenię sobie twoją wiedzę fachową, Feliksie. Wiem, że w przeszłości sporo nas różniło, wierzę jednak, że tym razem uda nam się nawiązać trwałą współpracę.

- Jest to jakiś punkt widzenia - odparłem tak niezobowiązująco, jak tylko umiałem.

Jako odpowiedź wyglądało to lepiej niż wepchnięcie dwóch palców do gardła i puszczenie pawia na kafelkową posadzkę.

Po wyjściu na korytarz zobaczyłem Gila McClennana, stojącego na jego końcu i wyglądającego przez okno. Kiedy ruszyłem ku niemu, odwrócił się i wbił we mnie wzrok, dopóki się nie zrównaliśmy. Zatrzymałem się, bo wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, on jednak tylko patrzył w milczeniu.

- Skoro tak cię wkurza, że przyjęła mój pomysł, wyklucz mnie z tego - zaproponowałem. - Myślisz, że mi na tym, kurwa, zależy? Nie przyszedłem tu żeby cię

przebić, McClennan. Chcę tylko jednego, a potem stąd spadam.

- Nie chcę mieć na sumieniu kolejnego Etheridge'a - wymamrotał lekko zdławionym głosem. - Nienawidzisz naszego oddziału tak bardzo, że chętnie posłałbyś na śmierć nas wszystkich.

Nie mogłem ukryć zdumienia. Może nawet nie próbowałem.

- Wczoraj ty posłałeś na śmierć mnie i Pax - przypomniałem. - Wysłałeś nas na dół z nadzieją, że to coś w basenie nas załatwi.

- Załatwi ciebie - poprawił z gniewem. - Ją próbowałem powstrzymać.

Faktycznie. Tu mnie miał.

- McClennan obdarzony sumieniem - mruknąłem i pokręciłem głową. - To musi być gen recesywny czy coś.

Zorientowałem się, że zaraz mnie walnie, toteż zdołałem odtrącić jego pięść, nim dosięgła mej twarzy. Zareagował bardzo szybko i mój własny hak odbił się od jego podbródka, gdy Gil dopadł mnie i zacisnął mi ręce na gardle. Niezbyt mądre posunięcie, bo nie miał wolnych rąk do obrony, ale ścisnął mnie z siłą wspomaganą ślepą furią. Dwa ciosy w bok głowy nie osłabiły go i boleśnie wbijał mi kciuki w tchawicę. Odruchowo spróbowałem odetchnąć, a gdy się nie udało, poczułem, że serce tłucze mi gwałtownie, pobudzone adrenaliną.

Rozpaczliwie improwizując, wsunąłem stopę tuż za jego nogę i pchnąłem naprzód całym ciałem. Runęliśmy na podłogę korytarza, ja na gorze, a potem sturlałem się z niego, w końcu wolny.

Podnieśliśmy się jednocześnie - mniej więcej - ale miałem już potąd tych bzdetów. Zanurkowałem prawą ręką i niemal w tym samym momencie z całych sił walnąłem lewą. Moja pięść trafiła z mięsistym młasniciem w policzek. Poczulem gwałtowną błyskawicę bólu od dłoni aż do łokcia, ale cios załatwił sprawę: Gil zgiął się wpół i runął ciężko na ziemię.

Oparłem się o ścianę korytarza, oddychając powoli. Samo w sobie było to bolesne, bo gardło piekło mnie, jakbym połknął kulę od krykieta. Lewa dłoń pulsowała, a kiedy sprawdziłem palec wskazujący, nie chciał się zgiąć. Już zaczynał puchnąć przy stawie.

Gil powoli podniósł się z podłogi do pozycji siedzącej, oparty plecami o ścianę. Prace budowlane najwyraźniej zagłuszyły odgłosy naszej bójki, więc nikt nie przyszedł sprawdzić co się dzieje.

- Ty... skurwielu - wydyszał, bełkocząc. - Wypierdalaj... z mojego... życia!

- Już ci mówiłem - wydyszałem w odpowiedzi. - Przyszedłem tu tylko po jedno. Jeśli

chcesz się mnie pozbyć... daj mi Ditko.

Odszedłem chwiejnym krokiem, zanim zdołał odpowiedzieć. Musiałem wsadzić rękę do zimnej wody, nim jeszcze bardziej spuchnie. Jeśli nie będę mógł grać, nikomu się na nic nie przydam.

* * *

Trudie, z wyraźną dumą zabarwioną lekkim zdenerwowaniem, pokazała mi swoją mapę. Od ostatniego razu bardzo się zmieniła: teraz widniały na niej setki krótkich czarnych kreseczek, zebranych razem i tworzących dłuższe linie. Linie te przecinały oblicze miasta i tańczyły na nim niczym ślady pozostawione przez pracząsteczki w komorze kondensacyjnej, zarodniki czegoś zarówno wiecznego, jak i efemerycznego, wykrzesane z przemocy, tak jak iskry z kamienia.

- To tutaj był? - spytałem, przesuwając palcem wzdłuż najbliższych linii.

- Tak.

- A gdzie jest teraz?

Wyraz twarzy Trudie się zmienił. Zdenerwowana położna zniknęła, zastąpiona przez zrozpaczoną matkę.

- Nie mam pojęcia. Kiedy rysuję, wyczuwam słabo, że niektóre linie są świeższe niż inne. To je najłatwiej znaleźć, one najmocniej mnie przyciągają. Ale nie ma w tym... - Zawahała się, szukając właściwego słowa.

- Stopniowania? - podsunąłem.

- Właśnie. Nie ma stopniowania, toteż nie potrafię określić, w którą stronę szedł wzdłuż nich i ile czasu spędził w każdym z miejsc. To tylko mapa pokazująca jego ruchy.

- Co oznacza, że, w miarę jak będzie odwiedzał kolejne miejsca, stanie się coraz mniej użyteczna. W końcu cała pokryje się czernią.

Trudie zmierzyła mnie ponurym spojrzeniem.

- Dzięki, Castor. Poświęciłam jej tylko dwanaście godzin życia. Nie oszczędzaj moich uczuć.

Zza jej pleców Etheridge spojrział na mnie wściekle, oburzony w jej imieniu.

- Nie twierdzę, że nie jest użyteczna teraz - przypomniałem. - Niesamowita robota. Nie uwierzyłbym, że zdołasz zajść tak daleko.

Trudie moje pochwały przyjęła równie kiepsko jak wcześniej krytykę.

- Cóż, to dopiero pierwszy etap - broniła się. - Nadal musimy wrócić do mapy i spróbować ustalić, gdzie dokładnie spędza większość czasu.

Wskazałem jedną z największych gęstw linii na mapie, a potem drugą: dwa miejsca, w których mnóstwo odcinków zlewało się ze sobą, tworząc plamy czystej czerni. W sercu owych miejsc papier pomarszczył się wyraźnie, napuchnięty od wsiąkającego w niego tuszu. Wyglądał zupełnie jak jedna z kocich kołysek Trudie, przyłożona na medium dwuwymiarowe i statyczne, bo oczywiście tym właśnie był.

- Tutaj - powiedziałem - i tutaj.

- Tak - mruknęła Trudie. - Oba te miejsca odwiedzał wiele razy. Oba w północnym Londynie, w odległości około siedmiu mil od siebie. Masz pojęcie, co tam jest?

- To tutaj, parę mil na północ od Kings Cross, to moje mieszkanie. Nic dziwnego, wiedziałem, że obserwuje dom Pen. Drugie, na zachodzie, martwi mnie bardziej.

- Dlaczego?

Trudie wbijała we mnie wzrok z takim napięciem, że wiedziałem, że moja twarz pokazuje więcej niż powinna.

- To Royal Oak - oznajmiłem. - Mam tam przyjaciółkę.

Dotarło.

- O mój Boże - mruknęła Trudie.

- Ścisłej mówiąc, trudno znaleźć kogoś dalszego od Boga - poprawiłem z ponurą miną.

- Sukub. Upadłe stworzenie, z którym współpracowałeś.

- Zgadza się.

Przez moment rozważałem wszystkie za i przeciw. I tak powiedziałem już za dużo. Etheridge mimo swego stanu nadal pracował dla Jenny-Jane i musiałem założyć, że zamelduje jej o wszystkim. Prawdę mówiąc, nie byłem też gotów zaufać Trudie - przynajmniej nie do końca - ale chyba musiałem jej opisać choć część tego, co się działo z Juliet.

- Chodźmy się przewietrzyć - zaproponowałem, patrząc na nią znacząco.

Trudie zawahała się i w końcu skinęła głową. Odwróciwszy się do Etheridge'a, oddała mu notes i pióro.

- Zaczynaj zapisywać nazwy ulic, Victorze - poprosiła. - Kiedy wrócę, sprawdzimy je na Google Maps.

Przeszliśmy się do Zbiornika Paddington, mieszczącego się tuż za szpitalem Świętej Marii. Część zbiornika opróżniono parę miesięcy wcześniej, a rada miejska wzniosła w tym miejscu rzeźbę, przedstawiającą olbrzymią zatyczkę i dziurę, by podnieść morale okolicznych mieszkańców, podczas gdy ich romantyczny kanał zamienił się w równinę cuchnącego mułu. Tu właśnie wylądowaliśmy, siedząc na chodniku przed kafejką, która nie otworzyła jeszcze

swych podwojów na lunch.

Wyciągnąwszy od Trudie obietnicę, że nie powtórzy niczego, co jej powiem, Jennie-Jane, opisałem jej dziwaczne zmiany w zachowaniu Juliet, łącznie z mantem, jakie spuściła Susan, i groźbą pod moim adresem. Wspomniałem o amulecie znalezionym w jej ogrodzie, lecz tylko przelotnie, bo stanowił on część większej układanki, skupiającej się gdzie indziej. Trudie wysłuchała mnie w milczeniu, ale gdy tylko skończyłem, zasypała pytaniami.

- Czy ten stwór nie jest gwałtowny z samej swej natury? Dlaczego cię to zaskoczyło?

- Zaskoczyło mnie, bo sprzeciwia się wszystkiemu, co Juliet robiła, odkąd zdecydowała się zamieszkać na Ziemi - wyjaśniłem cierpliwie. - Doskonale wie, że może tu żyć tylko dopóki zdoła utrzymać się w ryzach. Jeśli zacznie pożerać ludzi, nawet w wyjątkowych okolicznościach, zaczną jej szukać wszyscy egzorcyści w Londynie. I choć jest naprawdę dobra, wcześniej czy później ktoś podejdzie ją od tyłu i dokończy robotę.

Trudie nie sprawiała wrażenia przekonanej.

- Ale co to da? - Wzruszyła ramionami. - Może po prostu odesłać ją do piekła. Będzie mogła znów powstać, kiedy tylko zechce.

Przygwoździłem ją wzrokiem.

- Uważasz, że to właśnie robią egzorcyzmy?

- Nie wiem, Castor. I ty też nie.

- Ale wiem, że demony unikają ich jak ognia. Rzekłbym, że wręcz rozpaczliwie. To musi być coś więcej niż tylko przejażdżka do domu.

Zapadła cisza. Kelner otworzył drzwi kafejki, wyraźnie sądząc, że będziemy jego pierwszymi klientami. Ponieważ nie miałem nastroju na kawę, herbatę ani jakikolwiek napój nieliczący sobie co najmniej trzydziestu procent, wstałem i ruszyłem dalej. Trudie podążyła za mną.

- Mogłabym obejrzeć te znalezione amulety? - poprosiła.

- Mam ich zdjęcia w komórce. Wyślę ci je.

- A co z tobą, Castor? Jaki jest twój następny ruch?

- Jadę do Macedonii, żeby spotkać się z ostatnim członkiem rodziny Rafiego. A twój?

- Będę pracować nad mapą z Victorem. Zobaczę, czy da nam jakieś wskazówki co do kryjówki Asmodeusza.

- A kiedy wrócę, organizujemy drugi atak na Super-Self.

Trudie wywróciła oczami.

- Zapowiada się świetna zabawa.

- Praca dla Jenny-Jane to jak służba w wojsku. Każdy dzień to święto.

- Prześlij mi te zdjęcia przed wyjazdem - przypomniała.

- Jasne. - Odwróciłem się do niej. - Ale obowiązują standardowe warunki i zasady. Nie dzielimy się niczym z twoim obecnym bądź byłym pracodawcą, dopóki się nie zgodzę.

Po niemal niedostrzegalnym zawahaniu Trudie skinęła głową.

- Zgoda.

- Jeśli natkniesz się na cokolwiek nowego, przekażesz to najpierw mnie, a dopiero potem Jennie-Jane.

Kolejna chwila wahania.

- Jeśli zgodzisz się na to samo - odparła Trudie. - Podzielisz się ze mną wszystkim, co odkryjesz w Macedonii. I przekażesz mi to, co dostaniesz od Nicholasa Heatcha.

Te słowa mną wstrząsnęły.

- Skąd wiedziałaś, że byłem u Nicky'ego? - spytałem, spinając się odruchowo.

Trudie uśmiechnęła się z lekką wyższością.

- Kiedy pracowałam dla Anathematy, bardzo dokładnie cię sprawdziłam. Jesteś zbyt przewidywalny, Castor. Masz swoje nawyki. Swoje przesady i kaprysy. Zasady i dyrektywy. Heatch jest jedną z nich.

- Nadal żyję - przypomniałem jej.

- Owszem - zgodziła się. - To kolejna.

ROZDZIAŁ 11

Z lotniska imienia Aleksandra Wielkiego poleciałem wprost do centrum Skopje. Na lotnisko składał się asfaltowy pas i automat z coca-colą, lecz samo miasto okazało się dość imponujące. Leżące na obu brzegach rzeki Wardar, na głównym szlaku handlowym z Belgradu do Aten, stanowiło ważny węzeł komunikacyjny i zaliczało sporo gości. Trzeba uczciwie przyznać, że zaliczyło też sporo - może nawet przesadnie dużo - wojen, pogromów, trzęsień ziemi, korupcji, upadku przemysłu i apokaliptycznego chaosu, za każdym razem jednak zdołało pozbierać się do kupy, otrząpać i zacząć wszystko od nowa. Dziś wygląda jak każda inna metropolia średnich rozmiarów: stare i nowe budynki, walczące o swe miejsce wzdłuż większości ulic, i zasnuwająca je mgiełka smogu.

Z mojego hotelu - Holiday Inn na ulicy Pijade - zadzwoniłem do adwokata Jovana Ditko, niejakiego Anastasiadisa, i zostawiłem mu wiadomość. Wcześniej dzwoniłem dwa razy z Londynu, poprosiłem recepcjonistkę o bardzo dokładne zapisanie moich danych kontaktowych, lecz nie doczekałem się odpowiedzi. Jeśli tym razem nie oddzwoni, złapię taksówkę i pojedę prosto do więzienia. Warto zaryzykować. Najwyżej mi odmówią. No, może jeszcze pobiją gumowymi pałkami, ale zakładałem, że ponieważ wciąż czekają na członkostwo w Unii Europejskiej, wolą raczej zachować czyste ręce.

Okazało się jednak, że telefon zadzwonił niecałe dziesięć minut po moim.

- Pan Castor? - W dźwięcznym niskim głosie mężczyzny wyczułem zaledwie lekki ślad akcentu.

- Owszem - potwierdziłem.

- Dragan Anastasiadis. Jak się zdaje, chciałby się pan spotkać z moim klientem.

- Zgadza się. Z Jovanem Ditko.

- A interesuje się pan Jovanem Ditko, ponieważ...? - Jestem przyjacielem jego brata, Rafaela.

Z drugiej strony dobiegł mnie odgłos przypominający westchnienie wiatru.

- W zwykłych okolicznościach - oznajmił pan Anastasiadis - ciężko byłoby zaaranżować coś takiego. Ponieważ jest pan cudzoziemcem, musiałbym podać pańskie nazwisko władzom więziennym i poczekać na ich zgodę. Ale dziś powinno być względnie łatwo. Jeśli pojedzie pan taksówką do więzienia, zaczekam tam na pana.

- Dzięki - odparłem. - Wielkie dzięki. - A potem, nim zdążył się rozłączyć, dodałem: -
Panie Anastasiadis?

- Proszę mi mówić Dragan.

- Draganie. Dlaczego dziś jest łatwiej?

- Bo dziś rano odrzucono ostatnią apelację Jovana, panie Castor. Jutro zawiśnie.

* * *

Wszystkie więzienia, które zdarzyło mi się odwiedzić, wyglądają dla mnie tak samo. Bywają mniej lub bardziej ponure, mniej lub bardziej szare, mniej lub bardziej przymykają oko na tortury i systematyczne wyniszczanie ludzkiego ducha, lecz wszystkie otacza ta sama aura rozpacz i abnegacji, psychiczna mgła wysublimowana z wykołojonych żywotów. Dla egzorcysty *genius loci* to zawsze coś bardzo rzeczywistego: po pierwszych kilku minutach spędzonych w więzieniu Irdrizovo - z pozoru niewinnym skupisku niskich bielonych budynków, okolonych niekończącym się ogrodzeniem z metalowej siatki, luźno kojarzących się ze szkołą o szczególnym poziomie bezpieczeństwa - poczułem w ustach smak śmierdzącego metalu i pulsujący ból za oczami.

Dragan Anastasiadis wydawał się nieświadomy owej miazmatycznej atmosfery. Wysoki grubas, niezwykle elegancki w jasno-błękitnym lnianym garniturze i kremowym wążutkim krawacie, zgodnie z obietnicą czekał na mnie pod bramą. Uścisnął mi dłoń, wyraził szczere kondolencje, których w istocie nie potrzebowałem, bo przecież nigdy wcześniej nie spotkałem Jovana Ditko. Następnie przeprowadził mnie żwawo przez kilka kolejnych posterunków.

W obecności strażników zachowywał się uprzejmie i czysto profesjonalnie, opowiadając o mechanizmach procesu apelacji i wciąż żywej nadziei, że prezydent w ostatniej chwili da się przekonać do wstrzymania egzekucji. Kiedy jednak na moment zostaliśmy sami, czekając w pustym przedpokoju na kogoś, kto odeskortuje nas do skrzydła dla najgroźniejszych przestępców, zgubił maskę.

- Tak naprawdę, panie Castor - rzekł - cały proces sądowy był zwykłą farsą. Kara śmierci w Macedonii grozi wyłącznie za zdradę i najgorsze zbrodnie wojenne. Mężczyzna, którego zabił Jovan, był pułkownikiem, ale nie wiązało się to z motywem zbrodni. Chodziło o kobietę. Prokurator bynajmniej tego nie podważał. Najwyraźniej jednak zabójstwo pułkownika to zbrodnia wojenna, nawet jeśli zabija się go, bo uprawia seks z naszą narzeczoną. I nawet jeśli nie ma żadnej wojny.

Z żalobną miną wzruszył ramionami.

- A co z Hągą? - spytałem. - Wiem, że nie weszliście jeszcze do struktur Unii Europejskiej, ale nawet teoretyczny werdykt...

Urwałem, bo Anastasiadis już kręcił głową.

- Odmówili nam dokładnie z tego powodu. Nie mogą sobie pozwolić na narażanie na szwank przyszłych stosunków z państwem macedońskim poprzez wtrącanie się w ich suwerenne sprawy, nim jeszcze zyskają do tego prawo. Nie, podążałem wszystkimi wytartymi ścieżkami i bardzo wcześnie zorientowałem się, że wyrok zawsze pozostanie „winny”. I, uczciwie rzecz biorąc, Jovan jest faktycznie winny. To było okropne morderstwo, wyróżniające się ekstremalną, szokującą brutalnością. Ale kara śmierci uraża samą mą duszę. Podwójnie, jeśli dotyczy kogoś, kogo sam broniłem. Teraz muszę dźwigać brzemień winy, że nie zdołałem tego powstrzymać. To jak zgaga duszy, która nie chce minąć.

Wyraz jego twarzy sprawił, że porównanie wydało mi się dość celne: wyglądał jak ktoś, kto bardzo szybko zjadł obfity lunch, a teraz załamany odkrywa, że jedzenie nie chce zostać tam, gdzie trafiło. Mam dość własnych wyrzutów sumienia, nie muszę szukać dokładki, pożałowałem jednak Anastasiadisa. Prawo to kiepski zawód dla kogoś o czułym sumieniu.

Zgrzyt kluczy obracających się w zamkach i szczęk odskakujących zasuw poderwał nas z miejsc. Zjawiła się eskorta pod postacią dwóch strażników w pancerzach, których nie powstydziałaby się rozpędzająca zamieszki policja. Chwilę rozmawiali z Draganem, nie zwracając na mnie uwagi. Ich język był bardzo szybki, pełen brzmiących z grecka wargowych głosek. Dragan odpowiedział w tym samym języku. Pokazał mnie ręką. Jeden z tamtych skinął głową. Potem poprowadzili nas z powrotem drzwiami, którymi przed momentem weszli, przez puste wybetonowane podwórze, na którym kręcił się samotny duch, niemal niewidoczny w promieniach południowego słońca, do dwupiętrowego bunkra.

Dziedziniec był przyjemnie ciepły, lecz gdy przekroczyliśmy próg skrzydła dla najniebezpieczniejszych przestępców, uderzyła nas fala gorąca. Strażnicy, odziani w skomplikowane pancerze, musieli odczuć je jeszcze mocniej niż my, ale nie okazali ani cienia dyskomfortu. Anastasiadis powachlował się lekko dłonią. Powietrze cuchnęło potem, moczem, środkami odkażającymi i czymś tłustym i ciężkim, być może pomadą.

Wnętrze urządzone na planie otwartym, parter i galeria na piętrze otaczały ponurą przestrzeń centralną, na którą wychodziły wszystkie drzwi cel. Te, które mijaliśmy, także otwierały się na siebie, oddzielone jedynie kratami, nie ścianami. W każdej mieściło się dwóch ludzi: dwie prycze ustawione obok siebie, nie jedna nad drugą, dwa krzesła, stół, kubek na odchody. Więźniowie grali w karty w klasztorным milczeniu albo leżeli na pryczach i

czytali. Na końcu rzędu cel pełnił wartę mundurowy strażnik; obojętny i senny, wyciągnął się na plastikowym krześle. Podejrzywałem, że zdołałby go poruszyć dopiero bunt więźniów.

Spiralnymi schodami, zablokowanymi na dole zamykaną kratą, wspięliśmy się na pierwsze piętro. Na szczycie ujrzyliśmy drugą kratę, którą musiał otworzyć kolejny strażnik, wpuszczając nas na podest. Tutaj, tuż pod sklepieniem niskiego budynku, smród szczyń był jeszcze mocniejszy: wisiał ciężko w nieruchomym, przegrzonym powietrzu. Więźniowie w celach na piętrze wszyscy bez wyjątku leżeli na swych pryczach, nieruchomo jak trupy, a może i bardziej. Nad otwartą przestrzenią pośrodku rozciągnięto siatkę zapobiegającą samobójstwom oraz, co znacznie dziwniejsze, kilka sznurów, na których wisiały skarpetki i koszulki w subtelnej gamie więziennych szarości.

Anastasiadis poprowadził nas do najdalszej celi po prawej i zaczął czekać, aż jeden z dwóch strażników otworzy kluczem drzwi. Kiedy my weszliśmy do środka, obaj pozostali na miejscu, zamykając nas tam i zatrzymując się po obu stronach drzwi niczym para paskudnych podpórek.

Jovan Ditko siedział na podłodze celi, ubrany jedynie w podkoszulek i spodnie. Głowę miał pochyloną, między rozłożonymi nogami trzymał wiadro. Zwymiotował do niego i wyglądał, jakby zaraz miał to powtórzyć. Anastasiadis wyjrzał przez kraty na strażników, wskazał ręką kubek i coś powiedział. Tamci pokręcili głowami, w niemal idealnej synchronizacji. Anastasiadis krzyknął, jego twarz poczerwieniała nagle. Jeden ze strażników odkrzyknął coś, drugi odwrócił się bokiem, jakby spór zawstydził go bądź zdenerwował.

- Nie chcą opróżnić kubła - rzekł przepaszająco prawnik. - Przypomniałem im, że to ostatnia noc Jovana Ditko na Ziemi, ale mówią, że kubły opróżnia zawsze poranna zmiana.

- To nie ma znaczenia - odparłem, choć od smrodu w celi ścisnął mi się żołądek. Opanowałem go sporym wysiłkiem woli. Mój preferowany zmysł to słuch, toteż skupiłem się na odgłosach tego miejsca, dźwiękach i metadźwiękach: muzyce duchowej, którą słyszę zawsze, gdziekolwiek się znajdę. Irdrizovo było symfonią w tonacji molowej, ponurą, bezkształtną, niewyraźną.

- Jovanie - zagadnąłem łagodnie.

Spojrzał na mnie i skinął głową, po czym znów pochylił się nad wiadrem. Nie było to przywitanie, jedynie uznanie mojej obecności. Miał twarz Rafiego, lecz bardziej toporną i znacznie mniej przystojną. Podbródek pokrywał trzydniowy zarost, skóra lśniła od potu.

- Mówisz po angielsku? - zapytałem.

Wymamrotał coś, czego nie zrozumiałem. Pan Anastasiadis przetłumaczył natychmiast.

- Rozumie angielski, ale niezbyt dobrze mówi. Będzie odpowiadał po macedońsku.

- Dobrze. - Z powrotem odwróciłem się do Jovana. - Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać. Wiem, że to najgorszy możliwy moment, pod wieloma względami, pomyślałem jednak, że chciałbyś usłyszeć wieści o swoim bracie Rafaelu. - Przypomniałem sobie historyjkę opowiedzianą Jennie-Jane i uznałem, że może warto byłoby zdobyć cokolwiek podczas tej podróży, prócz kolejnej skazy na moim sumieniu. - Chciałbym też pomówić z tobą o twoich wspomnieniach o nim - dodałem.

Tym razem Jovan nawet nie uniósł głowy, jedynie wyszczerzył coś krótko do Anastasiadis, który odpowiedział jemu zamiast mnie. Przez chwilę wymieniali się uwagami. Podejrzywałem, że trzystronna komunikacja okaże się wyjątkowo upierdliwa.

- Mówi, że minęło wiele lat, odkąd ostatni raz widział Rafaela - powiedział w końcu Anastasiadis. - Pokłócili się bardzo dawno temu. Kiedy ich ojciec zmarł, Rafael nie przyjechał nawet na pogrzeb. Nic już ich nie łączy.

- Jak dawno temu to było? - spytałem. - Kiedy umarł ich ojciec?

Kolejna krótka wymiana zdań przyniosła odpowiedź.

- Trzy lata temu.

W tym czasie, po spieprzonych nekromanckich sztukach Rafiego i moich schrzanionych egzorcyzmach, przyjaciel był już we władzy demonicznego pasażera. Trzy lata temu siedział zamknięty u Stangera.

- On nie wiedział - wyjaśniłem. - Był w szpitalu i... nie miał kontaktu ze światem zewnętrznym.

Ani z niczym innym, pomyślałem. Na tym etapie życie Rafiego wyglądało dość surrealistycznie. Jego poczucie czasu, świadomość własnej osoby, zdolność rejestrowania nowych wspomnień i pojmowania świata - wszystko ucierpiało.

Próbowałem wytłumaczyć to Jowanowi, ale trudno przekazać coś takiego i niemal natychmiast natrafiłem na przeszkodę.

- Rafi ma w sobie demona - oznajmiłem i Jovan wygłosił gwałtowną tyradę, patrząc na mnie gniewnie z podłogi.

- Tak - powiedział Anastasiadis - ma demona. Ja mam demona. Każdy ma demona. To nie zmienia tego, kim jesteśmy. Nie zmienia naszych obowiązków. Trzeba być mężczyzną, prawda? Kimkolwiek się jest.

- Owszem, ale to nie była poetycka przenośnia - wyjaśniłem. - Rafi próbował sztuki magicznej i schrzanił sprawę. Ma w sobie demona, uwięzionego jak... - Nie mając pojęcia, jakie porównanie trafi do Jovana, zacząłem szukać nietechnicznej przenośni. - Jak ropucha w

studni. Jest w tym stanie od lat. I przez większość czasu tkwił zamknięty w szpitalu dla wariatów. Demon panuje nad jego ciałem i uczynkami. Rafi nie może sam nic zrobić.

Prawnik przyglądał mi się z niemal komicznym zdumieniem, lecz Jovan odpowiedział parsknięciem, które nie wymagało przekładu. Wyraźnie nie uważał, by opętanie przez demona stanowiło dość dobry powód nieprzybycia na pogrzeb ojca.

- Rafi chciał panu przekazać, że mu przykro - nalegałem. - I że przeprasza. Nie tylko za to. Przypuszczam, że za to, że straciliście ze sobą kontakt i za całą złą krew między wami. Dlatego właśnie przyjechałem. Żeby przekazać wiadomość. Miałem wrażenie, że to dla niego bardzo ważne.

W pełnej napięcia odpowiedzi Jovana imię Rafiego pojawiło się dwa razy.

- Jedyną rzeczą ważną dla Rafaela - przetłumaczył Anastasiadis - był Rafael.

Jovan znów mówił, z większym ożywieniem i prawnik zaczął tłumaczyć symultanicznie.

- Zawsze był egoistą. Nie obchodziła go rodzina ani nikt inny, poza nim samym. Zawsze chciał się stąd wydostać, a kiedy to zrobił, nie obejrzał się za siebie. Raz czy dwa napisał do mnie, ale tylko po to, by poprosić o odesłanie mu jego rzeczy, zwłaszcza zdjęć i dzienników. Nie odpowiedziałem. Jeśli tak bardzo mu na nich zależy, może sam po nie przyjechać - przepraszam, może sam po nie, kurwa, przyjechać - i je zabrać. A teraz proszę, skończmy z tym. Zostało mi zbyt niewiele czasu, by się złościć myślą o Rafaelu.

Po jego przemowie nastąpiła cisza. Jovan sprawiał wrażenie wyczerpanego. Głowa opadła mu jeszcze niżej nad odrażającym, cuchnącym kubłem.

- Czy mógłbym coś ci przynieść, dopóki tu jestem? - spytałem niepewnie, uznawszy, że może to podtrzymałoby dialog.

Jovan machnął prawą ręką.

- Nic - wymamrotał po angielsku. - Nic mi nie dawaj. I nie dawaj mu nic ode mnie. Ani słowa.

Znów przeszedł na macedoński i Anastasiadis położył mi dłoń na ramieniu.

- Chce, żebyśmy poszli - rzekł przeproszającym tonem. - Mówi, że nie odpowie już na żadne pytania.

- Dzienniki - nalegałem. - Dzienniki Rafiego. Czy jeszcze gdzieś są?

Wstydzilem się, że wciąż pytam, ale znów pomyślałem o znalezieniu czegoś, co mógłbym pokazać Jennie-Jane. Co więcej, istniała pewna szansa - zwiewna nic możliwości - że w dziennikach znajdzie się coś, co zdołalibyśmy wykorzystać. Najwyraźniej byłbym dobrym sprzedawcą. Sam sobie wmówiłem, że przybycie tutaj miało jakiś sens.

- Sepidje - warknął Jovan.

- Zostały spalone - przetłumaczył Anastasiadis. - Proszę, panie Castor, musimy uszanować życzenia mojego klienta.

Wyciągnąłem dłoń, lecz Jovan jej nie uścisnął. Żadnej wymiany zakładników, wykorzystania ostatnich kilku godzin teraźniejszości do odkupienia choćby kawałka przeszłości. Jovan Ditko był już ponad tym wszystkim. Szykował się do upadku znacznie dalszego niż starannie odmierzony z szubienicy.

Zostawiłem go samego z jego myślami.

* * *

Już w mieście znalazłem kawiarenkę - z rosnącym trudem mijając trzy kolejne bary - i opróżniłem trzy maleńkie filiżanki śmiertcionośnie mocnego espresso. Były zdecydowanie za słodkie, lecz tak napakowane kofeiną, że nerwy zaczęły mi wibrować niczym milion maleńkich kamertonów. Potem podreptałem z powrotem do hotelu po swoje rzeczy.

Kiedy się pakowałem - co polegało na wrzuceniu do przywiezionego plecaka kosmetyczki i telefonu - ktoś zastukał do otwartych drzwi pokoju hotelowego. Obróciłem się i ujrzałem stojącego na progu Anastasiadisa. Adwokat miał lekko skrepowaną, przepraszającą minę.

Rozstaliśmy się w więzieniu, po tym jak podziękowałem mu za pomoc i zaproponowałem opłatę za tłumaczenie (z bezdennych kufrów KOM), której przyjęcia odmówił. Z początku sądziłem, że zmienił zdanie, i sięgnąłem do kieszeni. W tym samym momencie on zrobił to samo i wyciągnął klucz yale.

- Jest pewien dom - oznajmił bez wstępów. - Najpierw należał do rodziców, potem do Jovana. Teraz zapewne do Rafaela. Jednak z tego, co rozumiem, trudno będzie go znaleźć. Być może, panie Castor, zechce pan wziąć ten klucz i oddać Rafaelowi, kiedy znów skrzyżują się wasze ścieżki.

Zawahałem się. Mało prawdopodobne, by po tylu latach pozostało w domu coś należącego do Rafiego, ani że, nawet gdybym to znalazł, do czegokolwiek by mi się przydało. Dzienniki byłyby warte sprawdzenia, lecz Jovan dokładnie wykluczył tę ewentualność.

Anastasiadis nadal podawał mi klucz i w drugiej dłoni niewielką prostokątną wizytówkę.

- Adres - rzekł, jakby uznał, że już się zgodziłem. - Być może przed wyjazdem warto, by odwiedził pan to miejsce. Jeśli są tam jakieś cenne drobiazgi lub pamiątki, należy je zabrać. Dom stoi w nie najlepszej okolicy, a puste budynki w Skopje rzadko umykają uwagi

nieproszonych gości.

Przetrzymał mnie tak, wyciągając ku mnie ręce. A może uznałem, że to jeszcze jedna rzecz, jaką jestem winien Rafiemu, jeszcze jedna drobna zapłata za kurewski błąd, który odebrał mu życie. Miałem akurat dość czasu, pod warunkiem, że wyjadę natychmiast i że dom nie stoi zbyt daleko od lotniska.

Zerknąłem na wizytówkę. Należała do pana Anastasiadisa, na odwrocie drobnym zgrabnym pismem zanotował adres domu rodziny Ditko. Wciąż się jej przyglądałem, gdy prawnik wsunął mi pod nos kartkę papieru z kilkoma gęsto zapisanymi na maszynie akapitami. Zapewne po macedońsku, ale dla mnie równie dobrze mogło być po chińsku.

- Podpisze pan? - spytał z nadzieją Anastasiadis.

- Co mam podpisać?

- Klucz. Pokwitowanie. Rozumie pan, tym samym dopełnię swoich obowiązków. Długo czekałem, żeby to zrobić. To będzie wielka uprzejmość z pana strony.

Mimo że tato wbił mi sporo w głowę o podpisywaniu papierów bez przeczytania czy też podpisywaniu czegokolwiek podsuniętego przez gościa w garniturze, nabazgrałem swoje nazwisko na pokwitowaniu. Prawnik uśmiechnął się z, jak się zdawało, szczerą ulgą, złożył kartkę i wsunął do kieszeni koszuli.

- Zabiorę pana do domu - zaproponował. - I potem na lotnisko.

- Umowa stoi - odparłem.

Podczas jazdy wąskimi ulicami błyszczącym srebrnym lexusem, Anastasiadis opowiadał mi o najnowszej historii Macedonii. Najnowszej - według niego zaczynającej się od czasów, gdy Imperium Bizantyjskie dało sobie siana. Główny temat opowieści stanowiło to, jak obce narody wciąż wciągały Macedonię w swoje wojny, mimo narodowego upodobania do tańców, mocnych trunków i zdrowego pragmatyzmu. Najpierw to Grecy nie chcieli dać im spokoju, potem Imperium Otomańskie. Niedawno zdołali zachować spokój podczas regionalnych zawirowań na początku lat dziewięćdziesiątych, tylko po to, by mocno oberwać w konflikcie o Kosowo. Nawet wtedy, twierdził Anastasiadis, dokładali wszelkich starań, by się nie mieszać. Stali się ofiarami czystek etnicznych u sąsiadów, gdy ćwierć miliona albańskich uchodźców uciekło przez granicę z Kosowa, pobudzając nacjonalistyczne ambicje macedońskiej mniejszości albańskiej. Prawnik zapewnił mnie, że to, co potem nastąpiło, nie było zwykłą, wulgarną wojną domową. Doszło do potyczek, drobnych starć, manewrów po obu stronach, a potem, zamiast rzucić się sobie do gardeł niczym stada wilków, rząd i Albańczycy podpisali ugodę, że w przyszłości nie będą tak się szarpać. Anastasiadis sprawiał wrażenie bardzo dumnego, traktując tę ugodę jako oznakę wysokiego poziomu

cywilizacyjnego jego ludu. Kompromis macedoński: jak uniknąć wojny, rozgłaszając, że się odbyła.

Gadając bez ustanku, prowadził samochód coraz węższymi ulicami, aż w końcu dotarliśmy do miejsca, w którym kamienne mury po obu stronach o mało nie utraciły leksusowi bocznych lusterek. Teraz, gdy przemowa pana Anastasiadisa osiągnęła niezbyt pompatyczny, lecz i tak przesycony dumą punkt kulminacyjny, skręciliśmy - z mniej więcej takim polem do manewru jak słoń w łóżku do opalania - na zarośnięte podwórze, okolone wysokimi murami pomalowanymi na cytrynowo-żółto. Trzy z tych murów stały samotnie, czwarty tworzył frontową ścianę domu Ditko.

Zbudowano go w tej samej skali co podwórze, czyli jeden stopień powyżej lilipuciej, i mimo farby, jakże śmiałej i optymistycznej, w ostatnich latach wyraźnie popadł niemal w ruinę. Smołowany dach zapadał się niczym grzbiet cherlawej, chorej na krzywicę chabety, a w wapiennym tynku ziały wielkie dziury, przez które wyglądała naga ceglana skóra. Pomędzy szarymi płytami chodnika wyrastały chaszczce, dorównujące wysokością dorosłym ludziom, a w jednym z okien dostrzegłem idealnie okrągłą dziurę, otoczoną gwiazdzistą siecią pęknięć, pamiątkę po wyczynie miejscowego dzieciaka uzbrojonego w procę i swobodne podejście do własności innych.

Dom sam w sobie sprawiał dostatecznie ponure wrażenie, kiedy jednak pan Anastasiadis otworzył okno samochodu, pomiędzy oddechami do środka wniknął słodki zapach wiciokrzewu. Rósł on dziko na ścianach zewnętrznych i frontowej domu, podkreślając panujący tu rozkład poprzez zderzenie z jego przeciwieństwem.

- Zaczekam tu na pana - poinformował mnie Anastasiadis. - W tej okolicy lepiej nie zostawiać pustego samochodu.

Trudno było się z tym spierać. Stojący przed zrujnowanym domem leksus wyglądał jak przybysz znikąd - nie tylko z innego świata, lecz zupełnie innej ery ludzkości.

Wysiadłem i podszedłem do drzwi. Pomalowano je na czarno, obecnie farba wyblakła i złaziła płatami w miejscach, których mocniej dotknął powolny palnik entropii. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegłem dziurki od klucza, lecz w istocie brakowało tylko jej osłony. W drewnie wywiercono drobny kolisty otworek, tak blisko framugi, że skrył go jej cień. Musiałem majstrować kluczem w ślepej dziurze, dopóki nie natrafił na właściwą szczelinę. Gdy tylko obróciłem go w zamku, drzwi otwarły się na oścież: spaczone drewno odepchnęło je od framugi z suchym trzaskiem, odgłosem strzały trafiającej w tarczę.

Drzwi wiodły wprost do niewielkiego saloniku. Wypełniała go nieprawdopodobna liczba rzeczy. Ujrzałem sześć krzeseł nie od pary, pięknie rzeźbionych, lecz pochodzących z

dwóch różnych plemion - szczebelkowe ustawiono naprzeciw giętych - a między nimi wiejski stół zawalony stertami starych gazet. Gazety służyły także za zasłony, przyklejone do dwóch wąskich okien. Pośrodku pokoju, za stołem, stał antyczny żelazny magiel. Wzdłuż ścian ustawiono pudła, po dwa, trzy, cztery. W wysokim kredensie zamiast talerzy i filiżanek tkwiły kolejne papiery oraz tramwaj wyrzeźbiony z morskiej pianki i radio z czerwoną plastikową obudową, na oko pochodzące z lat sześćdziesiątych. Z sufitu (czemu marnować wolną przestrzeń tylko dlatego, że jest do góry nogami?) zwiślała, zaczepiona na czterech bloczkach, masywna suszarka do bielizny. Wokół drewnianych przewodnic owinięto starannie kolejne gazety, by uchronić suszące się ubrania przed kurzem i drzazgami. Zamiast ciuchów na suszarce rozwieszono mnóstwo elektrycznych przewodów w długich, równych rzędach, wszystkie kończyły się podwójnymi europejskimi wtyczkami. Wyglądały jak martwe węże, suszące się na słońcu z wywieszonymi rozwidlonymi językami.

W pokoju pachniało kurzem i lawendą. Wąski promień słońca przecinał go na połowę, wnikając do środka w miejscu, gdzie krzywo przylepiono jedną z gazet. W jego blasku ujrzałem grube strzępy kurzu, unoszone powoli leniwymi prądami powietrza, najwyraźniej równie przeciążonego jak cała reszta.

Wybrałem losowo jedną ze stert papierów z kredensu: stare listy, stare rachunki, stare artykuły, starannie wycięte nożyczkami do paznokci z nieistniejących periodyków. Ditkowie kupowali mnóstwo gazet i wszechstronnie je wykorzystywali, wyraźnie jednak czytali także wiadomości i odkładali te, które uznali za godne zapamiętania.

Pudełka wypełniały głównie sztuce i fajanse, choć jedno zawierało książki. Na wierzchu każdego kartonu dostrzegłem nabazgrane słowa, zapewne opisujące zawartość. Wyglądało to tak, jakby rodzina przeprowadziła się z większego domu i nigdy nie skończyła rozpakowywać, być może dlatego, że zabrakło miejsca. A może część pudełek kryła w sobie przedmioty, o których przesłanie do Anglii Rafi prosił brata. Tak czy inaczej, nie dostrzegłem niczego odpowiadającego słowom pana Anastasiadisa: cennych drobiazgów lub pamiątek.

Pojedyncze drzwi wiodły do pokoju na tyłach, z którego wychodziły wąskie schody. Tu było znacznie ciemniej. Zacząłem macać w poszukiwaniu włącznika, w końcu znalazłem go tuż obok drzwi i nacisnąłem.

Nad moją głową ożyła naga stuwatowa żarówka. Ze wszystkich stron patrzyło na mnie stu Rafich.

- Sukinsyn - wymamrotałem odruchowo.

„Jego zdjęcia i dzienniki”, powiedział Jovan - i pogardliwie wspomniął o obsesji Rafiego na punkcie własnej osoby. Sądząc po dowodach, nie przesadzał. Część zdjęć

stanowiły zwykłe odbitki, 5x3 bądź 6x4, zrobione zwyczajnym, 35-milimetrowym aparatem. Wiele jednak powiększono - największe miały rozmiar plakatów, z wyraźnym ziarnem, powstającym, gdy próbuje się wydusić zbyt wiele szczegółów z małoobrazkowego oryginału.

Wszystkie bez wyjątku przedstawiały portrety, nie grupowe fotografie rodzinne ani nawet podobizny całego ciała. Niekończąca się galeria zbliżeń głów i ramion, zamazane tła zlewające się ze sobą. Jediną odmianę stanowiło różnorakie oświetlenie i wyraz twarzy Rafiego.

Dziwne uczucie, patrzeć w tak wiele oczu mego przyjaciela w owym smutnym, opuszczonym domu. Postąpiłem parę kroków dalej i coś trzasnęło mi pod stopą. Zaskoczony, spojrzałem w dół: kolejne zdjęcia w ramach za szkłem.

Nie, kiedy ukląknę i przyjrzałem się bliżej, zrozumiałem, że się myliłem. To były zdjęcia drukowane na szkłe, nie na papierze, w czerni i bieli i podklejone kolorową tekturą tak, że jaśniejsze miejsca stawały się wyspami intensywnej czerwieni, zieleni bądź złota.

To, które zbiłem, miało tło srebrne. Nagle w mej głowie pojawiło się gwałtowne wspomnienie wykładanej srebrem celi Rafiego w ośrodku opieki Stangera. A potem, choć srebro to nie złoto, melodii starej wodewilowej piosenki: „Jestem tylko ptakiem w pozłacanej klatce”. Rafi przebył długą drogę z tego ciasnego pokoju do jeszcze mniejszej klatki w Londynie, lecz oba pomieszczenia wydawały się przestronne w zestawieniu ze sklepioną jamą jego własnej czaszki, w której tak naprawdę tkwił uwięziony.

Z wysiłkiem otrząsnąłem się z bezsensownych rozmyślań. Nadal musiałem złapać samolot i przekonać pana Anastasiadisa, że nie ma tu nic, co chciałbym ze sobą zabrać.

Na chwilę zajrzałem na górę. Znalazłem tam dwie maleńkie sypialnie, jedną z podwójnym łóżkiem, drugą z dwiema pojedynczymi. Brakowało w nich miejsca na jakiegokolwiek inne meble. Na podwójnym łóżku wciąż leżała kołdra i poduszki - wyglądało tak, jakby niedawno ktoś z niego wstał - lecz poplamionego, nagiego materaca nie osłaniało prześcieradło.

Poszedłem do drugiego pokoju i rozejrzałem się pobieżnie. Przez zakurzone okno - nic go nie zasłaniało, nawet gazeta - widziałem podwórko w dole i wielki, imponujący samochód adwokata.

Sześcioro miejscowych dzieci przyglądało mu się z podwórza, z nadąsanymi, pełnymi dezaprobaty minami, jakby ów wulgarny pokaz bogactwa osobiście je obrażał.

Odwróciwszy się od okna, zauważyłem drobny przebłysk jaskrawej czerwieni na tle wyblakłej szarości podłogowych desek. Coś tkwiło pod lewym łóżkiem. Przykucnąłem, żeby się przyjrzeć.

Owo coś okazało się stosikiem czterech czy pięciu niewielkich grubych notesów. Podniosłem górny, zacząłem przerzucać kartki. Ujrzałem na nich gęste linie drobno zapisane cyrylicą.

Dzienniki Rafiego? Jovan twierdził, że je spalił, ale może tylko zamierzał. Na pierwszej stronie, tam gdzie zazwyczaj autor zapisuje swoje nazwisko, widniał krótki rząderek liter. Rafael Ditko? Może. Podniosłem stosik notesów, wsunąłem do obszernych kieszeni zewnętrznych mojego szynela i skierowałem się w stronę schodów. Jeśli to dzienniki Rafiego, to może warto je zabrać. Im lepiej go poznam, im głębsze i mocniejsze stanie się moje wycucie jego jaźni, tym większe prawdopodobieństwo, że zdołam rozłączyć go z demonicznym współlokatorem - zakładając, rzecz jasna, że dostanę tłumaczenie, nim Asmodeusz osaczy mnie w ciemnym zaułku i udusi własnymi jelitami. Szanse nie były zbyt wielkie, ale to już coś. Przynajmniej mogłem powiedzieć sobie - i Jennie-Jane - że nie wróciłem z pustymi rękami.

Wycofałem się na dół przez pokój pełen zdjęć. Jedno z nich, którego wcześniej nie zauważyłem, przyciągnęło moją uwagę. Należało do tych wydrukowanych wprost na szkle. Na tym zdjęciu Rafi miał jakieś dwanaście lat. Stał na szerokich kamiennych stopniach wielkiego, starego budynku. Cokolwiek miał na sobie, musiało być bardzo jasne, bo przebijało się przez niego bladozłote tło. Może fotografia wyróżniała się od reszty, gdyż przedstawiony na niej Rafi był taki młody? Większość pozostałych przedstawiała go jako wyrosniętego nastolatka albo mężczyznę po dwudziestce, w którym to okresie jego samouwielbienie najwyraźniej osiągnęło szczyty - a może sprawiał to jasny, promienny uśmiech, radość i satysfakcja ze świata i zajmowanego w nim miejsca.

Cokolwiek to sprawiło, zabrałem cholerstwo ze sobą.

Pan Anastasiadis bardzo ucieszył się na mój widok. Liczba półdzikich dzieciaków wzrosła dwukrotnie, przyglądały się lexsowskiemu z łowieszczyim głodem w oczach.

- Lotnisko - rzucił prawnik bez wstępów. Potem dodał znacznie więcej po macedońsku, patrząc na mnie, lecz wyraźnie odgrywając jakąś scenę na użytek większej publiczności.

- Co to było? - spytałem, gdy obaj wsiedliśmy do wozu i wycofywaliśmy się z podwórza.

Dzieciaki rozstąpiły się niechętnie, by nas przepuścić. Parę z nich kopnęło *en passant* karoserię. Anastasiadis krzywił się, słysząc każdy głuchy łoskot, jakby te ciosy odczuwał na własnej skórze.

- Nazwałem pana nadinspektorem - rzekł z wyraźnym niezadowoleniem. - I spytałem,

jak panu idzie śledztwo. Uznałem, że to może zniechęcić tych małych bandziorów do uszkodzenia mojego wozu. Niestety, panie Castor, ludzka nauka nie wymyśliła jeszcze niczego, co mogłoby ich odstraszyć.

Jego spojrzenie padło na zdjęcie, które trzymałem na kolanach.

- Niczego więcej pan nie zabrał? - zdziwił się. - Cóż, przypuszczam, że uwieczniono na nim bardzo miłą chwilę.

- Jaką chwilę?

- Pierwszą komunię. To Jovan czy Rafael?

- Rafael - rzekłem. - Skąd pan wie, kiedy je zrobiono?

Prawnik wzruszył ramionami.

- Biała alba - rzekł - i stopnie Hagia Katerina. W każdym domu w Skopje znajdzie pan podobne zdjęcie.

Myśl o Rafim przyjmującym komunię była zabawna i bolesna zarazem. Teraz wino i opłatek utkwilyby mu w gardle, a uwięziony demon ryknąłby niczym byk pod nożem kastrującego go weterynarza. Może to jakieś wyjście? - zastanowiłem się. Oszukać Asmodeusza tak, by przełknął hostię albo napił się wina mszalnego? Odpowiedź, rzecz jasna, brzmiała: nie. Owszem, mógłbym go zranić, lecz podobne sztuczki nie wyciągnęłyby, wyrzuciły czy przepędziły go z ciała ludzkiego nosiciela i doszedłby do siebie przerażająco szybko. Jeśli istniał jakiś magiczny pocisk, to nie ten.

Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle, któremu wcale nie śpieszyło się do zmiany. Obawiałem się trochę, że nie zdążę na samolot, wykorzystałem jednak chwilę spokoju, by wyciągnąć z kieszeni jeden z notesów i pokazać Anastasiadisowi.

- Je także zabrałem - oznajmiłem. - Możliwe, że to dzienniki Rafiego.

Wziął ode mnie notatnik i z ciekawością przerzucił kilka kartek.

- Jego nazwisko zapisano na pierwszej stronie - przyznał. - Rafael Cyril Ditko. Tak. To jakiś dziennik. A przynajmniej każdy wpis opatrzone datą.

- Wie pan może, w jaki sposób mógłbym załatwić ich tłumaczenie?

Anastasiadis oddał mi notes, z powrotem skupiając uwagę na drodze, bo znów ruszyliśmy.

- Oczywiście - rzekł. - Sam cały czas korzystam z usług tłumaczy, przy umowach i kontraktach. Jeśli zechce pan zostawić te notesy u mnie, mogę to zaaranżować.

- Potrzebuję ich szybko.

- W takim razie nie będzie tanio. Ale nadal mogę to załatwić.

Przez moment przetrawiałem jego słowa. Dla Jenny-Jane wydatki nie stanowiły

problemu, gdybym jednak przyjął jej pieniądze za tłumaczenie, musiałbym podzielić się z nią zawartością. I to przy najbardziej optymistycznych założeniach. Najpewniej J-J przyznałaby sobie pierwszeństwo, a mnie poinformowałaby tylko w razie konieczności.

- Ile to może kosztować? - spytałem.

Anastasiadis machnął zamazyście jedną ręką w geście sugerującym, że z wielkim bólem domaga się gotówki za coś, co tak naprawdę stanowi przysługę dla przyjaciela, i jak wielki niesmak budzą w nim generalnie transakcje pieniężne.

- Pięćset funtów szterlingów - zaproponował. - Sto za każdy notes.

W tym momencie niełatwo byłoby mi zebrać taką sumę. Zastanowiłem się. Dzienniki nadal stanowiły ryzykowny strzał. Najpewniej wypełniały je te same bzdury co pamiętniki wszystkich nastolatków - erotyczne sny, wyniki piłkarskie i pseudofilozoficzne rozwiązania. Mimo wszystko postanowiłem zachować go w rodzinie.

- Proszę najpierw zrobić jeden - poprosiłem. - Przeleję panu sto funtów, gdy tylko wrócę do Anglii.

- Dziękuję. Wszystkie niezbędne szczegóły są na mojej wizytówce.

Dotarliśmy na lotnisko dwadzieścia minut przed zakończeniem odprawy. Zatrzymując się pod zakazem zatrzymywania i radośnie ignorując pełniących straż na chodniku żołnierzy, Anastasiadis wysiadł z wozu, by się pożegnać. Uścisnąłem mu dłoń i podziękowałem za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zapewnił mnie uroczyście. - W ostatecznym rozrachunku niewiele zrobiłem dla Jovana. Jeśli zdołam pomóc jego bratu bez ponoszenia kosztów, bo w końcu nie jestem instytucją charytatywną, bardzo się ucieszę. Przyśle pan pieniądze, panie Castor, tak?

- Proszę je uznać za wysłane - zapewniłem.

- W takim razie, oczekując na nie, zajmę się tłumaczeniem.

Ponieważ zostało mi parę minut swobody, nim będę musiał puścić się biegiem na odprawę, postanowiłem sprawdzić, co słychać w bunkrze Führera. Najpierw spróbowałem z komórki, ale nie znalazła sieci, toteż skorzystałem z automatu. To oznaczało wymianę banknotów na monety - niewiarygodnie małe i cienkie monety, jakby w kraju brakowało metalu i starali się wykorzystać go jak najlepiej. Po wrzuceniu paru tuzinów losowo wybranych małych srebrnych wafelków do telefonu, usłyszałem sygnał i dotarłem do centrali KOM. Nie połączyli mnie jednak z Trudie Pax, chociaż poprosiłem. Zamiast tego - chyba powinienem to przewidzieć - usłyszałem głos Jenny-Jane.

- Feliksie - rzekła pogodnie - wiele o tobie myślałam. Czy podróż okazała się owocna?

- Obawiam się, że nie - odparłem bez ogródek. - Jovan i Rafi nie rozmawiali od lat. Nie potrafił mi powiedzieć nic, czego sami nie wiemy. A może po prostu nie miał ochoty na rozmowę, bo jutro zostanie stracony. Miałem okazję odwiedzić dom rodzinny i przejrzeć stare rzeczy Rafiego, ale tam też nic nie znalazłem.

- Rzeczy należące do Ditko? Może znalazłby się tam silniejszy punkt skupienia niż paznokiec, z którego korzysta Pax?

Pomyślałem o zdjęciu.

- Potencjalnie - przyznałem. - W każdym razie mam coś, czego może spróbować użyć.

- Zatem nie całkiem zmarnowałeś czas. - Mimo wszystko, J-J sprawiała wrażenie poirytowanej, jakby uświadomiła sobie, że choć raz w życiu została naciągnięta, i to nowe uczucie zupełnie jej się nie spodobało. Gwałtownie zmieniła temat. - Kiedy wylądujesz w Londynie?

Zerknąłem na tablicę odlotów. Łatwo było zlokalizować mój lot, bo tego popołudnia Skopje opuszczały zaledwie cztery.

- Około północy - oceniłem.

- Wyśpij się dobrze. Gilbert zebrał już zespół do egzorcyzmów w Super-Self. Twierdzi, że ma dość ludzi bez twego udziału, mimo to, chciałabym, żebyś był na miejscu. Jeśli coś pójdzie niezgodnie z planem, dodatkowy egzorcysta może wiele zmienić. Zwłaszcza egzorcysta o twoim doświadczeniu. Z tego powodu opóźniłam operację do jutrzejszej nocy.

- Będę tam - obiecałem.

- Znakomicie. Wcześniej jednak powinniśmy się spotkać. Nie zdołałam dotąd zlokalizować twojego pana Moulsona, mimo że ustaliłam jego wcześniejsze trzy adresy. Ale przeglądaliśmy mapy Pax i mamy kilka pomysłów.

- W związku z czym, Jenno-Jane?

- W związku z kwestią miejsca pobytu Asmodeusza.

Włoski na moim karku zjeżyły się niczym posłuszne pieski na rozkaz pana.

- Znalazłaś go? - spytałem, starając się przemawiać neutralnym tonem.

- Jeszcze nie. Ale może zdołam pokierować twoimi poszukiwaniami. Jutro, Feliksie. O ósmej. Śpij dobrze.

Rozłączyła się, pozostawiając mnie z pytaniem na ustach. Zerknąłem na zegarek. Robiło się cienko z czasem, ale lotnisko było małe i zapewne zdążę szybko dobiec od odprawy do wyjścia. Rozłączyłem się, nakarmiłem maszynę kolejnymi monetami i znów wybrałem numer.

Dzwonek zadzwieczał kilka razy i już miałem zrezygnować, gdy ktoś w końcu

podniósł słuchawkę.

- Halo? - rzuciła Juliet.

- Złych diabli nie biorą, skarbie - odparłem.

ROZDZIAŁ 12

Jenna-Jane miała rację co do zalet wczesnego chodzenia do łóżka. Stojąc przed Super-Self o wpół do drugiej w nocy i śpiąc na stojąco, po raz setny zadawałem sobie pytanie, co tu, do diabła, robię, gdy moje łóżko czeka pięć mil na północ i dwie na wschód stąd.

Wówczas jednak odpowiedź nadeszła ulicą, niczym gwiazda przewodnia, skupiając na sobie oczy wszystkich - naliczyłem ich sześcioro, łącznie z moimi, pozostałe dwie pary należały do bezdomnego i sennego gołębia na gzymsie. Mimo to, moja odpowiedź szła wyniośle niczym królowa na czele procesji, a noc rozwijała przed nią monochromatyczny dywan.

Oderwałem się od drzwi i pomachałem, ale Juliet już mnie zauważyła. Oczywiście, że tak: jej oczy przywykły do znacznie ciemniejszych miejsc. Jarzyły się tym samym słabym blaskiem jak wtedy w Gaumoncie. Co bardziej niepokojące, proporcje jej ciała wydały mi się subtelnie zmienione: była wyższa, szczuplejsza, jej kończyny się wydłużyły, nie zmieniło to wcale faktu, że wciąż pozostawała piękna i idealna. Zamiast w zwyczajową czerń ubrała się w czerwień i jej widok mną wstrząsnął: skórzana kurtka połyskiwała wilgotnym blaskiem niczym otwarta świeża rana, plisowana spódnica rozkładała się jak srom.

- Dzięki, że przyszłaś - rzuciłem, kiedy znalazła się w zasięgu głosu.

- Podsyciłeś moją ciekawość - odparła. - Pokaż mi to coś. Ale lepiej, żebyś mnie nie zawiódł, Castor. Nie lubię mężczyzn, którzy składają obietnice bez pokrycia.

Kształt jej twarzy także uległ zmianie. Wydłużyła się i zwężyła, kości policzkowe sterczały wyżej i wyraźniej. W sumie dawało to mniej ludzki efekt, czy raczej sprawiało, że jej człowieczeństwo wydawało się bardziej świadomym wyborem. Jej ciało zamieniło się w ironiczny cudzysłów.

- Zawsze dotrzymuję słowa - odparłem, starając się nasycić swój głos pewnością siebie, której nie czułem. - Powiedziałem, że pokażę ci coś nowego, i zamierzam. Ale, tak czy inaczej, wciąż ci przecież płacę. Nadal wypatrujesz demona. Miałem nadzieję, że poinformujesz mnie, co się działo.

Juliet odrobinę przekrzywiła głowę, spojrzenie jej czerwonych oczu przygwoździło mnie niczym celownik laserowy.

- Chcesz się upewnić, że dostajesz to, za co zapłaciłeś? - przetłumaczyła. W jej głosie

dźwięczała niebezpieczna nuta.

- Chcę mieć pewność, że pod moją nieobecność Pen nic się nie stało - poprawiłem. - Ani tobie. To wszystko.

- Nie widziałam Asmodeusza ani go nie czułam. Jeśli obserwuje twój dom bądź kobietę, robi to z daleka. Dyskretnie. Cierpliwie. Czy to według ciebie do niego podobne?

Musiałem przyznać, że nie. Z drugiej strony, Asmodeusz był podstępny draniem, którego wstydzą się inni podstępni dranie.

- Wiesz, co mówią o płomykówkach? - spytałem.

Juliet przyglądała mi się jak czemuś, co znalazła pod własną pachą.

- Nie, Castor. Nie wiem, co mówią o płomykówkach.

- Płomykówka huka dwa razy, kiedy poluje - za pierwszym razem głośno, za drugim ciszej. W ten sposób oszukuje ofiarę. Przyjmujesz, że sowa odlatuje, gdy tymczasem ona szykuje się właśnie, żeby runąć z nieba i wbić ci w oczodół szpony.

- Rozumiem, że ostatnie zdanie powiedziałeś z punktu widzenia myszy bądź królika - zauważyła z chłodnym rozbawieniem Juliet. - Niełatwo mi utożsamiać się z ofiarą, Castor. Interesujące, że tobie, owszem. A teraz, zważywszy na fakt, że mogłeś zadać mi wszystkie te pytania przez telefon i nie zakłócać snu, po co mnie tu ściągnąłeś?

Przed słowem „snu” uczyniła niemal niedostrzegalną pauzę, która obudziła we mnie nadzieję, że stosunki pomiędzy Juliet i Sue nieco się poprawiły. Ponieważ jednak dysponuję doskonałym instynktem samozachowawczym, nie zapytałem.

- Chodź i zobacz.

To zaproszenie zabrzmiało niezamierzenie biblijnie. Czy nie to powiedział anioł do Jana po otwarciu Księgi Objawienia? Myśląc o apokalipsach, otworzyłem drzwi frontowe Super-Self i odsunąłem się, przepuszczając Juliet.

Dziś w nocy klub fitness był jakiś inny. Juliet przekroczyła próg, wodząc wzrokiem z prawa na lewo. Otworzyła usta i wysunęła język, smakując powietrze.

- Nic - rzekła w końcu, jej płonące oczy zwęziły się lekko.

- Nie jesteśmy jeszcze na miejscu - odparłem.

Minąłem ją i ruszyłem w stronę schodów, spodziewając się, że po paru chwilach usłyszę stukot obcasów, gdy się ze mną zrówna. Nic. Mimo krwistoczerwonych szpilek stapała cicho jak kot. Wiedziałem, że tam jest, bo mój pobudzony zmysł śmierci odbierał ją niczym radar, a włosy na karku jeżyły się od niemal fizycznego nacisku jej spojrzenia. W przeciwnym razie czułbym się jak Orfeusz. Orfeusz podczas pierwszej części wyprawy, ubogi grajek zmierzający do Hadesu.

W recepcji panowała cisza i nieprzenikniona ciemność. Sięgnąłem w stronę wyłącznika, lecz Juliet chwyciła mnie za rękę.

- Światło rani mi oczy - wymamrotała z roztargnieniem.

- Ja nie widzę po ciemku - przypomniałem.

- Przywykniesz.

Miała rację. Z góry przenikała odrobina światła - latarni widocznych przez otwarte drzwi Super-Self. Niewiele, ale dość, bym dostrzegł kształty przedmiotów. Paradoksalnie, mimo jaskrawych szkarłatów stroju, Juliet stała się teraz jeszcze ciemniejsza niż sama ciemność, sylwetka na tle nieprzeniknionej czerni. Nawet jej oczy przestały lśnić, jakby ich światło przesunęło się w tę część spektrum, której nie dostrzegałem.

- Pokaż mi to coś - powtórzyła.

Figlarny ton jej głosu przeraził mnie bardziej niż cokolwiek wcześniej.

Poruszając się powoli, by uniknąć potknięcia o niskie elementy umeblowania, przeszedłem przez mroczny hol do odległych drzwi, prowadzących nie na basen, lecz do szatni.

Przyłożyłem do nich dłoń, szykując się na to, co czeka po drugiej stronie. Zdumiało mnie, że jeszcze tego nie czuję, ale może tak właśnie działało: siedziało tam niczym pająk w sieci, spokojne, niemal uśpione, dopóki coś nie dotknie jednej z nici i go nie przebudzi.

Juliet odepchnęła mnie niecierpliwie i pierwsza weszła do szatni. Tu było już więcej światła: fosforescencja z basenu rzucała na ściany błękitne rozmigotane plamy. Juliet odchyliła głowę w tył, jakby nasłuchując, w szatni jednak panowała cisza, zakłócana jedynie nierytmicznym chlupotem wody o kafle.

- Jeśli podejmiemy bliżej... - zacząłem.

Juliet uciszyła mnie szorstkim gestem.

- Tak - mruknęła w końcu zmysłowo zniżonym głosem. Jej wargi rozsunęły się w drapieżnym uśmiechu. - Tego właśnie chce. No, dalej, Castor, podejź bliżej.

Zawahałem się. Trudno było odczytać nastrój Juliet, ale zaniepokoiły mnie wyszczerzone zęby. Nagle poczułem, że boję się jej bardziej niż tego, co czeka w basenie.

- Bliżej - powtórzyła. - Nie pokaże się, dopóki nie podejdziesz. Zamaskowało swe kształty duszami zmarłych. Nie zobaczę go wyraźnie, póki się nie poruszy, a nie poruszy się, jeśli nie dostanie przynęty. Będę tuż za tobą.

No tak. Bardzo pocieszające.

Przeszedłem pod łukiem na skraj wody. Ruchome światła w dole ponownie przybrały ludzkie kształty, stały się mężczyznami i kobietami w głębi wody, krążącymi i

gestykulującymi w niekończącym się niemym przedstawieniu. W tym momencie poczułem łączącą mnie z nimi niemal bolesną więź. Kiedyś żyli i oddychali, byli w pełni ludźmi, w odróżnieniu od stworu przyczajonego w ciemności nade mną i syreny za moimi plecami.

Pochyliłem się, żeby im się przyjrzeć. W basenie było mniej postaci, niż pamiętałem z poprzedniej nocy - siedem bądź osiem, podczas gdy moja oszołomiona wyobraźnia przywołała kilka tuzinów. Dwaj mężczyźni w togach spierali się - jeden spokojnie, drugi z mnóstwem pełnych emfazy gestów, krążąc tam i z powrotem. Kolejny, starszy, obserwował ich z majestatyczną obojętnością, podczas gdy dwie kobiety stały z boku, smutne i wystraszone. Dwaj rzymscy żołnierze w napierśnikach i hełmach patrzyli przed siebie, cierpliwi, obojętni.

Jedna z kobiet uniosła dłoń do twarzy. Coś, co ścisnęła w palcach, zwróciło moją uwagę i pochyliłem się, by przyjrzeć się uważniej. I wtedy strach runął na mnie niczym olbrzymia stopa w skeczu Monty Pythona. Poprzednim razem proces był bardziej stopniowy: niewytłumaczalny niepokój w korytarzu na górze, narastająca paranoja na schodach i czysta, mordercza groza przy basenie. Teraz wyglądało to inaczej. Zupełnie jakby ktoś wyrwał mi mózg z czaszki i wciąż krwawiący i pulsujący zanurzył w płynnym azocie.

Myślenie było niewykonalne. Podobnie ruch. I, kurwa, oddech. Moja pierś się zablokowała, zupełnie jakby żebra wyrwały się z niej i splotły, tworząc jedną z kocich kołysek Trudie.

Zesztywniały, już wcześniej zanadto pochylony, runąłem naprzód do wody. Nie usłyszałem nawet plusku, lecz oczy miałem otwarte i wciąż widziałem, opadając w dół ku duchom. Zignorowały moją obecność, odgrywając swoją pantomimę wokół i poprzez mnie, w błękitnobiałym kręgu światła własnej fosforescencji.

Przez moment patrzyłem w twarz kobiety, którą obserwowałem z góry. Była to tragiczna twarz - oczy udręczone i błagalne, usta napięte w grymasie krańcowej wytrzymałości. Opadałem jednak dalej, coraz niżej i niżej. Teraz zrównałem się z jej ramionami, pierśią, rękami. Dłoń zaciskała się wokół drobiazgu wydobytego z obszernych fałd sukni. To była koronkowa chusteczka z wyhaftowanymi eleganckimi, choć nieco przesadnie zdobnymi, monogramami EC.

Woda zaczęła wpływać mi do ust i gardła. Ponieważ nie oddychałem, nie odnalazła jeszcze tchawicy, ale wiedziałem, że to nie potrwa długo. Tymczasem, gdy trąciłem ramieniem dno basenu, zauważyłem, że buty kobiety także nie pasują: były uszyte ze skóry i zapinane z boku na guziczki. Do diabła, nosiła nawet skarpetki.

Nadal niezdolny poruszyć żadnym mięśniem obróciłem się powoli w wodzie,

przekręcając się na plecy. Strużka wody zamieniła się w wodospad i w duchu przekląłem swego pecha, szykując się na pożegnanie tego świata.

I wtedy coś zatrzasnęło mi się wokół kostki i szarpnęło w górę niczym schwytaną na haczyk rybę. Wyprysnąłem z wody w rozbryzgu kropel i otoczyło mnie chłodne nocne powietrze, wstrząs wywołany nagłym zimnem i ruchem sprawił, że znów zacząłem oddychać. No dobrze, wciągnąłem w płuca wodę: to jednak drobny szczegół i łatwo go było naprawić, toteż szybko odzyskałem wykaslaną, wykrztuszoną i wyrzyganą równowagę.

Juliet bezceremonialnie położyła mnie na wyłożonej kaflami podłodze i zostawiła samemu sobie. Kiedy znów byłem w stanie ją zauważyć, wpatrywała się w szyby świetlika nad basenem, uginając lekko kolana, jakby szykowała się do skoku. Strach jednak minął - zniknął bez śladu w ułamku sekundy, tak jak się pojawił. Już zamierzałem przywołać mój zmysł śmierci, by potwierdzić, że zostaliśmy sami, lecz powstrzymałem się w ostatniej chwili. Tak właśnie działało to cholerstwo. Na to właśnie reagowało.

Wczoraj, kiedy przyszedłem tu z Trudie, przekroczyliśmy próg z nerwami napiętymi jak postronki, wiedząc - bo nam powiedziano - że w tej szopie czai się coś złego. Nastroiliśmy się na fale psychiczne, posługując się zmysłami, które czyniły z nas egzorcyistów, i strachostwór przebudził się natychmiast. Zaczęliśmy go wyczuwać, gdy tylko przeszliśmy przez drzwi.

Dziś w nocy pozwoliłem Juliet pójść przodem, tak żeby sama przekonała się co się tam dzieje. Mój zmysł śmierci nie przebudził się, dopóki nie spojrzałem w głąb basenu i nie skupiłem wzroku na duchach i na tym co robią. Dopiero wtedy strachostwór zaatakował.

I dlatego właśnie robiło się coraz gorzej, im więcej egzorcyistów przysyłała Jenna-Jane, tym mocniej drażnili tego stwora, a on tym ostrzej reagował. Eskalacja.

Uniosłem się na kolano, oszołomiony i obolały. Juliet nie położyła mnie zbyt delikatnie i cała prawa ręka aż po ramię promieniowała bólem, cudownie jednak było znów myśleć jasno.

- Widziałaś to? - spytałem.

Spojrzała na mnie z góry, jakby lekko zdumiona faktem, że wciąż tam jestem.

- Oczywiście, że widziałam.

- No to powiedz mi, co to? - nalegałem.

- Tartharuch - warknęła Juliet, wykrzywiając usta, by wymówić gardłowe głoski. - Z Tartharu. Tartharuch Gader'el.

Wciąż wpatrywała się we mnie, jej oczy żarzyły się w ciemności niczym rozpalone węgle.

- A zatem to demon?

- Tak. To demon.

- No to jak go zabijemy?

- Zabijemy? - Nieskazitelne czoło Juliet się zmarszczyło. - Dlaczego miałabym go zabijać? Pachnie domem.

Coś w ułożeniu jej ust sprawiło, że w mojej głowie rozdzwięczały się dzwonki alarmowe. Wciąż jeszcze wibrowały po drugiej rundzie ze strachostworem Gader'elem, toteż nie trzeba było wiele, by je poruszyć. Zacząłem się podnosić z ziemi.

Nie zobaczyłem nawet, jak się poruszyła. Coś - jej pięść czy może stopa, nie miałem pewności - trafiło mnie w sam środek piersi i powaliło. A potem znalazła się na mnie, jej twarz cal od mojej. Oblizwała wargi i moje serce zaczęło bić szaleńczo, szarpiąc się niczym małpa w klatce. Zapach jej pożądania wypełnił mnie po same granice, tak jak balon podstawiony pod kran, kiedy woda wypełnia go, rozciąga i wreszcie rozrywa.

Spróbowałem przemówić.

- To. To nie...

Jej rozchylone wargi, niewiarygodnie ciemne i pełne, opuszczały się ku moim. Gadanie wydawało się stratą czasu, gdy mogłem po prostu poddać się owym ustom i ukrytej w nich obietnicy straszliwego spełnienia. Lecz raz już znalazłem się na horyzoncie zdarzeń Juliet i przetrwałem. Usiłując uchwycić się tego wspomnienia, jakaś część mnie zdołała oderwać się odrobinę od owej morderczej, wszechogarniającej żądzy i przypomnieć mi, że zaraz umrę.

- Nie najlepszy pomysł - wykrztusiłem. - Sue...

Juliet się zawahała. Po jej twarzy przepłynęła fala bardzo ludzkich emocji - irytacji, niecierpliwości, czegoś w tym stylu - na moment przysłaniając lubieżną maskę, którą przybierała podczas łowów. Nie miałem pojęcia, co pojawiło się w jej głowie: może echo dawnej kłótni, domowego sporu pomiędzy nią i jej ludzką kochanką na samym początku ich znajomości, dyskusji dotyczącej etyki pożerania na boku przypadkowych facetów, kiedy pozostaje się w związku monogamicznym.

Cokolwiek to było, dało mi szansę. Wykorzystałem ją z gwizdem: zacząłem gwizdać. Była to rozpaczliwa improwizacja. Jej obecność sprawiała, że nie mogłem myśleć, nie mogłem wyrwać się z jej orbity, lecz jako egzorcysta mogłem dobrze wykorzystać te uczucia. To było przywołanie, pierwsza faza egzorcyzmów, kiedy zwracamy na siebie uwagę wzywanego ducha i każemy mu słuchać. Wezwałem Juliet z powrotem do jej ciała, tak jak już raz wcześniej, po walce z Molochem w krematorium Mount Grace, i tak jak próbowałem bez

powodzenia uczynić z Lisą Probert.

W moim fachu dużą rolę odgrywa ślepe szczęście. Bo, robiąc to, dokonałem drugiego tej nocy ważnego odkrycia - pierwsze nastąpiło, gdy ujrzałem koronkową chusteczkę w dłoni rzymskiej matrony i pojąłem, że wcale nie mam do czynienia z Rzymianką. Teraz uświadomiłem sobie, że z Juliet jest coś mocno nie tak. Słyszałem dysharmonię między tym, co grałem, a tym co czułem - pomiędzy Juliet, którą znałem, której muzyki duszy nauczyłem się na pamięć, i Juliet przycupniętą nade mną i szykującą się, by mnie pożreć. Nie były tą samą osobą. Częściowo pasowały do siebie, ale nie były jednością.

Gdybym miał dość czasu, by rozważyć wszystkie implikacje, może już w tym momencie zrozumiałbym, co się święci, i wszystkie późniejsze wydarzenia rozegrałyby się inaczej. Niestety, chwila niespecjalnie sprzyjała spokojnym rozważaniom. Powietrze wciąż ociekało feromonami Juliet, moje serce wciąż próbowało rozpocząć nową karierę jako młot pneumatyczny i jedynie najwyższym wysiłkiem, całą siłą woli zmuszałem się, by nadal wyrzucać spomiędzy ściśniętych warg znajomą melodię.

Musieliśmy tak tkwić bez ruchu co najmniej minutę, zupełnie jak scenka ze skeczu Benny'ego Hilla. A potem Juliet odchyliła się, przesuwając ciężar swego ciała i skinęła prawą ręką: stop. Widząc jej dłoń z tak bliska, ponownie zauważyłem, że jest zbyt długa, a palce są niewiarygodnie zwężone. Juliet, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, pozostawała w stanie przejściowym.

Zeszła ze mnie. Nagłe zniknięcie jej ciężaru, świadomość, że jej uwaga skupia się na czymś innym, sprawiały mi ból. Przeżyłem już raz jej atak i podobnie jak za pierwszym razem, cierpiałem nieznośne katusze. Oszalałe hormony obijały mi się o wnętrze jak fale o skały, a całym ciałem wstrząsały gorączkowe dreszcze, pozbawiając mnie sił i tchu. Zęby szczękały, wystukując szalony lament w alfabecie Morse'a. Przypominało to odstawienie alkoholu, tyle że znacznie, znacznie gorsze.

Bez cienia wysiłku Juliet dźwignęła mnie z ziemi i oparła o łuk wejścia, z roztargnieniem mierząc wzrokiem, może szukając obrażeń.

- Mówiłem ci... bardzo, bardzo dawno temu - wydyszałem że nie jestem takim facetem.

- Zamknij się, Castor.

Wyglądała jak dawna Juliet, czy ktoś bardzo bliski jej, ale nie poprawiło to jej nastroju. Mimo to, dostrzegłem szansę dalszej rozmowy.

- Powiedz mi, co się stało? - rzuciłem. - Wyjaśnij mi, co się właśnie wydarzyło?

Odsunęła dłoń od mojego ramienia, żeby sprawdzić, czy znów upadnę. Ustałem.

Zadowolona, wróciła na skraj basenu, wpatrując się w szarą głębię świetlika.

- Straciłam panowanie nad sobą - rzekła w końcu.

- Wygląda na to, że ostatnio często ci się to zdarza.

- Tak.

- Masz pojęcie, dlaczego?

Ponownie przyjęła czujną postawę, usztywniając ramiona, lekko odchylając głowę. Musiała wyczuć obecność strachostwora. Biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło, gdy nawiązała z nim kontakt parę minut wcześniej, nie zachwyciła mnie idea siedzenia i czekania aż znów zaczną się miziać.

- Juliet! - zawołałem.

Z wyraźną niechęcią odwróciła się ku mnie.

- Czy ten stwór - ten Tartarus, jak mu tam - wpłynął jakoś na twój umysł?

Zaśmiała się krótko, ochryple.

- Gader'el? Nie, Castor. To tylko zwierzę.

- Zwierzę?

- Zwierzę z piekła. Niebezpieczne dla nieświadomych i trudne do przepędzenia, ale nie myśli. Jego repertuar to dokładnie to, co widzisz: ukrywa się i atakuje, kiedy odwrócisz się plecami. Żywi się strachem tak samo jak ja żądzą, a Shedim duszami morderców.

Pomasowałem stłuczone ramię.

- W takim razie, co to? - spytałem. - Co się, do kurwy nędzy, z tobą dzieje?

Wpatrywała się we mnie w milczeniu. Teraz była znów tylko sylwetką, bo duchy zniknęły z basenu, a błękitna poświata zgasła. Lecz czerwone ognie w oczach Juliet świadczyły o tym, że ją zaciekawiłem i że nawet teraz nie jest dokładnie tą samą Juliet, którą znałem i na punkcie której miałem obsesję.

- Nie wiem - przyznała. Wyraźnie pozbierała się do kupy. - Powinniśmy stąd wyjść. Spłoszyłam Gaderela i przerwałam mu posiłek. Jeśli znów wróci, będzie odważniejszy.

- Po co miałby wracać? - spytałem.

Juliet uśmiechnęła się ponuro.

- Bo ty się mnie boisz, Castor. A niby czemu?

Na chodniku przed budynkiem zbierała się do odejścia, lecz złapałem ją za ramię. Był to gest symboliczny: choć smukła i szczupła, pozostawała równie silna jak zawsze i mogła mi się wyrwać bez mrugnienia okiem.

Odwróciła się częściowo, czekając, aż się odezwę.

- Wróc do domu - powiedziałem. - Przyrzeknij mi, że wrócisz do domu.

Cisza.

- Juliet, nie możesz dziś polować. Nie mogę ci na to pozwolić.

- Nie zdołasz mnie powstrzymać - odparła z morderczą stanowczością.

- Wiem - przyznałem. - Więc daj mi fory i nie zmuszaj, żebym zginął, próbując. Wróć do domu, do Sue. Spędźcie razem spokojną noc. Przypomnij sobie co masz do stracenia.

- Pierdolę cię, Castor.

- Znowu? - Nasyciłem mój głos oburzeniem i zdumieniem. - Aż tak jesteś napalona, kobieto?

Wbrew sobie roześmiała się, lecz ów mizerny żart także stanowił wyzwanie, a słowo „kobieta” pokazywało, że jeszcze się nie poddałem.

- Wrócę do domu - zgodziła się. - Ale jutro...

- Jutro coś wymyślimy.

Przytaknęła bez przekonania. Potem odwróciła się na pięcie i odeszła StranDEM. Rozkołysana grupka pijaków po drugiej stronie ulicy wykrzyknęła kilka obleśnych propozycji, a ja spałem się, gotów do interwencji w razie potrzeby. Juliet jednak jakby ich nie zauważyła. Ze zwieszoną głową i prostymi plecami odmaszerowała w upalną, duszną noc.

* * *

Z powrotem na Turnpike Lane, wciąż przytłoczony ciężarem paranoi, przeprowadziłem dokładny zwiad, nim zbliżyłem się do drzwi Pen. Asmodeusz obiecał, że zostawi mnie na koniec, wiedziałem jednak dokładnie, ile jest warte jego słowo.

Nie dostrzegłem ani nie wyczułem ani śladu obecności demona, czy też jego wcześniejszych odwiedzin. W innym sensie jednak miałem wrażenie, że wciąż mnie otacza. To, co robił, nie było przypadkowe - tyle wiedziałem. Poza codzienną złośliwością kryło się coś znacznie bardziej wyrachowanego i celowego, i znacznie, znacznie groźniejszego.

Cicho otworzyłem drzwi. Z dołu, z piwnicznego sanktuarium Pen dobiegały głosy, co mnie zdziwiło, ale tylko dopóki nie usłyszałem śmiechu z taśmy. Zasnęła przed telewizorem nadającym powtórkę prastarego sitcomu, pochrapując na sofie, podczas gdy Reg Varney i Michael Robbins przerzucali się oskarżeniami o dysfunkcje seksualne, ani razu nie wymawiając słowa „penis”. Usiadłem obok niej, wpatrując się w ekran i rozgrywające się na nim cienie jak dupa węża dowcipasy. W pewnym sensie pomagało mi to w myśleniu, choćby dlatego, że myślenie pozwalało nie skupiać się na durnym serialu.

Istniała droga wiodąca przez ten labirynt. Wymagała jedynie ustalenia, dokąd wybiera się Asmodeusz, tak bym mógł dotrzeć tam pierwszy. Oczywiście musiałbym także zdobyć

jakąś tajną broń, by posłużyć się nią na miejscu, bo flet z całą pewnością nie zadziała. Nie wystarczył nawet, by pokonać Gader'ela, którego Juliet lekceważąco określiła mianem zwierzęcia.

Problem w tym, że do Gader'ela nie można się było zbliżyć dostatecznie, by odprawić egzorcyzmy. Miałem już w głowie jego wzór, wiedziałem jednak doskonale, że gdy tylko zacznę grać, rzuci się na mnie, by przepędzić melodię z umysłu. Znaleźć się dość blisko, by zagrać, znaczyło: dość blisko, by zostać zaatakowanym.

Natchnienie pojawiło się znikąd. Nie, raczej z myśli o Trudie i o tym, jak rozciągnęła swój własny talent, by stworzyć metamapę poruszeń Asmodeusza. Rzecz w tym, by przeniknąć metaforę do samego sedna: odróżnić to, jak działa nasza moc, od stworzonego dla niej interfejsu. Można to zrobić. Co więcej, można to zrobić bez ryzyka.

To rozwiązywało problem Jenny-Jane. A co z moim?

- Fix - Pen poruszyła się na sofie obok mnie, pocierając dłonią oczy - która godzina?

Nawet nie zerknąłem na zegarek.

- Późniejsza niż myślisz - odparłem. - Jak zawsze. Jak ci minął dzień?

Zamrugła i potrząsnęła głową, przywracając pozory ładu burzy ognistych loków.

- Cudownie - odparła niskim, lekko ochryplym od snu głosem. - Jak jeden z twoich. Alkohol, wstręt do samej siebie, więcej alkoholu i seriale telewizyjne.

- Rzadko oglądam telewizję - zauważyłem. - Za co czujesz do siebie wstręt?

- No wiesz, to chyba oczywiste. - Usiadła wciąż oszołomiona, lecz stopniowo wracając do siebie. - Nie mogę tego zrobić, Fix. Nie mogę tu siedzieć i czekać, aż wszystko załatwisz. Jutro znów zamierzam zacząć szukać Rafiego.

- Nie znajdziesz Rafiego - przypomniałem jej z naciskiem. - Znajdziesz Asmodeusza.

- Nieważne. To nie mój sposób na życie.

Miała rację. Żyliśmy w stanie oblężenia i fakt ten działał na nas na różne sposoby. Uczucie nacisku - ciągłego prześladowania - zbijało mnie z pantalyku, toteż przeskakiwałem z jednej sprawy na kolejną, zamiast zatrzymać się i zastanowić dokąd zmierzam. Co gorsza, pozwalałem Jennie-Jane kierować moimi posunięciami, a powinienem wykorzystać ją tak, jak ona mnie: odbić się od jej nieprzeniknionej grubej skóry w stronę, w którą powinienem się skierować.

To się zmieni.

Najpierw jednak musiałem się przespać. A rankiem, od którego dzieliło nas zaledwie dwie i pół godziny...

Rankiem przejmę inicjatywę.

ROZDZIAŁ 13

- Feliksie! Witaj z powrotem. Wejdz i użycz nam swej fachowej pomocy.

Głos Jenny-Jane ociekał uprzejmością: żadnych złośliwych uwag na temat zepsutych budzików, sarkastycznych powitań w stylu „jak miło, że zdecydowałeś się do nas dołączyć”. Z drugiej strony, siedzący obok niej Gil McClennan promieniował niechęcią i dezaprobatą tak mocną, że w zasadzie nie musiała już nic mówić.

Zastukałem do drzwi J-J, odkryłem, że gabinet jest pusty, i podążyłem za dźwiękiem głosów do pokoju z mapą. Wszyscy tam byli, siedzieli bądź stali pod ścianami, otaczając olbrzymie płachty map: rzecz jasna, Jenna-Jane i Gil, Trudie z Etheridge'em uwieszonym jej niczym Błaszany Dzwoneczek Piotrusia Pana, Samir Devani, wyglądający, jakby się położył jeszcze później ode mnie, oraz mężczyzna i dwie kobiety, których wcześniej nie widziałem - zapewne egzorcyci wypożyczeni z innych zespołów.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziałem nieszczerze - mówcie dalej, sam się połapię.

Zapadła niezręczna cisza.

- Prawdę mówiąc - przerwała ją Trudie, zerknąwszy przelotnie, lecz z ciekawością, na płaską paczkę w brązowym papierze, którą trzymałem pod lewą pachą - myślę, że lepiej powtórzmy, bo to ważne. Gil, zechcesz powiedzieć Castorowi, co odkryłeś?

McClennan skrzywił się, lecz Jenna-Jane skinęła zachęcająco ręką, przekazując mu paleczkę. Po tym nie mógł już odmówić.

- Zacząłem od przyjrzenia się skupiskom - oznajmił, wskazując mapę. - Miejscom z najgęstszą koncentracją linii. Jedno mieści się tam, gdzie mieszkasz, Castor, przy Turnpike Lane. Kolejne tutaj, w Wembley. Pax mówi, że to dom Juliet Salazar, która pomogła ci przeszkodzić Asmodeuszowi, gdy ten poprzednio próbował się uwolnić, możliwe zatem, że tam także chce załatwić dawne porachunki. Kolejne skupisko jest tu, w południowym Londynie. Peckham Rye.

- Dom Lodowni - potwierdziłem. - Był tam uwięziony, zanim uciekł.

- Zgadza się. I jeszcze kilka w centrum miasta, tu, tu i tu. - Wskazał palcem King's Cross, Holborn, Waterloo. - Może to węzły, nie miejsca, które odwiedza, tylko takie, przez które musi przejść, by dotrzeć do celu. Należy spodziewać się czegoś podobnego. - Gil

zawiesił głos, patrząc na mnie. - Jak dotąd, wszystko rozumiesz?

Skinąłem głową.

- Dobra, w takim razie spójrz na to. - Postukał palcem w miejscu, gdzie linie Trudie tak gęsto nakładały się na siebie, że niemal nie dało się dostrzec widocznych pod nimi ulic. Palec Gila nakreślił linię wiodącą z Turnpike Lane na południe, dokąd wiodła większość linii. Asmodeusz wyraźnie przybywał bądź odchodził stale tą samą trasą.

Linie nie były do końca proste: zbaczały na lewo i prawo, nadal kierując się na południe do centrum Londynu. Część z nich odbijała w tym miejscu, skręcając na zachód, inne wiodły dalej prosto.

- Skąd te zygzaki? - spytał Gil tonem człowieka znającego odpowiedź.

Przyjrzałem się, ale odpowiedź wydała mi się prosta.

- Bo ulice nie prowadzą dokładnie tam, dokąd chce się udać.

- Tak - przytaknął Gil. - Właśnie tak. Tu skręca w Tollington Park, a tu Stroud Green Road. Brak linii prostych. Nie da się chodzić po Londynie wzdłuż linii prostych, zgadza się? Może w Nowym Jorku, ale nie w Londynie.

Trudie zacmokała niecierpliwie, wyraźnie chcąc, żeby Gil przeszedł do rzeczy, on jednak zamierzał załatwić to po swojemu.

- A teraz spójrz tutaj - przesunął palec na sam środek mapy - do centrum Londynu.

Różnica była oczywista, lecz tylko dlatego, że w zasadzie powiedział mi na co patrzeć.

- Linie proste - oznajmiłem.

- Linie proste. Głównie wokół Holbornu, będącego jednym z naszych wtórnych skupisk. Zatem tu skręca na północ bądź południe, ale nie odbija w lewo w - co tam jest? - Old Gloucester Street. Idzie dalej naprzód. Przechodzi przez ściany. Jakby sieć ulic nie miała dla niego znaczenia. Bo nie ma.

- Bo jest pod ziemią - dokończyłem.

Gil sprawiał wrażenie poirytowanego, że wyprzedziłem go z puentą, ale ja jedynie połączyłem wszystkie elementy układanki. Pomysł był nadal jego i mocno mi zaimponował. Jenna-Jane miała rację: to dobry egzorcysta, nie lizus i palant.

- Albo lata - dodała skrupulatnie Trudie. - Nie powinniśmy wykluczać możliwości, że w jakiś sposób potrafi zmienić swą postać.

- Tylko że w tym przypadku - przerwał jej Gil - wszędzie widzielibyśmy linie proste. A nie widzimy. Są tylko w centrum. Toteż dysponuje podziemną trasą przeprowadzającą go przez ten fragment. - Machnął ręką, wskazując obszar ciągnący się od rzeki aż po Russell Square. - Następne pytanie brzmi: dlaczego z niej korzysta? Owszem, jest szybsza, ale nie aż

tak. A on nie ma nic przeciw wpadaniu na ludzi. Jeśli przez większość czasu krąży na powierzchni, czemu korzysta akurat z tego tunelu? I dlaczego do niego wraca?

- Bo ma tam bazę - odparłem, znów odgrywając lojalnego partnera. - To tam zawiesza swój płaszcz.

- I to - Jenna-Jane znów przejęła rolę przewodniczącej - właśnie wniosek, do którego doszliśmy tuż przed twoim przybyciem. Pozostaje tylko stwierdzić, z których tuneli korzysta. Najbardziej prawdopodobna wydaje się sieć metra, biorąc pod uwagę jej gęstość i głębokość tuneli w centrum miasta. Ale nie mamy oczywistego kandydata.

- Zdobyliśmy zestaw map z wydziału inżynierii miejskiej - wtrącił Samir. - Przedstawiają dość dokładny plan tuneli zestawionych z ulicami powyżej. W tym miejscu, około stu metrów na wschód od tego skupiska głównych ulic, przebiega linia Piccadilly. Trasa demona zbacza na zachód, więc możemy ją wykluczyć. Linia centralna jest za daleko...

- Mało prawdopodobne, by korzystał z tuneli, które wciąż są w użyciu - zauważyłem. - To zbyt ryzykowne i zbyt niewygodne. Czy tunele techniczne są rozmieszczone według tego samego planu?

- Nie do końca - odparła Trudie - ale biegną równoległe do linii głównej, a to nadal zbyt daleko. - Pokazała mi czerwone linie nakreślone na mapie spory kawałek od czarnych kresek oznaczających trasy pokonywane przez demona. - Myśleliśmy też o zamkniętych, nieużywanych stacjach - dodała, wyprzedzając moje pytanie. - Nic z tego. Wokół King's Cross i Angel rozciąga się sieć starych tuneli, niektóre z nich prowadzą dość daleko na południe i zachód, ale z tego, co widzimy, on nie podąża żadnym z nich.

- Zatem obecnie skupiamy się na kanalizacji i zamkniętych magistralach wodnych - mruknął Gil - co może potrwać kilka dni, bo są ich dosłownie setki, a mapy nie zawsze wiążą je z ulicami, poza studzienkami dostępowymi.

- Jakież pomysły, Feliksie? - zachęcała Jenna-Jane.

Wbijałem wzrok w mapę: w to, jak czarne kreseczki wnikają w High Holborn i Kingsway, a potem rozlewają się promieniście przy Waterloo Bridge. Próbowałem sobie wyobrazić, że idę tą trasą, tak jak to czyniłem tysiące razy. Wzdłuż Voburn Place, mijając Russell Square Gardens, i dalej Southampton Row...

- Nie? - J-J sprawiała wrażenie zawiedzionej. - W takim razie będziesz musiał pracować na dwa fronty, Gilberte. Zostaw kogoś tutaj, by uzupełnił nasze mapy o dane sieci kanalizacyjno-wodociągowej, i poślij resztę ludzi, żeby zaczęli sprawdzać teren. Zakładając, że demon ukrył się na dzień, może zdołamy go namierzyć, kiedy znajdziemy się w pobliżu.

McClennan się ożywił.

- Dwuosobowe zespoły - rzucił. - Cartwright i Powell. Greaves i Etheridge. Devani, ty pójdziesz ze mną. To oznacza, że zostajesz przy mapie Pax, razem z Castorem. Ruszajmy.

Pewnie uznał, że to uziemienie mnie wkurzy. I wkurzyłoby, gdybym zamierzał posłuchać. Ale nie skończyłem jeszcze z Gilem, więc zagroziłem mu drogę, gdy maszerował do drzwi.

- Zanim gdziekolwiek pójdziesz, musimy pomówić o Super-Self - oznajmiłem.

Spojrzał na mnie obojętnie.

- Wszystko już zaplanowaliśmy - oznajmił. - Jeśli zamierzasz zaliczyć nadgodziny, Castor, zapomnij. Nie chcę twojej pomocy i, co istotniejsze, nie potrzebuję jej.

- Może przynajmniej zechcesz się dowiedzieć, z czym masz do czynienia? I możesz potrzebować tego.

Uniosłem klucz do frontowych drzwi siłowni. McClennan rozpoznał go natychmiast, czy może zgadł, co to. Odebrał mi go, przez moment przyglądał się z namysłem, po czym skinął głową.

- Znacie swoje zadania - rzucił do pozostałych egzorcyistów. - Do roboty. Samir, zaczekaj na mnie na dole.

- Wolałbym już ruszać - odpowiedział Samir.

Gil nawet się nie obejrzał, cały czas wbijał wzrok we mnie.

- No to ruszaj. Kiedy tu skończę, zadzwonię.

W pokoju robiło się coraz puściej, aż w końcu zostało nas tylko czworo: Trudie, Jenna-Jane, McClennan i ja. Gil spojrzał na Trudie i skinął głową w stronę drzwi. Nawet nie drgnęła.

- Jeśli tu chodzi o Super-Self - powiedziała - chciałabym posłuchać. Ja też jestem częścią zespołu.

- Jeżeli to się okaże istotne - rzekł Gil z wyraźnym naciskiem - powiem ci później. W tej chwili to sprawa prywatna. Idź, zaparz sobie kawę, Pax. I dla mnie też.

Trudie niechętnie ruszyła do drzwi. Gdy tylko zamknęła je za sobą, McClennan odwrócił się do Jenny-Jane, unosząc wysoko klucz.

- Ukradł go z zabezpieczonej szafki - oznajmił. - Tam właśnie znajduje się reszta. Zdałem je wczoraj rano, gdy tylko tu wróciłem. Myślisz, że zadowolili się kluczami? Pewnie okradł też szafki z lekami, sprzętem, aktami...

- Zdjąłem go z kółka podczas rozmowy z tobą, Gil - wtrąciłem. - Zwykła sztuczka, nie kradzież z włamaniem. Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko kradzieżom, rozumiesz, ale po prostu wymagają większego wysiłku.

- Nie chcę go w swoim zespole - oznajmił McClennan J-J, puszczając moje słowa mimo uszu.

- Gilbertcie... - zaczęła z taką miną, jakby spór między jej dwoma jagniątkami nieznośnie ją ranił.

- W końcu niczego nam nie dał. Zresztą i tak go nie potrzebujemy.

Jenna-Jane odwróciła się do mnie.

- Co nam przynosisz, Feliksie? - spytała chłodniejszym, bardziej oficjalnym tonem.

- Chwiejnych Bliźniaków - odparłem.

Skinęła ręką.

- Mów dalej.

- Pomiedzy Stranem i Wych Street - zacząłem - od połowy dziewiętnastego wieku aż do czasu, gdy wyburzyli cały kwartał, by w tysiąc dziewięćset pierwszym zbudować Aldwych, mieściły się dwa teatry: Opera Comique i Globe. W większości były podziemne; Opera Comique nie miała nawet wejścia z ulicy, docierało się do niej tunelami.

- Opera Comique. Słyszałam o niej - zastanawiała się Jenna-Jane. - Wystawiano tam część wczesnych operetek Gilberta i Sullivana, zanim D'Oyly Carte zbudował Savoya.

Wzruszyłem ramionami.

- Skoro tak mówisz, Jenno-Jane. Nie jestem szczególnym fanem teatru wiktoriańskiego. Mogę ci jednak powiedzieć, dzięki uprzejmości londyńskiego archiwum metropolitalnego, że w tysiąc osiemset siedemdziesiątym dziewiątym doszło tam do paskudnego wypadku. Teatr popadł w długi i grupa szeryfów próbowała zająć rekwizyty i dekoracje. Wdali się w bójkę z obsadą w samym środku przedstawienia. W trakcie walki ktoś wyrzucił lampę, od której zajęły się dekoracje. Czterysta osób na widowni, próbujących wydostać się z płonącej piwnicy tymi samymi trzema ciasnymi tunelami. W ciemności...

- Co to ma za znaczenie? - wtrącił gniewnie Gil. - Co pierdolony dziewiętnasty wiek ma wspólnego...

- Jeszcze do ciebie nie dotarło?! - ryknąłem. - Duchy w basenie to aktorzy. Nie pochodzą z rzymskiej Brytanii. To obsada jakiejś marnej sztuki. Wczoraj widziałem, jak jedna z nich wydmuchuje nos w pieprzoną koronkową chusteczkę. A na nogach miała buty na guziczki!

To go na moment uciszyło, toteż parłem dalej, zdecydowany dotrzeć do najważniejszego.

- Zatem duchy liczą sobie około stu lat. - Znów zwracałem się do Jenny-Jane. - To wciąż nietypowe, ale nie niemożliwe. Po prostu sam koniec skali. Nietypowe jest natomiast

to, co przebywa tam wraz z nimi.

McClennan otworzył usta, by znów wypowiedzieć kilka gniewnych słów, lecz J-J władczo uniosła dłoń, uciszając go.

- Co takiego? - spytała.

- Moje źródło twierdzi, że to Gader'el - oznajmiłem. - Demon, ale z rodzaju, z jakim jeszcze się nie zetknęliśmy. Żywi się strachem. Prawdopodobnie to właśnie strach wciąż związany z tym miejscem tam go zwabił. Ten stwór przypomina rybę głębinową, J-J. Siedzi ukryty w mroku, dyndając przed sobą duchami niczym przynętą. Kiedy żywi podchodzą bliżej, by się przyjrzeć, wbija w nich szpony. Wzmacnia każdy strach, który czują, zamienia go w ślepią groźbę i w jakiś sposób tym się odżywia.

Odwrociłem się żeby spojrzeć na Gila, na jego twarzy dostrzegłem tylko wrogość i podejrzliwość.

- Rzecz w tym - dodałem - że nie da się go zniszczyć atakiem frontalnym. Nie przypomina znanych nam demonów, to... sam nie wiem, niższa forma życia. Bardziej prymitywna. Instynktowna. Próby egzorcyzmów sprawiają tylko, że atakuje jeszcze mocniej. Dlatego właśnie Etheridge tak bardzo ucierpiał i dlatego twój drugi człowiek - Franklin - wybiegł pod samochód.

McClennan pokręcił głową, lecz powoli i bez większego przekonania. Myślał i ta czynność osłabiała jego gniew. Trudno mu było słuchać przesłania, gdy tak bardzo chciał zabić posłańca, ale widziałem, że powoli do niego docieram.

- Co zatem chcesz powiedzieć, Feliksie? - spytała Jenna-Jane.

- Chcę powiedzieć, że powinniście zaczekać - odparłem. - Zapewne istnieje sposób przegnania tego stwora bez bezpośredniego starcia. Wczoraj wpadłem na pewien pomysł: coś w rodzaju bomby z opóźnionym zapłonem, pozwalającej go zranić z bezpiecznej odległości. Nie wiem, czy zadziała, ale chcę spróbować. Tyle że zorganizowanie wszystkiego trochę potrwa. Dzień czy dwa. Może dłużej.

- Z bezpiecznej odległości? - powtórzył McClennan. - Jak to by miało wyglądać?

Jenna-Jane kręciła już stanowczo głową.

- Będziemy działali zgodnie z ustalonym planem - oznajmiła.

- Dlaczego? - spytałem ostro. - Po co ryzykować?

- Bo jesteśmy naukowcami - odparła z prostotą. - Gromadzimy dane, a potem na ich podstawie wyciągamy wnioski. Nie przesadzamy niczego z góry, choćby nie wiem jak bardzo kusiała nas wymyślona przez nas teoria. Bardzo proszę, nie rezygnuj ze swoich planów. Jeśli zespołowi Gilberta nie uda się dziś w nocy, możesz spróbować swojej metody. Nie widzę w

tym nic złego, to jak dwie cięciwy w jednym łuku.

- Złe jest to, że pierwsza cięciwa może pęknąć i wybić komuś oko - zauważyłem cierpko. - Bez potrzeby posyłasz ludzi na niebezpieczną misję.

Poszukałem wzrokiem wsparcia u McClennana, lecz racjonalistyczne wezwanie do boju J-J wyraźnie dodało mu skrzydeł.

- Myślę, że zespół, który zebrałem, poradzi sobie - oznajmił, podtrzymując opinię szefowej. - Jeśli chcesz, możesz mi powiedzieć, jaki masz plan zapasowy. Jeśli uznam, że brzmi sensownie, wyznaczę do niego ludzi.

Zapadła martwa cisza. Oboje patrzyli na mnie wyczekująco. Mnie jednak przyszły do głowy tylko wcześniejsze słowa Gila. Powtórzyłem je zatem, niczym zasmarkany uparty uczeń.

- Może powiem ci później. Jeżeli okaże się to istotne.

Nikt nie zagrał mi pożegnalnej fanfary, więc wyszedłem. Jenna-Jane krzyknęła coś do mnie, ale byłem już w połowie korytarza i nie usłyszałem.

Trudie Pax czekała obok windy, oparta o ścianę ze splecionymi rękami i ponurą miną. Na mój widok wyprostowała się.

- Muszę stąd wyjść - oznajmiła.

- Zdawało mi się, że masz pracować nad mapą - przypomniałem.

- Wrócę później. W tej chwili potrzebuję świeżego powietrza.

- Weź to - rzekłem. - Może się przyda.

Wręczyłem jej paczkę, a ona zważyła ją w dłoni, zaskoczona ciężarem.

- Co to? - spytała.

- Zdjęcie Rafiego. Sama zobacz.

Rozerwała papier w narożniku i bez entuzjazmu obejrzała zawartość paczki.

- Widziałam już wcześniej podobną technikę - rzekła. - Zdjęcie wywołano prosto na szkle, tak?

- Wydrukowano - poprawiłem. - Zgadza się. Ostatni krzyk mody w epoce wiktoriańskiej. Ale najwyraźniej do Macedonii moda trafia później.

- I co, to zdjęcie ma jakieś szczególne znaczenie?

Pokiwałem ręką.

- Może tak, może nie. To była pierwsza komunia Rafiego. Wielki dzień dla dzieciaków z katolickich krajów. Mnóstwo skupionych emocji, mnóstwo żywych wspomnień. Pomyślałem, że może ci się przydać kolejny punkt skupienia.

Trudie nie wyglądała na zachwyconą.

- Jest znacznie starsze od paznokcia.

- Wiem. Posłuchaj, w razie potrzeby spróbuj. Albo i nie. Tak czy inaczej, oddaj mi je, kiedy skończysz. Chciałbym dać je Pen na pamiątkę.

Wolałem nie myśleć o implikacjach tego zdania: że niezależnie do tego, czy Asmodeusz zwycięży, czy przegra, utrzymanie Rafiego przy życiu może okazać się sztuką zbyt trudną, nawet dla nas wszystkich. A wówczas zdjęcie okaże się ostatnią pamiątką, jaka zostanie Pen po jej dawnym kochanku.

- Spróbuję - obiecała Trudie. - Zaniosę je do pokoju z mapą, a później podepnę do pętli.

- Później? Dlaczego nie teraz?

- Bo jeśli wybierasz się do Holborn, żeby poszukać nory Asmodeusza, chciałabym do ciebie dołączyć.

Przemyślałem ten pomysł i odkryłem, że wcale nie odrzuca mnie tak bardzo jak sądziłem.

- Najpierw muszę załatwić coś innego - ostrzegłem.

Pax spojrzała na mnie niemile zaskoczona.

- Coś ważniejszego od Asmodeusza?

- Nie, mniej ważnego. Znacznie mniej. Po prostu... - Rozłożyłem ręce i wzruszyłem ramionami, odkryłem jednak, że najpierw muszę rozprostować zaciśnięte w pięści dłonie. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo jestem wściekły i sfrustrowany. Omal nie rąbnąłem w ścianę, lecz lewa ręka wciąż bolała mnie po tym, jak dokładnie dwadzieścia cztery godziny wcześniej przywaliłem McClennanowi w szczękę.

- Super-Self! - wybuchnąłem. - Pieprzone Super-Self. Jenna-Jane jest zdecydowana posłać tam ludzi, choć nie mają bladego pojęcia, z czym przyjdzie im się zmierzyć. Uważa, że blitzkrieg stanowi właściwą odpowiedź, niezależnie od pytania. Nie, jest jeszcze gorzej: uważa, że dane zgromadzone podczas klęski są równie dobre jak każde inne. Jeśli część ludzi Gila zginie albo da sobie usmażyć mózgi jak Etheridge, to co, kurwa, z tego? Nauka idzie dalej.

Pax przyglądała mi się z zaciekawieniem. Nie pozostałem jej dłużny.

- No co? - spytałem.

Pokręciła głową.

- Nic. Po prostu... Myślisz, że to pomoże.

- Co pomoże? O czym ty mówisz?

Trudie wyglądała jakby starannie dobierała słowa.

- Egzorcyści z KOM nie należą do grona twoich ulubieńców, prawda? W twojej opinii są równie źli jak Anathemata.

- No i?

- No i dlaczego to cię obchodzi? Czy fakt, że uratujesz kilka osób, których nie znasz i na których ci nie zależy, sprawi, że poczujesz się lepiej, pozwalając Asmodeuszowi krążyć na wolności i zabić kogoś, na kim ci zależy? Bo o to tu właśnie biega, prawda? Chodzi o pokutę i odkupienie. Stoisz właśnie na starcie i gwizdziesz, Castor.

- Gwizdanie to wszystko, co mi zostało - wymamrotałem kwaśno, naciskając guzik wzywający windę. - Nie lekceważ go.

* * *

Nigdy nie lubiłem, gdy ktoś mnie psychoanalizował, nawet kiedy jeszcze nie dorosłem, nie przeczytałem tego i owego i nie zrozumiałem, że Freud zajął się tym tylko po to, żeby wrywać laski. Może dlatego poprosiłem Trudie, żeby zastąpiła mnie w Holborn, a sam pojechałem na drugi koniec miasta, żeby spotkać się z pewną kobietą w sprawie melodii. A może wciąż nie miałem ochoty zaufać jej bardziej, niż musiałem, choć de facto staliśmy się współnikami. Na pewnym poziomie wciąż należała do Anathematy. Nadal toczyła tę samą wojnę z tymi samymi wrogami. Zupełnie jakby mógł nas łączyć jedynie tymczasowy rozejm. Umówiłem się z nią za godzinę w Seven Dials i ruszyłem na zachód.

Na pewnym poziomie miałem ochotę wrzeszczeć z frustracji. Po drugich odwiedzinach w domu Pen dwie noce wcześniej, Asmodeusz zniknął bez śladu, wówczas pozostawił na pamiętkę nóż i rozcięty guzik. Nadal gdzieś się czał, wciąż coś knuł, a ja nie miałem pojęcia do czego zmierza. Wiedziałem tylko, że wiąże się z tym śmierć wszystkich osób, jakie znał Rafi, że w żaden sposób nie zdołam go powstrzymać i że - co najtrudniej przełknąć - śmierć ta może się okazać upiornym ubocznym zyskiem. Bo nie o nią chodziło. Asmodeusz pracował nad czymś znacznie większym.

Może zależało mu na tym samym co zawsze. „Kiedy wyzwolę się już z tego mięsa” - powiedział mi demon - „zamierzam na jakiś czas skoczyć do domu”. Chciał zdrapać z podeszwy Rafiego i powstać w całej swej chwale, stuprocentowy gwarantowany pomiot piekielny: odkąd niechcący uwięziłem go w ciele Rafiego, myślał tylko o tym. Zatem co teraz planował?

Najpierw zwrócił się do satanistów, ale go zawiedli. Anathemata rozbiła imprezę, nim magowie z SKA zdołali dokończyć rytuał i uwolnić człowieka i demona z niechcianego uścisku. Do tej pory musiał już rozpocząć prace nad planem B. Asmodeusz nie przestanie

dlatego, że raz go powstrzymano; powróci mocniejszy niż kiedykolwiek dotąd.

A teraz, kiedy w końcu zbliżałem się do tego siarkowego skurwiela, szlajałem się po Londynie zajęty zupełnie innym zadaniem, wyznaczonym przez Jennę-Jane Mulbridge. Zombie z Somerstown mieli rację, podobnie jak stara Rosie: świat faktycznie się zmieniał. Stanął do góry nogami i okazało się, że my wszyscy, żyjący na słonecznych wyżynach, znaleźliśmy się w cienistej dolinie. Życie zatoczyło krąg i okazało się, że to ostrze piły łańcuchowej.

Na Kensington Church Street pokazałem Evelyn Caldessie naszkicowany w pociągu plan i spytałem, czy w ogóle da się to zrobić. Caldessa handluje antykami, przyjaźnimy się, odkąd pomogła mi w sprawie Abbie Torrington. Zazwyczaj bywa niewzruszona, bo w ciągu siedemdziesięciu czterech lat życia widziała tak wiele wariactw, że nic już jej nie zaskakuje. To zlecenie jednak sprawiło, że uniosła brwi.

- Cóż, teoretycznie nie widzę, czemu nie miałyby się udać - powiedziała, obejrawszy kilka razy rysunki. Przesuwając patykowatym palcem wzdłuż linii, rozszyfrowywała moje plany, lecz, mimo obiecującego początku, z powątpiewaniem pokręciła głową.

- A w praktyce?

Caldessa zerknęła na swego jedynego klienta, mężczyznę w średnim wieku w beżowym płaszczu trzy czwarte, który gapił się na gablotę pełną porcelanowych pasteczek ze skrywanym zapalonym w sex shopie. Wyraźnie miała nadzieję, że facet coś kupi, albo może podejrzewała go o lepkie ręce.

- Żaden standardowy model nie zadziała - powiedziała. - Mają niewielki zasięg, bo mechanizm jest bardzo mały i prymitywny. Chcesz zatem czegoś na miarę...

- Jestem gotów zapłacić - wtrąciłem, wiedząc, że te trzy słowa w wielu sytuacjach mają magiczną moc.

- ...ale chcesz też załatwić to szybko. Na miarę i szybko rzadko idą w parze, serdeńko. Ludziom, do których mogłabym się zwrócić, spodobałoby się wyzwanie, ale wymagałoby tygodni pracy i policzyliby sobie parę tysięcy.

- No dobra. - Z żalną miną potarłem podbródek. - Sądziłem, że jestem gotów zapłacić, ale okazuje się, że nie. Nie dam rady zdobyć takiej sumy, Evelyn. A czas jest tu kluczowy. Jeśli nie zdobędę tego dzisiaj, to w ogóle nie ma sensu. Powiedz mi, czy istnieje inny sposób?

- Te przedmioty - rzekła Caldessa, nie do mnie, tylko po adresem dobrze ubranego miłośnika pasteczek - stanowią część kolekcji. Obawiam się, że nie mogę ich rozdzielić.

Odwróciwszy się do mnie z powrotem, mrugnęła porozumiewawczo.

- Nigdy nie należy im ułatwiać - wymamrotała. - Możliwe do pokonania przeszkody jeszcze podsycają obsesję. Tak, Feliksie, istnieje inny sposób. Kilka elementów w jednej obudowie powinno zadziałać. Każdy mechanizm osobno będzie miał standardowy zasięg, lecz razem powinny zrobić to, czego od nich wymagasz. Ale co to za robota! Nie wykonanie samych cylindrów - to żaden problem, ale zestrojenie ich tak, by się zgrały...

- Gdybyś mogła to zrobić - spytałem - ile to by kosztowało?

Obdarzyła mnie lekko zaskoczonym spojrzeniem.

- Och, więcej, niż mógłbyś zapłacić, gołąbeczku. Znacznie więcej. Ale zakładam, że wiąże się z tym jakaś historia.

- O, tak. I to niezła.

- A ja bardzo chciałabym jej wysłuchać.

- Zgoda.

- Bardzo chciałabym jej wysłuchać u Claridge'a. W Gastronomii Domine piszą, że w tym roku Gordon Ramsay odzyskał dobrą formę. To bardzo wulgarny i paskudny człowiek, ale potrafi gotować.

- To całkiem niska cena, Evelyn.

- W takim razie zobaczę, co da się zrobić. Ustaw komórkę na wibracje, Feliksie, i trzymaj w tylnej kieszeni. Kiedy dam sygnał, będziesz wiedział, że czas się tu zjawić.

W Kensington złapałem autobus numer 14 i wróciłem do miasta: nie tak szybko jak taksówką, ale taniej. Teraz, kiedy umówiłem się na obiad u Claridge'a, musiałem liczyć każdy grosz. Włączywszy do sprawy Caldesse, miałem poczucie, że dokonałem pewnych postępów. Być może fałszywe, ale kiedy nasze własne koła buksują w trawie, dobrze wiedzieć, że inni jednak się poruszają. Z tego powodu zadzwoniłem do Nicky'ego i spytałem o trzech muszkieterów, Tlallika, Keta i Jetaniula.

- Mam jeszcze parę trafień - odparł. - Jedno na Jetaniula i jeszcze jedno na Tlallika. Źródła są cholernie stare, tak jak to Grazimira. I znów, to tylko listy imion z paru wczesnych grimoirów: tłumaczenie tłumaczeń tłumaczeń, tak bardzo oderwane od oryginalnego kontekstu, że nie ma nawet sensu go sprawdzać. Nic nie wskazuje na to, kim są, czy czym są, ani co robią. Sądząc jednak po towarzystwie, w swoim czasie byli ważnymi graczami. Dlatego zastanawiam się, czemu żaden z nich nie pokazał się więcej na scenie po trzynastym wieku.

- Żaden nie zmienił imienia?

- Jeszcze nie wiem. Ale powiem ci coś: Juliet mogłaby spytać brata.

- Słucham?

- Pochodzi z rodu Bafometa, prawda? „Siostrą jest Bafometa i najmłodszą z rodu”, i tak dalej. Jego imię także pojawia się w jednym z owych spisów, więc może obracali się z Tlallikiem w tych samych kręgach?

- Nie sądzę, by zbyt często dzwoniła do domu - odpowiedziałem. To odruchowa odpowiedź, datująca się z czasów, gdy Juliet próbowała pozostać czysta. Po jej ostatnim występie może jednak powinienem ją zmienić.

- Zapytać nie wadzi - upierał się Nicky. - Wciąż się tym zajmuję, ale myślę, że to strata czasu. Wszyscy ci goście już dawno pozamykali sklepiki.

- Czy demony przechodzą na emeryturę, Nicky?

- O to też mógłbyś ją spytać.

Wysiadłem z autobusu przy Trafalgar Square, potem poszedłem St. Martins Lane, gdzie znalazłem bank i przelałem setkę funtów szterlingów na osobisty rachunek D. Anastasiadisa. „Stowa za notes”, powiedział. Teraz mógł się zająć dziennikami Raffiego, jeśli już wcześniej tego nie zrobił. Gdybyście mnie spytali, co chciałem w nich znaleźć i co zamierzałem z tym zrobić, musiałbym przyznać, że nie mam pojęcia. Znow jednak złudzenie, że posuwam się naprzód, dodało mi otuchy, nawet jeśli „naprzód” w tym momencie nic nie znaczyło, bo nie miałem pojęcia dokąd zmierzam.

Maszerując w stronę Seven Dials, gdzie miałem się spotkać z Trudie Pax, wykonałem ostatni telefon, do Juliet - czy jak się okazało, Sue Book. Wydawała się przerażona i udręczona, zupełnie jakby odebranie telefonu stanowiło niebezpieczny wyczyn. Spytałem, czy kiedy Juliet wróciła wczoraj do domu, dobrze się czuła.

- Wczoraj? - powtórzyła Sue. - Nie było jej tutaj. Ona nie... Myślałam...

Zapadła cisza, a potem w tle usłyszałem inny głos. Sue odpowiedziała tamtej osobie, głos miała jednak stłumiony - najpewniej zasłaniała dłonią słuchawkę.

- Sue? - nacisnąłem.

Usłyszałem serię gruchotów i szczęknięć.

- Kto to? - Nie był to głos Sue.

Ani Juliet - czy raczej nie do końca. Brzmiał podobnie, ale miał w sobie poszarpaną nutę, pełną osobliwych wzniesień i dolin, zupełnie jakby odtwarzano go na niewłaściwym sprzęcie i w nieodpowiednim formacie.

- To ja. Castor.

- Ona do ciebie zadzwoniła?

Natychmiast wyczułem groźbę w jej głosie.

- Uch... Nie. Ja zadzwoniłem. Chciałem sprawdzić, jak się czujesz. Czy zdołałaś... -

Szukałem oględnego określenia unikającego słów takich jak pożeranie i dusze. - Czy wciąż się trzymasz - dokończyłem tchórzliwie.

Odpowiedziała mi długa cisza, dość długa, bym pomyślał, że może straciłem połączenie, zanim jednak zadzwoniłem ponownie, Juliet znów się odezwała.

- Powiedz mi, gdzie jesteś?

Zza jej pleców dobiegał słaby pisk grozy Sue.

- Jules, nie. To tylko przyjaciel. Także twój. To nie...

Huk, który zagłuszył resztę zdania, był dość głośny, bym się wzdrygnął i odsunął od ucha telefon.

- Juliet! - zawołałem. - Nie rób jej krzywdy. Do kurwy nędzy, nie rób jej krzywdy. Jestem w mieście. Przy Seven Dials. Czego chcesz?

W tym momencie Trudie wyszła zza zakrętu Shorts Gardens, jakieś pięćdziesiąt jardów dalej. Pomachała do mnie, lecz dostrzegłszy wyraz mojej twarzy, opuściła rękę. Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

- Juliet?! - wrzasnąłem.

Od czasu do czasu nawiedza mnie osobliwe wrażenie: patrzę na zegarek i wydaje mi się, że stanął, bo druga wskazówka w ogóle się nie porusza. Po prostu tkwi w miejscu, z pozoru znacznie dłużej niż powinna, aż wreszcie w końcu budzi się i przeskakuje na następną kreskę. Trwa to zaledwie sekundę, ale sekundę, na którą spoglądamy z boku i pod tym kątem wydaje się dłuższa. Zapewne to właśnie teraz nastąpiło. Miałem wrażenie, że czekam cały dzień i noc, lecz ponieważ w tym czasie nie zdarzyło się nic innego, mogę założyć, że w istocie trwało to jedynie chwilę.

- Nic jej nie jest, Castor - odparła Juliet normalnym głosem.

- Co to znaczy: nic jej nie jest? - warknąłem. - Słyszałem, jak rozwalasz cały dom.

Głos Juliet brzmiał upiornie spokojnie i kontrast tej obojętności z wcześniejszymi wydarzeniami był tak wielki, że aż mnie przeraził.

- Uderzyłam krzesłem o ścianę, połamało się. Sue nic się nie stało. Ale teraz nie pozwala mi się dotknąć ani do siebie zbliżyć. Mogę cię prosić o przysługę?

Trudie podeszła do mnie i czekała w milczeniu, próbując zrozumieć, co się, do diabła, dzieje, z mojej części rozmowy.

- Przysługę? - powtórzyłem tępo.

- Powiedziałam ci, że kiedy uznam, że znów mogłabym ją skrzywdzić, odeślę ją. - Chwila ciszy. - Nie może tu zostać.

- Zaraz tam będę - oznajmiłem. - Niech żadna z was nigdzie się nie rusza. - W nagłym

natchnieniu dodałem: - Oddaj Sue słuchawkę.

Rozejrzałem się, poszukując taksówki, lecz żadnej nie dostrzegłem. Ruszyłem szybkim krokiem wzdłuż Mercer Street, Trudie dreptała obok. Dotarłem do końca ulicy, nim w telefonie zabrzmiał głos Sue, załamując się nawet na prostym słowie.

- Halo?

Na Shafsbury Avenue kręciło się mnóstwo taksówek. Zatrzymałem jedną machnięciem prawej ręki, ściskając komórkę w lewej.

- Dam ci przyjaciółkę - poinformowałem Sue, wsiadając do wozu. - Rozmawiaj z nią. Daj jej znać, gdyby coś się stało. - Podałem telefon Trudie, dodając pod adresem kierowcy: - Royal Oak. - I ruszyliśmy.

Dzięki burmistrzowi Livingstone'owi i jego cudownym opłatom przeciwkorkowym całkiem szybko przejechaliśmy przez centrum, ale potem utknęliśmy na dobre na Edgware Road w stronę Westway. Trudie cały czas podtrzymywała rozmowę o niczym z Sue Book. Na to właśnie liczyłem. Że sprawi, że Sue zapomni o swym strachu, jednocześnie informując mnie, że wciąż żyje. Ja siedziałem z zamkniętymi oczami, myśląc o Juliet, a raczej o odpowiadającej jej melodii. Gdybym musiał z nią walczyć, będę potrzebował przywołać ją natychmiast, a w tym momencie przepychała się z innymi melodiami i żadnej z nich to nie służyło. Musiałem zapomnieć ostre frazy strachostwora z basenu w Super-Self i podstępne dysharmonie Asmodeusza, odepchnąć je w głąb umysłu.

Oczywiście, sam siebie oszukiwałem. Flet prosty świetnie sprawdza się w starciach z duchami, ale w walce z demonem jest jak kusza przeciwko kałasznikowowi: masz jeden strzał i giniesz, nim zdążysz przygotować następny. Jednak to było kolejne bagno, do którego sam wciągnąłem niewinnego obserwatora, toteż nie mogłem po prostu odejść. Nie, jak zwykle musiałem wmaszerować w sam środek, pogwizdując wesołą melodię.

Bourne Terrace była cicha i pusta, z zewnątrz dom Sue sprawiał wrażenie pogodnego i spokojnego.

- Zaraz wrócimy - poinformowałem taksówkarza. - Niech pan nie odjeżdża.

Trudie przez całą drogę do drzwi wygłaszała komentarze na bieżąco.

- Teraz idziemy podjazdem, jesteśmy na zewnątrz.

Drzwi otworzyła Juliet i odsunęła się na bok, by nas wpuścić. Spojrzałem na nią pytająco. Jej wzrok powędrował w stronę fletu, który wciąż ściskałem w dłoni, i uniosła brew.

- Nie będziesz go potrzebował - oznajmiła. - Na szczęście dla ciebie.

- Może i nie - ustąpiłem. - A ty?

- Czy chcę, żebyś graniem przywołał dawną mnie? - spytała Juliet z sardonycznym

naciskiem. - Nie. Nie chcę. Przynajmniej na razie. Ale zabierz ją stąd szybko. Nie chce na mnie patrzeć, a kiedy się zbliżę, płacze. To mnie... drażni. Czuję, że tracę panowanie.

- Jesteś pewna, że to jedyny sposób? - zapytałem niezręcznie. - Nie masz pojęcia, dlaczego tak się dzieje? Niczego nie zauważyłaś? - Przypomniałem sobie malowane kamienie. - Znalazłem koło twojego domu i w innych miejscach przywołania. Myślisz, że ktoś mógł...

Juliet się skrzywiła.

- Mógł wywołać inną moc przeciw mnie? Nie, Castor. Nie mogłabym tego przeoczyć. Myślę... - Nagle wzruszyła ramionami. Wydało się to niemal mimowolne, jakby strącała z siebie niechcianą rękę natręta. - To moja natura - oznajmiła z napięciem. - Istnieją granice, poza które nie mogę wyjść, zmieniając się. Dotarłam do końca trasy, Castor, i zaczynam się cofać.

Patrzyła na mnie i nagle uświadomiłem sobie, że jej oczy znów są czarne. Chwilowo czerwone ognie przygasły. Lecz napięcie w całym jej ciele świadczyło wyraźnie, że walczyła z własnym instynktem, z każdą sekundą z większym trudem strzegąc granic racjonalności.

- Zaczekaj w kuchni - poradziłem. - Zamknij drzwi. Włącz radio. Zrób sobie kawę.

Juliet zastanowiła się i kiwnęła głową.

- Bezkofeinową! - zawołałem, gdy zamykała za sobą drzwi.

Sue siedziała na kanapie w salonie, parę stóp od niej, na dywanie walały się szczątki strzaskanego krzesła, niczym odłamki po wybuchu. Telewizor z wgniecionym ekranem leżał na boku w kącie. Poszarpana dziura w tynku nad nim świadczyła o tym, jak się tam znalazł i z jaką szybkością.

Kiedy weszliśmy, Sue podniosła się na powitanie, pozdrowiła mnie i spojrzała pytająco na Trudie, w sposób, który zachęcał do jej przedstawienia. Obawiałem się, że może być w szoku, ale wyczułem w niej raczej spokój i przemożny smutek. Wyglądała jak ktoś, kto w końcu stracił resztkę nadziei i zaczyna odkrywać straszliwą ulgę, jaką niesie rozpacz.

- Powinnaś spakować kilka rzeczy - rzekłem. - Ubrania. Kosmetyki. Wszystko co niezbędne. Nie wiemy, jak długo potrwa poukładanie tego.

- Poukładanie? - Spojrzała na mnie z litością. - Nie możesz, Feliksie. Tego nie można poukładać. Cokolwiek do mnie czuła... minęło. Już jej nawet nie znam.

- Ja też nie - zgodziłem się. - Ale to nastąpiło tak szybko, Sue. Może to choroba. Albo coś, co spotyka demony, kiedy osiągną pewien wiek. Na razie stosujemy... środki tymczasowe. Ograniczające zagrożenie do czasu, gdy wymyślimy coś lepszego.

Sue nie dała się przekonać ani pocieszyć, lecz w tym momencie Trudie przejęła

pałeczkę i zabrała ją na górę, by pomóc w pakowaniu. Zostałem sam w salonie i mogłem ocenić zniszczenia. Sue mieszkała tu całe życie: najpierw z matką, do dnia jej śmierci, potem sama i w końcu z kochanką demonem. Może powinienem był poradzić, by to Juliet się wyprowadziła, ale gdyby znów straciła panowanie nad sobą, zapewne wróciłaby prosto tutaj i odzyskała wszystko, co do niej należy - łącznie z Sue. Tak będzie lepiej.

Pokój cuchnął jej gniewem i strachem Sue. Mój zmysł śmierci uwrażliwił mnie także na pozostałości emocji; czasami, gdy są dość świeże i mocne, potrafią zagłuszyć wszystko. Moje serce przyspieszyło biegu, popędzane echem adrenaliny.

Wycofałem się do holu w chwili, gdy na schodach pojawiły się Sue i Trudie. Trudie dźwigała walizkę, Sue niewielką torbę lotniczą.

- Wszystko? - spytałem.

Przytaknęła z twarzą bez wyrazu.

- Idźcie poczekać w taksówce - poprosiłem Trudie. - Zaraz do was dołączę.

Patrzyłem, jak idą podjazdem, po czym zastukałem do drzwi kuchni. Juliet otworzyła natychmiast. Podejrzewałem, że cały czas stała po drugiej stronie, czekając, aż się przejaśni, aż kobieta, z którą żyła ponad rok, odejdzie.

- Już jej nie ma - oznajmiłem.

Skinęła głową. Sama też to wiedziała.

- Czy wolałabyś nie wiedzieć gdzie będzie? - zapytałem. - Zamierzałem zabrać ją do Pen, ale mógłbym znaleźć jakiś hotel, jeśli... - Urwałem. - Jeśli tak bardzo się boisz utraty panowania, że uważasz, że bezpieczniej jej będzie w ukryciu.

- Niech zostanie wśród przyjaciół. - Głos Juliet zamienił się w gardłowy pomruk. - Ja nie... nie sądzę, bym jej szukała. Blokady strzegące twojego domu są bardzo silne. I ty też tam jesteś, co daje dodatkową ochronę - nie z powodu fletu, tylko dlatego że śliski z ciebie drań.

- Dobra - rzuciłem. W innych okolicznościach podziękowałbym jej za komplement, lecz w tym momencie uznałem, że to nie najlepsza chwila. - Nadal jestem bardzo zajęty innymi sprawami. Asmodeuszem. On coś pichci i naprawdę muszę się dowiedzieć co, zanim będzie gotowy. Na pewno nie...

Z emfazą pokręciła głową.

- W tej chwili nie potrzebujesz mojej ochrony. Zamiast tego mogłabym rzucić ci się do gardła.

- I w niższe rejony - przytaknąłem. - Jasne. Pewnie masz rację, ale kiedy to się skończy... porozmawiamy.

- Castor.

Byłem już przy drzwiach. Zatrzymałem się z ręką na zasuwce i odwróciłem. Podawała mi coś. Odruchowo wziąłem. Niewielki plik pięćdziesięciofuntówek, ten sam, który dałem jej dwa dni temu, płacąc za pilnowanie Pen.

- Masz rację - powiedziała Juliet. - Jest więcej niż przyjaciółką. Nie chcę, by coś jej się stało. Potrzebuje cię - zatrudniam cię, byś dopilnował, żeby do tego nie doszło.

- Zrobię to bez pieniędzy.

- Zrób z pieniędzmi. W tej chwili trudno mi zrozumieć przyjaźń czy w nią uwierzyć.

W umowy, owszem. Powiedz: „tak”.

- Tak.

- Zobowiąż się.

- Zobowiązuję się. Nie pozwolę, by coś jej się stało.

- To dobrze. A teraz odejdz.

Zawahałem się.

- A co ty zrobisz? - spytałem.

Uczyniła kolejny gwałtowny gest, jak wzruszenie ramion wyrywające się spod kontroli.

- Nie wiem - oznajmiła zimnym głuchym głosem, pozbawionym zwykłych podniecających kadencji. - Możliwe, że zakończę ten eksperyment. Wrócę do domu.

Poczułem nerwowy ucisk w żołądku. Niemiło było słuchać słów Asmodeusza, powtarzanych niemal dokładnie przez Juliet.

- Nie rób tego bez wcześniejszej rozmowy - poprosiłem.

Posłała mi przeciągłe spojrzenie.

- Uważaj, czego sobie życzysz - warknęła.

ROZDZIAŁ 14

Mimo że Pen mówiła zeszłej nocy o wybraniu się na własne łowy, kiedy się zjawiliśmy, była w domu, i gdy wyjaśniłem jej sytuację, przyjęła na klatę nową niespodziewaną lokatorkę.

- Mamy mnóstwo wolnych pokoi - poinformowała Sue bez słowa komentarza, odbierając ode mnie cienki plik pięćdziesiątek. - Chodź, zobacz, który ci się spodoba, to pootwieramy okna i trochę przewietrzymy.

Zaciągnęła Sue w odległe trzewia domu - ziemię niczyją pomiędzy jej piwnicą a moim strychem, na którą rzadko się zapuszczała. Podobnie jak Sue, mieszkała w domu, w którym wcześniej żyła jej matka. Mogła się szczycić trzema pokoleniami Brucknerów, którzy wszyscy żyli i (z jednym wyjątkiem) umierali na tej ziemi. Może to da im wspólny temat do rozmowy.

Sądząc z wyrazu twarzy Trudie, my też mieliśmy o czym pogadać i wiedziałem, co zamierza rzec, nim się odezwała.

- Ten stwór jest niebezpieczny - oznajmiła. - Najpewniej zbyt niebezpieczny, byś sam mógł sobie z nim poradzić. Fakt, że bawił się w dom z człowiekiem, nie zmienia jego prawdziwej natury. Powinieneś poinformować profesor Mulbridge o tym, co się stało.

- Juliet to nie stwór. - Nalałem sobie hojną porcję koniaku z butelki w kredensie Pen i dopiero, gdy kieliszek znalazł się w połowie drogi do mych ust, zorientowałem się co robię. Spięty i sfrustrowany, odstawiłem go. - Uważam ją za przyjaciółkę.

Trudie z ponurą miną pokręciła głową.

- W takim razie jesteś kretynem. Castor, czy to, co spotkało Ditko, niczego cię nie nauczyło?

Zwalczyłem nagłą falę gniewu. W Royal Oak Trudie była oazą siły i spokoju, lecz za każdym razem, gdy byłem bliski odsłonięcia się przy niej, wycinała mi taki numer.

- Rafi to stary kumpel, którego zgwałcił i opanował demon - odparłem beznamiętnie. - Juliet to demon, którego przypadkiem lubię. Nie dostrzegam analogii.

Trudie zauważyła ostrzeżenie w moich oczach, ale nie miała zamiaru się wycofać.

- Owszem - odparła - dostrzegasz. Po prostu nie chcesz. Jeśli zaczniesz antropomorfizować te stwory, to sam się oślepiasz. Zaczniesz oczekiwać, że będą się zachowywały jak ludzie.

- No, z ciebie też jeszcze nie zrezygnowałem - zauważyłem.

Co zaskakujące, ten cios poniżej pasa najwyraźniej ją zabolął. Udała, że się śmieje, lecz kilka razy szybko zamrużyła i odwróciła wzrok. Do tej pory widziałem w niej Joannę D'Arc: zbrojną swoją prawością, nieznoszącą frajerów. Zaskoczyło mnie, że jej zbroja ma słabe punkty.

- To nasi wrogowie. - Odruchowo poprawiła sznurki oplatające dłonie. - Torturują, zabijają i niszczą wszystko, czego dotkną. Nie rozumiem, czemu tego nie dostrzegasz.

- A ja nie rozumiem, czemu sądzisz, że znasz już wszystkie odpowiedzi - odparłem, lecz ze znacznie mniejszym ogniem. - Posłuchaj, jeśli chodzi o Juliet, to nie zawsze zabija kiedy może, ani nawet kiedy chce. Dwa lata temu mnie też nie zabiła. To właśnie przełamało między nami lody.

Widziałem, że jej nie przekonałem, i z jakiegoś powodu zapragnąłem zasiać nasienie wątplenia.

- Trudie - rzekłem - zastanów się. Istnieje różnica między górą Ararat i arką Noego. Byłaś kiedyś na Araracie? Jest w Turcji. Możesz wybrać się tam na wycieczkę, urządzić piknik. Ale czy to dowodzi, że Noe osiadł tam, kiedy opadły wody?

Trudie patrzyła na mnie oszołomiona.

- Bierzesz mnie za literalistkę? - spytała z niedowierzaniem. - Sądzisz, że wierzę, że każde słowo Biblii to niewzruszona prawda?

- Nie. Po prostu chcę, żebyś zobaczyła różnicę. Ararat istnieje, ale nie dowodzi to istnienia Noego ani potopu. Teraz wiemy, że piekło także istnieje. Nie znaczy to jednak wcale, że ty, Gwillam czy jakikolwiek inny żołnierz Chrystusa wie, czym ono jest. Plotki to nie fakty, a jeśli chodzi o piekło, Biblia jest zwykłym tabloidem starożytnego świata.

To było dla niej za wiele. Wydała z siebie nieartykułowany okrzyk zniecierpliwienia.

- Castor, nie musisz wierzyć w Biblię; wystarczy, byś uwierzył świadectwu własnych oczu. Ten stwór, Ajulutsikael, może i nosi sukienkę i ma ładny tyłek, ale nigdy nie był niemowlęciem, dzieckiem, nastoletnią buntowniczką ani niczym, co uważasz za kobietę. Nie jest niczyją córką, niczyją matką. Jest kobietą tak samo jak patyczak patykiem. Nie, jak modliszka liściem. W chwili, gdy o tym zapomnisz...

Urwała w pół zdania, patrząc poza mną w stronę drzwi pokoju. Odwróciłem się odruchowo, podążając za jej wzrokiem. W drzwiach stała Pen. Sue postąpiła już kilka kroków w głąb pokoju, potem jednak zamarła, zderzywszy się ze ścianą słów Trudie. Teraz znów ruszyła naprzód.

Kolor zniknął z jej twarzy. Nawet wargi miała białe. Przez moment wyglądała równie

blado jak Juliet. Zaciskała mocno pięści, jej ciało napięło się tak mocno, że wyglądała, jakby przy najmniejszym dotknięciu miała zadźwięzczyć wysokim A.

- Przepraszam - zająknęła się Trudie. - Nie chciałam...

- Patyczak. - Głos Sue brzmiał paskudnie, zgrzytliwie. - Modliszka. Co ty... Czego kiedykolwiek dotknęłaś? Kogo... kochałaś, o kogo dbałaś, z kim poszłaś do łóżka, ty popieprzona suko? Jak śmiesz stać tam i... i oceniać moją... żonę?

Po tym słowie rzuciła się na Trudie jednym skokiem. Trudie przewyższała ją o piętnaście centymetrów i została wyszkolona przez ekskomunikowanych sierżantów z Anathematy, by móc stawić czoło ludziom i demonom, nie walczyła jednak, kiedy Sue zaatakowała ją, drapiąc i tłukąc pięściami; jedynie uniosła ręce, by osłonić twarz.

Trudno było oderwać Sue od Trudie, nie robiąc jej krzywdy, ale w końcu udało nam się z Pen; każde z nas złapało ją za jedną rękę i uniosło nad podłogę, by pozbawić punktu oparcia. Trudie pośpiesznie cofnęła się o krok, opuszczając gardę.

- Zaczekam na dworze - oznajmiła, a potem dodała pod adresem Sue: - Przepraszam, naprawdę bardzo przepraszam.

Uciekła z pokoju na górę. Kiedy drzwi wejściowe trzasnęły za nią, ostrożnie puściliśmy Sue i cofnęliśmy się szybko. Złość i oburzenie dobrze jej zrobiły. Znowu wyglądała jak dawna Sue, sprzed czasów, gdy trzy dni temu zastałem ją zamkniętą w domu i z podbitym okiem.

- Nic mi nie jest - oznajmiła. - Jestem spokojna. - Sekundę później wybuchnęła kolejnym: - Suka! - Dowiodła dokładnie, jak bardzo jest spokojna, zapewne po raz drugi w swym życiu używając tego słowa.

Pen objęła ją szybko.

- Muszę tam wracać - poinformowałem je. Przez moment chciałem wyjaśnić, lecz uznałem, że „Asmodeusz jest pod ziemią” to informacja, która niezbyt przyda się Pen. Nie mogła dołączyć do polowania, a myśl o egzorcystach Jenny-Jane przeszukujących ulice w poszukiwaniu Rafiego jedynie by ją zmartwiła. - Wracam do sprawy - dokończyłem niezgrabnie. - Zajrzę później, jeśli będę mógł. Dacie sobie radę?

Pen przytaknęła nad głową Sue i zostawiłem je tchórzliwie.

- Zadzwon do Leonidasa! - zawołała, kiedy wspinałem się już po schodach na parter.

Odwróciłem się i cofnąłem na dół.

- To facet z „300” - zauważyłem. - Gerard Butler.

- No, kogoś podobnego.

- Anastasiadisa?

- Właśnie.

Jakieś postępy w sprawie dzienników? W tym momencie przydałyby mi się dobre wieści. Dołączyłem do Trudie na ulicy i spytałem, czy da mi parę minut, żebym mógł zadzwonić. Nadal sprawiała wrażenie nieco wstrząśniętej wybuchem Sue.

- Nie musisz się śpieszyć - oznajmiła i odeszła na koniec podjazdu, poza zasięg głosu.

Sekretarka Anastasiadis mówiła wyłącznie po macedońsku, mogłem zatem jedynie powtórzyć nazwisko, póki nie poddała się i mnie nie przełączyła.

- Panie Castor. - Prawnik sprawiał wrażenie zmęczonego i zniechęconego.

Biorąc jednak pod uwagę dzień, trudno się dziwić. Zerknąłem na zegarek. Uwzględniając różnicę czasu, musiały minąć trzy godziny odkąd Jovan pokonał swą ostatnią drogę.

- Źle się pan czuje? - zapytałem. - Zrobił pan wszystko co w pańskiej mocy. Jak pan mówił, Jovan od początku grał znaczonymi kartami. Zapewne zakleпали termin egzekucji, nim jeszcze rozpoczęli proces.

- Dlatego właśnie dzwoniłem, panie Castor - odparł ponuro Anastasiadis. - Nie doszło do egzekucji.

Zamrugąłem.

- Słucham? Chce pan powiedzieć, że jednak dostał ułaskawienie?

- Nie to miałem na myśli. Zeszłej nocy Jovan Ditko został zamordowany. Ktoś włamał się do więzienia Irdrizovo, wyważając bramę z zawiasów, i zabił go w jego celi. Nie zrobił tego szybko ani czysto. Doszło do... okaleczeń. Zwłaszcza jego oczy...

Następnych paru zdań nie usłyszałem, bo chwilowy paraliż wywołany szokiem sprawił, że telefon wysliznął mi się z palców. Musiałem pochylić się gwałtownie, by go złapać, nim uderzy o ziemię. Kiedy z powrotem uniosłem go do ucha, prawnik nadal opisywał, co spotkało jego klienta przed - czy może, patrząc optymistycznie po - śmierci.

Przerwałem mu w pół zdania. Mogłem dopowiedzieć sobie resztę szczegółów bez jego pomocy.

- Złapali kogokolwiek? - spytałem. Ale odpowiedział już wcześniej: nie mówi się „ktoś się włamał”, jeśli wie się, kim jest ów ktoś. - Widzieli kogoś?

- Ani to, ani to - odparł Anastasiadis. - Inni więźniowie z bloku słyszeli - trudno było nie słyszeć - i krzyczeli, wzywając strażników. Tamci jednak obawiali się zamieszek, do których często dochodzi w noc przed egzekucją, toteż nie przyszli. Znaleźli go rano.

Asmodeusz. Asmodeusz pokonał tysiąc mil, by zamordować ostatniego żyjącego krewnego Rafiego kilka godzin przed tym, nim i tak by zginął. Jak? Jak tego dokonał? Kiedy

Juliet poleciała ze mną do Stanów Zjednoczonych, to doświadczenie o mało jej nie zniszczyło: przez kilka tygodni potem była słaba, chora i oszołomiona. Demony to moce chtoniczne - zbyt duże oderwanie od ziemi działa na nie jak ostry atak grypy. Z tej właśnie przyczyny Juliet odmówiła powrotnego lotu na Heathrow. Powiedziała, że zna inne sposoby podróżowania, niewiążące się z oderwaniem od ziemi.

- Panie Castor? Jest tam pan jeszcze?

- Tak. Jestem.

- Przepraszam. Nie chciałem obciążać pana nieprzyjemnymi detalami. Ale dręczą mnie. Trudno mi przestać o nich myśleć. I zastanawiam się - biorąc pod uwagę to, co powiedział pan wczoraj Jovanowi, cały czas się zastanawiam - czy demon, o którym pan mówił, mógł się przyczynić do jego śmierci.

- Nie możemy wiedzieć na pewno - odparłem ponuro.

- Ale w pana ocenie?

- Tak. To był Asmodeusz.

Prawnik westchnął - przeciągle, z lekkim drżeniem.

- Mój tłumacz pracuje nad notatnikami - oznajmił. - Ma pan adres e-mail?

Podąłem mu mejle Nicky'ego i Pen i poprosiłem, by przesłał przekład na oba.

- Wciąż pan szuka tego stwora? - zapytał.

Tym razem nie oprotestowałem doboru słów.

- Tak. Wciąż go szukam.

- Proszę bardzo uważać, panie Castor. I życzę szczęścia. Nie wierzę, by jakikolwiek bóg darzył mnie sympatią, lecz nadal będę się za pana modlił.

- Dzięki. Przyda mi się każda pomoc.

Wsunąłem komórkę do kieszeni i dołączyłem do Trudie. Nadal miała ponurą minę. Przez moment zastanawiałem się, czy nie zachować dla siebie najnowszych faktów, ale umowa to umowa. Opowiedziałem jej o wszystkim w drodze na stację metra.

- Macedonia! - Sprawiała wrażenie bardziej zdumionej logistyką niż wstrząśniętej tym, co zrobił Asmodeusz, ale też nigdy nie poznała Jovana Ditko ani nawet Rafiego.

- Macedonia - zgodziłem się. - W środku zeszłej nocy. Bóg jeden wie, ile potrzebował czasu, by tam dotrzeć, ani kiedy wróci.

- Może dlatego nikt jeszcze go nie namierzył - zastanawiała się na głos Trudie. - Nawet jeżeli ma tunel pod Holbornem, możemy go nie znaleźć, jeżeli ostatnio go nie odwiedzał. Najpewniej tracimy czas.

Zrelacjonowała mi poranne wydarzenia. Większość obszaru pomiędzy Holbornem i

rzeką przeszukano dokładnie i McClennan polecił swym zespołom, by rozproszyły się na wschód i zachód. Sama Trudie przez większość ranka krążyła wąskimi uliczkami wokół Kingway, lecz jej zmysł śmierci zarejestrował jedynie obecność miejscowych duchów i zombie.

- Może masz rację - powiedziałem. - Ślad nie jest dość świeży. A może po prostu ukrył się zbyt głęboko. W dole, pięćdziesiąt stóp pod zwykłymi tunelami, mogła pozostać kanalizacja z czasów wiktoriańskich. Albo tunele metra, których nigdy nie udokumentowano. Wiemy tylko to, co ktoś zdecydował się zapisać.

Trudie nie odpowiedziała. Od czasu starcia u Pen robiła wrażenie zamkniętej w sobie. Nie odzywała się przez całą drogę do miasta i kiedy odtwarzaliśmy trasę, którą wędrowała przez większość ranka. W pewnym momencie na Kemble Street wpadliśmy na Etheridge'a i jego partnerkę - kobietę, którą Gil McClennan przedstawił jako Greaves. Etheridge wyglądał tak samo jak zwykle: podenerwowany, wstrząsany tikami, ale Greaves była wyraźnie zmęczona i zniechęcona.

- Nikt na nic nie natrafił - oznajmiła - a do tej pory sprawdziliśmy po dziesięć razy każdy centymetr kwadratowy tego obszaru. Gdyby tu było coś do znalezienia, znaleźlibyśmy to. Ale Gil mówi, że musimy szukać dalej, dopóki nie zacznie się zmierzchać.

- Jest bardzo dokładny - skomentowałem obojętnym tonem.

Greaves prychnęła wzgardliwie.

- Sra w gacie ze strachu - odparowała. - To przynajmniej pozwala mu zapomnieć, prawda?

- O czym? - Zdziwiła się Trudie.

- O Super-Self. Wchodzi tam dziś w nocy i nie wie, jak mu pójdzie. Radzi sobie ze stresem, pracując.

Przypomniałem sobie wczorajszą bójkę z McClennanem. Greaves mogła mieć rację, ale jeśli nawet Gil się bał, to podejrzewałem, że nie tylko o własne bezpieczeństwo. Walnął mnie, bo uznał mój zaimprovizowany plan bitwy za zagrożenie dla jego egzorcyistów. Potem jednak, dziś rano, odrzucił moją propozycję, choć dawała mu łatwe wyjście. Teraz musiał się zastanawiać, na co naraża siebie i swoją ekipę i czy ten wieczór zakończy z krwią - cudzą krwią - na rękach. Być może to pierwszy McClennan, który rozważał podobne pytania.

Szliśmy dalej do końca ulicy, a potem jeszcze raz tam i z powrotem Kingsway. Potem Trudie oznajmiła, że wraca do KOM, do swojej mapy. Może fakt, że Asmodeusz wyjechał z miasta, coś zmieni. Pojawią się nowe linie, z wyraźną przerwą między nimi a starymi, ponieważ Asmodeusz skoczył sobie do Europy Wschodniej na jednodniową wycieczkę z

morderstwem. Upływ czasu może wystarczyć, by odróżniła obecne poruszenia demona od tych dawnych.

Zamierzałem już zaproponować, że z nią pójde, lecz zadzwoniła moja komórka i rzut oka na ekranik poinformował mnie, że to Caldessa.

- Muszę odebrać - przeprosiłem Trudie.

Wzruszyła ramionami i cofnęła się parę kroków.

- Halo? - Odwróciłem się do niej plecami.

- Halo, moje serce - odparła Caldessa. - Mam dobre wieści. Mój przyjaciel Burgerman zdołał mi pomóc przy budowie twojego strasznego urządzenia. Okazuje się, że w dzisiejszych czasach proces wiercenia i zestrzajania odbywa się za pomocą komputerów - *quelle surprise*. Burgerman zna kogoś, kto produkuje je hurtowo dla turystów, ze starych bombonierek i szkatulek na biżuterię. Słyszając twoje specyfikacje, na chwilę zaniemówił, ale zdołał błyskawicznie załatwić cylindry, a grzebienie są standardowe.

- Zatem jest już gotowe? - zdumiałem się.

- Nie do końca, ale będzie, nim tu dotrzesz. Właśnie montuję wszystko w obudowie.

- Jesteś ósmym cudem nowożytnego świata, Caldesso - powiedziałem.

- Starożytnego świata - poprawiła z westchnieniem. - Niestety.

Rozłączyłem się i rozejrzałem w poszukiwaniu Trudie, ta jednak zniknęła. Musiało znudzić ją czekanie na mnie, albo może uznała, że odrobina samotności pozwoli jej odetchnąć od mojego towarzystwa. Właściwie nie mogłem jej winić.

Sprawdziłem godzinę i rozważyłem opcje. Zamierzałem zajrzeć do Pen, by się upewnić, że wciąż są z Sue bezpieczne. Chciałem sprawdzić, co u Nicky'ego, zobaczyć, czy zdołał dowiedzieć się czegoś więcej o Tlalliku, Kecie i Jetaniulu. Nade wszystko pragnąłem się przespać, ale to można zrobić po śmierci - no, jeśli ma się szczęście.

Zatem przed tym wszystkim podjechałem metrem do Kensington i odebrałem zamówienie. Caldessa ze zrozumiałą dumą zademonstrowała mi jak działa.

- Trzy sprężyny - oznajmiła, obracając w dłoniach nieciekawe drewniane pudełko. Nie pomalowano go ani nie polakierowano; w odróżnieniu od pomysłowego przyjaciela, Burgermana, Caldessa nie użyła wiktoriańskiej bombonierki ani szkatułki na biżuterię: po prostu zbiła sześć z sześciu kawałków szorstkiej sklejki, wycinając w jednym z nich ukośne otwory, by urządzenie mogło działać. - Ale kiedy je nakręcisz, możesz włączyć tym przełącznikiem. Oczywiście nie otwiera się. I nie wygląda zbyt imponująco. Ale zakładam, że działanie jest ważniejsze niż oprawa, a dzięki temu będzie bardziej solidne niż zwykły model.

- Jest idealne, Caldesso. - Ucałowałem ją w policzek, a ona pisnęła, kiedy ukułem ją

dłuższym niż zwykle zarostem. - Kiedy tylko skończę, odezwę się w sprawie spotkania. Nawet się ogolę.

- Tu akurat nie musisz się trudzić - mruknęła Caldessa. - Łotrowski urok stanowi twoją silną stronę, Feliksie. Po ogoleniu i manikiurze wyglądałbyś jak sprzedawca używanych samochodów.

Coś w tym było. Nigdy nie wyglądałem dobrze wypindrzony. Raz jeszcze podziękowałem jej i wycofałem się z resztką nietkniętej dumy.

W domu Pen nikt nie odpowiadał, podobnie Nicky, ani w Gaumoncie, ani pod komórką. Zmęczenie dopadało mnie coraz mocniej, a powieki pozostawały w górze tylko kiedy je do tego zmuszałem. Gdy o nich zapominałem, natychmiast zaczynały opadać.

Było zaledwie wpół do siódmej - zostało ponad pięć godzin, nim będę musiał zjawić się w Super-Self, by ocalić Gila McClennana przed jego własnym Little Big Horn. Ustąpiłem zatem przed nieuniknionym, złapałem pociąg linii okrężnej, jeżdżący w kółko przez South Ken, i na pół godziny przyłożyłem głowę do oparcia.

No, przynajmniej planowałem pół godziny. Kiedy sen otworzył czarną gardziel u mych stóp, straciłem równowagę i runąłem w głąb głową naprzód, niczym zaćpany kasek w wąpiau Cerbera. Ukołysany ruchem pociągu, wraz z nim osunąłem się w ciemność. Był to sen tak głęboki, że niemal pozbawiony majaków: a przynajmniej zaludniające go wizje okazały się zbyt prymitywne i bezkształtne, by utworzyć prawdziwe obrazy bądź dźwięki. Pozostały zaledwie załączki uczuć, w połowie złożone z czegoś niepokojącego i znajomego. Zupełnie jakbym się pogrążył w nieskończonej otchłani *déjà vu*.

Obudził mnie głośnik na stacji Moorgate, informujący o braku opóźnień na wszystkich liniach. Jak to mówią: są kłamstwa, bezczelne kłamstwa i informacje w londyńskim metrze.

Oszołomiony i wymięty, kulilem się w kącie siedzenia. Najpierw uświadomiłem sobie, że zasnąłem z fletem wbitym pod trzecie żebro, przez co teraz krzywiłem się z bólu przy każdym oddechu. Dopiero później odkryłem, że mężczyzna w śnieżnobiałym prochowcu, siedzący naprzeciwko i obserwujący mnie z wyrazem nieobecnego, błogiego spokoju, to ojciec Thomas Gwillam.

- Dobry wieczór, Castor - rzekł z powagą.

- Wieczór? - Zerknąłem na zegarek.

Wpół do dziesiątej. Spałem trzy godziny. Wciąż nie ma powodu do paniki, ale stanowczo najwyższy czas zsiąść z karuzeli.

- Dobry wieczór, ojciec - wymamrotałem. - Ostatni raz spowiadałem się jakieś szesnaście lat temu.

Gwillam zacisnął wąskie wargi. „Nie lubię, kiedy ludzie żartują z poważnych spraw”. Jego jasne oczy zamrugały i otworzyły się powoli jak u kota.

- Zostałem ekskomunikowany - przypomniał mi. - Zatem nie mam prawa wysłuchiwać spowiedzi. Twoje grzechy będą musiały jeszcze trochę pociążyć ci na sumieniu.

W końcu rozbudzony, rozejrzałem się wokół, z opóźnieniem rejestrując fakt, że Gwillam nie jest sam. Po obu moich stronach stało dwóch członków jego ekipy - bardzo młoda kobieta i facet zbudowany jeszcze solidniej niż pan Dicks. Byli dość blisko, by mnie przychwycić, gdybym spróbował zrobić cokolwiek pachnącego *lessè-majesté*.

- Prowadzisz bardzo niebezpieczną grę - poinformował mnie Gwillam.

Wybuchnąłem głośnym śmiechem. Nie mogłem się powstrzymać: w jego ustach zabrzmiało to jak coś, co usłyszałem w jednym z filmów o Bondzie.

- A co proponujesz? - spytałem. - Na pewno nie twista, nie jestem już taki giętki jak kiedyś.

- To ty pierwszy uwolniłeś tego stwora, Castor. Wszystkie wynikające z tego ofiary obciążają właśnie ciebie. I ty przede wszystkim powinieneś dopilnować, by został zniszczony, nim kogoś skrzywdzi.

Gniew podszedł mi do gardła niczym zółć. Mimo dwójki ochroniarzy - a ani przez moment nie wątpiłem, że dziewczyna jest co najmniej tak niebezpieczna jak paker - miałem ochotę skoczyć na niego i mu przywalić. Jeden solidny cios w nadętą, zadowoloną buźkę wydał mi się niemal wart zbitcia na kwaśne jabłko.

Ale byłem już umówiony.

- To twoi ludzie go wypuścili, ty kutafonie - warknąłem. - Ja wyciągnąłem go od Stangera, ale to twoi zabójcy otworzyli jego pieprzone drzwi i pozwolili mu wyjść. Jesteś tak samo winien jak ja.

Ku mojemu zdumieniu kiwnął głową.

- Owszem - zgodził się - ja także jestem winny. Nie zaprzeczam. Dlatego właśnie pozwoliłem ci działać swobodnie. Wiem, co próbujesz zrobić. Nie żywię nadziei, że ci się uda, ale nawet najmniejsza szansa powodzenia przeważa ryzyko, że sam zaszkoździsz własnym planom.

Na moment zawiesił głos, patrząc na mnie ze zmarszczonym czołem. Przechylił głowę, by lepiej przyjrzeć się nieco wyblakłym sińcom na mej twarzy, pozostałościom pierwszego spotkania z Asmodeuszem w Brixton.

- Podejrzewamy jednak, że demon wciela w życie swoje własne plany - dodał - i to bardzo zaawansowane. Przełknąłem zatem dumę, Castor, i przyszedłem zaproponować,

żebyśmy połączyli siły, by go pokonać.

- Nie, dzięki - rzuciłem.

Gwillam nie sprawiał wrażenia zaskoczonego, lecz jego oczy się zwęziły.

- Sam nie czynisz żadnych postępów. Błądzisz po omacku.

Znów się roześmiałem.

- Gwillam, masz mnie za idiotę? Jesteś tu, bo wystrzelałeś wszystkie naboje z magazynku i w nic nie trafiłeś. Masz puste ręce. Łapiesz się każdej szansy, a ja jestem najpewniej ostatnią. Uznałeś jednak, że propozycja współdziałania zabrzmi lepiej niż próba wyciągnięcia ode mnie informacji za darmo.

Wyraz twarzy Gwillama się nie zmieniał.

- Mylisz się - rzekł. - Twój cynizm nie przynosi ci chluby, ale do pewnego stopnia mogę go zrozumieć. Istotnie, nie odnaleźliśmy jeszcze Asmodeusza, podobnie jak ty, ale udało nam się wyłączyć jego zaplecze.

- Amerykańskich satanistów - przelożyłem i z pewną przyjemnością dostrzegłem w jego oczach zdumienie, które próbował ukryć.

- Zgadza się - potwierdził Gwillam. - Pozostałości organizacji Antona Fankego, obecnie zlikwidowanej bez śladu. Cokolwiek robi Asmodeusz, nie może się uciec do niczyjej pomocy. Mamy teraz okienko i jeśli wykorzystamy je mądrze - jeśli nawiążemy współpracę i podzielimy się informacjami - możemy go pokonać.

Stanowczo pokręciłem głową.

- Nie - rzekłem - nie możemy. Bo w tym właśnie - pokonaniu - nasze drogi się rozchodzą. Ty chcesz, by zginął, a ja chcę go tylko schwytać.

- Chcę, żeby demon zginął - poprawił mnie Gwillam.

- I nie obchodzi cię, kto jeszcze zaryje w ziemię. Albo trafi pod nią. Widziałem, jak pracujesz, Gwillam. Zamiast ciebie wybrałem na partnerkę Jenę-Jane Mulbridge. To powinno ci sporo powiedzieć.

- Przypuśćmy, że przysięgnę - na księgę, którą kocham - że nie zabiję Ditko, chyba że będzie to absolutnie nieuniknione?

- Jesteś ekskomunikowany. Nie masz już nic do stracenia, prawda?

Pociąg zatrzymał się na stacji i Gwillam wstał. Młoda kobieta odwróciła głowę, patrząc na niego, on jednak poruszył ręką w niemal niedostrzegalnym geście: „nie”.

- Możesz do mnie zadzwonić - rzekł. - Wiadomość pozostawiona w domu w St. Albans - tam, gdzie wytropiłeś mnie ostatnio - dotrze do mnie. Nie pozwól zwieść się fałszywej dumie, Castor. Masz rację, że w tej sprawie moje słowo, nawet przysięga, nic nie

znaczy. Złamałbym każdą obietnicę i zdradził każdego, byle tylko wypalić to zło. Lecz gdyby twoje metody nieco bardziej przypominały moje, zginęłoby mniej ludzi. Przemyśl to. A kiedy dotrzesz do końca swej własnej żalosnej Kalwarii, daj mi znać. Moja oferta pozostaje aktualna.

Wysiadł, a wraz z nim dwójka jego niesymetrycznych ochroniarzy. Cztery przystanki do Paddington. Wykorzystałem ten czas, by wziąć się w garść i otrząsnąć z atmosfery pozostawionej przez ten pieprzony sen.

Nieoceniony pan Dicks znów pełnił dyżur w recepcji, a jego przypominający pierdnięcie pomruk, gdy Dicks nacisnął guzik otwierający bramkę, mówił wyraźniej niż słowa, że mój widok niezmiernie go ucieszył. Wszedłem do środka, pogwizdując nieco fałszywie „Nkosi Sikelel' l'Africa”.

W budynku było ciemno i prawie zupełnie pusto. Kolejny strażnik sprawdzał bez entuzjazmu okna, poza tym jednak nie dostrzegłem nikogo, dopóki nie dotarłem na drugie piętro i nie zauważyłem lekkiej poświaty przenikającej spomiędzy zasuniętych żaluzji gabinetu Jenny-Jane. Przekradłem się obok na paluszkach, bardzo uważając, by mnie nie usłyszała.

W pokoju z mapą było ciemno, ale kiedy zapaliłem światło, odkryłem, że Trudie jednak tam siedzi. Tkwiła w mroku, po kolana w podartych papierach. To przynajmniej wyjaśniało, gdzie się podziała mapa, choć nie dlaczego.

Usłyszawszy mnie, uniosła głowę i spojrzała na mnie pustymi oczami. Wyglądała jakby płakała, choć nie w tej chwili. Zaciskała pięści, ale sznurki kociej kołyski, zazwyczaj okręcone wokół kostek, teraz ciągnęły się po ziemi niczym rękawy pierrota, przez co wyglądała jak postać z tragedii.

- Wszystko w porządku? - spytałem.

- Nie - odparła. - Zupełnie nie.

Głos miała twardy i spięty, coś w nim ostrzegało, żebym stąpał bardzo ostrożnie.

- Zamierzałem spytać, jak ci poszło - wskazałem ręką podarte skrawki mapy - ale widzę, że nie uzyskam odpowiedzi.

- Jeszcze nie wrócił. A przynajmniej nie do Londynu. Żadnych nowych linii. Zupełnie nic. Strata czasu.

Czekałem. Jeśli zechce mi powiedzieć, co się stało, to powie. Jeśli nie, pytania mogłyby wywołać kryzys, na który zapewne nie miałem czasu. Żeby nie stać bezczynnie, zacząłem sprzątać. W miejscach, gdzie czarne linie zbyt gęsto nakładały się na siebie, zmieniając w wielkie nieregularne, nieczytelne plamy, Trudie w pewnym momencie

przerzuciła się na srebrny marker. Srebrzyste linie, przyciemnione grubym czarnym tłem, wyglądały jak stare ślady śluzu pozostawione przez ślimaki.

- Posłuchałam twojej rady - oznajmiła Trudie tym samym niebezpiecznym tonem.

Kłęcząc na kolanie, z rękami pełnymi kawałków papieru jak gość porządkujący składnicę makulatury, uniosłam głowę. Jej zapuchnięte powieki mrugnęły raz, drugi, trzeci.

- Jakiej dokładnie rady?

- Powiedziałeś, że powinnam zajrzeć tu do piwnicy. Jeśli chcę się dowiedzieć, dla kogo pracuję.

No dobra. To wiele wyjaśniało.

- Te cele to logiczna ekstrapolacja pewnych założeń - powiedziałem ostrożnie. - Chciałem po prostu, żebyś zastanowiła się nad implikacjami...

- Wiem, czego chciałeś, Castor - warknęła Trudie. - Powiedziałam ci, że tam byłam. Dziś wieczorem. Jakaś godzinę temu. Musiałabym być pierdoloną kretyką, żeby nie zrozumieć, prawda?

Chwila ciszy.

- Spójrz. Popatrz na to. - Uniosła rękę, która wyraźnie drżała. - Godzina. Wciąż nie mogę przestać. - Odetchnęła głęboko i wstała. Ręka opadła na bok, palce rozprostowywały się i zaciskały. - Rezygnacja z przyczyn moralnych. - Ponuro pokręciła głową. - Rezygnacja kiepsko wygląda w życiorysie, prawda? Nikt nie lubi mięczaków. Zwłaszcza tych świętoszkowatych.

Zbliżyłem się o krok, lecz jej ręka uniosła się gwałtownie, powstrzymując mnie. Trudie nie życzyła sobie żadnej pociechy, jaką mógłbym ofiarować, choć wyglądało na to, że łączy lada moment znów popłyną.

- Mimo to, nadal się mylisz - powiedziała - a Mulbridge wciąż ma rację. To właśnie jest najstraszniejsze, Castor: że jeśli mamy przeżyć, musimy zamienić się w kogoś takiego jak ona. Piekło krok za krokiem opanowuje Ziemię. Niebo nie spada nam na głowy, lecz grunt otwiera się pod nogami. Nigdzie już nie jest bezpiecznie. Jeśli stąd wyjdę, to tylko dlatego, że jestem tchórzem, tak jak ty.

Nie oponowałem. Trzęsły się nie tylko jej ręce, ale całe ciało. Spojrzała na sznurki zwisające z przegubów, uczyniła gest, jakby chciała nawinać je z powrotem, ale po dwóch czy trzech próbach zrezygnowała.

- A zrobisz to? - spytałem. - Odejdziesz?

Trudie pokręciła głową.

- Nie wiem - przyznała. - Jeszcze nie. Dopóki nie znajdziemy Asmodeusza i go nie

zamkniemy. Potem zobaczę, jak się będę czuła.

- W takim razie mogę poprosić cię o pomoc z czymś jeszcze? - Staralem się, by mój ton pozostał wystudiowanie neutralny.

- Z czym?

- Stworem z Super-Self. Gil ma rozpocząć łomot o północy. Chcę tam wejść wcześniej i sprawdzić, czy nie zdołam go pokonać sam.

Trudie wpatrywała się we mnie i po raz pierwszy na jej umęczonej twarzy odbiło się szczere zdumienie.

- Pokonać? - powtórzyła. - Ostatnim razem przeżuł nas i wypluł. Czemu dziś miałyby być inaczej?

- Bo dziś mam tajną broń - wyjaśniłem. - Prawdę mówiąc, ty mnie natchnęłaś. Spodobało mi się to, co zrobiłaś z mapą: w jaki sposób naciągnęłaś granice swego daru poza znaną bezpieczną strefę i zrobiłaś to co trzeba. Myślę, że potrafię zrobić to samo. Ale potrzebuję wsparcia, w razie gdyby wszystko się porypało. Kiedy ze sobą współpracowaliśmy, zdołaliśmy go osłabić dostatecznie, by móc wyjść z tej siłowni na własnych czterech nogach. I tego właśnie chciałbym dziś od ciebie. Bądź moim wsparciem i zapewnij mi pole do manewru, jeśli rzuci się na mnie, nim zacznę działać.

Trudie zawahała się, a potem wzruszyła ramionami.

- Dobra. Czemu nie?

- Dzięki. Czy jest jeszcze coś, co musisz tu załatwić?

Powiodła wzrokiem po otaczających ją zniszczeniach i ponownie pokręciła głową.

- Nie. Chyba już skończyłam.

Jak się okazało, oboje byliśmy praktycznie splukani - powinienem był zachować jedną pięćdziesiątkę na niespodziewane wydatki - toteż musiałem porzucić swój pierwszy pomysł, żeby złapać taksówkę i pojechać na Strand z powodu braku gotówki. Zamiast tego skorzystaliśmy z wcześniej kupionych dobowych biletów i pojechaliśmy linią okrężną na King's Cross, a potem przesiedliśmy się na Piccadilly. Niestety, stację Holburn zamknięto z powodu podejrzanego paczki, toteż wykopali nas na Russell Square i resztę drogi musieliśmy pokonać pieszo.

Spacer okazał się nawet przyjemny. Po kolejnym długim, upalnym dniu, nawet późnym wieczorem, kiedy godziny szczytu dawno minęły, pociąg wciąż cuchnął jak jedna gigantyczna pacha. Z ulgą odetchnęliśmy świeżym, stygnącym powietrzem i poczuliśmy wokół siebie miasto, balansujące na świetlistej krawędzi, kiedy dzień zamienia się w noc. Na niebie wciąż pozostało nieco światła, lecz budynki wznosiły się po obu stronach czarnymi

masywami. Pojawiające się od czasu do czasu, wciąż otwarte sklepy wyglądały jak jaskinie ziejące w skalnych ścianach.

Przed nami pojawił się kolejny ciemny masyw. Potrzebowałem chwili, by pojąć co to. Kiedy zrozumiałem, zatrzymałem się gwałtownie, wpatrując się w niego z zadziwieniem.

Trudie spojrzała na mnie ciekawie i podążyła za moim wzrokiem. Chwilę później u niej także zaskoczyła klapka.

- Mario, matko nas wszystkich - wyszeptała.

Londyńskie tramwaje zlikwidowano jeszcze przed drugą wojną światową, lecz część infrastruktury wciąż istnieje. W setkach miejsc, gdzie starych ulic jeszcze nie wyasfaltowano, można zobaczyć fragmenty torów, a w mojej części zachodniego Londynu zajezdnia tramwajowa Akton, wyglądająca niczym wiktoriańska hala o białych ceglanych murach i masywnym, wysklepionym dachu, aż do zeszłego roku wciąż służyła autobusom.

Teraz patrzyliśmy na południowy koniec tunelu Kingsway, podziemnego tramwaju zamkniętego w latach czterdziestych. Później rada miejska przekształciła jego część w tunel dla samochodów i autobusów wyjeżdżających z Aldwych, montując po prostu nowy stalowo-betonowy korytarz wewnątrz wcześniejszego, ceglano i wykafelkowanego. Resztę zamknięto i zostawiono bez zmian.

- Jak mogliśmy go przeoczyć? - zdumiała się Trudie.

Zadawałem sobie to samo pytanie. Odpowiedź poza „jesteśmy tępi jak muły pancerne i nie potrafimy bez mapy znaleźć własnej dupy” była najpewniej taka, że tunel nie miał wyjść pomiędzy Holborn i rzeką. Ten koniec mieścił się na Southampton Rove, paręset jardów od stacji Holborn, drugi wychodził gdzieś na Enbankment, na zachód od mostu Waterloo. Obecnie oba wyloty zablokowano i oprócz niewielkiego fragmentu czarnego kamiennego muru, na powierzchni nie pozostało nic świadczącego o tym, że pod ziemią kryje się tunel.

Popatrzyliśmy po sobie, zapewne myśląc to samo. Jeśli to tutaj ukrywał się Asmodeusz, to wejście do środka w zapadających ciemnościach bez latarki byłoby szaleństwem. Z drugiej strony, skoro demon wciąż nie wrócił do miasta, to mogła być nasza najlepsza szansa.

- Czujesz coś? - spytała Trudie.

Uniosła ręce przed twarz, poruszając palcami, tkając skomplikowane wzory ze splecionych sznurków.

- Nic - rzuciła z napięciem. - A ty?

- Nic - przyznałem. - Myślisz, że winniśmy zadzwonić do J-J?

- Myślę, że powinniśmy tam wejść - oznajmiła bez wahania. - Nie wiemy kiedy

Asmodeusz wróci. Jeśli zaczekamy na przyjazd ludzi z KOM, może zjawić się pierwszy i jakoś nas wyczuć. Najlepiej byłoby odkryć dokładnie, gdzie się przyczaił, i wycofać. Kiedy tu wejdzie, zablokujemy wejścia i wpompujemy do środka OPG albo tabun - tak, by unieszkodliwić go z daleka.

Brzmiało całkiem dobrze. Zerknąłem na zegarek. Dochodziła jedenasta. Jeśli wszystko się uda, zabijemy dwa ptaki za jednym zamachem. Kiedy wezwiemy Gila, żeby urządził pułapkę na Asmodeusza, będzie musiał odwołać najazd na Super-Self. A wtedy ja wrócę jutro i za dnia wypróbuję działanie swojej tajnej broni, chwytając wiatr w żagle.

- Zróbmy to - rzekłem.

ROZDZIAŁ 15

Tunel tramwajowy opadał w dół pod kątem około dwudziestu stopni do powierzchni ulicy. Przez pierwsze pięćdziesiąt metrów pozostawał otwarty u góry i nie był tunelem, tylko brukowaną rampą, po obu stronach ograniczoną czarnymi kamiennymi ścianami, oddzieloną od ulicy bramą z kutego żelaza.

Nawet nie sprawdzaliśmy, czy brama jest zamknięta. Mury były dość niskie, by się na nie wdrapać, i Trudie wyprzedziła mnie, gdy podparta jedną ręką wskoczyła na górę i opadła bezszelestnie na drugą stronę. Paru przechodniów przyglądało nam się ciekawie, kiedy gramoliłem się za nią, nic jednak nie powiedzieli i poważnie wątpiłem, by któryś zadzwonił na policję. Najpewniej uznali, że szukamy ustronnego miejsca na małe dymanko.

Trudie ruszyła w dół, zatrzymała się jednak, gdy dotarła do wylotu tunelu. Tutejsza brama wyglądała znacznie solidniej, a ponieważ kończyła się niecały cal od sklepienia, nie dałoby się na nią wdrapać.

Trudie szarpnęła eksperymentalnie i odwróciła się do mnie.

- Przyniosłeś może wytrychy? - spytała.

Pokręciłem głową. Otwieranie zamków to moje hobby, trwające od czasów, gdy tuż po dwudziestce próbowałem bezskutecznie zdobyć sławę ulicznego magika. Zawsze się cieszę, kiedy mogę spróbować swoich sił, ale nie noszę ze sobą zestawu małego włamywacza, chyba że wiem, że będzie potrzebny. Mam za sobą zbyt wiele bolesnych starć z długą ręką i krótką pałką prawa, by narażać się na kolejne bez potrzeby.

Za bramą niczego nie widziałem. Znajdowaliśmy się już pod poziomem ulicy i tak głęboko w zasadzie nie wnikało światło. Może dlatego potrzebowałem paru sekund, by dostrzec to co oczywiste. Wielką kłódkę na niskiej bramie ukręcono z niewiarygodną siłą, tak że pałak z jednej strony pękł, a potem powieszono luźno na łańcuchu, by z daleka wyglądała na nietkniętą.

Zsunąłem ją i położyłem na ziemi, potem zdjęłem łańcuch i przeciągnąłem przez pałki. Otworzyłem bramę pchnięciem, krzywiąc się, gdy zawiasy zapiszczały głośno, choć wiedziałem, że w środku nikogo nie ma. Ukłoniłem się i skinąłem wolną ręką, pokazując Trudie, by poszła pierwsza.

- Niewiele tam zobaczymy - zauważyła, przekraczając próg.

- To zależy - wymamrotałem. Prześliznąłem się przez bramę i zamknąłem ją za sobą. - Parę lat temu podłączyli z powrotem wszystkie światła do instalacji artystycznej. Miało to coś wspólnego z rocznicą 1984. Pen pisała o tym do webzinu „Art Attacks”. Jeśli nam się poszczęści, znajdziemy włącznik.

Nie znaleźliśmy, przynajmniej na początku. Zagłębialiśmy się w mrok, omijając wielkie szare worki pełne budowlanych śmieci i pochylone sterty znaków z napisem uwaga remont. Suche liście z minionych jesieni nie szeleściły nam pod stopami, rozpadając się natychmiast w pył, niczym wampiry w pierwszych promieniach słońca. Nic nie wskazywało na to, by ktoś niedawno odwiedzał ten tunel, zaufałem jednak ukreconej kłódce i maszerowałem dalej.

Przez jakieś pierwsze dziesięć stóp ściany pokrywała bielona sklejka, dalej pojawiały się kafle pierwotnego tunelu. W miejscu złączenia na poziomie ziemi znalazłem włącznik i nacisnąłem. Przez długą chwilę nic się nie działo. Potem światła obudziły się powoli, migocząc stroboskopowo, nim w końcu zapłonęły jasno. Tunel otwierał się przed nami niczym wąpzia lewiatana. Widok budził dreszcz: odwrotność *trompe l'oeil*, otwarcie trzeciego wymiaru we wcześniej nieprzeniknionej, płaskiej ścianie ciemności. Od rzeki dzieliło nas dobre pół mili i tunel ciągnął się aż tam. To kiepskie miejsce, zwłaszcza gdyby demon pojawił się, odcinając nam drogę do świata zewnętrznego.

Odwróciłem się do Trudie.

- Zostań tu - powiedziałem. - Popilnuj wyjścia.

Nie odwróciła wzroku.

- Nie - rzuciła.

- To ślepy zaułek.

- Nie obchodzi mnie, Castor. Jeśli on wróci, razem będziemy mieć większe szanse na pozostanie przy życiu.

Zamierzałem się wyklócać, bo w tym akurat nie miała racji, ale uprzedziła mnie, zagłębiając się w tunel. Nie miałem wyboru, musiałem pójść za nią.

Bez słowa Trudie zajęła się jedną stroną tunelu, ja drugą. Poruszaliśmy się szybko, badając ściany i podłogę w poszukiwaniu wyraźnych szczelin, otworów bądź klap. Kurz pod stopami zagłuszał echo naszych kroków, lecz odgłos oddechów powracał wzmocniony i zniekształcony z odległego końca tunelu, wzmacniając iluzję, że jakiś olbrzym połyka nas żywcem.

Szliśmy dalej mniej więcej równym krokiem. Nadawałem mocne tempo, lecz długonoga Trudie doganiała mnie z łatwością. Przed sobą nie widzieliśmy ani śladu

jakiegokolwiek otworu: wydawało się, że tunel nie ma końca. Wreszcie dostrzegłem wylot bocznego korytarza, niedostrzegalny z daleka, bo tu akurat wyłożona białymi kafłami ściana tunelu odsuwała się lekko, maskując wyjście, dopóki nie znaleźliśmy się bardzo blisko.

Przyśpieszyliśmy kroku i dotarliśmy do skrzyżowania. Odnogę po prawej po jakichś dziesięciu stopach blokował betonowy mur, wyglądający na stosunkowo nowy. Płytką niszę wypełniały znaki drogowe i liczne pachołki służb drogowych. Po lewej stronie ciągnął się na jakieś dwadzieścia stóp, a potem skręcał ostro znów w lewo.

Zbadanie tego odgałęzienia wydawało się sensowniejsze niż pozostawianie go odłogiem aż do powrotu. Podeszliśmy szybko do zakrętu i pokonaliśmy go szerokim łukiem, by uniknąć niespodzianek.

Przed sobą mieliśmy tylko kolejne dziesięć stóp korytarza, zakończone jeszcze jedną, szarą betonową ścianą. Pośrodku niej były drzwi, nad którymi tkwiła nieco przekrzywiona tabliczka z napisem: centrum kontroli przeciwpowodziowej tamizy.

- Surrealistyczny pomysł - wymamrotałem.

- I przestarzały - odparła Trudie, także zniżając głos. - Nim zbudowali Bariere, każde hrabstwo miało własny ośrodek kontroli przeciwpowodziowej. Tu pewnie mieścił się ten dla Camden.

Sprawdziliśmy drzwi, odkryliśmy, że są zamknięte, i wycofaliśmy się do głównego tunelu. Maszerując dalej, uświadomiłem sobie, że coś jest nie tak z niekończącą się perspektywą. Proporcje wydawały się subtelnie - a potem mniej subtelnie - niewłaściwe. Po paru chwilach Trudie zmeła w zębach przekleństwo.

- Sufit się obniża - oznajmiła.

Miała rację. Na początku wznosił się wysoko, a teraz niemal dotykaliśmy go głowami. Patrząc przed siebie, usłyszałem odległy basowy łoskot.

- Tunel drogowy - wyjaśniłem. - Zbudowali go wewnątrz wcześniejszego. Nad głowami mamy drogę.

Ta część tunelu była mniej uporządkowana, pod ścianami piętrzyły się sterty cegieł, metalowych pługów, od czasu do czasu dostrzegałem nawet młotek czy szpadel, oparty o mur bądź rzucony niedbale na ziemię. Wokół wszystkich przedmiotów zebrały się sterty suchych liści, tak że każdy z nich wyglądał jak kometa z własnym brudnobrazowym ogonem.

Maszerowaliśmy dalej, odległość między podłogą a sufitem wciąż się zmniejszała, toteż po paru minutach musieliśmy się schylić. Trudno było zwalczyć narastającą klaustrofobię. Trudie wyciągnęła rękę i dotknęła pokrywy studzienki. Pchnęła lekko, okazało się jednak, że pokrywa zardzewiała i przywarła do obramowania. Wyraźnie nie otwierano jej

od dziesięcioleci.

Do tej pory w powietrzu czułem jedynie zapach kurzu i wilgotnego kamienia, lecz na tym odcinku zastąpiło go coś znacznie gorszego: słodko-kwaśny smród gnijących warzyw, połączony z czymś ostrym i chemicznym. Woń, z początku subtelna, narastała z każdym krokiem.

Tunel przynajmniej wyglądał teraz jak miejsce skupienia linii wyznaczających perspektywę, odległych o zaledwie paręset metrów. Już miałem zwrócić uwagę, że kończy nam się droga, i zaproponować, byśmy zawrócili, kiedy uświadomiłem sobie, że ponownie dałem się oszukać połączeniu światła i wszechobecnych białych kafelków.

Podłoga i sufit tak naprawdę wcale się nie stykały. W miejscu, gdzie musielibyśmy opaść na czworaki i się czołgać, by móc przemieszczać się dalej, korytarz kończył się prostokątnym otworem wysokim na jakieś dwie stopy, lecz ciągnącym się przez całą szerokość tunelu. Tuż przed nim, po stronie Trudie, widniała ciemna plama. Gdy się zbliżyliśmy, nabrała ludzkich kształtów.

Stąd właśnie brał się smród gnijących warzyw i Trudie zasłoniła usta ręką, klękając, by przyjrzeć się bliżej. Przeszedłem na drugą stronę i popatrzyłem jej przez ramię.

Płaszcz przeciwdeszczowy, łuszczące się martensy i brudne drelichowe spodnie z kieszeniami na kolanach sprawiały, że wydawało się, że ciało należało do mężczyzny. Poza tym jednak trudno było określić płeć. Nie żył od bardzo dawna, co oznaczało, że szczury, muchy, pogoda i związki chemiczne z wnętrza jego własnego ciała zdążyły zrobić swoje. To, co z niego zostało, wyglądało na suche i z mumifikowane: jedna strona twarzy zapadła się niemal płasko, z drugiej, w miejscu gdzie większość mięsa odpadła bądź została zdrapana, pusty oczodół patrzył na nas z wyrazem niewinnego zdumienia. Nie pozostawił po sobie ducha, który mógłby ostrzec nasz zmysł śmierci, i na szczęście, nie powstał we własnym ciele. Nie pozostało z niego nic oprócz żalonych szczątków i zapachu.

- Bezdomny - podsumowała Trudie, zapewne kierując się wyglądem butów. - Jak myślisz, jak umarł?

- Sądzę, że możemy wykluczyć przyczyny naturalne - odparłem ponuro.

Wskazałem ścianę nad głową nieboszczyka. Widniała tam ciemna plama, zaschnięta i poczerniała, lecz tu i ówdzie nadal dało się dostrzec przebłyśki ciemnej czerwieni. Miała kształt wybuchającego fajerwerku, wznoszącego się na smukłej kolumnie i rozkwitającego na wszystkie strony.

Lecz tak naprawdę kolumna powstała jako ostatnia. Tu właśnie włóczęga osunął się po ścianie, po tym jak Asmodeusz rąbnął o nią jego głową dość mocno, by strzaskać czaszkę.

Bo to był Asmodeusz: nie mieliśmy wątpliwości. Nieboszczyk sam nie pozostawił po sobie echa, lecz teraz otaczała nas mdląca esencja demona i rozpoznałem ją bez cienia wahania. Nie tylko tędy przechodził: został tu i się rozgościł. Po minie Trudie widziałem, że także to wyczuła. Odnaleźliśmy żyłę złota.

Bez słowa pochyliliśmy się i przegramoliliśmy przez wąski otwór, za którym otwierała się znacznie większa przestrzeń. Tunel kończył się tu betonową ścianą, jakieś dwadzieścia stóp przed nami, ale przejazd nad nami zakończył się wcześniej, toteż na ostatnim odcinku sufit wzniósł się gwałtownie na pierwotną wysokość. Znajdowaliśmy się w pomieszczeniu, z którego jedyne wyjście stanowiła dziura, przez którą weszliśmy.

W pewnym sensie okazało się nawet umeblowane. Na podłodze leżał brudny materac i śpiwór, oba zapewne należały niegdyś do leżącego po drugiej stronie ściany nieszczęśnika. W najbliższym kącie jakiś tuzin wypchanych worków tłoczył się niczym tłusciutkie dzieci ukrywające się przed olbrzymem: doczesny majątek nieboszczyka.

Natychmiast zapomniałem o owych melancholijnych, przyziemnych detalach, bo chemiczny smród był tu najmocniejszy. Jego źródło stanowił rząd puszek i garnków u podstawy muru i sam mur, nad którym Asmodeusz mocno popracował.

Od podłogi do sufitu pokrywały go symbole, słowa i amulety. Słowa zapisano po aramejsku, toteż nie potrafiłem ich odczytać, lecz sam obraz wyglądał aż nadto znajomo. Skierowany w dół pentagram z pieczęciami aleph na końcu każdego ramienia i promienistymi liniami, rozchodzącymi się z odstępów między nimi. Nawet gdyby Nicky nie opisał ich wszystkich, i tak bym go poznał. Ktokolwiek narysował te symbole, pozostawił także tajemnicze amulety na podjeździe Pen, pod żywopłotem Juliet i na dachu Gaumonta.

- Tsukelit - odczytała głośno Trudie. - Ket. Ilalliel. Jetaniul. Tlallik. Aketsulitur. Castor, znasz któreś z tych imion?

Przez moment nie znałem, były dla mnie jedynie obcymi dźwiękami. Potem jednak świadomość tego, co je łączy, przeszła mi mózg niczym naostrzony hufnal.

Całkowicie się myliłem, podobnie Nicky. To nie ja stanowiłem wspólny mianownik.

- Znam wszystkie te imiona - odparłem, czując nagłą suchość w ustach. - A przynajmniej wiem, do kogo należą. Chryste, to...

Nim zdążyłem dokończyć zdanie, zgasło światło, pogrążając nas w nieprzeniknionej ciemności. Sekundę później usłyszeliśmy szcęk wyłącznika, biegnący przez korytarz niczym fala odrzutu.

- Kurwa! - zakląła Trudie.

Znajdowaliśmy się w ciemności pół mili od wyłącznika światła i nim jeszcze

usłyszeliśmy mrozący w żyłach basowy śmiech, zrozumieliśmy, kto tam jest, kto stoi między nami i wyjściem.

- Biegnij - rzuciłem z napięciem.

- Ale dokąd? - warknęła Trudie. - Nie możemy biec, nic nie widzimy. Wyciągaj flet, Castor. Przynajmniej nie poddamy się skurwielowi bez walki.

W ciemności odnalazłem jej rękę, chwyciłem mocno i szarpnąłem w stronę wyjścia.

- Nie tutaj - odparłem. - Nie na jego warunkach. On widzi w ciemności, Pax. Jeśli tu zostaniemy, zginiemy. Chodź.

Przez moment stawiała opór, potem ustąpiła. Na czworakach precyzyjnie się przez próg demona na korytarz. Nagle Trudie wydała z siebie podobny do szlochu odgłos protestu; uznałem, że zapewne jej ręka zetknęła się z trupem. Szarpnięciem postawiłem ją na nogi, choć nadal musieliśmy się pochyłać, i chwiejnym truchtem ruszyliśmy z powrotem tunelem.

Trudno było się do tego zmusić. Wiedziałem, że Asmodeusz pędzi ku nam w ciemności, szybki i nieubłagany, namierzając woń naszych dusz. Pewnie już nas widział, tak jak orzeł krążący nad łąką potrafi odnaleźć wzrokiem polną mysz pośród mili kwadratowej wysokich traw.

- Dokąd biegniemy? - zapytała ostro Trudie. - Castor, zaraz się z nim zderzymy!

- Nie zderzymy - wymamrotałem.

Wciąż ścisnąłem jej przegub, a drugą ręką przesuwalem po sklepieniu, rozcapierzając palce. Kiedy nie mogłem już go sięgnąć, wiedziałem, że zaszliśmy za daleko. Szybko cofnąłem się, ponownie szarpiąc mocno Trudie.

- Tam! Znalazłem!

- Co ty...? - rzuciła ostro.

- Tutaj - przerwałem jej. - Pomóż mi.

To była studzienka, którą wcześniej znaleźliśmy, jedyne wyjście na powierzchnię niewymagające wyminięcia Asmodeusza. Macając na oślep w mroku, w końcu odnalazłem jej zarys i przyłożyłem obie dłonie do pokrywy.

- Pchaj - poleciłem.

- Zardzewiała na amen!

- Spróbuj jeszcze raz!

Zaparliśmy się o posadzkę, prostując plecy i naciskając z całych sił na nieustępliwą pokrywę z lanego żelaza. Nasze uszy mimo woli wychwytywały miękki rytmiczny dźwięk: odgłos stóp Asmodeusza uderzających o kamienne płyty. Przypominało to fryzjera ostrzącego brzytwę.

Miałem wrażenie, że kręgosłup pęka mi na kawałki, zdwoiłem jednak wysiłki. Obok mnie Pax warknęła nisko w głębi gardła. Pokrywa studzienki nie ustąpiła nawet na milimetr.

Pax gdzieś zniknęła, usłyszałem, że kręci się dokoła. Po czym poczułem na dłoniach wibracje, gdy znów się podniosła i zaczęła raz po raz tłuc czymś - jedną z cegieł leżących pod ścianą tunelu wzdłuż krawędzi pokrywy. Próbowwała odłupać przytrzymującą metal rdzę i chyba nieźle jej szło. Pokrywa ustąpiła lekko, poruszając się pod naciskiem moich dłoni.

- Pchnij jeszcze raz! - sapnąłem.

Trudie znów do mnie dołączyła. Pokrywa zaczęła się poruszać z piskiem przypominającym kwik zarzynanej świni. Wpadające do środka światło, choć słabe i wyblakłe, oślepiło nas. Ukazało też demona, zbliżającego się bezdźwięcznie w mroku z szybkością torpedy.

Z ogłuszającym łoskotem pokrywa wypadła na ulicę. Chwyciłem Trudie, nim jeszcze zorientowała się, co robię, unosząc ją za nogi pod kolanami tak, że nie miała wyboru, musiała chwycić krawędź studzienki i dźwignąć się na zewnątrz. Inaczej zeskoczyłaby z powrotem w mrok.

Potem zebrałem siły i skoczyłem, chwytając krawędź i próbując podciągnąć się na rękach. Moja głowa uniosła się poza krawędź i przez moment widziałem przekrzywiony tunel w górze: świetlówki na suficie wiszące pod niesamowitym kątem, pokrytą warstwą sadzy barierkę zaledwie stopę ode mnie, samochód okrążający nas i o włos unikający zderzenia z krawężnikiem. Trudie złapała mnie za przedramię i odchyliła się, ciągnąc mnie swym ciężarem tak, jak wędkarz wielką rybę. Niestety, coś złapało mnie mocno za kostkę i szarpnięciem pociągnęło w mrok. Rozpaczliwie przywarłem do ręki Trudie, kopiąc wolną nogą, lecz trafiłem jedynie w powietrze. Runąłem ciężko na plecy, siła zderzenia pozbawiła mnie tchu.

Asmodeusz stał nade mną, uśmiechając się jak złośliwy gospodarz z melodramatu.

- Straszny tu bałagan - rzekł. - Trzeba było mnie uprzedzić, że wpadniesz. Trochę bym posprzątał.

Zacząłem pełznąć do tyłu, boleśnie świadom, że oddalam się nie tylko od demona, ale też od jedyne go wyjścia.

- Powiedziałaś... że zostawisz mnie na koniec - przypomniałem mu, macając w mroku w poszukiwaniu czegoś - czegokolwiek - co mogłoby mi posłużyć za broń.

Asmodeusz pokręcił głową.

- Ale ty wciąż nadstawiasz karku - upomniał mnie łagodnie. - Co ja mam z tobą począć, Castor? Uwielbiam nasze pogawędki, ale mam mnóstwo spraw do załatwienia, a ty

ciągle szarpiesz mnie za poły, jak dzieciak, który chce lizaka. Poza tym, w zasadzie już skończyłem. Wszystko gotowe jak trzeba. Myślę zatem, że złożę ci jednak skórę, żebyś zapamiętał, gdzie jest twoje miejsce.

Jego twarz znów spowił mrok, bo zostawił za sobą otwartą studzienkę i wąską smugę słabego światła padającego z tunelu.

- Wiesz, czemu lew kuleje? - spytał mnie niskim, ociekającym tryumfem głosem.

Napiąłem mięśnie, gdy się pochylił, i wstając, uderzyłem go ze wszystkich sił. Nawet tego nie poczuł.

W tym momencie w dziurze nad i za nim pojawiła się Trudie wisząca głową w dół. Zawieszona nad pustką, wyciągnęła prawą rękę na całą długość, usłyszałem głucho łupnięcie, gdy coś uderzyło Asmodeusza w tył głowy. Demon sapnął ze zdumienia i zachwiał się na nogach. Potem z wahaniem uniósł rękę do głowy, ozdobionej teraz - jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki - pionowym wyrostkiem. Odwrócił się i przekonałem się, że to rączka młotka, którego główka tkwiła wbita kilka cali w głąb czaszki. A zatem to znalazła w ciemności Trudie - nie zwykłą cegłę, lecz poręczną, wielofunkcyjną broń zaczepną.

Przeturlałem się na bok i zerwałem z ziemi. Asmodeusz odwrócił się, by nie spuszczać mnie z oka, lecz jego ciało chwiało się jak pijane, a ruchy miał dziwnie urywane. Mimo to, znajdował się pomiędzy mną a studzienką i w żaden sposób nie zdołałbym się wydostać, nie mijając go.

Ruszyłem wprost na niego, a gdy się zbliżył, zatrzymałem się nagle i wymierzyłem cios lewą ręką. W zwykłych okolicznościach nie miałby szans przedostać się poza obronę demona, teraz jednak trafił go w twarz, a siła rozpędu Asmodeusza w połączeniu z moją sprawiła, że okazał się całkiem mocny.

Asmodeusz zatrzymał się, kolana ugięły się pod nim lekko, ja zaś zrobiłem to, co w tym momencie naturalne i nieuniknione. Sięgnąłem ręką, złapałem uchwyt młotka i szarpnąłem go w dół i na bok, obracając w jego mózgu rozdwojoną końcówką niczym łyżką w skorupie kokosa. Młotek, z wilgotnym chrzęstem, został mi w dłoni, a Asmodeusz runął na kolana, a potem na czworaki.

Próbował się podnieść, lecz chwilowo układ nerwowy Rafiego odmówił współpracy. Tablica rozrządu nawaliła, informacje nie były w stanie przeniknąć przez szkarłatną ruinę w głąbi czaszki do wciąż działających kończyn i korpusu.

Odrzuciłem młotek - niechętnie, ale potrzebowałem obu rąk - skoczyłem na plecy demona, a stamtąd niezgrabnie w stronę studzienki. Trudie zeszła mi z drogi w samą porę, by uniknąć zderzenia, po czym pomogła się wygramolić, gdy moje ręce i górna część tułowia

znalazły się nad krawędzią.

- Udało nam się - sapnęła ochryple, z niedowierzaniem.

- Tak - zgodziłem się - udało nam się. A teraz, kurwa, biegiem!

Trudie obejrzała się w stronę otwartej studzienki. Sądząc po jej minie, uważała, że walka dobiegła końca. Nie musiałem się spierać - ręka wysunięta ponad krawędź stanowiła dostateczny argument. Popędziliśmy w głąb tunelu samochodowego niczym dwoje sprinterów ścigających się o złoto.

Biegliśmy pod prąd. Kolejne samochody hamowały z piskiem i skręcały, by uniknąć zderzenia, po czym przyspieszały do wtóru ogłuszających klaksonów bądź przekleństw wykrzykiwanych przez kierowców.

Wkrótce oddaliliśmy się od demona dostatecznie, bym sądził, że nam się upiekło. Trudie, młodsza i sprawniejsza ode mnie, wyprzedziła mnie i utrzymywała dystans. Potem jednak dotarła do stromej rampy u wylotu tunelu i odwróciła się, niczym Orfeusz na progu świata podziemi, żeby sprawdzić, czy biegnę za nią. Coś przemknęło obok mnie, coś idealnie okrągłego, połyskującego zaskakującą srebrzystą szarością odbitego światła, tak że przez moment wyglądało jak błyskawica uwięziona w szklanej kuli. To coś przemknęło także szybko obok Trudie, mijając jej głowę o kilka leniwych centymetrów, lecz trącając ramię i obracając ją wokół osi, niczym łyżwiarką robiącą nagły niespodziewany zwrot. Oczy Trudie rozszerzyły się w szoku, wydała z siebie odgłos przypominający nagle urwane sapnięcie.

Po sekundzie zrównałem się z nią i złapałem, nim zdążyła upaść. Gdzieś z przodu dobiegł ogłuszający brzęk: to pokrywa studzienki odbiła się od betonowej ściany tunelu i z ukosa trafiła w bok naczepy kabiny ciężarówki. Ta skręciła gwałtownie, a jej przyczepa zatoczyła szeroki łuk, blokując ruch od ściany do ściany. Przez moment wyglądała tak, jakby miała wywrócić się prosto na nas, ale potem, w ostatniej chwili zatrzymała się i znieruchomiła.

Usta Trudie poruszały się, lecz nie dobiegał z nich żaden dźwięk. Na tkaninie koszuli rozlewała się szybko ciemna plama. Pokrywa studzienki ledwie ją musnęła, musiała jednak ważyć prawie pięćdziesiąt kilo i mknęła w powietrzu jak dysk. Najwyraźniej poczyniła znacznie większe szkody niż sądziłem. Trudie opadła mi w ramionach, ja jednak przyjąłem na siebie jej ciężar i mniej więcej powstrzymałem upadek.

- Jeszcze nie, Pax! - ryknąłem. - Jeszcze nie. Zostań ze mną! Pociągnąłem ją w stronę ciężarówki, której kierowca, wściekły i oszołomiony, gramolił się z kabiny. Krzyknął coś do mnie, ja jednak puściłem to mimo uszu, zmierzając w stronę wąskiej szczeliny między tyłem przyczepy i ścianą tunelu, akurat dość szerokiej, żebyśmy zdołali się przez nią precyzyjnie.

Do tego czasu Trudie zaczęła z powrotem dźwigać własny ciężar, oddychała jednak płytko i urywanie, gdy powoli wdrapywaliśmy się na rampę. Nawet w nieprzyjaznym świetle ulicznych latarni widziałem, że twarz ma bladą i lśniącą od potu.

- Nie mogę... poruszyć ręką - wymamrotała.

Nagle zatrzymała się i gwałtownie zwymiotowała.

Obejrzałem się w stronę wylotu tunelu. Stało tam kilkanaście samochodów, kierowca ciężarówki klócił się głośno z innymi. Spodziewałem się, że lada moment Asmodeusz wyłoni się stamtąd, rozrzucając ich na boki. Nie dostrzegłem jednak ani śladu demona. Z jakiejś przyczyny zrezygnował z pościgu, może dlatego, że rzut pokrywą studzienki zanadto wyczerpał uszkodzone ciało Rafiego i Asmodeusz musiał poczekać, aż dojdzie do siebie.

Nadal jednak musieliśmy się stamtąd wynosić. Pax powinna trafić na ostry dyżur, ja także... Cholera, która godzina? Zerknąłem na zegarek, wskazywał jedenastą pięćdziesiąt dziewięć. Zaraz zaczną atak na Super-Self.

Nasze spojrzenia się spotkały.

- Idź - powiedziała Trudie, zaciskając z bólu zęby.

- Nie mogę cię zostawić leżącej na ulicy - zaprotestowałem. Odepchnęła się ode mnie i stanęła chwiejnie. Cały przód jej koszuli nasiąkł czerwienią tak ciemną, że w świetle latarni wydawała się czarna.

- Nigdzie nie zamierzam leżeć - warknęła. - Idź, Castor, ja nie umieram. Mam tylko złamaną rękę. Jeśli sądzisz, że twoja zabaweczka załatwi sprawę, musisz się tam dostać, nim Gil pošle swoich ludzi i ktoś zginie.

Jadący ku nam samochód zwolnił, gdy kierowca zobaczył korek przed sobą i pojął, że coś blokuje wylot tunelu. Trudie wykorzystała jego konsternację i stanęła mu na drodze, zmuszając do ostrego hamowania. To był młody facet w koszulce Kings of Leon, zza opuszczonej szyby wylewały się łomotliwe dźwięki jamajskiego numeru tanecznego. Z niemal komiczną zgrozą spojrział na nasiąkniętą krwią koszulę Trudie.

- Muszę jechać do szpitala - oznajmiła.

- T-tak - wyjąkał. - Dobra. Jezu!

Otworzył jej drzwi i wysiadł, by posadzić ją na tylnym siedzeniu, choć zerknął z żalem na swą jasnobrązową tapicerkę. Był niemal równie blady jak Trudie.

- Idź, Castor - powtórzyła Pax. - Nic mi nie będzie.

- Zapamiętałem twoją rejestrację - wymamrotałem do fana jamajskiego tańca. - Zawieź ją tam gdzie zechce. Nie zostawiaj jej samej.

Pomknąłem wzdłuż Kingsway do skrzyżowania z Aldwych.

Do Strandu nie miałem daleko, byłem jednak zdyszany i obolały po starciu z Asmodeuszem i po wcześniejszej stumetrówce w stylu wolnym. Nie mogłem utrzymać tempa i nim dotarłem do Exeter Street, kuśtykałem w spowolnionej parodii ucieczki.

Chodnik przed Super-Self był pusty, drzwi stały otworem. Schodząc z ulicy, o mało nie runąłem na ziemię, gdy potknąłem się o leżące na progu ciało.

To był mężczyzna, wysoki, dobrze zbudowany, leżał na brzuchu. Oddychał niczym miech: szybkie, głośne hausty powietrza, od których jego korpus unosił się i opadał, jakby gość próbował ćwiczyć pompki.

Zegarek ze Spiroegniu na prawej ręce powiedział mi, z kim mam do czynienia.

- Samir - zagadnąłem, a gdy nie usłyszał, dodałem: - Turek? Co się stało?

Samir nie odpowiedział, lecz z jego ust dobył się odgłos przypominający jękające się „ptbulptbul” zatkanej rury. Kiedy przekręciłem go na plecy, zobaczyłem dlaczego milczy.

Dolna część jego twarzy zamieniła się w krwawą maskę. Usta otwierały się, a kiedy próbował przemówić, między wargami wił się niczym wąż kikut języka.

ROZDZIAŁ 16

Poczułem to na długo przed dotarciem do schodów. Strachostwór przebudził się i ucztował. Przypominało to niemal smak w powietrzu, ostry i metaliczny, od którego kłuło w gardle i łzały oczy. Co ważniejsze, ów smak budził we mnie nieprzepartą ochotę, by uciec jak najdalej. Musiałem się zmuszać do każdego kroku, jakbym przebijał się przez potężną ścianę grozy. Każdy ruch był jak owa chwila, kiedy w dzieciństwie po raz pierwszy zeskakujemy z trampoliny - gdy docieramy do jej końca i przez chwilę nie możemy zmusić ciała, by zrobiło coś równie głupiego i niebezpiecznego.

Zacisnąłem palce na gładkim pudełku w kieszeni, przypominając sobie w duchu, że jestem uzbrojony i niebezpieczny. Nie byłem tu ofiarą, lecz myśliwym, a ten rozdęty pająk siedzący w mroku pośrodku niewidzialnej sieci wkrótce dowie się, że nie wszystkie muchy są sobie równe.

Niestety, wszelkie przechwałki wyleciały mi z głowy, gdy dotarłem na szczyt schodów i zobaczyłem kolejnych dwóch egzorcystów Gila McClennana, próbujących odczołgać się w bezpieczne miejsce. Porównanie z muchami powróciło gwałtownie, bo tak właśnie wyglądali: jak konające muchy pełzające na ośle, próbujące uciec przed trucizną, która je zabija, bez powodzenia, bo tkwiła już w nich samych.

Nie wiem skąd wziął się ten pomysł. Zwolniłem tak bardzo, że niemal się zatrzymałem, z całych sił walcząc z instynktem nakazującym zawrócić na pięcie i umknąć, tak silnym, że niemal blokował mi mięśnie. Zejście po owych schodach stopień za stopniem przypominałoby wspinaczkę na Everest bez tlenu. Pozwoliłem zatem nogom zatrzymać się - bez trudu, bo tego właśnie pragnęły najbardziej na świecie - i wychyliłem się daleko nad przepaść zatrutego powietrza.

Spadanie bez zrobienia sobie krzywdy to szczególna umiejętność: trzeba wcisnąć głowę w ramiona, skupić swój ciężar i pochylając się, zacząć spadać tak, że upadek zmienia się w kontrolowane turlanie. Nie zrobiłem nic z tego, bo mój umysł wrzeszczał i miotał się w czasie, niczym kot w pudełku, z powodu bliskości epicentrum psychicznego frontu burzowego.

Na dole schodów, wbrew sobie znów podniosłem się z ziemi. Leżały tu kolejne ciała, niektóre się poruszały, inne nie. Postąpiłem krok naprzód, potem kolejny. Dość blisko.

Musiało wystarczyć, bo trzeci krok przerastał moje możliwości.

Z rękami i nogami szarpiącymi się i podskakującymi, niczym oderwane kończyny jednej z żab signora Galvaniego, starałem się wyciągnąć pudełko z kieszeni. To była moja kotwica, mój as w rękawie, mój Graal. To pokaże stworowi w mroku, kto jest tu szefem.

Nacisnąłem niewielki włącznik i wrzuciłem pudełko przez otwarte drzwi prowadzące do szatni i znajdującego się dalej basenu. Przeturlało się z łoskotem i zatrzymało. I nic się nie stało. Caldessa nie nakręciła sprężyn.

Z głębi gardła wydarł mi się cichy jęk. Rzuciłem je dobre dziesięć stóp dalej. By je odzyskać, będę musiał przejść dziesięć stóp w stronę basenu. Dziesięć stóp w samo serce cyklonu grozy.

Poszukajmy jednak także jaśniejszych stron - moje oszalałe serce zapewne eksploduje, nim pokonam połowę tego dystansu.

Znów próbowałem upaść, lecz tym razem się nie udało. Po prostu opadłem na kolana, nie posuwając się nawet o cal naprzód. Nie mogłem nawet rzucić się płasko na ziemię. Moje ciało buntowało się staw za stawem, ogłaszając niepodległość.

O ironio, to Juliet dodała mi sił. Jej obraz pojawił się nagle w mym umyśle, widziałem ją taką, jaka była w tym samym miejscu poprzedniej nocy. Być może stało się tak, bo ów wszechogarniający, ogłuszający, porażający strach w pewnym sensie przypominał budzoną przez nią, równie wszechogarniającą, ogłuszającą, porażającą żądzę. Użyłem jednej jako ochrony przed drugim, unosząc swoje libido niczym poobijaną, obleśną tarczę, osłaniającą przed pociskami i strzałami niewiarygodnego, mrozącego krew w żyłach przerażenia, od którego staje serce i robi się w gacie.

Zacząłem pełznąć na czworakach, cal za calem w stronę pudełka, przez ziemię niczyją własnej potrzaskanej osobowości. Kiedy moje palce zacisnęły się na nim, miałem wrażenie, że osiągnąłem cel poszukiwań trwających całe życie. Potem przesunięcie wyłącznika, trwające kolejne życie, a nakręcanie sprężyn było niczym wyblakła bezsłoneczna wieczność uganiania się w pustce.

Ostatni, drobny samotny okruch Feliksa Castora pomyślał: a teraz to zeżryj, ty skurwielu, i znów nacisnąłem włącznik.

Mechanizm wewnątrz pudełka szczęknął i ożył i pomieszczenie wypełniła metaliczna głucha melodia. Prawdę mówiąc, nazwanie jej melodią to zbyttnia szczodrość: była to zbłąkana sekwencja dźwięków, które odbijały się, podskakiwały i rozchodziły niezgrabnie w skażonym powietrzu. Lecz, mój Boże, jakże wspaniałe był to dźwięk. I jak cudownie, jak nagle strachostwór przerwał własną grę, by wysłuchać mojej.

Przywołanie to zaledwie pierwsza część egzorcyzmów, ale i najważniejsza. „Zamknij się i posłuchaj”, mówi. „Burek do nogi i nawet, kurwa, nie drgnij, dopóki ci nie pozwolę”. Tej właśnie części nigdy nie zdołałem dopracować w przypadku Asmodeusza, choć próbowałem przez lata. Natomiast dla tego stwora pojawiła się niemal natychmiast. Problem polegał na tym, by zagrać melodię, gdy me własne, zastygłe serce kona w piersi, a w całej Europie gasną światła.

Podobnie jak inne pozytywki, ta także katowała melodię, zamieniając ją w stylizowaną, płaską parodię. Najwyraźniej jednak nie miało to znaczenia. Jak powiedział Noel Coward, zdumiewające, jak wielką moc może mieć tania muzyka. Nacisk w powietrzu osłabł, moje serce z najwyższego poziomu alarmowego przeszło na bardziej znośny. Z drżeniem wciągnąłem w płuca powietrze, czując się tak, jakby wszędzie wokół mnie unosiły się w górę zasłony z gnijącego muślinu.

Strachostwór miał kłopoty, co bardzo mnie ucieszyło. Trudno mi wyjaśnić, skąd właściwie wiedziałem. Nie widziałem niczego, jeszcze mniej czułem. Jego poczucie - to, jak ów niewidzialny potwór oddziaływał na radar mojego zmysłu śmierci - odwróciło się na teoretycznej ektoplazmatycznej osi, z każdą chwilą słabnąc.

Stwór zwrócił się w stronę pozytywki. W miarę jak nuty przywołania dźwięczały w mroku, jego własny atak słabł, aż w końcu ustał zupełnie. Stwór posłuchał wezwania. Poskręcany i złożony w sobie, w fałdach i kłębach bezwymiarowych emocji zniknął, wciągany do pudełka jak niekończące się wstęgi i chusty, które magik składa na swej dłoni, po czym rozcapierza palce, pokazując, że rękę ma pustą.

Po jakiejś minucie odkryłem, że mogę wstać. Przesunąłem przełącznik pozytywki, uciszając melodię w pół frazy. Spięty, odczekałem parę chwil, na wypadek gdyby strachostwór uwolnił się wraz z urwaniem melodii. Odegrałem nie całe egzorcyzmy, jedynie przywołanie. Jednakże rozkaz najwyraźniej wciąż obowiązywał. Podobnie jak w grze w komórki do wynajęcia, stwór został tam, gdzie był, gdy muzyka ucichła - zamiast na basenie, skupiony na pozytywce. Co więcej, odcięty od duchów w basenie i sieci dawnych emocji, którą sobie utkał, najwyraźniej się uspokoił - usnął, przynajmniej na jakiś czas.

Zapaliłem wszystkie światła i sprawdziłem trzy najbliższe osoby, upewniając się, że wciąż oddychają. Po twarzy jednej z nich ściekała krew, wypływająca z głębokiego skaleczenia na czole, poza tym jednak nikt nie ucierpiał tak jak Devani. Pomijając stres pourazowy, dojdą do siebie.

Kiedy przeszedłem nad basen - zabierając ze sobą pozytywkę - przekonałem się, że nie każdy miał tyle szczęścia. Dwóch egzorcystów McClennana unosiło się w wodzie twarzami w

dół, trzeci leżał na brzegu, z głową pod kątem sugerującym skręcony kark. Pozostali chwaci z bandy Jenny-Jane - w sumie ponad tuzin - leżeli w całym pomieszczeniu, wstrząsani drgawkami i jęczący. Nagle przypomniałem sobie pokazywane w telewizji zdjęcia z miejsc po wybuchu bomb pułapek. Pomijając brak oderwanych kończyn, wyglądało to podobnie.

Jedno muszę przyznać Gilowi McClennanowi: sam ich poprowadził. On też był w basenie. Nie unosił się w wodzie, ale brodził w niej po pierś z drugiej strony, przytrzymując drugiego faceta, który wyraźnie nie był w stanie sam nic zdziałać. Przytrzymywał jego głowę nad wodą, obejmując ręką szyję, choć oczy miał tak wybałuszone, że widziałem białka otaczające tęczówki. Wykrzykiwał nieskładne zdania - może rozkazy dla zespołu, może urywki modlitwy. Czymkolwiek były, utrzymały go przy życiu podczas cyklonu. Teraz zaczął się cofać w stronę brzegu basenu.

Podszedłem do niego i pomogłem mu wyciągnąć z wody jego towarzysza - pograżonego w głębokim omdleniu. Po sekundzie wahania pomogłem też Gilowi. Trudno było podtrzymywać dawną wrogość, skoro przed chwilą uniknęliśmy śmierci z przeraźliwego strachu.

McClennan podniósł się powoli, przytrzymując się ściany, a potem obrócił się i oparł o nią plecami. Jego pierś unosiła się i opadała gwałtownie, zaczynał jednak oddychać swobodniej i otrząsać się z transu. Posłał mi spojrzenie pełne ciekawości, zaprawione goryczą.

- Co zrobiłeś? - spytał.

Do tej pory zdążyłem już ukryć pozytywkę w kieszeni. Jeśli o mnie chodziło, Gil stanowił mikrofon prowadzący wprost do Jenny-Jane, a nie ma mowy, bym opisał jej, jak sobie poradziłem, nie rozważywszy wcześniej wszelkich implikacji.

- Co cię to obchodzi? - odparowałem. - Stwór odszedł, a cała zasługa przypada tobie. Mnie tu nigdy nie było.

- Zasługa? - Zaśmiał się z niedowierzaniem. - Zasługa? Popatrz, co zostało z mojego zespołu! - Oderwał się od ściany. - Muszę tu ściągnąć kilka karetek - wymamrotał. Minął mnie, zmierzając w stronę wyjścia. Po paru krokach odwrócił się. - Myślisz, że tego chciałem? - Jego głos załamywał się lekko.

Wzruszyłem ramionami.

- Mogłeś odmówić - zauważyłem.

- Ona nie pozwala odmawiać.

- To już zależy od ciebie.

McClennan znów się zaśmiał. Zabrzmiało to jeszcze ostrzej niż poprzednio. Przez

moment jakby chciał coś dodać, ale cokolwiek to było, zdusił to w sobie i odszedł.

Wsunąłem rękę do kieszeni, sprawdzając, czy wciąż tkwi tam pozytywka. To był zwykły odruch. Pudełko pełne demona Gader'ela pod każdym względem wydawało się identyczne jak pudełko pełne niczego. Nie wibrowało, nie podskakiwało, nie pulsowało ekto plazmatyczną energią. Nawet nie ważyło więcej niż wcześniej.

Wykorzystałem swoją modalność do ostatecznych granic i jeszcze dalej. Sprawilem, że muzyka zagrała dla mnie, gdy ja sam nie mogłem tego zrobić, i w jakiś sposób to wciąż działało. Nieważne, z jakiej mocy korzystałem, unosząc flet do ust, wciąż miałem do niej dostęp w ów prymitywny, mechaniczny sposób.

Co to oznaczało? Co jeszcze mógłbym zrobić, gdybym naprawdę się przyłożył? Będę musiał się nad tym zastanowić.

Najpierw jednak musiałem zadzwonić do Trudie i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

I musiałem coś zrobić z Asmodeuszem. Teraz miałem już pewne pojęcie, co robi, ale nie dlaczego. Albo sam to ustalę, albo zatrudnię kogoś do tego, i to szybko. „Praktycznie już skończyłem” - powiedział. „Wszystko gotowe jak trzeba”. Miałem podejrzenia graniczące z pewnością, że jego plany wkroczyły w ostateczną fazę, i wiedziałem już, na kim się skupiają.

Ruszyłem za McClennanem przez szatnię do recepcji. Sprawdzał swoich ludzi, próbując posadzić jednego z nich i porozmawiać, i tak go zostawiłem. Opieka pobitewna nie jest moją najmocniejszą stroną.

Na górze zajęchały już karetki, stanowczo za szybko, by mogły to zrobić na wezwanie Gila. Dwóch sanitariuszy ładowało do jednej z nich Samira Devaniego, z maską tlenową zasłaniającą zakrwawioną twarz. Trzeci siedł obok, podtrzymując kroplówkę podpiętą już do jego ręki.

Pośrodku chmary karetek, niczym burzowy kruk wśród gołębi, tkwiła czarna limuzyna. Tylne drzwi miała otwarte, obok nich stała Jenna-Jane w lekkim płaszczu przeciwdeszczowym, zarządzając wszystkim ze spokojną, nieco wyniosłą miną.

Kiedy się zbliżyłem, odwróciła się i pozdrowiła mnie skinieniem głowy.

- Cieszę się, że zdołałeś jednak użyć nam swego wsparcia, Feliksie - rzekła. - Gilbert najwyraźniej mocno przecenił swoje możliwości.

- Można to tak ująć - odparłem. - Można też powiedzieć, że poprowadził owieczki na rzeź, dokładnie tak, jak mu kazałaś.

Jenna-Jane wzruszyła ramionami.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Skąd wiesz, że się skończyło?

Zerknęła na stojącą za nią limuzynę. Miała też innych pasażerów, których dostrzegłem przez otwarte drzwi: ochroniarza Dicksa, obecnie pełniącego rolę szofera, i siedzącą na tylnej kanapie Gentle, którą Jenna-Jane przedstawiła jako swoją asystentkę.

- Nie poświęciłam całych swych sił temu jednemu przedsięwzięciu - oznajmiła Jenna-Jane. - To byłaby bardzo kiepska strategia, Feliksie, nawet gdybyśmy nie wiedzieli, że Asmodeusz wciąż krąży na wolności. Gentle mówi mi, że moc nawiedzająca to miejsce zniknęła bez śladu.

- Tak - zgodziłem się - wygraliśmy. - Spojrzałem ponad jej ramieniem na kolejnych rannych z dołu, ładowanych do karet. - Zobaczmy, czy któryś z tych biednych skurwieli zechce dołączyć do radosnych wiwatów.

Jenna-Jane była w dobrym nastroju, toteż nie połknęła haczyka, a może uświadomiła sobie, że całkowite zlekceważenie moich sarkastycznych uwag to najlepszy sposób, by mnie nakręcić.

- Nie było cię przez większość dnia - zauważyła - i nie odbierałaś komórki. Zakładam, że poszukiwania podziemnego szlaku Asmodeusza okazały się bezowocne.

- Owszem, aż do minionej godziny - poprawiłem. - Tunel w Holborn - ta część, której nie otwarto. Na południowym końcu ma tam swą kryjówkę. Powinniście chyba się jej przyjrzeć, ale zachowajcie wielką ostrożność, bo to ślepy zaułek. Asmodeusz o mało nie zabił mnie i Pax, kiedy nas tam przyłapał.

Jenna-Jane uniosła brwi.

- Trzeba było zadzwonić, zanim tam weszliście - rzekła.

- Zanim weszliśmy, to był tylko pomysł. A potem, kiedy znaleźliśmy to miejsce, sytuacja wyrwała się spod kontroli.

- Sytuacja?

- Asmodeusz nadchodzący w ciemności - rozwinąłem. - No i to, że musiałem ugasić tu pożar, który wznicił McClennan. Mówiłem, żebyś zaczekała, J-J.

- Wiesz, co przypada temu, kto czeka, Feliksie? - spytała Jenna-Jane. - Resztki po innych.

- W takim razie zgadzasz się, że miałem rację, wchodząc bez ciebie?

Zaśmiała się i pokiwała palcem, jakby to, że przykopałem jej, jej własną logiką, było tylko drobnym żarcikiem.

- No cóż - powiedziała - będę bardzo ostrożna. Dziękuję za ciężką pracę, Feliksie. I za to, że zgodnie z umową podzieliłeś się odkryciami. Teraz, skoro uważasz, że warto, pójdę

obejrzeć tamto miejsce, chociaż uważam, że zorganizowanie tam zasadzki raczej na nic się nie zda. Gdzie jest Pax? Na dole? Może wskaże mi drogę.

- Została ranna w walce z demonem - wyjaśniłem. - I kazałem przypadkowemu cywilowi zawieźć ją do szpitala. Zamierzam właśnie sprawdzić, co u niej.

- W takim razie zostaw mi wiadomość w klinice. Daj centrali znać, gdzie jesteś, a dołączę do ciebie jak najszybciej. - Spojrzała z powagą na otwarte drzwi Super-Self, z których wyłoniła się właśnie kolejna para noszy. - Biedny Gilbert. Obawiam się, że ciężko to znieśie.

* * *

Zadzwoiłem do domu Sue Book, odebrała sekretarka: głos Sue, ze słodyczą proszący, bym zostawił wiadomość. Wyjaśniłem, co znaleźliśmy, nerwowo i zapewne mocno niedokładnie, i poprosiłem, by oddzwoniła jak najszybciej. Trudie także nie odebrała, co jednak znacznie mniej mnie zdziwiło; zadzwoniłem do Nicky'ego i poprosiłem, żeby włamał się do szpitalnych baz danych. Pacjentkę T. Pax przyjęto na oddział chirurgii pourazowej szpitala uniwersyteckiego przy Graftonway, zaledwie półtorej mili dalej.

A ponieważ złapałem już Nicky'ego, odpaliłem także bombę, informując go, co znaleźliśmy w tunelu.

- Możesz dodać do swej listy kolejne imiona - oznajmiłem. - Obok wcześniejszych: Tlallik, Ket i Jetaniul.

- Ach tak? Wal. - Nicky starał się zachować obojętny ton, ale nie do końca mu się udało. Fakt, że nie zdołał jeszcze rozwiązać zagadki, wyraźnie go gryzł.

Kiedy się dowie, że pierwszy odnalazłem rozwiązanie, będzie naprawdę wkurzony.

- Tsukelit - powiedziałem. - Ilalliel. Aketsulitur. Dostrzegasz prawidłowość?

- Niespecjalnie.

- Pomyśl o Juliet, Nicky.

- Myślisz, że wszystkie te imiona należą do sukubów?

- Nie. Myślę, że wszystkie należą do niej.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła martwa cisza.

- Dostrzegłbym to wcześniej - podjąłem - tyle że jestem aroganckim skurwielem, a pierwsza pieczęć, jaką odnalazłem, była u Pen, nie u Juliet. Zapomniałem o tym, że Juliet zaniosiła mnie do domu po jednej z pijackich nocy. Asmodeusz zapewne umieścił je wszędzie, gdzie mogła się pojawić, łącznie z twoim domem. Założę się, że znaleźlibyśmy parę przyklejoną do podwozia jej samochodu. Kilka kolejnych w bibliotece na Willesden Green.

Może nawet w szufladzie z bielizną. Nie wiem. Kurwa, mogą ich być setki.

Nicky wciąż nie odpowiadał, co pewnie znaczyło, że gorączkowo rozmyśla.

- Pamiętasz ten fragment, który mi pokazałeś, gdy Gabriel ją przywołał? - przypomniałem mu. - „Siostrą jest Bafometa i najmłodszą z rodu, wszelako nadal można wielce i niełatwą do pokonania słowem bądź symbolami naszej sztuki. Lecz srebrem ją skrępujesz, a anagramem imienia ułagodzisz”. Wyjaśniłeś mi to wtedy. Każde imię, które przyjmuje na Ziemi - łącznie z Juliet Salazar - stanowi pewien podzbiór dźwięków bądź symboli, które tworzą jej prawdziwe miano. Myślę, że Asmodeusz przywoływał Juliet, posługując się jej wszystkimi starymi, odrzuconymi imionami. Dlatego właśnie Foivel Grazimir uznał Tlallika za trop wiodący donikąd. Bo nie posługiwała się już tym imieniem, nawet w tamtych czasach.

- Ja cię, kurwa, pierdolę - zaintonował Nicky, jego głos opadł na granicę słyszalności, bo z podniecenia zapomniał odetchnąć.

- Pytam cię zatem, po co ktoś miałby to robić? Co on planuje? Czy jeden demon może spętać drugiego? Znajdź mi odpowiedzi, Nicky, zanim to wszystko wybuchnie mi w twarz jeszcze mocniej niż teraz. I w jakiś sposób przekaż wiadomość Juliet. Dzwoniłem do niej parę razy, ale nikt nie odbiera. Musi dowiedzieć się o tym syfie.

- Już się do tego biorę.

Choć raz Nicky nie marudził ani nie wyklócał się o zapłatę. Tu chodziło o jego dumę i nie mógł się doczekać aż zacznie. Rozłączył się bez słowa.

Kiedy dotarłem do szpitala, napotkałem mur oporu. Pielęgniarka wyjaśniła, że Trudie jest już znieczulana i zaraz przewiozą ją na salę operacyjną. Uszkodzenia nie tylko kości, ale też mięśni ramienia okazały się imponujące. Zamierzali spróbować pozszywać ją do kupy, nim tkanki zaczną obumierać.

Zgodnie z sugestią Jenny-Jane, zadzwoniłem do KOM, informując, gdzie jestem. A potem usiadłem, czekając na wieści. Zadzwoniłem też do Pen, ale nie odbierała - ani w domu, ani komórki. Pewnie obie z Sue smacznie spały. Zostawiłem wiadomość na poczcie głosowej, prosząc, by zadzwoniła, uznałem jednak, że najpewniej zdążę wrócić, nim odbierze.

Czekając, przysypiałem kilka razy, czym lekko doładowywałem akumulatory. Najwyraźniej tego potrzebowały. Ostatnie trzy dni wyglądały jak jeden sen na jawie, pełen osobliwych halucynacji. Moje trzy spotkania z Asmodeuszem zlały się w jedno, sprawiając wrażenie jednej rozmowy z długimi przerwami ciężkiej ciszy, podczas których obaj bawiliśmy się w skomplikowanego chowanego w sercu miasta. Znalazłem go, ale wcale nie wydawało mi się to zwycięstwem - nie teraz, gdy wiedziałem, że od początku pracował nad

Juliet, doprowadzając ją do obłądu z powodów, których wciąż nie potrafiłem odgadnąć.

O czwartej rano obudził mnie dzwonek mojej komórki. To była Jenna-Jane.

- Feliksie, to niesamowite - powiedziała. - Widziałeś te pieczęcie w jamie demona?

- Nie mogłem oderwać od nich wzroku, J-J - odparłem, przecierając oczy.

- Jesteś świadom tego, co symbolizują?

- Tak. A ty?

- To steganograficzne homonimy. Wszystkie oznaczają tę samą istotę. Najwyraźniej to sukub, który w późnośredniowiecznych grimoirach występuje jako Ajulutsikael.

- Owszem, też doszedłem do tego wniosku.

- Co oznacza, że Asmodeusz próbuje ją przywołać jednocześnie we wszystkich aspektach bądź wcieleniach. - Zawiesiła głos, jakby się spodziewała, że odpowiem. Kiedy milczałem, podjęła dalej z ironiczną emfazą: - Mimo że z całą pewnością została już przywołana.

Nigdy nie miałem pewności, ile dokładnie Jenna-Jane wie o Juliet. Parę razy próbowała mnie wysondować w sposób, który sugerował, że usiłuje potwierdzić informacje na podstawie plotek bądź domysłów. Z całą kurewską pewnością nie zamierzałem jednak bawić się z nią w zgadywanki.

- We wszystkich aspektach bądź wcieleniach? - powtórzyłem.

- Każde imię odpowiada etapowi cyklu życiowego demona - podjęła Jenna-Jane z wyraźną rezygnacją, jakby na razie zdecydowała się dać mi spokój. - Jedna z teorii głosi, że zmieniają imiona podobnie jak owady postać: odrzucając dawne cechy i aspekty, predefiniowując i przekształcając się poprzez morficzną moc nowego imienia. Dlatego właśnie nekromanci posługują się imieniem demona, by go przywołać i spętać. Castor, jeśli wiesz coś więcej poza tym, co mi powiedziałaś, nadeszła dobra chwila, by wyłożyć karty na stół.

- Nic nie wiem - skłamałem.

- O sukubie udającym człowieka?

- Zawsze krążyły takie pogłoski - przyznałem. - Zazwyczaj przestaje się w nie wierzyć po osiągnięciu dojrzałości.

Cisza po drugiej stronie, potem znów głos Jenny-Jane.

- Gdzie jesteś teraz?

- Nadal w mieście, ale nie sądzę, bym został tu długo. Czekam tylko, żeby się dowiedzieć co z Pax.

- Doskonale. Myślę, że umówimy się na kolejną poranną naradę.

Odpowiedziałem krótkim przekleństwem. Miałem dosyć zrywania się z łóżka o świcie, żeby stanąć u drzwi J-J.

- Zadzwoń do ciebie rano - zaproponowałem w ramach kompromisu i się rozłączyłem.

Przespacerowałem się po parterze szpitala, znalazłem automat z kawą, który o dziwo działał, i - co jeszcze bardziej zdumiewające - dość monet w wielu kieszeniach szynela, by go uruchomić. Sącząc szczerze szczynty udające czarną bez cukru, wróciłem do poczekalni chirurgii. Pielęgniarka, z którą rozmawiałem wcześniej, już na mnie czekała.

Oznajmiła, że Trudie się niedawno wybudziła. Operacja poszła dobrze, ale było jeszcze za wcześnie, by stwierdzić, czy dojdzie do jakiegokolwiek trwałej utraty sprawności prawej ręki i dłoni. Jeśli chcę, mogę porozmawiać z Trudie, ale tylko parę minut i jedynie, jeśli obiecuję jej nie niepokoić. Zgodziłem się potulnie i zaprowadziła mnie na oddział. Trudie leżała na jednym z kilkunastu łóżek, podparta tak bardzo, że niemal siedziała. Była szokująco blada, ponura i wyczerpana. Na mój widok ożywiła się i poruszyła lewą ręką w niemrawym geście pozdrowienia. Prawą spowijały grube bandaże, szyję otaczał gipsowy kołnierz.

- Jak leci, Pax? - spytałem, usiłując przywołać ton szorstkiej przyjaźni.

- Jak co miesiąc - wymamrotała. - Nie czuję pieprzonych palców, Castor. Wciąż tam są, prawda?

Spojrzałem w dół.

- Na to wygląda - zameldowałem. - Chcesz, żebym policzył?

Słabo pokręciła głową, oczy błyszczały jej od nieprzelanych łez.

- Nie mogę tego robić jedną ręką - oznajmiła tym samym niskim, monotonnym głosem. - Jeśli nie odzyskam sprawności, będę bezużyteczna.

Palce jej lewej dłoni poruszyły się, manipulując nieistniejącym sznurkiem. Oczywiście miała na myśli kocie kołyski: to, jak nawiązywała kontakt ze światem duchowym i narzucała mu swą wolę. Jeśli nie odzyska pełni władzy w prawej ręce i dłoni, będzie okaleczona na więcej niż jednym poziomie.

- Dojdiesz do siebie, gdy tylko przestanie działać znieczulenie - obiecałem, które to zapewnienie miało za sobą jedynie wsparcie mojego już i tak wyzerowanego rachunku w banku optymizmu. Powiedziałem to tylko po to, by choć odrobinę ją pocieszyć, i po minie Trudie widziałem, że nie udało mi się dodać jej otuchy.

- Co się stało w Super-Self? - spytała.

Zamiast odpowiedzi wyciągnąłem z kieszeni pozytywkę i podałem jej. Wzięła pudełko

zdrową ręką, patrzyła na nie parę sekund, z początku nie pojmując, co widzi. Potem jej zmysł śmierci wyczuł zawartość i zakłęła cicho.

- Złapałeś go - rzekła z podziwem wybijającym się poza narkotykowe otępienie. - W pieprzone pudełko.

- Owszem, złapałem. Zastanawiałem się, czy nie wrzucić go do Tamizy, ale może nawet nie będę musiał. Oderwanie od duchów Super-Self najwyraźniej go wyłączyło. Na razie w ogóle nie reaguje.

- I tak lepiej go wyrzucić - poradziła Trudie. - Nie chcesz zostać w pobliżu, kiedy się ocknie.

Zabrałem pozytywkę i schowałem do kieszeni.

- Jeszcze mniej chciałbym, by Jenna-Jane zorientowała się, co zrobiłem - wyjaśniłem. - To fajna sztuczka, ale chwilowo wolałbym, żeby pozostała naszym wspólnym sekretem. Umowa stoi?

Trudie wzruszyła ramionami i skrzywiła się, bo strzaskane ramię nieszczególnie się do tego nadawało.

- Skoro tak mówisz, Castor - mruknęła. - Co ze mnie za szczęściara, że zdecydowałeś mi się zaufać. Wszystkich innych egzorcystów wyraźnie uważasz za wrogów.

- Nie - nie zgodziłem się. - Po prostu nie uważam za wrogów umarłych. Jeśli KOM odkryje, że duchy można zamykać w pudełkach, będzie to bardzo zły dzień dla duchów.

- Ale ty przecież żyjesz, więc co cię to obchodzi?

- Owszem, żyję - zgodziłem się. - Ale pewnego dnia zamierzam umrzeć. Sądziś, że chciałbym spędzić całą wieczność w zaświatach zbudowanych ze sklejki i śrubek?

- Castor, jesteś beznadziejny! - Trudie zaczynała się denerwować i jej podniesiony głos zwrócił uwagę pielęgniarki, która puściła się biegiem, żeby usunąć źródło irytacji. - Wiesz, ilu zmarłych przypada na każdego żywego? I ile osób umiera każdego dnia? Jeśli dojdzie do walki, będziemy potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy.

- Trudie, jeśli dojdzie do walki, to już przegraliśmy.

Pielęgniarka pociągnęła mnie bezceremonialnie w stronę drzwi.

- Nie możesz w to wierzyć, Castor - błagała Trudie z twarzą wykrzywioną w niemal namacalnej zgrozie. - Nie możesz.

- To tylko kwestia czasu - odparłem. - Żywi przeciw umarłym? Wcześniej czy później każdy z nas przechodzi na drugą stronę.

Drzwi zatrzęsły mi się przed nosem.

Ruszyłem pieszo do domu, tak jak w noc zabójstwa Ginny Parris, odtwarzając

niedawne wydarzenia w głowie. Może Trudie miała rację co do mnie? Wyraźnie dobrze się czułem w towarzystwie umarłych, nieumarłych i nigdy nienarodzonych. Czy zatem byłem zdrajcą pośród żywych? Piątą kolumną w niewypowiedzianej wojnie? Czy naprawdę tylko ja dostrzegałem, jaka to beznadziejna wizja?

Nadał przetrawiałem to w myślach, kiedy skręciłem w ulicę Pen i ujrzałem wyjątkowo nieprzyjemny widok. Przed jej drzwiami, sto metrów dalej, parkowała ta sama czarna limuzyna, którą widziałem przed Super-Self.

Jenna-Jane postanowiła nie czekać na poranną telekonferencję.

Ze ściśniętym sercem podreptałem w stronę morderczego *rendez vous*. Kiedy jednak zbliżyłem się dostatecznie, by ujrzeć dom, rezygnacja zniknęła bez śladu, zastąpiona falą przejmującej paniki.

Parterowe okno było wybite, a stojące zwykle na piętrze pianino, należące niegdyś do babci Pen, leżało pod dziwacznym kątem na trawniku; przez pęknięcie obudowy z politurowanego drewna na trawę wysypały się kołkowo-strunowe wnętrzości.

Pobiegnęłam ścieżką do drzwi. W przedpokoju stał Dicks. Wykonał ruch, jakby chciał zastąpić mi drogę, co miałyby nieprzyjemne konsekwencje dla nas obu, lecz w chwili, gdy zacisnąłem pięść i pochyliłem głowę, w domu rozległ się głos.

- Wpuść go, Dicks!

Dicks w ostatniej chwili odsunął się z wyraźną niechęcią, posyłając mi nieprzychylnie spojrzenie.

Jenna-Jane czekała u szczytu schodów prowadzących do piwnicy. Jej oczy przepełniało głębokie współczucie.

- Gdzie one są? - spytałem. W ustach zaschło mi tak bardzo, że ledwie zdołałem wykrztusić te słowa. - Gdzie one są?

- Feliksie - odparła łagodnie - gdybyś tylko od początku mnie posłuchał...

Nie czekając, aż skończy, zbiegłem na dół. Piwnica Pen wyglądała, jakby wparowała do niej wycieczka jadących pociągami hien, zdecydowała się nieco zabawić, a potem się wyniosła. Wszystkie meble strzaskano na zapalki. Pod stopami chrzęściło mi tłuczone szkło, w powietrzu unosił się ciężki słodko-gorzki smród rozlanego koniaku. Komputer wbito w telewizor - starożytny, gigantyczny model - tak mocno, że dwie zgniecione plastikowe obudowy złączyły się, zespolone ze sobą niczym kochankowie w trakcie pocałunku z języczkiem, który wyrwał się spod kontroli.

Wśród rumowiska na biurku leżało coś przypominającego poszarpaną jedwabną apaszkę, ciemnoczerwone plamy i kreski na tle lśniącej czerni. To był kruk Edgar, połamany,

ze skrzyconym karkiem, niedbale odrzucony na bok. Nie dostrzegłem ani śladu Arthura.

Asystentka Jenny-Jane, Gentle, w skupieniu grzebała w śmieciach.

- Zadaję sobie jedno pytanie - rzekła, nie podnosząc wzroku. - Dlaczego blokady tak długo go tu nie dopuszczały?

- Naprawdę jesteś aż tak głupia? - wyrzuciłem z siebie, dość ostro, by zaskoczona uniosła głowę. - Wcale go nie powstrzymywały. Nie powstrzymywały go nawet przez jedną pieprzoną sekundę.

„Wiesz, czemu lew kuleje?”.

By durne gazele uznały, że są bezpieczne, i zeszły do wodopoju.

Bo wtedy może przebierać wśród pechowych pizdzielców, ile tylko zechce.

ROZDZIAŁ 17

- Imiona narastają - oznajmiła Gentle. - Za każdym razem o sylabę.

Na stole przed sobą ułożyła nieostre odbitki, przedstawiające pieczęcie, które znaleźliśmy w tunelu pod ziemią. Przesuwała dłonią od zdjęcia do zdjęcia, wymawiając kolejno każde imię, powoli, niczym nauczycielka z podstawówki sylabizująca k-o-t.

- Ket. Tlallik. Tsukelit. Ilalliel. Jetaniul. Aketsulitur. Ajulutsikael.

- Ilalliel i Jetaniul są tej samej długości - zauważyła Jenna-Jane.

Gentle wzruszyła ramionami.

- Dla nas, owszem, ale jeśli przedłużysz środkowe „i” w jednym z nich, może pojawić się różnica, której nasze uszy nie wychwyca.

Minęło półtorej godziny, a my nawet nie drgnęliśmy z miejsca. No, to nie do końca prawda: przenieśliśmy się na pierwsze piętro, gdzie jeden z pokoiów pozostał mniej więcej nietknięty. Meble okrywały chroniące przed kurzem pokrowce, foliowe torby pochodzące z nieistniejących już sieci supermarketów, takich jak Gateway i Victor Value. Nikt nie przekroczył progu tego pomieszczenia od czasu śmierci matki Pen.

Pierwszy odruch nakazywał mi wrócić do podziemnej kryjówki Asmodeusza i przypuścić na nią szturm, lecz Jenna-Jane odparła, że jej ludzie obserwują to miejsce i demon się tam nie zjawił. W żaden sposób nie dało się stwierdzić, dokąd się udał. Nie mogliśmy nawet użyć mapy Trudie. Podarła ją na strzępy przed wyjściem z KOM, a poza tym chwilowo była wyłączona z gry, może nawet na zawsze.

Usiedliśmy zatem i zaczęliśmy rozmawiać, i do niczego to nie doprowadziło. Jenna-Jane powtórzyła swoją teorię poczwarkową, według której demony zaczynają życie jako prostsze organizmy i w miarę rozwoju zmieniają imiona. Nie obchodziło mnie to i ledwie słuchałem. Asmodeusz miał Pen i Sue, tylko to się liczyło. Oczywiście, zrozumienie tego, co skurwiel kombinował z Juliet, mogłoby się przydać, ale nie sądziłem, że oglądanie ładniutkich obrazków nam w tym pomoże. Miało to coś wspólnego z Juliet i tym co robiła - i musiało pasować do wszystkich innych osobliwości, którymi zajmował się od chwili ucieczki.

Chyba że się myliłem. Chyba że po prostu w szale atakował świat i w końcu zabije nas wszystkich tylko po to, by przez moment cieszyć się odczuwaną ulgą.

Wstałem od stołu.

- Muszę zadzwonić - oznajmiłem.

Jenna-Jane i Gentle nadal oglądały wydruki. Nie odpowiedziały.

Podszedłem do okna, dość daleko, by nie mogły mnie podsłuchać, i wybrałem ponownie numer Sue Book. W słuchawce rozbrzmiała się ta sama wiadomość z automatycznej sekretarki. Tym razem odkryłem, że nie potrafię się zdobyć na odpowiedź. Jak nagrać na sekretarkę wiadomość: „Potwór porwał kobietę, którą kochasz”? W końcu powiedziałem po prostu: „Zadzwoń do mnie, Juliet. Proszę, do kurwy nędzy, zadzwoń”.

A potem się rozłączyłem.

Patrzyłem z góry na trawnik. Pianino leżało martwe pośród długiej trawy, a niewzruszony pan Dicks stał przy furtce z rękami splecionymi na piersi, patrząc gniewnie na wczesnoporannych gapiów. Zerknął w górę i kiedy dostrzegł mnie w oknie, jego oczy się zwężyły. W tym momencie miałem zbyt wiele na głowie, by mu pomachać.

Za moimi plecami Jenna-Jane grzebała w kieszeniach - dziwnie zwyczajna i ludzka czynność, sprawiająca, że przez moment wyglądała jak zapominalska babcia, na próżno szukająca kluczy do drzwi frontowych.

- Czy sukub jest jego sojuszniczką? - pytała Gentle. - Czy przywołanie wszystkich jej aspektów ją wzmacnia? Coś w rodzaju ontologicznego nawarstwiania...

- To ją doprowadza do obłędu - wymamrotałem.

Z tyłu przez moment zapadła cisza. Potem wyraźnie usłyszałem klaśnięcie języka Jenny-Jane o podniebienie, mimowolny lecz bardzo dyskretny wyraz zdumienia i zrozumienia.

- A zatem to nie dobroczynny efekt - zastanawiała się głośno - tylko rodzaj tortury.

- Albo nieopanowanej regresji - wtrąciła Gentle.

Nagle gdzieś w pobliżu zabrzmiała sekwencja siedmiu metalicznych fałszywych dźwięków. J-J wyjęła z kieszeni komórkę i przyłożyła do ucha.

- Mulbridge - powiedziała z prostotą bardziej arogancką niż nawet największa ostentacja. Tytuły są dla zwykłych śmiertelników. Parę sekund słuchała w napięciu, po czym zaczęła wtrącać pytania i polecenia. - Gdzie? Dokładnie jak daleko? Świetnie. Świetnie. Jaki to adres? Dziękuję.

Po niecałej minucie zamknęła telefon.

- Twój Moulson, Feliksie - oznajmiła. - Człowiek, który został opętany i podobno znalazł sposób, by się wyzwolić. W końcu go wytropiliśmy. Appleton House, Godalming Lane, Eashing, Surrey. Autostradą A-3, prosto. Podobno to zaledwie dwadzieścia mil jazdy.

Ruszyłem do drzwi, ale po trzech długich krokach zamarłem.

- Kurwa! - wybuchnąłem. - Wóz Pen. Sukinsyn rozwalił go w drzazgi!

- Możesz wziąć mój samochód - powiedziała bez wahania Jenna-Jane. - Gentle, daj panu Castorowi swoje radio. Ja powiem Dicksowi, żeby cię tam zawiózł.

Pośpiesznie opuściła pokój. Gentle wyciągnęła z kieszeni masywną krótkofalówkę i podała mi.

- Po cholere mi to? - spytałem. - Mam komórkę.

Wzruszyła ramionami.

- To działa na częstotliwościach policyjnych - wyjaśniła. - Na niektórych obszarach sieć komórkowa nie ma zbyt dobrego zasięgu. Radio działa zawsze. A przynajmniej najlepsze, jak to. Nastawiasz na pasmo numer jeden, chyba że pojawią się miejscowe zakłócenia, wtedy na dwójkę, trójkę i tak dalej. Gdy tylko wyłapie cię centrala KOM, połączą cię z profesorem Mulbridge, nieważne gdzie będzie.

- Cudownie - wymamrotałem. - Gorąca linia do Boga. Wziąłem krótkofalówkę i wepchnąłem do kieszeni. Zszedłem na dół, Gentle dreptała tuż za mną, wciąż wyjaśniając szczegóły działania krótkofalówki, ja jednak nie mogłem się już zmusić do słuchania. Dlaczego Asmodeusz porwał Pen i Sue, zamiast zabić je na miejscu? I jak właściwie je porwał? Wywiózł białą furgonetką? Zawinął w dywan? W jaki sposób porwanie pasowało do innych rzeczy, które robił, odkąd się uwolnił? Po co potrzebował ich żywych, skoro bez namysłu zabił Ginny Parris i Jovana Ditko?

Na trawniku Jenna-Jane rozmawiała z ożywieniem z Dicksem. Kiedy się zbliżyłem, wielkolud zerknął na mnie, a potem skinął głową - pod adresem Jenny-Jane, nie moim.

- To kluczowa sprawa - mówiła Jenna-Jane. - Najważniejszy trop, jaki dotąd znaleźliśmy, i musimy bez przeszkód zbadać go do końca. - Rozejrzała się z taką miną, jakby dopiero co mnie zauważyła. - Castor. Doskonale. Wsiadaj do wozu.

- Nie mogę pojechać sam? - spytałem.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem, było towarzystwo nadąsanego, południowoafrykańskiego ochroniarza, marudzącego przez całą drogę do Surrey. Wolałem uporządkować myśli i opracować plan kampanii.

- Ten samochód kosztował szpital ponad czterdzieści osiem tysięcy funtów - wypomniała mi Jenna-Jane z miną podstarzałej nauczycielki - a ty jesteś wyczerpany, Feliksie. W tej chwili po prostu nie ufam twojej sprawności za kierownicą. Poza tym, cały czas musisz pozostawać w kontakcie. - Wskazała ręką krótkofalówkę, którą wciąż trzymałem w dłoni. - Zostawię tu Gentle, na wypadek gdybyśmy przeoczyli coś podczas naszych

poszukiwań. Jakąś wskazówkę co do zamiarów demona. Zakładając, że panna Bruckner i ta druga kobieta wciąż żyją, może przedstawić żądania. Ty sam możesz figurować w jego planach w sposób, którego wciąż nie znamy. Nie wyłączaj radia i pomyśl o tym, co już nam wiadomo. O imionach i przywołaniach. Jeśli cokolwiek przyjdzie ci do głowy - coś, czego nie uwzględniliśmy - zadzwoń, a dołożę wszelkich starań, by to załatwić. Kiedy wrócisz, przyjedź wprost do KOM. Poinformuję cię tam o wszystkim, chyba że zdołamy zlokalizować Asmodeusza i będziemy już go ścigać. W takim przypadku dam ci znać przez radio i będziesz wiedział, gdzie nas szukać.

Całą tę przemowę wygłosiła bez jednej przerwy. Następnie umilkła, patrząc na mnie z miną mówiącą głośniejsz niż słowa „Dlaczego wciąż tu stoisz?”. Dobre pytanie. Wsiadłem do wozu, Dicks zatrzęsął za mną drzwiami, mamrocząc pod nosem przekleństwo. Gdy tylko to zrobił, Jenna-Jane zastukała w szybę. Nie znalazłem przycisku do opuszczania jej, toteż uchyliłem drzwi, a ona wyciągnęła rękę.

- Twój telefon - zażądała.

- Mój co? - zdumiałem się.

- Masz radio Gentle - przypomniała niecierpliwie Jenna-Jane - a linia naziemna została uszkodzona. Nie mogę jej zostawić bez środków łączności. Będziesz musiał zostawić jej komórkę.

- Daj jej swoją - zaproponowałem. Jenna-Jane się najeżyła.

- Castor, w tej sytuacji liczy się każda sekunda. Proszę, nie trać czasu na spory ze mną.

Zawahałem się. Dostrzegałem zalety radia. Gdybym dowiedział się czegoś, co zadziałałoby na Asmodeusza, nie zabijając Rafiego, i gdyby ludzie Jenny-Jane odnaleźli go, nim się tam zjawię, musiałbym natychmiast przekazać im informacje. Na tym etapie to mogła być kwestia życia bądź śmierci, i cokolwiek, co powiększało moje szanse, wyglądało dobrze. Oddanie komórki uznałem za fatalny pomysł, ale umysł przepelniał mi emocjonalny szum, zaprawiony potrzebą pośpiechu. Wyciągnąłem telefon i rzuciłem Jennie-Jane.

- Pozostań w kontakcie - poleciła mi z napięciem, gdy znów zatrzęsąłem drzwiami.

Ruszyliśmy na południe, a potem na zachód. Dicks jechał szybko, lecz zręcznie i fachowo, wykorzystując panującą na ulicach wczesnoporanną pustkę, by dodać gazu na każdym wolnym odcinku drogi. Nie odzywał się, a ja nie miałem mu nic do powiedzenia, toteż posłuchałem rady Jenny-Jane, skupiając się na tym, co zrobił Asmodeusz.

Przywołując odrzucone aspekty Juliet, najwyraźniej cofnął ją do wcześniejszego etapu jej własnego rozwoju. Albo to, albo po prostu doprowadził ją do obłędu, przypominając jej o minionych wcieleniach - otaczając imionami, które, jak sądziła, odrzuciła na zawsze. Jedno z

dwojga - a może odrobina tego i tego. Tak czy inaczej, albo same imiona miały nad Juliet władzę, moc określania i kształtowania, albo też nakładanie ich na siebie torturowało ją i mieszało jej w głowie tak, że ograniczenia, jakie narzuciła swej demonicznej naturze, zaczęły pękać.

Czy wszystko to stanowiło jedynie skomplikowaną formę zemsty? Szybka śmierć dla Ginny Parris, tortury i okaleczenia dla Jovana Ditko, powolny proces rozpadu dla Juliet. Ale w takim przypadku, czemu był gotów mnie zabić, i to dwa razy - w Brixton, a potem w tunelu w Kingsway? Z pewnością obwiniał mnie bardziej niż ją za półzycie, w jakim zmuszony był trwać przez ostatnie kilka lat. Prawo imion. Coś związanego z imionami i tym, jak działają. Coś, co on wiedział, a ja nie. A ponieważ nie odgadłem na czas, porwał Pen i Sue.

Słońce weszło za naszymi plecami i musiałem odwrócić twarz od lusterka, by ochronić oczy przed ślepotą. Przez ponad dwadzieścia minut rozmyślałem gorączkowo, nie zwracając uwagi na pokonywaną trasę, dopóki nagle nie zwolniliśmy i nie poznałem końcówki Edgware Road. Ruch powoli zaczynał się zagęszczać, ale daleko mu było do korka i nie dostrzegłem żadnego powodu, dla którego Dicks miałby zahamować.

Nagle zjechał na chodnik i się zatrzymał. Na miejsce obok niego wcisnął się kolejny rosły facet w tym samym czarnym uniformie. Oczywiście, pomyślałem. Znaleźliśmy się niedaleko KOM: bazy wypadowej osiłeków Jenny-Jane.

- Posiłki - oznajmił Dicks. - Na wypadek gdybyśmy musieli nalegać, żeby dopuszczono nas do tamtego faceta.

Nowy przybysz - którego naszywka na piersi informowała, że nazywa się DeJong - zerknął na mnie, pozdrowił Dicksa skinieniem głowy i ruszyliśmy w drogę.

Znów zaczęliśmy się rozpędzać, okrążając Hyde Park i przecinając Victorię bez zbędnych opóźnień. Dzięki raz jeszcze, panie Livingstone. Mostem Chelsea przeprawiliśmy się na drugą stronę Tamizy i w Clapham Common zjechaliśmy na A-3. Potem Dicks porządnie dodał gazu.

* * *

Eashing to typowe, banalnie schizofreniczne miasteczko targowe, jakie można znaleźć przy każdej autostradzie w południowo-wschodniej Anglii. Składa się na nie jedna spokojna, krótka główna ulica, pub z muru pruskiego, parę starych chat, które wyglądałyby świetnie na pocztówce, i od cholery paskudnych kamienic z czerwonej cegły oraz stalowo-szklanych niskich bloków zbudowanych w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat według tych samych, rygorystycznych standardów architektoniczno-estetycznych, jak typowe szambo.

Z niewiadomych przyczyn założyłem, że Moulson przeniósł się na emeryturę do szacownej wiejskiej posiadłości, do której wiedzie zwieńczona tralkami ogrodowa brama, lecz Appleton House okazał się domem starców, smutną stodołą zbudowaną z wyblakłej żółtej cegły, z parterową przybudówką pokrytą płaskim dachem. Dicks i jego kumpel zaczęli w wozie, ja tymczasem podszedłem do drzwi frontowych i nacisnąłem domofon.

- Tak? - Głos należał do kobiety, choć z trudem dało się to stwierdzić pośród wszystkich szumów, trzasków i zniekształceń interkomu.

- Przyszedłem do pana Moulsona - oznajmiłem.

Trzask. Syk. Pisk.

- Jest pan krewnym?

Równie dobrze mogłem nim być. Byłe tylko załatwić to jak najszybciej.

- To mój cioteczny dziadek - wyjaśniłem.

Cichy metaliczny warkot piły łańcuchowej zastąpił przypadkowe szумы - to recepcjonistka nacisnęła przycisk zamka. Przekroczyłem próg i znalazłem się w recepcji przypominającej poczekalnię u lekarza, tyle że całkiem pustą.

Imponująca niewiasta za kontuarem zdjęła kciuk z guzika i poleciła mi wpisać się do księgi gości, co też zrobiłem. Posłużyłem się nawet własnym nazwiskiem.

- Jest w swoim pokoju - oznajmiła przepaszającym tonem. Mówiła z australijskim akcentem. - Próbowaliśmy namówić go, by od czasu do czasu wychodził, ale woli własne towarzystwo.

- Zawsze taki był - zablefowałem odruchowo.

Przytaknęła, przyglądając mi się z zaciekawieniem.

- I szczerze mówiąc - dodała - przyjmujemy to raczej z ulgą. Wiem, to okropne, ale kiedy pan Moulson wychodzi, przeraża wielu naszych mieszkańców. Ma pan może jakiś dokument, panie Castor?

Pokazałem jej prawo jazdy, a ona odhaczyła mnie w księdze gości.

- Ostrożności nigdy dosyć - skomentowała. - Zwłaszcza po tym, jak próbował się dostać do niego ten dziennikarz. Uprzedzę go, że pan przyszedł.

Cholera. Tego nie przewidziałem.

- Wolałbym zrobić mu niespodziankę - oznajmiłem pośpiesznie, lecz recepcjonistka podnosiła już słuchawkę telefonu centralki i wybierała numer.

Nie opuszczając przyciśniętej do ucha słuchawki, spojrzała na mnie.

- Przepraszam - powiedziała. - Takie mamy przepisy. Uchwała rady nadzorczej. To potrwa tylko chwilę.

Zapadła długa cisza. Słyszałem, jak telefon z drugiej strony dzwoni trzy, cztery, pięć razy. Tymczasem obmyślałem kolejną linię ataku: cioteczny dziadunio Martin nie wiedział o istnieniu naszej gałęzi rodziny, bo matka ukrywała swoją ciążę. Teraz jednak muszę się z nim zobaczyć, bo babcia zmarła, a on okazał się jedynym spadkobiercą jej wielkiego majątku. Przez parę sekund rozważałem nawet, czy się nie urwać, dopóki recepcjonistka jest zajęta, i nie spróbować samodzielnie odnaleźć Moulsona, nie miałem jednak pojęcia, w którym pokoju szukać ani jak wygląda, oprócz tego, że jest straszny, ani też jaką tu mają ochronę.

- Halo, panie Moulson - powiedziała w końcu recepcjonistka - przyszedł do pana gość. Pan Felix Castor. Pański cioteczny wnuk. Mogę go przysłać?

Chwila ciszy.

- Pański cioteczny wnuk. Tak.

Kolejna pauza. Spiałem się cały, otwierając usta, by zacząć wyjaśniać, gdy tylko naciśnie guzik wzywający ochronę.

Kobieta odłożyła słuchawkę i obdarzyła mnie uprzejmym uśmiechem.

- Zaprowadzę pana - oznajmiła.

Z lekkim poczuciem nierzeczywistości ruszyłem za nią krótkim korytarzem wiodącym do schodów.

- Pokój siedemnaście - oznajmiła, wskazując ręką. - Pierwsze piętro. Nie jest zamknięty. Napije się pan herbaty, panie Castor?

- Nie - odparłem. - Nie, dziękuję. Nie trzeba.

Ruszyłem dalej, mijając bardzo starą kobietę, która także wdrapywała się po schodach, tyle że znacznie wolniej. Robiła to, stawiając obie stopy na każdym kolejnym stopniu i dopiero potem przypuszczając szturm na następny. Już miałem zaoferować jej pomoc, mamrotała jednak coś pod nosem i kiedy zbliżyłem się dostatecznie, by zrozumieć słowa, pojąłem, że przeklina pod nosem: „Kurwa. W pizdę. Skurwysyn. Chuj. Kurwa...”.

Nie chciałem jej zdekoncentrować, bo wyglądała na niesamowicie skupioną, toteż przecisnąłem się obok i pomaszerowałem dalej. Kiedy dotarłem na górę, staruszka wciąż przeklinała i nadal się wspinała.

Zastukałem do drzwi pokoju siedemnaście, a potem otworzyłem je i wszedłem do środka. Znalazłem się w przedpokoju wielkości toi-toia; ścianę po lewej wyłożono lustrami, po prawej dostrzegłem trzy wieszaki na płaszcze. Jedyne drzwi miałem przed sobą. Były półotwarte, ale nie widziałem, co się za nimi kryje, bo w pomieszczeniu zalegała absolutna ciemność. W powietrzu unosiła się ostra szpitalna woń gotowanej kapusty i kwiatowego środka odkażającego, lecz pod nią kryło się coś jeszcze, coś ostrzejszego, nieprzyjemnego i

niełatwego do zidentyfikowania, na wpół zanurzonego, niczym aligator w błotnym stawie.

- Pan Moulson? - zagadnąłem.

Pokój był tak ciasny, że nie miałem powodu, by podnosić głos.

- Powiedz mi, po co przyszedłeś, ty wścibski mały skurwielu - odpowiedział ktoś w ciemności.

Przemawiał powoli, drżącym głosem, brzmiącym dziwnie krucho, głosem nieszkodliwego staruszka, przywołującym obraz starzejącego się, pogodnego Alberta Einsteina. Dysonans między tym głosem a słowami - a także ponurą, beznamiętną groźbą w nich zawartą - wręcz porażał.

- I bez żadnych bajerów. Trzymam rękę na lince alarmowej, ale to najmniejszy z twoich problemów. Kiedy choć raz mnie okłamiesz, zaczniesz płakać krwią, zrozumiano?

- Nazywam się Castor - zacząłem. - Jestem...

- Wiem już, kurwa, jak się nazywasz. Masz mnie za dziecinniatego starca? Podała mi twoje nazwisko przez telefon, nie? Chłoptaş z Londynu. Parę niezłych robótek sześć czy siedem lat temu, ale z tego, co słyszałem, nigdy nie byłeś tak dobry, jak sam uważałeś. Dlaczego nie możecie zostawić mnie w spokoju? Co, wpakowałeś się w jakieś bagno? I chcesz wyciągnąć ode mnie informacje? Wypierdalaj do Babilonu, chłopczyku.

W tym momencie mój umysł nie działał z pełną mocą, ale starter w końcu zaskoczył i silnik zaczął pracować.

- Jest pan egzorcystą.

- Twierdzisz, że nie wiedziałeś? - warknął Moulson. - To co, przyjechałeś tu na pierdoloną wycieczkę czy jak? Gadaj z sensem. I to już. Gadaj, kurwa, z sensem albo zamknij za sobą drzwi.

Odetchnąłem głęboko.

- Słyszałem o tym, co pana spotkało - powiedziałem powoli. Uznałem, że prawda to jedyne wyjście, bo nie miałem pojęcia, w co gra Moulson, co może mu się spodobać, a co walnie go jak mokry ręcznik w pomarszczoną dupę. - To samo spotkało mojego przyjaciela, Rafaela Ditko. Znalazł sobie pasażera. Chcę się dowiedzieć jak się pan uwolnił, bo mam nadzieję, że może ta sama sztuczka zadziała i u niego.

W ciemności za drzwiami zapadła długa ciężka cisza.

- Podaj mi imię - rzekł w końcu Moulson niewiele głośniejszy od szeptu. - Kogo ma?

- Asmodeusza - oznajmiłem.

Moulson roześmiał się - szorstko, nieprzyjemnie.

- Nie ma szans - oświadczył. - Wracaj do domu, ducholapie. Na nic ci się nie zdam.

- Czyli to, co pan zrobił - nalegałem - nie da się zastosować do najważniejszych demonów? Działa jedynie na płotki? - Nasączyłem swe słowa drwiącą nutą. Skoro nie mogę dogadać się ze starym skurwielem, może przynajmniej dam radę go podpuścić. - A już myślałem, że dokonał pan czegoś niezwykłego, pan tymczasem jedynie zabił muchę. Dobra. Może jednak tracę tu czas.

Usłyszałem kolejny suchy śmiech, trzask gałązek pękających pod stopami, a potem głos Moulsona znów dobiegł z cieni.

- To właśnie powiedziałem, nie? Że nic dla ciebie nie mam. Ale... mucha? Opętał mnie Zohruen, synu. Sprawdź go sobie, kiedy wrócisz do domu. - W jego głosie pojawił się nowy ton, jakby gniew albo wyzwanie. - Jego żywiołem jest ziemia. Gniłem od środka, zamieniałem się w próchno. Myślisz, że było mi łatwo? To, co uczyniłem, zrobiłem palcami obłazącymi do kości. Zębami wypadającymi ze szczęki. Więc nie mów mi, kurwa, że było łatwo.

- W takim razie, dlaczego nie chce pan pozwolić, by ktoś inny skorzystał z pańskiego doświadczenia? Chce pan tu siedzieć w ciemności i sobie gratulować, bo zdołał się pan wyzwolić, podczas gdy ktoś inny przechodzi przez to samo, co pan wcześniej, i może mu się nie udać? Zarabiałeś tym na życie, Moulson. Podpuszczasz mnie, żebym ci zapłacił? Chcesz dostać honorarium konsultanta?

- Nie chcę twoich pieniędzy!

Nie zorientowałem się, że krzyczę, dopóki on sam nie zaczął wrzeszczeć. Ten wysiłek sporo go kosztował. Rozkaszał się sucho, atak trwał niemal minutę.

- Pierdołę cię... i twoją forszę - wykrztusił, kiedy odzyskał głos. - Chcę, żeby wasi ludzie zostawili mnie w spokoju, to wszystko. Chcę, żebyście wykreślili moje nazwisko ze swoich pieprzonych ksiąg i trzymali się ode mnie z daleka. Nic dla was nie mam. To, co zrobiłem, nie było nawet warte pierdolonego wysiłku. Powinienem był tam umrzeć i mieć to z głowy. Zapal światło, ty mały nadęty fiutku. Nie będziesz musiał zapłacić nawet grosza, żeby obejrzeć sobie dziwoląga.

Skóra na karku zjeżyła mi się, przekroczyłem jednak próg. Przez moment macałem lewą ręką po ścianie w poszukiwaniu włącznika, zamiast tego natrafiłem na sznurek. Pociągnąłem go i światło się zapaliło: pojedyncza naga żarówka, boleśnie jasna, wisząca bez osłony na środku pokoju.

Z zaciągniętymi ciemnymi storami pokój wydawał się klaustrofobicznie ciasny - zwykły boks z łóżkiem, stolikiem i samotnym krzesłem. Pomyślałem o celi Jovana Ditko w więzieniu Irdrizovo. Moulson miał przynajmniej dywan, choć jego wzór z czerwonych i

pomarańczowych eksplodujących słońc sięgał korzeniami do najgorszych ekscesów lat siedemdziesiątych.

Wysokie krzesło z wygiętym oparciem obito ceglasczerwona sztuczna skórą, tu i tam pociemniała od otarć i potu, śladów paru ciężkich dziesięcioleci. Moulson siedział na nim z przekrzywioną głową przytuloną do oparcia, jego ręce spoczywały ciężko na poręczach. Miał na sobie koszulę i spodnie, był boso. Koszula wisiała rozpięta aż do pasa, pewnie dlatego, że było za wcześnie, żeby przejmować się tak drobnymi detalami.

Swą barwą przypominał krzesło: odmieniona skóra miała kolor niezdrowej czerwieni, tu i tam przechodzącej w brąz, a nawet w czerń. Twarz przypominała maoryską maskę, odpicowaną szybko dla turystów, bez przejmowania się tym, jak powinna wyglądać ludzka twarz. Z ciała wystawały niewielkie supłowate guzy, niczym nity na żelaznym kubie, tworząc dwie linie wiodące od skroni do grzbietu nosa, a potem rozchodzące się ponownie przez policzki i pod brodę. Podobne zgrubienia dostrzegłem na grzbietach dłoni ściskających poręcze - proste linie promieniujące od przegubu do kostek. Jego pierś, zapadnięta na żebrach jak żagiel podczas flauty, znaczyła pozioma linia opuchnięć wzdłuż obojczyków i dwie ukośne, sięgające ku obu sutkom. Dostrzegłem też niewielkie skupisko po lewej w miejscu serca.

Każdy z owych napuchniętych guzów wyrastał z gniazda starej tkanki bliznowej, przez co jego skóra nabrała łaciatego wyglądu. W zasadzie każdy cal ciała nosił asymetryczne ślady dawnych niewyobrażalnych wykopalisk.

- Podoba ci się? - wychrypiał Moulson. Uniósł rękę w drżącym, wieloznacznym geście, zapraszając mnie, żebym nasycił wzrok. - Niezły widok, co? A wszystko to zrobione własnoręcznie przeze mnie.

- Po co? - Nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Szczepienie - odparł Moulson. Przez parę chwil milczał. Potem jego prawa ręka, wciąż uniesiona, rozprostowała się i poruszyła, kiedy wskazał łóżko. - W szufladzie - oznajmił - pudełko po butach. Wyjmij je.

Z początku nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Potem przekonałem się, że łóżko to w istocie tapczan z szufladami ukrytymi pod zwisającą z boków rozrzuconą pościelą. Odsunąłem ją i otworzyłem lewą, którą wskazywał.

Pudełko tkwiło na samym przodzie, pod ręką, przycupnięte na warstwie skarpet i bielizny. Wyciągnąłem je i postawiłem na podłodze obok łóżka.

- Otwórz - polecił Moulson.

Posłuchałem. Wypełniały je maleńkie miedziane dyski - z początku uznałem, że to półpensówki, ponieważ jednak nie były legalnym środkiem płatniczym w Wielkiej Brytanii

od ponad dwudziestu lat, uniosłem jeden i przyjrzałem się bliżej.

Był nieco grubszy od półpensówki i z pewnością nigdzie na świecie nie przyjęto by go zamiast zapłaty. Wybito na nim dwa słowa, nieco z boku, literami tak małymi, że ledwie zdołałem odczytać. Opasywały je pajęczne linie pentagramu.

Martin Moulson.

Zgarnąłem garść dysków i przesiałem między palcami. Każdy z nich nosił ten sam znak, tylko z jednej strony. Rewers był pusty.

Spojrzałem na Moulsona ze zdumieniem. Powoli docierała do mnie świadomość, czego właściwie dokonał. Zupełnie jakbym spojrzał ponad ogrodowym murem i niespodziewanie po drugiej stronie ujrzał otwierającą się otchłań.

- Ile? - zdołałem wykrztusić. - Ilu użyłeś?

Moulson uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zwyczajne, lecz poczerńiałe zęby. Ponieważ praktycznie nie miał dziąseł, wypełniały usta od góry do dołu, wyglądając jak pręty klatki.

- O tak, oto jest pytanie - zgodził się. - Ile? Przez jak wielką dziurę jest w stanie przecisnąć się jeden z tych wrednych skurwieli?

Jego dłoń zakreśliła w powietrzu kształt opisujący proces, którego nie potrafiłem i zdecydowanie nie miałem ochoty sobie wyobrazić.

- Pierwsze były najtrudniejsze, bo ze mną walczył. Spójrz, jak paskudnie to wygląda.

Starzec odwrócił rękę i podciągnął mankiet nad chuderławy przegub, bym mógł obejrzeć wewnętrzną część przedramienia. Pożłobiona i gruzłowata skóra przypominała powierzchnię księżyca. Tu guzy nie tworzyły wyraźnego układu, jedynie pięć nierównych wzniesień skupionych bardzo blisko.

- Dziury zrobiłem scyzorykiem, dziab, dziab, dziab. - Naśladował każde pchnięcie. - A potem wepchnąłem pieczęcie, jedną za drugą. Z początku nie wiedział, co robię. Pewnie sądził, że próbuję podciąć sobie żyły, co zasadniczo tylko by go rozśmieszyło. Kiedy się zorientował, zaczął walczyć. Ale wiedziałem doskonale, że to moja jedyna szansa, a on nie mógł mi odebrać prawej ręki i wciąż trzymałem w niej nóż. - Moulson szeroko otworzył oczy. Światło nagiej żarówki było ostre i oślepiające, on jednak wpatrywał się w mrok własnych wspomnień. - Trwało to wiele godzin. Chyba prawie cały dzień, ale niełatwo to stwierdzić, bo próbował zamieszać mi w głowie. Pewnie słyszałeś powiedzonko o złapaniu tygrysa za ogon. No to wyobraź sobie, jakie to, kurwa, uczucie, kiedy połkniesz tygrysa, a on walczy z tobą od środka.

Zważyłem w dłoni pudełko, żeby ocenić jego ciężar. Dwadzieścia, trzydzieści funtów

metal? Obłąd. Obłąd zrodzony z ostatecznej, przejmującej rozpacz. Niechętny respekt, jaki zacząłem żywić wobec Moulsona, zmienił się lekko i przekształcił w coś podobnego do nabożnego podziwu.

- Sam wpadłeś na ten pomysł? - spytałem.

Jego spojrzenie powędrowało ku mnie, jakby niemal zapomniał o mojej obecności i musiał sobie przypomnieć kim jestem. Powoli, z roztargnieniem pokiwał głową.

- To prawo imion - rzekł. - Przypomniałem sobie, jak matka opowiadała mi tę historię, kiedy miałem cztery, może pięć lat. O tym, jak Bóg przyprowadził do Adama wszystkie zwierzęta, by ten je nazwał. „Wszystko bowiem, co nazwał duszę żywiącą, to jest imię jego”*. Zupełnie jakby do tej pory były niczym i dopiero imiona je dookreśliły.

Jego ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz, nie miałem jednak pojęcia, czy to efekt obudzonych wspomnień, czy czysta reakcja fizyczna.

- Sprowadzamy ich tu, posługując się ich imionami - ciągnął. - I odsyłamy ich poprzez ich imiona. Imiona mają nad nimi władzę, nawet teraz. Toteż przepędziłem ze swego ciała tego wrednego kutasa, wbijając w nie moje własne imię, cal za cal, aż w końcu nie miał się gdzie ukryć i nie znalazł żadnego miejsca nieoznaczonego jako moje.

- Genialne - powiedziałem szczerze. - Genialne, kurwa.

Moulson ponownie wyszczerzył więzienne zęby.

- Genialne? Gdybym miał choć cień rozumu, z którym przyszedłem na świat, użyłbym stali nierdzewnej. Albo złota, gdyby było mnie na nie stać. Miedź jest trująca. Wiedziałeś? Ja nie. Prawdziwy szok dla organizmu. Najpierw zaczęły się drgawki, parę miesięcy po fackie. Potem drgawki zamieniły się w ostre napady. Do tej pory zorientowałem się już, co się święci, ale nie poszedłem do lekarza, bo nie widziałem w tym sensu. Potem zaczęła mi nawalać wątroba i kiedy zabrali mnie na przeszczep, prześwietlili mnie. Gdy tylko odkryli, że łąkę po świecie nafaszerowany metalem, próbowali wydebić ode mnie zgodę na usunięcie go. Powiedziałem im, żeby wypierdalali. Przez jakiś czas nie było pewności, czy zgodzą się na przeszczep, bo nowa wątroba zareagowałaby tak samo jak stara. Ostatecznie to zrobili i podali mi zastrzyki owalbuminy, żeby powstrzymać działanie soli miedzi, oraz całą kupę innego gówna, pigułki, igły i takie tam. Od czasu do czasu nadal miewam ataki, ale da się wytrzymać. Dawno już nie złamałem żadnej kości.

Moulson przygwoździł mnie ponurym, wyzywającym spojrzeniem.

- I tak to u mnie jest - oznajmił. - Radzę sobie. Radzę całkiem nieźle. I wierz mi, to najlepsze, czego może się spodziewać twój przyjaciel. Tyle że wielki gracz taki jak

* Biblia w przekładzie księdza Wujka.

Asmodeusz nie da się nabrać na podobny numer. Natychmiast się domyśli i stopi ci metal w pierdolonych rękach. Najpewniej także zmusi, żebyś go wypił.

Nie odpowiedziałem. Na parę chwil zapomniałem, po co przyszedłem, zasłuchany w budzącą mdłości, obłąkańczą opowieść starca. Jego słowa przywołały mnie z morderczą siłą do rzeczywistości. Miał rację. Sztuczka z monetami była dziełem geniuszu, ale nie zadziała. Nie pomoże Rafiemu. Nadal szukałem zbawienia w niewłaściwych miejscach.

- Dość już widziałeś? - spytał ostro Moulson. - W takim razie zgaś światło. - Owinął się ciasniej koszulą, żałośnie próbując odzyskać choć odrobinę godności.

- Czy mógłbym...? - zapytałem niezręcznie. - Potrzebujesz może czegoś? Mogę coś dla ciebie zrobić?

Spojrzał na mnie ponuro.

- Możesz stąd wypierdalać, ducholapie - odparł. - Ty i wszyscy twoi kumple. Oto, co możesz dla mnie zrobić.

* * *

Dwaj ochroniarze, oparci o maskę smukłej czarnej limuzyny, przypominali paskudne i dziwaczne guzy, które wyrosły z jej gładkiej powierzchni. DeJong zsunął tyłek z maski i z ironiczną grzecznością otworzył przede mną drzwi. Wsiadłem, nie patrząc na niego, a on je zatrzaskał.

Zawróciliśmy ostro na podjeździe, skręciliśmy na drogę i zaczęliśmy przebijać się przez wioskę. Myślałem, że gdy tylko znajdziemy się na autostradzie dodamy gazu, lecz Dicks prowadził samochód z leniwą prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Może byś trochę przyśpieszył? - zaproponowałem.

Zignorował moją sugestię.

- Dowiedziałeś się czegoś? - spytał przez ramię.

Uniosłem wzrok. Patrzył na mnie za pośrednictwem tylnego lusterka, mrużąc świńskie oczka.

- Dowiedziałem się, że warto patrzeć na drogę - odparłem beznamiętnie. - I to dość dawno temu.

DeJong zachichotał cicho, Dicks się skrzywił.

- Warto patrzeć na drogę - powtórzył DeJong, napawając się dowcipem. - Ale ci przywalił, Linus, bez dwóch zdań.

Linus Dicks? Co to za imię dla dzieciaka? Nic dziwnego, że wyrósł z niego osiłkowany ochroniarz; od początku musiał sporo udowadniać.

- Mówię poważnie - naciskał Dicks. Jego głos przeszedł w niski warkot. - Dowiedziałeś się czegokolwiek istotnego od tego starego pierdzielca? Mam cię o to spytać.

- Kto chce wiedzieć?

- Pani profesor.

- Mnie powiedziała, żebym ci powtórzył, żebyś patrzył przed siebie i się zamknął. Zaczekajmy, aż się z nią spotkamy, wówczas sama rozstrzygnie, kto miał rację.

Wielkolud miał taką minę, jakby zamierzał jeszcze wygłosić parę opinii, lecz uprzedziło go piskliwe bip, bip, bip, przypominające odgłos wydawany przez mikrofalówkę informującą, że jedzenie jest gotowe. To ja stanowiłem jego źródło. Pomacałem w kieszeni i wyłowilem zabraną Gentle krótkofalówkę.

- Pokażesz mi jeszcze raz, jak to działa? - poprosiłem DeJonga.

Już miał odebrać mi krótkofalówkę i zademonstrować, wtedy jednak przypomniałem sobie słowa Gentle i puknąłem w guzik SEND.

- Castor - powiedziałem i przełączyłem na RECEIVE.

Radia były naprawdę pierwsza klasa, warte każdego grosza wydanego na nie przez Jennę-Jane. Bez żadnych zakłóceń ani szmerów usłyszałem głos Gila McClennana, głośno i wyraźnie. Czy raczej cicho i wyraźnie, bo zdecydowanie go zniżał.

- Nic nie mów, Castor - rzucił. - Wymyśl kogoś prawdopodobnego i udawaj, że to z nim rozmawiasz. Zrób to, już! Nim zaczną coś podejrzewać.

- Jak znalazłeś tę częstotliwość, Nicky? - zaimprovizowałem.

- Świetnie - rzucił McClennan. - Czy jesteś tam sam z Dicksem, czy zabrał ze sobą wsparcie? Powiedz... no nie wiem, pojedynczy, jeśli jest sam.

- Raczej podwójny - odparłem.

- Kurwa. No dobra, słuchaj. Nie odwożą cię do domu.

- Co? - Staralem się zachować neutralny ton głosu, ale nie przychodziło mi to łatwo. - O czym ty mówisz?

- Nie odwożą cię do domu. Profesor chce cię trzymać jak najdalej od tego, co właśnie robi. Kazała im cię tam zatrzymać, dopóki...

Reszty nie usłyszałem, bo wóz zjechał z drogi w niewielką zatoczkę. W tym samym momencie DeJong podsunął mi pod twarz krótką, paskudną lufę pistoletu.

- Powiedz mu, że oddzwonisz - zasugerował, mrugając rubasznie.

- Wybacz, Nicky - rzekłem. - W tej chwili trudno mi rozmawiać.

- „Szalony biskup i niedźwiedź” na dworcu Paddington - powiedział szybko McClennan. - Będę na ciebie czekał. Jeśli zdołasz się im urwać, spotkajmy się tam.

Dodał coś jeszcze, lecz Dicks wyrwał mi z ręki radio, nacisnął wyłącznik i zamknął w schowku na rękawiczki.

- Wybierzmy się na spacer - zaproponował.

Moja kontrproponycja była krótka: pierdol się.

Nacisk pistoletu na mój policzek wzrósł znacząco.

- Dziewięćmilimetrowe MagSafe - zauważył lekko DeJong - mają zerową siłę przebicia. Byłoby sporo krwi do posprzątania, ale kula zostałaby w twojej głowie. Lepiej dobrze naoliw dupę.

- Zamierzacie mnie zabić po tym, jak obaj się ze mną pokazaliście? Bez urazy, ale nawet wśród kretynów to niewiarygodny popis głupoty.

- Wybierzmy się na spacer - powtórzył Dicks, a DeJong odbezpieczył broń.

Przynajmniej zakładam, że to właśnie zrobił: ciężko mnie nazwać ekspertem od tych rzeczy. W każdym razie przesunął kciuk, a pistolet wydał z siebie głośny szczęk, który zupełnie mi się nie spodobał.

Powoli przesunąłem się do bliższych drzwi i otworzyłem. DeJong trzymał mnie na muszce, Dicks tymczasem wysiadł zza kierownicy i okrążył samochód, by do mnie dołączyć. Wyciągnął mnie z wozu i popchnął w stronę niewielkiej kępy drzew. Obejrzałem się na drogę. Wciąż pozostawaliśmy na widoku i gdyby w tym momencie ktoś przypadkiem nadjechał, zaryzykowałbym rękę i spróbował ucieczki. Ale nic się nie zjawilo. W takiej sytuacji pozostawała mi całkowita kapitulacja albo próba walki z Dicksem. Przez moment miałem ochotę rzucić się na niego, ale był ode mnie cięższy o dobre trzydzieści kilo, i to samych mięśni. Nadal ważyłem w myślach szanse, odkrywając, że mam ich za mało, kiedy DeJong wysiadł i do nas dołączył, raz a dobrze rozstrzygając problem.

Pozwoliłem się popychać i prowadzić przez wąskie pasmo asfaltu i dalej pod drzewa. Grunt opadał tu ostro w stronę rowu melioracyjnego jakieś osiem stóp niżej. Dicks obejrzał się, uznał, że wciąż jesteśmy zbyt widoczni, i ponownie pchnął mnie w stronę rowu.

- Na dół - warknął.

- Nie - zaprotestowałem. - Tyle wystarczy. Dicks, cokolwiek Jenna-Jane ci powiedziała, to naprawdę kiepski...

Wielkolud przyłożył mi dłoń do piersi, rozcapierzając palce, i pchnął. Straciłem równowagę i poleciałem do tyłu, turlając się parę stóp, zdołałem jednak zahamować, zanim wpadłem do rowu. Dicks i DeJong rozsunęli się lekko, blokując mnie z prawej i z lewej, na wypadek gdybym spróbował ucieczki. Chcieli mnie widzieć w rowie i nie zamierzali przyjąć odmowy.

Nie podnosiłem się, bo kolejne pchnięcie rzuciłoby mnie do rowu dupą do góry. A poza tym spotkałem już całkiem sporo osiłków i bandziorów i dobrze poznałem zasady gry. Tylko pozycja leżąca na ziemi gwarantuje, że nie zostanie się przewróconym.

Dicks patrzył na mnie z góry z nieskrywaną satysfakcją.

- „To pana nazwisko? Czy może kusząca reklama?” - zagrział. - Zabawny tekst. Chociaż trochę bezczelny. Nie lubię, kiedy ludzie traktują mnie bezczelnie. Tak naprawdę, profesor powiedziała, żebym pozwolił ci się spotkać ze starym pierdzielem, zużywając jak najwięcej czasu, a potem wyrzucił gdzieś na zadupiu, tak, żebyś sam znalazł drogę do domu. Ale z tego co rozumiem, im dłużej to potrwa, tym lepiej. Jak daleko jesteśmy od tamtej wioski, DeJong?

Jego towarzysz postukał się z namysłem w brodę rękojęścią pistoletu - moim zdaniem stanowczo zbyt nonszalancko, biorąc pod uwagę, że nie słyszałem, by znów go zabezpieczył.

- Jakież trzy mile - zaryzykował. - Może trochę więcej.

- Ile to szybkim marszem według ciebie?

- Pewnie jakaś godzina.

Dicks wyszczerzył zęby.

- A kiedy się pełźnie?

Przewidziałem kopnięcie i zgąłem się w pasie, by zwiększyć dystans, lecz Dicks miał sporą wagę, którą mógł włożyć w ten manewr. Jego stopa rąbnęła mnie niczym pociąg towarowy, pozbawiając tchu w jednej eksplozji i dosłownie na moment unosząc z ziemi. Wylądowałem na samym skraju rowu, spoglądając w jego głąb. Moja przepona spazmatycznie unosiła się i opadała do wtóru potwornego bólu, gdy bez szczególnego powodzenia próbowałem wciągnąć powietrze.

Dicks obrócił mnie stopą, potem pochylił się i bez cienia wysiłku podniósł mnie z ziemi. Nadal byłem zbyt zajęty próbami zdobycia tlenu, żeby stawić opór. Zwisałem z jego łapy, wlokąc pięty po zrytej ziemi.

- No tak, pełzanie to co innego - ustąpił DeJong.

- Owszem, innego - zgodził się Dicks. - Nie wydaje mi się, żeby dał radę.

Uderzył mnie w zęby. Zawirowałem jak bąk i przeturlałem się po ziemi. Moja własna siła rozpędu zaniósła mnie w dół, do rowu, gdzie zatrzymałem się przy betonowej ścianie studzienki na samym dnie. Dźwigając z ziemi twarz i część klatki piersiowej wyplułem trochę krwi, która zbierała mi się w ustach. Moją głowę wypełniał wibrujący gwizd, przypominający warkot wiertarki udarowej „Black & Decker”, ustawionej na niską szybkość. Przez moment wydało mi się, że znów mam trzynaście lat i znalazłem się u dentysty, a on wierci mi w

chorym zębem, zamiast znieczulenia zaaplikowawszy jedynie parę haustów gazu.

Dicks i DeJong bez szczególnego pośpiechu ruszyli na dół, by do mnie dołączyć. DeJong okrążył mnie, stając blisko głowy, wiedziałem jednak bez cienia wątpliwości, że to Dicks rozdaje karty. Stał nade mną, w skupieniu marszcząc czoło. Rów był jego tygłem, ja eksperymentem, na który przeznaczył cały poranek. Za jego plecami wschodziło słońce, obdarzając go aureolą, na którą zdecydowanie nie zasłużył.

Spróbowałem po raz ostatni.

- Daj spokój - ostrzegłem nieco bełkotliwie. - Daj spokój, ty dumny, nachlany debilu, albo pożałujesz, że nie zostałeś w poprawczaku.

Dicks cofnął stopę, szykując się do kolejnego kopniaka. W żaden sposób nie zdołałbym go uniknąć - i wcale nie chciałem. Uniosłem jedynie ręce przed pierś, tak by wiedzieć, gdzie celuje.

Może i sam zdołałbym rozwalić pozytywkę z taniej sklejki, ale wolałem oszczędzać siły. Bucior Dicksa - rozmiar dwanaście - roztrzaskał ją na zapalki, jednakże wytracił przy tym jedynie ułamek prędkości. Zaraz potem walnął mnie w żebra i mój świat rozpląnął się w abstrakcyjne, ogniste rozbryzgi cierpienia.

Było znacznie gorzej, niż się spodziewałem. Może nawet straciłem przytomność, ale jeśli, to tylko na sekundę bądź dwie. Kiedy pierwsza fala bólu przelała się przeze mnie, szarpiąc i miażdżąc nerwy, nagle uświadomiłem sobie trzy rzeczy. Ziemię napierającą na moje dłonie i twarz, wypełniającą nozdrza, wszechobecny zapach gnijących liści i nieprzerwany wrzask, przypominający zawodzenie londyńskiej straży pożarnej.

Spróbowałem usiąść i odkryłem, że moje ciało nie jest tym zainteresowane. Coś wezbrało mi w trzewiach; leżąc tam na boku, chciałem zwymiotować, ale nie mogłem zrobić nawet tego. Moje mięśnie nie potrafiły właściwie się ułożyć i ich mizerne wysiłki sprawiły jedynie, że szarpałem się i trząsałem jak wyrzucona na brzeg ryba.

I wtedy zaatakowała groza. Lecz przemożny ból zadziałał niczym neuronowy kewlar, chroniąc mnie przed najgorszym uderzeniem. Zdołałem utrzymać mdlącą panikę na dystans, obserwując, jak zwija się w powietrzu niby kłęb tasiemców. Dicks i DeJong nie mieli tyle szczęścia. Obudzony gwałtownie strachostwór wyraźnie się wkurzył. Obaj padli na ziemię, Dicks na wznak, DeJong na kolana. Wymachiwali rękami, usiłując odtrącić coś niewidzialnego. To DeJong krzyczał, choć jego wrzask zamienił się w piskliwy skowyt, przypominający protesty głodnego kociaka.

Sprawy mogły potoczyć się dla mnie nie najlepiej, bo nie byłem w stanie się ruszyć, lecz strachostwór ewidentnie nie miał ochoty zabawić tam dłużej. Może dlatego, że

brakowało mu punktu zaczepienia. W Super-Self wymościł sobie wygodne gniazdko, został jednak wyeksmitowany, a pogodny wiejski krajobraz Surrey najwyraźniej nieszczególnie go pociągał. A może sam się wystraszył, bo raz już został pokonany i nie miał pojęcia, czy nie dysponuję kolejnym strzałem. Tak czy inaczej, uczucie paniki stopniowo zaczęło ustępować, w miarę jak istota dała metafizyczne tyły. Po paru minutach zdołałem podnieść się z ziemi, mimo sztywności żeber i ostrego bólu w posiniaczonym brzuchu.

Dicks i DeJong dochodzili do siebie wolniej, ale też po raz pierwszy wsiedli na tę karuzelę. Miałem cały czas tego świata, by podnieść spluwę DeJonga z miejsca, gdzie upadła. Nie wiedząc, jak ją zabezpieczyć, po prostu zacząłem strzelać w powietrze, dopóki głośne *bang* nie ustąpiło miejsca metalicznemu *szczęk*. Następnie wymierzyłem obu parę mocnych ciosów w tył głowy, posyłając ich do krainy snów, nim zdołali zapanować nad rękami i nogami. Takie szanse lubię najbardziej.

Dicks miał w kieszeni kluczyki. A także portfel z plikiem kart kredytowych i dwustu paroma funtami w gotówce. Gwiazdka w lipcu.

Schowałem kasę, wrzuciłem karty do studzienki. Odkąd wprowadzili czipy i piny, plastik przestał być wart zachodu.

Dicks znów zaczął się poruszać, próbował coś powiedzieć, patrząc na mnie krótkowzrocznie. Musiał mieć cholernie twardą głowę.

Wdrapałem się na zbocze, krzywiąc się przy każdym kroku. Okalały mnie dwa pasy bólu, jeden wokół piersi, drugi wokół brzucha. Wspinaczka, tak by ich nie poruszyć, przypominała kręcenie dwoma hula-hoopami, bardzo, bardzo, bardzo powoli. A ostra wata wypełniająca mi głowę też nie pomagała.

Gdy dotarłem do wozu, Dicks wczołgał się już na brzeg rowu i pełził ku mnie, powłócząc jedną nogą. Nie wyglądało to dobrze. Wsiadłem do wozu i zamknąłem drzwi.

Automat. Przycisk na breloczku. Żaden problem.

Dicks majstrował przy klamce, wrzeszcząc na mnie przez szkło. Wywracał przy tym oczami, na usta wystąpiła mu piana.

Ruszyłem ostrym łukiem, częstując go chmurą kurzu.

ROZDZIAŁ 18

Jenna-Jane jest mistrzynią w kilku różnych dziedzinach. Jedna z nich to logiczna dedukcja, inna myślenie w biegu.

Z moich wcześniejszych wzmianek wydedukowała już, że pogłoski są prawdziwe: sukub Ajulutsikael faktycznie mieszka na Ziemi i udaje zwykłą kobietę. Kiedy wyciągnąłem komórkę i spróbowałem do niej zadzwonić, tym jednym ruchem umieściłem Juliet w jej zasięgu. I od tej pory zmierzała tylko do jednego celu. Nie zapomniała o Asmodeuszu. Po prostu przetasowała priorytety i przesunęła go na pozycję drugą.

Historię tę usłyszałem od Gila McCleennana w pubie przy głównym pasażu w Paddington, nieelegancko nazwanym „Szalony biskup i niedźwiedź”. Ze wszystkich stron otoczony stertami cudzych bagaży, czułem się jak szwej z pierwszej wojny światowej, siedzący w okopie między bombardowaniami. Porównanie to pasowało też pod innymi względami. Miałem wrażenie, że potraskane żebra przebijają mi przy każdym ruchu narządy wewnętrzne; pęknięta górna warga spuchła do rozmiarów cząstki czerwonego grapefruita, a kiedy wyczołgałem się z tamtego rowu w Surrey, zabrałem ze sobą połowę ziemi i innych nienazwanych syfów.

- Nie rozumiem - rzekłem do Gila, przesuając ciężar ciała, by sprawdzić, czy zdołam znaleźć pozycję sprawiającą nieco mniejszy ból. - No wiesz, Asmodeusz stanowi autentyczne zagrożenie. Natomiast Juliet, kurwa! Juliet nigdzie się nie wybiera, prawda?

- Znasz takie przysłowie - odparł sentencjonalnie Gil. - Daj człowiekowi rybę, a raz go nakarmisz. Daj mu wędkę...

- Tak - przerwałem - znam. Jak pasuje do obecnej sytuacji?

- Kręgi - te ze starymi imionami Ajulutsikael - to coś kompletnie nowego. Broń, którą jeden demon zaatakował drugiego. Ma zastosowanie wykraczające dalece poza obecną sytuację. To pierwsza rzecz, którą dostrzegła, a mianowicie, że jeśli zrozumie jak to działa, zdobędzie coś, czym zdoła przyszpilić każdego możliwego demona. Coś lepszego niż srebro, lepszego niż woda święcona. Nie mogła tego odpuścić, Castor. I nie mogła pozwolić, żebyś wszedł jej w paradę.

Przy dwóch nietkniętych kuflach london pride zrelacjonował mi, jak to wyglądało.

Gdy tylko się rozłączyłem po próbie dodzwonienia się do Juliet z domu Pen, Jenna-

Jane wprowadziła w życie swój dopiero co opracowany plan. Przełożywszy komórkę z torebki do kieszeni, odczekała parę minut, a potem uruchomiła dzwonek, przerzucając kolejne menu, póki nie dotarła do ustawień profili. Zrobiła to na oślep, z pamięci, co niezłe świadczy o tym, jak działa jej umysł.

Następnie odebrała nieistniejącą rozmowę i udała, że cieszy się na wieść o odnalezieniu Martina Moulsona. W istocie odszukała go dwa dni wcześniej, podczas mojego pobytu w Macedonii, i posłała do niego Gila. Gil nie dowiedział się niczego godnego uwagi, bo Moulson nie wpuścił go za próg. To jednak wyjaśniało wzmianki staruszka o „waszych ludziach” i opowieść recepcjonistki o dziennikarzu próbującym przeprowadzić wywiad.

Następny priorytet stanowiło odebranie mi telefonu, bo w jego pamięci krył się numer Juliet. Jenna-Jane dokonała tego z beczelną łatwością, dzięki sztuczce „czy zamienisz swoją zużytą komórkę na najnowszą krótkofalówkę?”, a potem, kiedy Gentle - która zapewne nie miała o niczym pojęcia - zatrzymała mnie, udzielając szybkiej lekcji obsługi, J-J wyszła na dwór, by przekazać Dicksowi instrukcje.

Gdy tylko mnie pożegnała, zadzwoniła na centralę KOM, aby powiadomić DeJonga, że będzie potrzebny w charakterze wsparcia, oraz rozpocząć prawdziwą rozgrywkę, zmierzającą do uwięzienia Juliet.

To była najniebezpieczniejsza część przedsięwzięcia i McClennan wyjaśnił, że podeszła do niej, starannie pilnując każdego szczegółu. W zbrojowniach swego oddziału przechowywała spory zapas półlegalnej neurotoksyny OPG oraz mnóstwo innych środków do walki z demonami, którymi można by obezwładnić Juliet, gdyby tylko dało się ją zaskoczyć.

Jednakże Jenna-Jane była dość przebiegła, by pojąć, że każdy demon, który znajdował się w kręgu moich znajomych doskonale wie, że nie należy przekraczać progu KOM.

Zorganizowała zatem zasadzkę gdzie indziej i posłała swoich ludzi. Następnie zadzwoniła do Juliet i dzwoniła, dopóki tamta nie odebrała. Podała jej prawdę, przynajmniej z początku, wiedząc, że zadziała lepiej niż jakiegokolwiek kłamstwo: Asmodeusz porwał twoją dziewczynę i Bóg jeden wie co zamierza z nią zrobić.

„Gdzie?” - dopytywała się Juliet. - „Gdzie on jest? Gdzie jest teraz potwór?”.

„W ostatnim miejscu, w jakim ktokolwiek by go szukał” - odparła Jenna-Jane. - „Ukrył się w swojej dawnej celi u Charlesa Stangera. Personel został ewakuowany. Wezwano policję, ale co tu poradzi policja? Castor mówił, że powinnam cię powiadomić, bo tylko ty masz szansę...”.

Juliet kupiła to bez mrugnięcia okiem. Gdyby wciąż była sobą, wyczułaby, że coś tu ostro śmierdzi, ale nie była. Z niewiadomych przyczyn Asmodeusz zamieszał jej w głowie,

doprowadził na skraj obłądu, przez ostatnie kilka dni przywołując duchy jej dawnych, mniej ostrożnych wcieleń. Do tej pory nie wiedziała już, co jest grane. Zachowała się jak zielony dzieciak, który zaliczył najwyżej parę stuleci.

Na polecenie Jenny-Jane ośrodek Stangera opróżniono. Juliet zajechała na parking z ogłuszającym piskiem opon żółtego jak osa maserati spidera, pozostawiając na asfalcie bliźniacze łyzy palonej gumy, i popędziła do drzwi. Stały otworem.

W holu ani w recepcji nie było nikogo. Nikogo, kto mógłby ją zatrzymać, gdy maszerowała szerokim głównym korytarzem do przybudówki, w której zainstalowano zbudowaną na zamówienie celę Rafiego. Może i dobrze. Nie była, w nastroju, by słuchać głosu rozsądku, i każdy, kto zagroziłby jej drogę, pytając, kogo odwiedza, zapewne sekundę później wylądowałby pod obcasami jej szpilek.

Drzwi celi były zamknięte, ale nie na klucz. Nacisnęła klamkę i otworzyła je szarpnięciem - tym samym odpieczętowując trzy kanistry OPG, które podejrzenie doświadczona ekipa zbrojmistrzów Jenny-Jane umieściła tuż za drzwiami, mniej więcej na wysokości głowy. Nim Juliet zorientowała się, co się święci, wciągnęła go w płuca.

OPG to ostrzejsza i wredniejsza wersja tabunu, neurogazu wynalezionej przez Gerharda Schradera w latach trzydziestych - pierwszego z rodziny niezwykle popularnych cyjanofosfidów. Istnieje rezolucja ONZ delegalizująca jego użycie, ale tylko na polu walki. Stosowany terapeutycznie w minimalnych dawkach częściowo odwraca efekty demencji starczej. Ta luka prawna pozwala instytucjom takim jak ośrodek Charlesa Stangera i KOM przechowywać go w ilościach hurtowych i nazywać lekarstwem.

Juliet odkryła nagle, że jej ręce i nogi nie chcą robić tego, co im każe. Kiedy spróbowała się ruszyć, ciałem wstrząsnęły spazmatyczne drgawki, a mięśnie gardła zacisnęły się równie gwałtownie jak zatraskujące się drzwi.

Demony są jednak zbudowane inaczej niż ludzie, choć teoretycznie pochodzimy z tego samego wspólnego pnia. Juliet walczyła, próbując opanować kończyny, wtedy jednak drzwi celi za jej plecami się otwały i trzech mężczyźni w maskach i pełnych kombinezonach chemicznych ostrzelali ją ze specjalnie zaadoptowanych karabinków automatycznych, strzelających posrebrzaną amunicją rozpryskową.

Biały metal przeszył ciało Juliet niczym zwiastun Sądu Ostatecznego. Na tym etapie już ją załatwili, lecz mimo wszystko pochyliła się, równoważąc uderzenia, i gwałtownie wyrzuciła przed siebie na oślep ręce. Ledwie trafiła, ale też ledwie musiała. Dwóch z trzech strzelców Jenny-Jane zginęło nagłą paskudną śmiercią, gdy ostre jak brzytwa paznokcie Juliet przebiły wzmocnianą plastikową tkaninę kombinezonów przeciwskażeniowych i trujący gaz

dotknął ich skóry.

A jednak srebro zrobiło swoje, kończąc to, co zaczął gaz. Juliet leżała na ziemi i się nie ruszała. Drugi zespół - w tym sam Gil - dotarł z głębi korytarza, bez wątplenia z wielkim wahaniem, biorąc pod uwagę to, co przed chwilą na ich oczach spotkało towarzyszy. Kiedy jednak upewnili się, że Juliet chwilowo wypadła z gry, skrępowali jej ręce i stopy pasami ze srebra i stali, wsadzili na wózek i wywieźli. Zanim umieścili ją w nieoznakowanym pojeździe transportowym KOM - furgonetce Bedford, wyposażonej w dźwiękoszczelne ściany i najsilniejszy dostępny na rynku zestaw unieruchamiający - w budynku Stangera włączono już filtry powietrzne, które rozpoczęły mozolny proces zamykania neurotoksynowego ginna z powrotem w butelce.

Zabrali Juliet do KOM, a tam do piwnicy. A potem zamknęli Gilowi drzwi przed nosem. Zrobił już swoje i Jenna-Jane nie mogła się doczekać osobistego rozpoczęcia dalszej części operacji. Ostatecznie w tym właśnie sprawdzała się najlepiej: w manewrach na grząskim obszarze pomiędzy badaniami naukowymi i legalnym torturami. W dzisiejszych czasach to całkiem popularne miejsce.

Kiedy Gil skończył mówić, przez chwilę przetrawiałem w milczeniu jego słowa. Coś w wyrazie jego twarzy mówiło mi, że wciąż ma dla mnie złe wieści, ale chwilowo próbowałem poradzić sobie z tymi. Uznałem, że tymczasem dobrze byłoby oczyścić powietrze, zadając oczywiste pytanie.

- Dlaczego to robisz, McClennan? Przecież mnie nie cierpisz. Po co miałbyś przybywać mi na ratunek - i dodatkowo wbijać Jennie-Jane nóż w plecy. To nie ma sensu, bo przez to nie możesz już włożyć jej w dupę.

Wargi Gila zacisnęły się mocno.

- Masz rację, Castor - odparł. - Nie znoszę cię. Ale na tamtym basenie uratowałeś moich ludzi i zapewne mnie także. Uznałem, że coś jestem ci winien. I uznałem też, że może walczymy w niewłaściwej wojnie. Ten stwór ma w swoich rękach dwie kobiety, a my nic z tym nie robimy.

- Nic nie możemy zrobić - przypomniałem - dopóki nie wyłoży kart.

Gil ponuro pokręcił głową.

- To właśnie rozstrzygnęło sprawę - wymamrotał. - On już je pokazał, Castor. Zostawił list.

Przez moment te słowa do mnie nie dotarły. A kiedy w końcu je usłyszałem, nadal sądziłem, że coś źle zrozumiałem.

- Co takiego? - zapytałem głupio.

- Zostawił list w domu twojej gospodyni. Adresowany do ciebie, ale to Gentle go znalazła. Oddała go profesor, a ona otworzyła i przeczytała. Potem schowała go do koperty i wsadziła do kieszeni. Nikt nie ma pojęcia, co napisał, ale nie wolno nam wspominać o niczym policji ani nikomu spoza KOM, póki problem nie zostanie rozwiązany. A do tego czasu możemy mieć na sumieniu kolejne dwa trupy.

Wbijałem wzrok w pięści; nagle pojąłem, że je zaciskam, tak mocno, że zbieleły mi kostki.

- Kurwa - rzuciłem głucho.

- To miejsce to forteca - uprzedził Gil. - Dicks i DeJong jeszcze się nie zameldowali, ale wezwała agencję, z której usług korzystamy, i zarządziła pełną mobilizację. W budynku roi się od ochroniarzy.

- Nieważne - odparłem. - Muszę zobaczyć ten list. I muszę wyciągnąć stamtąd Juliet.

- Nie interesuje mnie ratowanie demona - oświadczył Gil - ale jeśli uznasz, że możesz mi zaufać, pomogę ci zdobyć list. W najgorszym razie zdołam cię przeprowadzić przez drzwi. I nadal uważam uwięzienie Asmodeusza za najważniejsze, zatem, jeśli zamierzasz się tym zająć, wchodzę w to.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

- Jestem wdzięczny za pomoc - powiedziałem. - McClennan, źle zaczęliśmy znajomość, ale...

- Owszem, źle. Bo zabiłeś mojego wuja i zrujnowałeś życie kilku osobom, na których bardzo mi zależy.

- Szczerze mówiąc, raczej stałem z boku, pozwalając, by sam się zabił. Jeśli obaj wyjdziemy z tego z życiem, może powinniśmy wypić jeszcze piwo, a wtedy opowiem ci, jak było.

Gil się zastanowił.

- Wolałbym, żebyś mi opowiedział, jak wyciąłeś ten numer w Super-Self.

- Zgoda. Z wykresami.

- Umowa stoi, Castor. - Uśmiechnął się słabo, lecz natychmiast znów spoważniał. - Ale to kurewsko wielkie „jeśli”, co nie?

* * *

W KOM wyjście na ulicę okazało się zamknięte. Gil nacisnął guzik interkomu, a potem zastukał w szybę, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ja tymczasem czekałem parę stóp dalej, przyciśnięty do ściany w - jak miałem nadzieję - ślepym punkcie kamery. Jeśli jednak

wyposażono ją w wypukłą soczewkę, osoba siedząca w recepcji patrzyła teraz wprost na mnie i zastanawiała się, co ja, kurwa, kombinuję.

Wyraźnie jednak dopisało nam szczęście - przynajmniej na razie. Strażnik w recepcji, zastępujący Dicksa, szedł z posterunku i zbliżył się do drzwi. Gil przycisnął do szyby swoją legitymację, demonstrując mu ją. Rozległ się szcęk i zgrzyt otwieranego zamka, Gil wmaszerował do budynku, mijając tamtego. W rękę niósł plastikową reklamówkę, strażnik nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić jej zawartość.

Wyskoczyłem ze swojej kryjówki i zablokowałem nogą drzwi w chwili, gdy je zamykał. Gość wpatrywał się we mnie, ogłupiały, zbyt zaskoczony, by okazać niepokój. Właśnie zaczynał sięgać po pałkę, kiedy Gil przyłożył mu w tył głowy butelką szampana, jedyną rzeczą, jaką kryła w sobie reklamówka. Nie zamawialiśmy wprowadzić moeta, ale mili młodzi maklerzy przy sąsiednim stoliku nie protestowali, kiedy zabraliśmy pustą flaszkę.

Butelka okazała się bronią jednorazową, trzasnęła przy szyjce, ale zrobiła swoje. Strażnik zachwiał się i runął mi w objęcia. Wywlokłem go za drzwi, rzuciłem pod ścianę, potem wróciłem do środka i zatrzasnąłem zamek.

Jak dotąd świetnie.

Drzwi wewnętrzne także okazały się zamknięte, lecz okienko ochrony, obecnie niestrzeżone, w zupełności wystarczyło. Gil przegramolił się przez ladę i otworzył przede mną drzwi, a potem dołączył po drugiej stronie.

Machnął kciukiem, wskazując wartownię.

- Mają tam szafkę z bronią.
- Pistolety? - Posłałem mu zbolące spojrzenie.
- Pałki policyjne. Może tasery. Nie zaszkodzi sprawdzić.
- Zaszkodzi, jeśli podłączono do niej alarm - nie zgodziłem się. - Mam lepszy pomysł, ale będę potrzebował paru minut, żeby to załatwić. Chodź.

Wahał się jeszcze sekundę, potem wrzucił ramionami i pomaszerował za mną. Poprowadziłem go w prawo, w stronę stalowych drzwi i piwnicznego gułagu Jenny-Jane. Zatrzymałem się jednak wcześniej, przy drzwiach z zamkiem cyfrowym - drzwiach Rosie Crucis.

- Pilnuj moich pleców - poleciłem Gilowi, wstukując kod, który podał mi Nathan: 1086. Spróbowałem otworzyć drzwi, nie ustąpiły. - Co, do kurwy nędzy? - warknąłem.

- Daj mi spróbować. - Gil wprowadził ten sam kod, a potem kilka kolejnych, z coraz mniejszym przekonaniem. - Niedobrze - wymamrotał. - Przeprowadzili reset bezpieczeństwa. Pewnie kiedy dziś rano przygotowali laboratorium na przyjęcie twojego sukuba. Jeśli chcesz

zaczekać w ukryciu, mogę zdobyć nowy kod od Nathana.

- Nie ma czasu. A im dłużej się tu kręcimy, tym bardziej prawdopodobne, że ktoś mnie zauważy. Wygląda na to, że szafka z bronią może się okazać mniejszym złem.

Pobiegliśmy truchtem z powrotem na wartownię i zacząłem rozglądać się za czymś, czym można by wyważyć drzwi szafki, gdy zauważyłem coś lepszego: toporek strażacki w oszklonej gablocie, wysoko na ścianie obok drzwi.

Spojrzałem na Gila.

- Gotów? - spytałem.

- Łap się - odparł.

Rozbiłem łokciem szybę i przesywający wrzask alarmu przeciwpożarowego rozdarł ciszę niczym słuchowy cios pięścią w twarz.

Biegliśmy pośród przesywającego ryku. W połowie korytarza Gil zastygł w miejscu i wyciągnął rękę po toporek. Podałem mu go, zanim jeszcze zobaczyłem, na co patrzy. Na ścianie wisiała skrzynka z bezpiecznikami. Była zamknięta, ale zaledwie na żalną małą kłódkę „Ajax”; pierwszy cios toporka rozciął pałąk na pół. Wystarczyła chwila, by nacisnąć główny wyłącznik, pograżając korytarz w ciemności. Może trochę przesadziłem z ostrożnością, ale kiedy odzyskałem toporek, rozwaliłem przełącznik obuchem. Ktoś, kto spróbuje znów zapalić światło, będzie miał do pokonania prawdziwe górskie szczyty.

Ciemność nie była nieprzenikniona. Kiedy włączyliśmy alarm przeciwpożarowy, ciemnoczerwone lampy alarmowe na ścianach ożyły, ujrzyliśmy je jednak dopiero po zgaszeniu głównych świateł. Z ich pomocą odnaleźliśmy drogę do drzwi Rosie.

Zważyłem w dłoni toporek i zacząłem tłuc w zamek. Rozwaliłem otaczającą go framugę w drzazgi, aż w końcu drzwi otworzyły się ciężko.

Kiedy wszedłem, Rosie podniosła się już z łóżka i cofała w kąt pokoju, lecz mimo ciemności najwyraźniej mnie rozpoznała. Odprężyła się i ruszyła ku mnie, po czym równie nagle znów się spięła i zamarła, gdy Gil także przekroczył próg. Dziś nosiła kobiece ciało - drobnej blondyneczki tuż po dwudziestce - toteż od naszego ostatniego spotkania musiała przejść co najmniej jedną zmianę warty.

- Wszystko w porządku, Rosie! - Musiałem niemal krzyczeć, by zagłuszyć syrenę. - On jest ze mną.

- Feliksie! - wykrzyknęła. - Co się dzieje?

- Posłuchaj, skarbie, jak bardzo chciałabyś wydostać się z tego miejsca?

Jej oczy się rozszerzyły.

- Od chwili śmierci niczego bardziej nie pragnęłam.

- Jak bardzo jesteś zmęczona?

Rosie uśmiechnęła się.

- Mniej niżbyś przypuszczał, mój miły. I znacznie mniej, niż na to wyglądałam.

Kiwnąłem głową. Zawsze na wpół podejrzewałem, że dla własnych mętnych celów odgrywa przesadne cierpienia, ale nigdy nie spytałem, bo wszechobecne szpiegowskie mikrofony Jenny-Jane natychmiast wychwyciłyby każdą odpowiedź.

- Zaraz cię uwolnię, ale chciałbym, żebyś została jeszcze parę minut i popilnowała mi pleców - poprosiłem. - Dopóki to zamieszanie się nie skończy. Umowa stoi?

Rosie skinęła głową. Odwróciłem się do Gila.

- Zdejmij blokady - poleciłem. - Sam wiesz gdzie są.

Oczywiście były wszędzie, tak samo jak w dawnej kwaterze Rosie. Jenna-Jane chciała mieć absolutną pewność, że niesforny duch pozostanie w tym pokoju, niezależnie od tego, jak wiele nosicieli z krwi i kości przekroczy jego próg. Framugę drzwi pokryto dokładnie wszelkimi możliwymi zaklęciami zakazującymi przejścia i amuletami wszystkich możliwych kształtów, rozmiarów i odmian. Kolejne wymalowano na ścianach, wmieszano w tynk, wmontowano w płytki podwieszonego sufitu i zapewne w cementową podłogę. Chodziło o to, by zablokować każde dostępne wyjście.

Gil nie tracił czasu na ceregiele. Odgłos fałszywego alarmu zagłuszał wszystkie grzechy, toteż paroma uderzeniami topora rozwalil górny zawias drzwi, uskakując, gdy te pod własnym ciężarem oderwały się od dolnego i runęły bokiem w głąb pokoju. Następnie zabrał się za drewnianą framugę.

- W budynku jest demon - powiedziałem. - Sukub. Zamierzam go znaleźć i uwolnić. Bądź moim aniołem, Rosie. Osłaniaj mi tyły.

- Dziękuję, Feliksie - odparła. - Jestem twoja, dopóki nie skończysz, przyrzekam. I nie odejdę bez pożegnania.

Nagle pochyliła się, muskając opuszkami palców mój policzek, i pocałowała mnie lekko w usta. A potem oklapła, osuwając się na mnie. Ostrożnie ułożyłem nieprzytomne ciało na ziemi. Rosie wyszła z pokoju, choć miałem szczerą nadzieję, że nie z budynku.

- Wystarczy już? - spytał McClennan, cofając się o krok i opuszczając toporek. W odpowiedzi wskazałem nieprzytomną studentkę na podłodze: stanowiła wystarczające świadectwo. Gil zmarszczył brwi. - Czy nic jej się tutaj nie stanie? Jest niewinna.

- Tak naprawdę nic się nie pali, McClennan - przypomniałem mu. - Nic jej nie będzie.

- W takim razie chodźmy ich załatwić.

W ciemności, ze skowytom alarmu dzwięczącym w uszach, KOM zamienił się w

wyjątkowo trudny wojskowy tor z przeszkodami. Niemal przypominało to starcie ze strachostworem. Pokonując labirynt korytarzy, musiałem zwalczyć zniecierpliwienie grożące tym, że za moment przekształci się w czystą panikę. Słabe lampki przy podłodze oznaczały, że jedyną rzeczą, jaką widziałem, były moje stopy. Na wysokości głowy płachty, kilimy i płyty cienia nakładały się na siebie, ukrywając skrzyżowania i zamieniając ślepe ściany w przejścia.

Gil znał drogę lepiej ode mnie, więc pozwoliłem mu prowadzić. Wyglądało na to, że zmierzamy we właściwą stronę, a potem zorientowałem się, że faktycznie, bo mój zmysł śmierci ocknął się i przebudził, czując mrowiącą obecność istot przed i pod nami. Dla mnie był to dźwięk, rozbrzmiewający pod, ponad i poprzez kakofonię syreny alarmowej, niewzruszony odgłos orkiestry, która się stroi w nienazwanej dotąd tonacji. W pewnym sensie to dobre wieści. Masywne stalowe drzwi musiały stać otworem, w przeciwnym razie wybite na nich pieczęcie zadziałałyby jak psychiczna warstwa dźwiękoszczelna i nie zdołałbym namierzyć tego miejsca tak wyraźnie.

Nim tam dotarliśmy, napotkaliśmy pierwszych ochroniarzy Jenny-Jane. Było ich trzech. Pokonaliśmy właśnie zakręt korytarza i znaleźliśmy się tuż przed nimi. W rękach trzymali pałki i byli wielcy, tak samo jak Dicks i dorosły samiec goryla srebrzystogrzbietego. Gil ponownie machnął legitymacją, oni jednak nawet na nią nie zerknęli. Złapali nas i rzucili na ścianę, dwóch z trzech przycisnęło nam do gardeł pałki.

- Zamelduj - wychrypiął ten, który mnie trzymał, paskudny gość o włosach przystrzyżonych kanciasto w stylu amerykańskiej piechoty morskiej, co zapewne w kręgach, w których się obracał, stanowiło symbol wysokiej pozycji. Mnie kojarzyło się raczej z Krytenem z „Czerwonego Karła”.

Trzeci facet - ten o wolnych rękach - wyciągnął krótkofalówkę i przyłożył do ucha.

- Mamy dwóch mężczyzn! - krzyknął. - Parter. Tak, dokładnie. Zachodnie skrzydło. To ich złapała kamera.

Przekrzywił głowę, zasłaniając ucho i czekając na odpowiedź. Potem bez ostrzeżenia upuścił radio i zachwiał się lekko, jakby o mało co nie stracił równowagi.

- Co powiedziała? - spytał ten z kwadratową fryzurą.

Trzeci facet pochylił się bardzo precyzyjnie i podniósł radio. Wyprostował się, nadal bez słowa, po czym zamachnął gwałtownie. Radio uderzyło trzymającego Gila ochroniarza tak mocno, że pękła obudowa. Gość runął na ziemię jak kamień.

- Co ty, kurwa...? - wykrztusił kanciasty łeb.

Ten od radia rzucił mu się do gardła, potężne łapy ścisnęły tchawicę i facet zapomniał

o mnie, bo musiał się bronić. Uniósł pałkę, wyraźnie zamierzając uderzyć tamtego w twarz, ja jednak skoczyłem naprzód i uwiesiłem mu się na ręce, odginając ją coraz mocniej w tył, dopóki nie upuścił pałki. A potem gość od radia dokończył dzieła, waląc głową Kanciastego Łba o ścianę - raz, drugi, trzeci, póki tamten nie wywrócił oczami i nie osunął się po ścianie na ziemię.

Gil wpatrywał się w ostatniego ochroniarza, jego twarz wyrażała przerażenie i podziw.

- No co? - spytałem. - Nigdy wcześniej nie widziałeś pięćsetletniej kobiety noszącej męskie ciało?

- Nieokrzesany, ale silny - dodała Rosie, oglądając włochate, muskularne ręce i lekko rozprostowując palce. Mimo ochryplego basu, jaki dobywał się ze strun głosowych nosiciela, natychmiast rozpoznałem kadencje jej głosu. - Podoba mi się.

Jenna-Jane była zapewne świadoma faktu, że dając Rosie co tydzień nowe ciało do opętania, pozwala, by stary duch rozwijał w sobie przerażające i niebezpieczne umiejętności. Odkąd opuściłem KOM, Rosie musiała zasiedlić trzystu, czterystu ochotników. Znała wszystkie zakamarki ludzkiego układu nerwowego lepiej niż londyński taryfiarz drogę do Lullington Garth i podobnie jak on dawno przekroczyła granicę, poza którą nie potrzebowała planu miasta.

Szczerze mówiąc, ja też go nie potrzebowałem. Z tak bliska znalazłbym wejście do podziemi Jenny-Jane nawet z zawiązanymi oczami i rękami - zresztą, większość mieszkańców cel tak właśnie tam trafia. Kierując się zdrową zasadą „kto nie marnuje, ten nie potrzebuje”, podniosłem jedną pałkę i ruszyłem w głąb korytarza. Rosie i Gil poszli w moje ślady.

- Jak ty to robisz? - spytał Gil, nadal przyglądając się Rosie z przerażeniem i fascynacją. - W jaki sposób wciąż w nim pozostajesz, chociaż on tego nie chce? To coś zupełnie innego niż z ochotnikami. A ty ewidentnie robiłaś się coraz słabsza...

- Od bardzo dawna nie potrzebuję już świadomej zgody, mój króliczku - oznajmiła Rosie z rozbawieniem. - A co do słabości... Cóż, w moich czasach kobiety wiedziały, że warto jest być niedocenianą.

W innym momencie zapewne wybuchnąłbym śmiechem. Asmodeusz nie był jedynym lwem, który w razie potrzeby mógł przekonująco udawać, że kuleje.

W końcu dotarliśmy do drzwi. Pilnował ich samotny strażnik. Rosie powaliła go morderczym sierpowym w chwili, gdy otwierał usta, by coś powiedzieć. Ochroniarz odbił się od framugi, runął na ziemię i już się nie poruszył. Rosie wygięła palce i z jej ust wyrwał się ostry, bolesny jęk.

- Złamałam rękę - poskarżyła się.

- To cudza ręka - przypomniałem. - I zdecydowanie mu się należało.

Wstąpiłem na stalową platformę u szczytu schodów wiodących w dół, w otchłań. Podobnie jak za pierwszym razem, ciężko było przekroczyć ten próg, wejść w sam środek rozwrzeszczanego chaosu, który odbierał z dołu mój zmysł śmierci, sto razy bardziej bolesnego i ogłuszającego niż monotonne zawodzenie alarmu przeciwpożarowego. Mnie było trudno, ale Rosie jeszcze ciężiej. Zamarła w drzwiach, jakby zatrzymała ją solidna bariera, jak gdyby stalowe wrota wciąż były zamknięte i zaryglowane, zamiast stać otworem.

Znów blokady - pieczęcie wypisane na drzwiach, by powstrzymać umarłych i nieumarłych przed wydostaniem się z lochu. Jej także nie pozwalały przejść - a toporek nie na wiele się zda wobec napisów wytłoczonych w stali.

- Nie mogę tam wejść - oznajmiła Rosie.

- W takim razie pilnuj przejścia - zaproponowałem. - I czekaj na nas.

- Nie zwłócz zbyt długo.

- Wyjdziemy albo szybko, albo wcale - wymamrotałem ponuro. - Daj nam dziesięć minut, Rosie. Tak czy inaczej, do tego czasu będzie po wszystkim.

Przytaknęła nerwowo i stanęła w otwartych drzwiach, zwrócona do nich plecami: smoczyca w przejściu, niedopuszczająca na imprezę nieproszonych gości z górnych pięter. Najpewniej większość ochroniarzy i tak przebywała już w piwnicy, ale każda odrobina się liczy.

Zbiegliśmy po metalowych schodach, ogólny hałas zagłuszył łoskot naszych kroków. Tu, w dole, przenikliwa syrena alarmu przeciwpożarowego musiała przebijać się przez chór ryków i wrzasków, metalicznych szczęknięć i ech, płaczów i zawodzeń, a także - jak podejrzewałem - zgrzytania zębami. Więźniowie podziemnego gułagu najwyraźniej wpadli w zbiorowy obłąd.

- Masz pojęcie, gdzie jej szukać?! - ryknąłem do Gila.

Nie usłyszał, więc wzruszyłem ramionami i machnąłem ręką na znak, że nie wiem, gdzie się skierować.

Nachylił się do mego ucha.

- Mają tu jeszcze jedno laboratorium. Wielkie. Właśnie to pomieszczenie przygotowywała dziś rano profesor, więc tam ją znajdziemy.

Pozwoliłem mu się wyprzedzić i razem ruszyliśmy między przysadzistymi betonowymi szeregami cel. To miejsce było przerażające nawet oglądane z góry, niczym okiem Boga; kiedy stanęło się w środku, trudno to było nawet opisać.

Jak już chyba wspomniałem wcześniej, dla egzorcysty każde miejsce nasiąka pozostałościami dawnych emocji, podobnie jak zapachami starych potraw z kuchni. W tej piwnicy było gęsto od strachu i rozpacz, głębokich i bogatych, niczym gnijąca ściółka w pradawnym lesie. Z owej żyznej gleby wyrastało coś jeszcze bardziej historycznego i nieświadomego, szaleńczy, egzotyczny kwiat. Odkryłem, że oddycham płytko, głośno łapiąc powietrze, jakbym w ten sposób próbował nie dopuścić do siebie emocjonalnego tsunami.

Kolejny trzyosobowy patrol przemaszerował przez skrzyżowanie przed nami. Przywarliśmy do ściany, a oni nie zauważyli nas w mroku.

Coś skrobało mi tuż przy uchu. Wcześniej tego nie zauważyłem, dopóki nie znalazłem się bardzo blisko. Odwróciłem głowę i ujrzałem judasza, osadzonego w drzwiach jednej z cel. Nie miałem na to czasu. Przyszedłem tu po jedno i tylko jedno, i nawet chwila dekoncentracji mogła doprowadzić do tego, że mnóstwo ludzi, na których mi zależy, spotka śmierć albo coś jeszcze gorszego. Mimo to, coś nie pozwalało mi odejść. Przycisnąłem oko do judasza.

Wnętrze celi okazało się jeszcze ciemniejsze niż tu na zewnątrz: samotne czerwone światelko alarmowe w najdalszym kącie dawało nie więcej blasku niż dziecięca nocna lampka. Więzień drapał rozpaczliwie w drzwi i właśnie ten dźwięk, a może jedynie wzbudzone przez niego w metalu wibracje, dotarł do mnie. To był wilkołak, *loup-garou*. W jego przypadku jednak nazwa była myląca, bo w genomie brakowało wilków. Bardziej przypominał zajacółaka, z uszami zwisającymi jak połamane maszty radiowe po bokach pociągłej twarzy. Pozostało w niej tylko jedno obłąkane oko, drugie usunięto i w pustym oczodole poruszał się odsłonięty mięsień, rozszerzający się i kurczący w idealnym duecie z sąsiadem.

Chciałem się cofnąć, ale stałem tam długą, niekończącą się chwilę, wpatrując się w owo ślepe oko. Gil szarpnął mnie za ramię.

- Chodź! - wrzasnął. - Chyba droga wolna.

Jak wyrwany z transu, cofnąłem się o krok od drzwi, ale nie ruszyłem w ślad za nim.

- Chodź - powtórzył. - Castor, tędy.

- Jak się otwiera te drzwi? - spytałem.

- Zamkiem szyfrowym. - Wskazał ręką. - Ale co to ma wspólnego z nami? Laboratorium nie będzie zamknięte. Jest tam teraz profesor, pracuje nad twoją przyjaciółką.

- Ale musi istnieć jakieś zabezpieczenie. Jakiś sposób otwarcia ich wszystkich, na wypadek gdyby wybuchł pożar czy coś.

- Poważnie wątpię. Umysł profesor nie działa w ten sposób.

Potrząsnąłem głową, żeby oczyścić myśli, ale w ten sposób tylko podsyciłem ból.

Wiedziałem, że muszę mieć rację. Jenna-Jane może i stworzyła tu obóz koncentracyjny, ale obóz mieszczący się wewnątrz szpitala przynajmniej z pozoru musiał odpowiadać przepisom. Gdzieś mieścił się główny wyłącznik otwierający wszystkie drzwi.

Syrena przestała wyc. Nagła cisza była niczym olbrzymia szokująca nieobecność, próżnia pochłaniająca wszystkie inne krzyki, wrzaski, jęki i łomoty, tak jak tunel aerodynamiczny wysysa płomień świecy. Po chwili słyszeliśmy już tylko jeden krzyk, nieludzki skowyt bólu, wściekłości i obłędu.

Sekundę później zapłonęły światła.

Gil spojrział na mnie gorączkowo, ja kiwnąłem głową, nakazując gestem iść dalej. Teraz, w ciszy, znacznie wolniej pokonaliśmy zakręt i znaleźliśmy się w kolejnym szerokim korytarzu. Przed nami widniały zamknięte podwójne drzwi z dużymi surowymi napisami ZAKAZ WSTĘPU. Gil rozwalił je toporkiem i ruszyliśmy dalej. Dziesięć, może dwadzieścia metrów przed sobą ujrzeliśmy ostatnie drzwi. Zza nich właśnie dobiegały krzyki. Inne dźwięki - głosy, kroki, szczęk instrumentów - świadczyły wyraźnie, że odbywa się tam impreza, w której nie przeszkodził alarm przeciwpożarowy.

Oczywiście, drzwi pilnował strażnik. Rozkazał nam się zatrzymać, unosząc przed sobą pałkę w pozycji *en garde*. Odrąciłem ją szybkim pchnięciem, uchyliłem się i zadałem drugi cios, z potężną siłą waląc go pałką prosto w usta.

Biedny palant runął na ziemię jak worek ziemniaków, ze strzaskaną szczęką, a my przeszliśmy nad nim do środka. Możliwe, że był to zwykły frajer, jeden z nowicjuszy zatrudnionych przez J-J, by uzupełnić szeregi i nie dopuszczać do niej intruzów, by mogła w spokoju kroić Juliet na kawałki. Możliwe, że w ogóle nie wiedział, kto podpisuje mu wypłatę i co się dzieje parę stóp za nim. Z drugiej strony, zapewne nie był głuchy.

Czasami warto zadawać trudne pytania.

Pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy, najbardziej przypominało salę operacyjną. Pół tuzina mężczyzn i kobiet w białych fartuchach stało wokół bajeranckiego urządzenia - płaskiego blatu osiem stóp na cztery, zamontowanego na serii skomplikowanych żyroskopowych podpór tak, by dało się go ustawiać na dowolną wysokość i pod dowolnym kątem. W przypiętej do niego nagiej postaci natychmiast rozpoznałem Juliet. Jej biała jak kość skóra - bez śladu aureolek - czarne jak smoła włosy i katastroficzna krzywizna niewiarygodnie doskonałych piersi od tak dawna nawiedzały mnie w snach, że nie mogłem ich nie poznać, kiedy znów ujrzałem ją na jawie.

W innych okolicznościach widok nagiej Juliet zamieniłby moje półkule mózgowie w bezużyteczną papkę, pozostawiając jedynie prymitywną, zwierzęcą żądzę. Teraz jednak

czułem coś zupełnie innego.

Juliet zwijała się i szarpała na stole. Przytrzymały ją mocne skórzane pasy, okalające szyję, przeguby i kostki, lecz jej plecy od ramion po kość ogonową wznosiły się i opadały, wydęte niczym żagiel wiatrem czystego cierpienia.

Ci ludzie malowali na jej ciele pieczęcie Asmodeusza, ale Jenna-Jane uwielbia próbować nowych sztuczek - przeprowadzać badania najróżniejszych modalności. Wycinali je też w Juliet skalpelami, a coś przypominającego zeissowski projektor, ustawiony wprost nad stołem operacyjnym, wyświetlało nakładające się na siebie pentagramy wprost na jej skórze.

Postaci w białych fartuchach zamarły, patrząc na nas ze zdumieniem i oburzeniem, lecz wyświetlane obrazy nadal przesuwały się po skórze Juliet, zlewając się i rozłączając, a uszy wciąż wypełniał nam wysoki, nieludzki krzyk. Jedna z postaci - nie Jenna-Jane - wystąpił naprzód, by zagrozić nam drogę, kipiąc gniewem i urazą. Był to drobny mężczyzna koło czterdziestki, otoczony kruchą aurą autorytetu starszego konsultanta.

- To pomieszczenie zamknięte! - zagrzmał. - Nie macie prawa tu być.

- Jesteś prawo- czy leworęczny? - spytałem.

- Co takiego? - Zamrugał. - O co ci...

Prawdopodobieństwo przemawiało za prawą. Przypomniałem sobie, że czytałem gdzieś, że według ankiety przeprowadzonej w Ameryce nie było tam nawet jednego chirurga szmai. Uderzyłem go w prawy łokieć pałką, powtarzając manewr ósemki, który pokazał mi kiedyś Gary Coldwood, stosowany przez oddziały szturmowe podczas zamieszek, kiedy naprawdę chcą kogoś uszkodzić. Gdy pałka trafiła w kość, rozległ się głośny trzask. Facecik wydał z siebie ochryply, zduszony okrzyk. Zachwiał się i upadł, tuląc do siebie bezużyteczną rękę.

- Kogoś jeszcze interesuje jednoręczne praktykowanie medycyny? - spytałem uprzejmie.

Przeżalone białe fartuchy wycofały się pośpiesznie od stołu operacyjnego i swej odrażającej pracy, niczym stado spłoszonych gęsi. Z jednym wyjątkiem: Jenna-Jane ściągnęła maskę chirurgiczną - do tej pory nawet ich nie zauważyłem - i okrążyła stół, zatrzymując się wprost przede mną.

- Felix - powiedziała bardziej ze smutkiem niż gniewem. - I Gilbert. Obaj oszaleliście. Z legalnego punktu widzenia sukub nie ma żadnych praw, w odróżnieniu od człowieka, którego właśnie napadliście. Obaj traficie za to do więzienia.

- Nie spoglądam tak daleko w przyszłość, pani profesor - odparł ponuro McClennan. -

Myślę, że to dotyczy nas obu. Przy okazji, może to pani uznać za oficjalną rezygnację.

- Niech jedno z was rozepnie te pasy! - zawołałem ponad ramieniem Jenny-Jane. - I to już.

- Policja! - jęknął z podłogi facet, którego okaleczyłem. - Wezwijcie policję!

Jenna-Jane pokręciła w oszołomieniu głową.

- Jak w ogóle możecie sądzić, że za to nie odpowiecie? - spytała tym samym żalobnym tonem. - Popelniacie właśnie zawodowe samobójstwo. Wierście mi, nie będzie już odwrotu.

- Zamiana? - rzuciłem do Gila. Podałem mu pałkę, on wręczył mi toporek strażacki.

- Rozwiążcie ją - powtórzyłem, zwracając się do wszystkich zebranych - i wyłączcie ten pierdolony projektor, albo ludzie zaczną tracić ważne części ciała. Jeśli sądzicie, że żartuję, bardzo proszę, sprawdźcie mój blef.

Jedna z gęsi pośpiesznie pochyliła się i nacisnęła przycisk nisko na ścianie. Świetliste pentagramy przesuwające się po ciele Juliet w ciągu trzech sekund zblakły i zgasły. Juliet opadła na stół, jej krzyki zamieniły się w głośny, szybki oddech. Kolejne dwie gęsi odłączyły się od stada i zaczęły luzować skórzane pasy przytrzymujące więźniarkę, od czasu do czasu zerkając na mnie ze zgrozą, jakby się bały, że nie okazały dostatecznej chęci współpracy.

Jenna-Jane spróbowała raz jeszcze.

- Feliksie, to najważniejszy przełom, jakiego dokonaliśmy od dziesięciu lat badania jej podobnych. Implikacje są większe niż sobie wyobrażasz.

- Nie martw się, J-J - zapewniłem. - Myślę, że dokładnie pojmuje wszystkie implikacje.

Oczy Jenny-Jane zwęziły się, odetchnęła ciężko przez nos. Ruszyła naprzód, jakby chciała mnie wyminąć i wyjść na korytarz, a ja wyciągnąłem wolną rękę, żeby ją odepchnąć. Dotknęła jej własną i nagle moje ciało przeszła biała błyskawica. Niespodziewanie wyładowałem na podłodze, kolana i łokcie bolały mnie od uderzenia o glazurę, głowę wypełniały dźwięczące echa, jakby ktoś przywalił mi talerzami perkusyjnymi.

Jenna-Jane stała nade mną. Przedmiot, który trzymała w ręku, wyglądał jak nóż do kartonu, czarna stal z żółtymi ostrzegawczymi paskami. Celowała nim wprost w pierś Gila McClennana.

- Proszę, Gilbercie, rzuć pałkę - powiedziała - a potem usiądź obok Feliksa na podłodze. To taser M-18. Strzela ładunkiem pięćdziesięciu tysięcy woltów i zapewniam cię, że znacznie milej jest go aplikować niż otrzymać.

Gil rozważył szanse, z tej odległości praktycznie nieistniejące. Upuścił pałkę na podłogę, gdzie odbiła się i przeturlała w półokręgu, zataczając łuk wokół osi obciążonego

końca, i spoczęła dobre sześć, siedem stóp poza moim zasięgiem. Gil usiadł.

- A teraz, gdyby ktoś zechciał łaskawie wezwać ochronę - powiedziała Jenna-Jane swym tonem świętoszkowatej nauczycielki - może będziemy mogli kontynuować pracę.

Być może spodziewała się potulnego chóru „tak, pani profesor Mulbridge”. Zamiast tego jej pokornej prośbie odpowiedział zdławiony jęk kobiety w białym fartuchu, rozwiązującej przeguby Juliet. Mój wzrok powędrował w tę stronę, podobnie jak spojrzenia wszystkich obecnych.

Juliet wstała. Owszem, przytrzymała się stołu, ale stopy postawiła na podłodze. Jaskrawe smużki krwi znaczyły jej idealną, pozbawioną pigmentu skórę niezliczonymi meandrami, jakby rzeźnik przyszykował ją do filetowania. Palce zacisnęła na gardle lekarki, wyciągając rękę tak, że kobieta musiała odchylić się w pasie. Patrzyły na siebie - lekarka z obłąkańczą zgrozą, Juliet z bolesnym zdumieniem kogoś, kto właśnie podrapał się po kroczu i znalazł coś małego i ruchliwego.

- Nie - powiedziała bardzo wyraźne - nie ty. Gdzie? Gdzie ona jest?

Jenna-Jane obróciła taser, ale nie miała wolnej linii strzału. Chwila jej wahania wystarczyła, by Gil kopniakiem zwałił ją z nóg.

Kilka osób rzuciło się w stronę tasera. Zwyciężył lekarz ze złamaną ręką, ale ja złapałem toporek. Zamachnąłem się szaleńczo i wytrąciłem mu broń obuchem, nie zważając na krzyk bólu. Zważywszy na to, jak się czułem, miał szczęście, że nie oberwał ostrym końcem.

Kiedy dźwignąłem się na nogi, w korytarzu na zewnątrz rozległ się donośny tupot ciężkich butów, zwiastujący przybycie spóźnionych gości. Ochroniarze, których mineliśmy między celami - a może zupełnie inna grupa - wpadli przez drzwi i zatrzymali się nagle, odkrywając, że przyciskam ostrze toporka do gardła Jenny-Jane. Nadal dygotałem gwałtownie po strzale z tasera i ledwie zdołałem utrzymać go w dłoni, ale starałem się usilnie wyglądać na człowieka, któremu nie warto się narażać.

- Lepiej dobrze się zastanówcie - poradziłem osiłkom, głosem nieco bardziej drżącym, niżbym chciał. - Jeśli ona zginie, kto przyzna wam gwiazdkową premię?

- Ten człowiek nazywa się Castor - powiedziała szybko Jenna-Jane. - Felix Castor. Drugi, na podłodze, to Gilbert McClennan. Połączcie się z kimś poza budynkiem i przekażcie te nazwiska.

- Nie chcesz tego robić, synu - powiedział jeden z bandziorów, wyciągając rękę po toporek.

Synu? Był pewnie młodszy ode mnie.

- Prawdę mówiąc, tatuśku - odparłem - przez ostatni rok nic tak by mnie nie ucieszyło. Łaknę odrobiny nieskomplikowanych dobrych wieści.

Facet się zawahał. Zapewne w jego głowie zmagало się wiele myśli, a przypuszczam, że nie przywykła do aż takiego ruchu. Ostrza toporów zazwyczaj są dość tępe, ale nie trzeba przebić skóry, żeby złamać komuś kark, zwłaszcza komuś takiemu jak Jenna-Jane, kto już dawno pozostawił za sobą pierwszy rozkwit młodości. Czy wyglądałem na faceta zdolnego popełnić zabójstwo z zimną krwią na oczach tuzina świadków? Czy jego pragnienie wepchnięcia mi w gardło toporka wygra ze świadomością kłopotów, w jakie mógłby się wpakować, gdyby Jenna-Jane zginęła, a firma, dla której pracował, musiała wypłacić KOM odszkodowanie? Jak to by wyglądało w wieczornych dziennikach?

Nie wiem dokładnie, który argument przeważył szalę, ale ochroniarz odsunął się na bok. Podobnie uczynili jego towarzysze, rozstąpili się jednak na obie strony drzwi, toteż, przechodząc przez nie, musiałbym zwrócić się plecami do co najmniej jednego.

- Przejdźcie tam, kutafony - poleciłem ich dowódcy, wskazując najdalszy kąt sali. - Idźcie pobawić się w lekarzy i pielęgniarce z lekarzami i pielęgniarkami. - Z powrotem skupiłem uwagę na Jennie-Jane. - Znaleźliście list - powiedziałem - w moim domu. List od Asmodeusza. Masz go przy sobie? Dobrze się zastanów, zanim mnie okłamiesz, J-J, bo już jestem zdesperowany. Nie chciałabyś mnie zmusić do przekroczenia granicy.

- W mojej kieszeni - odparła Jenna-Jane. - Po lewej. Po co ten melodramat, Feliksie? Zamierzałam ci go pokazać po twoim powrocie z Surrey.

Przytrzymując jedną ręką toporek, pogrzebałem w jej kieszeni. Tkwiła tam kartka złożona na czworo. Wyjąłem ją i zerknąłem. Widziałem jedynie parę słów, przypadkowych i do góry nogami: „jedynie możliwe miejsce”. Wyglądał na autentyczny. Asmodeusz zapisywał litery w niemal pointylistycznym stylu, układając je z setek prostych linii nie większych niż plamki tuszu. Sfałszowanie czegoś takiego wymagałoby mnóstwa wysiłków, a nie widziałem powodów, dla których miałyby próbować. Mimo kłamliwych zapewnień Jenny-Jane, nigdy nie miałem zobaczyć tego listu. Wepchnąłem go do kieszeni.

- McClennan - rzuciłem - wychodzimy. Zabierz Juliet.

Juliet cały czas trzymała za gardło lekarce, kiedy jednak Gil się zbliżył, puściła ją. Kobieta cofnęła się chwiejnie, unosząc dłonie do posiniaczonej szyi. To oznaczało, że wpadła na Gila, który przytrzymał ją za ramię.

- Zdejmij fartuch - polecił - i oddaj mi.

Bez sprzeciwu zrobiła co kazał. Wpatrywała się z bliska w bezdenną czerń oczu Juliet. I choć jej wewnętrzne ognie niemal zupełnie zgasły, to co zostało i tak wstrząsnęło lekarką do

samego jej psychoseksualnego jądra. Straciła wszelką wolę walki.

Gil bardzo ostrożnie opatulił Juliet fartuchem, uważając, by nie dotknąć jej skóry. Wpatrywała się w niego z drapieżnym napięciem.

- Musimy iść - powiedział.

Przez parę chwil jakby nie rozumiała, w końcu jednak skinęła głową i odepchnęła się od stołu. Nogi natychmiast ugięły się pod nią i Gil złapał ją, nim upadła. Jego oczy się rozszerzyły. Zapewne tak jak mnie, kiedy wyniosłem ją z krematorium Mount Grace, musiało zdumieć go, jak mało waży. Ale tym razem chodziło o coś więcej. Popatrzył na mnie, wyraźnie zaniepokojony.

- Jest zimna jak lód - rzekł. - I ledwie oddycha.

Zawahałem się. Mógłbym zamienić się miejscami z McClennanem i powierzyć mu naszą zakładniczkę, a potem, grając na flecie, spróbować przywołać Juliet z powrotem do jej ciała. Robiłem to już wcześniej z różnym powodzeniem, znałem zatem melodię. Ale uruchomienie alarmu przeciwpożarowego zawiadomiło także służby alarmowe. Pewnie już tu jechały, a jeśli wozy strażackie i policja otoczą kordonem budynek, ciężko będzie się z niego wydostać.

- Jest silniejsza niż się zdaje - rzekłem - i oddycha wyłącznie na pokaz. Da radę. - Znowu spojrzałem na ochroniarzy, którzy wszyscy przenieśli się do kąta za stół operacyjny. - Wy zostańcie tutaj - poleciłem. - Jeśli pójdziecie za mną, zabawię się z panią profesor w „kto tu ma gilotynę”.

Wycofaliśmy się z pokoju. Gil niósł Juliet, która osunęła się w osobliwy półsen, mamrocząc coś i wzdrygając się niespokojnie w jego ramionach.

- To doprawdy cudowne, Feliksie - wymamrotała z napięciem Jenna-Jane, gdy odtwarzaliśmy naszą trasę między celami. - Przyszedłeś tu tylko po to, by uratować potwora, który od tysiąca lat żywi się ludzkimi ciałami i duszami. Włamałeś się tutaj, sterroryzowałeś i napastowałeś mój personel, spowodowałeś nieoszacowane straty w całym ośrodku. Od bardzo dawna wiedziałam, że tracisz rozum, ale to wykracza poza wszystko, czego mogłam się spodziewać.

- Cała J-J, zawsze ofiara, nigdy grzesznik - odparłem. - Ale zanim ciśniesz pierwszym kamieniem, pomyśl o Dickisie. Zawarliśmy umowę i trzymałem się jej, dopóki nie kazałaś mnie zabić.

Jenna-Jane zaśmiała się z niedowierzaniem.

- Kazałam cię zabić? Czy to powiedział ci Gilbert? Bzdura. Przyznaję, chciałam cię opóźnić w Surrey. Oczywiście, że tak. Po prostu nie ufałam twojemu obiektywizmowi w

kwestii sukuba - i rzekłabym, że twe obecne zachowanie stanowi najlepszy dowód, że miałam rację.

- Idą za nami - wymamrotał Gil.

Zerknąłem przez ramię. Sługusy przeskakiwały od jednych drzwi celi do drugich, od narożnika do narożnika, trzymając się dość daleko, by nie stanowić oczywistego zagrożenia, lecz wyraźnie czekając, aż nadarzy się szansa. To mogło oznaczać, że gdzieś z przodu czeka druga grupa. Zbliżając się do skrzyżowania, zwolniłem, ale spodziewana zasadzka się nie zmaterializowała.

Teraz widzieliśmy przed sobą metalowe schody i Gil przyśpieszył ku nim. Kiedy dzieliło nas od nich dziesięć kroków, zza stopni wyłoniła się grupka czarnych uniformów. Jednocześnie ci za nami przyśpieszyli kroku, blokując nam odwrót.

- Tu nie ma niewinnych obserwatorów - powiedział jeden z tych przed nami, nieatrakcyjny osobnik o tłustych czarnych włosach i długich wąsach hiszpańskiego kelnera. Uderzył pałąk w dłoń z dźwięcznym kłaśnięciem. - Rzućcie dziewczynę i wypuście profesor. W przeciwnym razie spuszczę moich ludzi ze smyczy.

- Jeśli to zrobisz, ona zginie - uprzedziłem.

Facet uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- To lepiej bierz się do dzieła - zaproponował - bo nie zamierzamy się ruszyć. Na mój znak, panowie, trzy... dwa... jeden...

- Niech żaden z was nawet nie waży się drgnąć! - warknęła Jenna-Jane, głośno i władczo. - Zabraniam tego! Zrozumiano?

Ochroniarze, kierowani czystym odruchem, cofnęli się o krok, reagując na głos swej pani. Ich przywódca spojrzał na nią oszołomiony.

- Pani profesor... - zaczął.

- Sukub to cenny okaz medyczny - rzuciła cierpko Jenna-Jane. - Do kata, każę poczęstować knutem każdego, kto zrobi jej krzywdę. A teraz cofniecie się i przepuście tych ludzi całych i zdrowych. Każdy, kto nie posłucha, odpowie przede mną. I lepiej mi wierzcie, sucze syny.

Miałem już pewne podejrzenia przy „do kata”, nie wspominając o wzmiance o chłóście. Nim dotarła do suczych synów, wiedziałem już dokładnie, z kim mamy do czynienia. To nie była Jenna-Jane, tylko Rosie Crucis.

Ruszyłem w stronę stopni, obracając się tak, by nie zwrócić się plecami do żadnego z tych skurwieli.

- Słyszeliście panią - powiedziałem. - Chodź, McClennan.

Gil, choć zdumiony, nie był głupi. Trzymał się mnie, gdy podszedłem do stóp schodów i postawiłem nogę na pierwszym stopniu.

- Zróbcie im miejsce! - ryknęła Rosie i służusy cofnęły się jak jeden mąż.

- Mówiłem ci kiedyś, że cię kocham? - wymamrotałem do Rosie.

- Wiele, wiele razy. - Zaśmiała się. - Ale nie proś, żebym pocałowała cię tymi ustami, Feliksie. To byłaby zbrodnia przeciw naturze.

Gil wpatrywał się w nas z egzystencjalną zgrozą, szeroko otwierając oczy. A potem nagle zaskoczył.

- Jak zdołałaś przełamać blokady? - wyszeptał.

- Nie zdołałam - odszepnęła Rosie. - Przeszłam pod nimi. Nie było żadnych na podłodze.

U szczytu schodów przystanęliśmy. Spojrzałem na prawo od drzwi i znalazłem to, co spodziewałem się zobaczyć: zamkniętą skrzynkę. Wypuściłem Rosie i zamachnąłem się toporkiem, trzema niezgrabnymi uderzeniami rozwalając zamek. Wewnątrz tkwiły dwa czerwone guziki. Ten po lewej podpisano blokada zamków, po prawej zwolnienie blokady.

- Masz pojęcie, dokąd się stąd udasz? - spytałem Rosie.

Wzruszyła ramionami i twarz Jenny-Jane rozjaśnił nietypowo figlarny uśmiech.

- Od pięciu lat nie igrałam z nikim w łożu - oznajmiła. - Chyba przypomnę sobie, jak wyglądają grzechy ciała.

- Kiedy ci się to znudzi - rzekłem - wpadnij się przywitać.

- Oczywiście, Feliksie - zgodziła się. - Może nawet wcześniej.

Nacisnąłem zwolnienie blokady. Z przeciągłym zgrzytliwym szczęk-szczęk-szczęk setki drzwi cel otwarły się z niemal idealną synchronizacją. Rosie umknęła. Choć mój zmysł śmierci poczuł, jak odchodzi, i tak wiedziałbym, że mam teraz do czynienia z prawdziwą Jenną-Jane, bo jej twarz na mych oczach wykrzywiła się w wyrazie nagiej, niemal obłąkańczej nienawiści.

- Castor! - wykrztusiła.

- Chyba wspomniałaś o trzydniowym okresie próbnym, J-J - przypomniałem jej, po czym uniosłem kciuk i palec wskazujący, niemal je stykając. - Byłem tak blisko przejścia próby.

Zatrzasnąłem wielkie stalowe drzwi i zaciągnąłem zasuwę.

ROZDZIAŁ 19

Naradę wojenną odbyliśmy w Gaumoncie w Walthamstow. Nicky nie był zachwycony rolą gospodarza, ale nadal czuł się głupio po swej klęsce w odszyfrowaniu anagramów z przywołań Asmodeusza, toteż dał mi trochę luzu.

Wpuścił nas z ulicy, zerkając z ciekawością na postać w moich ramionach - Juliet, obecnie owiniętą w mój szynel i nadal mniej więcej nieprzytomną.

Gil McClennan zadrżał, przekraczając próg. Zmiana temperatury z ciepłego dworu była nagła i wyraźna.

- Zimno tu jak w grobie - wymamrotał.

- A niech mnie! - prychnął Nicky. - No proszę, cały czas szukałem dobrego porównania, a miałem je tuż przed oczami!

Twarz Gila przeszła interesującą przemianę, gdy z opóźnieniem pojął, że ma do czynienia z nieboszczykiem.

- Bez urazy - rzucił w końcu.

- Nie ma sprawy - odparł Nicky. - Żeby czuć się urażony, musiałbym się tym przejmować. Idźcie na górę. Joanna D'Arc już tam jest i na was czeka.

Trudie krążyła po kabinie projekcyjnej ubrana w dwie kurtki chroniące przed chłodem. Rękę miała na temblaku, jej ramię spowijała gruba warstwa bandażu. Bładością niemal dorównywała Nicky'emu, tyle że jej nie tłumaczył fakt, że od czterech lat nie żyła. W wolnej dłoni ścisnęła jaskraworóżową reklamówkę od Sainsbury'ego.

- Castor! - Kiedy weszliśmy, podbiegła do nas, po czym cofnęła się, uświadomiwszy sobie, co niesie. Jej wzrok powędrował do twarzy Juliet i znów mojej. - Najwyraźniej wiele mnie ominęło - powiedziała. - Zechcesz mnie wprowadzić?

Nicky uprzątnął śmieci ze stołu i usiedliśmy wokół niego: koalicja sprzymierzeńców, jeśli tym określeniem można opisać ludzi, którzy wypróbowali wcześniej wszystkie inne opcje i odkryli, że zameldowali się do kąta. Po drugiej stronie pomieszczenia Juliet leżała na składanym łóżku pod projektorem. Materac cuchnął pleśnią i był nieprzyjemnie wilgotny, ale nic lepszego nie znaleźliśmy.

Pośrodku blatu leżał list Asmodeusza - punkt numer jeden programu numer jeden. Był krótki i treściwy.

Castor,

zapraszam Cię wraz z demoniczną dziwką na moje przyjęcie pożegnalne. Na wypadek gdybyś potrzebował: zachęty - one żyją i pozostaną przy życiu, póki się nie zjawisz. Potem wszystko będzie zależało od tego, jak się to rozegra.

Peckham. Pamiętasz ten pokoik na górze, który dla mnie wyszykowałeś? Tak świetnie się tam bawiliśmy, że uznałem, że to jedyne możliwe miejsce, by się pożegnać.

A

- Niczego nie masz - zauważył Nicky. - Przepraszam. Pomyślałem, że lepiej zacząć od tego co oczywiste. Dwa razy na niego wpadłeś i za każdym razem ledwie przeżyłeś. Jeśli teraz tam pójdziesz - a pamiętaj, on na ciebie czeka - zabije cię na bank.

- Mamy to - wtrąciła Trudie. - Kiedy wpadłam w szal w KOM, stłukło się, ale może wciąż się nada.

Położyła reklamówkę z Sainsbury'ego na stole i pchnęła ku mnie. Wiedziałem, co to, więc nawet jej nie otwierałem. Zagrzechotała dźwięcznie, kiedy odłożyłem ją na podłogę.

- Granaty zapalające? - spytał ironicznie Nicky. - Białe fosfor? Pociski ze zubożonego uranu?

- Coś w tym guście - mruknąłem.

- O ile to nie bomba atomowa, on nadal cię zabije.

Skinałem głową.

- Owszem, można tak założyć. Ale nie oszukujmy się, Nicky. Zabicie nas to nie jest jego cel, jedynie wisienka na torcie. Może nawet mniej. Asmodeusz ciężko pracował, a wiemy teraz, że w każdej chwili mógł wejść do domu Pen i ukreć mi głowę, gdyby tylko zechciał. Blokady tylko go poślaskotały.

- W takim razie, o co mu chodzi? - wtrącił Gil. - Jeśli jest tu jakiś większy obraz, to go nie dostrzegam. Z pewnością to tylko kwestia zemsty. Ginny, jak jej tam, pomogła w rytuale, który sprowadził go na Ziemię, toteż zaczął od zabicia jej. Ditko przeprowadził rytuał, więc Asmodeusz załatwił ostatniego żyjącego członka jego rodziny. Dzięki tobie uzupełni pulę.

- Tak - zgodziłem się. - Ale nie. Już raz popełniłem ten błąd, sądząc, że tu chodzi o mnie. Dlatego właśnie tak późno zorientowałem się, do czego służą jego przywołania. On mnie nienawidzi, jasne, ale nie zaatakował mnie. Nie do końca. Wybrał Juliet.

Na wzmiankę swego imienia Juliet nawet się nie poruszyła.

- Kiedy ostatnio się uwolnił, pomogła ci zapędzić go z powrotem do butelki - rzekła powoli Trudie. - Ale to samo można powiedzieć o wielu innych osobach.

Zerknęła na Nicky'ego, który z irytacją wzruszył ramionami.

- Ja tylko dostarczam usług.

- Jego pieczęcie miały ją rozwścieczyć i oszołomić - podjęła Trudie. - Czy nie tak mówiłeś?

Zastanowiłem się.

- Przez nie stała się bardziej zapalczywa. W mniejszym stopniu panowała nad swoim zachowaniem. Chwilami sprawiała wrażenie nieco ogłupiałej, lecz przede wszystkim jakby spuścił ją ze smyczy: reagowała szybciej, gwałtowniej, z mniejszą rozwagą.

- Czyli jednym ruchem usunął skutki dwóch lat socjalizacji na Ziemi i może paru tysięcy doświadczenia w piekle - podsumowała Trudie.

- Zgadza się. Mniej więcej.

- W takim razie to musi być wskazówka, prawda? - Postukała w list wyciągniętym palcem. - Asmodeusz każe ci ją przyprowadzić, bo to jej potrzebuje. Chce, żeby coś dla niego zrobiła, i nie życzy sobie, by zanadto się nad tym zastanawiała.

- Ale jakie coś? - rzucił Gil. - Sukub to chodząca pułapka na ludzi. Przyciąga ich do siebie i pożera. Twierdzicie, że Asmodeusz chce kogoś załatwić? Sam może zabić każdego, kogo zechce.

- Podchodźcie do tego z niewłaściwej strony - poinformował nas Nicky. - Nic dziwnego. Powinniście zadać sobie pytanie: czego on pragnie, i wywnioskować, jak chce do tego użyć Juliet?

- Chce się uwolnić - oświadczyłem. - Chce wydostać się z ciała Rafiego i wrócić do domu.

- I uważa, że tego dokonał - zauważyła Trudie. - Píše w swoim liście, że to przyjęcie pożegnalne. Czyli znalazł jakiś sposób, żeby...

- Zaczekaj. - Nicky machnął ręką, jakby cofał rozpędzony silnik. - Zawróć, Castor. Co powiedziałeś?

- Chce wrócić do domu.

- Nie. Powiedziałeś, że chce się wydostać z ciała Ditko. Tak?

- To chyba to samo, Nicky?

- Nie - rzekł z emfazą. - To nie to samo. Zupełnie nie. Powiedz mi, jak działa sukub. Czytałem o, tym, ale nigdy nie widziałem. Ty widziałeś, prawda? Na jachcie.

Miał na myśli „Mercedes”, pływający dom Lucasza Damjohna, kurwimistrza. Wtedy przywołano na pokład Juliet, by mnie zabiła, a ona zamiast tego zaatakowała swoich panów. Wszystko to wydawało się bardzo odległe i, prawdę mówiąc, nie widziałem zbyt wiele, bo

niemal cały czas zamykałem oczy.

- Wiesz, co ona robi - rzuciłem oględnie.

- Wiem, co piszą w książkach. Ale jak to działa w naturze?

Z pewną niechęcią cofnąłem się do wydarzeń tamtej nocy i jeszcze wcześniejszej, kiedy Juliet o mało mnie nie pożarła.

- Nakręca cię - oznajmiłem nerwowo i wyjątkowo oględnie. - Sprawia, że się podniecasz, bardzo podniecasz. A potem cię pożera.

- Poważnie? No wiesz, łamie kości, bryzga krwią, przeżuwa mięso?

- Kurwa. - Odetchnąłem głęboko i zadrzałem. - Nic z tych rzeczy. Kiedy pochłonęła Damjohna, nie widziałem żadnej krwi ani szczątków. - Prawdę mówiąc, było jeszcze bardziej niesamowicie. Nim go objęła, krwawił z rany na brzuchu. Po fakcie krew zniknęła z pokładu, nie pozostawiając nawet plamy na deskach.

- Zatem mówimy o konsumpcji fizycznej - nalegał Nicky.

- Tak. I... tej drugiej. Jej wymagania żywieniowe są dość skomplikowane, Nicky. Potrzebuje nie tylko ciała, ale i duszy. Zupełnie jakby żądza stanowiła enzym trawienny. Magiczny składnik pozwalający jej żywić się nami. Ludźmi. W przeciwnym razie byłoby jak wtedy, kiedy jemy trawę: nie potrafimy rozłożyć jej ścian komórkowych, toteż nie możemy się nią odżywić. Nawet napełniwszy żołądek, nadal, no wiecie... umarlibyśmy z głodu.

Nagle urwałem, bo pojąłem, do czego zmierza Nicky. Widziałem, że Trudie także zrozumiała. Kręciła głową z chorym zdumieniem.

- Co przeoczyłem? - spytał Gil.

Przez parę chwil nikt mu nie odpowiadał, bo nadal próbowaliśmy pojąć wszystkie implikacje. Potem wyjaśniłem, zająkując się, świadom tego, jak absurdalnie i nieprawdopodobnie to brzmi. Tak nieprawdopodobnie, że niemal niemożliwie. Jediną rzeczą przemawiającą za moim rozwiązaniem był fakt, że żadna inna teoria nie wyjaśniała wszystkich posunięć Asmodeusza.

- To obłąd - rzucił Gil, kiedy skończyłem.

- Ja uważam, że to, kurwa, genialne. - Nicky w zdumieniu pokręcił głową. - Wspaniała ucieczka z więzienia. W porównaniu z tym wykopanie tunelu pod Ritą Hayworth wygląda na zwykły drobiazg.

- Zatem sukub stanowi klucz do planu Asmodeusza - podsumowała Trudie. - Czyli musimy działać bez niej. - Wzruszyła zdrowym ramieniem. - Tak czy inaczej, pewnie jest zbyt słaba, by nam pomóc. Szkoda, bo stanowiłaby naszą najpotężniejszą broń, ale nie możemy jej pozwolić zbliżyć się do tego stwora.

- A jak... - rzekła powoli Juliet - zamierzacie... mnie powstrzymać?

Wstała z łóżka i kuśtykała ku nam. Pozwoliła, by fartuch chirurgiczny zsunął jej się z ramion. U Juliet rozebranie służy temu samemu co uniesienie rąbka poncho i zademonstrowanie rewolwerów u Clinta Eastwooda. Lecz tym razem magia nie zadziałała. Patrząc na na wpół zaleczone rany przecinające jej ciało, nie poczułem podniecenia, jedynie tępy smutek. Wiecie, jakie to uczucie, gdy oglądacie film, który uwielbialiście w dzieciństwie, i odkrywacie, że to nic szczególnego? W tym momencie czułem się podobnie, tyle że do potęgi n-tej. Biegun północny mojego libido zniknął i mój osamotniony kutas nie miał już czego wskazywać.

Juliet dotarła do stołu, lecz zachwiała się i o mało nie upadła na kolana. Chwyając oburącz blat, wbiła we mnie gniewny wzrok.

- On porwał Susan. - W jej głosie dźwięczała upiorna pustka, jakby runy, którymi ją torturowano, wydrążyły jej ciało, pozostawiając jedynie pustą chodzącą skórę. Nie było sensu kłamać.

- Tak - odparłem. - Porwał. Kto ci powiedział?

Grzbietem dłoni otarła krople potu z czoła.

- Kobieta - rzekła. - Kobieta, która rysowała po mnie nożami i farbą. Szydźla ze mnie, używając tej wiedzy. Czy ta kobieta wciąż żyje, Castor? Ucieszyłoby mnie, gdyby nadal żyła.

Pokiwałem ręką w geście „może tak, może nie”.

- Możliwe - mruknąłem. - Jenna-Jane to cholernie twarda sztuka. Juliet, usiądź, zanim upadniesz.

Nicky zdumiewająco uprzejmie podsunął jej puste krzesło. Juliet obdarzyła go jedyną pośmiertną erekcją, może zatem czuł coś podobnego do mnie. Opadła na siedzenie, jej ręce wyraźnie drżały po tym, jak przez kilka sekund podtrzymały ciężar ciała.

- No dobra - rzuciłem - przynasz, że w tej chwili niewiele zdołasz zdziałać.

- Szybko dochodzimy do siebie.

- Dość szybko, by odzyskać siły do walki w niecałą godzinę? Posłuchaj, obiecałem, że ochronię Sue.

- I złamałeś obietnicę.

- Dzień jeszcze się nie skończył.

Juliet wyszczerzyła zęby w gniewnym grymasie i choć jej ciało było nadal słabe, następne trzy słowa wypluła z przerażającą siłą woli.

- Idę z tobą.

Nie zamierzałem ustępować tak łatwo, lecz nim zdążyłem coś powiedzieć, przemówił

Nicky.

- O co się w ogóle kłócicie? Plan Asmodeusza opiera się na jej obecności, tak? Bez niej może nawet nie wpuścić cię za próg. I pewnie pozwoli jej podejść bardzo blisko z tego samego powodu. Juliet może zostać naszym koniem trojańskim.

Juliet odwróciła się i spojrzała na Nicky'ego z lodowatą furią. Powiedziała coś we własnym demonicznym języku, zapewne coś bardzo obraźliwego i - byłem gotów się założyć - fizycznie niemożliwego.

Nicky odchylił się w obliczu tego nagłego, zaskakującego gniewu i spiął się cały; wyglądał jakby zaraz miał uciec. Ponieważ jest martwy, nie znosi starć fizycznych. Kiedy jedzie się na pustym baku, ciało nie potrafi się uleczyć i każda rana jest nieodwracalna.

Trudie postanowiła ściągnąć na siebie część ognia.

- Może Nicky ma rację. Zapomnijcie o tym, co właśnie powiedziałam. Asmodeusz jest dla nas zbyt silny. Jeśli chce naszej śmierci, to już nie żyjemy. Mamy szansę tylko dlatego, że potrzebuje Juliet żywej.

Gil zaśmiał się sardonicznie.

- Dopóki się nie przekona, że ona nie jest już w stanie robić swoich czarów-marów. To nie daje nam zbyt dużego okienka, co?

Trudie spojrzała na mnie wyczekująco. Uniosłem reklamówkę od Sainsbury'ego i starannie wysypałem na stół kawałki potłuczonego szkła. Juliet, Nicky i Gil spojrzeli na nie, na ich twarzach odbijały się najróżniejsze odcienie zaskoczenia.

- Na szczęście - oznajmiłem - mamy tajną broń.

Gil odchrząknął z niezręczną miną.

- Prawdę mówiąc, mamy dwie. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął wąskie prostokątne pudełko, które otworzył, demonstrując tkwiący w środku srebrzysty lśniący dysk. - Prezencik od Daveya Nathana, Castor. Dał mi to dziś rano, ale przez to wszystko, co się działo...

- Czy to moja kołysanka na Asmodeusza? - spytałem.

- Wydłużony remix dyskotekowy.

- Dzięki ci, Chryste - mruknął ponuro Nicky. - Jesteśmy uratowani.

ROZDZIAŁ 20

Imelda Probert żyła - i umarła - w poza tym opuszczonym niskim budynku, w nędznym zaułku w Peckham, dzielnicy południowego Londynu. Od dawna przeznaczony do rozbiórki dom wciąż się trzymał, podobnie jak większość klientów Imeldy, pozostając w zawieszeniu między życiem a śmiercią. Frontowe drzwi zabito kawałkami sklejki, na których ktoś wypisał sprejem słowa Wu-Tang Clan, wewnątrz stylizowanego logo w kształcie litery W, przypominającego rozpostarte ptasie skrzydła. Co jeszcze dziwniejsze, ktoś inny pomalował cały front budynku na matowoczarno, choć w miejscach, gdzie farba pękła i odpadła, prześwitywała przez nią czerwona cegła, niczym surowa tkanka. Z zewnątrz budynek wydawał się nie tylko martwy, ale też nieźle przegniły.

Imeldzie bynajmniej to nie przeszkadzało: gwarantowało jej ciszę i spokój, których potrzebowała do pracy. Jej mieszkanie na trzecim piętrze było niczym iskra życia w stygnącym mózgu zombie. A przynajmniej działało się tak, dopóki nie sprowadziłem tu Asmodeusza i nie przeważyłem szali na stronę śmierci. Wszystko, co wydarzyło się później, wynikało z tej jednej, oszałamiająco głupiej decyzji.

Teraz przybyłem, by wszystko naprawić - ale z dźwięczącym w głowie żalobnym adaggio Wayne'a Coyne'a „Too Heavy for Superman”.

Podjechaliśmy i zaparkowaliśmy przed domem, cała nasza czwórka, niczym jeźdźcy taniej filmowej apokalipsy. Tyle że przybyliśmy furgonetką „FIAT Ducato”, którą Nicky wytrzasnął Bóg jeden wie skąd. Przystosowano ją do użycia w pierwszych wyborach burmistrza Londynu i z niewiadomych przyczyn dotąd nie tknięto. Na bocznych ścianach wymalowano tępą, głupkowato uśmiechniętą twarz Franka Dobsona, a pod nią najgorszy wyborczy slogan w historii cywilizowanego świata: „Frank: Uczciwie i Do Rzeczy”. W spokojnych georgiańskich slumsach Peckham furgonetka wyróżniała się spośród tła mniej więcej tak, jak prezydent Ahmed Ahmadineżad na koncercie Village People.

Gil przesunął się, wpuszczając Trudie na swoje miejsce za kierownicą. Zerknęła na mnie, niespokojna i przygaszona.

- Wolałabym być tam z wami - oznajmiła.

Dotknąłem grubej warstwy bandaży spowijających jej ramię, kojarzących się z naramiennikiem gracza w futbol amerykański.

- Nie możesz walczyć - przypomniałem delikatnie - ani przeprowadzać egzorcyzmów. Ale za to zdołasz pomóc. To ma sens.

- Wiem, że to ma sens. - W jej głosie dźwięczało napięcie. - Ale od samego początku biorę udział w tych łowach. I mam przeczucie, że dziś to dla mnie koniec. Ostatni raz, kiedy to robię. Ciężko pogodzić się z tym, że nasz ostatni występ to tylko wsparcie.

- Nie jesteś wsparciem - wtrącił Gil. - Razem z Heathem tworzycie naszą artylerię dalekiego zasięgu.

Słyszając to, Trudie uśmiechnęła się odrobinę cierpko.

- I przypuszczam, że wasza trójka to kawaleria? Świetna przenośnia, Gil. Możecie na zmianę odgrywać generała Custer.

Wyskoczyłem z furgonetki i przeszedłem na tył, by otworzyć drzwi. Juliet siedziała w środku oparta o pudła - zapewne pełne starych ulotek wyborczych i znaczków z napisem „Popieram Franka” - podniosła się jednak i dołączyła do mnie tylko odrobinę chwiejnym krokiem. Miała na sobie czarny dres, kupiony przez Trudie w sklepie dobroczynnym na Hoe Street, i parę czarnych kozaków na wysokich obcasach. Choć raz nie czułem przymusu, by wyobrazić sobie, co nosi pod spodem. Nie emanowała elektrycznością. Nawet jej zapach zniknął. Pachniała jedynie nową skórą.

- Musisz zostać z tyłu - przypomniałem po raz dziesiąty czy może dwudziesty. - Jeśli wejdiesz za szybko, Asmodeusz się domyśli. A jeśli się domyśli, zginiemy wszyscy. Nie zabije nas natychmiast tylko dlatego, że wciąż potrzebuje cię do tej ostatniej przysługi.

- Pożrę mu twarz prosto z czaszki - warknęła Juliet.

- Szczerze cię popieramy - zgodziłem się. - Ale na miłość boską, Juliet, zostań z tyłu. Nie wychodź na prowadzenie.

- Na czyją miłość, Castor?

Dobrze powiedziane. Umilkłem.

Zsynchronizowaliśmy zegarki, głównie z myślą o Trudie: za dziesięć minut północ.

- Powodzenia, Castor.

- Tak, i tobie także. Po wszystkim skoczmy na piwo, co? Teraz chyba moja kolej.

- Czy ty kiedykolwiek miewasz jakąś kasę?

- Nie. Ale zawsze pilnuję długów.

Ruszyłem naprzód, tworząc wierzchołek trójkątnej formacji bitewnej, Juliet i McClennan podążyli w moje ślady.

Poczułem nagle mrowienie, gdy moją skórę omiotła niewidzialna fala napięcia, jakie odczuwa egzorcysta, gdy obserwują go martwi bądź nieumarli.

Asmodeusz wiedział, że nadchodzimy. Wiedział, że się zjawimy, wcześniej, niż my sami.

Ignorując drzwi frontowe, okrążyliśmy budynek z lewej strony. Nieco dalej czarna cegła ustępowała miejsca sfatygowanemu drewnianemu płotowi, w którym osadzono drzwi. Miały zamek „Yale”, ale odkąd pamiętam, nigdy ich nie zamykano. Nie potrzeba było nawet klamki: spaczone drewno nie pozwalało im samodzielnie się otworzyć. Ustały pod moim pchnięciem i znaleźliśmy się na podwórzu zarośniętym tak gęstymi jeżynami i ostem, że wyglądało jak plan filmu „Dzień Tryfidów”.

Boczne drzwi także były otwarte, a korytarz za nimi spowijała ciemność. Na palcach podszedłem do stóp schodów i parę chwil nasłuchiwałem w milczeniu, wyciągając rękę, by powstrzymać Juliet, na wypadek gdyby próbowała mnie wyminąć. W otchłani nad nami nic się nie poruszało.

Powoli zacząłem wspinać się na schody, Juliet stąpała tuż za mną. Stopnie skrzypiały i uginały się pod naszymi nogami, upiornie głośne w dźwięczącej echem pustce. Idiotyczne, że, choć wiedziałem, że nie ma sensu się skradać, nie mogłem się powstrzymać przed cichym podejściem i próbą zminimalizowania hałasu.

Nie mogłem też przestać obserwować cieni, ale to przynajmniej było znacznie bardziej racjonalne. Pokój, który przygotowaliśmy z Imeldą dla Rafiego, mieścił się na drugim piętrze, ale nie istniał żaden powód, dla którego Asmodeusz miałby grać według reguł. Mógł się ukrywać w dowolnym miejscu budynku.

Przynajmniej przebywał w tym budynku, tyle wiedziałem. Ślady jego obecności były wszędzie tak gęste, że nie potrafiłem określić kierunku, poza tym, że czaił się gdzieś nad nami i obserwował. Świadczył o tym śwędzący, mrowiący nacisk między łopatkami.

Dotarliśmy na pierwszy podest i skręciliśmy na kolejne schody. Juliet napierała na mnie od tyłu, desperacja nie pozwalała jej zwolnić, choć wiedziała, jak to ma wyglądać. Niedobrze. Bardzo niedobrze. Jeśli będziemy się wspinać dalej, wpadniemy na demona w ciemności na jego warunkach i cały plan diabli wezmą.

- Czy naprawdę musimy czekać do ostatniej chwili? - spytałem głośno lekkim, swobodnym tonem. - Jest już późno, ja jestem zmęczony i wszyscy wiemy czego chcesz, ty nadęty fiucie. Przyślij na dół kobiety, a Juliet wejdzie na górę.

- Nie - rozległ się głos demona, odbijając się echem w klatce schodowej. Sprawiał wrażenie odprężonego i rozbawionego. - To nie wymiana zakładników, Castor. Powiedziałem, że zostawię je przy życiu, dopóki się tu nie zjawicie, to wszystko.

- No to gdzie są? - spytałem.

Nie potrafiłem go namierzyć w mroku. Jego głos dobiegał z bliska, ale klatka schodowa miała cztery piętra. Blisko mogło oznaczać dziesięć stóp, dwadzieścia, a nawet trzydzieści. Nie ma nic gorszego niż dzielna szarża, która zamienia się w długi bieg.

- Są tutaj - zapewnił Asmodeusz. - W niezbyt dobrym stanie, ale są. Wciąż oddychają. Nie więcej. Gdybym był człowiekiem, mógłbyś mnie nazwać człowiekiem honoru.

- Ty pierdolony... - Słowa uwięzły mi w gardle. - Jeśli coś im zrobiłeś...

- Z początku zrobiłem parę rzeczy. Potem odkryłem, że zabawnie jest zmuszać je, by robiły je sobie nawzajem. Jak to mówią, Castor, strach pożera duszę. Jeśli dostatecznie kogoś przerazisz, cywilizacja znika bez śladu. - Zachichotał. Ów dźwięk sypał się ku nam w ciemności niczym tysiącletni kurz. - Kiedy tu wejdziecie, będziecie musieli uważać. Jest trochę ślisko.

Juliet wydała z siebie zdławiony okrzyk. Wiedziałem, co się zaraz stanie, i skoczyłem, by ją powstrzymać, ale, przebiegając, odepchnęła mnie na poręcz, która pękła i ugięła się złowieszczo pod moim ciężarem.

Za szybko. Stanowczo za szybko. Wyciągnąłem rękę i złapałem ją za kostkę, nim znalazła się poza moim zasięgiem, po czym szarpnąłem tak, że wylądowała ciężko na schodach.

- Nie! - krzyknąłem desperacko. - Juliet, nie!

Kopnęła mnie w szczękę. W innych okolicznościach ten cios zapewne by mnie zabił, ale w tym momencie nie była sobą. Krew wypełniła mi usta, gdy zęby wbiły się w język, jakoś jednak zdołałem znów złapać ją za nogę, powlec na dół i przytrzymać.

- Nie wiemy, nawet co tam masz! - ryknąłem w mrok. - To tylko bzdury, póki ich nam nie pokażesz.

W górze rozległ się głuchy szcęk i schody zalało ostre, pozbawione cieni światło stu pięćdziesięciowatowej żarówki, wiszącej dokładnie nad naszymi głowami. Asmodeusz na podeście drugiego piętra zdjął dłoń z wyłącznika i opuścił na poręcz. Był sam.

- Nie mam więcej uwag - rzuciłem, zabrzmiało to jednak znacznie mniej twardo i bezkompromisowo, niżbym chciał.

Demon jedynie się uśmiechnął.

- Naprawdę musisz je zobaczyć? - przemawiał nade mną do Juliet, która właśnie podnosiła się ciężko z ziemi.

- Nie - wyszeptła.

Nie mam pojęcia, jak Asmodeusz ją usłyszał. Chociaż stałem obok, ledwie zrozumiałem co mówi.

- Nie - zgodził się demon niemal łagodnie. - Bo ją czujesz. Nawet stamtąd czujesz jej ciało, jej krew i jej oddech. Wiesz, że wciąż żyje, ale nie masz pojęcia, jak długo to potrwa. A, żeby do niej dotrzeć i przekonać się, jak jest źle, musisz przejść przeze mnie. Ty, kurewko. Tylko ty. Każdy, kto wejdzie tu oprócz ciebie, wyląduje na ziemi w kawałkach. - Teatralnie wzruszył ramionami. - No, na co czekasz?

Juliet odepchnęła mnie. Uniosłem rękę, by znów ją powstrzymać, bo wiedziałem, że nadal mamy kilka minut do godziny zero, lecz jej dłoń śmignęła ku mnie i chwyciła mój przegub tak mocno, że krzyknąłem. Najwyraźniej odzyskiwała siły. Podobnie naelektryzowaną erotyczną aureą, która zazwyczaj ją otaczała. Od jej dotyku oddech uwiązał mi w gardle.

- Teraz jest mój - warknęła.

I odrzuciła mnie na bok. Poturlałem się po schodach, lądując ciężko na wypaczonych deskach podestu pierwszego piętra. Drewno było tak suche i przeżarte przez korniki, że o mało przez nie nie przeleciałem.

Obróciłem się na bok, by przynajmniej widzieć, co się dzieje na górze, ale w żaden sposób nie zdołałbym tego powstrzymać. Juliet przeskakiwała po dwa schodki, jej długie kroki także wskazywały na to, w jakim stopniu odzyskała moc i energię - w najgorszym możliwym momencie.

Podniosłem się ciężko i moje prawe kolano przeszła błyskawica bólu. Być może znów krzyknąłem jej imię, ale tego nie pamiętam. Stała naprzeciw Asmodeusza, a on rozłożył ramiona, by ją przyjąć. Powitalny uśmiech rozjaśniający jego twarz był najstraszniejszą rzeczą, jaką oglądałem w życiu.

* * *

- Której części nie rozumiesz? - spytał zniecierpliwiony Nicky.

- Wszystkiego - przyznał Gil. - Twierdzicie, że on chce, żeby sukub go pożarł?

- Nie, chce, żeby pożarł Rafiego - wyjaśniłem. - Zastanów się nad tym, Gil. Pomyśl o wszystkim, co robił, odkąd się uwolnił. Po pierwsze, nawiązał kontakt z satanistami...

- Castor! - ostrzegła Trudie, nie miałem jednak zamiaru zdradzać zawodowych tajemnic, a poza tym, na tym etapie nie miało to już znaczenia.

Nie zważając na nią, podjąłem wątek.

- Zamierzali wykonać powtórkę numeru z zeszłego roku: złożyć w ofierze dziecko urodzone, wychowane i obmodlone na wszystkie właściwe sposoby i go uwolnić. Ale spieprzyli sprawę. Nie udało im się. Wtedy zaczęły się zabójstwa. Myślę, że stanowiły zwykłą

improvizację - w ten sposób próbował uwolnić się od Rafiego, budząc w nim rozpacz. Z pewnością go osłabił. Przesunął do defensywy. Może też osłabił jego władzę nad wspólnie dzielonym ciałem. Ale tak naprawdę Asmodeusz postawił wszystko na plan C. Gdyby zdołał zmusić Juliet do pożarcia Rafiego - jego ciała i duszy - co by zostało?

Gil wzruszył ramionami.

- Thusta plama?

- Demon - wyjaśniła Trudie. - Tylko on, w bezcielesnej postaci. Musi o to chodzić. Asmodeusz nie zareagowałby na zaklęcie Juliet - nie czułby do niej żądzę, bo to ludzką żądzę nauczyła się budzić. Byłby zatem niestrawny. Gdyby skończyła, wciąż by tam pozostał. Jedyne Ditko by zniknął.

- To obłąd - zaprotestował Gil.

- Ja uważam, że to, kurwa, genialne - odparł Nicky. - Wspaniała ucieczka z więzienia. W porównaniu z tym wykopanie tunelu pod Ritą Hayworth wygląda na zwykły drobiazg.

* * *

Juliet objęła głowę Asmodeusza delikatnym pieścizotliwym gestem i przyciągnęła jego twarz do swojej. Ich wargi się zetknęły.

Najpewniej na poziomie psychicznym w tym momencie zaczęła się obracać olbrzymia eteryczna wirówka, z początku powoli, lecz z narastającą prędkością i niepohamowaną bezwładnością. Rafi był człowiekiem i Juliet przyciągała go do siebie. W żaden sposób nie mógł tego powstrzymać. Byłem na jego miejscu i wiedziałem, jakie to uczucie: pożądanie tak bardzo podobne do rozpacz, że przelewało się w jego pustkę swe własne serce, duszę, płuca, wątrobę i światła, pragnąc jedynie wnikać, zostać przyjętym, pochłoniętym.

Asmodeusz jako demon stał poza krawędzią wiru, odporny na jego przyciąganie. Patrzył, jak Rafi się poddaje, i odczuwał niewiarygodną satysfakcję w chwili, gdy długi, skomplikowany łańcuch wydarzeń prowadził do nieuniknionego końca. Zamienił swoich wrogów w elementy maszyny, która uwolni go z więzienia. Trudno wyobrazić sobie większą, bardziej wysublimowaną przyjemność.

Usłyszałem jęk dobiegający z ust Rafiego i wiedziałem, do kogo należy. Na zupełnie innym poziomie dotarło do mnie ciche echo śmiechu demona.

A potem, głośniejszy niż oba te dźwięki, moich uszu dobiegł wilgotny, przeciągły chrzęst. To Juliet wbiła zaimprovizowane ostrze prosto w pierś Asmodeusza.

Jego oczy otworzyły się szerzej, wciągnął w płuca głośny, niepewny oddech. Skrzywił się w niemal zwolnionym tempie. Zupełnie jakby walczył ze świadomością bólu, ze

wszystkim, co sobą sugerował.

Cofnął się o krok, wpatrując się we własną pierś. Z lewej strony ciała, wysoko, mniej więcej na poziomie serca, sterczał nieregularny trójkąt szkła, podobny do spłaszczonego sopla. Wokół niego wzbierała krew, ściekając w dół, natychmiast wsiąkając w koszulę i rozlewając się po materiale z szybkością efektu kubelka z farbą w Photoshopie. Gdyby to był nóż, Asmodeusz wyrwałby go ze swego ciała i poderznął nim Juliet gardło. Ale to nie był nóż.

* * *

- *Myślałem, że w walce z demonami i nieumarłymi używa się srebra - powiedział Gil tonem kogoś, kto powoli próbuje przekonać rozbrykane dziecko.*

- *Takie jest prawo srebra - odparła Trudie. - Tu mamy prawo imion.*

- *Ja... nie widzę imienia - wtrącił Nicky przerywając ciszę. - A powinienem?*

- *To zdjęcie Rafiego z pierwszej komunii, Nicky. - Uniosłem największy kawałek i pokazałem mu: równoramienny trójkąt, trzy cale u podstawy długi na osiem, z połową dwunastoletniej twarzy Rafiego widoczną tuż pod wierzchołkiem. - Wydrukowane na szkle zamiast na papierze. W Macedonii to ostatni krzyk mody. Wierz mi.*

Nicky uniósł brwi.

- *Na pewno. Zatem pytanie brzmi...?*

Wymówiłem je za niego.

- *Jak to dokładnie działa? Czy imiona mają moc z powodu mistycznej więzi, jaka łączy je z ich właścicielem? A jeśli tak, to czy ta sama więź okaże się słabsza, czy mocniejsza przy użyciu obrazu tegoż przedmiotu?*

- *To, co zrobił Martin Moulson - zastanawiała się głośno Trudie - to wprowadzenie samego siebie - za pośrednictwem imienia - jako antyciała do własnego organizmu, żeby przepędzić demona. My chcemy przegonić Asmodeusza...*

- *Polaroidem. Tak. Mniej więcej.*

* * *

Asmodeusz krzyknął. Był to dźwięk zrodzony zarówno z bólu, jak i z gniewu. Tak dokładnie wszystko przygotował, a my nie graliśmy zgodnie z zasadami.

Jeśli jednak wbicie uśmiechniętej twarzy Rafiego w lewą komorę sprawiło mu nieprzyjemną niespodziankę, nie okazało się *coup de grace*, na jaki liczyłem. Zamachnął się ręką jak kosą, powalając Juliet na kolana. A potem, gdy upadała, wymierzył jej kopniaka,

który dosłownie uniósł ją w powietrze.

Drewniana poręcz eksplodowała chmurą drzazg, Juliet poleciała głową naprzód w głąb klatki schodowej. Minęła mnie i z wilgotnym łoskotem wylądowała na parterze.

Został już tylko jeden. Ale cały czas chodziło tylko o zmyłkę, a nie na darmo byłem magikiem na przyjęciach u dzieciaków. Jeśli da się zmusić całą salę sześciolatków, by obserwowały lewą rękę, podczas gdy prawą wsuwamy królika do kapelusza, to liczący sobie dziesięć tysięcy demon jest zwykłą betką. Tak przynajmniej sobie wmawiałem, pokonując ostatnie stopnie, wyciągając flet i unosząc do ust, niczym snajper odnajdujący czuły punkt.

Asmodeusz parsknął i ruszył mi na spotkanie - a potem zeszytniał, otwierając szeroko oczy, gdy Gil poczęstował go w plecy taserem.

* * *

- Na nic się wam, kurwa, nie przydam - skomentował kwaśno Gil. - Jediną rzeczą, jaką nie atakujemy tego skurwysyna, są egzorcyzmy.

- Potrafisz się wdrapać po rynnie? - spytałem, ze stosownym wyczuciem chwili wyciągając z kieszeni należący do Jenny-Jane M-18.

* * *

Pięćdziesiąt tysięcy woltów to niewiele, gdy się nad tym zastanowić. W dodatku tak twierdzi producent, co oznacza, że zapewne mowa tu raczej o czterdziestu ośmiu tysiącach z groszami. Jeden piorun może bez problemu poczęstować człowieka milionami.

Ale Asmodeusz już mocno ucierpiał - zarówno jego ciało, jak i godność. Krwawił tętniczą krwią, w sercu miał ostrą jak brzytwa, uśmiechniętą buźkę, od której wcale nie poprawiał mu się humor, a jego starannie ułożone plany zamieniły się w zwykłą farsę. Gotów jestem zatem się założyć, że w tym przypadku efekt okazał się nieproporcjonalnie duży w stosunku do tego, co zapisano na pudełku.

I znów, to mogło się tam skończyć. Mógł rozpląnąć się w pustce, pozostawiając Rafiemu ciało wylewające z siebie cenne życiodajne płyny szybciej, niż potrafiło je zastąpić.

Ale nie. Zamiast tego złapał przewód tasera i szarpnął mocno. Gil instynktownie zacisnął na nim rękę, toteż poleciał do przodu, tracąc równowagę. Pięść Asmodeusza spotkała go w połowie drogi, trafiając w miejsce, gdzie szyja łączy się z ramieniem, tak że Gil runął na ziemię ciężko niczym worek stali. Wszystko stało się tak szybko, że echo dotarło do mnie zaledwie sekundę później.

W chwili, gdy cichło powoli, obaj usłyszeliśmy coś nowego i gorszego, dobiegającego

z ulicy i płamiącego powietrze. Przypominało to rozdzierający zew piekielnej furgonetki z lodami, odgrywany z mocą stu paru decybeli, wzywający duchy, upiory i dusze potępione na poczęstunek.

* * *

- Potrzebujemy czegoś, w czym można by to odtworzyć. - Obróciłem w palcach dysk Nathana z ostrożnością właściwą technicznie niedorozwiniętym. - No wiecie... głośno.

- Myślę, że da się coś załatwić - zastanawiał się na głos Nicky. - Pamiętacie pierwsze wybory burmistrza? Kiedy Czerwony Ken wyprzedził o milę figlarnego Franka? Znam gościa, który kupił to, co po nich zostało. Łącznie z jedną z tych pierdolonych furgonetek obwieszonych głośnikami, która przejeżdża o szóstej rano i informuje, że kandydat co prawda cię wydyma, ale tylko przez gumkę.

* * *

- No proszę - rzekłem w końcu, dotarwszy na podest. - Grają naszą piosenkę.

Walnąłem Asmodeusza pięścią prosto w twarz. Satysfakcję, jaką poczułem, osłabił nieco fakt, że twarz tak naprawdę należała do Rafiego, ale mimo wszystko czułem się całkiem nieźle.

Głowa demona poleciała do tyłu, ale nawet na sekundę nie stracił równowagi i odpowiedział szybko i zabójczo. Jego ręka zatoczyła eliptyczny łuk, świszcząc w powietrzu jak bat i świat wokół mnie eksplodował.

Nie pamiętam kolejnych dwóch, może trzech sekund. Następną rzeczą, jaką poczułem, był nacisk na plecy i wrażenie wokół ust i brody, jakby ktoś wysysał mnie przez ogromną słomkę.

Nie wiedząc, czy stoję na nogach, czy też leżę na tyłku, zacząłem losowo poruszać rękami i nogami w nadziei, że zareagują jak należy. Jednak moje oczy niewątpliwie znajdowały się na poziomie podłogi, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do świata.

Przed sobą ujrzałem rozmazanego demona, zbliżył się, a potem znów cofnął. Przygotowałem się na cios, który zakończy wszystko i wyłączy mnie na dobre, ale nie padł. Zamrugałem gorączkowo kilka razy, by oczyścić oczy, i zobaczyłem coś, czego nie rozumiałem.

Asmodeusz tańczył. A przynajmniej tak to wyglądało. Światło latarni ulicznej, przenikające przez okno po lewej, padało na niego niczym promień reflektora.

W końcu nadeszła godzina zero i wszystko zaczęło się zgrywać. Drań zwiijał się na

niewidzialnym krzyżu, olbrzymim jak świat. Ale czy dość dużym?

* * *

- *To nie wystarczy, by go zranić - powiedziałem z absolutną pewnością. - Zdecydowanie nie wystarczy. Moulson wbił tysiąc pięćset ćwieków. Przebijał swoje ciało w mikroskopijnych odstępach.*

- *Potrzebujesz czegoś, co zacznie go ciągnąć w wielu kierunkach równocześnie - wtrącił Gil.*

- *Tak.*

- *Ze szklanym sztykletem wbitym w pierś. Tak, by się napiął i nie mógł uciec przed bólem.*

- *Kurwa! Tak! Jeśli coś masz, McClennan, to gadaj.*

Gil obdarzył nas niewinnym spojrzeniem.

- *Głosujcie wcześniej - rzekł - i często. Heath, ilu masz w sumie znajomych ze wszystkich stron opisujących spiski miesiąca?*

- *Jakiś milion - odparł Nicky. - Mniej więcej. A czemu?*

- *A ilu z nich potrafi odprawić rytuał przywołania?*

* * *

Asmodeusz zachwiał się, upadł, dźwignął z ziemi. Zamarł i spomiędzy jego zaciśniętych zębów trysnęła krew.

Jego przenikliwy wzrok odnalazł mnie na drugiej stronie podestu. Oczy demona się zwężyły.

- *Bardzo sprytne - wygulgotał. - Castor, uwielbiam cię. Ani przez moment nie sądziłem, że czeka mnie taka fajna walka.*

Oparł się ciężko o ścianę, jego powieki unosiły się i opadały jak u epileptyka podczas ataku padaczki. Wylądował na linach; mechanizm, który wybrał do ucieczki - użycie gwarantowanej zabójczej siły przyciągania Juliet, by oddzielić człowieka od demonicznej części stopu, którym się stali - dał nam szansę. Jeśli kiedykolwiek istniał moment, w którym dałoby się uwolnić duszę Rafiego z uścisku Asmodeusza, to właśnie teraz. Sam demon położył wszystkie podwaliny. Ja musiałem jedynie z nich skorzystać.

Zupełnie jakby Bóg mnie kochał, znalazłem pod ręką flet. Odturlał się zaledwie parę stóp dalej i nie złamał. Chwyciłem go w rękę i uniosłem, moje palce odruchowo znalazły właściwe otwory. Ściągnąłem usta.

Gdzie były moje wargi?

Nie czułem nawet przyciśniętego do nich ustnika. Spróbowałem zagrać pierwszy dźwięk i na metal bryznęła czerwona piana. Nagle mrowiąca, zasysająca pustka w dolnej części twarzy nabrała ohydneho sensu i jęknąłem głośno.

Asmodeusz obrócił się, zataczając się jak pijak.

- Ale wszystko jest względne - warknął. - Prawda? Masz ochotę zagrać mi kolejną nudną melodyjkę? Nie? - Kopnął coś ku mnie po podłodze, coś czerwonego i mokrego, wyglądającego, jakby pochodziło z foliowego woreczka, który znajduje się w tyłku kurczaka i wyrzuca przed upieczeniem. Część mojej szczęki; mogłem to stwierdzić po tym, że wciąż sterczały z niej trzy zęby.

- A teraz wyłączmy ten pieprzony głośnik - wybełkotał Asmodeusz.

Przykucnął nisko i skoczył w głąb klatki schodowej.

W trakcie realizacji każdego planu następuje taka chwila, gdy uświadomiamy sobie, że nie jesteśmy tak dobrzy, jak sądzimy, że zrobiliśmy już wszystko co w naszej mocy, i to nie wystarczy. Właściwie obliczyliśmy kąt i jak szaleni dodaliśmy gazu, ale motocykl nie doleci na drugą stronę kanionu.

Teraz ta chwila opadła mi na barki. Podniosłem się z ziemi, przymierzając ją do siebie. Pasowała jak ulał, jakbym nosił ją od tamtej nocy, kiedy usiadłem w ciasnej łazience Rafiego i odegrałem jedną żalostną improwizację, która miała mnie prześladować przez resztę życia.

Ugiąłem nogi, żeby sprawdzić, czy wytrzymają. A potem rzuciłem się na okno i kopniakiem wybiłem je ze spróchniałej ramy. Roztrzaskało się na chodniku w dole, z hukiem słyszalnym nawet pośród rozdzierających dysharmonii demonicznej kołysanki. Wygramoliłem się na poszarpaną krawędź ściany w miejscu okna i w ślad za nim skoczyłem na ulicę.

Dwa piętra to nawet nie dwadzieścia stóp, ale wystarczy, by złamać nogi jak gałązki, o ile nie jest się zawodowym kaskaderem albo wielkim szczęściarzem. Ja nie należę do żadnej z tych grup, ale celowałem w stronę ducato, którego dach wznosi się na wysokość ośmiu stóp. Moje nogi wgniotły go wraz z częścią najbliższej ściany, zamieniając oślizgły uśmiech Franka Dobsona w obleśny grymas i bez wątpienia doprowadzając Trudie na skraj ataku serca.

Sekundę później frontowe drzwi budynku, wyrwane od wewnątrz z zawiasów, poleciały w powietrze.

Asmodeusz wyszedł w noc, potrząsając głową, tak jak czyni to pies po zanurkowaniu w lodowatą wodę. Jego spojrzenie wędrowało z boku na bok. Za pierwszym razem jakby nie

dostrzegł furgonetki, choć stała dokładnie przed nim, lecz za drugim uchwycił jej obecność. Ruszył ku nam, ze szklanym sztyletem sterczącym obscenicznie z piersi. Po każdym kroku, z rany wypływała świeża krew.

Zacząłem walić pięścią w dach furgonetki, żeby zwrócić uwagę Trudie.

- Daj mi broń! - zawołałem, ona jednak usłyszała: „Fahaa-fafafa-hoho!”.

Nie dysponowałem już działającym aparatem mowy i w pewien żalony, bliski szoku sposób zaczynałem za nim tęsknić.

Asmodeusza dzieliły od nas może trzy kroki, kiedy z drzwi za nim wypadła Juliet i zaatakowała od tyłu. Razem runęli na ziemię i przeturlali się niemal pod koła furgonetki. Dłonie Juliet zaciskały się wokół gardła Asmodeusza. On jednak przycisnął własne ręce - które wydawały się znacznie większe niż te Rafiego, a napięte mięśnie ramion przypominały postronki - z obu stron do jej głowy. Odchyłał ją coraz bardziej i bardziej, próbując jej złamać kręgosłup.

Zeskoczyłem z dachu furgonetki, opadając na czworaki. Trudie majstrowała przy dubeltówce, ale dysponowała tylko jedną ręką i nie mogła znaleźć bezpiecznika. Nicky zaledwie raz zademonstrował, jak to działa, a w ogniu walki podobne szczegóły łatwo wypadają z pamięci. W tym momencie ogień był tak gorący, że aż parzył.

Na mój widok zbladła i o mało nie wypuściła strzelby.

- O kurwa! - wykrzyknęła. - Och, Castor.

Wyciągnąłem rękę i bez słowa podała mi dubeltówkę. Może i dobrze. Tak czy inaczej, rozmowa byłaby dość jednostronna.

Asmodeusz przeturlał się na Juliet. Walnął jej twarzą o chodnik i podniósł się na nogi. Potem odwrócił ku mnie, jego wykrzywione w męce rysy falowały niczym woda.

- A teraz... - warknął.

- Tysiąc pięćset ćwieków - powiedziałem.

Tak naprawdę były to maleńkie metalowe dyski, co brzmi znacznie mniej dramatycznie, ale nie zmniejsza wagi wyczynu Moulsona. Cał za całem uszczelnił dom własnego ciała przed złą pogodą z piekła, a kiedy dokonał dzieła, jego dom wciąż stał. Tysiąc pięćset chirurgicznie precyzyjnych nacięć. Tysiąc pięćset momentów rozdzierającego bólu, gdy wciskał metal dość głęboko, by tam pozostał. Twierdził, że zabrało mu to niemal cały dzień.

Dubeltówka nie jest może tak kurewsko celna, ale zdecydowanie szybsza.

Wystrzeliłem z pierwszej lufy.

Szkoło. Szkoło zmielone drobno jak śrut. Nabój tak lekki, że z odległości dwudziestu

stóp nawet by nie zabolął. Ale ja strzelałem z sześciu stóp.

Marynarka i koszula Asmodeusza zamieniły się w nakrapiane strzępy i zniknęły pod naciskiem niezliczonych maleńkich pocisków. Demon wzdrygnął się, zdumiony, ochryple wciągnął w płuca powietrze, a potem ryknął w agonii, gdy nasz jedyny w swoim rodzaju ładunek zaczął działać.

* * *

Wybraliśmy trzy szklane odłamki zdjęcia Rafiego, mające posłużyć Juliet za noże: uznaliśmy, że w tych okolicznościach przesada nie zaszkodzi. To nadal pozostawiało mnóstwo kawałków zbyt małych, by nadawać się do walki wręcz. Tu fragment ręki Rafiego, tam druga połowa jego twarzy. Szkoda było je zmarnować. Nicky starannie wyciągnął ładunek, który zazwyczaj trzymał w lufie dubeltówki, z namysłem przyglądając się stosikowi szklanych odłamków. A potem odszedł od stołu i wrócił z młotkiem.

* * *

Asmodeusz przyglądał się z tępą fascynacją własnym rękóm. Krew z dziesiątek ran zbierała się na dłoniach, przeciekała między palcami, spływała po przegubach.

- Kurwa - powiedział wyraźnie.

Ze straszliwym rozmysłem skupił wolę na uniesionej ręce, próbując narzucić umęczonemu ciału tę samą władzę, jaką napawał się prawem zdobywcy od owej nocy, gdy się wprowadził, aż do tej chwili.

Ciało nie posłuchało. Nawet nie zareagowało. Asmodeusz ruszył ku mnie. Po jego twarzy przebiegł grymas wściekłości i konsternacji, w końcu jednak zastąpił je strach.

- Kiedy umrzesz - wychrypiał szorstko. - Kiedy umrzesz, Castor...

Dalej nie dotarł. Upadł parę stóp ode mnie, wstrząsany spazmami. Może sekundę później poszedłem w jego ślady, bo nie byłem już w stanie utrzymać się na nogach. Patrzyłem mu prosto w oczy, toteż zobaczyłem, jak zachodzą mgiełką i znów się rozjaśniają.

- Fix... - wyszeptał Rafi.

Nagle ulica ożyła w kakofonii hałasu, do niewielkiego zaułka wjechały czarne samochody, furgonetki i co najmniej jedna ośmiokołowa ciężarówka, zatrzymując się z piskiem opon i pozostawiając na asfalcie ślady palonej gumy. Drzwi otwarły się z trzaskiem i z wnętrza wypadli mężczyźni i kobiety w czarnych strojach maskujących, ustawiając się w tępy klin i rozglądając na wszystkie strony w poszukiwaniu wroga, którego tam nie było.

Z jednego samochodu wysiadł Thomas Gwillam i zmierzył wzrokiem pozostałości

masakry. Jego chłodne, pełne namysłu spojrzenie powędrowało wysoko ku wybitemu oknu, a potem w dół, ku ciałom na chodniku, na moment zatrzymując się na Rafim i w końcu spoczywając na mnie.

- Przyjechałem, kiedy tylko mnie wezwałeś - rzekł. - Ale oczywiście nie zadzwoniłeś, dopóki nie upewniłeś się, że dotrę za późno. Ostrzegłem cię przed fałszywą dumą, Castor. Po co komu wsparcie, które przybywa po zakończeniu bitwy?

Miało to pewien sens. Szczęśliwie straciłem przytomność, zanim zmusił mnie, bym to przyznał. Prawdę mówiąc, cieszyłem się, że to już koniec. Szczeka zaczynała mnie boleć jak skurwysyn.

ROZDZIAŁ 21

Omdlenie w niezręcznej chwili, gdy działania dobiegają końca i trzeba posprzątać, ma sporo zalet. Inni ludzie mogą znieść nasze ranne ciało z pola walki i zająć się mozolną robotą. My tymczasem tańczymy z pastelowymi króliczkami w magicznym ogrodzie, w którym z gałęzi drzew zwisają smakowite pianki i butelki niemieszanej whisky.

W tym przypadku jednak dodatkowa ekipa nie spisała się najlepiej. Gwillama i jego ludzi interesował wyłącznie Rafi, a oprócz nich jedyną osobą zdolną utrzymać się na własnych nogach pozostawała Trudie Pax. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła - wiedziała bowiem co nieco o szoku klinicznym - było spoliczkowanie mnie i obudzenie.

Prawdę mówiąc, wolałbym ocknąć się w szpitalnym łóżku, ze wszystkimi oderwanymi częściami ciała przyszytymi na miejsce i łagodnym nowokainowym hajem rozchodzącym się w ciele. Zamiast tego odkryłem, że nadal leżę na chodniku, bolała mnie każda kończyna, staw i narząd wewnętrzny, a w tym, co zostało z dolnej części mojej twarzy, wybuchają zabójcze, nerwowe fajerwerki.

Trudie zdarła ze mnie koszulę i zwinęła pod brodą, by zatamować najgorszy krwotok. W tym momencie nie mogła działać nic więcej. Zadzwoiła na 999, karetka już jechała, tymczasem trzeba było sprawdzić stan wielu osób.

Rafi wyglądał na żywego. A przynajmniej, jak zanotował Gwillam, miał puls, choć bardzo słaby i nieregularny. Rana w jego piersi przestała krwawić, toteż Trudie nie dostrzegła sensu w opatrywaniu jej. Obrażenia od dubeltówki były zbyt liczne i zbyt drobne, by mogła cokolwiek działać.

Juliet nie miała pulsu i nie oddychała, ale kiedy Trudie wymamrotała nad nią słowa błogosławieństwa, usiadła i zakłęła w gardłowym języku, od nieludzkich spółgłosek którego Pax napłynęły do oczu łzy. Pozostawiając Gwillama, który naradzał się ze swymi szefami sztabu, we trójkę weszliśmy razem do budynku, by dokonać ostatecznej inspekcji i przekonać się, czy tej nocy wygraliśmy, czy przegraliśmy.

Gil wydawał się najmniej uszkodzony z nas wszystkich, ale gdy dotarliśmy na podest drugiego piętra, dopiero zaczynał odzyskiwać świadomość. Oszołomiony podniósł się z ziemi i natychmiast usiadł w pośpiechu. Lewą stronę jego twarzy pokrywał jeden wielki siniec, oko okropnie zapuchło. Z pełną fascynacji zgrozą wpatrywał się w moją spotworniałą twarz, po

czym uniósł i opuścił kciuk: pytanie.

Wzruszyłem ramionami: jeszcze nie wiadomo.

Juliet prowadziła, bo tylko ona mogła odnaleźć je po zapachu. Weszła do pokoju obok tego, w którym trzymaliśmy uwięzionego Rafiego po wyciągnięciu go od Stangera niecałe dwa miesiące wcześniej. Jedynym meblem w pomieszczeniu była wysoka, wolno stojąca szafa. Juliet sprawdziła drzwi i odkryła, że są zamknięte.

Podąłem jej kolbę dubeltówki, lecz ona rozwalila zamek gołymi rękami i otworzyła szarpnięciem szafę.

Pen i Sue stały obok siebie w środku, ze związanymi rękami i nogami, na nogach przytrzymywały je zaimprovizowane stryczki, przerzucone przez górną poprzeczkę na wieszaki. Gdyby któraś zasnęła bądź się potknęła, mogłaby się powiesić.

Były nietknięte. Żadnych ran, żadnych sińców.

To właśnie najtrudniej mi zrozumieć. Asmodeusz potrzebował ich żywych, bo musiał mieć pewność, że Juliet po niego przyjdzie. Pragnął ją jednak rozwścieczyć, a co doprowadziłoby ją do większego szału niż dyndające przed oczami, połamane ciało kochanki?

Możliwe, że przyrzekł sobie skosztować ich poniżenia i śmierci już po walce i że odkładał to niczym epikurejczyk elegancki posiłek, zwiększając przyjemność przedłużeniem wyczekiwania. Ale w przypadku demonów takie rozumowanie nie prowadzi zbyt daleko. Demony zazwyczaj biorą to, czego zapragną, i w tym przypadku nasze reakcje - to znaczy, moja i Juliet - stanowiłyby dla nich jedynie istotną część zabawy.

Zastanawiam się zatem, choć brzmi to wariacko, czy to nie Rafi nas ocalił. Może oszczędzał siły do ostatniego starcia i walczył z rękami demona za każdym razem gdy tamten zdecydował się wcielić w życie tę część swojego planu.

W ostatecznym rozrachunku muszę jednak przyznać, że nie wiem. I nie ma nikogo, kogo mógłbym spytać.

Rafi nie pamięta niczego od tamtej nocy, gdy nakreślił pieprzony magiczny krąg i powiedział: „Surgat mihi Asmodeus”.

ROZDZIAŁ 22

Niecały miesiąc po tym, jak po owych wydarzeniach opadł kurz, po raz ostatni wróciłem do Whittington. Wśliznąłem się tam cicho późnym wieczorem. Nikt nie zadawał mi żadnych pytań w związku z chaosem w KOM, ani fizycznym i psychologicznym atakiem na dwóch ochroniarzy, których ostatnio widziano w moim towarzystwie w Surrey. Przez to jednak niepokoiłem się jeszcze bardziej. Wcześniej czy później ostrze musi opaść.

Nawet Nicky nie zdołał się dowiedzieć, co się stało po tym, jak zatrzasnąłem drzwi przed Jenną-Jane i jej personelem. Embargo na te informacje sięgało zarówno bardzo wysoko, jak i bardzo głęboko, przez co nabrałem niepokojącego przekonania, że jakimś cudem musiała przeżyć. Gdyby zginęła, z pewnością resztki jej przedsięwzięcia kompletnie by się rozsypały.

Miałem na sobie kombinezon, w dłoni trzymałem plastikowe wiaderko. To wystarczyło, by nikt mnie nie zatrzymał, gdy w ślad za składającą wizytę rodziną wśliznąłem się na oddział pediatryczny.

W pokoju Lisy Probert zamknąłem drzwi i wyciągnąłem flet. Zamknawszy oczy, zacząłem przesuwać palcami po dziurkach, wyobrażając sobie melodię cicho i szybko, pozwalając jej zagrać w mojej głowie, bo trzeba by kolejnych trzech miesięcy, by przeszczep kości przyjął się na tyle, żeby usunięto mi ze szczęki stalowe śruby.

Doskonale znałem tę melodię i łatwo przyszło mi ją sobie wyobrazić. Przytrzymałem jeden koniec w głowie, drugi zarzuciłem w mrok niczym haczyk. Zdawało mi się, że niemal natychmiast znajome mrowienie skóry na twarzy i dłoniach powiedziało mi, że ktoś mnie obserwuje.

Cztery dziewczynki stały w nierównym półokręgu, patrząc na mnie niecierpliwie. Nigdy nie lubiły, gdy ktoś przerywał ich obejmujące całe miasto zabawy w chowanego.

- Abbie - powiedziałem. Zabrzmiało to jak wysiłek kiepskiego brzuchomówcy, bo nie mogłem otworzyć ust szerzej niż na pół cala. - Dobrze cię widzieć. - Nigdy nie pamiętałem imion trzech ofiar Charlesa Stangera i wolałem nie wracać do dokumentów, by odświeżyć sobie pamięć. - Bardzo przepraszam, że wam przeszkodziłem, ale miałem nadzieję, że zdołacie coś dla mnie zrobić.

Wskazałem ręką nieruchomą, ledwie oddychającą postać na łóżku.

- Znajdźcie ją - rzekłem. - Dowiedzcie się, gdzie się ukrywa jej duch. Jeśli możecie, sprowadźcie ją do domu, do tego ciała. A jeżeli nie... Może mogłaby zostać z wami, przynajmniej na jakiś czas, póki sama nie zdecyduje, co zamierza.

- Dobrze, panie Castor - wyszeptała Abbie głosem nieporuszającym powietrza. - Zobaczymy, co da się zrobić.

Wyszedłem równie cicho jak się zjawiłem. Nikt się nie zorientował, że tam byłem.

* * *

Prawdę mówiąc, mniej więcej tak samo czułem się, gdy nieco później zjrzałem do Juliet i Sue. Obie były tak bardzo zajęte sobą, że ledwie dostrzegały całą resztę świata.

W jakiś sposób układ sił w ich związku uległ zmianie. To bardzo dziwny widok. Juliet odzyskała pełnię sił, lecz kiedy patrzyło się na nie razem, można by sądzić, że to Sue trzyma w dłoni pejcz i promieniuje nieodpartym magnetyzmem. Juliet skakała wokół niej, równie uprzejma i unizona, cicha i wszechobecna jak wiktoriański kamerdyner. Co rusz dotykała dłoni Sue, jej policzka bądź ramienia, jakby cały czas musiała się upewniać, że jej kochanka wciąż tam jest.

To dlatego, że wróciła do piekła, tak przynajmniej podejrzewałem. Ponieważ pieczęcie Asmodeusza wbrew jej woli zawlokły ją w jej własną przeszłość i z nagłą, straszliwą jasnością zobaczyła, jak dokładnie wyglądała, co zyskała, co straciła i czym mogłaby znów się stać po jednym fałszywym ruchu. Kurczowo trzymała się Sue, bo Sue była ucieleśnieniem i kotwicą jej nowego życia. Symbolem, pozwalającym jej pamiętać, kim jest.

Kiedy tylko znalazłem przyzwoity pretekst, pożegnałem się pośpiesznie, bełkocząc jakieś bzdury o tym, że Nicky zaprosił mnie na seans filmowy. Nie zaprosił, ale i tak do niego wpadłem. Jak się okazało, był zajęty wycenianiem towaru na swój nowy stragan na targu i nie miał czasu na spotkania towarzyskie. Nim jednak zatrzasnął mi drzwi przed nosem, zadał jedno szybkie pytanie.

- Jedna z oryginalnych kopii „Sprawy życia i śmierci”. - Zważył w dłoniach ciężki srebrny kanister w kształcie grubego dysku tak, żebym mógł go zobaczyć. - W koszmarnym stanie. Popękana. Popalona. Właściwie nie da się odtworzyć, ale jednak... oryginalna kopia. Ile?

- Dycha?

- Myślałem raczej o paru tysiącach.

- Na targu przy Hoe Street? Chcesz przyciągnąć przeciętnego klienta impulsowego, Nicky, nie zabłąkanych milionerów.

- To fragment pieprzonej historii.
- Potnij go na trzycalowe kawałki. Sprzedawaj po dyszce każdy.

Przymierzył w myślach ten pomysł i uznał, że - pomijając nawet fakt, że znacząco zwiększyłby jego zyski - ma on sens.

- Chyba ludzie pragną tylko tyle historii, ile da się z łatwością nosić przy sobie.
- Osobiście zawsze tyle preferowałem.
- Czujesz się lżej?
- Tak - przyznałem. - Odrobinę. Ale dźwigam na karku trzy i pół dekady, Nicky.

Miesiąc tu, rok tam... To czyni mniejszą różnicę niż można by sądzić.

Filozoficznie pokiwał głową.

- Jasne, jasne. No dobra, mam potąd roboty, a jutro wielkie otwarcie. Wpadnij, jeśli będziesz w okolicy.

Ruszyłem z powrotem w noc, ciężkie stalowe drzwi zatrzęsły się za moimi plecami.

Mógłbym wybrać się na nocny seans do kina albo wypić parę ostatnich kolejek w barze, w którym serwują znośne trunki i muzykę. Mógłbym nawet wrócić do siebie i się przespać. Ale Pen i Rafi odnawiali zarówno dom, jak i swój związek. Nigdy nie wiedziałem, w którym pokoju akurat się zjawia, toteż, im mniej czasu tam spędzałem, tym mniejsze istniało niebezpieczeństwo, że przypadkiem natknę się na jedną z bardziej wyrafinowanych pozycji z Kamasutry.

Złapałem ostatni pociąg metra z Walthamstow Central do miasta i ruszyłem dalej na autopilocie. Odkryłem, że nogi znów niosą mnie do Somers Town. Ku memu zdumieniu wpadłem na znajomą grupkę zombie, siedzących wokół znajomego ogniska, choć teraz, kiedy zaczęło się robić chłodno, podsycali je nieco mocniej.

W pobliżu znalazłem otwarty nocny sklep, z niewielkim, lecz całkiem niezłym działem monopolowym. Tym razem kupiłem dwie butelki - jedną whisky, jedną rumu oraz paczkę plastikowych kubków. Następnie wróciłem i posiedziałem trochę z nieboszczykami, wypełniając obietnicę, o której wcześniej na śmierć zapomniałem.

Kiedy człowiek przestał dostrzegać ich zapach, okazali się zaskakująco dobrym towarzystwem. Świat nie oszczędzał im niczego, a oni znosili to wszystko, ciężko pracując, by osiągnąć filozoficzny dystans. Coś jak ów fatalistyczny dowcip: życie to syf, a potem umierasz, a potem...

Poziom płynu w butelkach opadał cal za całem, niebo na horyzoncie zaczęło jaśnieć i już miałem się pożegnać, kiedy ktoś nowy dołączył do kręgu, zajmując miejsce tuż koło mnie. Przyniosła ze sobą własne ciepło, co wyróżniało ją z grupy, bo większość bywalców miała

temperaturę otoczenia.

Obróciłem się, żeby sprawdzić kto to.

- Czy to prywatne przyjęcie? - spytała Trudie Pax.

- Ograniczone do żywych, umarłych i czekających na rozstrzygnięcie - poinformowałem.

- Brzmi nieźle. Zostało trochę wódki?

Nalałem jej hojną porcję szkockiej.

- Jak mnie wytropiłaś? - spytałem.

Uniosła dłonie, obie spowite wieloma pętłami kolorowych sznurków.

- Wciąż są trochę sztywne - rzekła - ale wróciłam do gry. Nie uwierzyłbyś, co teraz potrafią te maleństwa.

- Chętnie bym się przekonał.

Tego typu dwuznaczne uwagi rzucam całkiem odruchowo i spodziewałem się równie lekkiej odprawy. Zamiast tego Trudie wzięła mnie za rękę.

Kiedy świt wypełnił pół kopuły nieba, zombie ruszyły na nowe pastwiska - do bezpańskiej szopy na końcu Camden Lock, gdzie mogły się ukrywać, póki wredne słońce nie przestanie ich nękać. Ręka w rękę z Trudie maszerowałem przez Euston Square, patrząc, jak ranek się rozkręca.

- Słyszałam, że córka Imeldy Probert w pełni wyzdrowiała - rzuciła Trudie wystudiowane neutralnym tonem.

- Tak - zgodziłem się. - Też słyszałem.

- Masz pojęcie, czym się teraz zajmie?

- Ma pracę. Na straganie w Walthamstow. Dzięki temu opłaci czynsz.

Mówiłem jeszcze lżej od Trudie, ale to dlatego, że ten temat nadal sprawiał mi ból. Zwróciłem Lisie życie: ani przez moment nie wierzyłem, że w ten sposób spłaciłem wobec niej długi.

- Chciałeś kiedyś być częścią tego? - spytała Trudie, ruchem głowy wskazując śpieszących dokoła przechodniów, ulicznych sprzątaczy, sprzedawców podnoszących żaluzje na witrynach dworcowych sklepów.

- Chcesz powiedzieć: życia? - spytałem zdumiony. - Nie. Niespecjalnie. Wolę pozostać ironicznym komentatorem. - Była to jednak żartobliwa odpowiedź, a z tonu jej głosu wywnioskowałem, że pytała poważnie. - Przypuszczam, że gdy się nad tym zastanowić, podchodzę do tego jak Janis Joplin w piosence „Chelsea Hotel”. „Może i jesteśmy brzydcy, ale przynajmniej mamy muzykę”. Nie zrezygnowałbym z tego, co mam, na rzecz tego, co oni

mają.

- Nie - zgodziła się Trudie. - Ja też nie.

Jakiś czas szliśmy w milczeniu.

- Jak bardzo religijna czuje się pani dzisiaj, panno Pax? - spytałem w końcu.

- Bardzo. Bardzo pobożna. A pan, panie Castor?

- Ateistyczny. Błuznierczy. Właściwie, satanistyczny.

Oparła mi głowę na ramieniu.

- Załóżmy międzywyznaniową grupę dyskusyjną - zaproponowała.